

# ROBERT LUDDLUM

# TREVAYNE

  
AMBER MIZAR





**ROBERT LUDLUM**

**Trevayne**

## Część 1

### Rozdział 1

Gładka asfaltowa nawierzchnia drogi urywała się raptownie, przechodząc w ubitą ziemię. W tym miejscu niewielkiego półwyspu kończył się teren miasta, zaczynał zaś prywatny. Według map przechowywanych w Urzędzie Pocztowym Stanów Zjednoczonych w South Greenwich, Connecticut, droga nosiła nazwę północno-zachodniej Shore Road, ale wśród doręczycieli, kursujących po niej furgonetkami, była znana jako High Barnegat albo po prostu Barnegat.

Zjawiali się tu często, trzy lub cztery razy w tygodniu, przywożąc listy polecone i pękate szare koperty, które wolno im było zostawić wyłącznie po osobistym potwierdzeniu odbioru przez adresata. Nigdy nie mieli nic przeciwko tym podróżom, gdyż za każdym razem dostawali dolara napiwku.

High Barnegat.

Ośmioakrowa posiadłość, na odcinku przeszło pół kilometra granicząca bezpośrednio z cieśniną. Większość terenu pozostawiono w spokoju, pozwalając roślinom rosnąć tam, gdzie przyszła im ochota. Zupełnie inaczej miała się rzecz z zabudowaniami i pasem o szerokości siedemdziesięciu metrów ciągnącym się wzdłuż głównej plaży. Długi, rozległy dom zaprojektowano zgodnie z najnowszymi tendencjami architektonicznymi – zza wielkich, wprawionych w drewno szklanych tafli roztaczał się widok na morze. Pyszniące się soczystą zielenią trawniki były poprzecinane ścieżkami ułożonymi z płaskich kamieni, a bezpośrednio nad hangarem dla łodzi rozciągał się obszerny taras.

Był późny sierpień, najlepsza część lata w High Barnegat. Woda miała najwyższą temperaturę w roku, wiejący znad cieśniny wiatr osiągał w porywach prędkość, przy której żeglowanie stawało się bardziej podniecające (lub niebezpieczne, zależnie od punktu widzenia), roślinność zaś pyszniła się najgłębszą zielenią. Pod koniec sierpnia zniknął gdzieś bez śladu nastrój bez trosk wakacyjnych igraszek, ustępując miejsca atmosferze zrelaksowanego spokoju. Lato dobiegało końca. Mężczyźni ponownie zaczęli myśleć o normalnych weekendach i pięciu dniach wypełnionych pracą, a kobiety rzucały się w wir zakupów oznaczających zbliżający się początek nowego roku szkolnego.

Ludzkie myśli i działania powoli przestawiały się na inne tory. Błahostki traciły na znaczeniu, zyskiwały natomiast sprawy naprawdę poważne.

Dochodziło wpół do piątej po południu. Phyllis Trewayne odpoczywała na leżaku na tarasie, pozwalając, by ciepłe promienie słońca oblewały jej ciało. Z zadowoleniem stwierdziła, że kostium kąpielowy córki pasuje na nią niemal, jak ulał. Ponieważ ona miała lat czterdzieści dwa, córka zaś siedemnaście, zadowolenie mogłoby łatwo przemienić się w uczucie triumfu, pod warunkiem, że Phyllis poświęciłaby tej sprawie więcej uwagi. Nie mogła jednak tego uczynić, gdyż jej myśli wracały ciągle do niedawnego telefonu z Nowego Jorku. Rozmawiała z aparatu na tarasie, gdyż służąca nie wróciła jeszcze z dziećmi z miasta, a mąż żeglował po wodach cieśniny, widziała stąd tylko mały biały żagielek. Niewiele brakowało, by w ogóle nie podniosła

słuchawki, ale w porę przypomniała sobie, że numer High Barnegat znali tylko najlepsi przyjaciele rodziny oraz najważniejsi – jej mąż wolał używać słowa „niezbędni” – partnerzy w interesach.

–Czy to pani Trevayne? – zapytał głęboki męski głos.

–Tak, słucham?

–Mówi Frank Baldwin. Jak się masz, Phyllis?

–Znakomicie, panie Baldwin. A pan?

Phyllis Trevayne знаła Franklyna Baldwina od wielu lat, ale wciąż nie mogła zdobyć się na odwagę, by mówić do starego dżentelmena po imieniu. Baldwin należał do wymierającego gatunku; był jednym z ostatnich żyjących gigantów nowojorskiej bankowości.

–Czułbym się znacznie lepiej, gdybym wiedział, dlaczego twój mąż nie odpowiada na moje telefony. Czy on aby dobrze się czuje? Nie chodzi o to, żebyśmy uważali się za aż tak ważnego, broń Boże, ale chyba nie jest chory?

–Nie, skądże znowu. Tyle że od tygodnia nie zaglądał do biura i nie odbierał żadnych wiadomości. To moja wina. Chciałam, żeby wreszcie trochę odpoczął.

–Moja żona próbowała mnie chronić dokładnie w taki sam sposób, młoda damo. Instynktownie. Brała na siebie cały impet uderzenia i zawsze reagowała tak, jak należy.

Phyllis Trevayne roześmiała się, zadowolona z komplementu.

–Ale tym razem to prawda, panie Baldwin. Akurat w tej chwili jestem zupełnie pewna, że nie pracuje, gdyż widzę żagiel jego katamaranu jakiś kilometr od brzegu.

–A to cwaniak! Boże, wciąż zapominam, że jesteście tacy młodzi. W moich czasach nikt nie dorabiał się fortuny w tak młodym wieku. W każdym razie nie własnymi rękami.

–Mieliśmy szczęście. Staramy się o tym nie zapominać. – Ton głosu Phyllis Trevayne świadczył o tym, że mówiła prawdę.

–To bardzo dobrze, młoda damo. – Franklyn Baldwin także mówił zupełnie poważnie i starał się dać jej to wyraźnie do zrozumienia. – Cóż, kiedy nasz kapitan Ahab przybije do brzegu, poproś go, żeby do mnie zadzwonił, dobrze? To naprawdę bardzo pilne.

–Oczywiście.

–W takim razie, do widzenia, moja droga.

–Do widzenia, panie Baldwin.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że jej mąż codziennie kontaktował się z biurem. Wykonał nawet kilkanaście telefonów do ludzi znacznie mniej ważnych niż Franklyn Baldwin. Poza tym Andrew lubił Baldwina. Powtarzał to wiele razy. Przedzierając się przez kręty labirynt międzynarodowych operacji finansowych, często zwracał się do niego po radę. Miał mu wiele do zawdzięczenia, a teraz, kiedy stary dżentelmen potrzebował go, Andrew nie odpowiadał na jego telefony. Dlaczego? To było do niego zupełnie niepodobne.

W niewielkiej restauracji na Trzydziestej Ósmej ulicy, między Park i Madison Avenue, mogło pomieścić się nie więcej niż czterdzieści osób. Jej klientela składała

się głównie z urzędników zbliżających się do średniego wieku, którzy nagle zaczęli zarabiać więcej pieniędzy niż kiedykolwiek do tej pory, a jednocześnie odczuwali chęć, czy nawet potrzebę zachowania pozorów młodości. Jedzenie było co najwyżej przyzwoite, ale za to drogie, drinki zaś nadzwyczaj kosztowne. Jednak szeroki bar, obite boazerią ściany i rozproszone, łagodne światło przypominały gościom ulubione miejsca spotkań z lat pięćdziesiątych, które ciągle jeszcze wspominali z łezką w oku.

Dokładnie taki zamysł przyświecał dekoratorowi wewnątrz.

Dlatego właśnie kierownik lokalu zdziwił się nieco na widok niskiego, starannie ubranego mężczyzny, liczącego sobie nieco ponad sześćdziesiąt lat, który wszedł do środka i zatrzymał się z wahaniem, dając czas oczom na dostosowanie się do przyćmionego oświetlenia.

–Życzy pan sobie stolik? – zapytał kierownik, podchodząc do gościa.

–Nie, dziękuję... To znaczy, tak. Umówiłem się tu z kimś... A, już nie trzeba.

Bardzo dziękuję.

Elegancki mężczyzna dostrzegł osobę, której szukał. Ruszył szybko w kierunku odległego kąta sali, lawirując niezgrabnie między ciasno ustawionymi krzesłami.

Kierownik przypomniał sobie człowieka siedzącego przy najdalszym stoliku.

Zależało mu wyłącznie na tamtym miejscu.

Starszy džentelmen zajął wolne krzesło.

–Chyba lepiej było umówić się gdzie indziej niż w restauracji.

–Proszę się nie obawiać, panie Allen. Nikt nie wie, że pan tu przyszedł.

–Ufam, że ma pan rację.

Kelner otrzymał zamówienie na drinki.

–Nie jestem pewien, czy to właśnie pan powinien się obawiać – powiedział młodszy mężczyzna. – Wydaje mi się, że to ja ponoszę większe ryzyko.

–Wszystko zostanie załatwione i pan doskonale o tym wie. Nie traćmy czasu. Jak wyglądają sprawy?

–Komisja jednomyślnie zaaprobowwała kandydaturę Andrew Trevayne'a.

–Ale on się nie zgodzi!

–Panuje opinia, że jednak się zgodzi. Propozycję złoży mu Baldwin. Kto wie, czy już tego nie zrobił.

–Jeśli tak, to znaczy, że spóźnił się pan. – Stary mężczyzna przesunął dłonią po twarzy i wbił wzrok w nakrytą obrusem powierzchnię stolika. – Docierały do nas plotki, ale braliśmy je za zasłonę dymną. Liczyliśmy na pana. – Spojrzał na Webstera. – Zakładaliśmy, że ustali pan stan faktyczny, zanim zostaną podjęte końcowe działania.

–Nie miałem na to żadnego wpływu. Nikt z Białego Domu nie miał żadnego wpływu. Komisja działa poza naszym zasięgiem. Miałem szczęście, że w ogóle udało mi się czegoś dowiedzieć.

–Jeszcze wrócimy do tej sprawy. Dlaczego uważają, że Trevayne przyjmie propozycję? Czemu powinien to zrobić? Przecież jego Fundacja Danforth prawie dorównuje fundacjom Forda i Rockefellera. Dlaczego miałby z niej zrezygnować?

–Tego zapewne nie zrobi. Co najwyżej weźmie urlop.

–Żadna fundacja tej wielkości nie zgodzi się na coś takiego. Tym bardziej, kiedy chodzi o taką sprawę. Oni także mogliby znaleźć się w kłopotach.

–Nie rozumiem...

–Myśli pan, że są inni niż wszyscy? – zapytał Allen, wruszając ramionami. – Też chcą mieć przyjaciół w waszym mieście. Nie wrogów, tylko przyjaciół... Jak wygląda procedura? Zakładając, że Baldwin złożył już propozycję, a Trevayne ją przyjął?

Obaj mężczyźni umilkli, gdyż zjawił się kelner z drinkami. Webster odezwał się dopiero wtedy, kiedy kelner odszedł na sporą odległość.

–Procedura przedstawia się w taki sposób, że osoba wybrana przez komisję musi najpierw zyskać akceptację prezydenta, a potem zostanie poddana zamkniętemu przesłuchaniu przez dwupartyjną komisję Senatu.

–To dobrze. – Allen podniósł szklankę i przełknął większą część jej zawartości. – W tym momencie wkroczymy do akcji. Utrącimy go podczas przesłuchania.

Młodszy mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem.

–Ale dlaczego? W jakim celu? Przecież ktoś musi stanąć na czele tej podkomisji. Wydaje mi się, że ten Trevayne jest w miarę rozsądnym facetem.

–Panu się wydaje! – Allen szybko dokończył drinka. – Na jakiej podstawie? Co pan o nim wie?

–To, co przeczytałem. Przeprowadziłem pewne badania. Wspólnie ze szwagrem, który jest inżynierem elektronikiem, w połowie lat pięćdziesiątych założyli w New Haven małą firmę zajmującą się badaniami i produkcją związaną z lotnictwem. Siedem lub osiem lat później trafili na żyłę złota, a zanim skończyli trzydzieści pięć lat, byli już milionerami. Szwagier zajmował się projektowaniem, Trevayne zaś sprzedawał gotowe produkty. Przechwycili połowę wczesnych zamówień NASA i założyli przedstawicielstwa na całym Wschodnim Wybrzeżu. Trevayne wycofał się w wieku trzydziestu siedmiu lat, by podjąć pracę w Departamencie Stanu. Odwalił tam kawał dobrej roboty.

Webster podniósł szklankę i spojrzał ponad nią na Allena. Najwyraźniej oczekiwał pochwały za zdobycie wyczerpujących informacji. Jednak Allen zlekceważył jego rewelacje.

–Wszystko to gówno warte. Dobre do „Time'a”, ale nie dla nas. Najważniejsze jest to, że Trevayne należy do tych oryginałów, którzy nie chcą współpracować. Wiemy o tym, bo wiele lat temu spróbowaliśmy go podejść.

Webster odstawił szklankę.

–Naprawdę? Nie miałem pojęcia... O Boże! Czy to znaczy, że on wie?

–Niedużo, choć możliwe, że i tak zbyt wiele. Nie jesteśmy pewni. Ale pan wciąż nie dostrzega najważniejszej sprawy, panie Webster. Odnoszę wrażenie, że nie dostrzega jej pan od samego początku. My nie chcemy, żeby Trevayne stanął na czele tej choleralnej podkomisji. Nie chcemy nikogo, kto by był do niego choć trochę podobny. Takie rozwiązanie jest nie do pomyślenia.

–Jak zamierzacie temu przeciwdziałać?

–Zmuszając go do rezygnacji... o ile zostanie zaakceptowany. Przede wszystkim skoncentrujemy się na przesłuchaniu w Senacie. Zrobimy wszystko, żeby jego

kandydatura została odrzucona.

–Powiedzmy, że to wam się uda. Co potem?

–Zgłosimy naszego człowieka. Już dawno trzeba było tak postąpić. – Allen dał znak kelnerowi, wskazując na obie szklanki.

–Panie Allen, dlaczego pan go nie powstrzymał, jeżeli rzeczywiście mógł pan to zrobić? Powiedział pan, że słyszał plotki na jego temat... Wtedy była właściwa pora, żeby wkroczyć do akcji!

Allen unikał spojrzenia Webstera. Wysączył ze szklanki kilka kropli wody z roztopiających się kostek lodu, po czym odezwał się głosem człowieka, który stara się ze wszystkich sił zachować resztki autorytetu, ale wie, że nie za bardzo mu się to udaje.

–Przez Franka Baldwina. Przez niego, a także przez tego stetryczalego sukinsyna Hilla.

–Ambasadora?

–Tak, przez cholernego ambasadora pełnomocnego i nadzwyczajnego, razem z jego przekłętą ambasadą w Białym Domu... Wielki Billy Hill! Baldwin i Hill, dwa truposze, które kryją się za tym gównem. Hill już od dwóch albo trzech lat krążył jak jastrząb wokół zdobyczy. Najpierw wepchnął Baldwina do komisji do spraw obronności kraju, a potem we dwóch poparłi Trevayne'a. Kto odważyłby się przeciwstawić, jeśli podpisał się pod tym sam Franklyn Baldwin?... Mimo to pan powinien był nas zawiadomić, że to ostateczna decyzja. Gdybyśmy mieli pewność, moglibyśmy spróbować podjąć jakieś kroki.

Przez chwilę Webster przyglądał się uważnie Allenowi. Kiedy wreszcie odpowiedział, w jego głosie pojawiła się nieobecna do tej pory twarda nuta.

–A ja uważam, że pan kłamie. Ktoś inny to schrzanił – wy albo któryś z tych tak zwanych specjalistów. Najpierw sądziliście, że dochodzenie się skończy, zanim zdąży się na dobre zacząć, ale okazało się, że nie macie racji... a potem było już za późno. Trevayne pojawił się na powierzchni, wy zaś nie mogliście temu zapobiec. Nawet teraz nie jesteście pewni, czy wam się to uda. Właśnie dlatego chciał się pan ze mną widzieć. Może więc darujmy sobie to chrzaniecie o tym, że się spóźniłem i że nie dostrzegam najważniejszej sprawy, dobrze?

–Proszę uważać, co pan mówi, młody człowieku. Radzę nie zapominać, kogo reprezentuję. – Jednak stwierdzenie to zostało wygłoszone bez odpowiedniego przekonania.

–A panu radzę pamiętać, że rozmawia pan z człowiekiem wyznaczonym osobiście przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Może to się panu nie podobać, ale właśnie dlatego umówił się pan ze mną. A teraz do rzeczy. O co konkretnie chodzi? Czego pan chce?

Allen wypuścił powoli powietrze z płuc, jakby pragnął pozbyć się kipiącego w nim gniewu.

–Niektórzy z nas są nieco bardziej zaniepokojeni od pozostałych...

–Pan znajduje się wśród nich – przerwał mu spokojnie Webster.

–Tak... Trevayne to skomplikowany człowiek. Częściowo samorodny geniusz



przemysłowy, dzięki czemu doskonale daje sobie radę przy stole konferencyjnym, a częściowo sceptyk, co oznacza, że nie akceptuje bez zastrzeżeń wszystkiego, co go otacza.

–Wydaje mi się, że te cechy mogą ze sobą znakomicie współgrać.

–Tylko wtedy, jeśli odznaczający się nimi człowiek dysponuje wystarczającą siłą.

–Przejdźmy do sedna sprawy. Na czym polega siła Trevayne'a?

–Powiedzmy, że nigdy nie potrzebował niczyjej pomocy.

–Powiedzmy raczej, że zawsze odmawiał jej przyjęcia.

–W porządku. To rzeczywiście ważne.

–Wspomniał pan, że próbowaliście do niego dotrzeć?

–Tak. Pracowałem wtedy dla... Nieważne. Było to na początku lat

sześćdziesiątych. Dopiero się organizowaliśmy, mając nadzieję, że okażemy się pomocni naszej... społeczności. Zaproponowaliśmy mu, że będziemy gwarantować jego kontrakty dla NASA.

–Słodki Jezu! A on wam odmówił. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

–Najpierw trochę nas przetrzymał, a potem, kiedy tylko zorientował się, że i tak dostanie te kontrakty, kazał nam wynosić się do wszystkich diabłów. Szczerze mówiąc, posunął się znacznie dalej. Powiedział mi i moim ludziom, żebyśmy odchrzanili się od programu badań kosmosu i od rządowych pieniędzy. Groził, że zwróci się do prokuratora generalnego.

Bobby Webster w zamyśleniu wziął widelec do ręki i zaczął rysować jakieś znaki na obrusie.

–A gdyby było inaczej? To znaczy, gdyby was potrzebował? Sądzi pan, że zgodziłby się przyłączyć do waszej „społeczności”?

–Tego właśnie nie wiemy. Niektórzy sądzą, że tak, ale to nie oni z nim rozmawiali, lecz ja. Byłem pośrednikiem. Miał kontakt wyłącznie ze mną. Nigdy nie posługiwałem się żadnymi nazwiskami ani nie powiedziałem mu, kim są moi wspólnicy.

–Mimo to uważa pan, że sam fakt ich istnienia stanowił dla niego wystarczający powód?

–Na to pytanie nie mam odpowiedzi. Potem groził nam zdemaskowaniem. Był przekonany, że nie potrzebuje nikogo poza sobą samym, swoim szwagrem i tą przekłętą firmą w New Haven. Teraz po prostu nie wolno nam ryzykować. Nie możemy dopuścić, żeby objął przewodnictwo tej podkomisji. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak się wtedy zachowa.

–Czego oczekujecie ode mnie?

–Proszę zrobić wszystko, żeby znaleźć się jak najbliżej niego. Najlepiej gdyby został pan łącznikiem między nim a Białym Domem. Czy to możliwe?

Bobby Webster zastanowił się przez chwilę, po czym odparł bez śladu niepewności w głosie:

–Tak. Prezydent poinformował mnie o projekcie powołania podkomisji. Rozmowa była ściśle poufna – żadnych notatek ani stenogramów. Był przy niej tylko jeden doradca, a więc praktycznie nie będę miał konkurencji. Załatwię to.

–Naturalnie może się okazać, że to nie będzie konieczne. Zostaną przedsięwzięte

**także inne środki zaradcze. Jeśli przyniosą skutek, Trewayne zniknie z horyzontu.**

**–W tym także mogę wam pomóc.**

**–W jaki sposób?**

**–Mario de Spadante.**

**–Nie! Absolutnie nie! Już panu mówiłem, że nie chcemy mieć z nim nic wspólnego.**

**–On już wam pomagał. Częściej, niż wam się wydaje i niż mielibyście ochotę przyznać.**

**–Wykluczone.**

**–Myślę, że nawiązanie niezobowiązującej przyjaźni nikomu by nie zaszkodziło.**

**Jeśli czuje się pan urażony, proszę pomyśleć o Senacie.**

**Zmarszczone czoło Allena wygładziło się i starszy mężczyzna obrzucił prezydenckiego doradcę spojrzeniem, w którym prawie można było doszukać się uznania.**

**–Rozumiem.**

**–Rzecz jasna, to znacznie podniesie moje wynagrodzenie.**

**–Wydawało mi się, że wierzy pan w to, co robi?**

**–Wierzę w to, że zawsze należy być chronionym ze wszystkich stron. A najlepszą ochronę mogą zapewnić pieniądze.**

**–Jest pan odrażającym człowiekiem.**

**–Ale przy okazji bardzo utalentowanym.**

## Rozdział 2

Andrew Trevayne ustawił podwójny kadłub katamaranu rufą do wiatru. Silny prąd niósł go szybko w kierunku brzegu, dodatkowo zwiększając prędkość łodzi. Trevayne położył długie nogi na wsporniku i oparł się mocno na rumplu, bardziej obciążając rufę. Uczynił to bez żadnego powodu; był to pozbawiony znaczenia gest, wynikający raczej z przyzwyczajenia niż konkretnej potrzeby. Woda była ciepła. Zanurzwszy w niej rękę, odniósł wrażenie, jakby ktoś przepychał mu między palcami jakieś letnie, kleiste włókna.

Jego samego zaś popychano nieubłagane w kierunku tajemnicy, na której rozwiązaniu wcale mu nie zależało. Jednak ostateczna decyzja miała należeć wyłącznie do niego i świetnie wiedział, co zrobi.

To właśnie było w tym wszystkim najbardziej irytujące: doskonale rozumiał żywioty pchające go do czynu i nienawidził się za to, że dopuszczał myśl o tym, by im ulec. Przecież pozostawił je daleko za sobą.

Dawno temu.

Kiedy katamaran znalazł się w odległości około stu metrów od wybrzeży stanu Connecticut, wiatr nagle zmienił kierunek, jak to się często dzieje z nim, kiedy nadlatując znad otwartego morza, zderza się z nieruchomym masywem stałego lądu. Trevayne przerzucił nogi do prawego kadłuba i napiął główny żagiel; jednostka skręciła raptownie i pomknęła w kierunku przystani.

Andrew Trevayne był dużym mężczyzną. Może nie potężnym, ale na pewno większym niż znaczna część jego rówieśników, obdarzonym znakomitą koordynacją ruchową świadczącą o tym, że w młodości prowadził znacznie bardziej aktywne życie, niż teraz był gotów się przyznać. Pamiętał, jak zdziwił go artykuł w „Newsweeku”, którego autor ze znaczną przesadą opisywał jego umiejętności futbolisty. Andrew wiedział, że był dobry, ale na pewno nie aż tak dobry. Zawsze towarzyszyło mu odczucie, że wygląda na lepszego, niż jest w istocie, albo że jego wysiłki maskują braki i niedociągnięcia.

Był natomiast pewny tego, że jest dobrym żeglarzem. Może nawet bardziej niż dobrym.

Cała reszta nie miała żadnego znaczenia. Zawsze tak było, z wyjątkiem chwili, kiedy dochodziło do bezpośredniej rywalizacji.

Teraz także czekała go rywalizacja i to bardziej bezlitosna niż kiedykolwiek do tej pory. Oczywiście, o ile podejmie decyzję. Ta rywalizacja nie uznawała żadnych przerw oraz wymagała stosowania taktyki, której nie opisano w żadnym podręczniku. Doskonale znał tę taktykę, ale nie z własnych doświadczeń. Było to dla niego niezmiernie ważne.

Zrozumieć, przygotować się do natychmiastowego działania, nawet pójść na skróty, ale nigdy nie uczestniczyć. Zamiast tego wykorzystać wiedzę do osiągnięcia przewagi. Wykorzystać bez litości, bez przerw na odpoczynek.

Do burty tuż przy rumplu był przytwierdzony notatnik, a obok niego, na długim sznurku, wodoodporny pojemnik z długopisem. Teoretycznie obie te rzeczy miały służyć notowaniu prędkości, kierunków wiatru i podobnych danych, ale praktycznie

Trevayne zapisywał myśli, które nie wiadomo skąd pojawiły się w jego głowie, pomysły i wątpliwości.

A czasem po prostu różności, które podczas żeglugi wydawały mu się znacznie prostsze i bardziej oczywiste.

Teraz, kiedy zerknął do notatnika, ogarnęło go przygnębienie. Napisał jedno słowo. Zupełnie nieświadomie, nie zdając sobie z tego sprawy.

**Boston.**

Wydarł kartkę, zmiął ją ze znacznie większą energią, niż było trzeba, i cisnął do wody.

Niech to szlag trafi, pomyślał. Niech to nagły szlag trafi. Nie!

Katamaran wślizgnął się do przystani. Trevayne wychylił się za burtę i chwycił prawą ręką krawędź pomostu, lewą natomiast pociągnął za fał; żagiel zatrzepotał donośnie, zsuwając się do połowy masztu. Andrew uwiązał łódź, a następnie ściągnął żagiel do końca, owijając go wokół bomu. W ciągu nie więcej niż czterech minut zdemontował rumpel, schował kamizelkę, związał żagiel i zabezpieczył katamaran przed porwaniem przez fale.

Potem skierował wzrok na wylaniający się zza kamiennej ściany tarasu fragment domu zbudowanego ze szkła i drewna. Ten widok wciąż jeszcze go fascynował. Nie chodziło tu o sam fakt posiadania czegoś, gdyż to nie miało już żadnego znaczenia, lecz o to, że wszystko potoczyło się zgodnie z planami jego i Phyl.

Osiągnęli to wspólnie – ten fakt był bardzo ważny. Może nigdy nie uda mu się zrównoważyć innych, znacznie smutniejszych zdarzeń, ale na pewno pomagał o nich zapomnieć.

Trevayne wszedł na kamienną ścieżkę prowadzącą wzdłuż hangaru, a następnie zaczął się wspinać w kierunku tarasu. Oceniając czas, w którym udało mu się dotrzeć do połowy zbocza, mógł łatwo stwierdzić, w jakiej znajduje się formie. Jeśli docierał tam bez tchu w piersi albo na uginających się nogach, przysięgał sobie w duszy mniej jeść lub więcej trenować. Tym razem jednak stwierdził z zadowoleniem, że nie odczuwa żadnych nieprzyjemnych sensacji. Może dlatego, że był zbyt zaprzątnięty myślami, by zwracać uwagę na takie błahostki.

Nie, naprawdę dobrze się czuję, pomyślał. Tydzień spędzony z dala od biura, słone morskie powietrze, przyjemny fizyczny wysiłek na zakończenie lata... Czuł się wręcz znakomicie.

A zaraz potem przypomniał sobie notatnik i napisane nieświadomie, lub podświadomie, słowo – Boston.

Wcale nie czuł się dobrze.

Pokonawszy ostatnie stopnie wiodące na zbudowany z kamiennych płyt taras, ujrzał swoją żonę; leżała na leżaku i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ocean, dostrzegając tam rzeczy, których on nie mógłby zobaczyć. Zawsze kiedy widział ją w takim stanie, doznawał lekkiego bólu – bólu smutnych, przykrych wspomnień.

Wszystko przez ten cholerny Boston.

Uświadomił sobie, że gumowe podeszwy butów zupełnie stłumiły odgłos jego

kroków. Nie chciał przestraszyć żony swoim nagłym pojawieniem.

–Hej – powiedział cicho.

–Och?... – Phyllis zamrugła raptownie. – Jak się udała przejażdżka, kochanie?

–Nieźle. Dobrze spałaś?

Trevayne podszedł do żony i pocałował ją lekko w czoło.

–Wspaniale, dopóki mnie nie obudzono.

–Myślałem, że dzieciaki pojechały z Lillian do miasta.

–To nie były dzieciaki. Ani Lillian.

–Brzmi to co najmniej złowieszczo.

Sięgnął do dużej chłodziarki stojącej na ogrodowym stoliku i wyjął puszkę piwa.

–Wcale nie. Ale na pewno intrygująco.

–Co masz na myśli?

Otworzył puszkę i pociągnął łyk zimnego napoju.

–Dzwonił Franklyn Baldwin... Dlaczego nie odpowiadasz na jego telefony?

Trevayne ponownie zbliżył puszkę do ust i spojrzał na żonę.

–Czy ja przypadkiem nie widziałem tego kostiumu na kimś innym?

–Owszem. Dziękuję za komplement, ale mimo to nadal chciałabym wiedzieć, czemu do niego nie zadzwoniłaś.

–Staram się go unikać.

–Wydawało mi się, że go lubisz.

–Bo lubię. I to niezmiernie. Tym bardziej mam powody, by go unikać. Chce mnie poprosić o coś, czego będę musiał odmówić. W każdym razie wydaje mi się, że mnie poprosi, a ja odmówię.

–Co to ma być?

Trevayne podszedł w zamyśleniu do kamiennego murka ograniczającego taras i postawił puszkę na jego krawędzi.

–Baldwin chce mnie zwerbować. W każdym razie takie krążą plotki. To się chyba nazywa „balonem próbnym”. Kieruje komisją zajmującą się wydatkami na obronę. Chcą utworzyć podkomisję, która zajęłaby się, jak to delikatnie ujęli, „dogłębną analizą finansowych powiązań Pentagonu”.

–Co to znaczy?

–Cztery lub pięć firm, a raczej molochów przemysłowych w taki lub inny sposób przechwyciło ponad siedemdziesiąt procent budżetu obronnego Stanów Zjednoczonych. Nie istnieje już żaden efektywny system kontroli. Nowo tworzona podkomisja ma stanowić komórkę dochodzeniową komisji obrony. Szukają jej przewodniczącego.

–I ty masz nim być?

–Nie chcę nim być. Dobrze mi tu, gdzie jestem. Zajmuję się wyłącznie pozytywnymi działaniami. Gdybym się zgodził, uległoby to natychmiastowej zmianie. Ten, kto obejmie to stanowisko, stanie się narodowym pariasem... nawet jeśli zrobi tylko połowę tego, co do niego należy.

–Dlaczego?

–Dlatego że Pentagon to wielkie bagno. To żadna tajemnica, poczytaj sobie

gazety. Jakiegokolwiek. Nikt nawet nie stara się owijać tego w bawełnę.

–W takim razie, czemu ktoś, kto usiłowałby to naprawić, miałby zostać pariasem?

Wiem, w jaki sposób można stać się wrogiem narodu, ale pariasem?

Trevayne roześmiał się łagodnie, po czym wziął piwo i usiadł na leżaku blisko żony.

–Uwielbiam tę twoją prostotę rodem z Nowej Anglii. Nie wspominając już o kostiumie kąpielowym.

–Zbyt dużo nad tym rozmyślasz, kochanie.

–Wcale nie. Nie jestem zainteresowany.

–Wobec tego odpowiedz na moje pytanie. Dlaczego właśnie narodowy parias?

–Dlatego że bagno jest za głębokie. I zbyt rozległe. Żeby podkomisja osiągnęła choć minimum konkretnych rezultatów, będzie musiała zaatakować wielu ludzi, siejąc strach i niepewność. Kiedy zaczynasz mówić o monopolach, nie mówisz tylko o potężnych magnatach trzęsących giełdami, ale o dziesiątkach, a może nawet setkach tysięcy miejsc pracy. W gruncie rzeczy z tego właśnie składa się każdy monopol, od góry do dołu. Zamieniasz jedną zależność na drugą, lecz przy okazji powodujesz mnóstwo bólu.

–Mój Boże... – szepnęła Phyllis, siadając na leżaku. – Długo nad tym myślałeś, prawda?

–Owszem. Ale nic nie robiłem. – Andrew zerwał się z miejsca i podszedł do stolika, by zdusić papierosa w popielniczce. – Szczerze mówiąc, zdziwiłem się, że sprawy zaszły aż tak daleko. Zwykle bardzo głośno nawołuje się do zastosowania wszelkich możliwych środków – nazwij je, jak tylko chcesz – by potem cichutko wycofać się ze wszystkiego. Tym razem wygląda to inaczej. Zastanawiam się dlaczego.

–Zapytaj Franka Baldwina.

–Wolałbym nie.

–Powinieneś. Jesteś mu to winien, Andy. Jak myślisz, dlaczego wybrał właśnie ciebie?

Trevayne ponownie podszedł do krawędzi tarasu i spojrzał na cieśninę Long Island.

–Bo się do tego nadaję, a Frank dobrze o tym wie. Stykałem się już z chłopcami od zamówień rządowych. Krytykowałem w prasie nadmierne wydatki i nieprawidłowo sformułowane kontrakty. O tym też wie. Kiedyś nawet bardzo się zaangażowałem, ale to było dawno temu... Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nie znoszę tych manipulantów. Doprowadzili do ruiny zbyt wielu porządnych ludzi, a szczególnie jednego. Pamiętasz? – Trevayne odwrócił się i spojrzał na żonę. – Teraz nie mogą mnie tknąć. Nie mam do stracenia nic poza czasem.

–Wydaje mi się, że już podjąłeś decyzję.

Andrew zapalił drugiego papierosa. Oparł się o murek i nie spuszczał wzroku z Phyllis, skrzyżował ramiona na piersi.

–Wiem o tym. Właśnie dlatego unikam Franka Baldwina.

Trevayne przesuwał omlęt na talerzu, w gruncie rzeczy w ogóle nie zwracając na

niego uwagi. Franklyn Baldwin siedział naprzeciwko niego w jadalni przeznaczony dla kierownictwa banku. Stary dżentelmen mówił cicho, ale z ogromnym naciskiem.

–Prędzej czy później ktoś musi to zrobić, Andrew, i ty doskonale o tym wiesz. Nic nie zdoła temu przeszkodzić. Ja chcę tylko, żeby zajął się tym najlepszy człowiek, a moim zdaniem jesteś nim właśnie ty. Nawiasem mówiąc, członkowie komisji byli w tej sprawie jednomyślni.

–Na jakiej podstawie twierdzisz, że to zostanie zrobione? Ja wcale nie jestem taki pewien. Senat bez przerwy debatuje nad problemami ekonomicznymi. To była i zawsze będzie kluczowa sprawa. Przynajmniej dopóty, dopóki budowa nowej autostrady albo produkcja nowego modelu samolotu nie zostaną komuś przydzielone. Wtedy zapada cisza, jakby makiem zasiał.

–Tym razem tak nie będzie, Andrew. Nigdy bym się w to nie zaangażował, gdybym miał jakieś podejrzenia.

–To twoje osobiste zdanie, Frank. Ale mnie się wydaje, że chodzi o coś więcej...

Baldwin zdjął okulary w stalowych oprawkach i położył je obok talerza. Zamrugał kilkakrotnie, po czym z wdziękiem rozmasował grzbiet patrycjuszowskiego nosa.

–Masz rację – przyznał z melancholijnym uśmiechem. – Jesteś bardzo spostrzegawczy... Nazwijmy to spuścizną po dwóch starych ludziach, których życie – a także życie ich rodzin od bardzo wielu pokoleń – służyło jak najlepiej pomyślności tego kraju. Pozwolę sobie nawet stwierdzić, że przyczyniliśmy się do jego rozwoju, lecz nagroda okazała się mniej niż mizerna. Chyba nie potrafię tego lepiej wyrazić.

–Obawiam się, że nie rozumiem.

–Oczywiście, że nie. Zaraz postaram się wyjaśnić ci to. William Hill i ja znamy się od dzieciństwa.

–Ambasador Hill?

–Tak jest. Nie będę zanudzał cię szczegółami naszej znajomości... W każdym razie nie dzisiaj. Wystarczy, jeśli powiem, że nie wydaje mi się możliwe, byśmy mogli utrzymać się na świeczniku jeszcze przez długi czas. Zresztą wcale tego nie pragnę. Zarówno komisja obrony, jak i nowo powstająca podkomisja są naszym pomysłem. Chcemy uczynić wszystko, by zaczęły normalnie działać i przynajmniej tyle jesteśmy w stanie zagwarantować. Co prawda na różne sposoby, obaj jednak dysponujemy odpowiednio dużymi wpływami, by to osiągnąć. Jesteśmy „powszechnie szanowani”, żeby użyć tego okropnego zwrotu.

–Jak myślisz, co uda wam się osiągnąć?

–Prawdę. Całą prawdę, bez względu na jej rozmiary. Ten kraj ma prawo ją poznać, choćby miało to się okazać nie wiadomo jak bolesne. Przed przystąpieniem do leczenia trzeba najpierw postawić diagnozę. Nie można przejmować się tabliczkami z zakazem wstępu ustawionymi przez zarozumiałych zelotów ani pomówieniami i oszczerstwami ciskanymi przez malkontentów. Prawda, Andrew. Mnie i Billowi chodzi tylko o prawdę. To będzie nasza nagroda. Kto wie, czy nie ostatnia.

Trevayne poczuł nagłą potrzebę ruchu. Stary dżentelmen siedzący naprzeciwko niego osiągnął swój cel: ściany zbliżały się coraz bardziej, zawężając pole manewru.

–Dlaczego tej podkomisji ma udać się to, o czym mówisz? Inni już próbowali, ale

nic im z tego nie wyszło.

–Dlatego że dzięki tobie będzie zarówno apolityczna, jak i obiektywna. – Baldwin włożył okulary. Spojrzenie jego powiększonych przez szkła oczu podziało na Trewayne'a z hipnotyczną siłą. – To są najważniejsze czynniki. Nie jesteś republikaninem ani demokratą, liberałem ani konserwatystą. Obie partie próbowały zwabić cię w swoje szeregi, ale ty obu odmówiłeś z jednakowym zdecydowaniem. Stanowisz żywe zaprzeczenie epoki nomenklatury. Nie możesz niczego stracić ani niczego zyskać. Ludzie ci uwierzą i to jest bardzo istotne. W narodzie zaszły głębokie podziały. Trzeba stworzyć nam szansę, byśmy wszyscy znowu mogli uwierzyć w jedną, obiektywną prawdę.

–Jeśli się zgodzę, chłopcy z Pentagonu i wszyscy, którzy z nimi współpracują, albo staną się nagle nieuchwytni, albo będą próbować wciskać tę samą ciemnotę co do tej pory. Kto mi zagwarantuje, że tak nie będzie?

–Prezydent. Osobiście nam to obiecał. To porządny człowiek, Andrew.

–I nie będę nikomu podlegał?

–Nikommu. Tylko samemu sobie.

–Mogę sam dobrać sobie współpracowników? Nie dostanę ludzi z przydziału?

–Przygotuj mi listę. Dopilnuję, żeby wszyscy zostali zaakceptowani.

–Robię to, co uważam za stosowne. Sam określam zakres koniecznej współpracy.

– Nie były to pytania, lecz stwierdzenia, które jednak wymagały odpowiedzi.

–Oczywiście. Mogę ci to nie tylko obiecać, ale nawet zagwarantować.

–Nie chcę tej roboty.

–Lecz mimo to ją weźmiesz. – To także było stwierdzenie, tylko że tym razem padło z ust Franklina Baldwina.

–Mówiłem o tym Phyllis: potrafisz przekonywać. Właśnie dlatego cię unikałem.

–„Nikt nie zdoła uniknąć przeznaczenia. W tej chwili to jest jego przeznaczeniem”. Wiesz, skąd to wzięłem?

–Z jakiejś żydowskiej księgi?

–Nie, ale blisko. Też basen Morza śródziemnego. Marek Aureliusz. Znasz jakichś bankierów, którzy czytali Aureliusza?

–Setki. Myślą, że to jakiś fundusz inwestycyjny.



## Rozdział 3

Steven Trevayne spoglądał na pozbawione wyrazu twarze manekinów ubranych w tweedowe marynarki i flanelowe spodnie w różnych odcieniach szarości. Przyćmione oświetlenie College Shoppe pasowało do image'u dyskretnej elegancji, jaki starali się stworzyć mieszkańcy Greenwich w stanie Connecticut. Steven przeniósł wzrok w dół, na swoje poplamione levisy; przy okazji zauważył, że jeden z guzików przy starej sztruksowej kurtce miał zamiar lada chwila odpaść.

Zerknął ze zniecierpliwieniem na zegarek. Dochodziła już dziewiąta. Obiecał siostrze, że odwiezie ją i jej przyjaciółki z powrotem do Barnegat, ale pod warunkiem, że nastąpi to najpóźniej o ósmej trzydzieści. Umówił się ze swoją dziewczyną na piętnaście po dziewiątej. Wyglądało na to, że się spóźni.

Byłby znacznie bardziej zadowolony, gdyby jego siostra nie postanowiła akurat tego wieczoru wziąć udziału w dziewczęcej prywatce albo przynajmniej gdyby nie obiecała wszystkim przyjaciółkom, że zostaną odwiezione do domów. Siostrze nie wolno było prowadzić samochodu po zapadnięciu zmroku – Steven uważał ten zakaz za szczyt absurdu; przecież miała już siedemnaście lat! – w związku z czym pełnienie zaszczytnej funkcji szofera spadło na jego barki.

Gdyby odmówił, ojciec mógłby oświadczyć, że wszystkie samochody znajdujące się w posiadaniu rodziny Trevayne są akurat zajęte, i wtedy Steven zostałby bez czterech kółek.

Miał prawie dziewiętnaście lat i za trzy tygodnie rozpocznie naukę w college'u. Bez samochodu. Ojciec stwierdził stanowczo, że na pierwszym roku nie ma mowy o samochodzie.

Młody Trevayne roześmiał się cicho. Ojciec miał rację. Nie istniał żaden powód, dla którego powinien mieć samochód. Nie zależało mu na tym, żeby za wszelką cenę podróżować pierwszą klasą; w każdym razie nie w taki sposób.

Właśnie chciał przejść do apteki po drugiej stronie ulicy i zadzwonić do swojej dziewczyny, kiedy przy krawężniku zatrzymał się policyjny radiowóz.

–Steven Trevayne? – zapytał funkcjonariusz, opuściwszy szybę.

–Tak, proszę pana – odparł chłopak. Zaniepokoił go ton głosu policjanta.

–Wsiadaj.

–Ale dlaczego? O co chodzi? Przecież tylko stoję i czekam na...

–Masz siostrę Pamelę?

–Tak. Właśnie na nią czekam.

–No więc nie doczekasz się. Wierz mi na słowo. Wsiadaj.

–Co się stało?

–Posłuchaj, chłopcze: nie możemy złapać waszych rodziców, bo są w Nowym Jorku. Twoja siostra powiedziała nam, że znajdziemy cię tutaj, więc przyjechaliśmy po ciebie. Robimy wam obojgu grzeczność, więc nie dyskutuj, tylko wskakuj!

Steven otworzył tylne drzwi radiowozu i wsunął się do środka.

–Czy miała wypadek? Nic jej nie jest?

–To zawsze musi być wypadek, no nie? – zauważył filozoficznie gliniarz siedzący za kierownicą.

Trevayne zacisnął dłonie na oparciu przedniego fotela. Z każdą chwilą bał się coraz bardziej.

–Proszę mi powiedzieć, co się stało!

–Twoja siostra i jeszcze parę dziewczyn urządziły sobie przyjęcie z prochami – wyjaśnił pierwszy funkcjonariusz. – W domu gościnnym Swansonów. Swansonowie są w Maine, ma się rozumieć... Dostaliśmy wiadomość około godziny temu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że sprawy trochę się skomplikowały.

–Co pan ma na myśli?

–To był właśnie ten wypadek, chłopcze – wtrącił się kierowca. – Grubszy towar. Wypadek polega na tym, że go znaleźliśmy.

Steven Trevayne był oszołomiony wiadomością. Jego siostrze na pewno zdarzało się od czasu do czasu zaciągnąć trawkę – kto tego nie robił? – ale nic więcej. To było całkowicie wykluczone.

–Nie wierzę wam! – stwierdził stanowczo.

–Sam się przekonasz.

Na najbliższym skrzyżowaniu radiowóz skręcił w lewo. Komisariat znajdował się w przeciwnym kierunku.

–Myślałem, że są na posterunku.

–Nie zatrzymaliśmy ich. Na razie.

–Co to znaczy?

–Nie chcemy, żeby ta historia się rozniosła. Jeśli je aresztujemy, sprawa wymknie nam się z rąk. Są w domu Swansonów.

–Rodzice już przyjechali?

–Przecież słyszałeś, że nie udało nam się do nich dotrzeć – odparł kierowca. – Swansonowie pojechali do Maine, a twoi staruszkowie siedzą w Nowym Jorku.

–Powiedzieliście, że były też inne dziewczyny.

–Wszystkie zamiejskowe. Koleżanki z internatu. Wolimy najpierw załatwić to z rodzicami tych, które tu mieszkają. Musimy być ostrożni ze względu na wszystkich. Znaleźliśmy dwie paczki czystej heroiny. Tak na oko są warte co najmniej ćwierć miliona dolarów.

Andrew Trevayne ujął żonę za łokieć i wspólnie wspięli się po niskich betonowych schodkach prowadzących do tylnych drzwi komisariatu w Greenwich. Wcześniej ustalono, że skorzystają właśnie z tego wejścia.

Towarzyskie uprzejmości skrócono do minimum. Po kilku sekundach Trevayne'ów zaprowadzono do gabinetu detektywa Fowlera. Ich syn stał przy oknie; kiedy weszli do pokoju, natychmiast ruszył w ich kierunku.

–Mamo, tato! To jakaś cholerna lipa!

–Uspokój się, Steve – nakazał mu ostro ojciec.

–Czy z Pam wszystko w porządku?

–Tak, mamo. Nic jej nie jest. Wciąż jest w domu Swansonów. Tylko że nic nie rozumie. Żadna z nich nic nie rozumie, a ja wcale im się nie dziwię!

–Powiedziałem ci, żebyś się uspokoił.

–Jestem zupełnie spokojny, tato. Tyle że wściekły. Te dzieciaki nie mają zielonego

pojęcia, co to jest czysta heroina, nie mówiąc już o tym, gdzie i jak ją sprzedać!

–A ty wiesz coś na ten temat? – zapytał obojętnie detektyw Fowler.

–Nie o mnie tu chodzi, gliniarzu!

–Powtarzam ci po raz ostatni, Steve: opanuj się albo zamknij!

–Nie, tato! Przykro mi, ale nie mogę. Te palanty dostały anonimowy telefon, żeby przeszukać dom Swansonów. Nie wiadomo, kto dzwonił ani dlaczego. Potem...

–Chwileczkę, młody człowieku! – przerwał mu Fowler. – Po pierwsze nie jesteśmy palantami, a po drugie radzę ci, żebyś zechciał uważać na to, co mówisz.

–On ma rację, synu – poparł Andrew policjanta. – Jestem pewien, że pan Fowler wyjaśni nam, co się stało. O co chodzi z tym telefonem, panie Fowler? Podczas naszej rozmowy nie wspomniał pan o nim ani słowem.

–Tato, on ci nic nie powie!

–Nie wiem, panie Trevayne. Daję panu słowo honoru. Dziesięć po siódmej dziś wieczorem ktoś zadzwonił z informacją, że u Swansonów pali się trawkę i żebyśmy tam zajrzeli, to znajdziemy coś znacznie bardziej interesującego. Rozmówca był mężczyzną, mówił dość piskliwym głosem. Pańska córka była jedyną, którą wymienił z nazwiska. Pojechaliśmy tam i zastaliśmy cztery dziewczyny. Przyznały się, że wypaliły wspólnie jednego skręta. Nic wielkiego. Dowódca patrolu chciał zostawić je w spokoju, ale jak tylko odebraliśmy jego meldunek, tamten facet zadzwonił jeszcze raz i powiedział, żebyśmy sprawdzili skrzynkę na mleko na frontowej werandzie. Znaleźliśmy tam dwie paczki czystej heroiny o szacunkowej wartości dwustu lub dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. To bardzo poważna sprawa.

–A jednocześnie najbardziej przejryste i bezczelnie fałszywe oskarżenie, o jakim słyszałem. W dodatku całkowicie niewiarygodne. – Trevayne spojrział na zegarek. – Mój adwokat powinien dotrzeć tutaj w ciągu pół godziny. Jestem pewien, że powie panu dokładnie to samo. Zaczekam na niego, ale przypuszczam, że żona chciałaby pojechać do domu Swansonów. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Detektyw westchnął głośno.

–Nie ma sprawy.

–Czy mój syn może ją odwiedzić?

–Jasne.

–Pozwoli pan zabrać ją do domu? – zapytała Phyllis Trevayne. – Nawet wszystkie cztery...

–Cóż, są pewne formalności, które...

–Nieważne, Phyl. Pojedź teraz do Swansonów. Zadzwonimy do ciebie, jak tylko zjawi się tu Walter. O nic się nie martw. Proszę.

–Tato, czy nie powinienem zostać? Mógłbym opowiedzieć Walterowi...

–Chcę, żebyś pojechał z matką. Kluczyki są w samochodzie. Idźcie już. Andrew

Trevayne i detektyw Fowler czekali w milczeniu, aż matka i syn wyjdą z pokoju. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Trevayne wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

Poczęstował oficera policji, który grzecznie odmówił.

–Nie, dziękuję. Ostatnio przerzuciłem się na orzeszki pistacjowe.

–Podziwiam pańską determinację. Czy teraz zechciałby pan mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? Z pewnością pan również nie wierzy w to, że istnieje jakikolwiek związek między tymi dziewczętami a heroiną?

–Dlaczego miałbym tak uważać? Związek wydaje się oczywisty.

–Bo gdyby pan w to wierzył, już by je pan zaaresztował. Właśnie dla tego, że to takie oczywiste. Pan jednak podszedł do sprawy w bardzo niekonwencjonalny sposób.

–Rzeczywiście. – Fowler usiadł za biurkiem. – Ma pan rację: nie wierzę w istnienie związku, ale z drugiej strony nie mogę zignorować namacalnych dowodów. Chyba nie muszę panu mówić, że jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, to ta historia cuchnie na kilometr.

–Co zamierza pan zrobić?

–Może to pana zdziwi, ale liczę na radę pańskiego adwokata.

–Co potwierdza słuszność moich spostrzeżeń.

–Istotnie. Nie wydaje mi się, żebyśmy znajdowali się po przeciwnych stronach, ale moja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Mamy dowody, których nie wolno mi lekceważyć. Z drugiej strony sposób, w jaki weszliśmy w ich posiadanie, budzi poważne wątpliwości. Nie mogę zwalić wszystkiego na te dzieciaki, bo...

–Oskarżyłbym pana o nieuzasadnione aresztowanie. Miałyby pan poważne nieprzyjemności.

–Spokojnie, panie Trevayne. Proszę mnie nie straszyć. Z prawnego punktu widzenia wszystkie dziewczęta, nie wyłączając pańskiej córki, przyznały się do zażywania marihuany, co stanowi wykroczenie, ale tak mało istotne, że na pewno nie podjęlibyśmy żadnych oficjalnych kroków. Jednak ta druga sprawa to zupełnie inna para kaloszy. Greenwich nie życzy sobie rozgłosu, a czysta heroina wartości ćwierć miliona dolarów oznacza cholerny rozgłos. Wolelibyśmy tego uniknąć.

Trevayne czuł, że Fowler mówi szczerze. To rzeczywiście był problem. W dodatku nietrzymający się kupy. Dlaczego komuś miałoby aż tak bardzo zależeć na fałszywym oskarżeniu czterech dziewcząt, że zdecydował się na utratę ogromnej sumy pieniędzy? Musiał to być ktoś o niespotykanej hojności.

Phyllis Trevayne zeszła po schodach i weszła do salonu. Jej mąż stał przed szklaną ścianą, spoglądając na rozciągające się poniżej domu wody cieśniny. Już dawno minęła północ, a sierpniowy księżyc oświetlał fale srebrnym blaskiem.

–Dziewczęta są w pokojach gościnnych. Na pewno nie zmrużą oka, bo porządnie się przestraszyły. Zrobić ci drinka?

–Bardzo proszę. Myślę, że nam obojgu przydałoby się coś mocniejszego. Phyllis podeszła do małego baru po lewej stronie okna.

–Co teraz będzie?

–Walter uzgodnił wszystko z Fowlerem. Fowler ujawni fakt znalezienia paczek

oraz to, że natrafiono na nie dzięki anonimowemu informatorowi. Tego nie da się uniknąć. Jednak nie podaje żadnych nazwisk ani bliższych danych, zasłaniając się dobrem śledztwa. Jeśli go przycisną, powie, że nie ma prawa szargać dobrego imienia niewinnych osób. Od dziewcząt nie dowie się niczego, co mogłoby mu się przydać.

–Rozmawiałeś ze Swansonami?

–Tak. Wpadli w panikę, ale Walter ich uspokoił. Powiedziałem im, że Jean zostanie u nas i przyjedzie do nich jutro albo pojutrze. Pozostałe wyjadą do domu z samego rana.

Phyllis podała mu drinka.

–Czy rozumiesz coś z tego?

–Ani trochę. Nie możemy dojść, o co w tym wszystkim chodzi. Według Fowlera i sierżanta, który odbierał telefon, informator był podstawiony. To oznacza, że krąg podejrzanych rozszerzył się do ładnych paru tysięcy osób. No, może trochę mniej, bo musiał to być ktoś, kto zna dom gościnny Swansonów. Nazwał go właśnie domem gościnnym, a nie opisywał, gdzie stoi ani jak wygląda.

–Ale dlaczego?

–Nie wiem. Może ktoś wziął się na Swansonów? Naprawdę się wziął, decydując się na stratę ćwierć miliona dolarów. Albo...

–Chwileczkę, Andy – przerwała mu Phyllis, po czym powiedziała, starannie dobierając słowa: – Człowiek, który dzwonił, podał nazwisko Pam, nie Jean Swanson.

–Owszem, ale heroinę znaleziono w ich domu, nie w naszym.

–Rozumiem.

–A ja nie – odparł Trevayne, podnosząc szklanekę do ust. – To tylko domysły. Walter prawdopodobnie ma rację. Ktokolwiek to był, został pewnie zaskoczony podczas przeprowadzania transakcji. Kiedy zjawily się dziewczęta, uznał, że zapewnią mu znakomite alibi.

–Nie potrafiłabym myśleć w taki sposób.

–Ja też nie potrafię. Po prostu cytuję Waltera.

Na kolisty podjazd przed domem zajechał jakiś samochód.

–To na pewno Steve – powiedziała Phyllis. – Prosiłam go, żeby nie wracał zbyt późno.

–W związku z czym postąpił dokładnie na odwrót – zauważył Trevayne, zerknąwszy na zegar stojący na obramowaniu kominka. Ale nie będzie żadnych wykładów, obiecuję. Podobało mi się jego zachowanie wczoraj wieczorem. Może powinien wyrażać się nieco bardziej oględnie, ale przynajmniej nie był zastraszony.

–Ja też byłam z niego dumna. Zareagował jak nieodrodny syn swego ojca.

–Nie, po prostu nazwał rzeczy po imieniu. Jak to się mówi, walił prosto z mostu.

Otworzyły się drzwi i do holu wszedł Steven Trevayne. Sprawiał wrażenie czymś mocno poruszonego. Phyllis ruszyła w stronę syna.

–Chwileczkę, mamó... Zanim do mnie podejdziesz, chcę wam coś powiedzieć.

Wyszedłem od Swansonów mniej więcej za kwadrans jedenasta. Gliniarz podrzucił mnie do śródmieścia, do samochodu. Potem podjechałem po Ginny i zabrałem ją do

**Cos Cob Tavern. Dotarliśmy tam około wpół do dwunastej. Wypiłem trzy piwa. Żadnej trawki ani nic mocniejszego.**

**–Dlaczego nam to mówisz? – zapytała Phyllis.**

**Wysoki chłopak zawahał się wyraźnie.**

**–Wyszliśmy jakąś godzinę temu. Przy samochodzie okazało się, że w tym czasie ktoś się nim zajął. Ktoś rozlał na przednich fotelach whisky albo wino, pociął tapicerkę i rozsypał zawartość popielniczek. Pomyśleliśmy, że to jakiś idiotyczny kawał... Odwiozłem Ginny i ruszyłem do domu. Na skrzyżowaniu z autostradą zatrzymał mnie radiowóz. Nie przekroczyłem szybkości, nikt mnie nie ścigał. Po prostu stali na poboczu i zatrzymali mnie. Pomyślałem, że może coś im się zepsuło... Gliniarz poprosił o prawo jazdy i dowód rejestracyjny, ale jak tylko wsadził nos do środka, zaraz kazał mi wysiąść. Próbowałem wyjaśnić, co się stało, ale mi nie uwierzył.**

**–Czy to była policja z Greenwich?**

**–Nie wiem, tato. Chyba nie, bo jeszcze nie wyjechałem z Cos Cob.**

**–Mów dalej.**

**–Przeszukał mnie, a jego kumpel przetrząsnął wóz, jakbym był co najmniej „Francuskim łącznikiem”. Myślałem, że zawiozą mnie na posterunek. Nawet chciałem, żeby to zrobili, bo przecież byłem zupełnie trzeźwy i w ogóle. Ale oni zrobili coś innego. Sfotografowali mnie polaroidem, kiedy stałem w rozkroku oparty rękami o maskę, a później pierwszy gliniarz zapytał, skąd jadę. Gdy mu powiedziałem, wsiadł do radiowozu i połączył się z kimś, a potem wrócił i zapytał, czy dziesięć mil wcześniej nie potrafiłem jakiegoś starszego faceta. Ja mu na to, oczywiście, że nie, a on mówi, że ten facet leży w szpitalu w stanie krytycznym i...**

**–W jakim szpitalu? Jak się nazywa ten człowiek?**

**–Tego nie powiedział.**

**–A ty nie zapytałeś?**

**–Nie, tato. Byłem nieźle wystraszony. Nikogo nie potrafiłem. Nawet nie widziałem, żeby ktoś szedł poboczem. Minęło mnie tylko kilka samochodów.**

**–O mój Boże... – szepnęła Phyllis Trevayne, spoglądając na męża.**

**–Co było potem?**

**–Drugi policjant zrobił jeszcze parę zdjęć samochodu i zbliżenie mojej twarzy. Jeszcze widzę błysk flesza... Jezu, ale się bałem!... A potem, jakby nigdy nic, kazali mi jechać.**

**Chłopak stał bez ruchu, lekko przygarbiony, z wyrazem zdumienia malującym się na twarzy.**

**–Wszystko nam powiedziałaś? – zapytał Trevayne.**

**–Tak, tato – odparł jego syn drżącym głosem.**

**Andy podszedł do telefonu stojącego na stoliku przy kanapie i wziął do ręki słuchawkę. Połączywszy się z centralą, poprosił o numer komisariatu w Cos Cob. Phyllis wreszcie udało się nakłonić syna, by wszedł do salonu.**

**–Nazywam się Trevayne. Andrew Trevayne. Podobno załoga jednego z waszych radiowozów zatrzymała mojego syna... Gdzie to było, Steve?**

–Na Junction Road, w pobliżu skrzyżowania z autostradą. Jakies pół kilometra od stacji kolejowej.

–Junction Road, w pobliżu skrzyżowania i stacji kolejowej... Nie więcej niż pół godziny temu. Mógłby pan sprawdzić w książce meldunków? Tak, zaczekam.

Andrew spojrział na syna siedzącego w fotelu. Phyllis stała tuż obok. Chłopiec oddychał głęboko, starając się opanować nerwowe drżenie. Wpatrywał się w ojca szeroko otwartymi, zdumionymi oczami.

–Tak, tak – powiedział ze zniecierpliwieniem Trevayne. – Junction Road, po stronie Cos Cob... Oczywiście, że jestem pewien. Syn jest tutaj ze mną... Tak... Nie, tego nie wiem. Chwileczkę. – Odsunął słuchawkę i ponownie spojrział na syna. – Czy na radiowozie było napisane, że jest z Cos Cob?

–Ja... To znaczy, właściwie nie spojrzałem. Stałem z tyłu. Nic nie widziałem.

–Nie widział, ale to chyba musiał być ktoś z waszych, prawda? Przecież to wasz teren... Proszę?... Aha, rozumiem. Może mógłby pan to dla mnie sprawdzić?... Chyba tak. Szczerze mówiąc, nie jestem tym zachwycony, ale doskonale pana rozumiem. Dziękuję.

Trevayne odłożył słuchawkę i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

–I co, tato? To oni?

–Nie. Mają dwa radiowozy, ale w ciągu ostatnich dwóch godzin żaden z nich nie kręcił się w pobliżu Junction Road.

–A co to było, czym „nie byłeś zachwycony”, ale co „doskonale rozumiałeś”? – zapytała Phyllis.

–Nie mogą sprawdzić wozów z innych miejscowości, bo musieliby złożyć formalny wniosek, który zostałby odnotowany w kartotece wykroczeń służbowych. Niezbyt im to się uśmiecha. Obowiązuje niepisana umowa, że jeśli jakiś radiowóz zapędzi się poza granice swojego terytorium, wycofuje się go po cichu, bez robienia szumu.

–Ale przecież musisz się dowiedzieć, kto to był! Zrobili Steve'owi zdjęcia. Powiedzieli, że kogoś potrącił!

–Wiem. Dowiem się. Steve, idź na górę wziąć prysznic. Cuchniesz jak bar na Ósmej Alei. I uspokój się. Nie zrobiłeś nic złego.

Trevayne usiadł przy telefonie.

Westport. Darien. Wilton. New Canaan. Southport.

Nic.

–Tato, ja naprawdę tego sobie nie wymyśliłem – powiedział Steven, wchodząc ponownie do salonu. Był już w szlafroku.

–Wierzę ci. Teraz zajmiemy się posterunkami z Nowego Jorku. Port Chester. Rye. Harrison. White Plains. Mamaroneck.

Wciąż miał przed oczami obraz swojego syna stojącego w rozkroku, z rękami opartymi na masce samochodu, przesiąkniętego zapachem alkoholu, przesłuchiwanego na pogrążonej w ciemności szosie przez nieznaną policję w sprawie tajemniczego potrącenia. Zdjęcia, oskarżenia... Bez sensu. Było w tym coś nierealnego. Co najmniej równie nierealnego jak w fakcie zamieszania jego córki i jej trzech przyjaciółek w aferę z czystą heroiną wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy

dolarów.

Szaleństwo.

A jednak wszystko to wydarzyło się naprawdę.

–Dziewczęta wreszcie zasnęły – oznajmiła Phyllis, wchodząc do salonu. Zbliżała się czwarta rano. – Wiesz już coś?

–Nie – odparł Andrew. Odwrócił się do syna siedzącego w fotelu przy zajmującym całą ścianę oknie. Chłopiec wpatrywał się w szybę; strach malujący się jeszcze niedawno na jego twarzy ustąpił miejsca zdumieniu. – Steve, czy ten radiowóz był jakiegoś innego koloru niż czarny? Spróbuj sobie przypomnieć. Może granatowy? Albo zielony?

–Był ciemny, to wszystko. Możliwe, że granatowy lub zielony. W każdym razie na pewno nie biały.

–Miał pas dookoła? Jakieś oznakowania?

–Nie... To znaczy, chyba tak. Nie przyjrzałem się dokładnie. Nie myślałem, że...- Chłopak przerwał i gwałtownym ruchem potarł czoło. – Przysięgam, że nikogo nie potrafiłem!

–Oczywiście, że nie. – Phyllis podeszła szybko do syna i przycisnęła twarz do jego policzka. – Wszyscy wiemy, że to tylko okropne nieporozumienie.

–Albo jakiś paskudny żart... – mruknął w zamyśleniu Andrew Trevayne.

Nagle zadzwonił telefon. Donośny dźwięk podziałał jak smagnięcie biczem, szarpiąc i tak już napięte do granic możliwości nerwy. Trevayne szybko podniósł słuchawkę.

–Halo?... Tak, mieszka tutaj. Jestem jego ojcem.

Steven zerwał się z krzesła i podszedł do kanapy. Phyllis została przy oknie, oczekując z niepokojem na to, co przyniosą najbliższe chwile.

–Mój Boże! Obdzwoniłem już całe Connecticut i Nowy Jork! Chłopiec jest nieletni, a samochód jest zarejestrowany na moje nazwisko. Powinniście byli natychmiast mnie zawiadomić! Mam nadzieję, że zdoła mi pan to wyjaśnić.

Przez kilka minut słuchał, nie przerywając. Kiedy wreszcie się odezwał, powiedział tylko cztery słowa:

–Dziękuję. Czekam na nie.

Następnie odłożył słuchawkę i odwrócił się do żony i syna.

–Wszystko w porządku, Andy?

–Tak... Dzwonili z Highport. To małe osiedle jakieś czterdzieści kilometrów na północ od Cos Cob. Ich radiowóz ścigał samochód, którym uciekali podejrzani o dokonanie włamania. Nie dogonili ich, więc skręcili w Briarcliff Avenue i właśnie wtedy na ich oczach samochód bardzo podobny do twojego potrafił jakiegoś człowieka. Wezwali pogotowie, zawiadomili policję z Cos Cob, po czym ruszyli z powrotem do Highport. Zauważyli cię na Junction Road, więc skręcili w równoległą drogę i zaczęli przy skrzyżowaniu z autostradą... Właściwie mogli cię od razu puścić, bo okazało się, że sprawca wypadku sam zgłosił się na komisariat, ale poczuli alkohol i postanowili napędzić ci trochę stracha. Wyślą nam fotografie.

Okropna noc dobiegła końca.



**Steven Trevayne leżał w łóżku, wpatrując się w sufit. Z radia dobiegały odgłosy jednej z tych ciągnących się bez końca nocnych audycji rozrywkowych, w których wszyscy wrzeszczeli jeden przez drugiego. Chłopiec miał nadzieję, że ściszona do poziomu szeptał kakofonia pomoże mu zasnąć.**

**Lecz sen nie chciał przyjść.**

**Wiedział, że powinien był coś powiedzieć. Postąpił głupio, nic nie mówiąc, ale słowa nie chciały precyzyjnie mu się przez gardło. Tak bardzo pragnął uspokojenia, że kiedy wreszcie nadeszło, nie śmiał uczynić nic, co mogłoby je zakwestionować.**

**Przyczyną wątpliwości były słowa wypowiedziane przez ojca.**

**„Spróbuj sobie przypomnieć. Czy ten radiowóz był jakiegoś innego koloru niż czarny?”**

**Może. Może granatowy lub zielony.**

**Ale na pewno ciemny.**

**O tym właśnie powinien pamiętać, kiedy ojciec wymienił nazwę Highport.**

**Highport rzeczywiście było małą osadą. Nawet bardzo małą, jeśli chodzi o ścisłość. Były tam dwie albo trzy wspaniałe plaże, zupełnie bezludne, stanowiące prywatną własność. W gorące letnie noce Steven często jeździł z kolegami. Zostawiali samochód przy Coast Road, po czym zakradali się na prywatny teren i kąpali w morzu przy świetle księżyca.**

**Musieli jednak zachować ostrożność. Rozglądali się uważnie w poszukiwaniu Kanarka.**

**Tak właśnie go nazywali. Kanarek.**

**Jedyny radiowóz posterunku w Highport.**

**Był pomalowany na jaskrawożółty kolor.**

## Rozdział 4

Andrew Trevayne wszedł na pokład boeinga 707, by odbyć trwającą godzinę podróż z lotniska im. Johna F. Kennedy'ego w Nowym Jorku do Waszyngtonu.

Rozpiął pas bezpieczeństwa natychmiast, jak tylko samolot zakończył wznoszenie i zgasły ostrzegawcze napisy. Była trzecia piętnaście, co oznaczało, że spóźni się na spotkanie z doradcą prezydenta, Robertem Websterem. Zostawił w swoim biurze w Danforth polecenie, by zadzwoniono do Białego Domu, poinformowano Webstera, że jego rozmówca nie zdąży na umówioną godzinę i poproszono, by w razie zmiany miejsca spotkania pozostawił dla Trevayne'a wiadomość na lotnisku Dullesa. Dla Andrew i tak nie miało to większego znaczenia, gdyż już pogodził się z faktem, że będzie musiał zostać na noc.

Przyjął koktajl z rąk ślicznej młodej stewardesy – wódkę z martini – pociągnął spory łyk, a następnie postawił szklankę na małym rozkładanym stoliczku i rozpostarł płachtę kupioną w pośpiechu gazety.

W pewnej chwili uświadomił sobie, że pasażer siedzący obok niego przygląda mu się badawczo. Trevayne spojrzał na sąsiada i natychmiast doszedł do wniosku, że skądś zna tego mężczyznę. Był potężnie zbudowany, o ogromnej głowie i mocnej opaleniznie, którą chyba w znacznie większym stopniu zawdzięczał swemu pochodzeniu niż działaniu słońca. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat i miał grube okulary w rogowej oprawie. Odezwał się jako pierwszy.

–Pan Trevayne, prawda? – Głos był miękki, lecz głęboki, balansujący na granicy chrapliwości. Mimo to pasowało do niego określenie „łagodny”.

–Owszem. Wiem, że już się spotkaliśmy, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska...

–De Spadante. Mario de Spadante.

–Naturalnie.

Wspomnienia natychmiast znalazły się tam, gdzie powinny być przez cały czas. Mario de Spadante pojawił się jeszcze w czasach New Haven, pod koniec tego okresu, mniej więcej dziewięć lat temu. Reprezentował wówczas pewną firmę budowlaną, która chciała wziąć udział we wznoszeniu budynków finansowanych przez Trevayne'a i jego szwagra. Trevayne odrzucił wówczas ich ofertę, gdyż poszukiwał wykonawców z większym doświadczeniem. Jednak od tamtej pory, o ile wierzyć gazetom, Mario de Spadante przeszedł kawał drogi. Zyskał reputację jednej z najważniejszych osobistości podziemnego świata. Nazywano go czasem „Mario Szpadel”, czyniąc aluzję do jego silnego wyglądu oraz do faktu, że pochował większość swych przeciwników. Nigdy jednak nie stanął przed sądem.

–To było chyba jakieś dziewięć albo dziesięć lat temu, zgadza się? – zapytał de Spadante, uśmiechając się uprzejmie. – Pamięta pan? Odrzucił pan wtedy moją ofertę. I miał pan całkowitą rację, panie Trevayne. Nasza firma nie miała wystarczającego doświadczenia. Tak jest, miał pan rację.

–Zawsze najlepiej zdać się na przeczucie. Cieszę się, że nie żywi pan do mnie urazy.

–Oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc, nigdy nie miałem do pana pretensji. – De

Spadante mrugnął do Trevayne'a i roześmiał się cicho. – To nie była moja firma, tylko kuzyna. Wściekłem się nie na pana, tylko na niego. Wszystko za niego robiłem. Ale, prędzej czy później, rachunki zawsze się wyrównują. Nauczyłem się fachu, jego fachu, lepiej niż on sam. Teraz firma należy do mnie... Przepraszam, przerwałem panu lekturę. Ja też mam sporo do przejrzenia – wie pan, te rozbudowane, długie na pół strony akapity z liczbami, o jakich nigdy nie uczyłem się w szkole średniej. Gdybym utknął na jakimś słowie, poproszę pana o przetłumaczenie. W ten sposób zrewanżuje mi się pan za to, że nie dał mi zarobić dziesięć lat temu. Zgoda?

Trevayne roześmiał się, wziął ze stolika szklankę z drinkiem i uniósł ją lekko w stronę de Spadantego.

–Przynajmniej w ten sposób odpokutuję za dawne grzechy.

Tak też się stało. Mniej więcej kwadrans przed lądowaniem Mario de Spadante poprosił go o wyjaśnienie szczególnie skomplikowanego ustępu. Składnia była tak zawiła, że Trevayne przeczytał fragment kilka razy, zanim poradził sąsiadowi, by kazał go uprościć i dopiero wtedy przedstawić sobie do zaakceptowania.

–Szczerze mówiąc, rozumiem z tego, że oczekują od pana, by w pierwszej kolejności przedstawiał pan rachunki za duże fragmenty budowy, a dopiero potem za drobne elementy.

–I co w tym nowego? Przecież jest ustalona cena za metr kwadratowy, a w niej jest też mój zarobek.

–Domyślam się, że jest pan podwykonawcą?

–Tak.

–Wynika z tego, że generalny wykonawca chce, by wykonywał pan każdą robotę etapami. W każdym razie tak mi się wydaje.

–Czyli ja mu postawię połowę drzwi albo samą futrynę, a on dokupi resztę u kogoś innego?

–Mogę się mylić. Lepiej, żeby kazał pan to wyjaśnić.

–Szkoda fatygi. Po prostu policzę mu podwójnie. Nikt nie lubi odwalać za kogoś innego połowy roboty. Właśnie wyrównał pan rachunki sprzed dziesięciu lat. Postawię panu drinka.

De Spadante zabrał dokumenty ze stolika Trevayne'a i wezwał stewardesę. Włożywszy papiery do dużej szarej koperty, zamówił dwa drinki.

Kiedy Trevayne zapalił papierosa, poczuł, że samolot zaczyna powoli tracić wysokość. De Spadante spoglądał w okno. Andrew dostrzegł nagłówek na szarej kopercie, którą przedsiębiorca trzymał na kolanach:

„Wojskowy Korpus Inżynierski”

Trevayne uśmiechnął się pod nosem. Nic dziwnego, że styl dokumentu był taki pogmatwany. Jeśli chodziło o interesy, to w całym Waszyngtonie trudno było znaleźć bardziej irytujących ludzi niż inżynierowie zatrudnieni w Pentagonie.

Kto jak kto, ale on powinien o tym wiedzieć.

Wiadomość, jaka czekała na niego na lotnisku, składała się z nazwiska Roberta Webstera i waszyngtońskiego numeru telefonu. Trevayne natychmiast z niego skorzystał; ze zdziwieniem stwierdził, iż jest to prywatny numer Webstera w Białym

Domu. Było zaledwie kilka minut po wpół do piątej, więc bez problemu mógłby zostać połączony przez centralę. Za jego waszyngtońskich czasów doradcy prezydenta nigdy nie zdradzali swych prywatnych numerów.

–Nie wiedziałem, o której pan przyleci – wyjaśnił Webster. Opóźnienia bywają nieraz wręcz przeraźliwe.

Trevayne nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Był to drobiazg, właściwie niewart uwagi, lecz mimo to nie dawał mu spokoju. Godzina jego przylotu nie miała najmniejszego znaczenia; centrala w Białym Domu pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Webster zaproponował rozmowę po obiedzie w barze hotelu, w którym miał się zatrzymać Trevayne.

–Dzięki temu zdążymy omówić kilka spraw przed jutrzejszym spotkaniem. Prezydent chciałby zamienić z panem kilka słów między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści rano. Za jakąś godzinę powinienem dostać jego rozkład dnia.

Trevayne wyszedł z budki telefonicznej i skierował się do głównego wyjścia z budynku dworca lotniczego. Zabrał ze sobą tylko jedną zapasową koszulę, slipy i skarpetki; będzie musiał zaufać hotelowej pralni i prasowni, jeśli miał zamiar wziąć jutro udział w audiencji w Białym Domu. Ciekawe, dlaczego prezydent pragnął się z nim zobaczyć? Wydawało się to nieco przedwczesne, zważywszy na fakt, że jego kandydatura nie została jeszcze formalnie zaakceptowana. Możliwe, że prezydent chciał w ten sposób potwierdzić zapewnienie Baldwina, że pomysł utworzenia nowej podkomisji cieszy się osobistym poparciem głowy państwa.

Jeśli tak, to był to bardzo szlachetny i znaczący gest.

–Halo, panie Trevayne! – zawołał stojący przy krawężniku Mario de Spadante. – Może, podrzucić pana do miasta?

–Nie chciałbym sprawiać panu kłopotu. Wezmę taksówkę.

–To żaden kłopot. Samochód już czeka.

Spadante wskazał długiego granatowego cadillaca zaparkowanego kilka metrów dalej.

–W takim razie chętnie skorzystam. Dziękuję.

Kierowca otworzył tylne drzwi i obaj mężczyźni wsiedli do samochodu.

–Gdzie pan się zatrzymał?

–W Hiltonie.

–Dobry wybór. Ja mieszkam przy tej samej ulicy, w Sheratonie.

Trevayne spostrzegł, że cadillac był wyposażony w telefon, miniaturowy bar, telewizor oraz stereofoniczny magnetofon. Rzeczywiście wyglądało na to, że od czasów New Haven Mario de Spadante przebył bardzo długą drogę.

–Niezły wóz.

–Wystarczy nacisnąć guzik, a ze schowka wyskakują dziewczynki i fikają nóżkami. Mówiąc serio, jak na mój gust jest odrobinę zbyt okazały. Na szczęście nie należy do mnie, tylko do kuzyna.

–Ma pan wielu kuzynów.

–Cóż, duża rodzina... Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem po prostu

budowlańcem z New Haven, któremu powiodło się w życiu. – Spadante parsknął swym głębokim, zaraźliwym śmiechem. – Rodzina! Boże, jak pomyślę, co wymyślają na mój temat ci dziennikarze... Powinni pisać scenariusze do filmów. Oczywiście nie twierdzę, że mafia nie istnieje. Nie jestem taki głupi. Ale nie rozpoznałbym mafiosa nawet wtedy, gdybym się o niego prze wrócił.

–Gazety muszą walczyć o czytelników. – Była to jedyna odpowiedź, jaka przyszła Trevayne'owi do głowy.

–Jasne. Wie pan, mam młodszego brata, mniej więcej w pańskim wieku. Nawet on w to uwierzył! Przychodzi do mnie i pyta: „Mario, czy to prawda?” „Czy co prawda?” – ja mu na to. „Przecież mnie znasz, Augie. Znasz mnie od czterdziestu dwóch lat. Uważasz, że tak łatwo doszedłem do tego wszystkiego? Że nie haruję po dziesięć godzin dziennie, nie ślęczę nad kosztorysami, nie użeram się ze związkami zawodowymi, nie stoję na głowie, żeby ludzie dostali terminowo wypłatę?” Ba, gdyby było tak, jak mówią, podniósłbym słuchawkę i przez telefon rozsmarowałbym ich wszystkich jak ciepłe masło. A tak to podwijam ogon pod swój świński tyłek, idę do banku i żebrzę o kredyt.

–Ale wygląda na to, że jakoś daje pan sobie radę.

Mario de Spadante roześmiał się ponownie i z niewinną miną mrugnął porozumiewawczo do Trevayne'a tak samo, jak wcześniej w samolocie.

–Zgadza się, panie Trevayne. Daję sobie radę. Nie jest łatwo, ale dzięki pomocy boskiej i ciężkiej pracy mogę związać koniec z końcem... Załatwia pan w Waszyngtonie sprawy fundacji?

–Nie, przyleciałem w innej sprawie. Mam się spotkać z paroma ludźmi.

–To cały Waszyngton. Największe miejsce spotkań na całej zachodniej półkuli. Wie pan co? Zawsze kiedy ktoś mówi, że „ma się spotkać z paroma ludźmi”, to znaczy, że nie należy go pytać, co to za ludzie,

Andrew Trevayne tylko się uśmiechnął.

–W dalszym ciągu mieszka pan w Connecticut?

–Tak. W pobliżu Greenwich.

–Ładne tereny. Buduję tam parę rezydencji. Nad samą cieśniną.

–Ja też tam mieszkam. Na południowym brzegu.

–Może się kiedyś spotkamy. Kto wie, może namówię pana, żeby dobudował pan drugie skrzydło?

–Kto wie.

Trevayne wszedł do baru przez zwieńczone łukiem drzwi i obrzucił spojrzeniem ludzi siedzących na wygodnych niskich fotelach i rozłożystych kanapach. Natychmiast podszedł do niego ubrany w smoking główny kelner.

–Czym mogę panu służyć?

–Umówiłem się z panem Websterem. Czy zarezerwował stolik?

–Ach, tak. Pan zapewne nazywa się Trevayne?

–Owszem.

–Pan Webster dzwonił niedawno. Prosił, żeby przekazać panu wiadomość, że spóźni się kilka minut. Wskażę panu stolik.

–Dziękuję.

Kelner zaprowadził Trevayne'a do odległego, opustoszałego końca sali. Miejsce to wyglądało tak, jakby od reszty pomieszczenia odgradzała je niewidzialna bariera. Widocznie Webster zażądał stworzenia takich warunków – dzięki swojej pozycji miał pewność, że jego życzenie zostanie spełnione. Trevayne zamówił drinka, a następnie pozwolił swoim myślom wrócić do czasów, kiedy pracował dla Departamentu Stanu.

Były to czasy podniecające i stawiające ambitne wyzwania, niemal równie ciekawe jak początkowy okres tworzenia firmy. Przede wszystkim dlatego, że bardzo niewiele ludzi wierzyło, iż uda mu się sprostać zadaniu, jakie przed nim postawiono. Polegało ono na koordynowaniu umów handlowych z dalekowschodnimi sojusznikami USA tak, aby każdy z tych krajów otrzymał najlepsze warunki, jakie były możliwe do wynegocjowania, a jednocześnie, by nie doprowadzić do zachwiania kruchej równowagi politycznej w tym rejonie. Nie było to wcale trudne. Pamiętał, że już podczas pierwszej konferencji rozbroił obie strony sugerując, by Departament Stanu oraz jego komunistyczny odpowiednik zorganizowali spotkanie z prasą, na którym będą obrzucać się oskarżeniami i kategorycznie zaprzeczać wszelkim oświadczeniom partnera, podczas gdy w pokoju obok biznesmeni zajmą się spokojnie ustalaniem warunków porozumienia.

Żart wywołał zamierzony skutek; wybuch wesołości był najzupełniej szczery, a rozmowy zostały zapoczątkowane w dobrej atmosferze. Później, kiedy negocjacje nabierały niebezpiecznej temperatury, zawsze znalazł się ktoś, kto z przymrużeniem oka zarzucał przeciwnikowi, że bardziej pasuje do „pokoju obok” – tego ze specjalistami od propagandy.

Trevayne mile wspominał dni spędzone w Waszyngtonie. Wypełniało je zadowolenie wywołane świadomością, że obraca się w środowisku zbliżonym do najwyższych kręgów władzy oraz że z jego opiniami liczą się ludzie zajmujący najbardziej odpowiedzialne stanowiska, bez względu na ich indywidualne polityczne zapatrywania.

–Pan Trevayne?

–Pan Webster?

Trevayne podniósł się z fotela i uścisnął dłoń asystentowi prezydenta. Przekonał się, że Webster jest człowiekiem mniej więcej w jego wieku, może o rok lub dwa młodszym, o ujmującej powierzchowności.

–Ogromnie przepraszam za spóźnienie, ale wynikły problemy z ustaleniem rozkładu dnia na jutro. Prezydent kazał nam zamknąć się we czterech w pokoju i nie wychodzić tak długo, jak długo wszystkiego nie uporządkujemy.

–Domyślam się, że udało wam się to osiągnąć – zauważył Trevayne, siadając przy stoliku. Webster uczynił to samo.

–Nie mam pojęcia – przyznał asystent prezydenta i skinął na kelnera. – Wepchnąłem pana na jedenastą piętnaście, a tamci niech się martwią, co zrobić z popołudniem. – Złożywszy zamówienie, rozparł się w fotelu z głośnym westchnieniem ulgi. – Co tu robi taki prosty chłopak z Ohio jak ja?

–Powiedziałbym, że to ogromny przeskok.

–Zgadza się. Podejrzewam, że po prostu pomyliły im się nazwiska. Moja żona twierdzi, że jakiś facet nazwiskiem Webster po dziś dzień pęta się po ulicach Akron i zastanawia, po co wywalił tyle forsy na kampanię wyborczą ludzi, którzy zaraz potem zupełnie o nim zapomnieli.

–To całkiem możliwe – zgodził się żartobliwie Trevayne, wiedząc doskonale, że awansowanie Webstera na tak wysokie stanowisko nie miało nic wspólnego z przypadkiem. Jako młody polityk piął się błyskawicznie po szczeblach kariery w Kongresie Stanowym w Ohio, aby wreszcie zasiąść za biurkiem gubernatora. Baldwin powiedział Trevayne'owi, że Webster jest człowiekiem, którego lepiej mieć na oku.

–Miał pan dobrą podróż?

–Tak, dziękuję. Podejrzewam, że znacznie spokojniejszą od pańskiego popołudnia.

–Jestem tego pewien. – Kelner przyniósł Websterowi drinka. Obaj mężczyźni umilkli, czekając na jego odejście. – Rozmawiał pan z kimś oprócz Baldwina?

–Nie. Frank dał mi do zrozumienia, bym tego nie robił.

–Ludzie z fundacji o niczym nie wiedzą?

–Nie widziałem powodu, żeby im cokolwiek mówić. Przecież sprawa nie jest jeszcze definitywnie załatwiona.

–Jeśli o mnie chodzi, to już jest. Prezydent nie posiada się z zadowolenia. Sam to panu powie.

–Czeka mnie przesłuchanie w Senacie. Oni mogą mieć na ten temat inne zdanie.

–Niby dlaczego? Stanowi pan znakomity materiał. Jedyne, do czego mogą się przyczepić, to pochlebne opinie, jakie pojawiają się na pana temat w sowieckiej prasie.

–Że co, proszę?

–TASS bardzo pana lubi.

–Nie miałem o tym pojęcia.

–Ale to nie ma żadnego znaczenia. Lubili też Henry'ego Forda. Poza tym pracował pan już dla Departamentu Stanu.

–Nie mam zamiaru bronić się przed czymś takim.

–Już powiedziałem, że to bez znaczenia.

–Mam nadzieję... Ale jest coś jeszcze, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Muszę mieć gwarancje co do pewnych, nazwijmy je, warunków. Sprawa musi być zupełnie jasna.

–Co pan ma na myśli?

–Właściwie tylko dwie rzeczy. Wspomniałem już o nich Baldwinowi. Współpraca i nieingerencja. Obie są dla mnie jednakowo ważne. Bez nich niczego nie osiągnę. Nie jestem pewien, czy uda mi się nawet z nimi, ale bez nich to po prostu niemożliwe.

–Nie będzie pan miał żadnych problemów. Na pana miejscu każdy postawiłby taki sam warunek.

–Łatwo go postawić, trudniej wyegzekwować. Proszę nie zapominać, że już kiedyś pracowałem w tym mieście.

–Nie rozumiem pana. W jaki sposób ktoś mógłby panu przeszkadzać?

–Zacznijmy od słowa „poufne”. Potem zajmijmy się słowem „zastrzeżone”. W następnej kolejności idą „tajne” i „ściśle tajne”.

–Do licha, ma pan dostęp do wszystkiego, czego pan zechce!

–Wolałbym dostać to na piśmie. Będę się przy tym upierał.

–W takim razie proszę tego zażądać, a na pewno pan to otrzyma. Zakładając, że nie dokonał pan największego fałszerstwa w historii, pańskie dossier budzi wyłącznie podziw i szacunek. Gdyby pan zechciał, na pewno pozwoliliby panu nosić za prezydentem walizeczkę z kodami atomowymi.

–Piękne dzięki. Wcale mi na tym nie zależy.

–I bardzo dobrze... A teraz chciałbym opowiedzieć panu o jutrzejszym dniu.

Robert Webster przedstawił zasady obowiązujące podczas audiencji w Białym Domu, Trewayne zaś zdziwił się, jak niewielkie zmiany zaszły od chwili, kiedy był tam po raz ostatni. Przyjazd na pół godziny do czterdziestu pięciu minut przed spotkaniem w Owalnym Gabinetecie; wyznaczone konkretne wejście; przepustka dostarczona przez Webstera; żadnych metalowych przedmiotów większych niż breloczek do kluczy; rozmowa nie może trwać dłużej niż planowano, może natomiast zostać skrócona, na przykład jeśli prezydent powie wszystko, co miał do powiedzenia, albo usłyszy wszystko, co chciał usłyszeć. Należy oszczędzać czas zawsze, kiedy nadarza się ku temu okazja.

Trewayne kiwał głową ze zrozumieniem i aprobatą.

Kiedy nie pozostały już żadne wątpliwości, Webster zamówił jeszcze jednego drinka.

–Obiecałem panu przez telefon kilka wyjaśnień. Jestem mile zaskoczony, że pan ich nie żąda.

–To nie są najważniejsze sprawy. Mam nadzieję, że tę najbardziej istotną wyjaśni mi jutro sam prezydent.

–Chodzi o to, dlaczego postanowił spotkać się z panem?

–Tak.

–Wszystko jest ze sobą ściśle powiązane. Właśnie z tego powodu dałem panu swój prywatny numer, a także poczynię odpowiednie kroki, by mógł się pan skontaktować ze mną o każdej porze dnia i nocy, niezależnie od tego, czy będę przebywał w kraju, czy poza jego granicami.

–Czy to potrzebne?

–Nie jestem pewien, ale prezydent życzy sobie, żeby tak było. Nie mam zamiaru się z nim sprzeczać.

–Ani ja.

–Prezydent przede wszystkim chce okazać swoje poparcie zarówno panu osobiście, jak i podkomisji, którą ma pan kierować. To podstawowa sprawa. Istnieje jednak jeszcze jeden aspekt, który pozwolę sobie przedstawić własnymi słowami. Jeśli popełnię błąd, to będzie mój błąd, nie jego.

Trewayne obrzucił Webstera uważnym spojrzeniem.

–Ale przecież konsultował pan z nim to, co chciał mi pan powiedzieć, więc różnica



nie powinna być zbyt istotna...

–Oczywiście. Proszę nie robić takiej zmartwionej miny. Robimy to dla pana dobra... Prezydent brał udział w wielu politycznych starciach. To stary, szczywany lis. Dokładnie wie, na jakich zasadach działa maszyna Departamentu Stanu, Izby Reprezentantów i Senatu. Wie, gdzie się znajdują ośrodki decyzyjne i czemu będzie pan musiał stawić czoło. Zdobył sobie wielu przyjaciół i co najmniej tyle samo wrogów. Ma się rozumieć, urząd, który teraz sprawuje, odsuwa go poza teren bitwy, ale jednocześnie daje mu możliwość oglądania przebiegu walki z większej perspektywy i korzystania z różnych instrumentów nacisku. Chce, by pan wiedział, że wszystko to jest do pańskiej dyspozycji.

–Jestem bardzo zobowiązany.

–Ale jest jeden haczyk. Nigdy nie może pan zwracać się bezpośrednio do niego. Ja stanowiąc jedyny pomost, jaki pana z nim łączy.

–Nawet przez myśl by mi nie przeszło starać się pana ominąć.

–Zapewne nigdy też nie przeszło panu przez myśl, że może pan korzystać z nieograniczonego poparcia głowy państwa i to wtedy, kiedy będzie pan tego najbardziej potrzebował.

–Zgadza się. Doceniam to tym bardziej, że wiem, co to są struktury władzy.

–Ale nigdy, nigdy nie wolno panu powoływać się na niego. – Webster powiedział to tonem niepozostawiającym ani cienia wątpliwości co do tego, że mówi zupełnie serio.

–Rozumiem.

–To dobrze. Jeśli jutro poruszy tę sprawę, może mu pan powiedzieć, że już wszystko omówiliśmy. Nawet jeżeli tego nie zrobi, może pan sam powiedzieć, że wie o jego propozycji i jest za nią wdzięczny, czy jak tam chce pan to ująć. – Webster dokończył drinka i wstał z fotela. – Niesamowite! Nie ma jeszcze wpół do jedenastej. Wygląda na to, że dotrę do domu przed jedenastą. Moja żona nie uwierzy własnym oczom. Do zobaczenia jutro.

Wyciągnął rękę.

–Znakomicie. Dobrej nocy.

Trevayne obserwował, jak Webster idzie szybkim krokiem do zwieńczonych łukiem drzwi, lawirując zręcznie między fotelami. Asystent prezydenta kipiał tą samą energią, której kiedyś on sam potrzebował, a którą czerpał z wykonywanej pracy. Nazywało się to syndromem aktywności. W tym mieście było to jak najbardziej na miejscu, wszędzie indziej zaś przybierało lekko odmienne formy. Ślady tego zjawiska można było odnaleźć w sztuce i reklamie, lecz tam każdemu sukcesowi towarzyszył cień czającego się gdzieś blisko strachu. W Waszyngtonie sprawy miały się zupełnie inaczej. Tutaj albo się człowiek liczył, albo nie. Jeśli tak, to miał otwartą drogę na wierzchołek. Jeżeli znalazł się w Białym Domu, był na samym szczycie.

Trevayne już dawno doszedł do wniosku, że wyborcy w zamian za swoje pieniądze otrzymywali nieproporcjonalnie wielkie talenty. Właśnie dzięki syndromowi aktywności.

Zerknął na zegarek; za wcześnie, by położyć się spać, a nie miał ochoty na

lekturę. Postanowił pójść do pokoju, zadzwonić do Phyllis, a potem przejrzeć gazetę. Może w telewizji będzie jakiś film.

Zostawił na stoliku czek i wyszedł z baru, sprawdziwszy uprzednio, czy ma w kieszeni klucz do pokoju. W holu skręcił w lewo, w kierunku wind. Mijając kiosk z gazetami, zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn w eleganckich, odprasowanych garniturach, przyglądających mu się zza stojaka. Obaj ruszyli w jego stronę, ale zbliżyli się dopiero wtedy, kiedy zatrzymał się przed windą.

Pokazali mu legitymacje w czarnych okładkach.

–Pan Trevayne? – zapytał ten z prawej strony.

–Tak. Słucham?

–Secret Service, sekcja Białego Domu – powiedział cicho agent. – Czy możemy zamienić z panem kilka słów na osobności? – Wskazał spokojny zakątek holu kilka metrów obok wind.

–Oczywiście.

Drugi mężczyzna podniósł legitymację tak, że znalazła się na wysokości oczu Trevayne'a.

–Zechce pan sprawdzić, panie Trevayne? Muszę wyjść na zewnątrz.

Trevayne porównał zdjęcie z twarzą mężczyzny. Legitymacja była prawdziwa, więc skinął głową. Agent natychmiast odwrócił się i wyszedł z hotelu.

–O co chodzi?

–Zaczekamy na powrót mojego kolegi. Sprawdzi, czy wszystko w porządku. Zapali pan?

–Nie, dziękuję. Wolałbym się dowiedzieć, czego ode mnie chcecie.

–Prezydent zaprasza pana na spotkanie dziś wieczorem.

## Rozdział 5

Brązowy samochód Secret Service stał przy bocznym wejściu do hotelu. Dwaj agenci szybko zeszli z Trevayne'em po schodkach, podczas gdy kierowca otworzył tylne drzwi. Po chwili samochód ruszył szybko, by na najbliższym skrzyżowaniu skręcić na południe, w Nebraska Avenue.

–Nie jedziemy do Białego Domu, panie Trevayne. Prezydent jest teraz w Georgetown. Dla nas to dużo wygodniej.

Po kilku minutach samochód wjechał w wąskie uliczki reprezentacyjnej dzielnicy Waszyngtonu. Wyjrząwszy przez okno, Trevayne stwierdził, że zmierzają w kierunku skupiska potężnych czteropiętrowych kamienic, przebudowanych i zmodernizowanych pozostałości wspaniałej epoki. Podróż dobiegła kresu przed wyjątkowo szerokim frontonem domu z piaskowca o wielu oknach, przed którym rosły drzewa o koronach przyciętych w kształcie geometrycznych brył. Agent siedzący od strony chodnika wysiadł pierwszy i dał znak głową, żeby Trevayne uczynił to samo. Przed drzwiami stali dwaj cywile; rozpoznawszy kolegę, skinęli głowami i wyjęli ręce z kieszeni marynarek.

Mężczyzna, który jako pierwszy zagadnął Trevayne'a w hotelu, poprowadził go przez obszerny hol do niewielkiej windy usytuowanej na końcu korytarza. Kiedy weszli do środka, agent zasunął metalową kratę i nacisnął guzik z cyfrą cztery.

–Ciasnawo tutaj – zauważył Trevayne.

–Ambasador mówi, że jego wnuki bawią się tu godzinami, kiedy przychodzą z wizytą. Podejrzewam, że kiedyś to rzeczywiście była winda dla dzieci.

–Ambasador?

–Ambasador Hill. William Hill. To jego dom.

Trevayne przywołał w myślach obraz tego człowieka. William Hill liczył sobie już ponad siedemdziesiąt lat. Zamożny przemysłowiec ze Wschodniego Wybrzeża, przyjaciel kolejnych prezydentów, podróżujący dyplomata, bohater wojenny. Wielki Billy Hill, tak brzmiało lekceważące przezwisko nadane przez „Time'a” temu kulturalnemu, nigdy niepodnoszącemu głosu dżentelmenowi.

Winda zatrzymała się i dwaj mężczyźni wyszli na zewnątrz. Po pokonaniu długiego korytarza stanęli przed drzwiami strzeżonymi przez kolejnego cywila, który wyjął z kieszeni jakiś przedmiot, niewiele większy od pudełka papierosów i wykonał nim kilka ruchów wokół Trevayne'a.

–Coś jakby błogosławieństwo, prawda? – mruknął towarzyszący mu agent. – Może pan uważać, że je otrzymał.

–Co to jest?

–Skaner. Proszę się nie obrażać, to rutynowa kontrola. Chodźmy.

Mężczyzna ze skanerem otworzył przed nimi drzwi.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, okazało się ogromnym gabinetem połączonym z biblioteką. Regały z książkami sięgały od podłogi do sufitu, ciężkie meble z czarnego drewna stały na grubych orientalnych dywanach. Odbite od sufitu światło padało z kilku lamp. Oprócz regałów umeblowanie stanowiło kilka skórzanych foteli oraz duży mahoniowy stół, za którym siedział ambasador William Hill. Jeden z

foteli po jego prawej stronie zajmował prezydent Stanów Zjednoczonych.

–Panie prezydencie, panie ambasadorze... Pan Andrew Trewayne – oznajmił agent Secret Service, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Hill i prezydent wstali z miejsc. Trewayne zbliżył się najpierw do szefa państwa i uścisnął wyciągniętą rękę.

–Panie prezydencie.

–Cieszę się, że pan przyszedł, panie Trewayne. Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy panu kłopotu?

–W żadnym wypadku.

–Zna pan pana Hilla?

Trewayne wymienił z ambasadorem uścisk dłoni.

–Miło mi pana poznać.

–Wątpię, zważywszy na godzinę... – roześmiał się William Hill, wychodząc zza stołu. – Pozwoli pan, że przyrządzę mu drinka. W konstytucji nie ma żadnej wzmianki o tym, że trzeba zachować wstrzeźliwość pod czas spotkań, które zaczynają się po szóstej po południu.

–Nie wiedziałem, że są jakieś ograniczenia odnoszące się do tych, które zaczynają się wcześniej – zauważył prezydent.

–Och, jestem pewien, że można by zinterpretować w ten sposób któreś z osiemnastowiecznych sformułowań – odparł stary dżentelmen. – Co ma być, Trewayne?

Andrew odpowiedział na pytanie, zdając sobie doskonale sprawę, że jego rozmówcy starają się wprowadzić go w możliwie najbardziej swobodny nastrój. Prezydent wskazał mu gestem fotel, Hill zaś podał szklankę.

–Spotkaliśmy się już kiedyś, ale wątpię, czy pan to pamięta, panie Trewayne.

–Oczywiście, panie prezydencie. Cztery lata temu, o ile się nie mylę.

–Zgadza się. Byłem wtedy senatorem, a pan wykonywał wspaniałą robotę dla Departamentu Stanu. Czy wie pan, że ówczesny sekretarz stanu wręcz pana nie znosił?...

–Docierały do mnie plotki na ten temat, ale on sam nigdy nic mi nie powiedział.

–Jak mógłby? – wtrącił się Hill. – Przecież znakomicie wykonywał pan swoje obowiązki. Gdyby spróbował wystąpić przeciwko panu, strzeliłby samobójczego gola.

–Właśnie dlatego było to takie zabawne – uzupełnił prezydent.

–Wydawało mi się wtedy, że metoda postępowania, jaką obrałem, przyniesie najwięcej korzyści – stwierdził Trewayne.

–Znakomita robota. Znakomita. – Prezydent pochylił się w fotelu i wbił wzrok w twarz Trewayne'a. – Wspominając o kłopotach, jakie sprawiliśmy panu tym spotkaniem, mówiłem zupełnie serio. Wiem, że zobaczymy się jutro rano, ale wydawało mi się ważne, żebyśmy już teraz zamienili kilka słów. Jestem pewien, że chciałby pan jak najprędzej wrócić do hotelu, więc postaram się streszczać.

–Nie ma pośpiechu, panie prezydencie.

–To bardzo miło z pańskiej strony. – Najważniejszy człowiek w państwie

uśmiechnął się lekko. – Zdaje się, że widział się pan już z Bobbym Websterem. Jak poszło?

–Znakomicie. Wszystko jest dla mnie całkowicie jasne. Jestem panu ogromnie wdzięczny za obietnicę poparcia.

–Będzie go pan potrzebował. Nie byliśmy pewni, czy powinniśmy zaprosić pana dziś wieczorem. Decyzja należała do Webstera. Zadzwoił tu zaraz po rozstaniu z panem – na moje polecenie, ma się rozumieć. Wtedy znikły wszelkie wątpliwości.

–Doprawdy? Czy mogę wiedzieć dlaczego?

–Powiedział pan Websterowi, że jedyną osobą, z którą rozmawiał pan o tej podkomisji, jest Frank Baldwin, zgadza się?

–Tak. Frank dał mi do zrozumienia, że powinienem zachować ścisłą dyskrecję. Poza tym nie istniał żaden powód, dla którego miałbym komuś o tym mówić. Przecież jeszcze nic nie zostało ustalone.

Prezydent Stanów Zjednoczonych spojrział na Williama Hilla, który z kolei wpatrywał się z napięciem w Trevayne'a. Ambasador zerknął przelotnie na prezydenta, po czym znowu skoncentrował uwagę na gościu i zapytał cichym, bardzo poważnym głosem:

–Czy jest pan pewien? Absolutnie pewien?

–Oczywiście.

–A nie wspomniał pan nic żonie? Może ona komuś powtórzyła?

–Owszem, wyjaśniłem jej, o co chodzi, ale ręczę głową, że od niej nikt niczego się nie dowiedział. Dlaczego pan pyta?

Odpowiedzi udzielił mu prezydent.

–Chyba zdaje pan sobie sprawę, że rozpuściliśmy pogłoski, według których jest pan brany pod uwagę jako kandydat do objęcia tego stanowiska?

–Dotarły nawet do mnie, panie prezydencie.

–Bo miały dotrzeć. Czy wie pan również o tym, iż komisja do spraw obrony składa się z dziewięciu członków, autorytetów w swoich dziedzinach, pod wieloma względami najbardziej godnych zaufania ludzi w kraju?

–Frank Baldwin wspomniał mi o tym.

–Czy powiedział również, że wszyscy zgodzili się nie ujawniać żadnych szczegółów ani konkretnych informacji?

–Nie, ale doskonale rozumiem, że to konieczne posunięcie.

–Dobrze. A teraz coś panu powiem. Tydzień temu, w porozumieniu z komisją, wypuściliśmy kolejną plotkę, według której kategorycznie odmówił pan objęcia proponowanego mu stanowiska. Nie pozostawiliśmy co do tego cienia wątpliwości. Rozgłosiliśmy, że zaoponował pan gwałtownie przeciwko samej idei powołania podkomisji, określając ją jako niebezpieczną próbę naruszenia wolności obywatelskich. Oskarżył pan nawet moją administrację o stosowanie metod rodem z państwa policyjnego. Z doświadczenia wiemy, że tego rodzaju plotki rozchodzą się najszybciej i najszerzej.

–Jaka była reakcja? – zapytał Trevayne, nie starając się ukryć irytacji. Nikt, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych, nie miał prawa wkładać w jego usta podobnych

**bredni!**

**–Z sygnałów, które do nas wróciły, wynikało, że ochoczo przyjął pan propozycję. Zarówno wywiad wojskowy, jak i cywilny stwierdziły, że w pewnych wpływowych kręgach uważa się to już niemal za fakt dokonany. Nasza zasłona dymna została zignorowana.**

**W pokoju zapadła cisza. Prezydent i ambasador wpatrywali się w Trevayne'a, jakby czekali, aż znaczenie tego faktu utworzy sobie drogę do jego świadomości.**

**–Czyli po prostu nikt nie uwierzył w moją odmowę – przerwał milczenie Trevayne. – Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi. Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę to, w jaki sposób została sformułowana.**

**–Mimo że informacja pochodziła od osób mających bezpośredni kontakt z prezydentem? – zapytał William Hill.**

**–Nie chodzi o mnie osobiście, ale o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych – wyjaśnił szef państwa. – Ten, kto wyczuł fałszerstwo, musi mieć niesamowitego nosa.**

**Trevayne spoglądał kolejno na swoich rozmówców. Powoli zaczynał rozumieć, do czego zmierzają, ale obraz był jeszcze daleki od ostrości.**

**–Czy to jest... To znaczy, czy trzeba było wywoływać to zamieszanie? Jakie ma znaczenie, kto stanie na czele podkomisji?**

**–Najwyraźniej ma, panie Trevayne – odparł Hill. – Wiemy, że nowopowstająca podkomisja cieszy się znacznym zainteresowaniem, co jest całkowicie zrozumiałe. Do tej pory jednak nie mieliśmy pojęcia, jak wielkie jest to zainteresowanie. Pozwoliliśmy wypłynąć pańskiemu nazwisku, po czym gwałtownie – nawet bardzo gwałtownie – zaprzeczyliśmy, jakoby wyraził pan zgodę. Tyle powinno wystarczyć, żeby ciekawscy zaczęli rozważać inne kandydatury, ale nie wystarczyło. Zainteresowani zaczęli ryć głębiej, aż wreszcie dokopali się do prawdy.**

**–Ambasador chce przez to powiedzieć – wybacz, Bill, że ci przerwę – iż wiele osób tak bardzo przeraziła możliwość, że to pan stanie na czele podkomisji, iż zadały sobie mnóstwo trudu, by ostatecznie wyjaśnić pański status. Ci ludzie musieli uzyskać całkowitą pewność, że przestał pan się liczyć. Kiedy przekonali się, że jest inaczej, błyskawicznie rozpowszechnili swoje odkrycie. Bez wątplenia w jakimś celu.**

**–Panie prezydencie, zakładam, że ta podkomisja, o ile ma prawidłowo funkcjonować, musi zadawać niewygodne pytania wielu osobom, a w związku z tym być uważnie obserwowana. Spodziewałem się tego.**

**William Hill oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu.**

**–Obserwowana? Wydaje mi się, że to, co panu przedstawiłem, wykracza daleko poza znaczenie tego słowa. Może pan być pewien, że z rąk do rąk przeszły znaczne sumy pieniędzy, powołano się na stare zobowiązania oraz zagrożono ujawnieniem wstydliwych tajemnic.**

**Gdyby to nie nastąpiło, zostałyby wyciągnięte odmienne wnioski.**

**–Naszym celem jest zwrócenie panu uwagi na te sprawy, by mógł się pan mieć na baczności – uzupełnił prezydent. – To miasto się boi, panie Trevayne. Boi się pana.**

**Andrew powoli odstawił szklankę na mały stolik obok fotela.**

–Czy pan sugeruje, panie prezydencie, abym ponownie rozważył swoją decyzję?

–Skądże znowu! Jeśli Frank Baldwin wie, o czym mówi, to nie jest pan człowiekiem, który dałby się łatwo przestraszyć. Musi pan jednak zrozumieć, że nie jest to nominacja, dzięki której jakiś przejściowy rząd chce chwilowo uciszyć głosy niezadowolenia. Jesteśmy zdecydowani – ja jestem zdecydowany – ujrzeć konkretne rezultaty, a z tym, obawiam się, będzie wiązało się wiele nieprzyjemności.

–Myślę, że jestem na to przygotowany.

–Na pewno? – zapytał Hill, opadając na miękkie poduszki fotela. – To bardzo ważne, panie Trevayne.

–Wydaje mi się, że tak. Przemyślałem wszystko, przedyskutowałem z żoną... z moją bardzo dyskretną żoną. Nie mam żadnych złudzeń co do tego, że będę cieszył się powszechną popularnością.

–To dobrze. Jak powiedział prezydent, zależy nam na tym, żeby pan to zrozumiał. – Hill wziął ze stołu grubą, spiętą metalowymi zatrzaskami teczkę z aktami. – Czy mogę zająć jeszcze chwilę pańskiego czasu inną sprawą?

–Oczywiście.

Trevayne patrzył na ambasadora, ale wyraźnie czuł na sobie spojrzenie prezydenta. Odwrócił głowę w jego kierunku, a prezydent natychmiast przeniósł wzrok na Hilla.

–Oto pańskie dossier, panie Trevayne – powiedział Hill, trzymając poziomo teczkę na wyciągniętej dłoni, jakby starał się ją zważyć. – Diabelnie ciężka, nie uważa pan?

–Owszem, w porównaniu z tymi nielicznymi, jakie widziałem. Obawiam się, że jej zawartość nie jest zbyt interesująca.

–Dlaczego pan tak uważa? – zapytał z uśmiechem prezydent.

–Och, bo ja wiem... Moje życie nie obfitowało w wydarzenia, które mogłyby stanowić pasjonującą lekturę.

–Życie człowieka, który przed ukończeniem czterdziestu lat potrafi osiągnąć taki stopień zamożności, musi być wręcz fascynujące – odparł Hill. – Tateczka jest taka gruba między innymi dlatego, że wciąż żądałem dodatkowych informacji. To dokument ze wszech miar godny uwagi. Czy wolno mi poruszyć kilka spraw, które wydają mi się szczególnie ważne lub niezupełnie jasne?

–Naturalnie.

–Zrezygnował pan ze studiów na wydziale prawa Uniwersytetu Yale na sześć miesięcy przed końcem ostatniego roku. Potem nie uczynił pan nic, by dokończyć naukę, mimo że radził pan sobie bardzo dobrze. Władze uczelni starały się wpłynąć na zmianę pańskiej decyzji, ale bez rezultatu. To dziwne.

–Wcale nie. W tym czasie założyłem ze szwagrem naszą pierwszą firmę. W Meriden w stanie Connecticut. Nie miałem czasu na nic więcej.

–Czy jednak opłacenie pańskich studiów nie stanowiło dla rodziny znacznego obciążenia finansowego?

–Otrzymałem pełne stypendium. Jestem pewien, że ma to pan w aktach.

–A, nazwijmy to, zobowiązania moralne?

–Ach, tak... Rozumiem, do czego pan zmierza, panie ambasadorze, ale obawiam

się, że przykłada pan do tego zbyt dużą wagę. Rzeczywiście, mój ojciec zbankrutował w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku.

–O ile się orientuję, w dość nieprzyjemnych okolicznościach – wtrącił się prezydent. – Czy zechciałby pan je przypomnieć?

Trevayne przez chwilę spoglądał kolejno na swych rozmówców.

–Oczywiście – powiedział wreszcie. – Ojciec poświęcił trzydzieści lat życia na budowę, a potem rozbudowę fabryki włókienniczej – przędzalni, dokładnie rzecz biorąc – w Hancock w stanie Massachusetts. To takie nie wielkie miasteczko w pobliżu Bostonu. Wytwarzał produkty najwyższej jakości, w związku z czym pewna nowojorska kompania zaprzęgnęła go wykupić. Przejęli tkalnię z założeniem – w każdym razie tak myślał mój ojciec – że zostawią go aż do emerytury na stanowisku kierownika zakładu. Oni jednak zabrali znak firmowy, zamknęli fabrykę i przenieśli się na południe, w rejony, gdzie była tańsza siła robocza. Ojciec usiłował wznowić produkcję, niezgodnie z prawem używając starego znaku firmowego, więc tamci zniszczyli go bez mrugnięcia powieką. Tkalnia w Hancock przeszła do historii przemysłu lekkiego w Nowej Anglii.

–Przykra historia – powiedział cicho prezydent. – Czy ojciec nie dochodził swoich praw w sądzie? Nie starał się udowodnić tamtego oszustwa?

–Oficjalnie nie było żadnego oszustwa. W swoich rachubach opierał na tym, co mu obiecano, nie na ustaleniach zawartych w kontrakcie. Nie istniały podstawy prawne do wytoczenia procesu.

–Rozumiem... – mruknął prezydent. – Przypuszczam, że dla pańskiej rodziny musiał to być ogromny wstrząs.

–I dla miasteczka – dodał Hill. – Ludzie stracili pracę.

–To były złe czasy, ale minęły.

Andrew doskonale pamiętał swój gniew i frustrację oraz widok zdumionego, rozwścieczonego ojca, wydzierającego się na milczących mężczyzn, którzy tylko uśmiechali się i pokazywali jego podpis pod kontraktem.

–Czy właśnie złość skłoniła pana do przerwania studiów? – zapytał William Hill. – Te wydarzenia zbiegły się w czasie. Zostało panu tylko sześć miesięcy do końca nauki, zaproponowano panu pomoc finansową...

Andy spojrzał na ambasadora z niechętnym szacunkiem. Linia rozumowania starego dyplomaty stawała się coraz wyraźniejsza.

–Myślę, że to był jeden z powodów, ale istniały też inne przyczyny. Byłem wtedy bardzo młody. Wydawało mi się, że są jeszcze ważniejsze cele.

–A nie jeden konkretny cel, panie Trevayne?

–Dlaczego nie powie pan od razu tego, co pan myśli, panie ambasadorze? Odnoszę wrażenie, że obaj marnujemy czas pana prezydenta.

Prezydent nie zareagował. W dalszym ciągu wpatrywał się w Trevayne'a wzrokiem, jakim lekarz przygląda się czasem pacjentowi.

–W porządku, powiem. – Hill zamknął teczkę i zastukał w nią lekko palcami. – Otrzymałem to dossier niemal miesiąc temu. Zdażyłem je prze czytać co najmniej dwadzieścia razy, bez przerwy żądając dodatkowych informacji. Początkowo tylko po



to, by dowiedzieć się czegoś więcej o odnoszącym sukcesy młodym człowieku nazwiskiem Trevayne, gdyż Frank

Baldwin był – i jest – przekonany, że tylko pan może objąć funkcję przewodniczącego tej podkomisji. Potem jednak doszły inne powody. Musieliśmy koniecznie wiedzieć, dlaczego pańska kandydatura spotyka się z taką wrogością. Milczącą wrogością, żeby zachować zgodność z faktami.

–Albo z oniemiałym zdumieniem – wtrącił prezydent.

–Otóż to – potwierdził Hill. – Odpowiedź na pewno była tu, w tej teczce, ale ja nie mogłem na nią trafić. Aż wreszcie, po ułożeniu całego materiału w porządku chronologicznym, znalazłem ją. Aby to osiągnąć, musiałem cofnąć się w czasie do marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Do pańskiej pierwszej impulsywnej, pozornie irracjonalnej reakcji. Spróbuję streścić tę sprawę w kilku zdaniach...

Podczas gdy ambasador William Hill mówił o swoim odkryciu, Andrew zastanawiał się, czy stary dyplomata naprawdę wszystko zrozumiał. Przecież wydarzyło się to tak dawno temu... Jemu jednak wydawało się, że minęło zaledwie kilka dni. Miał wtedy tylko jeden cel: zarobić mnóstwo pieniędzy, tak dużo, by na zawsze wyeliminować niebezpieczeństwo, że będzie musiał przejść przez to wszystko, czego jego ojciec doświadczył w sądzie w Bostonie. Powodowała nim nie tyle wściekłość – choć towarzyszyła mu przez cały czas – ile raczej żal z powodu zmarnotrawienia ogromnych zasobów finansowych, fizycznych i intelektualnych. W jego oczach na tym polegało główne zło i najcięższe przestępstwo.

Widział, jak przedsiębiorczy umysł ojca zwalnia obroty, zaczyna kręcić się w kółko, a wreszcie w ogóle przestaje należycie funkcjonować. Fantazja stała się rzeczywistością, a zemsta obsesją. Wreszcie prężny niegdyś duch uległ całkowitemu wypaleniu i z dumnego, energicznego człowieka została tylko skorupa. Pusta, zajęta użalaniem się nad sobą, znajdująca cel życia jedynie w nienawistnym rozpamiętywaniu przeszłości.

Dobrze znana, kochająca ludzka istota przeistoczyła się w groteskową, obcą postać, tylko dlatego, że nie miał wystarczających środków, by kupić przepustkę do normalnego życia. W marcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku zapadł ostateczny wyrok; ojciec Andrew Trevayne'a został poinformowany, że nie ma prawa funkcjonować w społeczeństwie składającym się z ludzi, którym jeszcze niedawno był równy.

Wymiar sprawiedliwości poparł manipulantów. Rzeka prawniczego żargonu zniszczyła dzieło życia dojrzałego człowieka.

Ojciec stał się umysłowym impotentem, zdumionym eunuchem domagającym się swych praw piskliwymi, żalnymi krzykami.

Jego syna zaś przestało interesować uprawianie zawodu prawnika.

Podobnie jak w większości historii niezwykłych sukcesów finansowych, w tej także główne role odgrywały przypadek i wybór odpowiedniej chwili. Kiedy jednak Andrew Trevayne podawał to proste wytłumaczenie, prawie nikt mu nie wierzył. Ludzie woleli szukać głębiej ukrytych powodów.

Lub, szczególnie w jego przypadku, emocjonalnej motywacji, której źródło stanowiła odraza i wściekłość.

Bzdura.

Odpowiednią chwilę wybrał brat dziewczyny, która została jego żoną. Starszy brat Phyllis Pace.

Douglas Pace był genialnym, introwertycznym inżynierem elektronikiem pracującym w zakładach Pratt Whitney w Hartfordzie. Ten szalenie nieśmiały człowiek najlepiej czuł się w zaciszu laboratorium, ale doskonale potrafił ocenić, kiedy on ma rację, a inni się mylą. W tym przypadku „innymi” okazali się ludzie kierujący firmą Pratt Whitney, którzy kategorycznie odmówili przyznania funduszy na badania poświęcone doskonaleniu konstrukcji precyzyjnych dysków sferoidalnych. Douglas Pace był przekonany, że dyski sferoidalne stanowią kluczowy element, bez którego nie będzie możliwy rozwój technik napędowych funkcjonujących na dużych wysokościach. Wyprzedzał swoją epokę, ale tylko o trzydzieści jeden miesięcy.

Ich pierwsza „fabryka” zajmowała część pustego magazynu w Meriden, pierwszą maszyną był rozsypujący się bullard kupiony od bankrutującej firmy wytwarzającej narzędzia, pierwszą produkcją zaś proste elementy robione na zamówienie kooperantów Pentagonu, wśród których znajdował się także Pratt Whitney.

Dzięki niskim kosztom własnym i znakomitej jakości produkcji otrzymywali coraz więcej zamówień. Dokupili drugiego, a potem trzeciego bullarda i wynajęli cały magazyn. Dwa lata później linie lotnicze podjęły ostateczną decyzję: przyszłość należała do samolotów odrzutowych. Najpóźniej pod koniec lat pięćdziesiątych powinny powstać pierwsze pasażerskie maszyny odrzutowe, w związku z czym umiejętności i środki służące do tej pory wyłącznie wojsku musiały zostać zaadaptowane do potrzeb cywilnych.

Zaawansowane prace Douglasa Pace'a nad precyzyjnymi dyskami sferoidalnymi znalazły się nagle w samym centrum zainteresowania. Okazało się także, że przemysłowi giganci zostali ze swymi badaniami daleko z tyłu.

Nastąpił gwałtowny rozwój firmy, portfel zamówień zgrubiał zaś tak bardzo, że dziesięć zakładów pracujących na trzy zmiany miało dość roboty na pięć lat.

Przy okazji Andrew dowiedział się kilku rzeczy dotyczących jego samego. Od początku mówiono mu, że dobrze radzi sobie ze sprzedażą gotowych produktów, ale na rynku, który gotów był wchłonąć każdą ilość towaru, nie wymagało to wielkiego zachodu. Do głosu doszły natomiast inne jego talenty. Najważniejszym z nich była chyba umiejętność zarządzania i podejmowania szybkich decyzji. Zdawał sobie sprawę, że jest w tym nie tylko dobry, ale wręcz znakomity. Wystarczyło mu kilka godzin, by wyczuć w człowieku nieprzeciętne umiejętności i zatrudnić go w swojej firmie – ze szkodą dla innej, ma się rozumieć. Potrafił przekonywać utalentowanych ludzi, że u niego znajdą o wiele lepsze warunki do rozwoju swych zdolności niż gdziekolwiek indziej. Była to prawda; pod jego kierunkiem pracownicy dwoili się i troili, często wnosząc własne pomysły i rozwiązania. Potrafił także dogadywać się ze związkami zawodowymi. W każdym kontrakcie, który podpisywał, znajdowała się klauzula uzależniająca poważną część wynagrodzenia pracownika od wyników

osiągniętych przez całą firmę. Nazywano go „postępowym”, on jednak szybko zorientował się, iż jest to mylące uproszczenie. Głosił teorię „kapitalizmu oświeconego” i robił to bardzo przekonująco. Z upływem miesięcy i lat zyskiwał wsparcie w postaci znakomitych wyników ekonomicznych. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Jednak najbardziej zdumiewająca cecha, jaką w sobie odkrył, była jednocześnie całkowicie niewytłumaczalna. Otóż Andrew Trewayne dysponował umiejętnością przeprowadzania skomplikowanych negocjacji i zawierania złożonych kontraktów, nie odwołując się do pomocy żadnych protokołów ani notatek. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy przypadkiem nie dysponuje pamięcią absolutną, lecz Phyllis udowodniła mu, że tak nie jest, zwracając uwagę na fakt, iż najczęściej nie pamięta o urodzinach dzieci i znajomych. Czuł instynktownie, że najbliższe prawdy jest wyjaśnienie, jakie mu zaproponowała. Uważała mianowicie, iż jego nadzwyczajne zdolności biorą się stąd, że zawsze przystępuje do negocjacji maksymalnie skoncentrowany i świetnie przygotowany, poświęcając im całą uwagę. Delikatnie dała mu do zrozumienia, że może mieć to związek z nauką, jaką wyniósł z doświadczeń ojca.

Właściwie powinno to im wystarczyć – zamówienia od linii lotniczych, rozwój firmy, sieć filii obejmująca swoim zasięgiem niemal całe wybrzeże Atlantyku. Mogłoby się wydawać, że osiągnęli szczyt marzeń, kiedy nagle okazało się, że wspinaczka dopiero się zaczęła.

Wieczorem czwartego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku ludzkość usłyszała zdumiewającą wiadomość.

**Moskwa wystrzeliła Sputnika 1.**

Zamieszanie zaczęło się od nowa. Narodowe i gospodarcze priorytety musiały ulec daleko idącym zmianom. Stany Zjednoczone zostały zdegradowane do roli drugorzędного mocarstwa. Ucierpiała duma najbardziej przedsiębiorczej demokracji świata. Powszechnie żądano odzyskania palmy pierwszeństwa, bez względu na koszty, jakie miałyby to za sobą pociągnąć.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy ogłoszono informację o sputniku, Douglas Pace zjawił się w domu Trewayne'a w New Haven. Phyllis przynosiła im kolejne filiżanki kawy aż do czwartej rano. Mężczyźni podjęli decyzje, które zapewniły ich firmie pozycję największego niezależnego kontrahenta NASA, dostarczającego dyski sferoidalne, które można było stosować w silnikach o sile do sześciuset tysięcy funtów. Decyzje te dotyczyły skoncentrowania się na programie badań kosmosu. Należało utrzymać śladową współpracę z liniami lotniczymi, główną uwagę skupiając jednak na kosmosie, co z kolei pozwoli sprostać wymaganiom stawianym przez nowe, znacznie większe samoloty, które powinny pojawić się na rynku pod koniec lat sześćdziesiątych.

Ryzyko było ogromne, ale Pace i Trewayne nie mieli żadnych wątpliwości.

–W tym właśnie momencie docieramy do najbardziej zdumiewającego miejsca w całym... dokumencie – powiedział ambasador Hill. – Sprawa dotyczy bezpośrednio zagadnienia, które panu prezydentowi i mnie leży najbardziej na sercu, a swoimi

korzeniami sięga, rzecz jasna, do marca roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego.

*Mój Boże, Phyllis! Znaleźli to! Nazwałaś to grą. Grą, którą gardziłaś, bo według ciebie uczyniła mnie „brudnym”. Wszystko zaczęło się od tego małego sukinsyna ubranego jak straszycło. Od Allena...*

–Wasza firma dokonała śmiałego posunięcia – ciągnął Wielki Billy Hill. – Nie mając żadnych gwarancji, przeprowadziliście restrukturyzację siedem dziesięciu procent fabryk i niemal wszystkich laboratoriów, by sprostać wymaganiom rynku, który wówczas stanowił jeszcze jedną wielką niewiadomą. Jeśli chodzi o jego rzeczywistą chłonność, ma się rozumieć.

–Ani przez chwilę nie wątpiliśmy, że będzie duża. Jak się okazało, rzeczywistość przerosła nasze najśmielsze oczekiwania.

–Istotnie. Mieliście rację. Podczas gdy inni zabierali się dopiero, do projektowania, wy byliście gotowi ruszać z produkcją.

–Za pozwoleniem, panie ambasadorze: sprawy nie wyglądały tak prosto. Przez mniej więcej dwa lata padało mnóstwo gromkich deklaracji, ale brakowało pieniędzy. Gdyby trwało to jeszcze pół roku, nasze rezerwy uległyby wyczerpaniu. Znaleźlibyśmy się w ślepej uliczce.

–Potrzebowaliście zamówień NASA – odezwał się prezydent. Bez nich groziła wam plajta. Posunęliście się za daleko, żeby wszystko odkręcać.

–To prawda. Liczyliśmy na nasze zaawansowanie technologiczne i wycucie czasu. A także na to, że właściwie nie mieliśmy konkurencji.

–Ale środowiska przemysłowe wiedziały chyba o waszej niemal całkowitej restrukturyzacji? – zapytał Hill.

–Tego nie dało się uniknąć.

–A o ryzyku?

–Tylko w pewnym zakresie. Byliśmy prywatną firmą i nie ogłaszaliśmy żadnych informacji o naszej sytuacji finansowej.

–Ale można było jej się domyślić? – napierał Hill.

–Owszem.

William Hill wyjął z teczki pojedynczą kartkę i pokazał ją Trevayne'owi.

–Poznaje pan ten list? Napisał go pan do sekretarza obrony, kopie zaś wysłał do senackich komisji do spraw kredytów i zaopatrzenia sił zbrojnych.

–Tak. Byłem wtedy wściekły.

–Stwierdził pan w nim kategorycznie, iż Pace-Trevayne należy w całości do jej dwóch założycieli i nie jest w żaden sposób powiązana z innymi przedsiębiorstwami.

–Zgadza się.

–Jednak w prywatnych rozmowach powtarzał pan wielokrotnie, że kontaktowały się z panem różne osoby, które dawały mu wyraźnie do zrozumienia, że bez ich pomocy zamówienia rządowe mogą przejść wam koło nosa?

–Tak. Ogromnie mnie to rozgniewało. Do tej pory wystarczało to, co i jak robimy. Ambasador Hill oparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął.

–W takim razie ten list odegrał rolę rakiety strategicznej posłanej w sam środek

celu, czyż nie tak? Przeraził pan nim wielu ludzi. Najprawdopodobniej przyczynił się do podjęcia korzystnej dla pana decyzji.

–Mnie również przyszła do głowy taka możliwość.

–Jednak w następnych latach, kiedy Pace-Trevayne stała się nie kwestionowanym liderem w tej gałęzi przemysłu, mimo deklarowanej niezależności poszukiwał pan dość intensywnie partnerów, z którymi moglibyście się związać...

*Pamiętasz, Phyl? Ty i Doug byliście wtedy na mnie wściekli. Nic nie rozumieliście.*

–Dzięki temu mogliśmy osiągnąć pewne korzyści.

–Jestem tego pewien, oczywiście zakładając, że miał pan szczere intencje.

–Sugeruje pan, że było inaczej?

*Boże, wtedy to było dla mnie takie ważne! Zależało mi na tym, Phyl. Byłem młody i gniewny.*

–Do takiego właśnie wniosku doszedłem, panie Trevayne. Jestem przekonany, że nie ja jeden... Rozpuścił pan pogłoski, że byłby pan zainteresowany wstępnymi rozmowami na temat fuzji. W ciągu trzech lat spotkał się pan kolejno z co najmniej siedemnastoma czołowymi kontrahentami ministerstwa obrony. O wielu z tych spotkań pisano w gazetach. – Hill przerzucił kilka kartek i wyjął z teczki plik wycinków. – Przyjmował pan gości największego kalibru.

–Mieliśmy wiele do zaoferowania.

*Tylko do zaoferowania, Phyl. Nic więcej.*

–Posunął się pan nawet tak daleko, że z kilkoma z nich podpisał pan listy intencyjne. Na nowojorskiej giełdzie parę razy odnotowano gwałtowne ruchy cen akcji.

–Moi księgowi potwierdzą, że naszych akcji nie było wtedy na rynku.

–Z konkretnego powodu? – zapytał prezydent.

–Z konkretnego powodu – odparł Trevayne.

–Jednak żadne z tych spotkań i ani jeden z listów intencyjnych nie do prowadziły do zawarcia porozumienia.

–Przeszkody okazały się nie do pokonania.

*Ludzie okazali się nie do pokonania. Manipulanci.*

–Panie Trevayne, czy wolno mi zaryzykować twierdzenie, iż nigdy nie miał pan zamiaru doprowadzić do podpisania ostatecznej umowy?

–Wolno panu, panie ambasadorze.

–A czy wolno mi zasugerować, że w toku negocjacji zyskał pan stosunkowo dokładną wiedzę na temat operacji finansowych przeprowadzanych przez siedemnaście wiodących koncernów przemysłu zbrojeniowego?

–Jest to dość bliskie prawdy, choć sugerowałbym użycie czasu przeszłego. To było ponad dziesięć lat temu.

–Niezbyt dawno, jeśli wziąć pod uwagę politykę personalną prowadzoną przez te firmy – zauważył prezydent. – Większość ludzi, z którymi pan wtedy rozmawiał, w dalszym ciągu zajmuje te same stanowiska.

–Całkiem możliwe.

William Hill podniósł się z fotela, obszedł mahoniowy stół, zatrzymał się przed Trevayne'em i spojrzał na niego z góry.

–Próbował pan przeprowadzić egzorcyzmy, zgadza się? – zapytał cichym, spokojnym głosem.

Andrew spojrzał staremu człowiekowi prosto w oczy, po czym uśmiechnął się smutno, przyznając do porażki.

–Tak jest.

–Starał się pan odplacić pięknym za nadobne ludziom tego samego pokroju co ci, którzy w marcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku zniszczyli pańskiego ojca.

–To była dziecinada. Bezsensowna zemsta. Oni nie byli winni.

*Pamiętasz, Phyl? Powtarzałaś mi: „Bądź sobą, Andy. To do ciebie niepodobne. Przestań!”*

–Ale dało panu chyba sporo satysfakcji. – Hill wrócił za stół i oparł się o blat między Trevayne'em a prezydentem. – Zmusił pan wielu wpływowych ludzi, by tłumaczyli się przed panem, tracili czas, uchylali rąbka najpilniej strzeżonych tajemnic. A wszystko to dla ledwo trzydziestoletniego młokosa, który podtykał im pod nos okazałą marchewkę. Tak, to na pewno musiało sprawiać przyjemność. Nie rozumiem jednak, dlaczego tak nagle pan tego zaprzestał. Według posiadanych przeze mnie informacji dysponował pan ogromną siłą. Mógł pan zostać jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż prędzej czy później udałoby się panu doprowadzić do ruiny wielu z tych, których uważał pan za nieprzyjaciół. Szczególnie w pańskiej dziedzinie.

–Powiedzmy, że się nawróciłem.

–Podobno to już się kiedyś zdarzyło – zauważył prezydent.

–W takim razie pozostanę przy tym wytłumaczeniu... Zrozumiałem – w znacznej mierze dzięki pomocy żony – że pogrążyłem się w takim samym marnotrawstwie, jakie wcześniej, w marcu pięćdziesiątego drugiego, wywołało moje głębokie obrzydzenie. Co prawda, znalazłem się po drugiej stronie, ale zasada była ta sama... I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Mam nadzieję, że panowie uznacie moje wyjaśnienie za zadowalające.

Trevayne uśmiechnął się najszczerzej, jak potrafił. Tym razem ani trochę nie rozminął się z prawdą.

–Całkowicie – odparł prezydent, sięgając po szklankę, Hill zaś skinął głową i ponownie zajął miejsce na fotelu. – Otrzymaliśmy odpowiedzi na wszystkie pytania. Jak wspomniał ambasador, musieliśmy je uzyskać. Chodziło nam między innymi o stan pańskiego umysłu, choć na dobrą sprawę nigdy nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości.

–Założyliśmy, że pod względem moralnym jest pan całkowicie zdrowy – oznajmił z uśmiechem Hill. – Nikt, kto rezygnuje z prowadzenia znakomicie prosperującej firmy, by podjąć pracę w Departamencie Stanu, a następnie zajmuje się kierowaniem filantropijną fundacją, nie może mieć osobowości Cezara.

–Dziękuję panu.

Prezydent pochylił się do przodu w fotelu i spojrzał Trevayne'owi prosto w oczy,  
–Jest dla nas niezmiernie ważne, żeby ta robota została wykonana. W miejscu zetknięcia finansów i polityki zawsze tworzą się paskudne wrzody. Tym trudniej je wyleczyć, im dłużej pozostają pod przykryciem. Innymi słowy, jeśli raz się pan zdecyduje, nie będzie pan miał odwrotu. Już nigdy.

Andrew uświadomił sobie, że prezydent daje mu ostatnią szansę na zastanowienie się. Ale decyzja została w rzeczywistości podjęta już w chwili, kiedy po raz pierwszy dotarły do niego plotki o jego kandydaturze. Wiedział, że jest człowiekiem, który może to zrobić. Chciał to zrobić. Z wielu powodów.

Jednym z nich było wspomnienie sali rozpraw bostońskiego sądu.

–Chcę otrzymać to stanowisko, panie prezydencie. Nie wycofam się.

–Wierzę panu.

## Rozdział 6

Phyllis Trevayne nieczęsto zdarzało się irytować na męża. Czasem bywał beztroski, lecz ona upatrywała przyczyny tego nie w obojętności, ale w nadzwyczajnej koncentracji, z jaką podchodził do spraw zawodowych.

Nie przywiązywał wagi do drobnych uprzejmości, lecz ogólnie rzecz biorąc, był miłym człowiekiem – obcesowym, choć łagodnym. Czasem obcesowym nawet w stosunku do niej, zawsze jednak troskliwym. Poza tym został z nią, kiedy go najbardziej potrzebowała, podczas tamtych okropnych lat.

Jednak tego wieczoru porządnie ją rozzłościł.

Powiedział jej – a właściwie poprosił – by spotkała się z nim na mieście. Konkretnie w Sali Palmowej hotelu Plaza. Ustalił godziną na siódmą trzydzieści wieczorem, zaznaczając wyraźnie, że nie przewiduje nic takiego, co mogłoby spowodować spóźnienie.

Tymczasem zbliżała się już ósma piętnaście, do Phyllis zaś nie dotarła żadna informacja, która wyjaśniałaby przyczynę jego nieobecności. Była głodna jak diabli, a poza tym miała własne plany na ten wieczór. W ciągu najbliższego tygodnia dzieci wyjadą do szkół: Pamela do szkoły panny Porter, Steve do Haverfordu. Mężowie nigdy nie rozumieją, jakie znaczenie mają przygotowania przed takimi wyjazdami. Wysłanie dzieci na trzy miesiące z domu wymagało podjęcia co najmniej tylu decyzji logistycznych, co najtrudniejsze negocjacje finansowe. Przypuszczalnie nawet więcej. Miała zamiar spędzić wieczór na rozważaniu niektórych z nich, nie zaś jadąc do Nowego Jorku.

W dodatku musiała przygotować się do wykładu. No, może niekoniecznie. To akurat mogło jeszcze poczekać.

Zaproponuje Andrew zatrudnienie kierowcy. Nie znosiła tego przeklętego lincolna. Pomysł zaangażowania szofera także budził jej niechęć, ale nie tak wielką jak lincoln. Jednak Andy nie pozwalał jej jeździć w dłuższe trasy mniejszym samochodem. Kiedy protestowała, cytował jej dane statystyczne o tragicznych skutkach wypadków z udziałem małych samochodów.

A niech to licho! Gdzie on jest, do diabła?

Dwadzieścia po ósmej. Beztroska męża zbliżyła się niebezpiecznie do granicy nieuprzejmości.

Phyllis zamówiła drugi wermut-cassis i już prawie go wypijała. Był to niewinny koktajl, bardzo kobiecy, idealny na chwile oczekiwania, przede wszystkim dlatego, że w gruncie rzeczy wcale nie smakował. I o to właśnie chodziło. Sprawiało jej przyjemność, że wielu mężczyzn przechodzących obok jej stolika spoglądało na nią z zainteresowaniem. Całkiem nieźle jak na czterdzieści dwa lata -już prawie czterdzieści trzy – i dwoje dorosłych dzieci. Koniecznie musi powiedzieć o tym Andy'emu. Na pewno roześmieje się i odpowie coś w tym rodzaju: co w tym dziwnego? Uważasz, że ożeniłbym się ze strachem na wróble?

Miała satysfakcjonujące życie erotyczne. Andy był namiętym i dociekliwym mężczyzną. Oboje chętnie szli do łóżka. Jak to powiedział Tennessee Williams?... Czy to był Williams? Tak, na pewno... Jakaś postać w jednej z jego wcześniejszych



sztuk o Włochach czy raczej Sycylijszykach. „Jeśli w łóżku jest okay, to małżeństwo też jest okay!” W każdym razie coś w tym rodzaju.

Lubiła Tennessee Williamsa. Był nie tylko dramaturgiem, ale także poetą. Może nawet bardziej poetą.

Nagle Phyllis Trewayne poczuła się bardzo słabo. Straciła ostrość widzenia, Sala Palmowa zaczęła kręcić się wokół niej coraz szybciej i szybciej... A potem usłyszała nad sobą jakieś głosy.

–Proszę pani! Proszę pani, co się stało? Boy! Boy! Przynies sole trzeźwiące!

Przyłączyły się inne głosy, coraz donośniejsze, niewyraźne... Wszystko stało się nierzeczywiste i bezsensowne. Czuła na twarzy dotyk jakiejś twardej powierzchni; bardzo odległa część jej umysłu wiedziała że to marmurowa posadzka sali. Obraz zaczął ciemnieć... a potem usłyszała jeszcze jeden głos:

–Ja się nią zajmę! To moja żona! Mamy na górze apartament! Proszę mnie przepuścić, już wszystko w porządku.

Ale ten głos nie należał do jej męża.

Andrew Trewayne nie posiadał się ze wściekłości. Taksówka, do której wsiadł obok swojego biura w siedzibie Fundacji Danforth, zderzyła się z jakimś chevroletem, a policjant uparł się, żeby wszyscy świadkowie pozostali na miejscu wypadku, dopóki nie zostaną spisane ich zeznania. Wlokło się to w nieskończoność. Kiedy Andrew powiedział policjantowi, że bardzo mu się śpieszy, tamten odparł, że skoro leżący nieruchomo na wznak ranny pasażer chevroleta może poczekać na pogotowie, to Trewayne, jako świadek, tym bardziej może poczekać na złożenie zeznań.

Dwukrotnie dzwonił z automatu na rogu do hotelu Plaza, by zawiadomić żonę o przyczynie spóźnienia, lecz za każdym razem dowiadywał się, że nie ma jej w Sali Palmowej. Widocznie ruch na autostradzie z Connecticut był większy niż zwykle, ale to oznaczało, że kiedy Phyllis dotrze wreszcie do hotelu i przekona się, że jego tam nie ma, zaniepokoi się jeszcze bardziej. Jasna cholera!

Wreszcie, dwadzieścia pięć po ósmej, złożył zeznanie i pozwolono mu opuścić miejsce wypadku.

Kiedy zatrzymywał następną taksówkę, przemknęła mu przez głowę niewyraźna myśl, że gdy telefonował do hotelu po raz drugi, recepcjonista chyba poznał go po głosie. W każdym razie czas, który minął między jego pytaniem a odpowiedzią, wydawał się znacznie krótszy niż poprzednio. Może było to tylko złudzenie, za które odpowiedzialność ponosiła jego niecierpliwość.

Jednak kiedy na coś niecierpliwie oczekujemy, wydaje nam się, że czas dłuży się w nieskończoność, prawda? Nie na odwrót.

–Tak, proszę pana. Opis zgadza się co do joty. Siedziała dokładnie tutaj.

–Więc gdzie jest teraz?

–Mąż zabrał ją na górę do pokoju.

–Ja jestem jej mężem, ty kretynie! – ryknął Trewayne, chwytając kelnera za gardło. – Mów szybko, co się stało!

–Litości, proszę pana! – wyskrzecztał kelner. Większość osób siedzących w Sali

**Palmowej zwróciła spojrzenia w kierunku, z którego dobiegały podniesione głosy przebijające się przez dyskretną muzykę kwartetu smyczkowego. Dwaj detektywi hotelowi starali się uwolnić nieszczęsnego chłopaka z rąk napastnika. – Powiedział, że mają wynajęty apartament!**

**Trevayne puścił kelnera i popędził do recepcji. Kiedy jeden z detektywów chwycił go od tyłu za ramię, zrobił coś, na co w normalnych warunkach na pewno by się nie odważył; odwrócił się raptownie i kantem dłoni uderzył mężczyznę w kark. Detektyw zatoczył się do tyłu, a jego kolega wyszarpnął z kabury pistolet.**

**–Mam, mam! – zapiszczał przerażony recepcjonista. – Pani Trevayne, apartament 5 H i I, zarezerwowany dzisiaj po południu!**

**Trevayne nie myślał o celującym do niego z pistoletu mężczyźnie, tylko rzucił się do drzwi z napisem „Schody” i pognął w górę po betonowych stopniach. Detektyw biegł za nim krzycząc, żeby się zatrzymał, lecz Andrew nie zwracał na niego uwagi. W tej chwili było dla niego ważne tylko jedno: jak najprędzej dotrzeć do apartamentu 5 H i I.**

**Wpadł na korytarz wyłożony cienkim chodnikiem pamiętającym znacznie lepsze czasy. Na pierwszych drzwiach widniał napis 5 A, potem B, 5 C i D. Kiedy minął zakręt, ujrzał to, czego szukał.**

**5H i I.**

**Drzwi były zamknięte, więc rzucił się na nie całym ciężarem. Nie ustąpiły. Trevayne cofnął się o krok, po czym kopnął w okolice zamka.**

**Zatrzeszczały, ale wciąż stawiały opór.**

**W tej chwili zza zakrętu korytarza wypadł zasapany detektyw hotelowy.**

**–Ty cholerny sukinsynu! Mogłem cię zastrzelić! Uspokój się albo to zrobię!**

**–Nie zrobisz! Tam jest moja żona!**

**Rozpacz, z jaką Trevayne wykrzyknął te słowa, odniosła odpowiedni skutek. Detektyw spojrzał uważniej na ogarniętego paniką mężczyznę i przyłożył nogę do następnego kopnięcia. Drzwi otworzyły się z donośnym trzaskiem, a Trevayne i detektyw wbiegli do pokoju.**

**Detektyw rozejrzał się szybko i cofnął do krótkiego korytarzyka. Widział już podobne sceny. Zaczeka przy drzwiach, nie spuszczając wzroku z męża kobiety, gotów wkroczyć do akcji przy pierwszej próbie użycia przemocy.**

**Phyllis Trevayne leżała naga w białej pościeli. Wymięta, rzucona byle jak kołdra przykrywała tylko jej stopy. Na przystawionym do łóżka nocnym stoliku stała butelka wina oraz dwa napełnione do połowy kieliszki.**

**Na piersiach kobiety ktoś narysował szminką kilka penisów skierowanych ku sutkom.**

**Detektyw przypuszczał, że musiała się tu odbywać nielicha zabawa. Miał tylko nadzieję, że jej drugi uczestnik zdążył się oddalić.**

**Byłby cholernym głupcem, gdyby tego nie zrobił.**

**Owinięta kąpielowym prześcieradłem Phyllis Trevayne siedziała na łóżku, pijąc kawę. Lekarz skończył już badanie i dał znak Trevayne'owi, by ten przeszedł z nim do drugiego pokoju.**

–To był bardzo mocny środek odurzający, panie Trevayne. Mickey Finn, jeśli pan woli. Nie powinien wyrzucić poważniejszych skutków ubocznych. Najwyżej bóle głowy i przejściowe kłopoty z żołądkiem.

–Czy... czy została zgwałcona?

–Trudno mi to ocenić. Musiałbym przeprowadzić znacznie dokładniejsze badanie, niż jest możliwe w tych warunkach. Nawet jeśli tak się stało, to po walce. Wątpię, czy doszło do penetracji... ale sądzę, że próbowano tego dokonać.

–Ona nie wie o tym, prawda?

–Przykro mi, ale na to pytanie może odpowiedzieć wyłącznie pańska żona.

–Dziękuję, doktorze.

Trevayne wrócił do sypialni, wziął żonę za rękę i ukląkł przy łóżku.

–Jesteś waleczną kotką, wiesz o tym?

–Andy... – Phyllis Trevayne była już spokojna, lecz Andrew dostrzegł w jej oczach strach, którego nigdy do tej pory tam nie widział. – Ktokolwiek to był, usiłował mnie zgwałcić. Pamiętam to.

–To dobrze, bo mu się nie udało.

–Wątpię... Dlaczego, Andy? Dlaczego?

–Nie mam pojęcia, Phyl. Ale dowiem się.

–Dlaczego nie przyszedłeś?

–Brałem udział w wypadku. W każdym razie wtedy wydawało mi się, że to wypadek. Teraz nie jestem już tego taki pewien.

–Co zrobimy?

–Nie my, Phyl. Ja. Muszę skontaktować się z pewnym człowiekiem w Waszyngtonie. Nie chcę brać w tym udziału.

–Nie rozumiem...

–Ja też nie. Ale myślę, że istnieje jakiś związek.

Prezydent przebywa w Camp David, panie Trevayne. Obawiam się, że trudno byłoby teraz do niego dotrzeć. O co chodzi?

Trevayne powiedział Websterowi, co się stało jego żonie. Doradcy prezydenta na chwilę odjęło mowę.

–Słyszał mnie pan?

–Tak... Tak, słyszałem. To okropne!

–I to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Wie pan, czego dowiedziałem się od prezydenta i ambasadora Hilla?

–W znacznej części. Rozmawialiśmy o tym.

–Czy te sprawy są ze sobą powiązane? Muszę wiedzieć! Mam prawo wiedzieć!

–Nie potrafię udzielić panu odpowiedzi na to pytanie. Wątpię, czy potrafi to zrobić nawet sam prezydent. Jest pan w hotelu Plaza? Zadzwoń za kilka minut.

Webster przerwał połączenie, a Andrew Trevayne przez dłuższą chwilę ścisnął w dłoni milczącą słuchawkę. Mogą sobie to wszystko wsadzić w dupę! Przesłuchanie w Senacie zostało wyznaczone na drugą trzydziestą następnego dnia; powie im, żeby wynosili się do diabła i zostawili go w spokoju. Umowa nie dotyczyła Phyllis! Co innego, jeśli ktoś wziął jego na celownik; z tym mógł sobie poradzić. Ale nie rodzina!

Jutro o wpół do trzeciej da tym sukinsynom tak do wiwatu, że zapamiętają go na całe życie. A zaraz potem zwoła konferencję prasową. Niech się ten cały przeklęty kraj dowie, jakie świny urzędują w Waszyngtonie! Nie byli mu do niczego potrzebni. Przecież nazywa się Andrew Trevayne!

Odłożył słuchawkę i podszedł do hotelowego łóżka. Phyllis zasnęła. Usiadł na krześle i pogładził ją po włosach. Poruszyła się lekko, uniosła częściowo powieki, po czym znowu je zamknęła. Tak wiele już przeszła, a teraz jeszcze to!

Zadzwoił telefon. Andrew cofnął raptownie dłoń, zerwał się z krzesła i podbiegł do aparatu.

–Trevayne? Tu prezydent. Właśnie się dowiedziałem. Jak się czuje żona?

–Śpi, panie prezydencie.

Trevayne dziwił się samemu sobie. Mimo psychicznych tortur, jakie przechodził, pamiętał o tym, by powiedzieć: panie prezydencie.

–Boże, wprost brak mi słów! Co mam powiedzieć? Co mogę dla ciebie zrobić?

–Zwolnić mnie z danego słowa, panie prezydencie. Jeśli pan tego nie uczyni, jutro po południu będę miał wiele do powiedzenia. Zarówno pod czas przesłuchania, jak i po nim.

–Oczywiście, Andrew. To się rozumie samo przez się. – Prezydent Stanów Zjednoczonych umilkł na chwilę, po czym zapytał: – Czy... nic jej się nie stało?

–Chyba nie. Próbowali mnie zastraszyć. To ohydna... obrzydliwa sprawa.

Musiał na moment wstrzymać oddech, gdyż bał się słów, które cisnęły mu się na usta.

–Posłuchaj mnie, Trevayne! Andrew, posłuchaj! Możliwe, że nigdy mi nie wybacysz tego, co ci teraz powiem. Jeśli uznasz za stosowne, jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje i wysłuchać jutro od ciebie najostrzej szych słów potępienia. Nie będę cię powstrzymywał... Ale teraz pomyśl. Głową, nie sercem. Ja musiałem to robić już setki razy – jasne, że nie w takich okolicznościach, ale zapewniam cię, że też bardzo bolało. Kraj wie, że zostałeś wybrany. Przesłuchanie to jedynie formalność. Jeśli powiesz im, żeby zabierali się do diabła, czy nie sądzisz, że sprawisz żonie jeszcze więcej bólu? Nie rozumiesz tego? Im właśnie na tym zależy!

Trevayne nabrał głęboko powietrza, po czym odparł zupełnie spokojnym głosem:

–Nie mam zamiaru sprawiać żonie więcej bólu ani pozwolić, żebyście mieli z nami jeszcze cokolwiek wspólnego. Nie potrzebuję pana, panie prezydencie. Czy wyrażam się jasno?

–Najzupełniej. A ja całkowicie się z tobą zgadzam. Ale mam pewien kłopot: potrzebuję ciebie. Już ci powiedziałem, że to wstrętne...

Wstrętne! Wstrętne! Cóż za obrzydliwe słowo!

–Tak, wstrętne! – ryknął Andrew do telefonu.

–...ale w dalszym ciągu uważam, że powinienesz zastanowić się nad tym, co się wydarzyło – ciągnął prezydent, ignorując wybuch Trevayne'a. – Jeśli mogło się to zdarzyć tobie, a według wszelkich dostępnych danych należysz do najlepszych, pomyśl, co może spotkać innych. Czy w związku z tym powinniśmy się cofnąć? Czy właśnie to powinniśmy zrobić?

–Nikt mnie do tego nie wybierał! Nie jestem nikomu nic dłużny i pan doskonale o tym wie! Nie obchodzi mnie to!

–Dobrze wiesz, że to nieprawda. Ale nie odpowiadaj mi teraz. Zastanów się. Porozmawiaj z żoną. Mogę przesunąć termin przesłuchania. Ogłosimy, że nagle zachorowałeś.

–To nic nie da, panie prezydencie. Chcę się wycofać.

–Przemyśl to sobie. Proszę cię tylko o kilka godzin. Proszę cię o to osobiście oraz jako człowiek sprawujący najwyższy urząd w tym państwie. Błagam cię! Przekroczyliśmy linię, zza której nie wolno nam się cofnąć...

Ale jako człowiek oczywiście rozumiem pobudki, jakimi się kierujesz. Przekaż żonie serdeczne wyrazy współczucia i najlepsze pozdrowienia. Dobranoc, Andrew.

Trevayne usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki i po chwili sam uczynił to samo. Następnie sięgnął do kieszeni, wyjął papierosa, wsadził jednego do ust i zapalił brązową zapalką z firmowego kartonika z napisem „Plaza”. Nie miał się nad czym zastanawiać. Nie zamierzał zmieniać decyzji tylko po to, by dostosować się do taktycznych planów prezydenta obdarzonego niezwykłą umiejętnością przekonywania.

Musi przez cały czas pamiętać, że nazywa się Andrew Trevayne i że nikt nie jest mu potrzebny. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych.

–Andy?

Trevayne spojrzał na łóżko. Jego żona przekręciła głowę na poduszce i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

–Tak, kochanie?

Wstał z krzesła i podszedł szybko do niej. Z bliska widział, że jest tylko częściowo przytomna.

–Słyszałam. Słyszałam, co mówiłeś.

–O nic się nie martw. Rano przyjdzie lekarz, a potem pojedziemy od razu do Barnegat. Wszystko będzie dobrze. Teraz śpij.

–Andy?

–Słucham, najdroższa?

–On chce, żebyś został, prawda?

–To, czego on chce, nie ma najmniejszego znaczenia.

–Ma rację. Nie rozumiesz? Jeśli zrezygnujesz... to cię pokonali.

Phyllis Trevayne zamknęła oczy. Andrew wpatrywał się ze współczuciem w jej udręczoną, znużoną twarz. Wkrótce jednak uświadomił sobie, że oprócz bólu i zmęczenia widzi tam coś jeszcze.

Gniew i obrzydzenie.

Walter Madison przekręcił mosiężną klamkę, zamykając się od środka w swoim gabinecie. Wiadomość od Trevayne'a zastała go w restauracji, ale pomimo paniki, jaka go ogarnęła, wykonał wszystkie polecenia Andy'ego. Przede wszystkim skontaktował się z detektywem z hotelu Plaza i upewnił, że nikt nie zawiadamiał policji. Trevayne kategorycznie zażądał, by zarówno Phyllis, jak i całej rodzinie oszczędzono konieczności użerania się z prasą. Phyllis nie była w stanie powiedzieć

nic ani o samym zdarzeniu, ani o sprawcy; pourywane strzępy wspomnień były zatarte i niewyraźne.

Hotelowy detektyw zinterpretował na swój sposób konkretne i lakoniczne instrukcje Madisonsa – wpływowego prawnika pracującego dla jeszcze bardziej wpływowego Andrew Trewayne'a- i wcale nie ukrywał, w jakim kierunku zmierzała jego interpretacja. Madison zastanawiał się nawet, czy nie zaproponować mu pieniędzy, ale ostatecznie zrezygnował z tego zamiaru; wszyscy emerytowani policjanci dorabiający sobie w ekskluzywnych hotelach przejawiali skłonność do tego rodzaju domysłów.

Lepiej niech wierzy sobie w to, co chce. Z jego punktu widzenia nie zostało popełnione żadne przestępstwo. Interesowało go tylko to, czy uregulowano rachunek za uszkodzone wyposażenie hotelu.

Madison usiadł przy biurku i popatrzył na swoje trzęsące się ręce. Dzięki Bogu jego żona poszła już spać albo straciła świadomość. Co za różnica?

Starał się uporządkować ostatnie wydarzenia, spojrzeć na nie z perspektywy, która pozwoliłaby mu podjąć próbę ich choćby częściowego zrozumienia.

Wszystko zaczęło się trzy tygodnie temu od jednej z najbardziej lukratywnych ofert w jego karierze. Cicha usługa, świadczona i opłacana w całkowitej tajemnicy wyłącznie przez niego, bez udziału firmy ani wspólników. Nie była to dla niego zupełnie nieznaną praktyką, choć do tej pory przyjął bardzo niewiele takich zleceń. Zbyt często okazywało się, że nie były warte ani nerwów, ani ryzyka.

Tym razem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie. Niepodlegające opodatkowaniu. Pieniądze miały być przelewane z Paryża na jego konto w Zurychu. Czas trwania umowy: czterdzieści osiem miesięcy. Trzysta tysięcy dolarów.

Nie próbowano również ukryć przed nim, o kogo głównie chodzi w tym kontrakcie.

O Andrew Trewayne'a.

On, Walter Madison, od ponad dziesięciu lat był prawnikiem Trewayne'a.

Wymagania -jak na razie – były niewielkie. Miał przekazywać swoim nowym klientom wszystkie ważne lub zaskakujące informacje mające związek z Andrew i jego podkomisją, której jeszcze nawet nie zdążono powołać do życia. Oczywiście nie mógł dać żadnej gwarancji, że Trewayne będzie dopuszczał go do takich informacji.

Oczywiście.

Mógł podjąć takie działania wyłącznie na ryzyko klientów. To także było oczywiste.

Istniały spore szanse, że nigdy nie wystąpi konflikt interesów, a nawet gdyby coś takiego zdarzyło się, to przecież ujawniona przez niego informacja mogła pochodzić z dziesięciu różnych źródeł. Poza tym w normalnych warunkach uzbieranie trzystu tysięcy dolarów zajęłoby mu mnóstwo czasu.

Jednak w umowie nie było mowy o czymś takim jak to, co wydarzyło się dziś wieczorem w hotelu Plaza.

Ani słowa.

**Nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś mógłby skojarzyć jego nazwisko z taką ohydą.**

**Otworzył zamkniętą na klucz górną szufladę i wyjął z niej mały notes w skórzanej okładce. Otworzywszy go na literze K, przepisał na kartkę jeden z numerów.**

**Następnie podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać kolejne cyfry.**

**–Pan senator? Tu Walter Madison...**

**Kilka minut później drżenie ustąpiło z rąk prawnika.**

**Nie było żadnego związku między jego nowymi klientami a wydarzeniami, jakie nastąpiły w hotelu Plaza.**

**Senator był zaskoczony. I przerażony.**

## Rozdział 7

W zamkniętym przesłuchaniu miało uczestniczyć ośmiu senatorów reprezentujących możliwie najbardziej zróżnicowane opcje polityczne oraz kandydat, którego mieli zatwierdzić, czyli Andrew Trewayne.

Trewayne zajął miejsce obok Waltera Madisona i spojrzął na podwyższenie. Jak zwykle przy takich okazjach stał tam długi stół, przy nim odpowiednia liczba foteli, na stole mikrofony, z tyłu zaś, oparta drzewcem o ścianę, flaga Stanów Zjednoczonych. Przed podwyższeniem ustawiono małe biurko z maszyną do stenografowania.

Uczestnicy posiedzenia stali w małych grupkach, rozmawiając przyciszonymi głosami. Niektórzy zawzięcie gestykulowali. Kiedy ścienny zegar pokazał wpół do czwartej, grupki zaczęły się rozpraszać. Starszy mężczyzna, w którym Trewayne rozpoznał senatora z Nebraski – lub Wyoming – wspiął się po trzech stopniach wiodących na podwyższenie i podszedł do jednego z dwóch środkowych foteli. Mężczyzna nazywał się Gillette. Wziął do ręki drewniany młotek i zastukał nim lekko.

–Uprzejmie proszę o opuszczenie sali.

Był to sygnał dla tych, którzy nie zostali wyznaczeni do składu komisji. Pośpiesznie wymieniano uwagi i udzielano ostatnich wskazówek. Trewayne zdawał sobie sprawę, że skierowało się na niego wiele spojrzeń. Młody mężczyzna ubrany w schludny ciemny garnitur postawił przed nim popielniczkę, po czym uśmiechnął się niezręcznie, jakby miał ochotę coś powiedzieć. Była to krótka, ale bardzo niezwykła chwila.

Za długim stołem zaczęła zbierać się komisja. Wymieniano uprzejmości, lecz Andrew zauważył, że uśmiechy były skąpe i wymuszone; panowała napięta atmosfera. Słuszność jego obserwacji potwierdziło zdarzenie, na które w normalnych okolicznościach zapewne nikt nie zwróciłby uwagi. Senator Alan Knapp – czterdzieści kilka lat, proste czarne włosy zgarnięte starannie do tyłu z szerokiego czoła – nacisnął guzik mikrofonu i dmuchnął w sitko. Wzmocniony szum, jaki rozległ się z głośników, podziałał na zebranych niczym smagnięcie biczem. Niemal wszyscy spojrzeli ostro na kolegę – niektórzy z nieskrywaną wrogością. Możliwe, że na ich reakcję miała wpływ reputacja Knappa, znanego z dociekliwości graniczącej często ze zwykłym chamstwem. Kolejna niezwykła chwila.

Stary senator Gillette – Wyoming? Nie, chyba jednak Nebraska – wyczuł napięcie i powtórnie zastukał młotkiem w stół, po czym odchrząknąwszy lekko, wygłosił zwyczajową formułkę:

–Panowie, szanowni koledzy, panie podsekretarzu. Ogłaszam początek sześćset czterdziestego pierwszego przesłuchania przed komisją senacką w dniu dzisiejszym o godzinie szesnastej minut trzydzieści. Proszę o rozpoczęcie protokołowania.

Kiedy wpatrzona przed siebie niewidzącym spojrzeniem stenotypistka zaczęła poruszać palcami, Andrew uświadomił sobie, że to on był tym podsekretarzem. Po prostu jakimś podsekretarzem, jednym z wielu.

–Korzystając z okazji, iż moi znakomici koledzy powierzyli mi zaszczyt przewodniczenia obradom, pozwolę sobie zacząć od informacji dotyczących celu niniejszego posiedzenia. Po ich przedstawieniu będzie można wnieść ewentualne



uwagi i zastrzeżenia, aczkolwiek mam nadzieję, iż unikniemy tych ostatnich, jako że w tym przypadku różnice poglądów wynikające z odmiennych zapatrywań politycznych nie powinny mieć większego znaczenia.

Odpowiedziało mu poważne kiwanie głowami, kilka wypranych z wesołości uśmiechów i jedno lub dwa donośne westchnienia. Gillette otworzył leżącą przed nim teczkę i mówił dalej monotonnym głosem wojskowego oskarżyciela:

–Každy, w miarę zorientowany obywatel potwierdzi opinię, że stan naszej ekonomii obronnej budzi poważne zastrzeżenia. Jako wyłonieni w wolnych wyborach reprezentanci narodu mamy obowiązek wykorzystać przy znane nam przez konstytucję uprawnienia, by ujawnić wszelkie niedociągnięcia, a tam, gdzie to możliwe, naprawić je jak najprędzej. Możemy

i musimy tego dokonać. Zgodnie z życzeniem komisji do spraw obrony postanowiliśmy powołać podkomisję, której zadaniem będzie przeprowadzenie dogłębnej analizy najważniejszych kontraktów na dostawy sprzętu wojskowego. Zostały one przedstawione Senatowi do zaaprobowania, a zawarło je ministerstwo obrony z firmami produkującymi wspomniany sprzęt. Aby ograniczyć zasięg badań – a musiał on zostać zredukowany choćby ze względu na czas – zaproponowano, by podkomisja zajmowała się wyłącznie kontraktami opiewającymi na sumę przekraczającą półtora miliona dolarów. Jednak ostateczne decyzje w tej sprawie będą należały wyłącznie do podkomisji.

Celem naszego spotkania jest zaakceptowanie lub odrzucenie kandydatury pana Andrew Trevayne'a, byłego podsekretarza stanu, na przewodniczącego wspomnianej podkomisji. Posiedzenie odbywa się przy drzwiach zamkniętych, jego zapis zaś pozostanie utajniony aż do odwołania, w związku z czym gorąco namawiam kolegów, by sięgnęli w głąb swoich sumień i dali wyraz wszystkim wątpliwościom, na jakie natrafiają. Oprócz tego...

–Panie przewodniczący...

Cichy, niepewny głos Andrew Trevayne'a tak bardzo zdumiał wszystkich zebranych, że nawet stenotypistka zrzuciła na chwilę maskę obojętności i spojrzała na człowieka, który ośmielił się przerwać przewodniczącemu jego przemówienie. Walter Madison instynktownie wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Trevayne'a.

–Panie Trevayne?... Panie podsekretarzu?... – wykrztusił zaskoczony Gillette.

–Przepraszam. To chyba nie jest odpowiednia chwila... Bardzo przepraszam.

–A o co chodzi, jeśli wolno wiedzieć?

–O uściślenie pewnej sprawy, ale to może poczekać. Jeszcze raz przepraszam.

–Panie przewodniczący! – wykrzyknął drapieżny senator Knapp. – Brak szacunku okazany przez pana podsekretarza jest doprawdy zdumiewający. Jeżeli rzeczywiście pragnie wprowadzić jakieś uściślenie, to naprawdę może z tym poczekać!

–Nie znam dokładnie zwyczajów panujących podczas takich przesłuchań, panie senatorze. Bałem się, że potem umknie mi to z pamięci. Naturalnie ma pan rację. – Trevayne sięgnął po długopis, jakby zamierzał coś zapisać.

–Musiał pan to uznać za coś niezmiernie ważnego, panie podsekretarzu – odezwał się senator z Nowego Meksyku, pięćdziesięciokilkuletni, cieszący się powszechnym

szacunkiem chicano. Nietrudno było się zorientować, że nie spodobała mu się uwaga Alana Knappa.

–Istotnie, panie senatorze – odparł Trevayne, po czym zajął się sporządzeniem krótkiej notatki. Przez kilka sekund w sali panowała kompletna cisza. Przerwa w normalnym toku obrad stała się faktem.

–Cóż, panie Trevayne... – Senator Gillette wydawał się nieco zbity z tropu. – Jest całkiem możliwe, że ma pan rację, choć pańskie zachowanie różni się nieco od tego, do czego przywykliśmy. Nigdy nie bronilem poglądu, że wystąpienia przewodniczącego są nienaruszalną świętością. Zbyt często sam musiałem walczyć z pokusą, by je przerwać. Bardzo proszę, panie podsekretarzu. Pańskie uściślenie.

–Dziękuję, panie przewodniczący. Wspomniał pan, iż celem tego posiedzenia jest podzielenie się wszelkimi możliwymi wątpliwościami... Nie bardzo wiem, jak to wyrazić, ale muszę stwierdzić, że ja również miałem poważne wątpliwości, panie przewodniczący.

–Wątpliwości? – zapytał Mitchell Armbruster, nieduży, krępy senator z Karoliny, znany zarówno ze zdrowego rozsądku, jak i poczucia humoru. – Wszyscy rodzimy się nafaszerowani wątpliwościami, tyle że zdajemy sobie z nich sprawę dopiero wtedy, kiedy dorośniemy. O jakich wątpliwościach pan mówi? Odnoszących się do tematu naszego posiedzenia, rzecz jasna?

–Dotyczą one tego, czy nowo powstająca podkomisja będzie się cieszyła wystarczającym poparciem i współpracą, niezbędnymi do jej prawidłowego funkcjonowania. Mam nadzieję, że zechcą panowie rozważyć wszystkie implikacje wiążące się z tym pytaniem.

–To brzmi jak ultimatum, panie Trevayne – zauważył Knapp.

–Skądże znowu, senatorze. Takie postępowanie z mojej strony byłoby całkowicie nieuzasadnione.

–Mimo to wydaje mi się, że pańskie implikacje są co najmniej obraźliwe. Czyżby miał pan zamiar urządzić tutaj sąd nad Senatem Stanów Zjednoczonych?

–Nie wiedziałem, że znajdujemy się w sądzie – odparł uprzejmie Trevayne, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

–Diabelnie dobra uwaga – zgodził się z uśmiechem Armbruster.

–Doskonale, panie podsekretarzu – odezwał się Gillette. – Pańskie wyjaśnienie zostało wprowadzone do protokołu i odnotowane z uwagą przez komisję. Czy zadowala to pana?

–Oczywiście. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję, panie przewodniczący.

–Skoro tak, to pozwolę sobie dokończyć moje uwagi wstępne, po czym przejdziemy do meritum sprawy.

Gillette mamrotał jeszcze przez kilka minut, określając zasięg tematyczny pytań, na które należało uzyskać odpowiedzi. Dzieliły się one na dwie podstawowe kategorie; w pierwszej mieściły się pytania związane z kwalifikacjami Andrew

Trevayne'a do objęcia proponowanego mu stanowiska, w drugiej zaś dotyczące niemożliwego do uniknięcia, lecz niezmiernie ważnego czynnika, jakim był konflikt interesów.

–Czy są jakieś uzupełnienia, poprawki lub wyjaśnienia oprócz tych zgłoszonych już przez pana podsekretarza? – zakończył Gillette.

–Panie przewodniczący...

–Oddaję głos senatorowi z Vermontu.

James Norton, nieco ponad sześćdziesiąt lat, krótkie siwe włosy, charakterystyczny akcent, spojrzał na Trevayne'a.

–Panie podsekretarzu, szanowny pan przewodniczący w typowy dla siebie, jasny i precyzyjny sposób określił dwa obszary zagadnień, jakie będą nas interesować podczas tego posiedzenia. Bez wątplenia zadawane przez nas pytania będą kompetentne i wnikliwe. Ja jednak pragnę poruszyć jeszcze jeden temat, a mianowicie pańską filozofię. Mówiąc prościej, chcielibyśmy się dowiedzieć, na jakich zasadach opiera pan swoje postępowanie. Czy wyświadczy pan nam tę uprzejmość?

–Naturalnie, senatorze – odparł z uśmiechem Trevayne. – Myślę nawet, że moglibyśmy wymienić informacje na ten temat. Byłoby chyba dobrze poznać stanowisko nas wszystkich lub przynajmniej tę jego część, która pozostaje w związku z przedmiotem naszego zainteresowania.

–To nie m y mamy zostać tu zatwierdzeni! – rozległo się z głośników warknięcie Alana Knappa.

–Z całym należnym szacunkiem proszę pana senatora, by zechciał zapoznać się z moimi wcześniejszymi uwagami – powiedział spokojnie Trevayne.

Walter Madison ponownie położył rękę na ramieniu Trevayne'a.

–Panie przewodniczący? Czy pozwoli mi pan zamienić kilka słów z moim klientem?

–Naturalnie, panie Madison.

Kilku członków komisji uprzejmie zajęło się rozmową lub przekładaniem papierów, większość jednak wpatrywała się w Trevayne'a i Madisona.

–Andy, co ty wyrabiasz? Chcesz postawić wszystko na głowie?

–Osiągnąłem swój cel...

–Niestety. Ale po co?

–Muszę mieć pewność, że unikniemy niedomówień. Za każdym razem, kiedy zwrócę ich uwagę na jakiś temat, musi to zostać odnotowane w protokole. Jeśli mnie zatwierdzą, przynajmniej będą wiedzieć, czego od nich oczekuję.

–Na litość boską, człowieku! Przecież odwracasz kota ogonem! Ty próbujesz zatwierdzać Senat.

–Chyba masz rację.

–Dlaczego to robisz? Co chcesz osiągnąć?

–Przygotowuję pole bitwy. Jeśli mnie przepuszczą, to nie dlatego, że będą chcieli, ale dlatego, że będą musieli. Ponieważ rzuciłem im wyzwanie.

–Wyzwanie? Jakie wyzwanie? Z jakiego powodu?

–Z powodu zasadniczej różnicy między mną a nimi.

**–Co to znaczy?**

**–To, że jesteśmy naturalnymi wrogami – stwierdził Trevayne, uśmiechając się lekko.**

**–Oszalałeś!**

**–Jeśli tak się okaże, to wszystkich przeproszę. A teraz bierzmy się do roboty. – Trevayne przeniósł wzrok na podwyższenie. Powoli przyjrzał się dokładnie każdemu członkowi komisji. – Panie przewodniczący, mój adwokat i ja doszliśmy już do porozumienia.**

**–Tak, naturalnie... Uważam, że senator z Vermontu wprowadził uzupełnienie dotyczące... filozofii pana podsekretarza. Przyjmują, iż chodzi tu o przekonania światopoglądowe w najszerzej pojmowanym zakresie, nie zaś drugorzędne sympatie polityczne, które dla obrad tej komisji nie mogą mieć najmniejszego znaczenia.**

**Gillette zerknął sponad okularów na Nortona, aby upewnić się, czy właściwie zrozumiał jego słowa.**

**–Całkowicie się z panem zgadzam, panie przewodniczący.**

**–Wierzyłem, że tak będzie, senatorze! – zachichotał Armbruster z Kalifornii. Norton i Armbruster nie tylko siedzieli przy stole po przeciwnych jego końcach, ale różnili się poglądami politycznymi tak bardzo, jak ich stany położeniem geograficznym.**

**–Jeżeli się nie mylę, pan podsekretarz wprowadził również swoje uzupełnienie – odezwał się Knapp, zapominając zwrócić się do przewodniczącego o pozwolenie zabrania głosu. – Wydaje mi się, że zastrzegł sobie prawo do zadawania podobnych pytań członkom tej komisji. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by takie prawo powinno być mu przyznane.**

**–Nie zgadzam się z panem, senatorze – powiedział Trevayne do mikrofonu. – Nie uczyniłem takiego zastrzeżenia. Bardzo mi przykro, jeśli moje wystąpienie zostało odebrane w taki sposób. Nie mam prawa ani powodu oceniać indywidualnych zapatrywań panów senatorów. Miałem na myśli tylko to, że komisja jako całość powinna zapewnić mnie o swoim całkowitym oddaniu sprawie. Powtarzam raz jeszcze: jako całość.**

**–Panie przewodniczący?**

**O głos poprosił zaawansowany wiekiem senator z Wirginii Zachodniej. Był mało znany poza swoim klubem partyjnym, natomiast bardzo lubiany wśród kolegów, zarówno ze względu na niekonfliktowy charakter, jak i bystrość umysłu.**

**–Proszę, senatorze Talley.**

**–Chciałbym zapytać pana Trevayne'a, dlaczego zdecydował się poruszyć ten temat. Wszystkim nam przyświeca ten sam cel; gdyby tak nie było, nie siedzielibyśmy tutaj. Przypuszczałem, że będzie to jedno z najkrótszych posiedzeń komisji w historii Senatu. Szczerze mówiąc, darzę pana ogromnym zaufaniem. Czy moje odczucie pokrywa się z pańskim? Jeśli nie w aspekcie indywidualnym, to przynajmniej całościowym, aby użyć pańskiego sformułowania.**

**Trevayne spojrzął z oczekiwaniem na przewodniczącego. Gillette skinął głową.**

**–Naturalnie, senatorze Talley. Oprócz tego żywię do panów także wielki**

szacunek. Właśnie ze względu na to zaufanie i szacunek pragnąłbym, żeby z protokołu wynikało jasno, że dobrze się zrozumieliśmy. Podkomisja, którą ewentualnie mam kierować, okaże się całkowicie bezradna, jeśli nie będzie cieszyła się odpowiedzialnym poparciem tak wpływowych ludzi jak panowie. – Trevayne umilkł na chwilę i z niewinną miną spojrzał kolejno w oczy wszystkim mężczyznom siedzącym przy długim stole. – Jeśli panowie poprzecie moją kandydaturę – a wierzę, że tak się stanie – będę potrzebował waszej pomocy. Senator z Wirginii Zachodniej nie zauważył niepewnych poruszeń kilku kolegów.

–W takim razie pozwoli pan, panie podsekretarzu, że sformułuję swoją uwagę w odmienny sposób. Jestem wystarczająco stary lub wystarczająco naiwny, a może obie te rzeczy mają jednakowe znaczenie, by wierzyć, że ludzie dobrej woli – choć często różniący się opiniami – mogą w razie potrzeby połączyć siły, by służyć wspólnej sprawie. Zaufanie, które pan podobno do nas żywi, powinno znaleźć potwierdzenie w naszych słowach, które padną na tej sali. Gdyby okazało się, że tak nie jest, wtedy będzie pan mógł z czystym sumieniem podjąć ten problem. Nie wydaje się panu, że taka kolejność byłaby znacznie lepsza?

–To znakomita rada, panie senatorze. Obawiam się, że moja niepotrzebna nerwowość pozbawiła mnie na chwilę ostrości widzenia. Spróbuję nie wracać już do tej kwestii.

Gillette zerknął na Trevayne'a znad okularów; kiedy się odezwał, w jego głosie dała się wyraźnie słyszeć nuta irytacji.

–Wolno panu wracać do każdej kwestii, panie podsekretarzu. To prawo dotyczy także komisji, ma się rozumieć. – Przeniósł wzrok na swoje notatki. – Senatorze Norton, poruszył pan problem ogólnej filozofii pana Trevayne'a. Czy mógłby pan to uściślić? Prosiłbym jednak, by zbytnio pan się nie rozwodził, abyśmy mogli szybko zająć się kolejnymi sprawami. Przypuszczam, że chciałby pan usłyszeć potwierdzenie, że nasz gość uznaje podstawowe prawa obowiązujące w tym kraju?

–Panie podsekretarzu... – Ciężki akcent Nortona zabrzmiał chyba odrobinę wyraźniej, niż to było konieczne. Senator był znany z tego, że potrafił znakomicie wykorzystywać swoje jankeskie pochodzenie. Dzięki temu szczególnie dobrze wypadał w telewizji. Sprawiał wówczas wrażenie solidnego Amerykanina, stojącego mocno obiema nogami na ziemi. – Będę się streszczał ze względu na nas wszystkich... Chcę pana zapytać, czy popiera pan system polityczny panujący w naszym kraju?

–Oczywiście, że tak. – Trevayne'a zdziwiła pozorna naiwność pytania. Ale nie na długo.

–Panie przewodniczący – odezwał się nagle Alan Knapp, jakby tknięty jakąś myślą. – Mnie jednak bardzo zaniepokoił pewien szczegół kariery po litycznej pana podsekretarza. Panie podsekretarzu, określa się pana często jako człowieka niezależnego, prawda?

–Bo tak jest w istocie.

–To interesujące. Oczywiście, zdają sobie sprawą, że w wielu kręgach określenie „politycznie niezależny” cieszy się znaczną estymą. Ma taki miły, przytulny

wydzwięk...

–Na pewno nie tym się kierowałem, panie senatorze.

–Istnieje jeszcze inny aspekt takiej postawy – ciągnął Knapp, nie zwróciwszy uwagi na odpowiedź Trevayne'a. – Aspekt, który ma niewiele wspólnego z autentyczną niezależnością... Panie Trevayne, czy to prawda, że pańskie fabryki osiągały tak znakomite wyniki finansowe w znacznej mierze dzięki zamówieniom rządowym, szczególnie w okresie maksymalnego wzrostu wydatków na badania kosmosu?

–Tak jest. Myślę, że uczciwie na to zapracowaliśmy.

–Mam nadzieję. Zastanawiam się jednak, czy u podstaw pańskiego braku politycznego zaangażowania nie leżały inne przyczyny niż tylko ideologiczne. Nie opowiadając się po żadnej ze stron, unikał pan uczestnictwa w wielu konfliktach, czyż nie tak?

–To także nie było moją intencją.

–Trudno komukolwiek wejść z panem w spór polityczny, gdyż pańskie poglądy były szczelnie ukryte pod przykrywką z napisem „niezależny”.

–Chwileczkę, senatorze! – zareagował gwałtownie przewodniczący.

–Jeśli wolno mi odpowiedzieć na...

–Będzie panu wolno, panie Trevayne, ale po tym, jak ja powiem, co o tym myślę. Senatorze Knapp, chyba dałem jasno do zrozumienia, że ta komisja powinna wznieść się ponad podziały partyjne. Oceniam pańskie uwagi jako nieistotne, a pod wieloma względami także co najmniej niezręczne. Proszę, panie podsekretarzu.

–Chciałem tylko powiedzieć panu senatorowi, że każdy, kogo to interesuje, może poznać moje poglądy polityczne w bardzo prosty sposób, to znaczy, pytając mnie o nie. Wcale się ich nie wstydzę. Z drugiej strony jednak nie wiedziałem, że zamówienia rządowe rozdziela się według jakiegoś klucza wynikającego z sympatii politycznych...

–Właśnie o to mi chodziło, panie Trevayne. – Knapp zwrócił się w stronę centralnej części stołu. – Panie przewodniczący, podczas siedmiu lat, jakie spędziłem w Senacie, wielokrotnie popierałem ludzi, których przekonania polityczne znacznie różniły się od moich, a także odmawiałem poparcia członkom mojej partii. Decyzja zależała od konkretnego problemu. My wszyscy, jako uczciwi ludzie, wyznajemy taką samą etykę. W naszym kandydacie najbardziej niepokoi mnie właśnie to, że pragnie być nazywany „bezpartyjnym”. Ogromnie mnie to niepokoi. Boję się, kiedy tacy ludzie obejmują odpowiedzialne stanowiska. Zastanawiam się, na czym polega ich tak zwana niezależność i czy przypadkiem nie stanowi ona tylko wygodnego parawanu, okrywającego skłonność do podążania w kierunku, w którym akurat w tej chwili wieje silniejszy wiatr.

W sali zapadła cisza. Przerwał ją Gillette, który zdjął okulary i powiedział do Knappa:

–Oskarżenie o hipokryzję to poważna insynuacja, senatorze.

–Proszą mi wybaczyć, ale sam pan nam polecił, byśmy sięgnęli w głąb naszych sumień... Jak zauważył kiedyś sędzia Brandeis, sama uczciwość to za mało. Musi jej

towarzyszyć spójność. Tak jak z żoną Cezara, panie przewodniczący.

–Czy pan sugeruje, senatorze, bym wstąpił do jakiejś partii? – zapytał z niedowierzaniem Trevayne.

–Ja niczego nie sugeruję, tylko daję wyraz wątpliwościom, co jest zadaniem tej komisji.

–Pan nie... Och, przepraszam. Panie przewodniczący?

–Bardzo proszę, senatorze.

John Morris, senator z Illinois, zabrał głos po raz pierwszy od początku posiedzenia. Był jego najmłodszym uczestnikiem. Liczył sobie trzydzieści kilka lat i dał się już wielokrotnie poznać jako znakomity prawnik. W każdej komisji, w której skład wchodził, nazywano go „nastolatkiem”. Określenie to stanowiło substytut innego wyrażenia, gdyż Morris był Murzynem – jednym z tych, którzy błyskawicznie piali się w górę po szczeblach kariery.

–Pan nie dał wyrazu wątpliwościom, panie Knapp, tylko rzucił poważne oskarżenie. Oskarżył pan znaczną część elektoratu o nieuczciwe zamiary. Sprowadził pan tych ludzi do roli obywateli drugiej kategorii. Rozumiem subtelności pańskiego rozumowania i zdają sobie sprawą, że w określonych sytuacjach mogą one odgrywać pewną rolę, lecz zapewniam, iż tutaj nie mają one najmniejszego znaczenia.

Senator z Nowego Meksyku, powszechnie szanowany chicano, pochylił się do przodu i popatrzył na Morrisa.

–W tym gronie tylko my dwaj rozumiemy, co to znaczy być obywatelem drugiej kategorii. Moim zdaniem problem jednak jest istotny – przynajmniej w takim stopniu, żeby zaznaczyć jego istnienie. Prędzej czy później wszystko sprowadza się do rachunków i bilansów. Na tym polega nasz system. Myślą jednak, że problem ten może zostać rozwiązany dzięki jednej zwięzłej odpowiedzi człowieka, którego przed sobą widzimy. Panie podsekretarzu, czy dla potrzeb protokołu możemy stwierdzić, iż... nie przejawia pan skłonności do podążania w kierunku, w którym akurat wieje najsilniejszy wiatr?

–Tak, senatorze.

–Dziękuję. Nie mam więcej pytań w tej sprawie.

–Senatorze...

–Słucham, panie Trevayne?

–A pan?

–Nie rozumiem...

–Jak to wygląda w pańskim przypadku? Czy na pana decyzje i na decyzje każdego z osobna członka tej komisji nie mają wpływu żadne zewnętrzne naciski?

Kilku senatorów zaczęło jednocześnie mówić do mikrofonów podniesionymi głosami, Armbruster parsknął śmiechem, natomiast senator Weeks z Marylandu skrył uśmiech za pośpiesznie wyciągniętą z kieszeni chusteczką. Przewodniczący sięgnął po młotek.

Kiedy na sali zapanował spokój, senator Norton dotknął ramienia senatora Knappa. Był to umówiony znak. Spojrzenia obu mężczyzn spotkały się i Norton lekko, ale wyraźnie potrząsnął głową. Znaczenie wiadomości było jasne jak słońce.

**Knapp uniósł nieco jedno skrzydło plastikowej okładki leżącej przed nim na stole, dyskretnie wysunął spod niej cienką teczkę, otworzył stojącą na podłodze aktówkę i włożył teczkę do środka.**

**Na teczce napisano jedno nazwisko: Mario de Spadante.**



## Rozdział 8

Piętnaście po czwartej ogłoszono przerwę, która miała trwać do piątej. Podczas tych czterdziestu pięciu minut uczestnicy posiedzenia mogli zadzwonić do domu, dokonać korekt w planie dnia, skonsultować się z doradcami lub wydać polecenia asystentom.

Po wybuchu, jaki nastąpił po uprzejmym, lecz całkowicie niespodziewanym pytaniu Trevayne'a, Gillette zdołał ominąć czające się niebezpiecznie blisko rafy czczych inwektyw i słownych przepychanek i skierować przesłuchanie na spokojniejsze wody merytorycznych kwalifikacji kandydata.

Andrew był znakomicie przygotowany; udzielał szybkich, zwięzłych i wyczerpujących odpowiedzi. Zaskoczył tym nawet Waltera Madisona, który już dość dawno przestał się dziwić czemukolwiek, co miało związek z jego niezwykłym klientem. Andrew w ogóle nie korzystał z obszernych zestawień wypełnionych nieaktualnymi danymi i jeszcze bardziej nieaktualnymi szacunkami. Żonglował faktami i wyjaśnieniami z taką pewnością siebie, że nawet ci, którzy starali się za wszelką cenę zachować swoje niechętnie nastawienie, musieli, przynajmniej częściowo, zmienić zdanie.

Jego absolutna wiedza na temat transakcji i kontraktów z przeszłości oszołomiła komisję i skłoniła senatora Gillette'a do wyrażenia opinii, iż nie jest wykluczone, że po wznowieniu obrad uda się zakończyć posiedzenie jeszcze przed godziną siódmą wieczorem.

–Świetnie sobie radzisz, Andrew – powiedział Madison. Wstał z fotela i przeciągnął się, prostując zdrętwiałe stawy.

–Jeszcze nawet nie zacząłem, panie doradco. Zaczekaj na drugi akt.

–Tylko proszę cię, nie przesadzaj! Wszystko układa się po naszej myśli. Jak tak dalej pójdzie, wyjdziemy stąd o szóstej. Uważają cię za komputer z ludzkimi procesami myślowymi. Postaraj się nie psuć tego wrażenia.

–Im to powiedz, Walterze. Powiedz im, żeby tego nie psuli.

–Jezus, Maria, Andy! O co ci...

–Znakomity występ, młody człowieku – powiedział, podchodząc do nich senator Talley, były sędzia okręgowy z Wirginii Zachodniej. Wiekowy dżentelmen nie zauważył, że przeszkodził w rozmowie.

–Dziękuję panu, senatorze. To mój adwokat, Walter Madison.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

–Odnoszę wrażenie, że czuje się pan trochę zbędny, panie Madison. Rzadko się zdarza, żebyście wy, znakomici nowojorscy prawnicy, pozwolili wszystko mówić swojemu klientowi.

–Już się do tego przyzwyczailem, senatorze. Chyba nikt w całej historii adwokatury nie otrzymał mniej zasłużonego honorarium.

–Co chyba jest nieprawdą, bo gdyby tak było, to na pewno by pan tego nie powiedział. Pracowałem w sądzie przez dwadzieścia przeklętych lat.

Do grupki dołączył Knapp; Trevayne natychmiast instynktownie napiął wszystkie mięśnie. Nie lubił Knappa, nie tylko z powodu jego niczym nieuzasadnionej

obcesowości, ale także dlatego, że senator przypominał mu drapieżnego inkwizytora. Co powiedział ambasador Hill? „Nie chcemy inkwizytora”...

Ale Knapp stojący teraz przed Trevayne'em wcale nie przypominał zimnego faceta sprzed kilku minut. Uśmiechnął się szeroko i mocno uściśnął rękę Andrew.

–Znakomicie! Naprawdę znakomicie! Chyba obrył się pan jak prezydent przed konferencją prasową... Senatorze? Panie Madison?

Kolejne uściski dłoni. W raptownej zmianie nastroju było coś niesamowicie sztucznego. Trevayne czuł się w tym wszystkim zupełnie nie na miejscu.

–Nie ułatwia mi pan zadania – powiedział, uśmiechając się chłodno do Knappa.

–Boże, człowieku, nie bierz tego do siebie! Ja wykonuję swoją robotę, a ty swoją, zgadza się, Madison? Mam rację, senatorze?

Talley nie zgodził się tak szybko jak Madison.

–Być może masz rację, Alan. Ja osobiście staram się unikać nieprzyjemnych sytuacji, choć wy chyba zupełnie się tym nie przejmujecie.

–To oczywiste.

–Pozwolę sobie przytoczyć przykład, który to dobrze zilustruje – powiedział senator Armbruster z Kalifornii. Stał obok nich z założonymi rękami i fajką w zębach. – Dobra robota, Trevayne... Otóż brałem kiedyś udział w przesłuchaniu, podczas którego Knapp dosłownie ukrzyżował jakiegoś nieszczęśnika. Zaraz po zakończeniu posiedzenia zobaczyłem, jak obaj pędzą na złamanie karku do wyjścia. Byłem pewien, że zaraz za progiem zaczną okładać się pięściami, ale wiecie, co się okazało? Chcieli jak najszybciej złapać taksówkę, bo żony czekały już na nich przy zarezerwowanym stoliku w restauracji! Niezły z pana oryginał, senatorze.

Knapp roześmiał się.

–Czy uwierzycie, że piętnaście lat wcześniej był świadkiem na moim ślubie?

–Panie podsekretarzu... – W pierwszej chwili Trevayne nie zorientował się, że chodzi o niego. Ktoś dotknął jego ramienia. Był to senator Norton. – Mogę zamienić z panem słówko na osobności?

Trevayne odłączył się od rozprawiającej żywo grupki. Madison i Knapp sprzeczekali się o interpretację jakiegoś przepisu, Armbruster zaś wypytywał Talleya o szczegóły zbliżającego się jesienno sezonu polowań w Wirginii Zachodniej.

–Słucham, senatorze?

–Jestem pewien, że wszyscy już to panu powiedzieli. We wspaniałym stylu pokonał pan najbardziej wzburzone wody i jest pan już tylko na rzut harpunem od portu...

–Pochodzę z Bostonu, senatorze, i czasem lubię pozełgować, ale nie jestem wielorybnikiem. Mógłby pan wyrażać się nieco jaśniej?

–Bardzo proszę. Oszczędzę panu komplementów, choć z pewnością na wszystkie pan sobie zasłużył. Wymieniłem opinie z kolegami. Nie będę ukrywał, że rozmawialiśmy też sporo przed rozpoczęciem posiedzenia. Chcemy, aby pan wiedział, że całkowicie zgadzamy się z prezydentem. Jest pan najlepszym kandydatem na to stanowisko.

–Wybaczy mi pan chyba, jeśli powiem, że dajecie mi to odczuć w dość niezwykły

sposób.

Norton obdarzył go skąpym uśmiechem jankeskiego handlarza; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że właśnie zabiera się do przeprowadzenia jakiejś transakcji.

–To nie jest niezwykle, Trewayne, tylko niezbędne. Pamiętaj, młody człowieku, że znalazłeś się pod ostrzałem wielu spojrzeń. Jeśli powinie ci się noga – w co nikt nie wierzy, nawiasem mówiąc – protokół z tego przesłuchania będzie przeglądany litera po literze. Zrozum nas: nie ma w tym nic osobistego.

–To samo powiedział Knapp.

–I miał rację. Choć wątpię, czy Talley by to zrozumiał. Do licha, tam w Wirginii Zachodniej nawet nie wystawiają przeciwko niemu poważnego kontrkandydata!

–Czyli Talleya nie było wśród kolegów, z którymi pan rozmawiał?

–Szczерze mówiąc, nie.

–A pan jeszcze nie powiedział tego, co miał do powiedzenia?

–Człowieku, zwolnij trochę! Staram się wytłumaczyć ci, na czym polega procedura, żebyś nas zrozumiał. Właściwie już zostałeś zatwierdzony... To znaczy: zostaniesz, chyba że zmusisz nas do zmiany zdania, choć szczerze mówiąc, nikt z nas tego nie chce.

Trewayne utkwiał ostre spojrzenie w twarzy Nortona. Widywał wielu podobnych do niego, przygarbionych i pomarszczonych ludzi, którzy godzinami opierali się o płoty na wsi lub wpatrywali w ciągnące się po horyzont morze. Nigdy nie było wiadomo, ile zrozumienia kryje się w tych wyblakłych oczach.

–Senatorze, jedyne, czego oczekuję od panów, to wyraźnego stwierdzenia, że kierowana przeze mnie podkomisja będzie mogła działać na zasadach całkowitej swobody. Jeśli nie możecie mi tego zapewnić, to przynajmniej dajcie gwarancje, że uchronicie ją przed naciskami z zewnątrz. Czy to naprawdę tak wiele?

–Na zasadach całkowitej swobody? – powtórzył powoli Norton, obracając każde słowo niczym doświadczony handlarz i przyglądając mu się uważnie pod światło. – Hmm... Pozwól, że coś ci powiem, synu. Wielu ludzi ogromnie nie lubi, kiedy ktoś upiera się, żeby działać „na zasadach całkowitej swobody” i zastrzega się, że nie ma zamiaru ulegać naciskom. Istnieją dwa rodzaje nacisków: dobre i złe. Nikt nie lubi tych drugich, ale dobre naciski to zupełnie inna sprawa. Czasem warto jest wiedzieć, że facet, na którego patrzysz, jest odpowiedzialny jeszcze przed kimś innym niż tylko przed Bogiem.

–Nigdy nie miałem zamiaru żądać niczego więcej.

–Ale na pewno myślał pan o tym, prawda? Trewayne, ta komisja nie ma na celu zaspokojenia osobistych ambicji żadnego człowieka. Jej zadanie jest znacznie poważniejsze. Nie wiem, czy dysponuje pan odpowiednim typem osobowości. Nie potrzebujemy na tym stanowisku drugiego Savonaroli.

Norton bez zmruczenia powiek wpatrywał się w oczy Trewayne'a. Sprzedawał abstrakcyjne myśli tak, jakby było to końskie mięso, i był w tym bardzo dobry. Dawał wszystkim do zrozumienia, że jest filozoficzną solą brązowej matki ziemi.

Trewayne odpowiedział identycznym spojrzeniem. Starał się dostrzec hipokryzję,

której obecność wyraźnie czuł, lecz jego wysiłki spełzły na niczym.

–Będzie pan musiał podjąć decyzję, senatorze.

–Czy pozwoli pan, że zamienią kilka słów z pańskim prawnikiem? Jak on się nazywa?

–Walter Madison. Bardzo proszę. Zapewne powie panu, że jestem okropnym klientem. Jego zdaniem nigdy go nie słucham.

–Nie zaszkodziłoby kiedyś spróbować, młody człowieku. Jesteś bardzo uparty. Ale mimo to lubię cię.

Norton odwrócił się i skierował w stronę Madisona i Knappa.

Trevayne spojrział na zegarek. Do rozpoczęcia drugiej części posiedzenia zostało dwadzieścia minut. Zadzwoń do hotelu i dowie się, czy Phyllis wróciła już z zakupów. Prezydent namówił go, żeby ją ze sobą zabrał. Po przesłuchaniu mieli oboje zjawić się w Białym Domu. W prasie ukażą się zdjęcia prezydenta gawędzącego przyjaźnie z Andrew Trevayne'em i jego żoną. Phyllis zrozumiała, dlaczego było to takie ważne.

James Norton wyciągnął rękę do Waltera Madisona. Gdyby ktoś ich w tej chwili obserwował, z pewnością odniósłby wrażenie, że senator przedstawia się prawnikowi.

Bardzo by się pomylił.

–Do cholery, Madison! Co to ma być, u licha? On coś przeczuwa! Nie powiedziałaś nam o tym!

–Bo o niczym nie wiedziałem! Właśnie tłumaczyłem Knappowi, że nie mam pojęcia, o co tu chodzi!

–Więc lepiej się dowiedz – warknął Alan Knapp.

Komisja wznowiła obrady siedem po piątej. Opóźnienie spowodowali trzej senatorowie, którzy nie zdążyli wrócić na czas do sali posiedzeń. Dzięki temu Walter Madison miał okazję porozumieć się ze swoim klientem.

–Rozmawiał ze mną Norton.

–Wiem – odparł z uśmiechem Trevayne. – Prosił mnie o pozwolenie.

–Andy, w tym, co on mówi, jest pewna logika. Nie poprą cię, jeśli będą uważać, że masz ochotę zagarnąć absolutną władzę. Gdybyś był na ich miejscu, postąpiłbyś dokładnie tak samo. Przypuszczam, że nawet byłbyś jeszcze twardszy.

–Zgadza się.

–W takim razie, o co ci chodzi?

–Nie jestem pewien, czy zależy mi na tej posadzie – powiedział Trevayne, wpatrując się gdzieś daleko przed siebie. – Na pewno jej nie przyjmę, jeżeli nie uda mi się wszystkiego załatwić po mojej myśli. Powiedziałem to tobie, a także Baldwinowi i Websterowi. – Spojrział na swojego adwokata. – Nic z tego, co zrobiłem w przeszłości, nie usprawiedliwia oskarżenia o to, że chcę być drugim Savonarolą.

–Kim?

–Savonarolą. To właśnie zarzucił mi Norton. Ty nazwałeś to „ochotą zagarnięcia absolutnej władzy”. O niczym takim nie myślałem i oni doskonale o tym wiedzą. Jeśli zostanę zatwierdzony, muszę mieć pewność, że w każdej chwili mogę wejść do gabinetu każdego z obecnych tu senatorów i otrzymać taką pomoc, o jaką poproszę.

To absolutna konieczność... Składu tej komisji nie ustalono drogą losowania. W stanach, które reprezentują ci ludzie, mnóstwo miejsc pracy zależy od kontraktów na dostawę sprzętu wojskowego dla Pentagonu. Senat doskonale wiedział, co robi, wybierając właśnie ich, a nie kogoś innego. Istnieje tylko jeden sposób, w jaki mogą uzyskać pewność, że moja podkomisja będzie miała zapewnioną swobodę działania,

–Jaki?

–Ci ludzie muszą dać mi swoje zapewnienie... na piśmie. W protokole musi znaleźć się wyraźne stwierdzenie, że wszyscy zgromadzeni w tej Sali zadeklarowali całkowite poparcie i chęć współpracy.

–Nie zrobią tego! Ich zadanie polega tylko na tym, żeby zatwierdzić kandydaturę, nic więcej.

–Zrobią, jeżeli dam jasno do zrozumienia, że podkomisja nie będzie mogła wypełniać swoich obowiązków bez ścisłego współdziałania Senatu, a szczególnie ludzi, którzy dziś siedzą przy tym stole. Jeśli to mi się nil uda, nie ma najmniejszego sensu tego ciągnąć.

Madison wpatrywał się w swego klienta.

–A co chcesz w ten sposób osiągnąć?

–To, że każdy z nich stanie się aktywnym członkiem... inkwizycji. Każdy będzie inkwizytorem, nie wiedząc, jak głęboko zaangażowali się jego szacowni koledzy. Jeśli chcą dzielić zaszczyty, niech dzielą też odpowiedzialność.

–I ryzyko? – odpowiedział cicho Madison.

–Ty to powiedziałaś, nie ja.

–Co się stanie, jeśli odrzucą twoją kandydaturę?

Trevayne obrzucił chłodnym spojrzeniem senatorów sadowiących się właśnie na swoich miejscach, po czym powiedział obojętnym tonem:

–Zwołam na jutro rano konferencję prasową, po której z tego miasta nie zostanie kamień na kamieniu.

Walter Madison zrozumiał, że nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

Trevayne wiedział, iż sprawa sama wyniknie w czasie obrad. Pojawi się jako logiczna konieczność, sama z siebie, bez ponaglania. Był tylko ciekaw, kto jako pierwszy, wypowie niezbędne słowa i postawi najważniejsze pytanie.

Nie zdziwił się specjalnie, gdy okazało się, że jest nim senator Talley, stary sędzia okręgowy z Wirginii Zachodniej. Człowiek, który nie zaliczał się do grona „kolegów” Nortona.

Nastąpiło to o godzinie piątej pięćdziesiąt siedem. Talley pochylił się lekko w fotelu i spojrzał na przewodniczącego, a otrzymawszy głos, zwrócił się wprost do kandydata:

–Panie Trevayne, o ile pana dobrze zrozumiałem, a myślę, że tak właśnie się stało, pana główna troska dotyczy rozmiarów praktycznej pomocy, jaką może pan w przyszłości otrzymać od tych, którzy zechcą jej panu udzielić. Doskonale pana rozumiem. To rzeczywiście niezwykle istotna sprawa... Powinien pan jednak wiedzieć, że Senat Stanów Zjednoczonych stanowi nie tylko kolegialne ciało ustawodawcze, ale także zgromadzenie jednostek od danych całym sercem krajowi.

Jestem pewien, iż wyrażę uczucia wszystkich moich kolegów, jeśli powiem panu, że mój gabinet zawsze będzie stał dla pana otworem. W Wirginii Zachodniej znajduje się wiele zakładów przemysłowych pracujących dla potrzeb rządu. Jestem gotów w każdej chwili udostępnić panu wszelkie informacje na ich temat.

Mój Boże, pomyślał Trevayne, on mówi całkiem serio! „Zakłady przemysłowe pracujące dla rządu!”

–Dziękuję panu, senatorze Talley. Nie tylko za ofertę, ale za jasne sformułowanie zagadnienia. Jeszcze raz bardzo dziękuję. Istotnie, mam nadzieję, że mówi pan także w imieniu swoich kolegów.

–Ma pan jakieś powody, by myśleć inaczej? – zapytał z lekkim uśmiechem Armbruster z Kalifornii.

–Żadnych, panie senatorze.

–Niemniej jednak czułby się pan znacznie pewniej – ciągnął Kalifornijczyk – gdyby nasze obrady zakończyło wydanie oświadczenia, w którym zobowiązujemy się do popierania pańskich działań wszelkimi dostępnymi sposobami?

–Bez wątplenia.

Armbruster spojrział w kierunku centralnej części stołu.

–Nie widzę nic niewłaściwego w tym życzeniu, panie przewodniczący.

–Bardzo dobrze – odparł Gillette, wpatrując się z natężeniem w Trevayne'a, po czym uderzył mocno młotkiem. – Stwierdza się niniejszym, że...

Stało się. Senatorowie jeden po drugim składali deklaracje współpracy. Trevayne siedział oparty w głębokim fotelu i słuchał starannie dobranych słów oraz zgrabnych, abstrakcyjnych określeń. Udało mu się. Zmusił komisję do złożenia jednoznacznego oświadczenia. Nieważne, że niewielu z nich dotrzyma słowa. Byłoby miło, gdyby któryś postąpił inaczej, ale to w gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia. Istotne jest tylko to, że teraz będzie mógł przypominać im ich słowa.

Webster obiecał mu kopię protokołu. Potem nie pozostanie mu nic prostszego, jak tylko dyskretnie przekazać prasie kilka wybranych fragmentów.

Gillette spojrział na Trevayne'a z wyżyn swego *sanctum sanctorum*. Spojrzenie jego oczu – powiększonych przez dwuogniskowe szkła okularów -było zimne i wrogie.

–Czy na zakończenie obrad kandydat życzy sobie złożyć jakieś oświadczenie? – zapytał bezbarwnym głosem.

Andrew nie odwrócił wzroku.

–Tak, panie przewodniczący.

–Mam nadzieję, że ograniczy pan się w czasie, panie podsekretarzu. Prezydent życzył sobie, by komisja ogłosiła werdykt jeszcze dzisiaj, a zrobiło się już dość późno.

–Spróbuj ę, panie przewodniczący. – Trevayne wziął do ręki jedną kartkę spośród wielu papierów, jakie leżały przed nim na biurku, i popatrzył kolejno na wszystkich senatorów. Nie uśmiechał się. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. – Panowie, zanim podejmiecie ostateczną decyzję, myślę, że powinniście zapoznać się z wynikami wstępnych badań, jakie przeprowadziłem. Posłużą one za podstawę

mojego działania – działania podkomisji, którą mam kierować – naturalnie pod warunkiem, że zostanę zatwierdzony na to stanowisko. Ponieważ przesłuchanie jest tajne, ufam, iż żadne szczegóły tego opracowania nie wydostaną się poza tę salę... Dzięki uprzejmości Generalnego Kontrolera Sił Zbrojnych w ciągu kilku ostatnich tygodni analizowałem kontrakty zawarte przez Pentagon z następującymi korporacjami: Lockheed Aircraft, ITT, General Motors, Ling-Temco, Litton oraz Genessee Industries. Według mojej oceny jedna, dwie albo nawet trzy spośród nich działały niezależnie od siebie lub w porozumieniu na rzecz uzyskania istotnego wpływu na proces podejmowania decyzji przez funkcjonariuszy rządu federalnego, co kwalifikuje się jako poważne przestępstwo. Opierając się na danych, jakie udało mi się zebrać, jestem zmuszony stwierdzić z całkowitą pewnością, iż zapoczątkowała to jedna z tych firm. Zdaję sobie sprawę z wagi oskarżenia, zamierzam jednak dowieść, że jest ono prawdziwe. Dopóki tego nie dokonam, nie wymienię nazwy tej korporacji. Nie mam nic więcej do dodania, panie przewodniczący.

W sali zapadła cisza. Członkowie komisji wpatrywali się w Andrew Trevayne'a. Nikt się nie poruszył, nikt nie odezwał się ani słowem.

Wreszcie senator Gillette sięgnął po młotek, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i cofnął rękę.

–To już wszystko, panie podsekretarzu – powiedział niezbyt głośno. – Dziękujemy panu.

## Rozdział 9

Trevayne zapłacił za kurs i wysiadł z taksówki przed hotelem. Było dość ciepło, wiał przyjemny nocny wiatr. Wrzesień w Waszyngtonie. Zerknął na zegarek: prawie wpół do dziesiątej. Skręcało go z głodu. Phyllis powiedziała, że zamówi kolację do pokoju. Podobno zmęczyła się na zakupach; spokojna kolacja w hotelowym apartamencie była właśnie tym, czego potrzebowała. Spokojna kolacja pod ochroną dwóch siedzących na korytarzu goryli z Białego Domu. Na cholernym hotelowym korytarzu.

Kiedy Trevayne ruszył w kierunku obrotowych drzwi po prawej stronie, podszedł do niego mężczyzna w stroju szofera, który stał do tej pory przy głównym wejściu, jakby na kogoś czekając.

–Pan Trevayne?

–Tak, słucham?

–Pozwoli pan ze mną? – zapytał kierowca, wskazując na zaparkowanego przy krawężniku czarnego forda LTD; wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznać rządową limuzynę. Trevayne podszedł do samochodu i ujrzał siedzącego na kanapie z tyłu senatora Gillette'a. Stary polityk w dalszym ciągu miał na nosie okulary, na twarzy zaś niechętny grymas. Rozległ się szum elektrycznego silniczka, szyba otworzyła się, a senator wychylił przez okno.

–Mógłby pan poświęcić mi pięć minut, panie podsekretarzu? Laurencje obwiezie nas po okolicy.

–Oczywiście.

Trevayne wsiadł do samochodu.

–Większość ludzi uważa, że najprzyjemniejszą porą roku w Waszyngtonie jest wiosna – powiedział Gillette, kiedy limuzyna włączyła się do ruchu. – Osobiście zawsze wolałem jesień. Ale ja zawsze jestem wyjątkiem.

–Niekoniecznie. Chyba że ja też jestem wyjątkiem. Najbardziej lubię wrzesień i październik. Szczególnie w Nowej Anglii.

–Do licha, wszyscy tak mówią, a już na pewno wasi poeci... To pewnie ze względu na kolory.

–Być może.

Trevayne spojrzał z oczekiwaniem na senatora.

–Ale przecież nie zaprosiłem pana na przejażdżkę tylko po to, by dyskutować o barwach jesieni w Nowej Anglii, prawda?

–Nie przypuszczam.

–Oczywiście, że nie... Pańska kandydatura została zatwierdzona. Cieszy się pan?

–Naturalnie.

–Milo mi – mruknął obojętnie senator, spoglądając przez okno. – Wydawałoby się, że o tej porze ruch powinien być mniejszy, ale gdzie tam... Przekłęci turyści. Po zmroku powinno się wyłączać światła na ulicach. Wszystkie światła. – Gillette odwrócił się do Trevayne'a. – W ciągu wielu lat, które spędziłem w Waszyngtonie, nigdy nie byłem świadkiem tak odrażającego przypadku zastosowania taktyki arogancji. Może zachowywał pan nieco więcej pozorów uprzejmości niż Nadęty Joe –



**rzecz jasna mam na myśli naszego niezbyt świetlanej pamięci McCarthy'ego – lecz pańskie metody były tak samo nie do przyjęcia.**

**–Nie zgadzam się z panem.**

**–Doprawdy?... W takim razie może to nie była taktyka, tylko odruch. Co przedstawia pana w jeszcze mniej korzystnym świetle. Gdybym nie miał co do tego wątpliwości, doprowadziłbym do powtórnego przesłuchania i zrobiłbym wszystko, aby nie został pan zaakceptowany.**

**–Szkoda, że nie dał pan wyrazu swoim uczuciom dziś po południu.**

**–Co takiego? Żeby podać panu na tacy to, na czym panu zależało? Panie podsekretarzu, nie rozmawia pan ze starym Talleyem. O, nie! Współdziałałem z panem od początku do końca. Dałem każdemu członkowi komisji szansę na przyłączenie się do pańskiej krucjaty. Nie miałem wyboru i pan doskonale o tym wie!**

**–Czyżby do jutra mogło się coś zmienić?**

**–Kto wie. Mam osiemnaście godzin na to, żeby przeanalizować całe pańskie życie, młody człowieku. Żeby rozebrać je na czynniki pierwsze, a następnie złożyć w nieco innym porządku. Kiedy skończę, znajdzie się pan na pierwszym miejscu na liście prokuratora generalnego.**

**Tym razem to Trevayne spojrział w okno. Prezydent przepowiedział mu to; w tym mieście wszystko mogło się zdarzyć. Głównie dlatego, że oskarżenia zawsze pojawiały się na pierwszych stronach gazet, wyjaśnienia zaś pod koniec numeru, razem z drobnymi ogłoszeniami.**

**W tym mieście sprawy miały się właśnie w taki sposób.**

**Ale on nie potrzebował tego miasta. Nie musiał akceptować obowiązującego tutaj sposobu postępowania. Najwyższy czas, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli...**

**–W takim razie dlaczego pan tego nie robi, panie przewodniczący. To nie było pytanie.**

**–Ponieważ zadzwoniłem do Franka Baldwina. A dlaczego pan nie da sobie spokoju z tą arogancją? To zupełnie do pana nie pasuje.**

**Andrew zaskoczyła wzmianka o Baldwinie.**

**–Co powiedział?**

**–Że nie zrobiłby pan tego, co pan zrobił, gdyby nie został sprowokowany. Musiała to być potężna prowokacja. Powiedział, że zna pana od dziesięciu lat i na pewno się nie myli.**

**–Rozumiem. – Trevayne sięgnął do kieszeni po papierosa, zapalił jednego i zaciągnął się głęboko. – Przyjął pan to wyjaśnienie?**

**–Gdyby Frank Baldwin powiedział mi, że wszystkie dotychczasowe loty kosmiczne to jedno wielkie fałszerstwo, uwierzyłbym mu bez zastrzeżeń... Od pana natomiast chciałbym usłyszeć, co się stało.**

**–Nic. Nic się... nie stało.**

**–Przecież nie zmusił pan bez powodu wszystkich członków komisji, by odpierali pańskie zarzuty o nieuczciwość! A właśnie dokładnie to pan zrobił. Uczynił pan pośmiewisko z całej procedury... Wcale nie byłem tym zachwycony, mój panie.**

**–Czy wy zawsze dodajecie „mój panie”, kiedy próbujecie kogoś pouczać?**

–Można mówić „mój panie” na wiele różnych sposobów, panie podsekretarzu.

–Nie wątpię, iż jest pan w tym mistrzem, panie przewodniczący.

–Czy Frank Baldwin miał rację? Czy został pan sprowokowany? A jeśli tak, to przez kogo?

Trevayne ostrożnie strząsnął popiół z papierosa, po czym spojrzał na swego rozmówcę.

–Zakładając, że taka prowokacja miała miejsce, jak by pan postąpił?

–Przede wszystkim upewniłbym się, że naprawdę chodzi o prowokację, nie zaś o wyolbrzymiony ponad miarę, łatwy do wyjaśnienia przypadek. Gdyby okazało się, że to jednak prowokacja, wezwałbym odpowiedzialnych za nią do swego gabinetu, a następnie wygnał z Waszyngtonu. Nikomu nie wolno ingerować w prace tej podkomisji.

–Odnoszę wrażenie, że wierzy pan w to, co mówi.

–Bo tak jest, mój panie. Najwyższa pora, by ktoś wreszcie wykonał tę pracę. Gdyby doszło do jakichś ingerencji lub prób wywierania nacisku, starałbym się zareagować tak stanowczo, jak to tylko byłoby możliwe.

–Myślę, że udało mi się to osiągnąć dzisiaj po południu.

–Czy sugeruje pan, że któryś z senatorów biorących udział w przesłuchaniu usiłował wpłynąć na pana w jakiś sposób?

–Nie mam pojęcia.

–W takim razie, co pan sugeruje?

–Przyznaję, że prowokacja istotnie miała miejsce. Nie wiem jednak, kto był jej autorem. Za żadną cenę nie mogę dopuścić do rozprzestrzenienia się tej zarazy.

–Jeśli rzeczywiście wydarzyło się coś takiego, musi pan natychmiast to zgłosić.

–Komu?

–Władzom, rzecz jasna. Komukolwiek!

–Założmy, że to zrobiłem...

–W takim razie miał pan obowiązek powiadomić o wszystkim komisję!

–Panie przewodniczący, dziś po południu atmosfera była dość napięta.

Większość senatorów reprezentowała stany, których ekonomia w znacznym stopniu zależy od rządowych zamówień na dostawy sprzętu wojskowego dla Pentagonu.

–Pan nas osądził i z góry uznał za winnych!

–Nikogo nie osądziłem. Po prostu przedsięwziąłem takie kroki, jakie w konkretnych okolicznościach wydały mi się najwłaściwsze. Kroki mające na celu tylko to, żeby żaden z tych ludzi nie mógł mi w niczym przeszkodzić.

–Pan się myli. Niewłaściwie zinterpretował pan sytuację. – Gillette spostrzegł, że limuzyna minęła kolejny zakręt i zbliża się ponownie do wejścia do hotelu. Pochylił się do przodu. – Zatrzymaj się tu na chwilę, Laurence. Zaraz kończymy... Trevayne, moim zdaniem popełnia pan niewybaczalny błąd, wyciągając mylne wnioski na podstawie powierzchownych informacji. Rzuca pan ciężkie oskarżenia, po czym nie chce ich pan uzasadnić. Co gorsza, ukrywa pan istotne fakty, usiłując decydować o tym, czego Senat może się dowiedzieć, a czego nie powinien. Uważam, że Frank Baldwin i jego komisja popełnili ogromny błąd, rekomendując pana na to stanowisko.

Taki sam błąd popełnił prezydent... Jutro rano zgłoszę formalny wniosek o dodatkowe posiedzenie komisji i użyję wszelkich sposobów, by doprowadzić do cofnięcia poparcia dla pańskiej kandydatury. Arogancja, jaką pan prezentuje, nie służy dobru publicznemu. Myślę, że będzie pan miał okazję się z niej wytłumaczyć. Żegnam pana.

Trevayne otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Trzymając rękę na klamce, nachylił się i powiedział do starego polityka:

–Przypuszczam, że wykorzysta pan najbliższe godziny na... jak pan to ujął? Aha: na rozłożenie mojego życia na czynniki pierwsze?

–Nie mam zamiaru tracić czasu, panie podsekretarzu. Nie jest pan tego wart. Okazał się pan nieprawdopodobnym głupcem.

Gillette dotknął przycisku. Szyba zasunęła się, jeszcze zanim Trevayne zdążył zatrzaskać drzwi.

–Gratuluję, kochanie! – Phyllis zerwała się z fotela i rzuciła czasopismo na stolik. – Oglądałam wiadomości o siódmej.

Trevayne zamknął drzwi, po czym pozwolił żonie objąć się i pocałował ją lekko w usta.

–Mimo to wstrzymaj się z szukaniem domu do wynajęcia. Jeszcze nic nie jest pewne.

–Co ty wygadujesz? Przerwali dziennik, żeby odczytać wiadomość z ostatniej chwili. Byłam taka dumna!

–Niewykluczone, że jeszcze dziś w nocy dostanę następną wiadomość z ostatniej chwili. Poparcie może zostać wycofane.

–Co takiego?

–Właśnie spędziłem kilka uroczych chwil, jeżdżąc dookoła hotelu z szacownym przewodniczącym komisji, która mnie przesłuchiwała. Szukam wszędzie Waltera. Muszę z nim porozmawiać.

–Na litość boską, o czym ty mówisz?

Trevayne podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Dał żonie znak, by wstrzymała się z pytaniami, dopóki on nie skończy telefonować. Była do tego przyzwyczajona, więc stanęła przy oknie i spojrzała na jarzące się tysiącami świateł miasto. Jej mąż najpierw połączył się z żoną Madisona, a po rozmowie nacisnął palcem widełki i zastanawiał się nad czymś przez dłuższą chwilę. Na słowach pani Madison nie bardzo można było polegać, szczególnie po siódmej wieczorem. Wreszcie Andrew wykręcił numer portu lotniczego La Guardia i poprosił o połączenie ze stanowiskiem odprawiającym pasażerów do Waszyngtonu.

–Jeśli nie odezwie się za jakąś godzinę, zadzwonię jeszcze raz do domu – powiedział kilka chwil później, odkładając słuchawkę. – Jego samolot przylatuje o dziesiątej z minutami.

–Co się właściwie stało? – zapytała Phyllis. Widziała, że jej mąż jest nie tylko wściekły, ale także zdezorientowany. Andy bardzo rzadko bywał i zdezorientowany.

–Nie spodziewałem się tego po nim. Zarzucił mi, że moja arogancja nie służy dobru publicznemu i że ukrywam istotne fakty. Powiedział też, że okazałem się

głupcem.

–Ale kto?

–Gillette. – Trevayne zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło. – Patrząc z jego punktu widzenia, może się wydawać, że ma rację. Jednak z drugiej strony jestem całkowicie pewien, że to ja mam rację. Może sobie być najbardziej godnym szacunku członkiem Kongresu, chyba zresztą jest, ale to nie znaczy, że może ręczyć głową za pozostałych. Nawet jeśli bardzo by tego pragnął.

Phyllis w lot pojęła przyczynę zdenerwowania męża. Wiedziała wcześniej, co zamierza zrobić tego popołudnia.

–To był ten człowiek w samochodzie?

–Tak. Czcigodny Gillette we własnej osobie. Obiecał mi, że zwoła dodatkowe posiedzenie komisji i doprowadzi do wycofania poparcia dla mojej kandydatury.

–Może to zrobić? Po tym, jak już ci je dali?

–Przypuszczam, że tak. Powie, że odkrył nowe fakty czy coś w tym rodzaju... Tak, na pewno może.

–Wynika z tego, że zmusiłeś ich do współpracy.

–W pewnym sensie. Przynajmniej na użytek protokołu. Webster do starczy mi jutro kopię. Ale nie o to poszło.

–Gillette przejrzał twoje zamiary?

Trevayne parsknął śmiechem.

–Wszyscy to zrobili, co do jednego! Niektórzy wyglądali tak, jakby najedli się kleju stolarskiego. Wyobrażam sobie, jak się ucieszą! Wystarczy to, że zataiłem ważne informacje.

–Co zamierzasz zrobić?

–Przede wszystkim dowiedzieć się, czy uda mi się jeszcze uratować posadę w fundacji. Pewnie już jest za późno, ale mimo wszystko warto spróbować. Polubiłem tę pracę... Zaraz potem trzeba zastanowić się nad ważnym pytaniem: jak daleko mogę się posunąć jutro po południu, żeby nie wytoczyli mi jakiegoś kretyńskiego procesu o składanie fałszywych zeznań przed komisją Senatu.

–Andy, uważam, że powinieneś powiedzieć im, co się stało.

–Nie zrobię tego.

–Przejąłeś się tym znacznie bardziej ode mnie. Jak często mam ci powtarzać, że nie czuję się zażenowana? Przecież w gruncie rzeczy nic mi się nie stało.

–Ale to było ohydne.

–Zgadzam się. Takie ohydne rzeczy zdarzają się każdego dnia. Wydaje ci się, że mnie chronisz, a tymczasem ja nie potrzebuję żadnej ochrony. – Podeszła do stolika, na którym położyła czasopismo i wzięła je do ręki. – Nie uważasz, że najlepszą ochronę zapewniłyby mi tytuły na pierwszych stronach gazet w całym kraju?

–Owszem, ale nigdy do tego nie dopuszczę. W ten sposób kusi się różnych szaleńców, żeby spróbowali czegoś innego. Na przykład porwania.

Phyllis zrozumiała, że dalsza rozmowa na ten temat nie ma najmniejszego sensu. Andy nie przyjmował do wiadomości żadnych argumentów.

–W porządku. W takim razie jutro powiedz im wszystkim, żeby kazali się wypchać

suchymi trocinami, a ty pokryjesz wszystkie koszty. Pod warunkiem, że odpiszą ci to od podatku, ma się rozumieć.

Dostrzegłszy bolesny grymas na jej twarzy, Andrew domyślił się, że wbrew wszelkiej logice jego żona obarcza się odpowiedzialnością za to, co się stało. Podszedł szybko do niej i objął mocno.

–Właściwie w Waszyngtonie nigdy nam się specjalnie nie podobało. Poprzednim razem nie mogliśmy doczekać się weekendów, pamiętasz? Korzystaliśmy z każdej sposobności, żeby wpaść do Barnegat.

–Jesteś kochany, Andy. Przypomnij mi, żebym kupiła ci nową żaglówkę.

Był to stary żart. Wiele lat temu, kiedy firma walczyła o przetrwanie, Andrew oświadczył, iż uzna się za człowieka sukcesu tylko wtedy, jeśli nie troszcząc się o cenę, będzie mógł sobie pozwolić na kupno małego katamaranu. Od tamtej pory to powiedzenie nabrało dla nich wielu nowych znaczeń.

Uwolnił ją z uścisku.

–Zamówię kolację.

Podszedł do stolika do kawy, gdzie leżał jadłospis.

–Dlaczego koniecznie chcesz porozmawiać z Walterem? Jak on może ci pomóc?

–Muszę wiedzieć, w jaki sposób prawo odróżnia wyrażanie własnych opinii od zatajania istotnych faktów. W pierwszym przypadku miałbym jeszcze sporo swobody, żeby się wściekać, w drugim wylądowałbym przed sądem.

–A czy koniecznie musisz się wściekać?

Trevayne czytał menu, lecz myśli miał skoncentrowane na rozmowie z żoną.

–Chyba tak. I to wcale nie dla satysfakcji, bo tej nie potrzebuję, ale dlatego, że oni wszyscy uważają się za takich cholernych świętoszków. Ktokolwiek stanie na czele podkomisji, będzie potrzebował tyle poparcia, ile tylko uda mu się uzyskać. Jeżeli teraz trochę nimi potrząsnę, może ułatwię zadanie następnemu kandydatowi.

–To bardzo szlachetne z twojej strony, Andy.

Uśmiechnął się i skierował do telefonu.

–Niezupełnie. Widok tych drani wijących się jak dżdżownice na rozgrzanej patelni sprawi mi ogromną przyjemność... Przygotowałem sobie kilka danych. Nie wymyśliłem ich, wszystkie były w raportach. Wystarczy, żebym je jutro odczytał. Wszystkie osiem stanów, wyobrażasz sobie?

Phyllis roześmiała się.

–Jesteś niesamowity, Andy. Zniszczysz ich.

–W każdym razie porządnie wystraszę. Nie muszę mówić nic więcej... Do licha, jestem zmęczony i głodny i nie chcę już o tym myśleć. I tak nie mogę nic zrobić, dopóki nie porozmawiam z Walterem.

–W takim razie odpręż się, zjedz coś, utnij sobie drzemkę. Sprawiasz wrażenie wycieńczonego.

–Skoro już mówimy o wycieńczonych wojownikach wracających po bitwie do domu...

–Nic takiego sobie nie przypominam!

–...to wyglądasz nieprawdopodobnie atrakcyjnie.

–Lepiej zamów wreszcie kolację. Jeśli masz ochotę, możesz wybrać jakieś dobre czerwone wino.

–Oczywiście, że mam ochotę. Jesteś mi przecież winna nową żaglówkę.

Trevayne poprosił o połączenie z restauracją, a Phyllis uśmiechnęła się ciepło i poszła do sypialni, by przebrać się w bardziej stosowny strój. Wiedziała, że zjedzą kolację, opróżnią butelkę burgunda, a potem będą się kochać.

Ogromnie tego pragnęła.

Leżeli w hotelowym łóżku. Trevayne obejmował żonę ramieniem, ona zaś przytuliła głowę do jego piersi. Oboje odczuwali jeszcze rozkoszne ciepło wywołane działaniem wina i miłości. Było im ze sobą bardzo dobrze -jak zawsze w takich chwilach.

Andrew wycofał ostrożnie ramię i sięgnął po papierosy.

–Nie śpię – powiedziała Phyllis.

–A powinnaś. Tak jest we wszystkich filmach. Zapalisz?

–Nie, dziękuję... Już piętnaście po jedenastej. – Phyllis położyła się wyżej na poduszce i naciągnęła kołdrę na swoje nagie ciało. Zadzwońisz do Waltera?

–Za kilka minut. Mógł jeszcze nie dotrzeć do domu, a ja nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać o tej porze z Ellen Madison.

–Ogromnie mi jej żal.

–Mimo to nie chcę z nią rozmawiać. Wygląda na to, że na lotnisku nie przekazali mu wiadomości.

Phyllis dotknęła delikatnie ramienia męża, po czym pogładziła go lekko, jakby w sposób nie do końca uświadomiony, ale jednoznaczny potwierdzała swój stan posiadania.

–Andy, czy będziesz rozmawiał z prezydentem?

–Nie. Ja dotrzymałem swojej części umowy. Nie wycofałem się. Poza tym nie wiem, czy byłby zachwycony, gdybym pobiegł do niego, aby prosić o pomoc. Kiedy już wszystko się skończy, pewnie zostaniemy zaproszeni na pożegnalne spotkanie. Może nawet na śniadanie, bo przecież jutro nie wspomnę o nim ani słowem.

–Na pewno będzie ci za to wdzięczny. Powinien. Mój Boże, to straszne, jeśli się nad tym zastanowić: ryzykujesz utratę pracy, którą lubisz, zostałeś znieważony, straciłeś mnóstwo czasu...

–Nie nadaję się na podopiecznego opieki społecznej – przerwał jej Andrew. – Ostrzegano mnie. I to jak!

Zadzwoił telefon. Trevayne podniósł słuchawkę.

–Halo?

–Pan Trevayne?

–Tak.

–Wiem, że nie życzy pan sobie, żeby panu przeszkadzać, ale jest dla pana tyle wiadomości, że...

–Co takiego? Jak to, nie przeszkadzać? Nic takiego nie mówiłem! A ty, Phyllis?

–Oczywiście, że nie – odparła, potrząsając głową.

–Mamy to wyraźnie zaznaczone, proszę pana.

**–To pomyłka! – Trevayne spuścił nogi na podłogę i usiadł na krawędzi łóżka. – Co to za wiadomości?**

**–Jest tu zapisane, że zadzwonił pan z pokoju o dziewiętej trzydzieści pięć i poprosił o...**

**–Niech mnie pani posłucha: o nic takiego nie prosiłem, rozumie pani? Pytałem panią, co to za wiadomości!**

**Telefonistka umilkła na chwilę. Nie była przyzwyczajona do tego, by obrażali ją zapominalscy goście.**

**–Na linii czeka niejaki pan Madison. Twierdzi, że to bardzo pilna sprawa.**

**–Proszę go przełączyć... Walter? Wybacz mi. Nie mam pojęcia, co im strzeliło do...**

**–Andy, to straszne! Wiedziałem, że będziesz chciał ze mną porozmawiać. Dlatego tak się upierałem, żeby mnie połączyła.**

**–Proszę?**

**–To okropne! Prawdziwa tragedia!**

**–Skąd wiesz? Kto ci powiedział?**

**–Powiedział? Trąbią o tym we wszystkich dziennikach w radiu i telewizji!**

**Trevayne na sekundę wstrzymał oddech. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos był zupełnie spokojny i opanowany.**

**–Walter, o czym ty właściwie mówisz?**

**–O senatorze. Starym Gillette. Zginął kilka godzin temu. Jego samochód spadł z mostu w Fairfax. A o czym ty mówisz, do diabła?**

## Rozdział 10

Wypadek był wystarczająco niezwykły, żeby uznać go za całkowicie autentyczny. Umieszczony w szpitalu kierowca Gillette'a, Laurence Miller, zeznał, że wiół senatora z centrum miasta – ani słowa o hotelu i spotkaniu z Trevayne'em – do budynku biurowego Senatu, gdzie miał pójść do mieszczącego się na pierwszym piętrze gabinetu i przynieść zostawioną tam przez Gillette'a teczkę. Kiedy przejechali Potomac i znaleźli się w Wirginii, senator zmienił nagle zdanie i kazał zawieźć się do swojego domu w Fairfax.

Kierowca próbował mu to wyperswadować – boczna droga była jeszcze niewykończona i zupełnie nieoświetlona – lecz do starego polityka nie docierały żadne argumenty. Laurence Miller nie miał pojęcia dlaczego.

W odległości mniej więcej półtora kilometra od posiadłości Gillette'a płynie jedno z niewielkich odgałęzień Potomacu, które w znacznej liczbie przecinają lasy Wirginii. Brzegi rzeczki spina krótki most o metalowej konstrukcji; zaraz za nim droga skręca raptownie w prawo. Kiedy limuzyna senatora znalazła się w połowie mostu, zza zakrętu wypadł nagle jakiś samochód; miał włączone długie światła i pędził z ogromną szybkością. Miller mógł zrobić tylko jedno, to znaczy zjechać, ile się dało, na prawą stronę, by uniknąć czołowego zderzenia. Nadjeżdżający z przeciwka samochód zarzucił na łuku, więc kierowca senatora dodał gwałtownie gazu, by zmieścić się w powstałą lukę. Udało mu się, lecz zaraz potem musiał nagle zahamować, żeby nie wylecieć z ostrego zakrętu. Limuzyna wpadła w poślizg i zsunęła się z nasypu, stary senator zaś został rzucony w bok i uderzył głową w krawędź prawych tylnych drzwi. Siła uderzenia była tak wielka, że, jak stwierdził przybyły później lekarz, śmierć nastąpiła natychmiast.

Drugi samochód przemknął przez most i odjechał w nieznanym kierunku. Kierowca nie potrafił opisać jego wyglądu; został oślepiony światłami drogowymi, a poza tym nie miał czasu na przeprowadzanie dokładnych obserwacji, gdyż walczył o życie.

Ustalono, że wypadek nastąpił o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć.

Informację o tragicznym zdarzeniu Andrew przeczytał w „Washington Post” podczas śniadania, które kazali sobie przynieść do pokoju. Czytał ją kilka razy, szukając jakiejś fałszywej nuty, jakiegoś szczegółu, którym różniłaby się od doniesień podawanych wcześniej przez radio i telewizję.

Jego wzrok przyciągała ustalona godzina wypadku: 21.55.

Dokładnie dwadzieścia minut po tym, jak ktoś – kto? – zgłosił hotelowej centrali, że pan Andrew Trevayne nie życzy sobie przyjmować żadnych telefonów.

Po co to zrobiono? W jakim celu?

Z całą pewnością nie dawało to gwarancji, że nie dowie się o wypadku. Któres z nich mogło przecież włączyć radio albo telewizor. Zazwyczaj zresztą to robili.

W takim razie dlaczego?

Dlaczego komuś zależało na tym, by odciąć go od świata między godziną 21.35 a 23.15, kiedy wreszcie Madisonowi udało się pokonać opór telefonistki, czyli prawie na dwie godziny?



**Chyba że hotelowa centrala po prostu popełniła błąd. Tego nie można było wykluczyć.**

**On jednak nie wierzył w to ani przez minutę.**

**–Wciąż nie mogę się uspokoić! – powiedziała Phyllis, wchodząc do sypialni. – To okropne! Co masz zamiar zrobić?**

**–Nie wiem. Przypuszczam, że powinienem zadzwonić do Webstera i powiedzieć mu o mojej rozmowie z Gillette'em. O tym, że staruszek chciał mnie wygryźć.**

**–Nie! Dlaczego miałbyś mu to mówić?**

**–Ponieważ tak właśnie było. Poza tym Gillette mógł coś wspomnieć pozostałym. Na przykład, że postanowił jeszcze wziąć mnie pod lupę. Wolę, żeby informacja wyszła ode mnie, nie od kogoś innego.**

**–Mimo to uważam, że powinieneś poczekać. Nie zasługujesz na postawienie pod pręgierzem. Przecież wierzysz w słuszność tego, co robisz. Sam mi to wczoraj powiedziałeś.**

**Trevayne dopił kawę. Chciał w ten sposób zyskać przynajmniej kilka sekund. W tej chwili najbardziej zależało mu na tym, by nie zdradzić się przed nią ze swymi podejrzeniami. Zaakceptowała śmierć Gillette'a jako okropny wypadek, ale jednak wypadek, i tak właśnie powinno zostać.**

**–Webster i prezydent powiedzą mi zapewne to samo, co ty, ale mimo to chcę, żeby o wszystkim wiedzieli.**

**Rzeczywiście, prezydent Stanów Zjednoczonych zgodził się z Phyllis Trevayne. Kazał Websterowi powiedzieć Andrew, żeby trzymał język za zębami, chyba że wiadomość wypłynęłaby z innego źródła. Jednak nawet wtedy nie powinien udzielać żadnych konkretnych odpowiedzi, tylko jak najszybciej skontaktować się z Białym Domem.**

**Webster poinformował także Trevayne'a, że zdaniem ambasadora Hilla stary senator starał się go tylko wybadać. Wielki Billy znał Gillette'a od wielu lat i wiedział, że na tym polegała jego ulubiona taktyka. Ambasador bardzo wątpił, czy Gillette rzeczywiście doprowadziłby do wznowienia przesłuchania. Raczej poczekałby, aż kandydat „dojrzeje”. Jeśli Trevayne mimo wszystko nie uczyniłby żadnego fałszywego kroku, znaczyłoby to, że naprawdę nadaje się na to stanowisko.**

**Był to bardzo skomplikowany wywód, w który Andrew również nie wierzył ani przez minutę.**

**Phyllis koniecznie chciała obejrzeć ekspozycję NASA w Smithsonian Institute, w związku z czym pozostawiła męża w pokoju strzeżonym przez dwóch goryli z Białego Domu. W rzeczywistości chęć zwiedzenia wystawy posłużyła jej tylko jako pretekst do wyjścia z hotelu; domyślała się, że najbliższe kilka godzin Andrew spędzi przy telefonie, a wiedziała z doświadczenia, że w takich chwilach wolał być sam.**

**Trevayne wziął prysznic, ubrał się i wypił czwartą filiżankę kawy. Zbliżało się wpół do jedenastej, on zaś obiecał Walterowi Madisonowi, że skontaktuje się z nim przed południem. Opowie mu o przejażdżce dookoła hotelu; Walter powinien o tym wiedzieć na wypadek, gdyby jednak doszło do wznowienia przesłuchania. Andrew miał nawet zamiar wspomnieć mu o tym już jedenaście godzin wcześniej, ale wtedy**

Jeszcze właściwie nic nie było wiadomo, adwokat zaś sprawiał wrażenie tak bardzo poruszonego – z jakiego powodu? – że Trevayne postanowił nie komplikować i tak już wystarczająco skomplikowanej sytuacji. Wydawało mu się, że zna przyczynę graniczącego z histerią stanu, w jakim znajdował się Madison: najpierw okropne popołudnie w budynku Senatu, potem powrót do domu do chorej żony -chorej w tym sensie, że nie istniał żaden sposób, który mógłby powstrzymać ją przed codziennym upijaniem się – a wreszcie wiadomość o zagadkowej tragedii na bocznej drodze w Fairfax. Nawet znakomici, błyskotliwi prawnicy z Manhattanu nie mają nieograniczonej odporności.

Chyba lepiej zaczekać z telefonem do południa. Wszyscy powinni być wtedy trochę przytomniejsi.

Rozległo się pukanie do drzwi. Trevayne zerknął na zegarek; chyba sprzątaczką.

Otworzywszy drzwi, ujrzał przed sobą uprzejmie uśmiechniętego mężczyznę w lekko wymiętym mundurze z dystynkcjami majora armii USA. Na piersi oficera widniały trzy rzędy baretek.

–Pan Trevayne?

–Tak, słucham?

–Major Paul Bonner z Departamentu Obrony. Przypuszczam, że powiadomiono już pana. Miło mi pana poznać.

Major wyciągnął rękę, którą Trevayne odruchowo uściśnął.

–Nie, majorze. Nikt mnie o niczym nie powiadomił.

–Cholera... Niezły początek, nie ma co. Jestem pańskim Piętaszkiem. Przy najmniej do chwili, kiedy zorganizuje już pan sobie swoje biuro i personel.

–Naprawdę? W takim razie proszę do środka. Nie miałem pojęcia, że już zacząłem urzędowanie.

Bonner wszedł do pokoju krokiem osoby przywykłej do wydawania rozkazów. Wyglądał na prawie czterdzieści lat, miał krótkie włosy i cerę człowieka często przebywającego na świeżym powietrzu.

–Jasne, że już pan urzęduje. Mam załatwić panu wszystko, czego pan sobie zażyczy. Absolutnie wszystko. Taki dostałem rozkaz. – Rzucił czapkę na fotel i odwrócił się do Trevayne'a z szerokim uśmiechem na twarzy. – Z tego co wiem, jest pan szczęśliwym mężem. Co więcej, pańska żona przebywa obecnie w Waszyngtonie. Dzięki temu mamy wykluczony jeden obszar zagadnień... Jest pan bogaty jak Krezus, w związku z czym nie muszę proponować panu przejażdżki łódką po Potomacu, bo pewnie kupił pan już całą rzekę. Pracował pan też dla Departamentu Stanu, więc nie oszołomię pana żadnymi plotkami z życia wyższych sfer stolicy. Pewnie wie pan na ten temat więcej ode mnie... Co nam więc zostaje? Nie jestem abstynentem -pan pewnie też nie. Pan żegluje – ja próbuję to robić. Dobrze jeżdżę na nartach – pana można zaliczyć do średnio zaawansowanych, więc raczej nie ma sensu, żebyśmy lecieli do Gstaad. Wynika z tego, że nie mamy wyboru, tylko musimy znaleźć jakiś ładny lokal na biuro i zacząć angażować ludzi.

–Pan mnie oszalał, majorze – powiedział Trevayne, zamykając drzwi i podchodząc do oficera.

–To najlepszy sposób przeprowadzenia natarcia.

–Mam wrażenie, jakby przeczytał pan autobiografię, której nie napisałem.

–Zrobił to za pana Wuj Sam. Jasne, że ją przeczytałem. Otrzymał pan najwyższą klasę ważności.

–Wydaje mi się także, że nie spodobało się panu to, co pan przeczytał. Mam rację?

Na krótką chwilę uśmiech zniknął z twarzy Bonnera.

–Być może, panie Trevayne. Postąpiłbym jednak nieuczciwie, gdybym o tym mówił. Nie miałem jeszcze okazji zapoznać się z wersją drugiej strony.

–Rozumiem. – Andrew wskazał gestem dzbanek z kawą.

–Chętnie. Na drinka jeszcze chyba trochę za wcześnie.

–Znajdzie się też coś z procentami, jeśli ma pan ochotę.

–Dziękuję, kawa w zupełności wystarczy.

Trevayne nalał kawę. Bonner podszedł do niego i odebrał filiżankę. Pił bez cukru i bez śmietanki.

–Dlaczego zdecydował się pan na takie mocne wejście, majorze?

–Nic osobistego. Po prostu nie jestem zachwycony tą robotą.

–Czemu? Co prawda w dalszym ciągu nie wiem, na czym właściwie ma ona polegać. Czyżby gdzieś toczyła się jakaś bitwa, w której pragnąłby pan brać udział?

–Nie jestem postacią z komiksu.

–Ani ja.

–Przepraszam... po raz drugi.

–Mimo wszystko, chyba pan trochę przesadza. Bez względu na powody.

–Przepraszam po raz trzeci. – Bonner usiadł w fotelu z filiżanką w rękę. – Panie Trevayne, dwa dni temu dostałem pańskie akta i dowiedziałem się, że zostałem oddany do pańskiej dyspozycji. Powiedziano mi, że jest pan VIP-em pierwszej kategorii i że mam dla pana załatwić wszystko – absolutnie wszystko – czego pan sobie zażyczy... A wczoraj wyszło sztych z worka. Chce pan nas wszystkich ukrzyżować. Dużymi, długimi gwoździami, żeby nikt nie ruszył rączką ani nóżką. Przyzna pan, że znalazłem się w mało ciekawej sytuacji.

–Nie mam zamiaru nikogo krzyżować.

–W takim razie moje zadanie będzie łatwiejsze, niż myślałem. Rzeczywiście, nie wygląda pan na wariata ani nie zachowuje się jak wariat.

–Dziękuję. Nie jestem pewien, czy mogę odwzajemnić się takim samym komplementem.

Bonner ponownie się uśmiechnął, znacznie swobodniej niż przedtem.

–Przepraszam. Który to już raz? Czwarty czy piąty?

–Straciłem rachubę.

–Szczerze mówiąc, przygotowałem sobie tę przemowę, którą palnąłem na samym początku. Miałem nadzieję, że poskarży się pan na mnie. Wtedy daliby panu kogoś innego.

–Jeszcze nic straconego. Co to za historia z tym „krzyżowaniem”?

–Mówiąc w skrócie, należy pan do zagorzałych antymilitarystów. Nie lubi pan

metod działania Pentagonu. Tak się składa, że Pentagon też ich nie lubi. Uważa pan, że Departament Obrony wydaje tryliony dolarów więcej, niż powinien. Departament uważa tak samo. Ma pan zamiar rozgłosić to dzięki swojej podkomisji, w wyniku czego my wszyscy zostaniemy skróceni o głowę. Czy to odpowiada prawdzie, panie Trewayne?

–Może odpowiadałoby, gdyby do mnóstwa uogólnień nie dorzucił pan jeszcze garści fałszywych oskarżeń. – Trewayne umilkł na chwilę, tknięty nagłą myślą: wczoraj wieczorem usłyszał od starego senatora Gillette'a bardzo podobne słowa. – Nie wydaje mi się, żeby miały one oparcie w rzeczywistości.

–W takim razie bardzo się cieszę. Jestem...

–Majorze – przerwał mu Trewayne, nie podnosząc głosu. – Nic mnie nie obchodzi, czy pan się cieszy, czy też nie. Jeśli mamy ze sobą pracować, powinien pan zrozumieć to od samego początku.

Paul Bonner wydobyl z wewnętrznej kieszeni munduru kopertę, otworzył ją, wyjął trzy zapisane na maszynie kartki i podał je Trewayne'owi. Pierwsza zawierała listę aktualnie dostępnych lokali biurowych, będących własnością rządu lub wynajmowanych dla jego potrzeb, i przypominała ogłoszenie biura pośredniczącego w handlu nieruchomościami. Druga była kserokopią listy z nazwiskami, którą Andrew wręczył Baldwinowi prawie dwa tygodnie temu, jeszcze przed okropnymi wydarzeniami w hotelu Plaza. Znajdowali się na niej mężczyźni i kobiety, którymi Trewayne chciał obsadzić kluczowe stanowiska w swojej podkomisji, w sumie jedenaście osób: czterech prawników, trzech księgowych, dwóch inżynierów – wojskowy i cywil – oraz dwie sekretarki. Przy pięciu nazwiskach widniały jakieś tajemnicze znaczki postawione długopisem. Trzecia kartka także okazała się listą nazwisk, tyle że zupełnie Trewayne'owi nieznanymi. W kolumnie po prawej stronie podano zawód lub specjalizację każdej osoby, a także sprawowaną ostatnio funkcję. Trewayne przeniósł wzrok na majora Bonnera...

–Co to jest, do stu diabłów?

–A o co pan pyta?

Andrew pokazał mu ostatnią kartkę.

–Ta lista. Nie znam nikogo z tych ludzi.

–Wszyscy otrzymali zgodę na zatrudnienie na stanowiskach rządowych średniego szczebla.

–Domyślam się. A zapewne te znaczki... – Trewayne wziął do ręki swoją listę -... oznaczają brak zgody?

–Wręcz przeciwnie. Właśnie te osoby ją otrzymały.

–A sześć nie?

–Tak jest.

Andrew położył dwie pierwsze kartki na stoliku do kawy, trzecią natomiast starannie złożył, przedarł na pół i wręczył Bonnerowi, który ociągając się, wziął ją od niego.

–Pańskie pierwsze zadanie, majorze, będzie polegało na oddaniu tego osobie, która kazała to panu mi przynieść. Sam będę dobierał sobie współ pracowników.

Proszę dopilnować, żeby te ładne znaczki znalazły się przy wszystkich jedenastu nazwiskach.

Bonner otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zawahał się. Przemówił dopiero wtedy, kiedy Andrew usiadł z dwiema pozostałymi kartkami na kanapie i zaczął je przeglądać.

–Panie Trevayne, nikogo nie interesuje, kogo pan zatrudnia, ale ci wszyscy ludzie muszą najpierw zostać dokładnie sprawdzeni. Tamta lista została przygotowana po to, żeby ułatwić panu zadanie.

–Nie wątpię – mruknął Trevayne, zaznaczając niektóre adresy na rządowej liście. – Dopilnuję, żeby nikt z tych ludzi nie został zaangażowany... Ten adres w Potomac Towers: czy to także budynek mieszkalny?

–Tak. Termin dzierżawy wygasa za czternaście miesięcy. Został wynajęty w ubiegłym roku w związku z jakimś programem badawczym, któremu potem obcięto fundusze. To trochę daleko od centrum. Nie wiem, czy byłoby nam tam wygodnie.

–A co by pan proponował?

–Coś bliżej Nebraska Avenue albo New York Avenue. Na pewno będzie pan musiał spotykać się z mnóstwem ludzi.

–Stać mnie na taksówki.

–Nie o to mi chodzi. Myślałem, że to raczej oni będą pana odwiedzać.

–Bardzo słusznie, majorze. – Trevayne podniósł się z kanapy i wręczył Bonnerowi listę lokali. – Zazaczyłem pięć adresów. Pojedziemy tam, a pan powie mi, co o tym myśli. Teraz muszę odbyć kilka rozmów telefonicznych. Skorzystam z aparatu w sypialni. Proszę się tu rozgościć i dolać sobie kawy. Trevayne wszedł do sypialni i starannie zamknął za sobą drzwi. Najwyższa pora, żeby zadzwonić do Madisona. Potem musiałby korzystać z telefonu w jakimś biurze albo z automatu na ulicy. Zegarek wskazywał za kwadrans jedenastą; Madison miał już dość czasu, by wziąć się w garść.

–Wiesz, Andy, nie mogę dojść do siebie – powiedział adwokat znacznie spokojniejszym głosem niż poprzedniego wieczoru. – To po prostu okropne.

–Myślę, że powinienem opowiedzieć ci resztę. To także niezbyt przyjemne.

Tak jak się spodziewał, jego historia wywarła na prawniku wstrząsające wrażenie.

–Czy Gillette dał ci w jakiś sposób do zrozumienia, że rozmawiał z którymś z pozostałych?

–Nie. Odniosłem wrażenie, że raczej tego nie zrobił. Powiedział tylko, że jutro z samego rana zwoła dodatkowe posiedzenie komisji.

–Nie jestem pewien, czy by mu się to udało... Myślisz, że to było coś więcej niż wypadek?

–Wciąż się nad tym zastanawiam, ale nie potrafię wymyślić żadnego sensownego motywu. Jeśli to nie był wypadek i Gillette zginął dlatego, że chciał wznowić obrady komisji, to znaczy, że kimkolwiek oni są i o ile w ogóle istnieją – chcą, żebym dostał tę posadę. Rozumiem, dlaczego ktoś mógłby starać się do tego nie dopuścić. Nie rozumiem, w jakim celu ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby mnie tam wepchnąć.

–A ja nie wierzę, że sięgnąby przy tym do ostatecznych środków. Pieniądze, namowy, nawet szantaż – zgoda. Ale nie zabójstwo. Z tego co wiem, nawet to nie trzyma się kupy. Limuzyna nie mogła stoczyć się do wody, bo bariera była zbyt wysoka. Nie mogła też dachować. Po prostu wpadła w poślizg, zsunęła się z drogi, a starszerek walnął czaszką w krawędź drzwi... To był wypadek, Andy. Bez wątplenia okropny, ale jednak wypadek.

–Też tak mi się wydaje.

–Rozmawiałeś o tym z kimś jeszcze?

Trevayne zamierzał powiedzieć Madisonowi prawdę, że skontaktował się już z Websterem z Białego Domu. W ostatniej chwili jednak zmienił zdanie – nie dlatego, żeby nie ufał Walterowi, ale z powodu zobowiązania wobec prezydenta. Gdyby wspomniał o Websterze, zamieszałyby w całą aferę także prezydenta Stanów Zjednoczonych: jeśli nie jako konkretnego człowieka, to na pewno jego urząd.

–Tylko z Phyllis.

–Może trzeba będzie to zmienić, ale na razie wystarczy, że mnie zawiadomiłeś. Zadzwoń tu i tam, a potem dam ci znać.

–Do kogo chcesz dzwonić?

Zapadło przedłużające się, niezręczne milczenie.

–Jeszcze nie wiem – powiedział wreszcie Walter Madison. – Nie miałem czasu się zastanowić. Może do paru członków komisji, która cię przesłuchiwała. To żaden problem: jestem zaniepokojony, a mój klient chciałby wiedzieć, czy powinien w jakiś sposób zareagować. Coś tam wymyślę... Spróbuję wyczuć, co jest grane.

–W porządku. Odezwiiesz się później?

–Jasne.

–Powiedzmy po południu albo nawet wieczorem. Z Departamentu Obrony dali mi na własność majora. Ma mi pomóc meblować sklep.

–Jezus, Maria! Nie tracą ani chwili. Jak się nazywa?

–Bonner. Zdaje się, że Paul.

Madison parsknął niezbyt przyjemnie brzmiącym śmiechem.

–Paul Bonner? Nie są zbyt subtelni, prawda?

–Nie rozumiem. Co w tym zabawnego?

–Bonner jest jednym z młodych gniewnych Pentagonu. Paskudny chłopiec z Azji Południowo-Wschodniej. Pamiętasz? Parę lat temu było o tym nawet dosyć głośno. Kilku oficerów odwołano z Indochin w związku z podejrzeniami o prowadzenie bardzo nielegalnej działalności po obu stronach frontu.

–Tak. Śledztwu ukręcono łeb.

–Bo mogło polecieć wiele głów. Bonner tym wszystkim dowodził.

## Rozdział 11

Do drugiej po południu Trevayne i Bonner zdążyli obejrzeć trzy spośród pięciu wstępnie zaakceptowanych lokali. Major starał się zachowywać możliwie neutralnie, ale był przy tym zdecydowanie zbyt szczery. Andrew doszedł do wniosku, że młody oficer pod wieloma względami bardzo go przypomina: wystarczyło dłużej z nim porozmawiać, by poznać jego prawdziwą opinię.

Nie ulegało wątpliwości, że Bonnerowi podobały się wszystkie lokale, które odwiedzili. Nie rozumiał, dlaczego Trevayne uparł się, by pojechać do dwóch pozostałych położonych z dala od centrum miasta. Czemu nie zdecydować się na jeden z tych, które już widzieli?

Trevayne natomiast obejrzał trzy pierwsze jedynie z uprzejmości, oraz by nie stwarzać wrażenia, że podejmuje decyzje pod wpływem pierwszego impulsu. Bonnerowi wcześniej wymknęło się, że okna biur w Potomac Towers wychodzą na rzekę. Trevayne podejrzewał to już wcześniej, a potwierdzenie jego domysłów właściwie już przesądziło sprawę.

Siedziba podkomisji będzie mieściła się w Potomac Towers.

Jednak musi znaleźć jakieś inne uzasadnienie niż tylko sąsiedztwo rzeki. Nie da majorowi Bonnerowi, jednemu z młodych gniewnych Pentagonu, podstaw do przypuszczeń, że jego podopieczny ma hyzja na punkcie wody. Nie pozwoli, by człowiek, którego nieodpowiedzialne poczynania o mało nie doprowadziły kilka lat wcześniej do poważnego kryzysu w Departamencie Obrony, doszukiwał się w jego postępowaniu irracjonalnych przesłanek.

–Chyba wolno nam urządzić sobie przerwę na lunch, majorze?

–Jasne. Wygryźliby mi drugą dziurę w tyłku, gdybym tego zaniedbał. I tak chyba mi to zrobią za to, że pozwalam panu uganiać się po mieście w poszukiwaniu odpowiedniego lokalu. Myślałem, że zleci pan to komuś innemu.

–Na przykład komu?

–Nie wiem, do licha. Tacy jak pan zwykle mają od tego specjalnych ludzi.

–Zazwyczaj, ale nie wtedy, kiedy chce się, żeby wszystko zostało załatwione, jak należy.

–Zapomniałem, że pan własnoręcznie zarobił te swoje miliony.

–Tylko dlatego, że tak było łatwiej, majorze.

Pojechali na lunch do Chesapeake House. Trevayne'a najpierw rozbawiły, a potem zdumiały możliwości Bonnera w dziedzinie przyswajania alkoholu. Major zamawiał wyłącznie podwójne bourbony – trzy przed lunchem, dwa w trakcie i jeden po. Były to naprawdę podwójne bourbony.

Mimo to oficer zachowywał się tak, jakby nic nie wypił.

Przy kawie Trevayne doszedł do wniosku, że powinien zademonstrować bardziej ludzką twarz, niż uczynił to przed południem.

–Wie pan, Bonner... Nie miałem okazji tego powiedzieć, ale naprawdę doceniam to, że zdecydował się pan podjąć tak niewdzięcznego zadania. Wcale nie dziwię się, że pan tego żałuje.

–Teraz już nie. Szczerze mówiąc, wyobrażałem sobie pana jako – przepraszam za

wyrażenia – skomputeryzowanego fiuta. Wie pan: bystrego cwaniaczka, który sam zarobił swoje pieniądze i teraz traktuje wszystkich jak gówno.

–Czy obowiązkowa lektura, jaką panu dostarczono, wskazywała na coś takiego?

–Chyba tak... Niech mi pan przypomni za parę miesięcy, żebym panu to pokazał.

O ile jeszcze będziemy wtedy ze sobą rozmawiać, ma się rozumieć. – Bonner roześmiał się i dokończył bourbona. – Zabawne, ale nie mieli żadnych pańskich zdjęć. Nigdy nie fotografują cywilów, chyba że podejrzewają kogoś o szpiegostwo. Czy to nie idiotyczne? Przed operacjami bojowymi w ogóle nie zaglądałem do akt, w których nie było kilku fotografii. Kilku, panie Trevayne. Jedna nic nie znaczy.

Andrew zastanowił się przez chwilę. Major miał rację. Z wielu różnych powodów jedna fotografia mogła okazać się zupełnie bezwartościowa. Kilka już nie.

–Czytałem o pańskiej... działalności. Wywarł pan na wszystkich duże wrażenie.

–Obawiam się, że weszliśmy na zakazany teren. Nie mogę o tym mówić, co oznacza, że nie wolno mi przyznać, że kiedykolwiek zapuściłem się na zachód dalej niż do San Diego.

–Myślę, że to nie ma sensu.

–Ja też... Wprogramowali mi kilka ogólnikowych odpowiedzi, które nic nie znaczą.

Po co miałyby pan ich wysłuchiwać?

Trevayne spojrzał na Bonnera; odniósł wrażenie, że major jest całkowicie szczery. Nie chciał recytować bzdur, które kazano mu zapamiętać na taką okazję, ale jednocześnie wydawał się bardzo zainteresowany innym tematem. Andrew nie był tego zupełnie pewien, lecz uznał, że warto spróbować.

–Napiłbym się brandy, a pan?

–Zostanę przy bourbonie.

–Podwójny?

–Tak jest.

Nim wypili do połowy, okazało się, że Trevayne miał rację.

–Czym właściwie ma się zajmować ta podkomisja, panie Trevayne? Dlaczego wszyscy są tacy spięci?

–Sam pan to powiedział dziś rano, majorze. Departament Obrony wy daje tryliony dolarów więcej, niż powinien.

–To akurat rozumiem i nikt, kto ma odrobinę oleju w głowie, nie starałby się temu zaprzeczyć. Ale dlaczego zaczyna się akurat od nas? Maczają w tym palce tysiące ludzi. Czemu właśnie my poszliśmy na pierwszy ogień?

–Bo rozdajecie zamówienia. Po prostu.

–Rozdajemy zamówienia zaakceptowane przez komisje Kongresu.

–Chciałbym uniknąć uogólnień, ale wydaje mi się, że Kongres akceptuje jedną kwotę, po czym jest zmuszany do zaakceptowania drugiej, wielokrotnie wyższej.

–Widocznie takie są zasady ekonomii. Nie ponosimy za nie odpowiedzialności.

Trevayne wziął do ręki opróżnioną do połowy szklankę i przyjrzał się jej z namysłem.

–Czy stosowałby pan takie rozumowanie na polu bitwy, majorze? Na pewno trzeba brać pod uwagę możliwość, że wywiad popełnił jakiś błąd, ale czy przeszedłby



pan do porządku dziennego nad stuprocentowym błędem?

–To nie to samo.

–W obu przypadkach chodzi o informację, czyż nie tak?

–Nie mogę rozpatrywać w tych samych kategoriach pieniędzy i ludzkiego życia.

–To bardzo zwodniczy argument. Podczas swojej niedawnej działalności nie miał pan takich oporów.

–Gówno prawda! Nie stwarzałem nowych sytuacji, tylko je wykorzystywałem!

–Sporo ludzi uważało, że było akurat odwrotnie.

–W takim razie dlaczego nie próbowali tego skończyć? Teraz za późno na to, żeby się użalać.

–Próbowali, o ile sobie przypominam... – zauważył Trevayne, w dalszym ciągu wpatrując się w szklankę.

–Ale bez powodzenia. Dlatego że podeszli do problemu od niewłaściwej strony. Zastosowali wysoce nieprofesjonalną strategię.

–To bardzo interesujące stwierdzenie, majorze. W dodatku dość prowokujące...

–Uważam, że akurat tamta wojna była jak najbardziej potrzebna, dokładnie z tych przyczyn, o których wiele razy mówili ludzie znacznie mądrzejsi ode mnie. Rozumiem też, że niektóre z tych przyczyn można zanegować właśnie ze względu na zbyt wysoką cenę. Tamci ludzie powinni skoncentrować się wyłącznie na tym, na niczym innym.

Trevayne dopił swoją brandy.

–Fascynuje mnie pan. W jaki sposób, pańskim zdaniem, mogli tego dokonać?

–Dzięki pewnej wizualno-taktycznej inscenizacji. Jestem nawet gotów rozwiązać problem kosztów i znaleźć lokalizację.

–Bardzo proszę, majorze – powiedział Trevayne, odpowiadając uśmiechem na uśmiech Bonnera.

–Część wizualna: piętnaście tysięcy trumien w trzech grupach, po pięć tysięcy każda. Autentyczne okazy z sosnowych desek. Koszt: dwieście dolarów za sztukę przy zakupie hurtowym. Lokalizacja: Nowy Jork, Chicago, Los Angeles – Piąta Aleja, Michigan Avenue, Bulwar Zachodzącego Słońca. Taktyka: ustawić trumny obok siebie w odstępach trzydziestocentymetrowych. Co setna otwarta, w środku zwłoki – im bardziej zmasakrowane, tym lepiej. Niezbędne siły: dwóch ludzi na trumnę plus około tysiąca na każde miasto, żeby nie dopuścić tłumu ani policji. W sumie trzydzieści trzy tysiące żołnierzy i sto pięćdziesiąt zwłok... Trzy miasta całkowicie sparaliżowane. Dwie mile trupów, prawdziwych i symbolicznych, blokujące najważniejsze ulice i autostrady. Piorunujące uderzenie. Reakcja – wstręt i oburzenie.

–To zupełnie nieprawdopodobne. Naprawdę myśli pan, że coś takiego by zadziało?

–Czy widział pan kiedyś, jak ludzie zatrzymują się na chodnikach i obserwują przejeżdżający karawan? To najgłębsza identyfikacja, jaka może się kiedykolwiek dokonać... Po czymś takim wstrząsu doznałoby nie tylko osiem lub dziesięć milionów ludzi, którzy widzieli to na własne oczy, ale jeszcze co najmniej sto milionów

siedzących przed telewizorami. Największą ceremonią pogrzebową w historii.

–Nie dopuszczono by do tego. Zostałyby podjęte wszystkie możliwe środki zaradcze: policja, gwardia narodowa...

–Znowu kłania się logistyka, panie Trevayne. Taktyka dywersji, zaskoczenie, całkowita tajemnica. Zgrupowanie ludzi i sprzętu w niedzielę lub poniedziałek rano, kiedy aktywność policji jest najmniejsza. Błyskawiczne przeprowadzenie akcji tak, by w każdym mieście zajęła maksimum czterdzieści pięć minut... Przecież to tylko trzydzieści parę tysięcy ludzi. W pańskim marszu na Waszyngton brało udział prawie pół miliona.

–Ciarki przechodzą mi po grzbiecie – powiedział Andrew bez uśmiechu. Nie uszło jego uwagi wyrażenie „w pańskim marszu na Waszyngton”. Zdanie Trevayne'a na temat wojny w Indochinach było powszechnie znane; Bonner dawał mu do zrozumienia, że jemu także.

–Właśnie o to chodziło.

–Nie tylko na myśl o samej akcji, lecz także o tym, co mogłoby z niej wyniknąć.

–Jestem zawodowym żołnierzem. Moje zadanie polega na obmyśleniu strategii, a także środków zaradczych.

–Ma pan coś na tę okazję?

–Oczywiście. Na pewno nie jest to nic przyjemnego, ale to nie moja wina. Zasada jest prosta: należy stłumić wszelkie niepożądane objawy z maksymalną surowością, wprowadzając przeważające siły i stosując najnowocześniejsze uzbrojenie. Przejąć kontrolę nad środkami masowego przekazu. Zniszczyć jedną ideę, natychmiast zastępując ją inną. Jak najszybciej.

–Przy okazji doprowadzając do znacznego przelewu krwi.

–Tego nie dałoby się uniknąć. – Bonner podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Ale to tylko gra, panie Trevayne.

–Wolałbym nie brać w niej udziału.

Major zerknął na zegarek.

–Cholera! Już prawie czwarta. Musimy szybko sprawdzić te dwa adresy, bo potem nie dostaniemy się do środka.

Trevayne podniósł się z krzesła, odczuwając lekkie zawroty głowy. W ciągu ostatnich kilku minut Paul Bonner wyraźnie starał się mu coś powiedzieć. Chyba to, że w brutalnej waszyngtońskiej rzeczywistości żyło wielu takich Bonnerów – ludzi przekonanych o tym, że wolno im uczynić wszystko, by rozszerzyć zasięg swojej władzy i wpływów. Zawodowych żołnierzy zdolnych przechytryć każdego przeciwnika, ponieważ potrafią myśleć także za niego. Nie można było odmówić im szlachetności: łaskawie zgadzali się tolerować żałośnie powolne i niekonkretne rozumowanie swoich cywilnych partnerów, pielęgnowując w sercach słodką pewność, że w epoce potencjalnej zagłady nie ma miejsca dla niezdecydowanych i wahających się. Stopień bezpieczeństwa kraju był ściśle uzależniony od siły uderzeniowej jego armii. Dla ludzi takich jak Bonner było nie do pomyślenia, żeby ktokolwiek stanął im na drodze. Czegoś takiego nie mogliby tolerować.

Bonnerowe „Cholera! Już prawie czwarta” wydawało się w tym kontekście

zupełnie nie na miejscu. Było też bardziej niż trochę przerażające.

Lokal w Potomac Towers okazał się najlepszy nie tylko z powodu bliskości wody. Nawet Bonner musiał się z tym zgodzić. Inne biura składały się z pięciu gabinetów i poczekalni, tutaj zaś znajdowała się dodatkowo mała kuchenka i coś w rodzaju sali konferencyjnej, urządzonej z myślą o długich, ciągnących się do późnej nocy naradach i wyposażonej nawet w obszerną, obitą skórą kanapę. Biuro wynajęto dla zespołu pracującego nad jakimś pilnym projektem i starano się zapewnić inżynierom i technikom jak najlepsze warunki pracy. Trevayne uznał lokal za znakomicie nadający się do jego potrzeb, Bonner zaś dopełnił potrzebnych formalności, zadowolony, że poszukiwania dobiegły końca.

Potem obaj mężczyźni wrócili do hotelu, w którym mieszkał Trevayne.

–Wstąpi pan na drinka? – zapytał Andrew, wysiadając z wojskowego samochodu. Emblematy umieszczone na wszystkich czterech drzwiach dawały prawo parkowania w dowolnym miejscu, bez względu na znaki i przepisy.

–Dziękuję, ale powinienem już wrócić do siebie. Przypuszczam, że co najmniej dziesięciu generałów kręci się koło mojego biura i spogląda na zegarki. – Kiedy to mówił, jego twarz wyraźnie się rozjaśniła. Bez wątpienia sytuacja, którą przedstawił, sprawiałaby mu wielką przyjemność. Trevayne doskonale go rozumiał. Młody gniewny Pentagonu cieszył się z zajmowanej obecnie pozycji. Co prawda, znalazł się na niej wbrew swojej woli, lecz teraz mógł zrewanżować się tym, którzy go tu skierowali.

Trevayne zastanawiał się, jakie cele naprawdę przyświecały zwierzchnikom majora.

–Cóż, w takim razie życzę przyjemnej zabawy. Dziesiąta rano?

–Co do minuty. Dopilnuję, żeby zatwierdzono wszystkie osoby z pańskiej listy. Jeśli pojawią się jakieś problemy, zadzwonię do pana. Przypuszczam, że jednak będzie pan potrzebował jeszcze kilku ludzi. Umówię ich na jednak będzie pan potrzebował jeszcze kilku ludzi. Umówię ich na spotkania. – Bonner spojrzał na Trevayne'a i roześmiał się. – Na pańskich warunkach, *massa*.

–Znakomicie. Bardzo dziękuję.

Trevayne zatrzasnął drzwi i odprowadził wzrokiem samochód, który płynnie włączył się w gęsty strumień pojazdów.

Recepcjonista poinformował Andrew, że dziesięć po piątej pani Trevayne odebrała wszystkie wiadomości, które nagromadziły się w ciągu dnia. Windziarz uniósł trzy palce do daszka czapki i powiedział „Dobry wieczór”, zwracając się do niego po nazwisku. Pierwszy ochroniarz siedzący na krześle obok wind na ósmym piętrze, uśmiechnął się; drugi, stojący w korytarzu w pobliżu drzwi apartamentu, skinął głową. Trevayne miał uczucie, że przed chwilą przeszedł przez gabinet luster, w którym żadne z jego zwielokrotnionych odbić nie było przeznaczone dla jego oczu.

–Jak się masz, Phyl?

Zamknął drzwi. Jego żona rozmawiała z kimś z aparatu w sypialni.

–Zaraz przyjdę, kochanie! – zawołała.

Zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, podszedł do barku i nalał sobie szklankę wody

z lodem. W chwilę potem w drzwiach sypialni pojawiła się Phyllis. Andrew bez trudu dostrzegł, że pod uśmiechem malującym się na jej twarzy kryje się lekki niepokój.

–Kto to był?

–Lillian. – Tak właśnie nazywała się kobieta pełniąca w High Barnegat funkcje kucharki i pomocy domowej, a także kilka innych. Mieli tam jakieś kłopoty z elektrycznością, ale monterzy powiedzieli, że wkrótce wszystko będzie w porządku.

Pocałowali się jak zwykle, lecz Trewayne prawie tego nie zauważył.

–Jakie kłopoty?

–Zgasło światło w połowie domu. Może by tego nie zauważyła, ale akurat słuchała radia.

–Nie włączyło się zaraz potem?

–Chyba nie. Pogotowie elektryczne przyjedzie lada chwila.

–Przecież mamy rezerwowy generator. Powinien włączyć się przy najmniejszej przerwie w dostawie prądu.

–Kochanie, chyba nie spodziewasz się, że ona albo ja znamy się na takich rzeczach. Elektrycy wszystko naprawią... Jak ci poszło? I gdzie byłeś tak długo?

Awaria elektryczności w Barnegat była możliwa, choć bardzo mało prawdopodobna. Cała instalacja została starannie zaprojektowana przez brata Phyllis. Andrew postanowił zadzwonić do niego później i zapytać żartem, czemu spartaczył robotę.

–Gdzie byłem? Włóczyłem się po całym mieście z miłym młodym człowiekiem, który do poduszki czyta codziennie Clausewitza.

–Kogo?

–To coś w rodzaju podręcznika na temat wygrywania wojen.

–Musiałeś dobrze się bawić.

–Przynajmniej sporo się dowiedziałem. Wybieraliśmy miejsce na biuro. Nie uwierzysz, ale udało mi się znaleźć świetny lokal nad samą rzeką.

–Jak tego dokonałeś?

–To nie moja zasługa. Po prostu był wolny.

–Rozumiem więc, że nie dowiedziałeś się niczego o przesłuchaniu?

–Nie. Przynajmniej na razie. W recepcji powiedzieli mi, że odebrałaś wiadomości.

Dzwonił Walter?

–Och, wszystko leży na stoliku. Nie przejrzałam tego, bo od razu zadzwoniłam do Lillian.

Trewayne podszedł do stolika do kawy i wziął położone tam przez żonę kartki. Tuzin kartek. Dzwonili głównie znajomi, w większości bliscy, ale również tacy, których ledwo mógł sobie przypomnieć. Nie znalazł wiadomości od Madisona, ale natrafił za to na niejakiego pana de Spadante.

–To zabawne: dzwonił de Spadante.

–Zauważyłam nazwisko, ale z niczym mi się nie skojarzyło.

–Spotkałem go w samolocie. Poznaliśmy się jeszcze w New Haven. Pracuje w branży budowlanej.

–A teraz pewnie chciałby zaprosić cię na lunch. Bądź co bądź, znalazłeś się w

wiadomościach z ostatniej chwili.

–Chyba nie zadzwonię do niego, biorąc pod uwagę okoliczności... O, dzwoniли też Jansenowie. Nie widzieliśmy się z nimi co najmniej od dwóch lat.

–To mili ludzie. Może zaproponujemy im kolację jutro albo w sobotę?

–Zgoda. Wezmę prysznic i przebiorę się. Gdyby odezwał się Walter, wyciągnij mnie z łazienki, dobrze?

–Jasne.

Phyllis w zamyśleniu wzięła do ręki szklankę męża i dopiła zimną wodę, po czym usiadła na kanapie, by przejrzeć dostarczone przez recepcję wiadomości. Większość nazwisk nic jej nie mówiła; przypuszczała, że byli to ludzie, z którymi Andrew prowadził interesy. Reszta, z wyjątkiem Jansenów, Fergusonów i Priorów, wyglądała bardziej znajomo. Starzy przyjaciele z minionych waszyngtońskich dni.

Z łazienki dobiegł szum prysznicu. Uświadomiła sobie, że kiedy Andy skończy, ona także będzie musiała umyć się i przebrać. Przyjęli przecież zaproszenie na kolację w Arlington – jej mąż nazwał to spełnianiem służbowych obowiązków. Zaprosił ich attache ambasady francuskiej, który wiele lat temu pomógł Andy'emu podczas ważnej konferencji w Czechosłowacji.

Karuzela ruszyła na nowo. Boże, jak ona tego nienawidziła!

Zadzwonił telefon. Phyllis miała przez chwilę nadzieję, że to Walter Madison, który powie, że koniecznie musi jeszcze dziś wieczorem spotkać się z Andrew i tym samym wybawi ich od kolacji w Arlington. Jednak niemal natychmiast doszła do wniosku, że byłoby to jeszcze gorsze. W Waszyngtonie nagle spotkania niemal zawsze oznaczały początek poważnych kłopotów.

–Halo?

–Czy mogę mówić z panem Andrew Trevayne'em? – Głos był trochę chrapliwy, ale ciepły i bardzo uprzejmy.

–Przykro mi, ale właśnie bierze prysznic. Z kim mam przyjemność?

–Czy to pani Trevayne?

–Tak.

–Jeszcze nie miałem zaszczytu pani poznać. Nazywam się de Spadante. Mario de Spadante. Znam pani męża od wielu lat. Wczoraj spotkaliśmy się przypadkowo w samolocie.

Phyllis doskonale pamiętała, że Andrew powiedział, iż nie zadzwoni do de Spadantego.

–W takim razie podwójnie mi przykro. Niestety, mąż jest już bardzo spóźniony, panie de Spadante. Nie jestem pewna, czy uda mu się zadzwonić do pana jeszcze dzisiaj.

–Mimo to pozwolę sobie zostawić swój numer, jeśli nie sprawię tym pani kłopotu. Możliwe, że jednak będzie chciał się ze mną skontaktować. Widzi pani, ja też miałem być dziś wieczorem u Devereaux w Arlington. Kiedyś wykonywałem pewne zamówienie dla Air France. Być może pani mąż wolałby, żebym znalazł jakąś wymówkę i nie pojawił się na przyjęciu...

–Dlaczego, na litość boską?

–Czytałem w gazetach o jego podkomisji... Proszę mu przekazać, że od chwili przylotu na lotnisko Dullesa ktoś mnie śledził. Ktokolwiek to był, wie, że pani mąż i ja jechaliśmy razem do miasta.

–Co to znaczy, że ktoś go śledził? I dlaczego fakt, że jechaliście razem do miasta, ma mieć jakiegokolwiek znaczenie? – zapytała Phyllis męża, kiedy wyszedł z łazienki.

–Nie powinien. Po prostu de Spadante zaproponował mi, że mnie podwiezie. A co do śledzenia, to zapewne ma rację. Przypuszczam, że zdążył się już do tego przyzwyczaić. Podobno brał udział w bardzo podejrzanych interesach.

–Z Air France?

Trevayne roześmiał się.

–Nie. De Spadante zajmuje się budownictwem. Widocznie brał udział we wznoszeniu jakiegoś dworca lotniczego. Gdzie jest ten numer?

–Zapisałam go w notatniku. Zaraz ci przyniosę.

–Nie rób sobie kłopotu. – Andrew, tylko w szortach i podkoszulku, przeszedł do saloniku, gdzie na białym biurku leżał hotelowy notatnik z zielonymi kartkami. Wziął do ręki słuchawkę i zaczął wykręcać numer, odczytując z trudem niewyraźne, pośpieszne pismo żony. – To jest dziewiątka czy siódemka? – zapytał, gdy stanęła w drzwiach pokoju.

–Siódemka. Nie było ani jednej dziewiątki... Co mu powiesz?

–Wyprowadzę go z błędu. Mario de Spadante nic mnie nie obchodzi, nawet gdyby wynajął sobie pokój po sąsiedzku. Albo zrobił mi zdjęcia pod czas pochodu pierwszomajowego. Nie interesują mnie takie zabawy, a jeśli on myśli, że jest inaczej, to popełnia poważny błąd... Proszę z panem de Spadantem.

Trevayne spokojnie, lecz z nieskrywaną irytacją poinformował de Spadantego o tym, co myśli, a następnie niecierpliwie wysłuchał ogólnikowych usprawiedliwień Włocha. Rozmowa trwała niewiele więcej niż dwie minuty; odkładając słuchawkę Andrew nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Mario de Spadante przez cały czas doskonale się bawił.

Była to prawda.

Trzy kilometry od hotelu Trevayne'a, w północno-zachodniej części Waszyngtonu, przed starym wiktoriańskim domem stał granatowy cadillac de Spadantego. Dom, ulica, a nawet cała dzielnica najlepsze dni miały już zdecydowanie za sobą, choć resztki dawnego splendoru, mimo że nadgryzione zębem czasu, były jeszcze wyraźnie widoczne. Mieszkańcy dzielili się na trzy kategorie: stojących nad grobem starych ludzi, których przed przeprowadzką powstrzymały wspomnienia albo brak pieniędzy; młode małżeństwa – zazwyczaj dopiero zaczynające wspinaczkę po szczeblach urzędniczej kariery, które za stosunkowo niewielką opłatą mogły wynająć nawet dość duże mieszkania; wreszcie, pozostające w stałym konflikcie ze wszystkimi, grupy zbuntowanej młodzieży tworzącej subkulturowe enklawy. Zawodzenie dalekowschodnich sitar i dudnienie indyjskich tabli trwało niemal do samego południa. Tutaj nie było dnia ani nocy, była tylko mroczna szarość wypełniona jękami towarzyszącymi walce o przetrwanie.

Mocne narkotyki.

**Handlarze i klienci.**

**Stary wiktoriański dom, przed którym stał granatowy cadillac, został wynajęty przez kuzyna de Spadantego – jeszcze jednego kuzyna, cieszącego się znacznymi wpływami w waszyngtońskiej komendzie policji. Dom stanowił podstację w subkulturowym getcie mieściła się w nim jedna z mniej ważnych central kontrolujących handel narkotykami w tym rejonie. De Spadante zjawiał się tu od czasu do czasu, by omówić z partnerami szczegóły związane z obrotem nieruchomościami.**

**Teraz siedział w pozbawionym okien pokoju. Rozproszone elektryczne światło padało na wiszące na ścianach psychodeliczne plakaty, których główne zadanie polegało na zasłonięciu licznych pęknięć. Oprócz niego w pokoju znajdowała się jeszcze jedna osoba. Mario odłożył słuchawkę na widełki i odchylił się do tyłu na krześle stojącym za zaśmieconym, brudnym stołem.**

**–Jest rozdrażniony. Właśnie powiedział mi, żebym się od niego odczepił. To dobrze.**

**–Byłoby jeszcze lepiej, gdybyście nie zachowali się jak idioci i pozwolili wydarzeniom toczyć się zgodnie z ich biegiem! Przesłuchanie zaczęłoby się na nowo, akceptacja zostałaaby cofnięta, a Trevayne przestałby się liczyć!**

**–Twoje kłopoty biorą się stąd, że w ogóle nie myślisz. Dążysz do szybkich rozwiązań, a to jest bardzo nierozsądne. Szczególnie teraz.**

**–Mylisz się, Mario! – prychnął z wściekłością Robert Webster. – Niczego nie rozwiązaliście, a jedynie stworzyliście niebezpieczną i prymitywną prowokację.**

**–Tylko nie prymitywną! Wyłożyłem dwieście tysięcy na Greenwich i pięć na hotel Plaza!**

**–To też było prymitywne – odparował Webster. – Prymitywne i niepotrzebne. Twoje przestarzałe metody o mało nie doprowadziły do kompromitacji. Na przyszłość uważaj, co robisz.**

**Włoch zerwał się z krzesła.**

**–Tylko nie próbuj mnie pouczać, Webster! Już niedługo będziecie całować mnie po dupie za to, co wam załatwiłem!**

**–Na litość boską, nie drzyj tak gęby! I nie zwracaj się do mnie po nazwisku. Allen ma rację: związanie się z tobą było naszym największym błędem.**

**–Ja się nie prosiłem, Bobby, a ty nie wzięłaś mojego nazwiska z książki telefonicznej. Sam do mnie przyszedłeś, dziecińco! Potrzebowałeś pomocy, a ja ci ją dałem. I wciąż ci pomagam, więc bądź łaskaw nie mówić do mnie w taki sposób.**

**Wyraz twarzy Webstera świadczył o tym, że, aczkolwiek niechętnie, musi przyznać Włochowi rację. Mafioso okazał się pomocny w różnych sprawach, wykonując często zadania, jakich nie podjąłby się nikt inny. On zaś, Bobby Webster, korzystał z jego usług częściej niż ktokolwiek. Już dawno minęły czasy, kiedy można było zbyć Maria de Spadante jednym machnięciem ręki. Teraz należało mocno się starać, aby nie wymknął się zupełnie spod kontroli.**

**–Naprawdę nic nie rozumiesz? Zależało nam, żeby Trevayne wypadł z gry. Gdyby przesłuchanie zostało wznowione, na pewno tak by się stało.**

–Tak sądzisz? Cóż, myli się pan, panie Piękny. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Madisonem. Kazałem mu zadzwonić do mnie przed odlotem. Doszedłem do wniosku, że ktoś jednak powinien wiedzieć, co robi Trevayne.

Zaskakująca informacja sprawiła, że nieprzyjazne nastawienie Webstera ustąpiło miejsca niepokoju.

–Co ci powiedział?

–To już coś innego, prawda? Żaden z was, sprytnych dupków, nie wpadł na taki pomysł?

–Co ci powiedział, do cholery?

De Spadante usiadł ponownie na krześle.

–Szanowny pan adwokat wydawał się bardzo zdenerwowany. Odniosłem wrażenie, że marzy tylko o tym, by wrócić do domu i razem ze swoją atrakcyjną żoną jak najprędzej wleźć do butelki.

–Co powiedział?

–Trevayne domyślił się, czym jest komisja: pęczkiem odpowiednio ustawionych figurantów. Madison nie ukrywał, że modlił się, by go zatwierdzili – modlił się Madison, lecz nie Trevayne. Tamten miał to wszystko w dupie. Trevayne powiedział mu, że jeśli odrzucą jego kandydaturę, nie schowa ogona pod siebie i nie wyjedzie potulnie z miasta. Miał zamiar zwołać konferencję prasową i powiedzieć mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Niektóre z nich byłyby chyba bardzo nieprzyjemne.

–Na jaki temat?

–Madison nie ma pojęcia. Wie tylko, że to coś poważnego. Coś, co wstrząsnęłoby całym miastem. Tak dokładnie powiedział.

Robert Webster odwrócił się od mafiosa i odetchnął głęboko kilka razy, starając się zapanować nad ogarniającym go gniewem. Wypełniający dom kwaśno-słodki zapach drażnił go coraz bardziej.

–To nie ma sensu. Przecież widywałem się z nim niemal codziennie! To zupełnie nie ma sensu...

–Madison na pewno nie kłamał.

Webster spojrzał ponownie na Maria de Spadante.

–Wiem. Ale co to może być?

–Dowiemy się – odparł Włoch ze spokojną pewnością siebie. – Nie ryzykując, że po jakiejś konferencji prasowej wylądujemy tyłkami w ognisku. Kiedy poskładacie wszystko do kupy, przekonacie się, że miałem rację. Gdyby przesłuchanie zostało wznowione, a Trevayne odrzucony, wówczas wypaliłby z działą. Znam go jeszcze z dawnych lat. On też nie kłamie. Nikt z nas nie był na to przygotowany, dlatego staruszek musiał umrzeć.

Webster wpatrywał się w mocno zbudowanego, aroganckiego mężczyznę siedzącego na lepiącym się od brudu krześle.

–Jednak w dalszym ciągu nie wiemy, co chciał powiedzieć. Czy przyszło ci do tej twojej neandertalskiej głowy, że mogło to być coś tak trywialnego jak wydarzenia w hotelu Plaza? Natychmiast odcięlibyśmy się od wszystkiego i byłoby po kłopotach.

De Spadante nawet nie spojrzał na prezydenckiego doradcę, tylko powoli sięgnął



do kieszeni. We wzroku Webstera pojawiło się najpierw niedowierzanie, a potem lęk, ale mafioso wyjął tylko okulary o grubych szklach, włożył je na nos i zaczął przeglądać jakieś papiery.

–Bardzo się starasz, żeby mnie wkurzyć, Bobby... Co to w ogóle za gadanie? Prawda wygląda w ten sposób, że nie mieliśmy pojęcia, co to jest i nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby dowiedzieć się z wieczornych wiadomości. Myślę, że powinieneś już wrócić do swojej piaskownicy, Bob by. Inni chłopcy mogą pozabierać ci zabawki.

Webster pokręcił głową i ignorując obraźliwą uwagę de Spadantego, podszedł do drzwi. Położywszy rękę na pękniętej szklanej gałce, odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na krępego Włocha.

–Mario, będzie dla ciebie znacznie lepiej, jeśli w przyszłości powstrzymasz się przed podejmowaniem jakichkolwiek jednostronnych decyzji. Zawsze konsultuj się z nami. Żyjemy w bardzo skomplikowanych czasach.

–Jesteś bardzo bystry, Bobby, ale jeszcze straszny z ciebie młokos i brakuje ci doświadczenia. Jak się trochę zestarzejesz, świat przestanie wydawać ci się taki skomplikowany... Owce nie pasą się na pustyni. Kaktusy nie rosną w dżungli. Ten cały Trevayne znalazł się w niewłaściwym środowisku, to jasne jak słońce.

## Rozdział 12

Rozległy biały budynek, ozdobiony czterema jońskimi kolumnami podtrzymującymi całkowicie niepraktyczny balkon nad głównym wejściem, stał pośrodku trzyakrowej działki o sztucznie uformowanej rzeźbie terenu. Podjazd był równie niepraktyczny jak balkon: biegł po prawej stronie rozległego, przypominającego dywan trawnika, a następnie z niewiadomych przyczyn skręcał jeszcze bardziej w prawo, kończąc się półkolistym placykiem z dala od domu. Pośrednik powiedział Phyllis, że pierwszy właściciel miał zamiar zbudować w tym miejscu garaże, lecz nim zdołał się do tego zabrać, został przeniesiony do Muscaton w Dakocie Południowej.

Rezydencja w niczym nie przypominała High Barnegat, ale także miała nazwę – nazwą, która doprowadziła Phyllis na skraj rozpacz. Była wykuta w białym kamieniu pod bezsensownym balkonem.

Monticellino.

Ponieważ opiewająca na rok umowa najmu nie pozwalała na dokonywanie zbyt daleko idących zmian, Phyllis postanowiła pozostawić nazwę na miejscu. Tajemnicę jej powstania mógł znać tylko pierwszy właściciel, Pan Bóg i ewentualnie Tomasz Jefferson.

Również Tawning Spring w stanie Maryland nie przypominało Greenwich, choć dało się dostrzec trochę podobieństw. Miasteczko było zamożne, w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach białe, jego mieszkańcy zaś cierpieli na syndrom nieustającego społecznego awansu i doskonale wiedzieli, co kupują: przedostatni symbol społecznego statusu na drodze ich urzędniczej kariery. Ostatni – jeżeli będzie im dane kiedykolwiek po niego sięgnąć -leżał na południowy wschód stąd: McLean lub Fairfax, na terenach łowieckich Wirginii.

Nie wiedzieli natomiast jednego: że nabywając te jakże pożądane symbole, otrzymują wraz z nimi – całkowicie gratis – mnóstwo problemów, jakie wiążą się z ich posiadaniem.

Phyllis Trevayne знаła te problemy. Borykała się z nimi od pięciu... nie, już prawie od sześciu lat. Sześć lat czegoś bardzo zbliżonego do piekła. Z niczyjej winy, a jednocześnie z winy wszystkich. Po prostu tak właśnie miały się sprawy. Ktoś ustalił, że doba powinna mieć dwadzieścia cztery godziny, nie zaś trzydzieści siedem, czterdzieści dziewięć albo szesnaście.

Było to stanowczo za mało. Albo za dużo.

Zależy.

Na początku, rzecz jasna, takie filozoficzne myśli na temat czasu w ogóle się nie pojawiały. Pierwsze zachłyśnięcie się miłością, podniecenie, nieprawdopodobne ilości energii, jakie cała trójka – Andy, Douglas i ona – poświęcali obskurnemu magazynowi, który nazywali dumnie firmą... Nawet jeśli myślała wtedy o czasie, to tylko ze zniecierpliwieniem, zastanawiając się, czemu tak szybko ucieka.

Wykonywała potrójne obowiązki. Była sekretarką, bez której Andy nie mógłby prawidłowo zorganizować sobie czasu. Była księgową wpisującą w niezliczone rubryki tasiemcowe słowa i jeszcze dłuższe szeregi cyfr. Była także żoną.

Jak to określił jej brat, ślub udało się zgrabnie wpasować w krótką przerwę między Pratt Whitneyem a Lockheedem. Andy i Doug doszli do wniosku, że najlepsza będzie trzytygodniowa podróż poślubna na północny zachód. Młoda para obejrzy światła San Francisco, pojeździ trochę na nartach w stanie Waszyngton lub nawet w Vancouver, Andrew zaś zajrzy przy okazji do centrali Genessee Industries w Palo Alto. Genessee stanowiło gigantyczny konglomerat; produkowali wszystko, od pociągów i samolotów poczynając, na domach z prefabrykatów i podzespołach elektronicznych kończąc.

Doskonale wiedziała, kiedy zaczęło się piekło, a przynajmniej pamiętała dzień, w którym ujrzała zarysy tego, co czeka ją w przyszłości. Zdarzyło się to nazajutrz po powrocie z Vancouver.

Wszedłszy do biura zastała tam kobietę w średnim wieku, którą Douglas zatrudnił podczas jej nieobecności. Kobieta roztaczała wokół siebie aurę pracowitości, starając się zrobić w ciągu ośmiu godzin znacznie więcej, niż było możliwe, by zaraz potem pomknąć czym prędzej do męża i dzieci. Wspaniała osoba, wolna od zazdrości i żądy współzawodniczenia, wdzięczna za to, że może pracować. W gruncie rzeczy nawet nie potrzebowała pieniędzy, które zarabiała.

Przez następne lata Phyllis często o niej myślała. I coraz lepiej ją rozumiała.

Urodził się Steven; Andrew nie posiadał się ze szczęścia. Potem urodziła się Pamela i Andrew znakomicie wywiązywał się z roli uradowanego ojca, co prawda niezbyt zaradnego, ale za to pełnego dobrych chęci.

Przynajmniej wtedy, kiedy miał czas.

Jednocześnie bowiem zżerała go niecierpliwość. Pace-Trevayne rozrastała się w błyskawicznym tempie – zbyt szybko, jak na gust Phyllis. Wraz z astronomicznymi sumami pieniędzy pojawiła się ogromna odpowiedzialność. Nie była pewna, czy jej młody mąż poradzi sobie z tym wszystkim; okazało się jednak, że nie miała racji. Nie tylko świetnie sobie radził, lecz także potrafił dostosować się do zmieniających się, wciąż rosnących wymagań. Kiedy ogarniała go niepewność lub lęk – zdarzało się to od czasu do czasu – po prostu zatrzymywał się na chwilę, a wraz z nim wszyscy dokoła. Wyznał jej kiedyś, że jego niepewność i lęk biorą się z niewiedzy i braku doświadczenia. Zawsze lepiej było zrezygnować z jakiegoś kontraktu – choćby wydawało się to nie wiadomo jak bolesne – niż później żałować wyrażonej pochośnie zgody.

Andrew nie zapomniał sali sądowej w Bostonie. Jemu nigdy nie zdarzy się coś takiego.

Wytwarzane przez jej męża produkty trafiały na rynku w puste miejsce, które koniecznie należało wypełnić. Andrew nie poprzestawał na początkowym sukcesie, ale bez przerwy doskonalił wyroby, by mieć całkowitą pewność, że naprawdę są najlepsze. Przywiązywał dużą wagę do tego, aby zdobywać przewagę nad konkurentami wyłącznie przy użyciu uczciwych metod. Nie miało to żadnego związku z moralnością; po prostu było dla niego ważne i już.

Dzieci rosły jak na drożdżach. Gaworzyły, uczyły się chodzić, zużywały stopy pieluch, wchłaniały nieprawdopodobne ilości odżywek i mleka. Phyllis kochała je

**radosną miłością, ufnie i niecierpliwie czekając na to, co przyniesie przyszłość.**

**A potem wszystko zaczęło wymykać się jej z rąk. Najpierw powoli i stopniowo jak w wielu podobnych przypadkach. To także doskonale rozumiała.**

**Pierwszy wstrząs nastąpił w dniu, w którym dzieci poszły do szkoły. Na początku było nawet przyjemnie: cisza, spokój, cudowna samotność zakłócana jedynie pojawieniem się sprzątaczk, posłańca z pralni lub fachowca wezwanego do naprawy czegoś, co akurat się zepsuło. Zakłócana z rzadka i nie na długo.**

**Nieliczne przyjaciółki jedna za drugą wyprowadziły się w różne odległe miejsca. Ani ich marzenia, ani mężowie nie mieli nic wspólnego z New Haven. Sąsiedzi zamieszkujący to zamożne przedmieście stanowili miłe towarzystwo na godzinę lub dwie, ale nie dłużej. Poza tym mieli własne zobowiązania towarzyskie, związane z pracą w innych firmach. Kobiety mieszkające w East Haven z niechęcią kwitowały okazywany przez Phyllis Trevayne brak zainteresowania ich pragnieniami jak najszybszego wspięcia się na szczyt drabiny społecznej, niechęć zaś – jak to często bywa – zaowocowała milcząca, nasilającą się izolacją. Nie była jedną z nich i nie mogła im w niczym pomóc.**

**Uświadomiła sobie, że znalazła się w dziwnej, groźnej otchłani. Tysiące godzin, setki tygodni i dziesiątki miesięcy, jakie poświęcała Andrew, Dougowi i firmie, zostały zastąpione codzienną troską o zaspokajanie potrzeb dzieci. Mąż znacznie częściej przebywał poza domem niż w domu; zdawała sobie sprawę, że jest to konieczne. Jednak końcowy efekt był taki, iż nagle została pozbawiona racji istnienia.**

**Zaczęły się regularne, beztrudne i bezcelowe wyjazdy z domu. Żadnych niecierpliwych służących, przygotowań do podwieczorku, obiadu, kolacji, spaceru, zabawy, odwiedzin, i tak dalej, i tak dalej. Dzieci uczęszczały do szkół prywatnych. Zabierano je o ósmej trzydzieści, przywożono zaś o wpół do piątej, tuż przed popołudniowym szczytem.**

**„Ośmiogodzinne zwolnienie warunkowe” – tak mówiły inne młode zamożne matki posyłające swoje zamożne dzieci do starych, drogich, prywatnych szkół.**

**Phyllis usiłowała wejść w ich świat i nawet zapisała się do różnych klubów, z golfowym włącznie. Andrew entuzjastycznie popierał jej działania, lecz sam nie brał w nich udziału. Wkrótce przyjazne uczucia zarówno członków klubów, jak i młodych matek wyraźnie osłabły, ona natomiast uwierzyła, że wina leży wyłącznie po jej stronie. Była niedostosowana.**

**Czego właściwie chciała, na litość boską? Zadawała sobie często to pytanie, lecz nie potrafiła udzielić odpowiedzi.**

**Podjęła próbę powrotu do firmy. Teraz nie był to już obdrapany magazyn, lecz zespół nowoczesnych budynków, stanowiący zaledwie jeden z oddziałów kompanii. Pace-Trevayne zdecydowanie przodowała w wyścigu rozgrywającym się na niezwykle skomplikowanym torze. Żona energicznego, młodego prezesa nie czuła się zbyt dobrze, siedząc za biurkiem i wykonując najmniej skomplikowaną papierkową robotę. Zrezygnowała, niemal słysząc westchnienie ulgi, z jaką Andrew przyjął jej decyzję.**

**Bez względu na to, czego pragnęła, nie mogła tego osiągnąć. Odkryła jednak coś,**

co przynosiło pewną ulgę. Zaczęła od małej szklaneczki Harvey's Bristol Cream do lunchu, potem przerzuciła się na manhattan – najpierw pojedynczy, wkrótce już podwójny. Po kilku latach intensywnego treningu zainteresowała się wódką – konkretną, życiodajną substancją.

Och, mój Boże! Jak doskonale rozumiała Ellen Madison! Biedną, zahukaną, zamożną, delikatną, zdezorientowaną Ellen. Nigdy, ale to nigdy nie należało dzwonić do niej po szóstej po południu!

Wciąż jeszcze pamiętała z bolesną ostrością to późne deszczowe popołudnie. Miała wypadek; nic poważnego, ale bardzo się przestraszyła. Samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i uderzył w drzewo mniej więcej sto metrów od ich domu. Wracала wtedy z długiego lunchu. Nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Ogarnięta paniką zostawiła samochód na ulicy, pobiegła do domu, wpadła do sypialni i zamknęła się od środka.

Zaraz za nią przybiegła rozhisteryzowana sąsiadka. Służąca zadzwoniła do biura. Andrew dopiero po dłuższym czasie zdołał ją przekonać, by otworzyła drzwi. Powiedziała wtedy tylko pięć słów, które jednak zmieniły jej życie, kończąc na zawsze koszmarny okres:

Pomóż mi, na litość boską!

–Mamo! – Głos jej córki zakłócił ciszę panującą w sypialni, której wysokie okna otwierały się na niepraktyczny balkon. Phyllis Trevayne już prawie skończyła się rozpakowywać. Przedmiotem, który przywołał nie tak znowu odległe wspomnienia, była fotografia przedstawiająca dwoje małych dzieci. – Przyszedł do ciebie polecony list z Uniwersytetu Bridgeport. Będiesz tam wykładać w jesiennym semestrze?

Na parterze rozbrzmiewały dźwięki muzyki z tranzystorowego radia Pam. Phyllis i Andy zaśmiewali się do rozpuku, kiedy poprzedniego dnia przyjechali po córkę na lotnisko Dullesa; Pamela włączyła radio, jeszcze zanim na dobre wysiadła z samolotu.

–Tylko jedno seminarium raz na dwa tygodnie, kochanie. Możesz mi go tu przynieść?

Uniwersytet Bridgeport.

Zbieżność jej myśli z faktem otrzymania listu była jak najbardziej prawidłowa. Uniwersytet Bridgeport stanowił jeden z elementów rozwiązania jej kłopotów.

Andy już wcześniej zdawał sobie doskonale sprawę, że jej skłonność do picia wykroczyła poza bezpieczne ramy towarzyskiego zwyczaju, lecz nie chciał uznać tego za poważny problem. I tak miał więcej kłopotów, niż potrzebował; przypisywał jej wysoki chwilowym obciążeniom psychicznym związanym z prowadzeniem domu oraz zbyt małej aktywności poza nim. Nie było to nic nadzwyczajnego. Często słyszał, jak inni mężczyźni opowiadali o podobnych objawach. „Melancholia zamkniętych przestrzeni”, tak to zazwyczaj nazywali. Prędzej lub później mijała bez śladu. Jego obserwacje zdawały się potwierdzać tę teorię, gdyż kiedy tylko podróżowali razem lub wyjeżdżali na wakacje, kłopoty zniknęły bez śladu.

A jednak to deszczowe popołudnie pozwoliło im zrozumieć, że problem istnieje i

że muszą wspólnie stawić mu czoło.

Rozwiązanie wymyślił Andy, choć bardzo się starał, aby myślała, że to ona wpadła na ten pomysł. Phyllis musiała znaleźć dla siebie jakiś cel – na tyle atrakcyjny, by warto było go osiągnąć, oraz na tyle ambitny, by znajdować przyjemność w samym dążeniu do niego.

Znalezienie go nie zajęło jej dużo czasu, gdyż temat fascynował ją od chwili, kiedy po raz pierwszy zapoznała się z historią średniowiecza i renesansu. Kroniki: Daniel, Holinshed, Froissart, Villani. Niesamowity, przesycony mistycyzmem, cudowny świat legend i rzeczywistości, faktów i fantazji.

Wkrótce po tym, jak zaczęła – najpierw bardzo ostrożnie, uczęszczając na wykłady na Uniwersytecie Yale – ogarnęła ją taka sama niecierpliwość, jaką wykazywał Andrew, zajmujący się interesami Pace-Trevayne błyskawicznie zwiększającymi zasięg. Oburzało ją suche, akademickie podejście prezentowane przez uczonych, którzy zajmowali się tymi pełnymi życia, kolorowymi opowieściami. Wściekała się, czytając ostrożne, niejednoznaczne, bełkotliwe analizy literackie dzieł największych nowelistów-historyków w dziejach ludzkości. Pragnęła otworzyć na oścież pokryte patyną czasu drzwi i pozwolić, by wiatr teraźniejszości hulał swobodnie po starych archiwach. Myślała wyłącznie w kategoriach współczesnych paraleli, nie niszcząc jednak ducha starodawnej pompatyczności.

Jeśli Andrew miał swoją pasję, to ona znalazła swoją. Im bardziej się w niej pogrążała, tym szybciej przekonywała się, że wszystko dokoła niej układa się w zorganizowane, sensowne kształty. Dom Trevayne'ów znowu stał się miejscem tętniącym życiem i działaniem. W ciągu niespełna dwóch lat Phyllis uzyskała tytuł magistra, dwa i pół roku później zaś osiągnęła wytyczony cel, który tymczasem zamienił się jedynie w oczywistą konieczność: otrzymała tytuł doktora literatury angielskiej. Dla uczczenia tego wydarzenia Andrew wydał huczne przyjęcie, a kiedy później kochali się jak para nastolatków, wyznał jej, że zamierza zbudować High Barnegat. Oboje zasłużyli sobie na to.

–Już prawie skończyłaś – zauważyła Pamela Trevayne, wchodząc do sypialni. Wręczyła matce kopertę z czerwonym znaczkiem i rozejrzała się dookoła. – Wiesz, mam, nie mam nic przeciwko tempu, w jakim załatwiasz takie sprawy, ale to chyba nie musi być aż tak zorganizowane!

*Im bardziej pogrążała się w swojej pasji, tym szybciej się przekonywała, że wszystko dokoła niej układa się w zorganizowane, sensowne kształty.*

–Mam za sobą wiele doświadczeń, Pam – powiedziała Phyllis, wciąż jeszcze nie mogąc otrząsnąć się ze wspomnień. – Nie zawsze byłam taka... uporządkowana.

–Proszę?

–Nic, nic... Chciałam tylko powiedzieć, że z biegiem lat zdążyłam na brać wprawę.

Phyllis wzięła do ręki list i obrzuciła córkę zamyślonym spojrzeniem. Pam ostatnio bardzo urosła; jasnobrązowe rozpuszczone włosy otaczały młodą twarz o dość ostrych rysach, w której najbardziej zwracały uwagę duże brązowe, pełne życia oczy. Takie błyszczące. Pam miała dobrą twarz, stanowiącą kobiecą wersję twarzy brata. Może nie piękną, ale na pewno bardzo ładną i interesującą. Zanosilo się na to, że

wyrośnie z niej atrakcyjna kobieta. Pod powierzchnią beztroską kryła się żywa inteligencja i bystry umysł, odrzucający niesatysfakcjonujące odpowiedzi.

Bez względu na mniej lub bardziej irytujące atrybuty wieku młodzieńczego – chłopcy, tranzystorowe radia, z których dobiegały na okrągło dźwięki ponurych folkowych ballad, plakaty, marsze ubogich – Pam Trevayne stanowiła nieodłączną część szeroko rozumianego „teraz”. I bardzo dobrze, pomyślała Phyllis, patrząc, jak córka odsłania okna wychodzące na bezsensowny balkon.

–To projektował chyba jakiś idiota, mamó. Wątpię, czy da się tam postawić choćby jeden leżak.

Phyllis roześmiała się i otworzyła list z Bridgeport.

–Rzeczywiście, chyba nie będziemy tam urządzić przyjęć pod gołym niebem... Boże, wpisali mnie na piątki! A tak prosiłam, żeby tego nie robili!

–Seminarium? – zapytała Pam, odwracając się od okna.

–Tak. Proszę, żeby wybrali jakikolwiek dzień między poniedziałkiem a czwartkiem, a oni dają mi piątek! Muszę mieć wolne piątki ze względu na weekendy.

–To niezbyt zaangażowane podejście do obowiązków, pani profesor.

–Wystarczy nam jeden zaangażowany członek rodziny. Waszemu tacie przyda się każdy weekend – o ile będzie je miał, ma się rozumieć. Zadzwoń do nich trochę później.

–Dziś jest sobota, mamó.

–Rzeczywiście. W takim razie w poniedziałek.

–Kiedy przyjedzie Steve?

–Ojciec poprosił go, żeby pojechał pociągiem do Greenwich i przyprowadził tu kombi. Dostał listę rzeczy, które ma przywieźć.

–Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?! – wykrzyknęła Pam, nie kryjąc zawodu. – Pojechałabym autobusem i wróciła razem z nim.

–Dlatego że cię tutaj potrzebuję. Kiedy ja siedziałam w Barnegat, ojciec mieszkał tu w prawie nieumeblowanym domu, w którym nawet nie mógł sobie zrobić nic do jedzenia. My, kobiety, musimy wziąć pewne sprawy w swoje ręce.

Phyllis wsadziła list do koperty i oparła ją o lustro toaletki.

–Występujesz wbrew swoim zasadom – zauważyła z uśmiechem Pam. – My, kobiety, jesteśmy przecież wyemancypowane.

–Proszę bardzo, możesz sobie być wyemancypowana, ale to nie uchroni cię przed rozpakowywaniem naczyń. Stoją w kuchni, w podłużnym pudle.

Pam usiadła na brzeжку łóżka i przyglądała wyimaginowaną fałdę na swoich lewisach.

–Jasne, za chwileczkę... Mamó, dlaczego nie zabierzecie Lillian? Przecież byłoby dużo łatwiej. Albo kogoś wynająć...

–Może później. Na razie nie wiadomo, jak nam się tu wszystko ułoży. Na pewno będziemy często bywać w Connecticut, szczególnie w weekendy. Nie chcemy rezygnować z tamtego domu. – Phyllis uniosła brwi i spojrzała na córkę z żartobliwą przyganą. – Nie wiedziałam, że tak bardzo przyzwyczaiłaś się do obecności służącej.

–Jasne. Nigdy nie mogę sama znaleźć majtek.

–W takim razie dlaczego o to pytasz? – zapytała matka, ustawiając drobiazgi na toaletce.

–Przeczytałam artykuł w niedzielnym „Timesie”. Napisali tam, że tata podjął się pracy, która zajmie mu co najmniej dziesięć lat, i to bez żadnych przerw, a kiedy skończy, to i tak okaże się, że zrobił tylko połowę tego, co było do zrobienia. I że stanął przed zadaniem niemożliwym do wykonania.

–Nie niemożliwym, tylko „niewiarygodnie trudnym”. Poza tym „Times” jest znany ze skłonności do przesady.

–A o tobie napisali, że jesteś jednym z czołowych autorytetów od średniowiecza.

–Cóż, wynika z tego, że jednak nie zawsze przesadzają – roześmiała się Phyllis i zdjęła z krzesła pustą walizkę. – O co chodzi, kochanie? Sądząc z wyrazu twojej twarzy, chcesz mi chyba coś powiedzieć?

Pam usiadła głębiej na łóżku i oparła się o wezglowie. Phyllis z ulgą spostrzegła, że jej córka jest bez butów. Narzuta była z jedwabiu.

–Raczej zapytać. Czytałam te wszystkie historie w gazetach i czasopiśmie. Oglądałam wiadomości w telewizji, w tym nawet komentarz Erica Sevareida -jest teraz na fali, więc mam przody u moich kolegów... Dlaczego tata podjął się tego? Przecież każdy mówi, że to paskudne bagno.

–Właśnie dlatego. Twój ojciec jest bardzo zdolnym człowiekiem. Wielu ludzi uważa, że uda mu się coś osiągnąć.

Postawiła walizkę przy drzwiach.

–To niemożliwe, mamo.

Phyllis spojrzała na córkę. Do tej pory słuchała jej tylko jednym uchem, mając głowę zaprzątniętą tysiącem problemów, jakie zwykle towarzyszą każdej przeprowadzce.

–Proszę?

–Nie da rady nic zrobić.

Phyllis podeszła powoli do łóżka.

–Mogłabyś mi wyjaśnić, co masz na myśli?

–Nie uda mu się niczego zmienić. Nie pomoże mu w tym żadna podkomisja, przesłuchanie ani śledztwo.

–Dlaczego?

–Dlatego że rząd przesłuchuje i bada sam siebie. To tak, jakby uczynić jakiegoś malwersanta kontrolerem bankowym. Nic z tego, mamo.

–Może się mylę, Pam, ale ta uwaga jakoś dziwnie mi do ciebie nie pasuje.

–Rzeczywiście, nie ja to wymyśliłam, ale tak właśnie uważam. Ostatnio bardzo dużo dyskutujemy na ten temat.

–Nie wątpię i bardzo się z tego cieszę. Mimo to uważam, że zbyt upraszczacie sprawę. Jeżeli zgadzacie się z faktem istnienia niebezpiecznej sytuacji, powinniście mieć też jakiś pomysł na to, jak się z niej wygrzebać. Sam krytycyzm nie wystarczy, trzeba szukać rozwiązań.

Pam pochyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

–Wszyscy tak mówią, ale ja wcale nie jestem pewna, czy mają rację. Nawet jeśli



wiesz, że ktoś jest chory, ale sama nie jesteś lekarzem, nie powinnaś podejmować się wykonania operacji.

–To też mi do ciebie nie pasuje...

–Nieprawda, sama to wymyśliłam.

–W takim razie przepraszam.

–Owszem, istnieje rozwiązanie, ale chyba trzeba będzie z nim poczekać. O ile nie zestarzejemy się zbyt szybko albo nie umrzemy... Naprawdę wielka zmiana, od samej góry do dołu. Transfuzja krwi. Może gdyby po wstała prawdziwa trzecia partia...

–Marzysz o rewolucji?

–Boże, skądże znowu! To nie ma najmniejszego sensu. O rewolucji krzyczą tylko zwolennicy przemocy, a oni są równie głupi jak ci, którzy te raz nami rządzą. Myślą, że jak rozwalą parę głów, to wszystkie problemy same się rozwiążą.

–Cieszę się, że tak uważasz... Nie staram się być protekcyjna, kochanie – dodała szybko Phyllis, przechwyciwszy nieufne spojrzenie córki. – Słowo honoru.

–To jest tak, mamó: ludzie, którzy teraz podejmują decyzje, muszą ustąpić miejsca ludziom, którzy zaczną podejmować zupełnie inne decyzje i będą wyczuleni na prawdziwe problemy zamiast tworzyć sztuczne albo wyolbrzymiać mało istotne, żeby wyciągnąć z tego jakieś korzyści dla siebie.

–Może twojemu ojcu uda się je wskazać. Jeśli poprze swoje twierdzenia faktami, ci ludzie będą musieli go wysłuchać.

–Jasne, wysłuchają go. Będą kiwać głowami i mówić, jaki to wspaniały z niego facet, a potem powstanie nowa podkomisja, która zacznie badać działalność jego podkomisji, a potem jeszcze jedna, która zajmie się nimi obiema. Zawsze tak było i będzie, a tymczasem nic się nie zmienia. Nie rozumiesz, mamó? Trzeba zacząć od ludzi na samej górze!

Phyllis przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w ożywioną podnieceniem twarz córki.

–To bardzo cyniczne podejście – powiedziała wreszcie.

–Wiem. Ale mam przeczucie, że ty i tata myślicie w bardzo podobny sposób.

–Jak to?

–No, wydaje mi się, że... że wszystko tutaj jest takie jakieś tymczasowe. Nie zabraliście Lillian, ten dom zupełnie nie przypomina domów, które zwykle wybiera ojciec...

–Jeżeli chodzi o dom, to istnieją ważne powody, dla których zdecydowaliśmy się na niego. Najważniejszy jest ten, że nie ma wielkiego wyboru, a ojciec nie znosi hoteli, o czym doskonale wiesz.

Phyllis mówiła szybko to, co jej akurat przyszło do głowy. Nie miała zamiaru zdradzić córce, że niewielki, przeznaczony dla gości pawilon tuż za domem znakomicie nadawał się dla dwóch, przydzielonych przez Biały Dom, agentów Secret Service. „Dyspozytornia”, taka nazwa widniała na rozpisce przygotowanej przez Roberta Webstera.

–Sama przyznałaś, że dom jest prawie nieumeblowany...

–Bo nie mieliśmy czasu, żeby się tym zająć.

–...i w dalszym ciągu masz wykłady w Bridgeport.

–Obiecałam im to dużo wcześniej. Nie miałam daleko.

–Powiedziałaś też, że nie jesteś pewna, co właściwie będziesz tu robiła.

–Kochanie, wyławiasz oderwane, niezwiązane ze sobą stwierdzenia i tworzysz z nich uzasadnienie swoich opinii niewynikających z żadnych racjonalnych przesłanek...

–Daj spokój, mamó. To nie seminarium, na którym obalasz poglądy zawarte w czyjejs pracy.

–Różnica jest niewielka. Miałam już do czynienia z wieloma równie zwodniczymi i nieprawdziwymi argumentami. To, co robi twój ojciec, jest dla niego niezmiernie ważne. Musiał podjąć wiele trudnych, bolesnych decyzji. Nie chciałabym, żeby usłyszał od ciebie, że marnuje czas albo że nie ma uczciwych intencji.

–Ojejku! – Pam zerwała się z łóżka, wyraźnie zaniepokojona reakcją matki. – Nie miałam tego na myśli. Nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego o tacie. Ani o tobie. Oboje jesteście w porządku.

–Wygląda więc na to, że cię źle zrozumiałam. – Phyllis odwróciła się i podeszła do toaletki. Była na siebie wściekła za to, że okazała córce irytację; przecież Pam powtórzyła tylko to, co mówili znacznie od niej mądrzejsi ludzie w całym Waszyngtonie. Najbardziej ubodło ją nie oskarżenie o nie uczciwość intencji, lecz zarzut marnotrawienia czasu.

Andrew nienawidził marnotrawstwa. Nic się nie zmieni. Takie były opinie.

–Pomyślałam sobie tylko, że może tata nie jest do końca pewien, nic więcej...

–Oczywiście – powiedziała Phyllis, odwracając się z uśmiechem do córki. – Kto wie, czy nie masz racji... jeśli chodzi o trudności z wprowadzaniem zmian. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy dać mu szansę, nie uważasz?

Pam uśmiechnęła się z ulgą, widząc zmianę w nastroju matki.

–Jasne! Kto wie, może uda mu się wymienić te wszystkie pancerniki i okręty podwodne na żaglowce?

–Ekolodzy na pewno bardzo by się ucieszyli. A teraz do roboty! Trzeba wyjąć naczynia. Steve na pewno będzie głodny.

–On zawsze jest głodny – zauważyła Pam, idąc do drzwi.

–Skoro już mówimy o twoim ojcu, to gdzie on się właściwie podział? Ten człowiek ma niesamowity talent znikania z horyzontu akurat wtedy, kiedy trzeba wziąć się do jakiejś brudnej roboty.

–Ogląda ten idiotyczny domek dla lalek i podziwia podjazd. Ten, kto go betonował, chyba mieszał cement mikserem do ciasta.

–Cóż, oto właśnie Monticellino, kochanie.

–Mamo, a co to właściwie znaczy?

–Chyba to, że Monticello zaszła w ciążę.

–O rety!

Trevayne zamknął drzwi pawilonu gościnnego, upewniwszy się jeszcze raz, że wyposażenie „dyspozytorni” zostało prawidłowo zainstalowane i działa bez zarzutu. Były tam dwa głośniki, które po naciśnięciu włącznika ukrytego pod dywanem w

domu przekazywały wszystkie odgłosy z holu i salonu. Andrew miał dzięki temu okazję usłyszeć krótką wymianę zdań między Pamelą a listonoszem, a następnie donośny głos córki informującej matkę o poleconym liście z Bridgeport. Przed wyjściem z domu postawił w otwartym oknie na parterze książkę i teraz mógł stwierdzić z satysfakcją, że z trzeciego głośnika umieszczonego w pawilonie wydobywa się przeciągły gwizd, a jedna z ponumerowanych lampek na tablicy kontrolnej miga czerwonym światłem. Każda lampka odpowiadała jednemu z pomieszczeń, alarm zaś odzywał się natychmiast, jak tylko jakieś ciało stałe naruszyło kontrolowaną przez elektroniczne czujniki przestrzeń nad parapetami okien.

Poprosił dwóch agentów Secret Service, żeby przez weekend wykonywali swoje obowiązki z samochodu zaparkowanego kilkanaście metrów od domu. Przypuszczał, że mają wyposażenie, które pozwala im nawet tam odbierać sygnały urządzeń alarmowych, ale wolał o to nie pytać. Prędzej czy później będzie musiał powiedzieć dzieciom o „dyspozytorni”, lecz chciał to zrobić tak, by nie wzbudzić w nich niepokoju. W żadnym wypadku nie mogły poznać prawdziwych powodów, dla których cała rodzina znalazła się pod ochroną. Dwaj agenci, pracujący na zmianę z kolegami, okazali całkowite zrozumienie dla jego prośby.

Umowa z Robertem Websterem – a tym samym z prezydentem – była bardzo prosta. Żona Trevayne'a miała otrzymać całodobowy nadzór ochronny; przy okazji dowiedział się, że tak to się teraz nazywa: nie „ochrona”, tylko „nadzór ochronny”. Z jakiegoś powodu Departament Sprawiedliwości uznał, że nowe określenie lepiej pasuje do szerokiego spektrum zagadnień, jakie w sposób oczywisty się z nim wiązały. Dzieciom przydzielono „opiekunów” wyłącznie na czas pobytu w szkole i poproszono dyrekcję o dyskretne współdziałanie.

Zgodzono się, żeby wobec samego Trevayne'a zastosować minimalne środki bezpieczeństwa. Bezpośredni zamach wydawał się mało prawdopodobny, on zaś kategorycznie odmówił podejmowania działań na zapas. Podobno prezydent roześmiał się, kiedy usłyszał, jak Andrew zareagował na pomysł Departamentu Sprawiedliwości z „nadzorem ochronnym”. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tego rodzaju pokrętne nazewnictwo stanowiło spuściznę po poprzednim prokuratorze generalnym nazwiskiem Mitchell.

Rozległ się dźwięk klaksonu. Trevayne uniósł głowę i zobaczył rodzinne kombi prowadzone przez swego syna; samochód zatrzymał się na półokrągłym placu kończącym podjazd i cofał się teraz ostrożnie w kierunku wejścia do domu. Był załadowany pod sam dach. Należało przypuszczać, że Steve nie miał dużego pożytku z wewnętrznego lusterka wstecznego.

Chłopiec zatrzymał kombi w miejscu, które po otwarciu tylnej klapy najlepiej nadawało się do wyładowywania bagaży, wyłączył silnik i wysiadł z wozu. Andrew spostrzegł – z rozbawieniem pomieszanim z odrobiną niechęci – iż długie włosy syna nadają mu niemal biblijny wygląd.

–Cześć, tato! – zawołał z uśmiechem Steve. Dół jego flanelowej koszuli wysunął się ze spodni. Linia ramion znajdowała się na tym samym poziomie co linia dachu

samochoodu. – Jak się miewa zwiastun wstrząsających przemian?

–Kto taki? – zapytał Andrew, ściskając dłoń syna.

–Tak napisali w „Timesie”.

–Oni zawsze przesadzają.

Późnym popołudniem dom był już zorganizowany znacznie lepiej, niż Andrew uważał za możliwe. Najpierw wraz z synem rozładował kombi, a następnie obaj podwinęli rękawy i wykonywali niezliczone polecenia Phyllis, która kazała im przestawiać meble tak, jakby to były pionki na szachownicy. Wreszcie Steve oświadczył, że stawka godzinowa właścicieli i zarazem jedynych pracowników firmy przeprowadzkowej „Trevayne Trevayne” podwaja się za każdym razem, kiedy jakiś ciężki mebel wraca na miejsce, z którego został usunięty zaledwie kilka minut wcześniej. W pewnej chwili gwizdnął głośno i oznajmił donośnym głosem, że związki zawodowe domagają się stanowczo przerwy na piwo.

Głównym negocjatorem w tej sprawie został ojciec, wybrany wcześniej jednogłośnie na wiceprezydenta firmy. Ostatecznie przerwa na piwo nastąpiła między przesuwaniem kanapy i dwóch ogromniastych foteli, które oczywiście znalazły się zupełnie nie tam, gdzie trzeba. Za dodatkową puszkę zgodzili się łaskawie zamienić je miejscami.

O wpół do szóstej Phyllis była już wreszcie w miarę zadowolona, kartonowe pudła i styropian zostały zgromadzone za domem, a kuchnia doprowadzona do jakiegoś takiego porządku. Pam zeszła na dół i oświadczyła, że łóżka są już pościelone i że liczy na uznanie brata za sposób, w jaki przygotowała jego łóżko.

–Gdyby twój iloraz inteligencji obniżył się o jeden punkt, stałabyś się rośliną – usłyszała w odpowiedzi.

Pierwszy właściciel Monticellino – mówiono o nim bez większego szacunku „on” – zainstalował w kuchni jedno rzeczywiście sensowne urządzenie: grill. Rodzina ustaliła, że wyśle delegata do Tawning Spring z poleceniem odwiedzenia sklepu mięsnego i nabycia największego kawału polędwicy wołowej, jaki będą mieli na składzie. Delegatem został Andrew, z czego nawet ucieszył się; dzięki temu będzie miał okazję zamienić parę słów z agentami siedzącymi w rządowym samochodzie.

Zrobił to, a przy okazji stwierdził z zadowoleniem, że niepozorna limuzyna jest wyposażona w najpotężniejszą i najbardziej skomplikowaną radiostację, jaką kiedykolwiek widział na oczy gdzie indziej niż na makiecie kabiny statku kosmicznego.

Nie miał nic przeciwko temu.

Okazało się jednak, że grill – przystosowany do palenia węglem drzewnym – ma jedną wadę: dymił tak potwornie, że trzeba było czym prędzej pootwierać wszystkie okna na parterze. Andrew w ostatniej chwili przypomniał sobie o czujnikach, pobiegł do salonu, nacisnął umieszczony pod dywanem włącznik i ku lekkiemu zdziwieniu pozostałych członków rodziny zaczął głośno wykrzykiwać inwektywy pod adresem pierwszego właściciela posesji.

–Wiesz co, mamó? – mruknął z namysłem Steve, przyglądając się, jak ojciec macha frontowymi drzwiami, starając się wygnać z wnętrza dokuczliwy dym. – Myślę,

że czym prędzej powinnaś wsadzić go na żaglówkę. Coś mi się wydaje, że dłuższa obecność na stałym lądzie wpływa niekorzystnie na stan jego umysłu.

–Lepiej po prostu go nakarm – odezwała się Pam. – Przecież sama mi powiedziałaś, że mieszkał tu trzy tygodnie, nie robiąc sobie nic do jedzenia.

Dopiero kiedy Trevayne zobaczył zaśmiewające się do rozpuku żonę i dzieci, zdał sobie sprawę z pozornej bezsensowności swoich poczynań.

–Uspokójcie się natychmiast, bo jak nie, to wstrzymam wam prenumeratę „Świata dziecka”!

O ogromniastych stekach dało się powiedzieć tylko tyle, że były niezłe. Błyskawicznie podjęto odpowiednie decyzje dotyczące sklepu mięsnego w Tawning Spring. Następnie Pam i Phyllis zajęły się parzeniem kawy, podczas gdy Steve i Andy sprzątnęli talerze ze stołu.

–Ciekawe, co porabia Lillian? – zastanawiała się Pam. – Została przecież zupełnie sama.

–Ona to lubi – odparł Steve, dolewając sobie śmietanki. – Przynajmniej da do wiwatu ogrodnikom. Zawsze powtarza, że mama jest dla nich zbyt łagodna.

–Nie jestem łagodna ani ostra, tylko po prostu rzadko ich widuję.

–Lillian uważa, że powinnaś widywać ich częściej. Pamiętasz? – zapytał Steve, zwracając się do siostry. – Kiedy w ubiegłym miesiącu pojechaliśmy z nią do miasta, narzekała przez całą drogę, że w agencji, która przysyła ogrodników, zbyt często zmieniają ludzi. Wciąż trzeba im wszystko tłumaczyć od nowa, a rośliny w tym czasie marnieją. Wiecie, kogo mi ona przypomina? Ludwika XIV!

Andrew spojrział z wytężoną uwagą na syna. Była to zupełna drobnostka, ale jednak zwróciła jego uwagę. Dlaczego agencja często zmieniała ogrodników? Zwykle zajmowały się tym całe rodziny, a jeżeli akurat rodzina pochodziła z Włoch -jak ta, która do tej pory opiekowała się ogrodem w High Bamegat – to nigdy nie brakowało chętnych do wykonania pracy. Przy okazji dowie się, o co w tym wszystkim chodziło, a jeśli zajdzie taka potrzeba, zrezygnuje z usług Agencji Ogrodniczej Aiello.

–Lillian jest po prostu nadopiekuńcza – stwierdził. – Powinniśmy być jej wdzięczni.

–Przecież jesteśmy. Bez przerwy – odparła Phyllis.

–Co tam słyszeć w twojej komisji, tato? – zapytał Steve, tym razem dla odmiany dolewając nieco kawy do śmietanki, którą napełnił filiżankę.

–To nie komisja, lecz podkomisja. W Waszyngtonie są bardzo czuli na takie różnice. Zebraliśmy już prawie cały personel i kończymy urządzać biuro. Tak przy okazji: prawie wcale nie mamy przerw na piwo.

–To chyba przez nieoświecone kierownictwo.

–Bardzo możliwe – zgodził się Andy.

–Kiedy gruchniecie?

–Gruchniecie? Skąd ty bierzesz takie słowa?

–Z niedzielnych kreskówek dla dzieci – wtrąciła się Pam.

–Ojcu chodzi o znaczenie, które można zastosować w kontekście jego pracy – wyjaśniła Phyllis, obserwując z niepokojem zatroskaną nagle twarz męża.

–Czy to nie jest prawda, że chcecie dobrać się łupieżcom do skóry jeszcze mocniej, niż zrobił to Nader? – zapytał Steve z uśmiechem, w którym nie było prawie wcale wesołości.

–Nasze zadania są zupełnie inne.

–Naprawdę?

–Ralph Nader zajmował się obroną interesów konsumentów, nas zaś interesują sposoby zdobywania i wykorzystywania zamówień rządowych.

–To ci sami ludzie.

–Niekoniecznie.

–Ale w większości.

–Chyba nie wszyscy.

–Wartościujesz ich, z czego wynika, że nie jesteś tego pewien – stwierdził Steve. Nie spuszczać wzroku z ojca, podniósł do ust filiżankę.

–Myślę, że tata nie miał jeszcze czasu na to, by się zorientować – odezwała się Phyllis. – Nie sądzę, żeby można było nazwać to wartościowaniem.

–Oczywiście, że można, Phyl. Steve ma rację: nie jesteśmy niczego pewni. Poza tym kwestia, czy to są ci sami ludzie, z którymi walczył Nader, czy inni, nie ma żadnego znaczenia. Będziemy zajmować się tylko konkretnymi przypadkami nadużyć...

–Które jednak są częścią większej całości – wpadł mu w słowo syn. – Silne grupy nacisku.

–Zaczekaj chwileczkę. – Trevayne dolał sobie kawy. – Nie jestem pewien, co rozumiesz pod pojęciem „grupy nacisku”, ale założmy, że chodzi ci o zamożnych ludzi prowadzących własne interesy. Zgoda?

–Zgoda.

–Tacy ludzie przyczynili się znacznie do rozwoju wielu dziedzin. Przede wszystkim wymienilibym medycynę, ale także rolnictwo, budownictwo i transport. Finansowane przez nich badania pomagają nam wszystkim. Zdrowie żywność, mieszkania – w tych dziedzinach życia grupy nacisku mogą odegrać bardzo przydatną rolę. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

–Oczywiście, że tak. Wówczas, gdy „przyczynianie się do rozwoju nie stanowi tylko mało istotnego elementu towarzyszącego zarabianiu ogromnych pieniędzy.

–Nie zgadzasz się więc z materialną motywacją działania?

–Częściowo.

–Okazała się bardzo skuteczna, szczególnie w porównaniu z innymi systemami. Współzawodnictwo jest nieodłączną częścią naszego sposobu życia. Dzięki temu mnóstwo ludzi może osiągnąć więcej niż gdzie indziej.

–Nie zrozum mnie źle – odparł Steve. – Nie mam nic przeciwko zyskowi jako takiemu. Nie zgadzam się tylko z sytuacją, w której jest on jedyną motywacją.

–Doskonale to rozumiem – odparł Andrew. On sam miał na ten temat identyczne zdanie.

–Jesteś pewien, tato?

–Nie wierzysz mi?

–Bardzo chcę ci wierzyć. Przyjemnie jest czytać to wszystko, co o tobie piszą. To miłe uczucie, wiesz o tym?

–W takim razie co cię powstrzymuje? – zapytała Phyllis.

–Nie wiem, a przynajmniej nie do końca. Myślę, że czułbym się dużo lepiej, gdyby tata był... rozgniewany.

Andrew i Phyllis wymienili spojrzenia.

–Gniew niczego nie rozwiąże, kochanie – powiedziała szybko Phyllis. – To tylko stan umysłu.

–W dodatku niezbyt konstruktywny – dodał Trevayne.

–Ale zawsze jest to jakiś punkt wyjścia, na litość boską! Tato, ty naprawdę możesz coś zrobić. Tym razem może się udać! Ale na pewno nic z tego nie wyjdzie, jeśli ograniczysz się do „konkretnych przypadków nadużyć”.

–Dlaczego? One stanowią najbardziej sensowny punkt zaczepienia.

–Właśnie że nie! To małe śmieci, które zatykają studzienki odpływowe. Zanim skończysz się z nimi babrać, tkwisz po szyję w ściekach! Siedzisz po szyję w...

–Myślę, że nie musisz kończyć tej przenośni – przerwała mu matka.

–...tysiącach drugorzędnych spraw, które potężne firmy prawnicze ciągną miesiącami w sądach.

–Wydaje mi się, że cię rozumiem – powiedział Andrew. – Radzisz mi, bym zaatakował ich zaostrzonym kijem od szczotki. To bardzo niebezpieczne lekarstwo, synu. Mogłoby się okazać groźniejsze od choroby.

–W porządku, może za daleko się posunąłem. – Steven Trevayne ponownie uśmiechnął się smutno. – Ale przyjmij ostrzeżenie od „strażników jutra”, tato. Z każdym dniem coraz bardziej się niecierpliwimy.

Trevayne stał w szlafroku przed wysokim oknem otwierającym się na miniaturowy balkon. Dochodziła pierwsza w nocy. On i Phyllis oglądali w ustawionym w sypialni telewizorze stary film. Był to niedobry nawyk, który jednak dawał im wiele radości. Stare filmy miały w sobie nieodparty urok.

–Co się stało? – zapytała z łóżka Phyllis.

–Nic. Przed chwilą przejechał samochód. Ludzie Webstera.

–Nie będą korzystać z pawilonu?

–Zaproponowałem im to, ale na razie się wahają. Powiedzieli, że może zaczekają jeszcze dzień albo dwa.

–Widocznie nie chcą niepokoić dzieci. Co innego słyszeć, że członkowie podkomisji są otoczeni ścisłą ochroną, a co innego zobaczyć obcych ludzi kręcących się dokoła domu.

–Chyba tak. Steve wyjątkowo się dziś rozgadał, prawda?

–Owszem... – Phyllis strząsnęła poduszkę i zmarszczyła lekko brwi. – Nie wydaje mi się, żebyś powinien przywiązywać zbyt dużą wagę do jego słów. Jest jeszcze bardzo młody i zachowuje się jak jego koledzy: łatwo wszystko uogólnia. Nie chce, albo nie potrafi przyjąć do wiadomości istnienia wielu komplikacji. Dla nich najlepsze rozwiązanie stanowią „zaostrzone kije od szczotek”.

–Za kilka lat będą mogli z nich korzystać.

**-Wtedy nie będą już chcieli.**

**-Lepiej na to nie licz. Czasem wydaje mi się, że właśnie o to w tym wszystkim chodzi... O, znowu przejechali...**



# Część 1

## Rozdział 13

Dochodziła szоста trzydzieści wieczorem. Niemal wszyscy pracownicy wyszli z biura ponad godzinę temu. Trevayne stał za swoim biurkiem z prawą stopą opartą beztrzesko na siedzeniu fotela. Wokół biurka, wpatrzeni w leżące na blacie arkusze z tabelami i wykresami, zebrali się najważniejsi członkowie podkomisji – czterej mężczyźni zatwierdzeni z dużymi oporami przez zwierzchników Paula Bonnera w Departamencie Obrony.

Dokładnie naprzeciwko Trevayne'a siedział młody prawnik nazwiskiem Sam Vicarson. Andrew zetknął się z tym energicznym, elokwentnym adwokatem przy okazji posiedzenia zarządu Fundacji Danforth. Vicarson reprezentował wówczas interesy cieszącej się nienajlepszą opinią organizacji artystycznej z Harlemu, która wystąpiła z prośbą o kolejną dotację. Logicznie rzecz biorąc, prośba powinna była zostać odrzucona, lecz Vicarson z takim zaangażowaniem przeproszał za dawne błędy i obiecywał poprawę, że zarząd mimo wszystko przyznał nowe fundusze. Trevayne zasięgnął informacji o młodym adwokacie i dowiedział się, że należy on do nowego pokolenia „uświadomionych społecznie” prawników, łączących tradycyjne zajęcia, przynoszące znaczne dochody, z dodatkowymi, mającymi na celu ochronę interesów ludzi zamieszkujących rasowe i kulturowe getta. Był bystry, szybki i zdumiewająco zaradny.

Po prawej stronie Vicarsona, pochylony nad biurkiem, stał Alan Martin, jeszcze sześć tygodni temu główny księgowy fabryki Pace-Trevayne w New Haven. Martin – wiecznie zamyślony mężczyzna w średnim wieku – w dawnych czasach zajmował się analizowaniem danych statystycznych. Był bardzo ostrożny w działaniu, a kiedy już doszedł do jakichś wniosków, potrafił ich bronić z ogromnym zaangażowaniem. Dzięki żydowskiemu pochodzeniu dysponował lekko zgryźliwym, ironicznym poczuciem humoru.

Z jego lewej strony, wydmuchując kłęby dymu z ogromnej fajki, stał Michael Ryan. Był inżynierem, podobnie jak następny mężczyzna. Zarówno! Ryan, jak i John Larch należeli do najlepszych specjalistów w swoich dziedzinach, to znaczy lotnictwie i budownictwie. Ryan zbliżał się do czterdziestki, odznaczał się wielką pogodą ducha i uwielbiał wesołe towarzystwo, ale plany i rysunki techniczne traktował ze śmiertelną powagą. Larch był zamknięty w sobie, ponury, chudy i pozornie wiecznie zmęczony. Jednak jego umysł zawsze pracował na najwyższych obrotach, podobnie zresztą jak umysły wszystkich czterech mężczyzn.

Ci ludzie stanowili mózg podkomisji; jeśli ktokolwiek mógł sprostać zadaniom postawionym przez komisję do spraw obrony, to właśnie oni.

–Dobra – powiedział Trevayne. – Przemaglowaliśmy to już we wszystkie strony. – Wskazał ze znużeniem na rozłożone dokumenty. – Każdy z was miał swój udział w ich przygotowaniu i każdy miał okazję zapoznać się z całością samodzielnie, nie znając stanowiska innych. Teraz wyduście z siebie, co o tym myślicie.

–Czyżby nadeszła chwila prawdy, Andrew? – zapytał Alan Martin. – Śmierć w późne popołudnie?

–Dla mnie to jedna wielka sterta gówna – oświadczył z uśmiechem Michael Ryan, wyjmując z ust fajkę.

–Myślę, że powinniśmy ogłosić na to przetarg i oddać temu, kto złoży najwyższą ofertę – powiedział Sam Vicarson. – Po podziale starczyłoby każdemu na piękną posiadłość w Argentynie.

–Skończyłbyś na Ziemi Ognistej, Sam. – John Larch odsunął się nieco od dymiącej jak lokomotywa fajki Ryana.

–Kto chce zacząć? – zapytał Trevayne.

Odpowiedział mu kwartet podniesionych głosów. Każdy chciał być pierwszy, każdy chciał wyprzedzić pozostałych. Alan Martin podniósł rękę, uciszając kolegów.

–Z mojego punktu widzenia we wszystkich uzyskanych do tej pory odpowiedziach znajdują się spore luki. Należało się jednak tego spodziewać, gdyż przesłuchania dotyczyły kontraktów, w których realizacji brało udział wielu podwykonawców. Rozmowy z personelem i reguły dawały pozytywne rezultaty, z jednym tylko wyjątkiem. W naprawdę poważnych sprawach podano nam koszty minimalne. ITT miało opory, ale w końcu oni też się zgodzili. Tu też był tylko jeden wyjątek.

–W porządku. Na razie wystarczy, Alan. Teraz wy, Mike i John. Pracowaliście oddzielnie?

–Tak, a potem porównywaliśmy wyniki – odparł Ryan. – Sporo danych dubluje się, szczególnie jeśli chodzi o podwykonawców, ale to łatwo dało się wyeliminować. Lockheed i ITT współpracowali bez żadnych ograniczeń. W ITT po prostu naciskają guzik i komputer podaje im wszystkie dane, a Lockheed jest jeszcze bardzo scentralizowany i odnosi się dość przychylnie do...

–Ja myślę – przerwał mu Sam Vicarson. – Przecież obracają moimi pieniędzmi.

–Prosili mnie, żebym ci za to serdecznie podziękował – wtrącił Alan Martin.

–General Motors i Ling-Temco mieli problemy – ciągnął Ryan. – Jednak szczerze mówiąc nie wydaje mi się, żeby chcieli nas wykiwać, tylko po prostu sami nie bardzo wiedzieli, kto za co odpowiada. Jeden z naszych ludzi spędził cały dzień w General Motors, w dziale projektowania turbin, rozmawiając z facetem, który stawał na głowie, żeby ustalić, kto jest szefem zespołu. Później okazało się, że właśnie on.

–Oprócz tego mieliśmy do czynienia z normalnymi przypadłościami, na jakie cierpią wszystkie wielkie korporacje – dodał John Larch. – Szczególnie w General Motors. Konformizm i dociekliwość nigdy nie będą dobraną parą.

–Mimo to w większości przypadków dostaliśmy to, na czym nam zależało. Litton jest wręcz niesamowity. Zajmują się wyłącznie finansami, w związku z czym nie mają nic wspólnego z żadnymi praktycznymi zastosowaniami. Jak z tym skończymy, chyba wykupię u nich trochę udziałów. A potem pojawiła się wielka tajemnica...

–Dojdziemy do niej. – Trevayne zdjął nogę z fotela i zapalił papierosa. – A co u ciebie, Sam?

Vicarson skłonił się w jego stronę.

–Dziękuję bogom, że pozwolili mi zetknąć się przy tej sprawie z tyloma szacownymi firmami adwokackimi – powiedział z przekąsem. – Będąc z natury skromnym człowiekiem, nie bardzo wiem, co zrobić z radości.

–Co oznacza, że prawdopodobnie wykradł im wszystkie dokumenty – przetłumaczył Alan Martin.

–Albo pieniądze – dorzucił Ryan, pykając z fajki.

–Nic z tych rzeczy. Otrzymałem natomiast mnóstwo propozycji zatrudnienia... Ale oszczędzę wam szczegółów. Powiem natomiast tyle: nie zgadzam się z Mike'em, gdyż uważam, że wielokrotnie próbowano nas oszukać. Zgadzam się natomiast z Johnem: na przypadku tego rodzaju cierpią wszystkie wielkie korporacje. Jeśli jednak jest się wystarczająco upartym, można uzyskać satysfakcjonujące odpowiedzi. Nam też to się udało – z jednym wyjątkiem... Tym samym, o którym wspominali Alan i Mike. Według mnie jest to prawna łamigłówka, o jakiej nie ma słowa w żadnym z podręczników Blackstone'a.

–Tak więc dotarliśmy do sedna sprawy – stwierdził Trevayne, siadając w fotelu. – Genessee Industries.

–Otóż to – potwierdził Sam. – Genessee.

Andrew zdusił w popielniczce dopiero co zapalonego papierosa.

–Czas mija, a nic się właściwie nie zmienia.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Larch.

–Wiele lat temu – dwadzieścia, żeby być dokładnym – Genessee przez kilka miesięcy bawiło się ze mną i Dougiem w kotka i myszkę. Byłem wtedy świeżo po ślubie. Bez przerwy musieliśmy jeździć z Phyl do ich centrali w Palo Alto. Daliśmy im wszystko, czego chcieli, a oni w ramach podziękowania wyrzucili nas za drzwi i wykorzystali w produkcji nasze lekko zmodyfikowane pomysły.

–Mili ludzie – zauważył Vicarson. – Nie mogłeś oskarżyć ich o naruszenie praw patentowych?

–Nie. Byli na to za cwani, a poza tym nie można opatentować zasady Bernoullego. Wprowadzili minimalne zmiany w części dotyczącej wytrzymałości materiałów.

–Znakomite posunięcie, praktycznie niemożliwe do udowodnienia. – Michael Ryan wytrząsnął popiół z fajki. – Genessee ma laboratoria w dziesięciu stanach, a poligony doświadczalne co najmniej w dwudziestu. W razie potrzeby mogliby przedstawić tyle dokumentów, że żadnemu sądowi nie udałoby się dogrzebać do prawdy. Wygraliby bez najmniejszego problemu.

–Otóż to – zgodził się Andrew. – Ale to zupełnie inna historia. Mamy wystarczająco dużo aktualnych problemów. A więc, na czym właściwie stoimy? I co powinniśmy zrobić?

–Może ja spróbuję to podsumować. – Alan Martin wziął do ręki duży arkusz bristolu z napisem „Genessee Industries”. Znajdował się na nim rozbudowany wykres przedstawiający strukturę korporacji. Obok każdej nazwy obwiedzionej prostokątnymi ramkami zamieszczono skróconą informację dotyczącą obszaru działania danej jednostki organizacyjnej, dokonywanych przez nią operacji finansowych oraz prawnych powiązań. Mnóstwo odnośników odsyłało zainteresowanego czytelnika do bardziej szczegółowych danych znajdujących się w jednej z wielu pękatek teczek. – Badania stanu finansów przedsiębiorstwa pozwalają zyskać wiele cennych informacji dotyczących niemal wszystkich dziedzin

jego działalności. W ciągu ostatnich kilku tygodni rozesłaliśmy setki ujednoczonych kwestionariuszy. Otrzymały je wszystkie interesujące nas firmy. Jak wiecie, każdy kwestionariusz miał własny kod, podobnie jak kupony ogłoszeniowe w gazetach. Dzięki temu można się zorientować, skąd i kiedy zostały wysłane. Dopiero w drugiej kolejności przystąpiliśmy do bezpośrednich rozmów z ludźmi. Okazało się, że w Genessee mamy do czynienia z zagadkowo intensywnym ruchem w interesie. Odpowiedzi, które powinny nadejść z, logicznie rzecz biorąc, mających najwięcej do powiedzenia na dany temat wydziałów, nadchodziły z zupełnie innych miejsc. Nagle okazywało się, że ludzie na stanowiskach kierowniczych, z którymi chcieliśmy rozmawiać, już tam nie pracują. Nie wiadomo czemu przenoszono ich nagle do innych zakładów lub filii oddalonych nieraz o kilkaset kilometrów, a czasem nawet za granicę... Próbowaliśmy więc dowiedzieć się czegoś od związków zawodowych. Ta sama historia, może tylko przygotowana i zrealizowana z większą subtelnością. Przez cały kraj, od wybrzeża do wybrzeża, pracownicy Genessee przekazywali sobie szeptem polecenie: nie wdawać się w żadne dyskusje. Nie udzielać informacji. Zaczekać, aż grube ryby podejmą decyzję, jak zareagować na wścibskość rządu. Krótko mówiąc, cały ten moloch, jakim jest Genessee Industries, postanowił założyć czapkę niewidkę.

–Jednak wygląda na to, że bez powodzenia – zauważył Trevayne.

–Prawie im się udało, Andrew – odparł Martin. – Pamiętaj, że Genessee zatrudnia ponad dwieście tysięcy pracowników, średnio co kwadrans zawiera nowy kontrakt opiewający na wiele milionów dolarów oraz ma więcej nieruchomości niż Departament Spraw Wewnętrznych. Biorąc pod uwagę skomplikowaną strukturę organizacyjną oraz to, że kwestionariusze jednak do nas wracały, te wszystkie czary-mary mogły przejść niezauważone.

–Ty jednak zorientowałeś się, co jest grane. – Vicarson usiadł na poręczy fotela i wyciągnął rękę po wykres Genessee Industries.

–Nie powiedziałem, że są aż tak dobrzy.

–Mike, John czy nawet Al nie zwrócili na to większej uwagi, ale dla mnie osobiście największy wstrząs stanowiły same rozmiary Genessee. Jasne, wciąż się słyszy, że Genessee to i Genessee tamto, ale jakoś nigdy nie wzbudza to zainteresowania. Kiedy widzisz w gazecie ogłoszenie na całą kolumnę, myślisz sobie: Oho, znowu jakaś firma. I to chyba całkiem spora. Ale coś takiego? Oni mają chyba więcej nazw, niż jest w książce telefonicznej!

–I nikt nigdy nie wytoczył im sprawy na podstawie ustawy antytrustowej – dorzucił Andrew.

–Gesco, Genucraft, SeeCon, Pal-Co, Cal-Gen, See Cal... Aż trudno w to uwierzyć! – Sam Vicarson zastukał palcem w prostokąt z napisem „Nazwy zastępcze” i odnośnikiem odsyłającym do jednej z teczek. – A najbardziej nie pokoi mnie to, że prawdopodobnie jest ich co najmniej dwa razy tyle.

–Niech sobie będą – powiedział John Larch z bolesnym grymasem na twarzy. – I tak mamy nad czym pracować.

## Rozdział 14

Major Paul Bonner zatrzymał samochód na parkingu położonym między Potomac Towers a rzeką. Przez chwilę patrzył przez przednią szybę na ciemną, przesuwającą się leniwie wodę. Minęło właśnie siedem tygodni od chwili, kiedy po raz pierwszy zaparkował samochód w tym miejscu; siedem tygodni temu po raz pierwszy spotkał Andrew Trevayne'a. Obejmując funkcję łącznika, odczuwał odrazę zarówno do tej pracy, jak i do człowieka. Odraza do pracy pozostała, a może nawet przybrała na sile; odraza do człowieka znikła prawie zupełnie.

Nie dlatego, żeby Bonner aprobował działalność tej kretyńskiej podkomisji; wręcz przeciwnie, uważał ją za całkowicie bezużyteczną kupę gówna usypaną przez maluczkich polityków tylko w jednym celu: żeby odwrócić od siebie uwagę, a tym samym przesunąć, lub przynajmniej rozłożyć na więcej barków, odpowiedzialność za to, co było absolutnie konieczne. Stąd przede wszystkim wynikało wrogie nastawienie majora Paula Bonnera. Nikomu, ale to nikomu nie wolno było kwestionować tej konieczności, a mimo to wszyscy udawali zdumione niewiniątka, kiedy stawiano ich twarzą w twarz z doskonale im znaną rzeczywistością.

Prawdziwym wrogiem był czas, nie ludzie. Czy naprawdę nie potrafili tego zrozumieć? Czy nie wyciągnęli żadnych wniosków choćby z programu badań kosmicznych? Koszty wystrzelenia w lutym pierwszego roku Apolla 14 wyniosły dwadzieścia milionów dolarów. Gdyby start wyznaczono na rok siedemdziesiąty drugi, koszty do dziesięciu, a w sześć miesięcy później do siedmiu i pół. W cholernej cywilnej ekonomii czas był czynnikiem decydującym, a ponieważ oni, wojskowi, także musieli liczyć się z czasem, musieli również zaakceptować wszelkie skutki związane z działaniem cywilnej ekonomii.

Przez minione tygodnie usiłował przekonać Trevayne'a do swojej teorii, ale Andrew uznał tylko, że jest to jeden z czynników, nie zaś jedyny i najważniejszy. Stwierdził, że wnioski wyciągnięte przez Bonnera są zbyt uproszczone, po czym ryknął śmiechem, kiedy wojskowy zareagował wybuchem wściekłości. Po chwili major także się uśmiechnął; słowo „uproszczony” stanowiło w ustach Trevayne'a synonim słowa „głupi”, tak jak w jego własnych określenie „cywilny”.

Szach i mat.

Jednak Andrew zgodził się, że gdyby usunąć czynnik czasu, zniknęłyby jednocześnie korupcja, gdyż zawsze można by spokojnie zaczekać na obniżenie cen. Obstawał natomiast przy opinii, iż jest to tylko jeden z wielu aspektów sytuacji. Doskonale znał prawa rządzące rynkiem i zdawał sobie sprawę z tego, że korzenie korupcji sięgają znacznie głębiej niż do problemu czasu.

A Bonner musiał przyznać mu rację.

Szach i mat.

Podstawowa różnica między nimi dwoma sprowadzała się do rozbieżności w ocenie zagadnienia braku lub nadmiaru czasu. Dla Bonnera była to najważniejsza sprawa, dla Trevayne'a zaś niekonieczna. Cywil skłaniał się do przekonania, że ludzkość wykształciła coś w rodzaju ponadnarodowej inteligencji, która nie dopuści do całkowitej zagłady; major miał na ten temat odmienne zdanie. Widział

nieprzyjaciela na własne oczy, walczył z nim, poznał siłę jego fanatyzmu. Fanatyzm ów zaczynał się w pilnie strzeżonych salach obrad w stolicach różnych krajów, sięgając mackami do generałów, dowódców oddziałów bojowych, a nawet do obdartych, często na wpół zagłodzonych żołnierzy. I był bardzo silny. Bonner nie popełnił błędu polegającego na zredukowaniu wroga do konkretnego politycznego szyldu. Nieprzyjacielem nie byli wcale komuniści, marksiści ani maoiści. Nazwy stanowiły wygodne hasła, ale niczego nie określały.

Nieprzyjacielem było trzy piąte Ziemi, która właśnie wydostała się z otchłani ignorancji i ruszyła do ataku napędzana ideą rewolucji – ideą, która po stuleciach doczekała się własnej tożsamości – próbując narzucić ją reszcie świata.

Żadne uzasadnienia, tłumaczenia i rozpaczliwe próby racjonalizacji nie mogły tu niczego zmienić. Wrogiem byli po prostu ludzie. Nieliczni ludzie sprawujący władzę nad milionami. Garstka ludzi, którzy nagle zdobyli władzę nad zaawansowaną technologią i ogromną siłą, a jednocześnie podlegali wszystkim groźnym słabościom, z których większość miała swoje źródło w fanatycznych przekonaniach.

Świat musiał przygotować się do zdecydowanej, bezwzględnej i ostatecznej rozprawy z nieprzyjacielem. Paulowi Bonnerowi było zupełnie wszystko jedno, jak on się nazywał.

Wystarczyła mu świadomość, że wróg istnieje.

A to oznaczało konieczność zyskania na czasie. Za wszelką cenę, bez względu na koszty i manipulacje podrzędnych kooperantów.

Wysiadł z samochodu i ruszył wolnym krokiem w kierunku wejścia do budynku. Nie śpieszyło mu się. Ani trochę. Gdyby to od niego zależało, najchętniej w ogóle by się tu nie pojawił. Szczególnie dzisiaj.

Dziś bowiem miał przystąpić do realizacji swojego prawdziwego zadania, do którego go przygotowano i które przydzielono mu, nie pytając go o zdanie. Dziś miał zacząć dostarczać konkretne informacje swoim zwierzchnikom w Departamencie Obrony.

Rzecz jasna, wiedział o tym od samego początku. Natychmiast zrozumiał, że nie został oficerem łącznikowym Trevayne'a ze względu na swoje nadzwyczajne zdolności. Do pracy tego typu nie miał żadnych zdolności.

Wiedział również, że nieustające, lecz mało konkretne pytania, na jakie musiał codziennie odpowiadać, stanowią jedynie wstęp do czegoś znacznie poważniejszego. Jego przełożonych nie interesowało przecież, czy wszystko gra, czy są zadowoleni z lokalu, czy personel dobrze się spisuje i czy Trevayne jest miłym facetem. Nie, pułkownicy i generałowie myśleli o zupełnie innych sprawach.

Bonner zatrzymał się u podnóża schodów i spojrzał w górę. Trzy phantomy mknęły przed siebie na ogromnej wysokości, pozostawiając na błękitnym niebie wyraźne białe smugi. Do ziemi nie docierał żaden dźwięk; jedynie z najwyższym trudem można było dostrzec trzy maleńkie trójkąciki zmierzające ku horyzontowi niczym ostre grotы niewidzialnych strzał.

Uzbrojenie -bomby i rakiety mogące unicestwić pięć batalionów. Zdolność wykonywania manewrów – od poziomu zero do pułapu dwudziestu tysięcy metrów.

**Maksymalna prędkość – trzy machy.**

**O to właśnie chodziło.**

**Mimo wszystko wolały, żeby nie odbywało się to w taki sposób.**

**Wrócił myślami do poranka. Przed trzema godzinami siedział w swoim biurze, usiłując zrozumieć cokolwiek z raportu jakiegoś pułkownika na temat nowych instalacji wojskowych w Pekinie. Raport nie miał najmniejszego sensu, a podawane w nim liczby wynikały raczej z egoistycznych domysłów wysnutych na podstawie własnych obserwacji pułkownika niż z faktów. Pułkownik donosił o osiemdziesięcioprocentowym wzroście siły bojowej jednostki potencjalnego nieprzyjaciela. Uważał, że zwielokrotniając zagrożenie zyska uznanie zwierzchników. Była to stara jak świat gra, w którą bawili się nieudacznicy i karierowicze.**

**Bonner właśnie napisał u dołu strony swoją negatywną opinię na temat raportu, kiedy zabrzęczał interkom. Major miał natychmiast stawić się na czwartym piętrze – w „suszarni szyszek”, jak mówili wszyscy niżsi stopniem od pułkownika – u generała brygady Coopera. Lester Cooper – siwowłosa, twardy, elokwentny żołnierz, którego zadanie polegało na informowaniu opinii publicznej o kolejnych żądaniach Pentagonu. Był kiedyś komendantem West Point, podobnie jak jego ojciec. Człowiek urodzony i żyjący dla armii.**

**Powiedział wszystko Bonnerowi. Nie tylko co miał zrobić, lecz także, nie używając nasuwających się w sposób naturalny słów, dlaczego został do tego wybrany. Jak większość wojskowych strategii, także ta była prosta i jednoznaczna. Ze względu na dobro armii Paul Bonner miał zostać szpiegiem. Gdyby sprawa się wydała, armia wyprze się go.**

**Po cichu jednak zaopiekuje się nim, tak jak uczyniła to już raz w Azji Południowo-Wschodniej. Zaopiekowała się nim i okazała swoją wdzięczność.**

**Była to kwestia wyboru priorytetów. Generał nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. Rozkazał mu nie poddawać niczego w wątpliwość.**

**–Musi pan to zrozumieć, majorze. Popieramy wysiłki Trevayne'a. Kolegium Szefów Sztabów nakazało nam ścisłą współpracę, więc współpracujemy. Nie możemy jednak pozwolić, by zagroził najważniejszym działom produkcji. Z pewnością sam pan to rozumie. Z tego co wiemy, udało się panu nawiązać z nim przyjazne stosunki...**

**W ciągu następnych pięciu minut generałowi Cooperowi prawie udało się stracić nowo pozyskanego informatora. Wspomniał o kilku spotkaniach Bonnera z Trevayne'em, których major nie wymieniał w raportach, gdyż nie miały żadnego związku ze sprawami służbowymi. Były wśród nich: weekend spędzony z państwem Trevayne w High Barneгат w stanie Connecticut, skromne przyjęcie wydane przez aktualną partnerkę Bonnera, młodą rozwódkę mieszkającą w McLean, a także wspólne konne przejażdżki i jesienny festyn w Marylandzie. Żadne z tych wydarzeń nie łączyło się z działalnością podkomisji, żadne też nie było opłacane z rządowych pieniędzy. Major nie ukrywał rozgoryczenia.**

**–Czy wolno mi wiedzieć, generale, dlaczego jestem śledzony?**

**–Nikt pana nie śledzi. Tylko Trevayne'a.**

**–On wie o tym?**

–Być może. Na pewno wie o gorylach z Białego Domu. Dobrze o nich dba.

–Czy to właśnie oni donoszą o każdym jego ruchu?

–Szczepnie mówiąc, nie.

–W takim razie kto?

–Wykracza pan poza obszar swoich zainteresowań, Bonner.

–Nie chciałbym sprawiać wrażenia, że nie zgadzam się z panem generałem, ale skoro otrzymałem polecenie... przebywania w bezpośredniej bliskości Trevayne'a, powinienem chyba wiedzieć o takich sprawach. Według znanych mi informacji Biały Dom przydzielił mu ochronę, kierując się wyłącznie względami bezpieczeństwa. Najdokładniejsze informacje dotyczące Trevayne'a można by uzyskać właśnie od funkcjonariuszy ochrony. W tej sytuacji zatrudnianie personelu wydaje mi się marnotrawieniem czasu i środków oraz nasuwa podejrzenia, że nasze cele nie pokrywają się z celami, które przyświecały ich zwierzchnikom.

–Co należy rozumieć w ten sposób, że sprzeciwia się pan korzystaniu przeze mnie z informacji, których sam mi pan nie dostarczył?

–Tak jest. Te informacje nie mają najmniejszego związku z interesującą nas sprawą. Powinienem zostać uprzedzony o tym, że prowadzimy dodatkową obserwację Trevayne'a. Nie wiedząc o tym, znalazłem się w bardzo niezręcznej sytuacji.

–Twardziel z pana, majorze.

–Gdybym nim nie był, nie dostałbym tego zadania.

Generał wstał z fotela, podszedł do długiego stołu stojącego przy ścianie, oparł się na nim i spojrzał na Bonnera.

–W porządku, miał pan rację mówiąc o nie pokrywaniu się celów. Nie będę udawał, że współpraca ze wszystkimi urzędnikami obecnej administracji państwowej układa się znakomicie. Nie będę także zaprzeczał, iż w bezpośrednim otoczeniu prezydenta znajduje się wiele osób, których opinie uznajemy, delikatnie mówiąc, za szkodliwe, majorze. Nie pozwolimy, by Biały Dom kontrolował prowadzony przez nas nadzór... ani żeby się o nim dowiedział.

–Rozumiem, generale. Mimo to w dalszym ciągu uważam, że powinienem zostać o tym poinformowany.

–Przeoczenie, Bonner. Teraz chyba czuje się pan usatysfakcjonowany, prawda?

Dwaj oficerowie przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami. Nie trzeba było żadnych słów: Bonner zrozumiał, że oto został dopuszczony do najwyższego kręgu wtajemniczenia w Departamencie Obrony.

–Tak jest, panie generale – powiedział cicho.

Wyprostowany siwowłosy Cooper wziął ze stołu gruby skoroszyt w plastikowych okładkach spiętych metalowymi pierścieniami.

–Proszę podejść, majorze. Oto pańska księga. Święta księga, żołnierzu.

Bonner zbliżył się do przełożonego. Na pierwszej stronie widniały tylko dwa napisane na maszynie słowa:



## GENESSEE INDUSTRIES

Bonner otworzył szklane drzwi i ruszył w kierunku wind po grubym błękitnym chodniku. Jeśli wszystko prawidłowo obliczył, jeśli w wyniku kilku rozmów telefonicznych otrzymał właściwe informacje, powinien zjawić się w biurze co najmniej na pół godziny przed powrotem Trevayne'a. Na tym polegał plan; w biurowcu Senatu, gdzie Trevayne uczestniczył w konferencji, inni ludzie także co chwila spoglądali na zegarki.

Pracownicy podkomisji zdążyli się już przyzwyczać do częstej obecności majora, w związku z czym witali go jak starego znajomego. Bonner doskonale wiedział, że został zaakceptowany przez tych ludzi wyłącznie dlatego, że sprawiał wrażenie całkowitej anomalii. Był zawodowym żołnierzem, który nie nabrał nieprzyjemnych wojskowych cech. Zarówno jego wygląd, jak i sposób prowadzenia rozmów świadczyły o zdrowym rozsądku wzmocnionym sporą dawką poczucia humoru. Kiedy cywile stykali się z człowiekiem w mundurze będącym zaprzeczeniem obiegowych opinii o zawodowych oficerach, szybko nabierali do niego sympatii. Tak było zawsze.

Nie będzie miał żadnych problemów z dostaniem się do gabinetu Tre-vayne'a. Najpierw zdejmie marynarkę, stanie w drzwiach i pożartuje trochę z sekretarką Trevayne'a. Potem, rozluźniwszy krawat i rozpiąwszy kołnierzyk koszuli, zajrzy do pozostałych pomieszczeń, by pogawędzić z paroma innymi osobami. Na przykład z Mike'em Ryanem, Johnem Larchem albo tym błyskotliwym młodym prawnikiem Samem Vicarsonem... Opowie im kilka zabawnych historyjek ośmieszających jakichś nadętych, dobrze znanych generałów, a potem powie, że musi wreszcie przestać ich zanudzać i że pójdzie poczytać gazetę w gabinecie Trevayne'a. Oni, rzecz jasna, zaprotestują i poproszą go, żeby został, ale on tylko się uśmiechnie i powie, że w takim razie chętnie umówi się z nimi na drinka po pracy.

Wszystko to zajmie mu sześć, siedem minut.

Następnie wejdzie do gabinetu, mijając po drodze sekretarkę, której tym razem powie coś miłego o tym, jak wygląda lub że ma ładną sukienkę, i skieruje się do stojącego przy oknie fotela.

Jednak nie usiądzie w nim ani nie będzie czytał gazety.

Przede wszystkim podejdzie do szafki po prawej stronie okna i wysunie szufladę oznaczoną literą G.

Genessee Industries, Palo Alto, Kalifornia.

Wyjmie teczkę z aktami, zamknie szufladę i dopiero wtedy usiądzie w fotelu. Będzie miał co najmniej piętnaście minut na zrobienie notatek i odłożenie teczki na miejsce.

Cała operacja zajmie mu maksimum dwadzieścia pięć minut. Prawdziwe ryzyko pojawi się tylko w momencie wyjmowania teczki. Gdyby w tej chwili ktoś wszedł do gabinetu, ujrzałby wysuniętą szufladę. Paul Bonner musiałby wtedy skłamać, że zastał ją otwartą i stwierdzić obojętnie, że zainteresował się nią wyłącznie z ciekawości.

Rzecz jasna, nikt nigdy nie zostawiał otwartych szuflad w tej szafce. Zawsze były

**zamknięte na klucz. Zawsze.**

**Major Paul Bonner otworzy szufladę oznaczoną literą G kluczem otrzymanym od generała brygady Lestera Coopera.**

**Była to wyłącznie kwestia wyboru priorytetów.**

**A mimo to chciało mu się rzygać.**

## Rozdział 15

Trevayne wbiegł na górę po schodach Kapitolu wiedząc o tym, że ktoś go śledzi. Miał co do tego całkowitą pewność, ponieważ w drodze z biura do centrum miasta zatrzymał się niespodziewanie w dwóch miejscach: przy księgarni na Rhode Island Avenue, gdzie ruch był znacznie mniejszy niż gdzie indziej, oraz przed rezydencją ambasadora Hilla w Georgetown. Ambasadora nie było w domu.

Na Rhode Island Avenue dostrzegł we wstecznym lusterku szarego pontiaca hamującego z piskiem opon i wskakującego nagle w lukę przy krawężniku.

Dwadzieścia minut później, stojąc przed drzwiami domu ambasadora Hilla, usłyszał donośne dzwonienie towarzyszące zawsze pojawieniu się człowieka ostrzącego noże. Dzwonienie wydobywało się z małej furgonetki sunącej wolno ulicą; właściciel ruchomej firmy z pewnością liczył na to, że znajdzie klientów wśród służących i kucharek. Trevayne uśmiechnął się na ten widok, jakby żywcem przeniesiony z Bostonu jego dzieciństwa.

W chwilę potem znowu zobaczył szarego pontiaca. Jechał powoli za furgonetką, a jego kierowca najwyraźniej był co najmniej zdenerwowany, gdyż na wąskiej ulicy nie miał żadnych szans na wyprzedzenie wlokącego się środkiem jezdni pojazdu.

Kiedy Trevayne dotarł do szczytu schodów przed Kapitelem, zanotował sobie w pamięci, żeby skontaktować się w tej sprawie z Robertem Websterem. Być może Webster przydzielił mu dodatkową obstawę, choć przecież nie istniała taka potrzeba. Bynajmniej nie z powodu szaleńczej odwagi Trevayne'a; po prostu był teraz zbyt znaną osobą, a poza tym rzadko podróżował zupełnie sam. To popołudnie stanowiło wyjątek.

Odwrócił się na ostatnim stopniu i spojrzał w dół na ulicę. Nigdzie nie mógł dostrzec szarego pontiaca, ale w polu jego widzenia znajdowały się dziesiątki samochodów; niektóre stały przy krawężniku, inne sunęły powoli, szukając miejsca do zaparkowania. Każdy z nich mógł zostać wezwany drogą radiową przez załogę pontiaca.

Andrew wszedł do budynku i skierował się prosto do stanowiska informacji. Dochodziła już czwarta, on zaś umówił się na spotkanie w Biurze Statystyk Regionalnych. Nie miał żadnej pewności, że dowie się tam czegoś interesującego – zakładając, że w ogóle uda mu się czegoś dowiedzieć – ale była to po prostu jeszcze jedna dróżka, w którą należało się zapaść i sprawdzić, czy nie stanowi przypadkiem połączenia między zastanawiającymi, a pozornie nie mającymi ze sobą żadnego związku faktami.

Biuro Statystyk Regionalnych przypominało skomputeryzowane laboratorium, które na zdrowy rozsądek, powinno raczej mieścić się w Departamencie Skarbu. To, że tak nie było, stanowiło kolejną nielogiczność w tym mieście pełnym sprzeczności. Biuro zajmowało się comiesięcznym aktualizowaniem danych o wysokości zatrudnienia w poszczególnych regionach kraju w dziedzinach produkcji mających bezpośredni związek z zamówieniami rządowymi. Dublowało pracę co najmniej dziesięciu innych urzędów, ale różniło się od nich tym, że gromadzone tu informacje były wyłącznie ogólnej natury; zamówienia rządowe oznaczały dosłownie wszystko,

od częściowego finansowania budowy autostrad stanowych po dotacje na rzecz szkolnictwa, od kontraktów na dostawy samolotów bojowych po fundusze na renowację miejskich parków. Innymi słowy, była to skarbnica wiedzy na temat użytkowania pieniędzy podatników; politycy, pragnący uzasadnić potrzebę swego istnienia, korzystali z niej pełnymi garściami. Na życzenie można było otrzymać dane liczbowe rozbite na poszczególne kategorie, lecz takie życzenia należały do rzadkości. Wielkie sumy mają to do siebie, że wywierają większe wrażenie niż małe.

Zbliżając się do drzwi BSR, Trewayne zrewidował swoją opinię na temat usytuowania tej instytucji. Było przecież jak najbardziej logiczne, żeby biuro znajdowało się blisko tych, którzy najbardziej go potrzebowali.

Tak jak on teraz go potrzebował.

Trewayne odłożył na stolik kopie dokumentów. Było kilka minut po piątej, z czego wynikało, że przesiedział w tej ciasnej klitce prawie godzinę. Potarł oczy i spostrzegł, że przez częściowo oszklone drzwi zagląda do środka pracownik archiwum. Minęły już godziny otwarcia, więc urzędnik chciał jak najszybciej pozamykać wszystko i iść do domu. Dostanie dziesięć dolarów za to, że zechciał poczekać.

Interes był wręcz rewelacyjny. Informacja wartości około dwustu trzydziestu milionów dolarów w zamian za dziesięciodolarowy banknot.

Tak jednak przedstawiała się prawda: dwukrotne wzrosty kosztów, najpierw o sto czterdzieści osiem milionów, potem o osiemdziesiąt dwa miliony. Za każdym razem jako przyczynę podawano „zamówienia na cele obronne” i zawsze dodawano słowo „nieprzewidziane”.

Co nie było prawdą. Oba zastrzyki rządowych pieniędzy zostały przewidziane z niesłychaną dokładnością przez dwóch kandydatów ubiegających się o ponowny wybór w swoich stanach.

Kalifornia i Maryland.

Senatorowie Armbruster i Weeks. Niski, krępy, palący fajkę Armbruster i Alton Weeks, wymuskany arystokrata ze wschodniego wybrzeża Marylandu.

W walce o drugą kadencję Armbruster musiał się zmierzyć z groźnym przeciwnikiem. Bezrobocie w pomocnej Kalifornii osiągnęło niepokojąco wysoki poziom, wszystkie badania opinii publicznej wykazywały, że kampania kontrkandydata polegająca na uwypuklaniu niezaradności Armbrustera i jego nieumiejętności zdobywania dla stanu zamówień rządowych, które przyczyniłyby się do zwiększenia liczby miejsc pracy, wywiera znaczny wpływ na wyborców. Jednak Armbruster w ostatnich dniach kampanii uczynił posunięcie, które przywróciło mu przychylność elektoratu. Dał mianowicie wyraźnie do zrozumienia, iż znajduje się w trakcie załatwiania kontraktu na dostawy sprzętu wojskowego, który powinien opiewać na prawie sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Taka suma była zupełnie wystarczająca, by doprowadzić do ożywienia ekonomicznego w północnej części stanu.

Weeks także ubiegał się o ponowny wybór, ale stanął wobec problemu odmiennej natury: braku funduszy na kampanię. Bogacze z Marylandu trzymali pieniądze w zamkniętych na cztery spusty sejfach, dumna rodzina zaś nie śpieszyła się z

zastawieniem choćby części majątku. Według informacji podanych przez „Sun”, ukazujący się w Baltimore, Alton Weeks spotkał się prywatnie z czołowymi przedstawicielami biznesu i przekazał im poufną wiadomość o tym, że Waszyngton zamierza śmieiej sięgnąć do państwowej kiesy. Przemysł stanu Maryland może spodziewać się zastrzyku w wysokości co najmniej osiemdziesięciu milionów dolarów... Fundusze na kampanię Weeksa znalazły się niemal natychmiast.

A przecież wybory, w których zwyciężyli Weeks i Armbruster, odbyły się na pół roku przed oficjalnym złożeniem zamówień przez Pentagon! Naturalnie było możliwe, iż obaj senatorowie mieli dostęp do planów Departamentu Obrony, ale zdziwienie musiała budzić niesamowita precyzja, z jaką określili wysokość kwot. Chyba że opierali się na zawartych wcześniej porozumieniach, które miały znacznie więcej wspólnego z polityką niż bezpieczeństwem kraju.

Obaj skierowali część funduszy do jednego z głównych kontrahentów Pentagonu. Genessee Industries.

Armbruster popierał prace badawcze nad nowymi myśliwcami przechwytyjącymi, zdolnymi do osiągnięcia ogromnych pułapów; był to projekt, który od chwili swego powstania budził poważne wątpliwości wielu fachowców.

Weeksowi udało się wspomóc również podejrzaną przedsięwzięcie realizowane przez ulokowaną w Marylandzie filię Genessee. Chodziło o znaczne zagęszczenie sieci ochrony radarowej, co miało być usprawiedliwione zdarzeniem sprzed kilku lat, kiedy to dwa samoloty bezkarnie naruszyły przestrzeń powietrzną kraju.

Trevayne zebrał leżące na stoliku papiery i wstał z krzesła. Dał znak czekającemu za drzwiami urzędnikowi, po czym sięgnął do kieszeni.

Znalazłszy się na ulicy, doszedł do wniosku, że powinien jak najszybciej porozmawiać z Williamem Hillem. I tak musiał spotkać się z nim w sprawie innego projektu, dla odmiany mającego związek z wywiadem Marynarki Wojennej, który powinien lada godzina ujrzeć światło dzienne. Właśnie dlatego jadąc na Kapitol, zahaczył o rezydencję ambasadora w Georgetown; rozmów na takie tematy nie przeprowadza się przez telefon.

Dowództwo Marynarki Wojennej otrzymało zgodę na wyposażenie czterech okrętów podwodnych w elektroniczny sprzęt szpiegowski najnowszej generacji. Powinien on zostać zainstalowany najdalej w ciągu dwunastu miesięcy. Tymczasem termin już dawno minął, dwie z firm związanych kontraktem ogłosiły upadłość, a cztery okręty podwodne stały w suchym doku, praktycznie niezdatne do użytku.

Podczas wstępnego przesłuchania przez podkomisję rozwścieczony kapitan, jeden z dowódców unieruchomionych okrętów, otwarcie skrytykował całą operację. Wiadomość o tym dotarła do agresywnego waszyngtońskiego dziennikarza Rodericka Bruce'a, który zagroził, że poda rzecz do publicznej wiadomości. Zarówno Centralną Agencję Wywiadowczą, jak i Dowództwo Marynarki Wojennej ogarnęła autentyczna panika. Samo ujawnienie faktu istnienia tak wyrafinowanego wyposażenia niosło ze sobą ogromne ryzyko, lecz przyznanie się do trudności z zainstalowaniem go na okrętach i poinformowanie opinii publicznej o unieruchomieniu aż czterech jednostek było znakomitą zachętą dla i tak już

**wojowniczo nastawionych Rosjan i Chińczyków.**

**Wytworzyła się nadzwyczaj delikatna sytuacja, kierowaną zaś przez Trevayne'a podkomisję oskarżano o to, że doprowadziła do powstania kryzysu znacznie większej wagi niż wszystkie korzyści, jakie mogłaby ewentualnie przynieść jej działalność.**

**Andrew zdawał sobie sprawę, iż już wkrótce ktoś wpadnie na pomysł z „naruszeniem tajemnic istotnych dla bezpieczeństwa narodowego”. Przygotowywał się do tego, dając głośno wyraz swemu sprzeciwowi przeciwko ukrywaniu braku kompetencji pod ochronnym parasolem adnotacji „tajne” i „ściśle tajne”.**

**Takie adnotacje pojawiały się bardzo łatwo. Nawet jeśli ktoś wierzył w potrzebę ich istnienia, to i tak stanowiły jedynie wyraz czyjejś jednostkowej opinii.**

**Były jeszcze przecież inne opinie i odmienne postawy. Trevayne nie zamierzał ustąpić tak długo, jak długo nie zostaną wzięte pod uwagę. Gdyby cofnął się choć raz, wszystkie dotychczasowe wysiłki poszłyby na marne. Nie mógł dopuścić do precedensu.**

**Istniał jeszcze dodatkowy powód takiego postępowania – właściwie raczej przesłanka, niepotwierdzona pogłoska, ale znakomicie pasująca do obrazu sytuacji, jaki wyłaniał się z ich pracy.**

**Genessee Industries.**

**Gdyby wierzyć krążącym w środowisku prawniczym plotkom, Genessee przymierzało się do wykupienia długów zbankrutowanych firm, aby w ten sposób przejąć we własne ręce sprawę wyposażenia czterech okrętów podwodnych. Niektórzy twierdzili wręcz, że to ono doprowadziło do tych bankructw, tak bardzo podkopując pozycje dwóch pozostałych kontrahentów Pentagonu, że właściwie nie mieli już żadnych szans na wywiązanie się z umów.**

**Trevayne wszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer Hilla.**

**Naturalnie ambasador zgodził się natychmiast go przyjąć.**

**–Na samym początku trzeba stwierdzić, że przekonanie CIA, iż do tej pory Chińczycy i Rosjanie nie mieli pojęcia o całej sytuacji, jest po prostu absurdalne. Okręty stoją w dokach w New London od kilku miesięcy. Mogli wyciągnąć odpowiednie wnioski na podstawie samych obserwacji.**

**–Czyli mam rację, naciskając w tej sprawie?**

**–Na to wygląda – odparł Hill zza mahoniowego stołu służącego mu jako biurko. – Jednak proponuję, żeby pozwolił pan ludziom z Agencji i dowództwa marynarki pogadać z tym dziennikarzem. Niech spróbują go namówić, żeby trochę spuścił z tonu. Oni naprawdę się boją, choć głównie o własną skórę.**

**–Nie mam nic przeciwko temu. Po prostu nie chcę znaleźć się w sytuacji, kiedy będę musiał kazać moim ludziom zaprzestać śledztwa w jakiejś sprawie.**

**–Nie wydaje mi się, żeby zaszła taka konieczność... i nie sądzę, żeby był pan człowiekiem, który by się jej podporządkował.**

**–Dziękuję panu.**

**William Hill odchylił się do tyłu w fotelu. Teraz, kiedy wyraził już swoją opinię, miał ochotę trochę pogawędzić.**

–Minęły już dwa miesiące, Trewayne. Ciekaw jestem, co pan o tym wszystkim myśli?

–To zupełne szaleństwo. Wiem, że to słowo nic nie znaczy, ale mimo to wydaje mi się najlepiej pasować do sytuacji. Sprawami ekonomicznymi największej korporacji na świecie kierują wariaci... Albo ktoś zadaje sobie wiele trudu, by stworzyć takie wrażenie.

–Ma pan zapewne na myśli jeden z aspektów syndromu: „o-tym-musi-pan-porozmawiać-z-kimś-innym”?

–Dokładnie. Nikt nie jest w stanie podjąć decyzji...

–Za wszelką cenę unikać jakiegokolwiek odpowiedzialności – przerwał mu Hill z łagodnym uśmiechem. – Dokładnie to samo, co wszędzie. Każdy rozpaczliwie stara się utrzymać na swoim poziomie niekompetencji.

–Jestem w stanie tolerować coś takiego w sektorze prywatnym, ale tylko dlatego, że w grę wchodzi tam prywatne pieniądze, nie zaś fundusze społeczne. Tutaj ta teoria nie powinna mieć racji bytu. To służba publiczna. Po pewnym czasie każdy i tak nabiera naturalnych odruchów obronnych, które czynią go niewrażliwym na pomniejsze wstrząsy. Gry tego typu nie są potrzebne, a przynajmniej nie powinny.

–Chyba zbyt upraszcza pan sytuację.

–Wiem, ale to tylko początek. – Trewayne uświadomił sobie z rozbawieniem, że zacytował słowa swojego syna.

–Ludzie pracujący w tym mieście podlegają niesamowitym naciskom. Rezultatem tego jest często ostracyzm, który dla wszystkich, z wyjątkiem tych najsilniejszych, ma taką samą wartość jak bezpieczeństwo. Mnóstwo ministerstw, nie wyłączając Pentagonu, żąda całkowitego oddania w imię narodowych interesów; producenci domagają się zamówień rządowych i tworzą grupy nacisku, by je uzyskać; związki zawodowe wygrywają jednych przeciwko drugim, strasząc strajkami i kusząc głosami w wyborach; senatorowie i kongresmeni muszą uwzględniać interesy swoich stanów, bo jeśli tego nie uczynią, ich miejsce zajmie ktoś inny... Czy w takim systemie można znaleźć niezależnego lub choćby nie skorumpowanego człowieka?

Wielki Billy Hill wpatrywał się w ścianę oczami, które widziały coś, czego nie mógł dostrzec nikt inny. Ambasador skierował pytanie nie do gościa, ale do samego siebie. W czasie długiego życia William Hill stał się zajadłym cynikiem.

–Odpowiedź na to pytanie, panie ambasadorze, leży gdzieś między faktem, że jako naród nie kierujemy się w swoim postępowaniu prawem, lecz zaletami i wadami wolnego społeczeństwa.

Hill roześmiał się. Był to zmęczony śmiech starego człowieka, który jeszcze nie stracił nic ze swojej siły.

–Słowa, Trewayne, tylko słowa. Wystarczy dorzucić do tego prawa ekonomiczne Malthusa, które można sprowadzić do prostego stwierdzenia, że każdy pragnie mieć więcej kosztem bliźniego i wszystko trafia w ręce człowieka, który złoży najwyższą ofertę... lub ma największy bank. Przekonali się o tym nawet nasi przyjaciele w Związku Sowieckim. Dlatego właśnie teorie Marksa i Engelsa nigdy się nie sprawdzają. Nie można zmienić natury człowieka.

–Nie zgadzam się z panem. Ani w sprawie Rosjan, ani w sprawie natury człowieka. Ona ciągle się zmienia, szczególnie w chwilach kryzysu. Wciąż możemy się o tym na nowo przekonywać.

–Naturalnie. Kryzys oznacza tyle samo co strach. Zbiorowy strach. Jednostka podporządkowuje swoje indywidualne pragnienia zbiorowej chęci przetrwania. Jak pan myśli, dlaczego nasi socjalistyczni współzemiańcy wciąż trąbią o jakimś „zagrożeniu”? Przynajmniej tyle zdążyli się nauczyć... Nauczyli się także, że nie można mnożyć kryzysów *ad infinitum*. To także jest wbrew ludzkiej naturze.

–Skoro tak, to muszę jeszcze raz dokonać bilansu zalet i wad wolnego społeczeństwa. Ja naprawdę wierzę, że to będzie jakoś działać.

Hill pochylił się do przodu, oparł łokcie na stole i spojrział z rozbawieniem na Trewayne'a.

–Teraz wiem, dlaczego Frank Baldwin jest po pańskiej stronie. Pod wieloma względami bardzo go pan przypomina.

–Czuję się zaszczycony, ale muszę przyznać, że nigdy nie zauważyłem między nami żadnego podobieństwa...

–Ono istnieje, może mi pan wierzyć. Często rozmawiam z Frankiem tak, jak teraz z panem. Siadamy sobie w klubie albo w bibliotece, otoczeni tym wszystkim... – Hill wykonał prawą ręką lekceważący ruch, obejmujący cały pokój. – Dwaj starzy ludzie siedzący naprzeciwko siebie i wygłaszający deklaracje. Popijamy bardzo drogą brandy, a służący zerkają na nas kątem oka, czy przypadkiem czegoś nie potrzebujemy. Naszym starym, zamożnym zwłokom, wciąż jeszcze oddychającym, zależy przede wszystkim na wygodzie. Siedzimy tak sobie i dzielimy między siebie całą planetę, a każdy stara się przekonać drugiego, że jego część zachowa się pewno tak, a nie zupełnie inaczej... Do tego się to wszystko sprowadza. Motywy nie stanowią żadnego problemu; należy tylko przewidzieć ruchy przeciwnika. Istotny jest tylko *modus vivendi* – „co” i „jak”, w żadnym wypadku „dlaczego”...

–Stadny instynkt przeżycia.

–Otóż to. A tymczasem Frank Baldwin, najbardziej bezwzględny ze wszystkich bankierów na świecie, człowiek, którego podpis może doprowadzić do bankructwa małych narodów, powiada mi – tak samo jak pan teraz – że pod tymi rozpaczliwymi oszustwami i powszechnym zakłamaniem kryje się jakieś sensowne rozwiązanie. Ja twierdzę, że o niczym takim nie może być mowy. W każdym razie o niczym, co nadawałoby się do długotrwałego zastosowania.

–Zgadzam się: po drodze trzeba by wielokrotnie zmieniać kurs. Ale mimo to przychylam się do jego zdania. Musi istnieć jakieś rozwiązanie.

–Rozwiązanie, Trewayne, polega na tym, że ciągle go szukamy. Na wznoszących się i opadających cyklach. To właśnie jest pańskie rozwiązanie. Bądźmy zawsze gotowi.

–Przecież niedawno sam pan stwierdził, że to przeciwne ludzkiej naturze, bo nie można mnożyć kryzysów *ad infinitum*.

–Nie ma w tym sprzeczności. Wytchnienie pojawia się wówczas, gdy się cofamy.



**Jest wtedy czas na odpoczynek.**

**–To zbyt niebezpieczne. Musi istnieć lepszy sposób.**

**–Na pewno nie na tym świecie. Posunęliśmy się już zbyt daleko.**

**–Ponownie muszę się nie zgodzić. Dopiero dotarliśmy do miejsca, w którym koniecznie trzeba go znaleźć.**

**–Doskonale. Zajmijmy się więc sferą pańskiego działania. Widział pan już wystarczająco wiele: w jaki sposób chce pan dokonać bilansu zalet i wad? Problemy, z którymi teraz ma pan do czynienia, bardzo przypominają te towarzyszące wzajemnemu oddziaływaniu różnych narodów. Od czego pan zacznie?**

**–Od znalezienia szablonu, według którego wszystko się odbywa.**

**–To samo zrobił prokurator generalny, w wyniku czego powstała komisja do spraw wydatków obronnych. Organizacja Narodów Zjednoczonych powołała Radę Bezpieczeństwa, a mimo to światem w dalszym ciągu wstrząsają kryzysy. Prawie nic się nie zmieniło.**

**–Musimy szukać tak długo, aż...**

**–Widzi pan! – przerwał mu Hill z triumfalnym uśmiechem na twarzy. – Czyli jednak rozwiązaniem jest ciągle poszukiwanie! Rozumie pan teraz, co miałem na myśli? Dopóki szukamy, dopóty możemy spokojnie oddychać.**

**Trevayne poprawił się w miękkim, obitym skórą fotelu. Był to ten sam fotel, w którym siedział podczas zaimprovizowanej konferencji dziesięć tygodni temu.**

**–Nie mogę się z tym zgodzić, panie ambasadorze. Reprezentując takie nastawienie, jest się zbyt podatnym na błędy. Istnieją lepsze urządzenia niż niedokończone szafoty. Znajdziemy je.**

**–Powtarzam raz jeszcze: od czego pan zacznie?**

**–Już zacząłem... Nie żartowałem, mówiąc o szablonie. Chodzi o pojedynczą firmę, jednak tak dużą, by mogła wchłonąć nieprawdopodobne fundusze i o tak skomplikowanej strukturze, by móc współdziałać z dziesiątkami podwykonawców i kontrahentów. Musi to być moloch sięgający mackami do wielu stanów... Znalazłem go, panie ambasadorze.**

**William Hill, nie odwracając wzroku od twarzy Trevayne'a, dotknął szczupłymi palcami swojej brody.**

**–Czyżby chciał pan skoncentrować się na jednym przypadku, by uczynić z niego sztandarowy przykład? – zapytał, nie kryjąc rozczarowania.**

**–Tak. Asystenci zajmą się innymi zadaniami. Ciągłość zostanie zachowana. Ja i moi czterej najlepsi ludzie skupimy się na jednej korporacji.**

**–Dotarły do mnie pewne plotki – powiedział cicho Hill. – Być może znajdzie pan swojego wroga...**

**Trevayne zapalił papierosa. Przez chwilę obserwował, jak gazowy płomyk zapalniczki zmniejsza się do rozmiarów maleńkiej, błękitnej kulki. Kończyło się paliwo.**

**–Panie ambasadorze, będziemy potrzebować pomocy.**

**–Dlaczego?**

**Hill zaczął bazgrać coś na leżącej przed nim kartce. Ruchy ołówka były**

**zdecydowane, opanowane... i wściekle.**

**–Ponieważ szablon, który zaczął się wyłaniać, bardzo nas zaniepokoił. Ujmę to w ten sposób: im wyraźniejszy staje się szablon, tym trudniej uzyskać konkretną informację. Wydaje mi się, że trafiliśmy na coś ważnego, ale to coś usiłuje nam się wymknąć. Wyjaśnienia sprowadzają się do... Jak to powiedział pan kilka minut temu? „Słowa, tylko słowa”. „Sprawdźcie tu, sprawdźcie tam, porozmawiajcie z kimś innym”. Wygląda na to, że za wszelką ceną starają się uniknąć wchodzenia w szczegóły.**

**–Musicie mieć do czynienia z bardzo zróżnicowaną, rozbudowaną organizacją – stwierdził bezbarwnym tonem William Hill.**

**–Jej struktura jest wręcz nieprawdopodobnie skomplikowana. Największe zakłady przemysłowe są zlokalizowane na Zachodnim Wybrzeżu, ale administracją zajmują się biura w Chicago. Kierownictwo posługuje się dyktatorskimi metodami, a...**

**–Brzmi to jak lista pochwał prymusa Annapolis – zauważył żartobliwym tonem Hill, lecz w jego spojrzeniu nie było ani odrobiny wesołości.**

**–Mógłbym przedstawić panu nazwiska wielu wysoko postawionych – obecnie lub w przeszłości – mieszkańców Waszyngtonu. Kilku kongresmenów i senatorów, trzech lub czterech członków rządu – z minionych lat, ma się rozumieć.**

**William Hill odłożył ołówek i wziął do ręki kartkę, na której cały czas coś pisał.**

**–Wygląda mi na to, Trevayne, że postanowił pan uderzyć za jednym zamachem w Pentagon, obie izby Kongresu, sto gałęzi przemysłu, związki zawodowe i kilka rządów stanowych.**

**Pokazał mu kartkę.**

**Widniały na niej tylko dwa słowa ułożone z setek gniewnych, postawionych tuż obok siebie kresek:**

Nazywał się Roderick Bruce; inteligentnie dobrane nazwisko doskonale pasowało do człowieka, który je nosił. Nazwisko miało teatralne brzmienie i łatwo wpadało w ucho, człowiek zaś miał ostry język i przenikliwe spojrzenie, czyli dwie najważniejsze cechy dobrego dziennikarza.

Publikował w ośmiuset dziewięćdziesięciu jeden gazetach w całym kraju, dostawał za wykład trzy tysiące dolarów, które nieodmiennie i z dużym szumem przekazywał na różne szlachetne cele, a co najdziwniejsze: był bardzo lubiany przez kolegów po piórze.

Przyczyna tej popularności wśród dziennikarskiej braci dała się jednak łatwo wyjaśnić. Otóż Rod Bruce nigdy nie zapomniał, że urodził się w Erie w stanie Pensylwania jako Roger Brewster, w związku z czym wobec kolegów po fachu zachowywał się zawsze grzecznie i uprzejmie, traktując z przymrużeniem oka swój publiczny image.

Krótko mówiąc, Rod był miłym facetem.

Jednak nie wtedy, kiedy ktoś chciał poznać jego źródła informacji lub wpłynąć na osłabienie wrodzonej ciekawości, z równą zaciekłością bronił jednego jak i drugiego.

Andrew Trevayne wiedział to wszystko o Rodericku i z niecierpliwością czekał na spotkanie z nim. Dziennikarz z ogromną ochotą zgodził się na rozmowę o czterech unieruchomionych okrętach podwodnych, ale od razu dał wyraźnie do zrozumienia, że przewodniczący podkomisji musiałyby przedstawić argumenty naprawdę niezwyklej wagi, żeby skłonić go do zatajenia afery. Wiadomość o niej miała ujrzeć światło dzienne za trzy dni.

Zaproponował także – co zważywszy na okoliczności, wydawało się aż nadto uprzejme – że przyjedzie o dziesiątej rano do biura w Potomac Towers.

Trevayne'a zaskoczył wygląd dziennikarza. Nie chodziło o twarz, którą znał z wielu fotografii towarzyszących komentarzom i artykułom – ostre rysy, głęboko osadzone oczy, dość długie włosy – lecz o rozmiary. Roderick Bruce był wyjątkowo niskim człowiekiem, a cechę tę jeszcze podkreślał jego ubiór: tradycyjny w kroju, utrzymany w ciemnych kolorach, nienagannie wyprasowany. Przypominał wystrojonego na niedzielne nabożeństwo małego chłopca z okładki Normana Rockwella. Nieco dłuższe włosy stanowiły jedyny objaw chłopięcej niezależności u człowieka, który już dawno temu przekroczył pięćdziesiątkę.

Bruce wszedł za sekretarką do gabinetu Trevayne'a i wyciągnął do niego rękę. Andrew wstał z fotela i wyszedł zza biurka, czując niemal coś w rodzaju zażenowania. Z bliska Bruce wydawał się jeszcze niższy i drobniejszy. Jednak Roderick Bruce nie był nowicjuszem w sytuacjach tego rodzaju. Uśmiechnął się i ścisnął mocno dłoń Trevayne'a.

–Niech pana nie zmyli mój wzrost. Mam dzisiaj buty na wysokim obcasie... Miło mi pana poznać, Trevayne.

W krótkim przywitaniu Bruce uporał się z dwiema sprawami: żartobliwie podjął i od razu zakończył krępujący temat swego wyglądu, a zwracając się do gospodarza

po nazwisku, dał mu jednoznacznie do zrozumienia, że w tej rozmowie będą równorzędnymi partnerami.

–Dziękuję. Proszę siadać. – Sekretarka odwróciła się i ruszyła do drzwi. – Chwilowo nie łącz żadnych rozmów, Margaret – poprosił ją Trevayne. – I zamknij drzwi.

Wrócił na swoje miejsce. Roderick Bruce usiadł tymczasem w fotelu przed biurkiem.

–Zaszył się pan daleko od uczęszczanych szlaków.

–Przepraszam. Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu kłopotu. Chętnie spotkałbym się z panem gdzieś w mieście. Właśnie dlatego proponowałem, żebyśmy zjedli razem lunch.

–Nie ma sprawy. Chciałem zobaczyć to miejsce na własne oczy. Ludzie sporo o tym mówią. To dziwne, ale nigdzie nie zauważyłem pręgierzy, biczy ani narzędzi tortur.

–Trzymamy to wszystko w pokoju na zapleczu. Dzięki temu zachowujemy pozory cywilizacji.

–Dobra odpowiedź. Myślę, że ją wykorzystam. – Bruce wyjął mały notes – bardzo mały notes, jakby dostosowany do jego rozmiarów – i zapisał szybko kilka słów. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać dobry bezpośredni cytat – wyjaśnił.

–Ten nie jest zanadto dobry.

–Ale przynajmniej ludzki. Powiedzonka Kennedy'ego podobały się tak bardzo głównie dzięki temu, że były nie tylko mądre, ale przede wszystkim ludzkie.

–Którego?

–Jacka. Bobby zawsze musiał wszystko przemyśleć, a Jack działał instynktownie jak zwykły człowiek.

–Widzę, że znalazłem się w dobrym towarzystwie.

–W niezłym. Ale pan o nic się nie ubiega, więc to chyba nie ma znaczenia, prawda?

–Pan wyjął notes, nie ja.

–I już go nie schowam, panie Trevayne... W takim razie, może byśmy porozmawiali o czterech okrętach podwodnych, każdy wartości około stu osiemdziesięciu milionów dolarów, stojących aktualnie w suchych dokach? Siedemset dwadzieścia milionów dolarów spisanych na straty... Pan o tym wie i ja o tym wiem. Dlaczego nie mogą o tym wiedzieć ludzie, którzy za to zapłacili?

–Może jednak powinni się dowiedzieć.

Bruce nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Poprawił się w fotelu i założył nogę na nogę. Andrew zastanawiał się przez chwilę, czy dziennikarz sięga stopami podłogi.

–To także bardzo dobra odpowiedź. Nie muszę jej zapisywać, bo na pewno ją zapamiętam. – Bruce zagiął okładkę miniaturowego notesu. – Rozumiem więc, że nie ma pan zastrzeżeń do mojej historii?

–Szczерze mówiąc, nie mam najmniejszych zastrzeżeń. Inni, owszem – ja nie.

–W takim razie dlaczego chciał się pan ze mną spotkać?

–Aby przekonać pana o słuszności ich opinii.

–Nie wziąłem pod uwagę ich argumentów. Dlaczego miałbym uwzględnić pańskie?

–Ponieważ nie jestem osobiście zaangażowany w tę sprawę i potrafię spojrzeć na nią obiektywnie, z pewnością ma pan bardzo istotne powody, by ujawnić opinii publicznej tak kolosalne nadużycie. Na pana miejscu prawdopodobnie uczyniłbym to samo. Z drugiej jednak strony nie dysponuję pańskim doświadczeniem. Nie wiedziałbym, gdzie przebiega granica między koniecznym zdemaskowaniem niekompetencji a poważnym naruszeniem zasad bezpieczeństwa narodowego. Chętnie dowiedziałbym się czegoś na ten temat. Roderick Bruce poruszył się ze zniecierpliwieniem.

–Och, niech pan da spokój, Trewayne! Słyszałem już ten argument, ale to nie przejdzie!

–Jest pan tego pewien?

–Tak. I to z dużo ważniejszych przyczyn, niż się panu wydaje.

–Jeżeli sprawa przedstawia się w taki sposób, panie Bruce – powiedział Trewayne, wyjmując paczkę papierosów – to powinien być pan przyjęć zaproszenie na lunch. Przynajmniej zjedlibyśmy posiłek, umilając sobie czas towarzyską rozmową. Może pan o tym nie wie, ale z dużą uwagą czytuję pańskie artykuły. Papierosa?

Roderick Bruce wpatrywał się w Trewayne'a z wyrazem niedowierzania na twarzy. Ponieważ nie wyciągnął ręki po papierosa, Andrew wyjął jednego dla siebie i zapalił go, oparłszy się wygodnie w fotelu.

–Naturalnie. Podejrzewam, że ważne powody, o których pan wspomniał, wyjaśniają także wszystkie problemy związane z bezpieczeństwem państwa. Jeśli tak jest, a wiem z całą pewnością, że nie osiągnął pan swojej pozycji, kłamiąc w tych sprawach, to nie mogę przeciwstawić panu żadnych argumentów.

–Ale jeśli ujawnię tę sprawę, to zbytnio panu nie pomogę, prawda?

–Owszem. Szczerze mówiąc, rzuci mi pan kłody pod nogi. Ale to już moje zmartwienie, nie pańskie.

Bruce pochylił się lekko do przodu. W przepastnym fotelu wyglądał niemal zabawnie.

–Wcale nie musi pan mieć zmartwień... a mnie ani trochę nie obchodzi, czy w tym pokoju jest podsłuch.

Trewayne wyprostował się raptownie.

–Proszę?

–Nie obchodzi mnie, czy nasza rozmowa jest nagrywana. Zakładam, że nie jest. Zaproponuję panu interes, Trewayne. Żadnych problemów z mojej strony, żadnych kłód rzucanych pod nogi. Ale na zasadzie handlowej wymiany. Jestem gotów dać panu do wyboru kilka towarów.

–O czym pan mówi, do stu diabłów?

–Zacznijmy od wczorajszego dnia. – Bruce zamknął notes i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Robił to powoli, z przesadną starannością, jakby chciał podkreślić symboliczne znaczenie tego gestu. Następnie zaczął obracać trzymany w palcach ołówek. – Spędził pan godzinę i dwadzieścia minut w Biurze Statystyk Regionalnych. Wszedł pan tam tuż przed czwartą, wyszedł zaś już po

zakończeniu urzędowania. Interesowały pana dokumenty dotyczące stanów Kalifornia i Maryland obejmujące okres ostatnich osiemnastu miesięcy. Mając do dyspozycji trochę czasu, z pewnością udałoby mi się ustalić, co konkretnie pana interesowało, ale przyznaję, że nie byłoby to łatwe. Przecież to dziesiątki tysięcy różnych danych. Jednak najbardziej w tym wszystkim uderzył mnie fakt, że postanowił pan zrobić to sam. Nie wysłał pan sekretarki ani nawet żadnego ze współpracowników. Osobiście zagłębił się pan w bagno. I co pan znalazł?

Dopiero teraz do Trevayne'a dotarło prawdziwe znaczenie słów dziennikarza.

–Śledził mnie pan! To pan był w szarym pontiacu!

–Ciekawa hipoteza, choć fałszywa.

–Był pan na Rhode Island Avenue, a potem w Georgetown. Jechał pan za furgonetką szlifierza noży.

–Przykro mi, ale to nieprawda. Gdybym chciał pana śledzić, zorganizowałbym to tak, że o niczym by pan nie wiedział. Czego pan szukał w BSR? To pierwsza propozycja. Jeśli towar okaże się cenny, zrezygnuję z historii o okrętach podwodnych.

Trevayne wciąż myślał o szarym pontiacu. Jak tylko skończy z Bruce'em, natychmiast zadzwonił w tej sprawie do Webstera.

–Nic z tego, Bruce. Poza tym i tak nie poszedłbyś na taką wymianę. Badałem tylko tło.

–W porządku, jutro moi ludzie zjawią się w BSR. Na pewno to znajdziemy... Propozycja druga, przyznam, że dotycząca znacznie poważniejszej sprawy. Po mieście krążą plotki, że sześć tygodni temu, zaraz po pańskim spektakularnym wystąpieniu przed komisją senacką, spotkał się pan z pewnym siwowłosym chłopcem z Nebraski, który następnie miał sporego pecha na moście w Fairfax. Podobno trochę się posprzeczałście. Czy to prawda? A jeśli tak, to co stanowiło przedmiot sporu?

–Jedyną osobą, która słyszała naszą rozmowę, był człowiek nazwiskiem Miller... Laurence Miller, jak mi się wydaje. Kierowca senatora. Niech pan jego o to zapyta. Skoro powiedział już tyle, dlaczego miałby nie powiedzieć więcej?

–Nie robi tego. Jest lojalny wobec swego byłego pracodawcy. Poza tym twierdzi, że nigdy nie słucha, o czym rozmawiają ludzie na tylnym siedzeniu.

–Ponownie muszę odrzucić pańską propozycję. Nieporozumienie dotyczyło spraw światopoglądowych. Jeśli Miller będzie twierdził inaczej, na pana miejscu nie wierzyłbym jego słowom.

–Nie jest pan na moim miejscu i chyba nie będzie... W takim razie spróbuję jeszcze raz. To pańska ostatnia szansa, Trevayne. Jeśli i z tego pan się wymiga, zaczną rzucać panu kłody pod nogi. Kto wie, czy nawet nie wspomną, że próbował pan wyrzucić na mnie nacisk, bym trzymał język za zębami... Jak to się panu podoba?

–Jest pan odrażającym kurduplem. Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek sięgnę po pański artykuł.

–Proszę powiedzieć mi o Bonnerze.

–O Paulu Bonnerze?

Trevayne miał niemiłe przeczucie, że ostatni „towar” Rodericka Bruce'a stanowił główną przyczynę jego zjawienia się tutaj. Dwa pierwsze również go interesowały, ale teraz w głosie reportera pojawiło się nieobecne do tej pory napięcie, a także coś w rodzaju nieskrywanej groźby.

–Major Paul Bonner, bez środkowego inicjału, numer służbowy 158-3288; Wywiad Sił Specjalnych, obecnie przydzielony do Departamentu Obrony. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym odwołany z Indochin po trzy miesięcznym oczekiwaniu w areszcie oficerskim na rozprawę przed sądem wojennym. Nie udziela wywiadów, nie ma o nim żadnych informacji, naturalnie jeśli nie liczyć wpadającego w ucho określenia użytego przez pewnego generała: „zabójca z Sajgonu”. Tego właśnie Bonnera mam na myśli, panie Trevayne. A jeśli rzeczywiście jest pan moim wiernym czytelnikiem, jak pan twierdzi, to powinien pan wiedzieć, iż wielokrotnie dawałem wyraz opinii, że szalony major powinien siedzieć w celi w Leavenworth, a nie chodzić swobodnie po ulicach.

–Widocznie przegapiłem ten numer gazety.

–Te numery, panie Trevayne. Na czym polega rola Bonnera? Dlaczego został do pana przydzielony? Czy znał go pan wcześniej? Czy chciał pan z nim współpracować?

–Strasznie szybko pan mówi.

–Bo strasznie mnie to interesuje.

–W takim razie postaram się uporządkować pańskie pytania. Bonner jest tylko łącznikiem między mną a Departamentem Obrony. Jeśli czegoś potrzebuję, on mi to załatwia. To zresztą jego słowa, a muszę dodać, że wywiązuje się ze swego zadania bez zarzutu. Nie mam pojęcia, dlaczego mi go przydzielili. Zdaję sobie również sprawę z tego, że nie jest zbyt zachwycony swoją rolą. Nie znałem go wcześniej, więc nie mogłem zażądać, żeby mi go dali.

–W porządku. – Bruce nie spuszczał wzroku z twarzy Trevayne'a, wykonując w powietrzu szybkie pionowe ruchy ołówkiem. Było to bardzo irytujące. – Wszystko się zgadza. Tak to właśnie miało wyglądać. A teraz: czy pan w to wierzy?

–Czy w co wierzę?

–W to, że „zabójca z Sajgonu” jest zwykłym chłopcem na posyłki. Naprawdę pan w to wierzy?

–Naturalnie. Okazał się bardzo pomocny. Znalazł świetną lokalizację, załatwia transport i wszystkie rezerwacje w całym kraju. Nie wiem, co o mnie myśli, ale nie wpływa to w żaden sposób na jego pracę.

–Wspomniał pan wcześniej o personelu. Czy Bonner pomagał panu w doborze?

–Oczywiście, że nie. – Trevayne uświadomił sobie ze zdziwieniem, że podniósł głos. Jedną z przyczyn jego gniewu było chyba to, że na początku Paul Bonner rzeczywiście próbował uzyskać wpływ na sprawy osobowe. – Pozwolę sobie uprzedzić pańskie następne pytanie. Poglądy majora Bonniera różnią się w dość istotny sposób od moich. Obaj doskonale zdajemy sobie z tego sprawę i nikt z nas nie spodziewa się przeciągnąć drugiego na swoją stronę. Mimo to darzę go

zaufaniem, choć właściwie nie jest to konieczne. Zaufanie nie ma wiele wspólnego z naszą pracą.

–Powiedziałbym, że bardzo wiele. On doskonale wie, co pan robi, z kim pan rozmawia, czym najbardziej się pan interesuje...

–Tego rodzaju informacje są ogólnie dostępne, panie Bruce – przerwał mu Andrew. – Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, do czego pan zmierza.

–Przecież to proste. Gdybym usiłował rozpracować gang złodziei, na pewno nie korzystałbym z pomocy największego oszusta w mieście.

Trevayne przypomniał sobie, w jaki sposób na wiadomość o Bonnerze zareagował Walter Madison. Powiedział wtedy, że Departament Obrony nie wykazał się zbyt dużą subtelnością.

–Myślę, że mogę rozproszyć pańskie obawy, panie Bruce. Major Bonner nie bierze udziału w podejmowaniu żadnych decyzji. Nie rozmawiamy z nim o naszych badaniach, a jeśli już, to tylko bardzo ogólnie i zwykle w żartobliwy sposób. Zajmuje się wyłącznie pewnymi rutynowymi sprawami i to w znacznie mniejszym stopniu niż na początku. Moja sekretarka przejęła większość jego obowiązków i dzwoni do niego tylko wtedy, jeśli napotka jakieś problemy. Poparcie Departamentu Obrony bardzo się przydaje, jeśli trzeba zarezerwować miejsce na jakiejś obłożonej linii albo dotrzeć do człowieka, którego firma od dawien dawna współpracuje z Pentagonem. Powtarzam jeszcze raz: okazał się bardzo użyteczny.

–Ale chyba sam pan przyzna, że wyznaczenie go do tej roli musi budzić zdziwienie?

–Wojskowi nie są uważani za ludzi odznaczających się wielką wrażliwością. Myślę, że to chyba dobrze... Sprawa wygląda w ten sposób: zajmujemy się pieniędzmi Departamentu Obrony, więc jest oczywiste, że musimy się w jakiś sposób z nimi porozumiewać. Nie mam pojęcia, dlaczego dali nam akurat Bonnera, ale tak się właśnie stało, a ja skłamałbym mówiąc, że jestem z tego niezadowolony. Nie twierdzę, że oddaje się pracy całą duszą, bo w jego przypadku to nie jest konieczne, ale na pewno jest dobrym żołnierzem. Sądzę, że wykonałby każde zadanie, bez względu na swoje osobiste odczucia.

–Ładnie powiedziane.

–Inaczej nie można było tego powiedzieć.

–Twierdzi pan więc, że on nie stara się reprezentować poglądów Pentagonu?

–Przy nielicznych okazjach, kiedy pytam go o zdanie, naturalnie reprezentuje punkt widzenia wojskowego. Byłbym zaniepokojony, gdyby tego nie uczynił, pan zresztą chyba też. Jeśli chciał pan odkryć coś w rodzaju spisku, to z przykrością muszę stwierdzić, że się to panu nie udało. Używając pańskiej terminologii, Bruce, wiedzieliśmy o przeszłości Bonnera, a raczej dowiedzieliśmy się o niej. Rzecz jasna, byliśmy zaniepokojeni, ale nasze niepokoje okazały się przedwczesne.

–Nie daje mi pan tego, czego chcę, Trevayne.

–A chce pan zapewne, bym podyktował tytuł, w którym byłoby czarno na białym, że major Paul Bonner sabotuje prace podkomisji i że otrzymał tajne zadanie polegające na przekazywaniu swoim zwierzchnikom poufnych informacji. Nie na



darło czytywałem dokładnie pańskie artykuły. Podszedł pan do sprawy fachowo i logicznie, ale strzał okazał się chybyony. Byłoby to zbyt proste i pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

–A jakie on właściwie ma poglądy? Ostatecznie mogłoby mi to wystarczyć. W jaki sposób prezentował „punkt widzenia wojskowego”?

Trevayne przez chwilę mierzył spojrzeniem małego dziennikarza. Bruce stawał się coraz bardziej nerwowy, w miarę jak uświadamiał sobie, że wymyka mu się coś, na czym bardzo mu zależało. Andrew przypominał sobie plan działania przeciwko hipotetycznej manifestacji pokojowej, jaki roztoczył przed nim Bonner. Z pewnością Roderick Bruce liczył właśnie na coś takiego.

–Jest pan paranoikiem. Jest pan gotów rzucić się na cokolwiek, co tylko przedstawiłoby Bonnera w niekorzystnym świetle.

–Zgadł pan, Trevayne. A wie pan dlaczego? Dlatego że to wściekły pies, którego powinno być się uśpić już trzy lata temu!

–Rzuca pan bardzo poważne oskarżenie. Jeśli naprawdę pan tak uważa, proszę powiedzieć to głośno, przed swoją publicznością... a potem spróbować to udowodnić.

–Ten sukinsyn jest świetnie kryty. Wszyscy go kryją. Traktują go jak świętą krowę. Nawet ci, którzy go nienawidzą- a jest ich mnóstwo, od delty Mekongu do Danangu – nie powiedzą ani słowa. To właśnie mnie niepokoi. Sądziłem, że pan też zechce się nad tym zastanowić.

–Nie wiem, jakie ma pan informacje, a i tak muszę borykać się ze zbyt dużą liczbą problemów, żeby tworzyć sobie dodatkowe na podstawie różnych półprawd i półkłamstw. Mówiąc zupełnie szczerze, nie interesuję się aż tak bardzo majorem Paulem Bonnerem.

–Kto wie, czy nie powinien się pan zainteresować.

–Zastanowię się nad tym.

–Przy okazji proszę się zastanowić nad jeszcze jedną sprawą. Dam panu na to kilka dni. Sporo rozmawiał pan z Bonnerem. Nawet zaprosił go pan do siebie na weekend. Proszę zadzwonić do mnie i opowiedzieć o tych rozmowach. To, co powiedział, panu może się wydać zupełnie nieistotne, ale kto wie, czy w połączeniu z informacjami, którym i dysponuję, nie okaże się niezmiernie ważne. Być może odda pan w ten sposób wielką przysługę za równo sobie, jak i swojemu krajowi.

Trevayne podniósł się z fotela i spojrzał z góry na małego dziennikarza.

–Proszę stosować swoje gestapowskie metody gdzie indziej, panie Bruce. Tutaj nie ubije pan interesu.

Roderick Bruce wiedział z doświadczenia, jak niewiele zyskuje, przyjmując pozycję stojącą. Został w fotelu, bawiąc się od niechcienia ołówkiem.

–Niech pan nie robi sobie ze mnie wroga, Trevayne. To głupota. Mogę nadać tej historyjce o okrętach podwodnych taką formę, że ludzie zaczną traktować pana jak trędowatego. Kto wie, może nawet będą wybuchać śmiechem na pański widok?

–Proszę stąd wyjść, zanim pana wyrzucę.

–Utrudnia pan pracę dziennikarzowi, panie przewodniczący? Grozi pan

**człowiekowi mojej postury?**

**–Może pan pisać, co pan chce – powiedział spokojnie Trevayne. – Teraz niech pan stąd po prostu wyjdzie.**

**Roderick Bruce podniósł się powoli z miejsca i schował ołówek do kieszonki na piersi.**

**–Za kilka dni oczekuję pańskiego telefonu, Trevayne. Teraz jest pan zdenerwowany, ale wkrótce wszystko pan zrozumie. Jestem tego pewien.**

**Andrew obserwował w milczeniu, jak starzejący się mężczyzna, wzrostu małego chłopca, zmierza małymi krokami do drzwi. Bruce nie obejrzał się; nacisnął klamkę, pociągnął i wyszedł z gabinetu. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.**

**Generał brygady Lester Cooper walnął pięścią w stół. Miał czerwoną twarz, a na jego szyi widać było nabrzmiałe żyły.**

**–Ten sukinsyn! Ten przeklęty mały kutas! Czego on chce, do cholery?**

**–Jeszcze nie wiemy. To może być cokolwiek – odparł Robert Webster z drugiego końca pokoju. – Podejrzewamy, że chodzi mu o Bonnera. Braliśmy pod uwagę taką możliwość, kiedy wyznaczaliśmy go do tego zadania.**

**–Wybraliście ją pod uwagę. My nie mieliśmy z tym nic wspólnego.**

**–Doskonale wiemy, co robimy.**

**–Czułbym się lepiej, gdybyście zdołali mnie o tym przekonać. Nie podoba mi się teoria, że wszyscy jesteśmy do zastąpienia.**

**–Niech pan nie będzie śmieszny, generale. Proszę tylko powiedzieć Bonnerowi, żeby był ostrożny, bo jego stary przyjaciel Bruce próbuje znowu dobrać mu się do skóry. – Webster podszedł do Coopera i dodał z cieniem uśmiechu na twarzy: – Tylko niech pan nie przesadza. Nie chcemy, żeby zrobił się przewrażliwiony. Wie o tym, że Trevayne jest śledzony, więc lepiej niech nikt inny nie powie mu o tym jako pierwszy.**

**–Rozumiem... Jednak wydaje mi się, że powinniście znaleźć jakiś sposób, żeby odstraszyć Bruce'a. Powinien trzymać się od tej sprawy z daleka.**

**–W swoim czasie na pewno tym się zajmiemy.**

**–Lepiej byłoby teraz. Im dłużej będziecie zwlekać, tym większe stanie się ryzyko. Trevayne idzie tropem Genessee.**

**–Właśnie dlatego nie czynimy żadnych gwałtownych kroków. Trevayne nigdzie nie dojdzie. Szansę miałby tylko Roger Brewster.**

## Rozdział 17

Andrew Trevayne spoglądał przez okno na przesuujące się dostojnie wody Potomacu. W Waszyngtonie na dobre rozgościła się jesień: brązowe liście, słonawa woda, sobotnie mecze futbolowe, gazety wypełnione przemowami polityków, nie zaś doniesieniami o ich działalności.

Spotkanie zakończyło się pełnym sukcesem. Sztab Trevayne'a zgromadził wystarczająco wiele danych, by na ich podstawie można było przygotować się do bezpośredniej konfrontacji z szefami Genessee Industries.

Szczególnie z jednym z nich: Jamesem Goddardem. Jedynym człowiekiem w Genessee Industries, który powinien znać odpowiedzi na wszystkie pytania. James Goddard, San Francisco.

Tam będzie następny przystanek.

W osiągnięciu tego sukcesu wszyscy włożyli maksimum wysiłku, głównie dlatego, że Andrew domagał się zastosowania bardzo niezwykłych metod. Jedynie drobną część pracy wykonano w biurze; główna aktywność koncentrowała się w piwnicy jego wynajętego domu w Tawning Spring, krąg wtajemniczonych zaś ograniczał się do Alana Martina, Michaela Ryana, Johna Larcha i niepowstrzymanego Sama Vicarsona.

Powody decyzji o zastosowaniu tak daleko idących środków ostrożności były początkowo bardzo proste. Otóż kiedy nadeszła ostatnia odpowiedź na ankiety wysłane do rozszaniach po całym kraju filii, oddziałów i przedstawicielstw Genessee, okazało się, że jest tego wręcz nieprawdopodobna liczba. Segregatory dosłownie pękały w szwach. Potem, gdy zdecydowana większość odpowiedzi okazała się zupełnie niewystarczająca, w związku z czym zaszła potrzeba dołączenia wyjaśnień, a następnie wyjaśnień do wyjaśnień, Trevayne zrozumiał, że Genessee stara się zalać podkomisję rzeką bezużytecznych materiałów, uniemożliwiając jej pracę nad innymi tematami. Samo porównywanie dodatkowych danych z dostarczonymi w pierwszej kolejności zajmowało mnóstwo czasu.

Andrew ogarnęło obsesyjne pragnienie pokonania przeciwnika. Jednak rozwikłać tę niesamowitą płataninę można było tylko w jeden sposób: wziąć kolejno do ręki każdą nić i iść uparcie jej tropem, gromadząc po drodze dowody popełnienia oszustw i nazwiska ludzi za to odpowiedzialnych. Było to ogromne, niezwykle skomplikowane zadanie, w związku z czym wydawało się logiczne, by pracę nad nim skoncentrować w jednym miejscu, pozwalającym na osiągnięcie maksimum niezbędnej efektywności.

Potem jednak pojawiły się inne, znacznie poważniejsze powody. Ryan i Larch byli wypytywani – nadzwyczaj ostrożnie i dyskretnie – o działalność podkomisji związaną z Genessee Industries. W rozmowie wspomniano żartobliwie o znacznych sumach pieniędzy i wakacjach na Wyspach Karaibskich.

Tyle że w gruncie rzeczy to nie były żarty. Ryan i Larch doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Oprócz tych dwóch rozmów zaszły jeszcze trzy inne wydarzenia, w pośredni i trudno uchwytny sposób związane z Genessee Industries.

**Sam Vicarson został zaproszony przez sąsiada do klubu w Chevy Chase. To, co zaczęło się jako lekko zakrapiane alkoholem przyjęcie, przerodziło się w tęgą popijawę. Znajomi stali się nagle przyjaciółmi, a wielu przyjaciół przeobraziło się we wrogów. Nadmiar alkoholu zelektryzował atmosferę, a w pewnym momencie Sam Vicarson znalazł się na polu golfowym w towarzystwie żony jakiegoś mało ważnego kongresmena z Kalifornii.**

**Oto jak zrelacjonował przebieg wydarzeń Trevayne'owi (na tyle, na ile pozwalały mu całkiem zrozumiałe luki w pamięci): wraz z atrakcyjną dziewczyną wsiedli do wózka golfowego i wyruszyli na przejażdżkę. Niestety, po przejechaniu kilkuset metrów wózek zatrzymał się z powodu rozładowania akumulatorów. Żona kongresmena poważnie zaniepokoiła się, gdyż rozwój sytuacji groził nieprzyjemnymi konsekwencjami, tym bardziej że dziewczyna przez cały wieczór nie ukrywała zainteresowania młodym, energicznym prawnikiem. Pośpiesznie ruszyli z powrotem w kierunku budynku klubu, ale po drodze natknęli się na kongresmena zmierzającego w ich stronę w towarzystwie jakiegoś nieznanego człowieka.**

**To, co nastąpiło później, było nagłe, nieprzyjemne i całkowicie niezrozumiałe, a to za sprawą tajemniczych słów zazdrosnego męża. Kongresmen był bardzo pijany; uderzył żonę w twarz, po czym rzucił się na Vicarsona. Sam zaczął się cofać, broniąc się najlepiej, jak mógł przed wściekłą napaścią, kiedy do szarpaniny włączył się nieznanemu mężczyzna, chwytając kongresmena za ramiona i powalając go na ziemię. Krzyknął na wyrwijącego się pijaka, żeby natychmiast się uspokoił i przestał robić z siebie głupca. Mało ważny kongresmen z Kalifornii przez chwilę próbował się wyrwać, po czym wrzasnął rozpaczliwie:**

**–Odpieprz się wreszcie ode mnie razem z tym swoim cholernym Palo Alto!  
Dziewczyna pobiegła w kierunku parkingu.**

**Nieznanemu uderzył kongresmena na odlew w twarz, postawił go na nogi i pchnął w ślad za żoną.**

**Vicarson został sam na polu golfowym. Mimo alkoholowego zamroczenia zdawał sobie sprawę, że przypadkiem uniknął wciągnięcia w coś, czego potem mógłby bardzo żałować.**

**Palo Alto. Genessee Industries.**

**Trevayne zgodził się z nim, mając pewność, że w przyszłości młody prawnik będzie nieco bardziej powściągliwy w przyjmowaniu zaproszeń od sąsiadów.**

**O drugim wydarzeniu opowiedziała Trevayne'owi jego własna sekretarka. Dziewczyna znajdowała się w przededniu zerwania bardzo nieudanego związku. Rozstanie zostało już postanowione, jednak ku jej zaskoczeniu były narzeczony poprosił, by pozwoliła mu wrócić na kilka dni.**

**Było to dla niego niezwykle ważne.**

**Dla zachowania pozorów.**

**Powiedział jej, że gdyby ktoś ją pytał, miała utrzymywać, że zadawał jej mnóstwo pytań.**

**Pytań, których on wcale nie miał ochoty jej zadać. Nic go to nie obchodziło. Zamierzał wyjechać z Waszyngtonu i potrzebował dobrych rekomendacji. Dzięki niej**

miał szansę je uzyskać.

Kiedy wreszcie znalazł się w Chicago i podjął nową pracę, zadzwonił do sekretarki Trevayne'a.

–Powiedz swojemu szefowi, że mnóstwo ludzi z Nebraska Avenue jest blisko związanych z GIC. Są coraz bardziej zdenerwowani.

Powtórzyła mu to.

GIC. Genessee Industries Corporation.

Wiadomość o trzecim i zarazem ostatnim wydarzeniu – z tych, o których wiedział, ma się rozumieć – dotarła do niego za pośrednictwem Franklina Baldwina, nowojorskiego bankiera, który namówił go do objęcia funkcji przewodniczącego podkomisji.

Baldwin przyjechał do Waszyngtonu na ślub wnuczki. Dziewczyna wychodziła za mąż za Anglika, attache ambasady Wielkiej Brytanii, mającego wśród przodków jakiegoś wicehrabiego. Baldwin streścił przebieg uroczystości w następujących słowach: „Najnudniejszy ślub, jaki w życiu widziałem. Powiedz amerykańskiej matce, że jej córka znalazła sobie męża ze szlacheckim tytułem, a zamiast ślubu urządzi coś w rodzaju pogrzebu skrzyżowanego z koronacją”.

W ten sposób stary bankier dał Trevayne'owi do zrozumienia, że opuścił ceremonię, korzystając z pierwszej propozycji, jaką otrzymał. Propozycja ta wyszła od jego wieloletniego przyjaciela, emerytowanego dyplomaty, który podsunął mu pomysł, by wymówili się starczym osłabieniem i przenieśli w jakieś ciekawsze miejsce.

Zrobili to. „Ciekawsze miejsce” okazało się domem ich wspólnego przyjaciela, admirała w stanie spoczynku. Ku zaskoczeniu Baldwina gospodarz spodziewał się ich przybycia.

Początkowo Baldwin był zachwycony spiskiem starych oszustów; przez chwilę czuł się tak, jakby wszyscy trzej znowu byli młodzi i jak za dawnych lat robili wszystko, by tylko uciec od nudnych obowiązków.

Jednak wraz z upływem czasu jego nastrój zaczął się zmieniać. Zapowiadające się bardzo przyjemnie spotkanie wcale nie było przyjemne. Zaczęło się od wzmianki admirała na temat artykułu Rodericka Bruce'a o unieruchomionych w New London okrętach podwodnych. Stąd był już tylko krok do dyskusji o fachowej wiedzy Trevayne'a, dotyczącej problemów wojska, a szczególnie marynarki; najwyraźniej w ogóle takowej nie miał.

Wreszcie Baldwin stwierdził ku swemu zdumieniu, że dał się wciągnąć w zażarty spór. Bądź co bądź czuł się odpowiedzialny za decyzje komisji do spraw obrony. Trevayne otrzymał pełne poparcie nie tylko od komisji, ale także od prezydenta i Senatu. Te decyzje obowiązywały w dalszym ciągu i byłoby lepiej, gdyby wojskowi, nie wyłączając dowództwa marynarki, wreszcie się z tym pogodzili.

Jednak admirał nie był w stanie tego uczynić.

Na odchodnym Baldwin usłyszał od weterana marynarki, że wczorajsze poparcie już jutro może zamienić się w całkowitą dezaprobatę, szczególnie jeśli Trevayne w dalszym ciągu będzie atakował jedną z najważniejszych instytucji – „instytucji, wyobraź sobie!” – od których w znacznej mierze zależał dobrobyt i bezpieczeństwo kraju. „Bezpieczeństwo, tak właśnie powiedział!”

Tą „instytucją” było Genessee Industries.

Wciąż patrząc na rzekę, Andrew uświadomił sobie, że tych pięć incydentów – dwie ostrożne rozmowy z Ryanem i Larchem, sprawa Sama Vicarsona w Chevy Chase, informacje od sekretarki i Franklyna Baldwina – to wszystko, o czym wie. O ilu wydarzeniach nie miał pojęcia? W podkomisji pracowało dwadzieścia jeden osób; czy inni także przeżyli podobne przygody?

Nie mógł po prostu zwołać „zebrania załogi” i zapytać o to. Nie tylko dlatego, że z zasady nie stosował podobnych metod, ale przede wszystkim z tego powodu, że nie dałoby to żadnego rezultatu. Jeśli ktoś nie powiedział o czymś takim wcześniej, z pewnością nie powie także teraz, obawiając się posądzenia o nielojalność.

Co więcej, gdyby wewnątrz komisji działał jakiś informator choć – Trevayne'owi wydawało się to bardzo mało prawdopodobne – to nie mógł się dowiedzieć niczego istotnego, gdyż wszystkie ważne dokumenty dotyczące Genessee Industries znajdowały się w Tawning Spring.

Te mające jakieś znaczenie, które pozostały w biurze, były oznaczone samoprzylepną taśmą z napisem: „Bieżące. Uzupełnione. Wystarczające”. Inne, dotyczące pomniejszych transakcji, podpisano w odmienny sposób: „Bieżące. Do uzupełnienia”. Te były zupełnie bezwartościowe.

Oznaczenie „wystarczające” nie miało nic wspólnego ze stanem faktycznym, ale ponieważ tylko pięć osób miało powody, by sięgać do tych teczek – Trevayne i jego czterej najbliżsi współpracownicy – prawdziwe znaczenie tego słowa nie miało dla nich żadnych tajemnic. Gdyby zaś natrafił na nie ktoś z zewnątrz, żadne wyjaśnienia nie byłyby konieczne.

„Wystarczające” samo w sobie stanowiło wyjaśnienie.

Andrew odwrócił się od okna i podszedł do biurka, na którym leżały trzy grube plastikowe notatniki z wyjmowanymi kartkami. Zapiski związane z Genessee Industries, wąskie wejścia do skomplikowanego labiryntu o ścianach wyłożonych lustrami dającymi zwodnicze odbicia. Był niezmiernie ciekaw, dokąd go ten labirynt doprowadzi.

Zastanawiał się także, co by zrobił ktoś taki jak Roderick Bruce Roger Brewster, gdyby wpadły w jego ręce.

Roderick Bruce, miniaturowy pogromca smoków.

Jego na razie oszczędził. Mimo gróźb, w swoim artykule o unieruchomionych okrętach podwodnych potraktował Andy'ego nadzwyczaj łagodnie.

Zupełnie nie wiadomo dlaczego.

W artykule znalazło się nawet coś w rodzaju komplementu:

Nieugięty, twardo prący do celu przewodniczący podkomisji pozostaje niedostępny dla ogarniętych paniką wysokich funkcjonariuszy wywiadu. Także

utrzymywanie kontaktów ze środkami masowego przekazu zlecił innym osobom, co może nie jest najsprytniejszym posunięciem, ale przecieź od człowieka na tym stanowisku trudno wymagać tego rodzaju sprytu. W ten sposób osiągnie tylko tyle, że wszyscy będą się starali go pograźić. Czyżby o to właśnie mu chodziło?

Trevayne zastanawiał się, dlaczego Bruce zrezygnował z oskarżenia go o „utrudnianie dziennikarzom wykonywania ich zawodowych obowiązków”, choć w gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Nic go nie obchodził ani Roderick Bruce, ani jego czytelnicy. Nie chciał mieć z nim już nic wspólnego. Bez względu na przekonania Bonnera – a nie ulegało wątpliwości, że są wręcz przedpotopowe – należało przyznać mu jedno: był człowiekiem z krwi i kości. Trwał przy tym, w co wierzył, nie zmieniając poglądów z każdym powiewem wiatru. Należał do ludzi, których trzeba do wszystkiego przekonywać, nie zaś poświęcać jako mięso armatnie w ideologicznych przepychankach.

Krótko mówiąc, wierzył w to, co robił.

Andrew wziął do ręki leżący na wierzchu notatnik oznaczony wielką rzymską jedynką. Zawierał plan jego najbliższej podróży, której pierwszy przystanek miał nastąpić w San Francisco.

Robocza wizyta. Nic szczególnego.

Tak właśnie to przygotowano i w ten sposób przedstawiano. Przewodniczący podkomisji odwiedzał osobiście kilka korporacji z Zachodniego Wybrzeża. Gdyby zaniepokojeni dyrektorzy sprawdzili jego rozkład jazdy -a było niemal pewne, że to uczynią – przekonaliby się z ulgą, że Andrew Trevayne ma zamiar odwiedzić także siedziby innych firm. Mając tak napięty program nie mógł dowiedzieć się niczego istotnego.

Kilku osobom dano nawet wyraźnie do zrozumienia, że pan przewodniczący nie miałby nic przeciwko partyjce golfa lub tenisa, o ile pozwoli na to pogoda, ma się rozumieć.

Dzięki temu klimat podróży został jasno określony. Odezwały się nawet głosy mówiące o rychłym zakończeniu prac podkomisji; według tych opinii podróż Trevayne'a miała stanowić pożegnanie z zadaniem, którego wykonanie przerosło jego możliwości.

I bardzo dobrze. O to właśnie mu chodziło.

Z pewnością nie udałoby się osiągnąć takiego efektu, gdyby Roderick Bruce uzyskał dostęp do materiałów na temat Genessee Industries.

Niech Bóg broni przed czymś takim! Za wszelką cenę należało unikać zakulisowych oskarżeń i szeptanych pomówień. Sytuacja była zbyt skomplikowana, by wyciągać proste wnioski.

Dzwonek telefonu przerwał jego rozmyślenia. Minęła już piąta; dziś Trevayne odesłał wszystkich wcześniej do domów. W Potomac Towers piąta po południu to była jeszcze bardzo wczesna godzina. Został w biurze sam.

–Halo?

–To ty, Andy? Tu Paul Bonner.

–Jesteś chyba telepatą. Właśnie o tobie myślałem.

**–Mam nadzieję, że dobrze.**

**–Nie bardzo. Jak się masz? Nie widziałem cię parę tygodni.**

**–Byłem poza miastem, w Georgii. Co pół roku „góra” wysyła mnie na tor przeszkód, żebym nie zgnuśniał za biurkiem.**

**–Raczej chodzi im o to, żeby pozwolić ci odpocząć od wrogów i dać trochę wytchnienia waszyngtońskim damom.**

**–W takim razie wolę to niż zimne kąpiele. Co robisz dziś wieczorem?**

**–Jem z Phyl kolację w L'Avion. Przyłączysz się do nas?**

**–Z przyjemnością. Jeśli nie będę przeszkadzał, ma się rozumieć.**

**–Nie będziesz. Za czterdzieści pięć minut?**

**–Zgoda. Będziemy mieli okazję porozmawiać o tej twojej zwariowanej podróży.**

**–Proszę?**

**–Wracam na posadę lokaja, *massa*. Jeśli sobie czegoś życzysz, wystarczy, żebyś pstryknął palcami albo zagwizdał, a natychmiast ci to przyniosę.**

**–Nie wiedziałem... -bąknął Trevayne.**

**–Właśnie odebrałem rozkazy. Podobno będziemy grać w golfa i tenisa. Wygląda na to, że postanowiłeś trochę poluzować popręg, co Andy?**

**–Chyba tak. Do zobaczenia w L'Avion.**

**Trevayne odłożył słuchawkę i spojrzał na trzymany w lewej ręce notes.**

**Nie prosił Departamentu Obrony o ponowne przydzielenie wojskowego łącznika. W gruncie rzeczy Pentagon w ogóle nie został poinformowany o planowanej podróży.**

**Przynajmniej nie przez jego biuro.**



## Rozdział 18

Mario de Spadante wysiadł z windy na pierwszym piętrze portu lotni czego w San Francisco i skierował się na przeszklony taras widokowy. Jak na człowieka tej tuszy szedł nadzwyczaj szybkim krokiem, lawirując między pasażerami i ludźmi w lotniczych mundurach. W pewnej chwili musiał się zatrzymać, by przepuścić czarnego bagażowego pchającego przed sobą wyładowany wózek. Wreszcie dotarł do szklanych drzwi wiodących na taras i minął hostessę, odpowiadając na jej niezadane pytanie machnięciem ręki: był umówiony na spotkanie. Dwaj mężczyźni czekali na niego przy stoliku w rogu sali.

–Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie de Spadante, to pozwolę sobie stwierdzić, że chyba niepotrzebnie tak bardzo się pan denerwuje.

–Owszem, mam coś przeciwko temu, panie Goddard. Mam mnóstwo przeciwko temu, bo uważam, że jest pan pieprzonym kretynem. – De Spadante mówił spokojnym głosem, może tylko nieco bardziej chrapliwym niż zwykle. – Czy Webster skontaktował się z wami? – zapytał drugiego mężczyznę, sporo po sześćdziesiątce, w nienagannie skrojonym garniturze. Mężczyzna ów nazywał się Allen.

–Ostatni raz rozmawiałem z nim kilka miesięcy temu w Nowym Jorku, jeszcze zanim Baldwin zaczął skakać dokoła tego Trevayne'a. Powinniśmy byli ukręcić temu łeb już wtedy, na samym początku.

–Wielcy macherzy nie chcieli was słuchać, bo to, co mieliście im do zaproponowania, było nie tylko głupie, ale wręcz beznadziejne. Przedsięwzięciem inne środki. Wszystko było pod kontrolą... aż do dzisiaj. – De Spadante ponownie spojrzał na Goddarda, którego dziecinna twarz okryła się rumieńcem gniewu. Goddard był w średnim wieku, średniej tuszy i średnio inteligentny – okazowy egzemplarz urzędnika zajmującego jedno z wyższych stanowisk w dużej korporacji; w jego przypadku było to Genessee Industries. De Spadante nic nie mówił, tylko wpatrywał się w niego nieruchomym spojrzeniem. Goddard wiedział, czego oczekuje od niego arogancki Włoch.

–Trevayne przylatuje jutro około dziesiątej trzydzieści. Zamówiliśmy już lunch.

–Mam nadzieję, że się najecie.

–Nie ma powodów przypuszczać, żeby konferencja miała być czymś więcej niż zwykłym przyjacielskim spotkaniem. W dodatku jednym z wielu. Trevayne odwiedza kilka firm rozrzuconych na przestrzeni kilkuset kilometrów.

–Kapitalny z ciebie facet! Ryczałbym ze śmiechu i tarzał się po podłodze, gdybym nie był taki wściekły... „Nie ma powodów przypuszczać”, a to dopiero świetne! Jak to mówią dzieci, ma pan strasznie mało miejsca pod kopułą.

–Pan mnie obraża, panie de Spadante! – wykrztusił Goddard, ocierając chusteczką pot z czoła.

–Nie mów mi pan nic o obrażaniu! Głupota jest najwstrętniejszą rzeczą, jaką można spotkać na ziemi. Może z wyjątkiem głupoty połączonej z próżnością. Skąd wzięliście tego palanta? – zapytał Allena, nie spuszczać wzroku z Goddarda.

–On wcale nie jest głupi, Mario – odparł spokojnie Allen. – Goddard jest najlepszym księgowym, jakiego kiedykolwiek mieliśmy w GIC. Od pięciu lat kształtuje

politykę finansową firmy.

–Księgowy! Cholerny, wiecznie spocony skryba! Doskonale znam takich typków.

–Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać tych zniewag! – powiedział Goddard i odsunął krzesło, by wstać od stołu. Jednak nim zdążył to uczynić, ciężka dłoń Maria de Spadante opadła na jego ramię, uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch.

–Siedź. Zostajesz tutaj. Mamy znacznie większe problemy niż twoja urażona ambicja... albo moja, panie księgowy.

–Skąd ta pewność? – zapytał Allen.

–Zaraz panu powiem. Może wtedy zrozumiecie, dlaczego się denerwuję. Przez ostatnie tygodnie słyszeliśmy ciągle, że wszystko jest w porządku. Żadnych problemów, co najwyżej kilka drobnostek, które trzeba było wyjaśnić, co zresztą natychmiast zostało zrobione. Potem dowiedzieliśmy się, że nawet na teczkach z najważniejszymi sprawami są adnotacje „całkowite” i „wystarczające”. Wszystko elegancko zakończone, cicho, sza i po krzyku. Przyznam, że nawet ja dałem się na to nabrać. – De Spadante cofnął rękę spoczywającą na ramieniu Goddarda, ale jego oczy cały czas przeskakiwały z jednej twarzy na drugą. – Byłoby tak aż do tej pory, gdyby paru dociekliwych facetów z Nowego Jorku nie postanowiło sprawdzić pewnych

szczegółów. Są trochę niecierpliwi, ponieważ dostają pieniądze za rozwiązywanie problemów. Jeśli ich nigdzie nie widzą, wtedy zaczynają szukać. Uważają, że lepiej trochę poszukać, niż coś przeoczyć... Zajęli się pięcioma dochodzeniami, o których my mieliśmy informacje, że zostały zakończone bez żadnych rezultatów. Wysłali do biura Trevayne'a dodatkowe wyjaśnienia – to prawda, że nikomu niepotrzebne, ale przecież ta podkomisja jest właśnie po to, żeby zbierać wyjaśnienia... Czy muszę wam mówić, co się stało?

Goddard, który przez cały czas ścisnął w dłoni chusteczkę, ponownie przyłożył ją do czoła. Z jego oczu wycierał strach.

–Podwójne akta... – szepnął.

–Jeśli chce pan przez to powiedzieć, że dokumenty trzymane w biurze były fałszywkami, to ma pan całkowitą rację, panie księgowy.

Allen gwałtownie pochylił się do przodu.

–Czy to chciałeś powiedzieć, Goddard?

–W pewnym sensie. Tylko że przeskoczyłem jeden stopień. Wszystko zależy od tego, czy po wpłynięciu dodatkowych wyjaśnień na aktach w biurze pojawiła się adnotacja „do uzupełnienia”.

–Nie – odparł krótko Mario de Spadante.

–W takim razie na pewno istnieje drugi komplet akt.

–Znakomicie. Nawet my, amatorzy, zdążyliśmy się tego domyślić.

–Ale gdzie? – wybuchnął Allen, rezygnując z dotychczasowej chłodnej wyniosłości.

–A jakie to ma znaczenie? I tak przecież nie zmienisz ich zawartości.

–Mimo to warto byłoby wiedzieć, gdzie je trzyma – odezwał się Goddard. Już nie żywił urazy do Włocha. Po prostu bardzo się bał.

–Powinniście byli zastanawiać się nad tym już od paru miesięcy, zamiast siedzieć z palcem w dupie i zachwycać się, jacy to jesteście sprytni! „Przyjacielskie spotkanie”, dobre sobie!

–Nie widzieliśmy żadnego...

–Zamknij się, na litość boską! Jesteś cały mokry... Mnóstwo ludzi będzie musiało zawisnąć, ale jest sporo takich, których trzeba chronić za wszelką cenę. Na szczęście jest jeszcze szansa. Zrobiliśmy, co do nas należało.

Zupełnie niespodziewanie Mario de Spadante zacisnął pięść i skrzywił się paskudnie.

–Co masz na myśli? – zapytał Allen, spoglądając z niepokojem na Włocha.

Ten sukinsyn Trevayne! – szepnął chrapliwie de Spadantemu. – Szanowny pieprzony pan przewodniczący! Cholerna cnotka! Okazuje się, że siedzi po uszy w gównie razem ze wszystkimi. Nie liczyłem na to, ale to prawda.

Major Paul Bonner obserwował Trevayne'a siedzącego po drugiej stronie przejścia wiodącego przez całą długość kadłuba boeinga 707. Bonner zajmował miejsce przy oknie po prawej stronie, Trevayne zaś, mając po bokach Alana Martina i Sama Vicarsona, siedział dokładnie naprzeciwko. Wszyscy trzej byli pogrążeni w lekturze jakichś dokumentów.

Bobry, pomyślał Bonner. Pracowite bobry podgryzające setki pni, by doprowadzić do zwalenia drzew i zatrzymania biegu strumienia. Próba powstrzymania naturalnego toku wydarzeń? Nie, Trevayne z pewnością nazwałby to utrzymywaniem równowagi ekologicznej.

Bzdury.

Dużo ważniejsze od kwestii przetrwania paru bobrów było to, żeby pola leżące poniżej ich żeremi otrzymały potrzebną ilość wody. Bobry pragnęły osuszyć ziemię, poświęcając dojrzewające zbiory z powodów, które były ważne tylko dla nich. Tymczasem istniały jeszcze inne powody, tak przerażające, że małe zwierzęta nigdy nie mogłyby ich zrozumieć. Rozumiały je tylko lwy; musiały, gdyż to one były przywódcami. Przywódcy przemierzali ogromne obszary lasów i dżungli, dzięki czemu wiedzieli, kto jest najgroźniejszym drapieżnikiem. Bobry nie miały o tym pojęcia.

Paul Bonner doskonale znał dżunglę. Krwawiąc z licznych ran Czołgał się wśród jej wilgotnego poszycia, rojącego się od owadów. Spoglądał prosto w gorejące szaleńczą nienawiścią, fanatyczne oczy. Zrozumiał, że albo zabije właściciela tych oczu, albo sam zostanie zabity.

To był jego wróg.

Ich wróg.

Co mogły o tym wiedzieć bobry?

Trevayne i jego dwaj asystenci zaczęli składać papiery i chować je do teczek. Wkrótce maszyna wyląduje w San Francisco; zapłonął już napis nakazujący zapięcie pasów i zgaszenie papierosów. Jeszcze pięć minut.

I co potem?

Rozkazy, jakie tym razem otrzymał, były bardziej ogólne niż poprzednio. Chyba na

zasadzie kontrastu atmosfera wokół Departamentu Obrony -a przynajmniej tej jego części, która zajmowała się Trevayne'em – stała się zdecydowanie bardziej napięta. Po kolacji zjedzonej w towarzystwie Andy'ego i Phyllis, Bonner został poddany przez generała Coopera regularnemu przesłuchaniu. Generał o mało nie dostał apopleksji. ***Dlaczego Trevayne nie poinformował Departamentu Obrony o swoim wyjeździe? Jak przedstawia się jego plan podróży? Dlaczego ma zamiar odbyć tak wiele spotkań? Czy to jakaś zasłona dymna?***

Bonner wreszcie nie wytrzymał. Nie zna żadnych odpowiedzi, dopiero ich szuka. Jeśli generałowi zależy na jakichś konkretnych informacjach, powinien był powiedzieć mu o tym wcześniej. Przypomniał Cooperowi, że do tej pory dostarczył mu ponad pięćdziesiąt szczegółowych raportów zawierających informacje wykradzione z dokumentów Trevayne'a, w razie wpadki ryzykując postawienie przed cywilnym sądem.

Doskonale rozumie powody, akceptuje je, podobnie jak ryzyko, i całkowicie polega na zdaniu przełożonych, ale do jasnej cholery, nie jest przecież jasnowidzem!

Sposób, w jaki generał zareagował na jego wybuch, wprowadził Bonnera w zdumienie. Cooper stracił pewność siebie i zaczął bełkotać coś bez ładu i składu. Bonner nie spodziewał się, że kiedykolwiek ujrzy go w takim stanie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że generał brygady Cooper stanął w obliczu zupełnie dla siebie nowej, niejasnej sytuacji.

I że bardzo się bał.

Bonner zastanawiał się, co to mogło być. Skąd wziął się strach? Major doskonale zdawał sobie sprawę, że nie on jeden dostarczał informacji z Potomac Towers. Wiedział o jeszcze dwóch osobach. Jedną z nich była ciemnowłosa stenografistka, zwierzchniczka wszystkich maszynistek i stenotypistek zatrudnionych w biurze Trevayne'a. Widział kiedyś u Coopera jej zdjęcie z załączonymi raportami i wykazem wydatków. Standardowa procedura.

Drugim człowiekiem był niespełna trzydziestoletni blondyn, doktor z Uniwersytetu Cornell, którego, o ile Bonner dobrze sobie przypomina, Trevayne zatrudnił na prośbę jednego ze starych przyjaciół. Kiedy pewnego wieczoru major wychodził z biura, zauważył młodego jasnowłosego mężczyznę przemykającego cichcem do tylnych wind. Znalazłszy się przed budynkiem, major spojrzał w górę; w oknie gabinetu generała Coopera paliło się światło.

Cooper był zbyt zdenerwowany, żeby silić się na jakieś subtelności. Rozkazy wydane Bonnerowi brzmiały następująco: wszystko, co powie Trevayne lub któryś z jego współpracowników – choćby wydawało się nie wiadomo jak błahe lub nieistotne – należy dokładnie zapamiętać i przekazać telefonicznie pod prywatny numer generała. Ustalić szczegółowo obszar zagadnień poruszanych podczas rozmów z ludźmi związanymi w jakikolwiek sposób z Genessee Industries. Koszty ani obietnice nie grają roli. Należy ustalić fakty.

Jakiegokolwiek fakty.

Czy ma zwracać uwagę na coś szczególnego?

Na wszystko!

**Bonner musiał niechętnie przyznać, że i jemu udzieliła się gorączka generała. Nie lubił ulegać emocjom innych, lecz w tym przypadku tak właśnie się stało. Trevayne nie miał prawa wtykać nosa w interesy Genessee, a przynajmniej nie w takim stopniu, jaki mógł wywołać zupełnie niezwykle wzburzenie Coopera. Genessee było, na swój sposób, niezbędną linią umocnień w systemie narodowej obrony. Z pewnością znacznie ważniejszą niż jakikolwiek sojusznik, a ponad wszelką wątpliwość bardziej wiarygodną.**

**Wyposażone w raketowe silniki myśliwce, przewyższające pod każdym względem wszystkich konkurentów; czternaście modeli śmigłowców – poczynając od wielkich maszyn przeznaczonych do transportu całych oddziałów, sprzętu i urządzeń, kończąc na szybkich, nieuchwytnych „ważkach” przenoszących ludzi na wysunięte stanowiska w dżungli; pancerze konstruowane w doświadczalnych laboratoriach, chroniące ludzi nawet przed odłamkami wielkokalibrowych pocisków i przed napalmem; wreszcie najlepsza w świecie artyleria, produkowana w dziesiątkach fabryk kontrolowanych przez Genessee.**

**Siła uderzeniowa! Potęga!**

**Niech to nagły szlag trafi! Czy oni naprawdę nie są w stanie tego zrozumieć?**

**Przecież tu nie chodzi o sam fakt posiadania, ale o ochronę! Ich ochronę!**

**Co mogły o tym wiedzieć bobry?**

**Co mógł o tym wiedzieć Trevayne?**

## Rozdział 19

James Goddard wyszedł na trawnik rozciągający się z tyłu jego domu. Chylące się ku zachodowi słońce zalewało Los Altos mglistymi potokami żółci i czerwieni. Ten widok jak zwykle podział na niego uspokajająco.

Głównie z tego powodu dwanaście lat temu postanowił zaryzykować i kupić dom w Los Altos. Był dla niego zdecydowanie zbyt kosztowny, lecz Goddard osiągnął już wtedy taki stopień zespolenia z Genessee Industries, że w jego przyszłości musiało znaleźć się miejsce dla takiego domu albo musiałby zrezygnować z jakiegokolwiek przyszłości.

W gruncie rzeczy ryzyko wcale nie było wielkie. Po prostu dwanaście lat temu zaczął błyskawiczny marsz w górę, ku jednemu z wewnętrznych kręgów zarządzających Genessee Industries. Natura jego pracy gwarantowała mu przeżycie, ukazując kuszącą perspektywę własnego biura i sekretarki.

A wreszcie awans na sam szczyt. Prezes oddziału San Francisco.

Chwilami jednak obciążenie stawało się zbyt duże.

Teraz nadeszła jedna z takich chwil.

Popołudniowa konferencja z Trevayne'em potwornie zszarpała mu nerwy. Przede wszystkim dlatego, że cel spotkania pozostawał początkowo całkowicie niejasny. Trochę tego, trochę tamtego, mnóstwo potakiwania, nieco badawczych spojrzeń, potem znowu enigmatyczne potakiwanie. Notatki wykonywane w najmniej odpowiednich momentach, nieszkodliwe pytania zadawane przez nieszkodliwych asystentów. Jeden był Żydem, co od razu rzucało się w oczy. Drugi był zbyt młody, co świadczyło o lekceważeniu rozmówców przez Trevayne'a.

Całe spotkanie przebiegało chaotycznie i bez żadnej przewodniej myśli. Jako główny rzecznik Genessee Industries, Goddard usiłował wprowadzić jakiś porządek, by ustalić chociaż podstawowe tematy dyskusji, lecz został łagodnie skarcony przez Trevayne'a; przewodniczący podkomisji starał się odgrywać rolę dobrego wujka, który na wszystko ma czas i nie chce nikogo poganiać. Według jego słów, na razie chodziło wyłącznie o prowizoryczne określenie obszarów odpowiedzialności.

„Określenie obszarów odpowiedzialności”.

James Goddard poczuł się tak, jakby w jego mózg uderzył silny ładunek elektryczny.

Skinął tylko głową, a jego trzech przeciwnicy odpowiedzieli tym samym gestem, połączonym z szerokimi uśmiechami. Rytualny taniec nieszczerości.

Kiedy o wpół do czwartej spotkanie dobiegło końca, Goddard wrócił do biura i natychmiast poinformował sekretarkę, że okropnie boli go głowa. Musiał jak najszybciej wydostać się na zewnątrz, usiąść za kierownicą i pojechać trochę bez celu, analizując dokładnie wszystko, co zostało powiedziane podczas minionych dwóch i pół godziny. Mimo uników i niejasności powiedziano bardzo dużo. Problem polegał wyłącznie na tym, że nie posługiwano się żadnymi liczbami, a on najlepiej rozumiał właśnie liczby. Mógł cytować z pamięci dokładne dane z raportów przychodów i rozchodów dostarczanych przez wszystkie odgałęzienia korporacji w ciągu kilku minionych lat. Na podstawie kilku liczb potrafił przygotować analizy, które

nigdy nie rozmięły się ze stanem faktycznym o więcej niż cztery procent. Zaskakiwał tak zwanych ekonomistów – akademickich teoretyków, wśród których większość stanowili Żydzi – dokładnością swoich przewidywań i szacunkowych obliczeń.

Rok temu zwrócił się do niego po radę nawet sam senator Armbruster.

Goddard nie wziął od niego żadnych pieniędzy. Bądź co bądź, w wyborach oddał głos właśnie na Armbrustera, a ta drobna uprzejmość nie naraziła Genessee na żadne straty. Przyjął natomiast drobny upominek przekazany w imieniu senatora przez jednego z jego przyjaciół: dziesięcioletni darmowy bilet Trans Pacific Airways.

Jego żona uwielbiała Hawaje, choć musiał ją bez przerwy przekonywać, że nie podają tam kociego mięsa.

Wyszedł z biura, wszedł do samochodu i przejechał prawie osiemdziesiąt kilometrów. Najpierw wzdłuż wybrzeża aż do Ravenswood, potem w bok do Fair Oaks.

Czego szukał Trevayne?

Za każdym razem, kiedy Goddard usiłował wyjaśnić powód jakiegoś konkretnego przekroczenia budżetu lub zaniżenia szacunkowych kosztów -a czyż właśnie takie sprawy nie powinny najbardziej interesować podkomisji? – proszono go, by nie wdawał się w szczegóły, po czym kierowano dyskusję na bardziej ogólne tematy, takie jak: zdolności produkcyjne, metody projektowania, ludzie odpowiedzialni za realizację zamówień, zasady funkcjonowania przedsiębiorstw.

Całkowite abstrakcje i sprawy dotyczące personelu średniego szczebla.

Jaki, do cholery, mógł być cel tej rozmowy?

Kiedy James Goddard – obecny-księgowy-a-w-przyszłości-kto-wie-czy-nie-prezydent-Genessee Industries – zbliżył się do podjazdu przed domem stojącym na jego prywatnej, niezbyt wysokiej górze, doznał przerażającego olśnienia.

Nazwiska.

Wyłącznie nazwiska.

Teraz zrozumiał sens nieszkodliwych pytań zadawanych przez nieszkodliwych asystentów, a także powód pośpiesznego notowania czegoś w najmniej oczekiwanych chwilach.

Nazwiska.

O to właśnie im chodziło.

On sam zawsze podchodził do sprawy w zupełnie inny sposób. W raportach, jakie otrzymywał, nazwiska stanowiły jedynie mało istotny dodatek wciśnięty między jeszcze mniej istotne opinie i wnioski.

To nie były liczby ani cyfry.

To byli ludzie.

Jacyś ludzie.

Lecz Trevayne chciał dotrzeć właśnie do nich.

A Mario de Spadante powiedział, że będzie musiało zawisnąć wielu ludzi.

Jakichś ludzi.

Czy on był jednym z nich?

James Goddard obserwował drapieżnego ptaka – chyba jastrzębia – który nagle

runął do lotu nurkowego, by zaraz po nieudanym ataku wznieść się ponownie nad linię drzew i zawisnąć nieruchomo z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

–Jimmy!... Jimmy!!!

Głos żony – donośny, odrobinę nosowy – zawsze działał na niego w taki sam sposób, wszystko jedno, czy wołała do niego z okna, czy rozmawiała przy stole w czasie obiadu.

Wywoływał irytację.

–Tak?

–Jim, jeśli masz zamiar zamieszkać na dworze, przeciągnij tam sobie telefon! Ja akurat rozmawiam przez swój.

–Kto dzwoni?

–Jakiś de Spad... de Spadetti, czy coś w tym rodzaju. W każdym razie na pewno makaroniarz. Kazałam mu czekać.

James Goddard obrzucił pożegnalnym spojrzeniem piękny widok i ruszył w kierunku domu.

Przynajmniej jedno było pewne: Mario de Spadante przekona się, na co stać „pana księgowego”. Otrzyma szczegółowe dane o wszystkim, co interesowało Trevayne'a. Za to przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł winić Goddarda.

Ale Mario de Spadante nie dowie się o wnioskach, do jakich doszedł „pan księgowy”.

„Pan księgowy” nie miał zamiaru znaleźć się wśród tych, którzy będą musieli zawisnąć.

Paul Bonner wszedł do kafejki urządzonej w piwnicy, dokładnie takiej samej, jak setki innych lokali tego rodzaju, rozrzuconych po całym San Francisco. Przeraził go głośne dźwięki muzyki, granej przez mały zespół, zaatakowały jego zmysły z siłą fali uderzeniowej, a widok wychudzonych, obnażonych do pasa tancerek wcale nie poprawił pierwszego wrażenia.

Ohydna speluna.

Ciekawe, jaki wywarłby efekt, gdyby zjawił się w mundurze. Nawet w lekko wymiętych spodniach i sportowej marynarce czuł się tu zupełnie nie na miejscu. Pośpiesznie zdjął krawat w barwne abstrakcyjne wzory i ukradkiem schował go do kieszeni.

Prawie wszyscy byli naćpani i to raczej haszem niż trawką.

Przedarł się do baru, wyjął paczkę gauloise'ów i trzymając je w lewej ręce, zamówił bourbona. Musiał wykrzyzczeć zamówienie co sił w płucach, ale kiedy zaraz potem otrzymał wypełnioną do połowy szklankę, stwierdził ze zdumieniem, że trunk jest w najlepszym gatunku.

Robił, co mógł, by ustać w jednym miejscu, potrącany co chwila przez brodatych mężczyzn i półnagie kelnerki; jego gładko ogolona twarz i obcięte krótko włosy przyciągnęły sporo zdziwionych spojrzeń.

Wkrótce spostrzegł tego, kogo szukał. Mężczyzna stał jakieś trzy metry od niego, ubrany w sprane levisy i koszulę mającą chyba coś wspólnego z zimową bielizną. Coś jednak było nie tak z jego włosami. Co prawda sięgały mu do ramion, ale



wydawały się... zbyt czyste. Tak jest, to bez wątplenia była peruka. Bardzo dobra peruka, ale mimo to niepasująca ani do reszty przebrania, ani do otoczenia.

Bonner od niechcienia uniósł rękę z gauloise'ami i zbliżył szklankę do ust.

Mężczyzna ruszył w jego stronę. Kiedy zbliżył się na odległość kilkunastu centymetrów, nachylił się i powiedział mu głośno do ucha:

–Miły lokal, prawda?

–Wręcz oszalamiający. Pan jednak wydaje się tu całkiem na miejscu. Jest pan pewien, że jest właściwym człowiekiem? Chyba dałem wystarczająco jasno do zrozumienia, że nie interesują mnie żadni pośrednicy.

–To moje cywilne ubranie, majorze.

–Bardzo odpowiednie. A teraz chodźmy stąd.

–Nie ma mowy! Zostajemy. Tu sobie porozmawiamy.

–Przecież to niemożliwe! Dlaczego pan się upiera?

–Dlatego że wiem, co w takich warunkach dzieje się z instalacją podsłuchową.

–Nie mam przy sobie żadnego podsłuchu. Niech pan będzie rozsądny. Komu chciałoby się bawić w coś takiego? Poza tym, pewnie usmażyłbym się jak frytka.

Niechlny hipis z czystymi włosami spojrzał uważnie na Bonnera.

–Masz rację, człowieku. Nie pomyślałem o tym. Naprawdę masz rację... A teraz poproszę chlebek, jeśli łaska.

Bonner schował papierosy do kieszeni na piersi, wyjął portfel, wydobyl z niego trzy studolarowe banknoty i wręczył je mężczyźnie.

–Proszę.

–Ależ, majorze! Dlaczego po prostu nie wypisze mi pan czeku?

–Nie rozumiem...

–Niech pan poprosi barmana, żeby je rozmienił.

–Nie robi tego.

–Proszą spróbować.

Bonner odwrócił się i stwierdził ze zdziwieniem, że barman stoi tuż za nim, przypatrując się uważnie obu rozmówcom. Uśmiechnął się do majora i wyciągnął rękę. Sześćdziesiąt sekund później Bonner otrzymał gruby plik banknotów -piątki, dziesiątki i dwudziestki – stanowiący równowartość trzystu dolarów. Podał pieniądze mężczyźnie.

–Dobra, a teraz się rozdzielimy. Pochodzimy sobie po ulicach jak kowboje, ale pójdziemy tam, gdzie ja powiem, jasne?

–W porządku.

Znalazłszy się na O'Leary Lane dwaj mężczyźni ruszyli na południe, lawirując między długowłosymi zwolennikami niczym nieskrępowanego handlu, proponującymi najlepszy towar po najniższych cenach. Na O'Leary Lane można było ubić dobry interes.

–Biorąc pod uwagę pańską ostrożność, nie przypuszczam, żeby przygotował mi pan coś na piśmie?

–Jasne, że nie. Ale pan może sobie notować, ile zechce. Ja wszystko pamiętam.

–Ta cholerna konferencja trwała prawie trzy godziny.

–Nie zostałem prawą ręką Jima ze względu na słabą pamięć, majorze. –  
Mężczyzna w peruce wskazał jedną z bocznych alejek. – Skręćmy tam, ale bez pośpiechu.

Oparli się plecami o ceglany mur oblepiony resztkami półpornograficznych plakatów i pokryty kolorowymi graffiti. Docierało tu akurat tyle światła latarni z O'Leary Lane, żeby wydobyć z mroku twarze obu mężczyzn. Bonner ustawił się tak, aby więcej światła padało na twarz jego rozmówcy. Zawsze obserwował ludzi podczas przesłuchania, bez względu na to, czy odbywało się w dżungli, czy w bocznej uliczce w San Francisco.

–Od czego mam zacząć?

–Darujmy sobie herbatę i ciasteczka. Od najważniejszych rzeczy. Potem wrócimy do tych mniej istotnych.

–W porządku. A więc, od samej góry... Przekroczenie budżetu w pracach konstrukcyjnych nad F-90 spowodowane koniecznością wprowadzenia zmian w konstrukcji łopatek wirników.

–Co z tym?

–Jak to, co z tym? Te zmiany wyceniono na sto pięć milionów!

–Wszyscy o tym wiedzieli.

–Nie twierdzą, że nie. Ale ludzie Trevayne'a koniecznie chcieli usłyszeć jakieś daty. Może był ustalony termin, o którym nie wiedzieliście... ale to nie moja sprawa. Nie jestem Edgarem Hooverem. Ja tylko dostarczam danych, wy zaś je analizujecie – czy nie tak właśnie mawiał ten stary drań?

–Co jeszcze? – zapytał Bonner, wyjmując notes.

–Idziemy na południe, do Pasadeny... Osiem miesięcy opóźnień w dostawach opancerzenia dla ciężkich śmigłowców. Paskudna sprawa. Wątpię, czy uda im się z tego wygrzebać, bo wszystko naraz zważyło im się na kark: kłopoty ze związkami zawodowymi, skargi obrońców środowiska, zmiany planów, wady materiałów... Cokolwiek można sobie wymarzyć. Armbruster będzie musiał załatwić im spory kredyt, a i tak jeszcze zostaną mu na głowie miłośnicy czystego powietrza.

–Czego chce od nich Trevayne?

–Zabawna sprawa, ale wydawał się szczerze współczuć. Błędy popełnione w dobrej wierze, niekorzystny splot okoliczności i tak dalej. Nie narzekał na straty, tylko interesował się chłopcami, którzy narobili sobie kłopotów. Dalej: fabryki zgrupowane na południe od Seattle. Jak pan wie, zaszły tam pewne zmiany. Genessee przejęło Bellstar Companies i zdjęło im z karku znaczną część podatków, żeby w ogóle mogli zacząć działać. Ale jak na razie to jedno wielkie gówno.

–Produkują tam rakiety, zgadza się?

–Rakiety, paliwo, platformy, wyrzutnie... Niektórzy nazywają ten burdel „Peenemunde Pacyfiku”.

–Te fabryki są nam niezbędne. Muszą funkcjonować, żeby... – Bonnier w ostatniej chwili ugryzł się w język.

–Ach tak, panie ładny?... Proszę mi oszczędzić swoich analiz, dobra?

–Pamiętam: to nie pańska działka. A więc, co z nimi?

–To, że przynoszą najwięcej strat, a kiedy mówię „najwięcej”, to zna czy, że właśnie to mam na myśli. Trewayne wyniuchał, że coś tu śmierdzi, i ma świętą rację. Genessee nie miało żadnego powodu, żeby kupować od siebie bankrutujące fabryki.

–Sąd umorzył śledztwo.

Ubrany w perukę współpracownik Goddarda parsknął śmiechem.

–A to dobre! Mimo wszystko pozwolę sobie przeprowadzić króciutką analizę...

Sąd umorzył śledztwo, bo sam został umorzony, jeśli tak można powiedzieć, a to dlatego, że paru ludzi przeprowadziło znacznie dokładniejsze analizy od mojej. Trewayne domaga się więcej informacji na temat Bellstara. Tyle że kładzie nacisk na sprawy osobowe, tak samo jak w Pasadenie i Houston. Szczerze mówiąc, zupełnie tego nie rozumiem. Przecież niczego się w ten sposób nie dowie! Skierował się w niewłaściwą stronę. Nie zatrudniłbym go u siebie.

Bonner zapisał coś w notesie.

–Zdobyl jakieś konkretne informacje?

–Nie, bo nie mógł ich zdobyć. Ten pański Trewayne jest albo bardzo głupi, albo bardzo potulny.

U wejścia do alejki stanął, kołysząc się na nogach, jakiś pijany mężczyzna – chyba turysta, sądząc po stroju składającym się z marynarki, eleganckich spodni, krawata i czapki Legionu Amerykańskiego. Oparł się o ścianę, rozpiął rozporek i zaczął sikać.

–Chodźmy stąd – powiedział urzędnik Genessee Industries. – Okolica schodzi na psy. Widzę, że panu też się tutaj niezbyt podoba.

–Może mi pan nie wierzyć, ale nienawidzę tych zawodowych bohaterów z Legionu.

–Wierzę, wierzę. Wygląda pan na takiego, co potrafi nienawidzić... Niedaleko stąd jest dość przyjemna knajpka. Myślę, że tam dokończymy.

–Dokończymy? Jeszcze nie zaczęliśmy! Tak na oko ma pan jeszcze do zarobienia co najmniej dwieście dziewięćdziesiąt dolarów.

–Nadrobimy to, żołnierzyku.

Godzinę i dziesięć minut później notes Paula Bonnera był zapisany do ostatniej kartki. Za swoje trzysta dolarów otrzymał towar najwyższej jakości. Księgowy był wręcz niesamowity; potrafił – zakładając, że mówi prawdę – przywoływać z pamięci nie tylko poszczególne sformułowania, ale nawet całe zdania i wypowiedzi.

Rozszyfrowanie znaczenia tych informacji miało przypaść w udziale komuś innemu. Bonner orientował się w temacie na tyle, by stwierdzić, że Trewayne i spółka przeczesali dość dokładnie znaczne obszary, ale na dobrą sprawę prawie wcale nie zaczęli kopać. Mógł się jednak mylić w swojej ocenie.

Inni będą wiedzieli lepiej.

–To już wszystko, majorze – powiedział pracownik Genessee Industries spod swoich długich, fałszywych włosów. – Mam nadzieję, że dzięki temu ustrzeli pan coś dla siebie. O ile naprawdę jest pan żołnierzem, a nie jakimś zwariowanym fanatykiem.

–A gdybym był fanatykiem?

–Wtedy miałbym nadzieję, że przyszpili pan Genessee Industries.

–Widzę, że ma pan giętki kręgosłup.

–Czysta guma. Do tego dochodzi jeszcze moralność wygłodzonego kundla: tylko ja jestem ważny.

–Przyjemnie mieć takie poglądy.

–W każdym razie bardzo wygodnie... Jestem wam za to ogromnie wdzięczny.

–Proszę?

–Tak jest! Kilka lat temu naprawdę chodziłem tak ubrany. Serio! Protesty, marsze pokoju, petycje w obronie wysychającego Gangesu... Każdy człowiek był moim bratem, wszystko jedno, czarny, biały czy żółty. Miałem zamiar zmienić świat. A potem wysłaliście mnie do Wietnamu. Paskudna sprawa, chłopie. Wywaliło mi pół żołądka. I dla kogo? Dla nadętych, lalkowatych ludzików z gębami pełnymi cuchnących łgarstw!

–Wydaje mi się, że po takim przeżyciu powinien pan zdwoić wysiłki zmierzające do poprawy świata.

–Może kto inny by tak zrobił, ale nie ja. Straciłem zbyt dużo mięsa. Spłaciłem swój dług. Święci okazali się alfonsami, a Jezus wcale nie jest supergwiazdą. To naprawdę była paskudna sprawa. Doszedłem do wniosku, że lepiej zająć się samym sobą.

Bonner wstał od małego, brudnego stolika.

–Przekażę to komu trzeba. Kto wie, może zrobią pana prezydentem Genessee Industries.

–To wcale nie jest wykluczone... Aha, żołnierzu: mówiłem zupełnie serio. Naprawdę zależy mi tylko na sobie. Jeśli Trevayne utrzyma się na rynku, przejdę na jego stronę. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

–To mogłoby się okazać dla pana dość niebezpieczne. Kto wie, czy nie musiałbym ponownie strzelić panu w żołądek. Na pewno bym się nie zawahał.

–Jestem tego pewien. Ale ja staram się zawsze grać fair. Zadzwońię najpierw do pana i podam cenę... zakładając, że on rzeczywiście utrzyma się na rynku.

Bonner obrzucił uważnym spojrzeniem nieprzeniknioną twarz mężczyzny, na której pojawił się zagadkowy uśmiech, zastanawiając się, czy przypadkiem nie popełnił dzisiaj bardzo poważnego błędu. Człowiek z Genessee Industries bawił się z nim jak kot z myszą. Major nachylił się nad nim, oparł obiema rękami o krawędzie stolika i powiedział cicho, lecz wyraźnie:

–Na pańskim miejscu poważnie bym się zastanowił, czy opłaca się za stawiać sieci przy obu brzegach rzeki. Czasem tubylcy stają się bardzo nie cierpliwi.

–Spokojnie, majorze. Chciałem tylko sprawdzić pańską reakcję. Była bez zarzutu. Jestem cholernie przywiązany do tego kawałka żołądka, który mi jeszcze został...  
Ciao.

Bonner wyprostował się. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał rozmawiać z tym dziwnym, budzącym niepokój młodym człowiekiem. Był on najgorszym typem informatora, który jednocześnie najlepiej wywiązywał się z powierzonych zadań. Przypominał przemykającego cuchnącymi kanałami ściekowego szczura, który jednak wcale nie bał się słońca, co najwyżej czuł do niego lekką niechęć. Zależało mu wyłącznie na sobie.

**Ale przecież sam to powiedział.**

**–Ciao.**

## Rozdział 20

Sam Vicarson jeszcze nigdy nie widział nabrzeża rybackiego w San Francisco. Przypuszczał, że pragnienie nadrobienia tej zaległości nie było najmądrzejszym pomysłem, ale obiecał sobie, że to zrobi. Przed wyznaczonym na piątą trzydzieści spotkaniem w pokoju Trevayne'a miał dwie godziny wolnego czasu. Przewodniczący podkomisji nazwał te dwie godziny premią za wyjątkowo dobre zachowanie podczas konferencji z oficjelami Genessee Industries.

Vicarson zaproponował, żeby raczej dał każdemu z nich Oskara.

Taksówka zatrzymała się przed barem obwieszonym rybackimi sieciami i kosztami pełnymi wodorostów.

–Tu się zaczyna nabrzeże, proszę pana. Prosto na północ, przy samej wodzie. Ma pan jakieś konkretne plany? Może Di Maggio?

–Nie, dziękuję.

Vicarson zapłacił za kurs i wysiadł z samochodu. W jego nozdrza natychmiast uderzyła intensywna woń ryb; przez chwilę zastanawiał się, czy zapach nie jest przypadkiem sztucznego pochodzenia, gdyż okolica wyglądała jak dekoracje do jakiegoś filmu. Uśmiechnąwszy się do siebie, ruszył ulicą pełną sklepów z „autentycznymi” pamiątkami i barów „z atmosferą”. Pół kilometra przechadzki wśród atrakcji przygotowanych specjalnie z myślą o takich jak on.

Zanosilo się na dwie bardzo przyjemne godziny.

Zajrzał do kilku sklepów, dla zabawy wysłał kilka tandetnych pocztówek do swoich najbardziej zblazowanych przyjaciół oraz kupił Trevayne'owi i Martinowi po małej latarce w kształcie rekina; po naciśnięciu płetwy grzbietowej w otwartej paszczy zapalała się żaróweczka.

Idąc niespiesznym krokiem, dotarł do odległej części nabrzeża, gdzie cumujące łodzie wyglądały na bardziej prawdziwe, a ludzie sprawiali wrażenie, że zarabiają na życie dzięki morzu, nie zaś dzięki turystom. Zawrócił i ruszył z powrotem, przystając co kilkanaście metrów i przyglądając się, jak załogi wyładowują dzienny połów. Ryby były wręcz fascynujące: przeróżnych kształtów, w większości srebrnoszare, ale trafiały się też bajecznie kolorowe, z szeroko otwartymi, pustymi, ale w jakiś sposób bardzo mądrymi oczami.

Vicarson spojrział na zegarek; było prawie piętnaście po czwartej. Jazda taksówką do hotelu Mark Hopkins będzie trwała około dwudziestu minut, on zaś chciałby zjawić się tam trochę wcześniej, żeby jeszcze wziąć prysznic. Oznaczało to, że ma jakieś piętnaście minut na drinka w jednym z barów.

Nie mógł sobie tego odmówić.

Oderwawszy wzrok od zegarka, dostrzegł dwóch mężczyzn stojących w odległości około piętnastu metrów i przyglądających mu się uważnie. Kiedy poczuli na sobie jego spojrzenie, natychmiast odwrócili się i zaczęli rozmawiać, ale zrobili to zbyt szybko i nienaturalnie. Sam zrozumiał, co się stało: wiszące nisko nad horyzontem słońce bardzo go oślepiało, więc odwrócił się, by spojrzeć na zegarek we własnym cieniu. Żaden z mężczyzn nie spodziewał się tego manewru.

A może był to tylko wytwór jego wyobraźni, pobudzonej ciągłymi przypomnieniami

**Trevayne'a o potrzebie zachowania daleko idącej ostrożności?**

**Na początku nabrzeża zgromadziła się liczna grupa dziewcząt w harcerskich mundurkach, otoczona niewiele mniejszą gromadą rodziców i opiekunów. Przy wtórze pisków i śmiechów gromada ruszyła przed siebie. Turyści pośpiesznie uciekali na boki, robiąc przejście dla trzydziestej szóstej drużyny z Oakland.**

**Vicarson wdarł się w sam środek grupy i wyrażając głośno ubolewanie, przedarł się przez nią najszybciej, jak mógł, po czym, nie zmniejszając tempa, skręcił w pierwszą boczną alejkę. Dwie przecznice dalej ujrzał zatłoczony bar z szyldem „Nad Zatoką”. Wszedłszy do środka, przekonał się, że wewnątrz ma kształt podkowy; wejście znajdowało się na otwartym końcu, sam bar zaś biegł szerokim łukiem, zgodnie z dziwnym kształtem pomieszczenia; by zakończyć się drugim wejściem, z którego widać było zatokę.**

**Wszystko się zgadzało: Nad Zatoką.**

**Vicarson zajął miejsce mniej więcej w połowie podkowy, dzięki czemu mógł obserwować zarówno wejście od ulicy, jak i od nabrzeża. Zamówił „rybacki poncz” i czekał, zastanawiając się, czy jeszcze zobaczy tamtych dwóch mężczyzn.**

**Zobaczył. Tylko że kiedy się pojawili, dołączył do nich trzeci. Mocno zbudowany, otyły, mniej więcej pięćdziesięcioletni.**

**Niewiele brakowało, a Sam Vicarson wypuściłby z ręki szklankę z ponczem.**

**Widział już kiedyś tego człowieka. Bez względu na okoliczności, w jakich to nastąpiło – a raczej ze względu na nie – wątpił, czy kiedykolwiek o tym zapomni.**

**Widział go tylko jeden jedyny raz, na polu golfowym w środku nocy, pięć tysięcy kilometrów stąd. W Chevy Chase w stanie Maryland. To ten człowiek; uderzył pijanego kongresmena z Kalifornii i przygniótł go do ziemi.**

**Trevayne stał przy oknie w hotelowym pokoju i słuchał relacji Vicarsc na, na razie nie wyrażając żadnej opinii na ten temat. Mężczyzna, której opisał młody prawnik, bardzo przypominał Maria de Spadante. Jeśli to by prawda, jeśli Mario istotnie zjawił się w San Francisco, znaczyło to, że w sprawie Genessee Industries pojawiły się aspekty, których istnienia do tej pory nawet nie podejrzewał.**

**Mario de Spadante musiał zostać wzięty pod lupę. „Budowlaniec z New Haven, który dzięki ciężkiej pracy i boskiej przychylności, zdołał się trochę dorobić”, koniecznie musiał być poddany dokładnemu badaniu. Wcześniej Trevayne nie brał pod uwagę możliwości istnienia takich związków, gdyż nie miał ku temu żadnych powodów.**

**–To ten sam człowiek, panie Trevayne. Jestem tego pewien. Kim on jest, do diabła?**

**–Myślę, że po kilku rozmowach telefonicznych będę mógł odpowiedzieć ci na to pytanie.**

**–Bez żartów?**

**–Niestety, bez... Wrócimy do tego później. Teraz zajmijmy się dzisiejszym popołudniem. – Trevayne usiadł w fotelu, a Alan Martin i Sam Vicarson na łóżku, rozkładając dokumenty na małym stoliku do kawy. – Mieliśmy czas zastanowić się nad tym i spojrzeć na wszystko z większej perspektywy. Co o tym myślisz, Alan? Jak**

poszło, twoim zdaniem?

Księgowy przerzucił kilka kartek, uszczypał się delikatnie w grzbiet nosa i przymknął oczy.

–Goddard robił ze strachu w gacie, ale starał się za wszelką cenę to ukryć. – Martin otworzył oczy. – Był też wyraźnie zdezorientowany. Bez przerwy przyciskał dłonie do stołu tak, aż nabrzmiwały mu żyły. Zanotowałem sobie parę rzeczy. – Wziął do ręki duży skoroszyt. – Jedną z pierwszych spraw, które wytrąciły go z równowagi, była umowa ze związkami zawarta w Pasadenie. Chyba nie spodziewał się, że go o to zapytamy. Wydawał się bardzo nieszczęśliwy, kiedy Sam zaczął wyduszać z jego chłopców nazwisko negocjatora z ramienia AFL-CIO.

–A jak on się nazywał?

–Manolo. Ernest Manolo – odparł Vicarson, zaglądając do rozłożonych przed nim papierów. – Jeśli wziąć pod uwagę miejscowe warunki, to umowa nie była najgorsza, ale gdyby ktoś inny chciał powołać się na nią jako na precedens, mogłoby dojść do niezłego skandalu.

–Myślisz, że dojdzie?

–Wszystko w rękach Manolo i jego ludzi. W tym przypadku postąpili w myśl zasady „ręka rękę myje”.

–Chcesz powiedzieć, że centrala dała temu Manolo tak daleko idące pełnomocnictwa?

–Manolo zaczynał z niskiego pułapu, ale od razu ruszył ostro w górę. Nikt mu nic nie daje – on sam wszystko bierze. Trochę przypomina Chaveza, ale przynajmniej jest wykształcony. Skończył ekonomię na Uniwersytecie Nowego Meksyku.

–Mów dalej, Al. – Trevayne wyjął z kieszeni jakąś kopertą.

–Wydaje mi się, że zupełnie zaskoczyłeś Goddarda, nie zadając żadnych pytań w sprawie przekroczeń budżetowych Genessee. Przygotował sobie mnóstwo dokumentów na temat Pittsburgh Cylinder Company, hut w Detroit, laboratoriów w Houston, Agencji Greena z Nowego Jorku i Bóg wie, czego jeszcze. Miał nadzieję zarzucić nas tonami akt, usprawiedliwień, wyjaśnień... Udało mi się jednak zdobyć nazwisko szefa grupy projektowej w Houston. W naszych dokumentach nie pojawił się ani razu. Ralph Jamison. Goddard za cholerę nie mógł zrozumieć, dlaczego mi na tym zależy: zrobili nadużycie na sto pięćdziesiąt milionów dolarów, a mnie zależy tylko na nazwisku jakiegoś nic nieznaczącego naukowca... A potem, kiedy zapytaliśmy o Bellstar, mało co nie przebił palcami stołu. Wcale mu się nie dziwię: Genessee miało z Bellstarem problemy w związku z ustawą antytrustową.

–Chciałbym coś dodać jako bez wątpienia najbardziej wzięty prawnik wśród obecnych – przerwał mu z uśmiechem Sam Vicarson. – Gdyby wyrok w tej sprawie wydał ktoś inny niż staruszek Studebaker, prokurator już dawno doprowadziłby do wznowienia rozprawy.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Na litość boską, panie Trevayne, niech pan zapyta jakiegokolwiek prawnika, który zajmuje się orzecznictwem antytrustowym! Akta tej historii z Genessee i Bellstarem były dziurawe jak szwajcarski ser, ale sprawę dostał Joshua Studebaker.



Stary Josh jest już legendą sądownictwa w tym kraju – może niezbyt wielką, ale jednak legendą. Mógłby zająć dużo wyżej, ale wolał zostać w Seattle. Jest niczym diament w koronie naszego wymiaru sprawiedliwości. To Murzyn, panie Trevayne. Jeśli mówimy o maltretowaniu małych dzieci, krzywicy i głodzie, to mówimy o starym Joshu. On przeszedł przez to wszystko. Nawet Sąd Najwyższy nie zakwestionowałby jego decyzji.

–Nie miałem o tym pojęcia! – Alan Martin wydawał się zafascynowany nowo uzyskaną informacją. – Nigdy o nim nie słyszałem.

–Ani ja – dodał Trevayne.

–Wcale się nie dziwię. Studebaker postanowił za wszelką cenę bronić się przed popularnością. Żadnych wywiadów, żadnych biografii. Jeśli pisuje artykuły, to tylko zupełnie niezrozumiałe dla laika, do fachowych pism. Ponad czterdzieści lat życia poświęcił komplikowaniu i gmatwaniu prawa. Niektórzy twierdzą, że ostatnio trochę mu się pogorszyło, bo wreszcie zaczynają go rozumieć.

–Twierdzisz, że nie można go ruszyć?

–I to z wielu powodów. Jest geniuszem, jest czarny, jest ekscentrykiem, jest największym fachowcem w dziedzinie prawnych abstrakcji. Czy wyrażam się jasno?

–Jest czarnuchem, który wdrapał się na szczyt – podsumował z rezygnacją Alan Martin.

–I to na najwyższy szczyt na ziemi.

–Wydaje mi się, że masz jeszcze do powiedzenia coś ważnego – zauważył Trevayne.

–Dlaczego wydał ten wyrok? – zapytał Vicarson, pochylając się do przodu. – Już wiecie, że jest specem od wszelkich zawłości i abstrakcji. W celu wyjaśnienia, a następnie odsunięcia na dalszy plan licznych nadużyć popełnionych przez Genessee użył terminu „próba zaspokojenia wyższych potrzeb”. Usprawiedliwił różne wątpliwe powiązania ekonomiczne, podkreślając „potrzebę współzawodniczenia” w instytucjach zajmujących się finansowaniem wielkich przedsięwzięć. Najlepsze zaś zachował na koniec: otóż według niego rząd „nie okazał niezbędnego poparcia zasadom zdrowej konkurencji rynkowej”.

–Co to właściwie znaczy? – zapytał Alan Martin z wyrazem twarzy świadczącym o całkowitym braku zrozumienia. – Rzecz jasna oprócz tego, że czytałeś wszystkie cholerne gazety?

–To, że cała wygrana trafiła w łapy chłopców z Genessee Industries.

–Bez żadnego związku z faktycznym stanem prawnym – dodał Trevayne.

–Wnioski? – Sam rozparł się wygodnie na kanapie. – Albo stary Jose dokonał tych karkołomnych ewolucji, kierując się niskimi pobudkami wynikającymi z jego ludzkich słabości, albo przyświecał mu jakiś ukryty cel. Szczerze mówiąc, nie wierzę w ten drugi powód... Choć wielu prawników jest przekonanych o istnieniu ogromnych luk w materiale dowodowym, to dzięki swojej encyklopedycznej wiedzy mógł wypełnić prawie każdą z nich.

–To tyle, jeśli chodzi o Bellstar. – Trevayne zanotował coś na kopercie, którą trzymał w ręku. – Co jeszcze, Alan?

–Goddard był wściekły, to znaczy uśmiechał się, mrugał uprzejmie i o mało nie zdarł sobie paznokci o blat stołu, kiedy zaczął pan wypytywać go o Armbrustera. Senator jest dla niego tabu. Wątpię, czy zorientował się, o co panu chodziło. Jeśli mam być szczery, ja też nie mam pojęcia... Wobec wielkich korporacji, a szczególnie takich monolitów jak Genessee, Armbruster zawsze zachowywał się jak kolec w dupie. Goddard nie mógł zrozumieć, dlaczego pyta pan o to, czy dane statystyczne dotyczące zatrudnienia były konsultowane z Armbrusterem.

–Bo nie były. Armbruster konsultował je sam ze sobą.

–Wciąż nic nie rozumiem.

–Podczas ostatnich wyborów nasz liberalny senator uciekł się do kilku niezbyt liberalnych posunięć.

Vicarson otworzył szeroko oczy.

–Nie żartuje pan?

–Niestety nie.

–Ostatnia sprawa, na którą zwróciłem uwagę – wszystkie prawne kruczki; zostawiłem Samowi – to niesamowite uniki, jakie wszyscy wykonywali, kiedy tylko zahaczaliśmy o problem lotniczego lobby. Widocznie mieli dokładne instrukcje na ten temat. Z przedstawionych nam danych wynika, że od Genessee pochodzi maksimum dwadzieścia dwa procent funduszy, ale już według statystyk samego lobby jest to dwadzieścia siedem procent oficjalnie, a przypuszczam, że jeszcze co najmniej dwanaście „na czarno”. Jestem dziwnie pewny tego, że gdybym pogrzebał trochę głębiej i zahaczył o Agencję Greena z Nowego Jorku, znalazłbym dodatkowe dwadzieścia procent. Wiem z całą pewnością, że Genessee wpompuje tam minimum siedem milionów dolarów, ale oni stanowczo temu zaprzeczają. Mówię wam, mają więcej różnych etykietek, niż jest nazw w katalogu Searsa.

Etykietki. Naród lubujący się w etykietkach – pomyślał Andrew Trewayne.

–Kto prowadzi Agencję Greena?

–Aaron Green – odparł Vicarson. – Filantrop, mecenas sztuki, wydawca poezji.

Wielce poważany człowiek.

–Mój współwyznawca – uzupełnił Martin. – Tyle że pochodzi z Birmingham, a nie z New Britain w Connecticut, gdzie my, Żydziaki, jedliśmy kielbasę i dostawaliśmy baty od Polaczków... I to już wszystko, jeżeli chodzi o mnie.

*Etykietki. Naród lubujący się w etykietkach.*

Trewayne znowu zanotował coś na kopercie z nadrukiem hotelu Mark Hopkins.

–Spisaliście się na piątkę, rabbi Martin. Posłuchamy teraz młodego Sama?

–Takie traktowanie po tym, jak błysnąłem całą swoją erudycją? Trudny z pana człowiek, panie przewodniczący.

–Nie odmawiamy ci erudycji, prawda Alan? Nie odmawiamy ci także niezwykłego gustu, jeśli chodzi o dobór upominków. – Trewayne wziął do ręki leżącą na stole latarkę w kształcie rekina i nacisnął pletwę; bez efektu. – Nie zapomnij przy okazji kupić mi jeszcze baterijki... No dobrze. O czym chciałby nam opowiedzieć nasz rekin prawniczego świata?

–Łajno... Nie lubię tego słowa, ale ostatnio coraz częściej go używam, W tej

sytuacji trudno znaleźć lepsze. – Vicarson podniósł się z kanapy, podszedł do stojącego w kącie telewizora i zabębnił palcami w obudowę.

–Co konkretnie masz na myśli? – zapytał Trevayne.

–Nazywa się to *no-volotore*. W każdym razie, ja tak to nazywam. – Vicarson odwrócił się twarzą do Trevayne'a i Martina. – Goddard miał ze sobą prawnika, ale ten zupełnie nie orientował się, o co chodzi. *No-volotore*. Nie mógł niczego zaoferować. Był tam tylko po to, żeby pilnować, czy ktoś nie popełni jakiegoś błędu z prawnego punktu widzenia, i to wszystko. Nic mu nie powiedzieli. Szczerze mówiąc, nie chciałbym znaleźć się w jego skórze.

–Wiem, że się powtarzam – odezwał się Martin – ale znowu nic nie rozumiem.

–Głupie Żydzisko! – parsknął Vicarson i rzucił wysokim łukiem pustą popielniczkę. Martin bez trudu złapał ją lewą ręką. – Był tam tylko dla pucu. Miał obserwować obie strony jak neutralny sędzia, żądając uściśleń i wyjaśnień odnoszących się wyłącznie do kwestii werbalnej, nie zaś formalnej. Chwytasz już? Jego rola polegała na tym, by wszystko było jasne, proste i legalne. Wywiązał się z niej bez zarzutu, bo ręczę własną głową, że ani my, ani oni nie mogliśmy wykorzystać przed sądem nawet słowa z tego, co dziś zostało powiedziane.

Vicarson chwycił oburącz oparcie fotela i zamarkował kilka pompek.

–W porządku, panie mądry. Teraz może zechcesz nam wyjaśnić, dlaczego cię to niepokoi?

Trevayne usiadł nieco inaczej, by widzieć twarz młodego prawnika.

–To proste, wodzu. Nikt nie bierze do tak prostej roboty adwokata z wieloletnim stażem, chyba że cholernie boi się o swoją skórę. Ten człowiek kompletnie nic nie wiedział! Może mi pan wierzyć, panie Trevayne: działał jeszcze bardziej po omacku niż my.

–Zaczynasz stosować taktykę sędziego Studebakera – skarcił go Trevayne. – Posługujesz się abstrakcjami.

–Wcale nie. To tylko na początek. – Vicarson zaprzestał gimnastycznych ewolucji, podszedł szybko do kanapy, usiadł na niej i wziął do ręki jedną z kartek rozłożonych na stoliku. – Ja też zrobiłem trochę notatek. Na pewno nie są tak szczegółowe jak Ala – miałem do czynienia z gorszymi ludźmi – ale udało mi się ustalić parę faktów. Co byście powiedzieli na początek o zмовie?

Obaj słuchacze spojrzeli najpierw na siebie, a potem na Vicarsona.

–Przed chwilą powiedziałaś, że nic z tego, co zostało dziś powiedziane, nie mogłoby być wykorzystane w sądzie – zauważył Trevayne, zapalając papierosa.

–Na pewno nie jako samodzielny dowód, ale w połączeniu z informacjami uzyskanymi z innych źródeł i po dokładnych poszukiwaniach – kto wie...

–Co to takiego? – zapytał Martin.

–Goddard stwierdził wyraźnie, że nie został wcześniej poinformowany o ograniczeniach w imporcie stali wprowadzonych przez prezydencką komisję do spraw importu w marcu ubiegłego roku. Fakt, że Genessee w ostatniej chwili sprowadziło mnóstwo japońskich wlewek, przypisał wyłącznie korzystnej sytuacji rynkowej i sprawności negocjatorów. Zgadza się?

Trevayne skinął głową.

–I co z tego? – zapytał Martin, bawiąc się swoją miniaturową latarką.

–W sierpniu Genessee wypuściło nowy pakiet akcji na sumę około stu milionów dolarów. My, prawnicy, mamy oko na takie sprawy, bo każdy z nas marzy o tym, by pracować w firmie, która dostanie tę robotę. Z tego są wielkie pieniądze... Wybrano kancelarię adwokacką Brandon Smith z Chicago. Bardzo dużą i bardzo szanowaną. Ale dlaczego aż z Chicago? W Nowym Jorku można było znaleźć dziesięć na pewno nie gorszych.

–Litości, Sam – poprosił Trevayne. – Do czego zmierzasz?

–Jeszcze chwilę. Muszę zachować właściwą kolejność, żebyście wszystko zrozumieli. Dwa tygodnie temu Brandon i Smith dobrali sobie trzeciego partnera, niejakiego Iana Hamiltona, prawnika bez żadnej skazy na karierze i...

Vicarson nie zdołał dokończyć, gdyż Andrew raptownie wyprostował się w fotelu.

–Był członkiem prezydenckiej komisji do spraw importu!

–Oficjalnie komisja zakończyła działalność zaraz po przekazaniu raportu do Białego Domu, czyli w lutym, dziewięć miesięcy temu. Choć nikt nie wiedział, czy prezydent zastosuje się do jej rad, wszyscy członkowie zostali zobowiązani do zachowania ścisłej tajemnicy.

Trevayne opadł z powrotem na fotel i ponownie zanotował coś na kopercie.

–W porządku, Sam. To ma sens. Co jeszcze?

–Głównie drobiazgi, ale może uda wam się wychwycić coś interesującego.

Rozmowa trwała jeszcze czterdzieści pięć minut, lecz Trevayne nie robił już żadnych notatek na hotelowej kopercie, przyrządził natomiast drinki ze składników przyniesionych z baru przez kelnera.

Wreszcie analiza spotkania z Genessee Industries dobiegła końca.

–Mówiąc żartem, zgromadził pan wokół siebie najtęższe mózgi – powiedział Vicarson. – Ciekaw jestem, co pan o tym myśli?

Trevayne podniósł się z fotela i położył na stoliku przed swoimi doradcami lekko wymiętą kopertę.

–Myślę, że mamy to, czego szukaliśmy.

Vicarson wziął kopertę do ręki, trzymając ją między sobą a Martinem. Wspólnie przeczytali napisane drukowanymi literami nazwiska:

*ERNEST MANOLO - Pasadena*

*RALPH JAMISON - Houston*

*JOSHUA STUDEBAKER - Seattle*

*MITCHELL ARMBRUSTER - Waszyngton, D.C.*

*AARON GREEN - Nowy Jork*

*IAN HAMILTON - Chicago*

–Bardzo zgrabna lista, Andrew – zauważył Alan Martin.

–Owszem. Każdy z nich tkwił po uszy w jakiejś operacji Genessee, której towarzyszyły niezwykle okoliczności i ogromne sumy pieniędzy. Najciekawsza jest różnorodność tematyczna: Manolo – związki zawodowe, Jamison – prace projektowe i produkcja, Studebaker mocno wątpliwy wyrok sądowy, Armbruster – Senat. Nie on

jeden zresztą, ale inni nie mieli bezpośrednich kontaktów z Genessee w Kalifornii. Aaron Green zajmuje się rozprawianiem znacznej części funduszy jednego z najsilniejszych lobby, oczywiście dzięki GIC... A Ian Hamilton? Kto wie? Ja mimo wszystko wolę patrzeć podejrzliwie na człowieka, który kieruje operacją wypuszczania akcji wartości stu milionów dolarów przez jednego z głównych kontrahentów Pentagonu.

–Co zamierzasz zrobić? – zapytał Martin, biorąc kopertę od Sama. – Sądzę, że moglibyśmy zgromadzić materiał obciążający każdego z nich.

–Ale czy mamy radę zrobić to po cichu, nie wzbudzając podejrzeń?

–Jestem gotów spróbować – oznajmił Sam Vicarson.

–Wierzę ci – odparł z uśmiechem Andrew. – Chcę, żeby ci ludzie zostali jak najszybciej dokładnie prześwietleni. Potem należy dotrzeć do Manola, Jamisona i Studebakera i wypytać każdego o negocjacje z AFL-CIO, zmiany projektowe w laboratoriach w Houston oraz wyrok w sprawie Bellstara. Może te sprawy nie mają ze sobą żadnego związku i wtedy niczego się nie dowiemy, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Sądzę, że w ten sposób zyskamy ogólne pojęcie na temat zasad funkcjonowania Genessee albo przynajmniej metod, jakie stosuje.

–A co z drugą trójką? Z senatorem, Greenem i Hamiltonem? – zapytał Martin.

–Zostawimy ich sobie na później. W tej chwili najważniejsza jest szybkość działania. Nikt nie może się zorientować, jakie są nasze prawdziwe cele. Bonner nazwałby to „nagłym atakiem oskrzydającym”. Musimy zaskoczyć nieprzyjaciela tak, by nie miał czasu przygotować żadnych wyjaśnień... Oficjalnie jesteśmy teraz na majówce, którą urozmaicamy sobie,

zaglądając do różnych fabryk między San Francisco a Denver. Niech tak dalej zostanie, z jednym małym wyjątkiem.

–Co to za wyjątek? – Sam Vicarson zdawał się lekko oszołomiony tempem narzuconym przez Trevayne'a.

–Alan, pojedziesz do Pasadeny i dotrzesz do Ernesta Manolo. Orientujesz się w zasadach prowadzenia statystyk zatrudnienia; w dawnych czasach obaj się tym zajmowaliśmy. Dowiedz się, w jaki sposób Manolo zdołał to załatwić bez udziału szych z centrali i czemu nabrał potem wody w usta. Przecież takie porozumienie powinno stać się precedensem, na który związki zawodowe będą powoływać się przez najbliższe sto lat, a sam Manolo powinien wylądować w kwaterze głównej w Waszyngtonie. Jednak nic takiego się nie stało.

–Kiedy mam lecieć?

–Jutro rano. Jeśli Sam dostarczy ci tyle danych biograficznych Ernesta Manolo, żebyś miał od czego zacząć.

Vicarson zanotował coś szybko.

–To będzie długa noc, ale myślę, że dam radę.

–Ja skontaktuję się z Mike'em Ryanem na Wschodnim Wybrzeżu. Jest inżynierem od lotnictwa, czyli ma sporo wspólnego z pracą tego Jamisona z Houston. Poproszę go, żeby dotarł do laboratoriów Genessee i dowiedział się, w jaki sposób Jamisonowi udało się przepchnąć w planach zmianę, która podniosła koszty o sto pięć milionów

dolarów. Jestem okropnie ciekaw, jak wygląda człowiek, któremu wolno podejmować takie decyzje... Sam, czy gdybyś jeszcze trochę przedłużył sobie noc, udałoby ci się może znaleźć coś na temat Jamisona?

Vicarson odłożył długopis.

–Człowiek zajmujący tak wysokie stanowisko musiał chyba być wcześniej sprawdzony, prawda?

–Naturalnie – odparł Alan Martin.

–Mam przyjaciela w FBI. Chodziliśmy razem do szkoły. Nigdy nie należał do obozu Hoovera, ale tamci o tym nie wiedzą. Na pewno nam pomoże – i to tak, że nikt się nie dowie.

–To dobrze. Teraz ty, Sam. Wyciągnij spod ziemi wszystkie informacje na temat wyroku Studebakera w sprawie Bellstara i wryj je w pamięć. Jak tylko wróci Alan, pojedziesz do Seattle. Zajmiesz się Studebakerem.

–Z przyjemnością. Ten człowiek to prawdziwy posąg. Może uda mi się odłupać choć kawałeczek.

–Miejmy nadzieję, że właściwy – dodał Trevayne.

–Andrew... – Odezwał się niepewnie Alan Martin. – Powiedziałeś, że mamy to wszystko robić dyskretnie, tak żeby nikt się nie dowiedział. Możemy mieć z tym kłopoty. Jak na przykład wyjaśnisz fakt naszej nie obecności?

–Kilka lat temu na Tajwanie Henry Kissinger postanowił zabawić się w turystę, ale zamiast do hotelu dotarł do Pekinu.

–Zgoda, ale korzystał ze specjalnych środków transportu. Jeśli ktoś nas obserwuje – a wiemy już, że tak jest – będzie mógł łatwo odtworzyć trasy naszych podróży, sprawdzając rezerwacje w liniach lotniczych.

–Słuszna uwaga – powiedział Trevayne, zwracając się do obu mężczyzn. – My także będziemy korzystać ze specjalnych środków transportu. Zadzwońię do szwagra, do New Haven. Zorganizuje przeloty prywatnymi samolotami, tu i w Waszyngtonie. Ryan też może być pod obserwacją.

–Nie straciłeś rezonu, Andrew – stwierdził z podziwem Martin. – Przypuszczalnie Doug dostanie apopleksji, ale zrobi wszystko, o co go poprosisz.

–Wciąż jeszcze nie wybaczył mi, że cię porwałem.

–Moja żona przynosi mu do biura rosół z kurczaka. Boi się, że nie będzie chciał przyjąć mnie z powrotem – odparł z uśmiechem Martin.

Andrew roześmiał się głośno.

–Panie Trevayne? – odezwał się Sam Vicarson ze wzrokiem utkwionym w swoich notatkach.

–Tak?

–Widzę pewien problem.

–Tylko jeden? – zdziwił się Martin. – Cóż za ulga!

–Ale za to poważny. Skąd mamy wiedzieć, czy ci faceci nie wcisną alarmowych guzików pięć sekund po tym, jak skończą z nami rozmawiać, i nie zawiadomią szefów Genessee?

–To rzeczywiście jest problem. Jedyne rozwiązanie, żeby go ominąć, to użyć bardzo

konkretnych grózb. Każdemu z nich trzeba dać wyraźnie do zrozumienia, że stanowi tylko drobną część znacznie większej, poważniejszej afery. Rozmowy są ściśle poufne, a każde naruszenie tajemnicy może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Ponieważ w grę wchodzi sprawy związane z Departamentem Obrony, możemy powołać się nawet na Ustawę o Obronności Kraju.

–Rozdział trzysta pięćdziesiąt osiem! – poinformował ich z dumą Vicarson. – Dowiedziałem się tego od Bonnera podczas jakiejś kłótni.

–Trzeba spróbować... Dobra, obaj macie mnóstwo roboty, a ja muszę zatelefonować do paru miejsc. Czy Paul miał zjeść z nami kolację?

–Nie – odparł Sam. – Powiedział, że pójdzie na dziewczynki. Sukinsyn nawet nie zaproponował, żebym się przyłączył.

–Postawiliby go przed sądem wojennym za deprawowanie nieletnich! – zachichotał Martin.

–Dziękuję, tatuśku Ben-Gurion.

–Rozdzielamy się więc – oświadczył Trevayne, sięgając po kopertę. – Pojutrze powinniśmy być w Boise, w Idaho, u chłopców z filii ITT. Spróbuj tam do nas dołączyć, Alan. Zadzwoń do ciebie po rozmowie z Dougiem. Ty, Sam, z Boise polecisz bezpośrednio do Seattle.

–Zacznij pracować w podkomisji, a poznasz szeroki świat – powiedział Vicarson, dopijając drinka.

Trevayne oparł się na poduszce i położył nogi na łóżku. Miał już za sobą wszystkie rozmowy telefoniczne. Phyllis bardzo za nim tęskniła; na czas jego nieobecności wróciła do Barnegat. Nie wydarzyło się nic nowego. Pam i Steve jakoś sobie radzili z nauką. Pam nawet dostała na koniec semestru wyróżnienie z chemii; skąd się wzięły u niej uzdolnienia w tym kierunku? Jutro mieli przyjść na kolację Swansonowie. Wciąż jeszcze nie doszli do siebie po aferze z heroiną. Detektyw Fowler nie dowiedział się niczego nowego.

Doug obiecał załatwić przeloty małymi samolotami. Wszystkie rachunki i dokumenty zostaną wystawione na jego nazwisko, a pierwszy odlot nastąpi prawdopodobnie nie z międzynarodowego portu lotniczego w San Francisco, lecz z małego lotniska w pobliżu Redwood City. Douglas obiecał, że zadzwoni, jak tylko będzie wiedział na pewno. Oprócz tego szwagier Andy'ego miał się dyskretnie dowiedzieć, czy Mario de Spadante przebywa obecnie w rejonie Hartford-New Haven; nie powinno mu to sprawić większego kłopotu, gdyż de Spadante nie dopuszczał prawie nikogo do ważniejszych spraw swojej firmy. Bez trudu można było wymyślić jakiś problem, który wymagał jego osobistej decyzji.

Trevayne zadzwonił także do Michaela Ryana, który nawet o tej porze urzędował w biurze w Potomac Towers. Ryan miał dla niego dobrą wiadomość: znał Ralpha Jamisona. Znał go nawet dość dobrze, gdyż obaj pracowali kiedyś u Lockheeda jako konsultanci.

–To kompletny wariat, Andy, ale czego można spodziewać się po metalurgu? W dodatku jest geniuszem. A jak żyje! Wyciągnę z niego wszystko, co da się wyciągnąć.

Następny telefon Ryan miał otrzymać od Douga Pace'a z New Haven, Rozumiał potrzebę zachowania dyskrecji i był pewien, że zdoła o tym przekonać także Jamisona. Spróbuje uwinąć się ze swoją robotą w takim tempie, żeby zjawić się na czas w Boise. Gdyby mu się nie udało, przyleci do De-nver, następnego przystanku na drodze wędrującej podkomisji.

Ostatnia rozmowa była z Waszyngtonem. Andrew najpierw wykręcił prywatny numer Roberta Webstera w Białym Domu, ale dopadł doradcę prezydenta dopiero w jego mieszkaniu. Poprosił go, aby przygotował mu wszystkie dostępne informacje na temat Maria de Spadante.

Webster obiecał to zrobić.

Trevayne spojrzął na trzymaną w rękę kopertę. Była już mocno wymięta, ale nazwiska sześciu mężczyzn dały się odczytać bez żadnego trudu.

*ERNEST MANOLO – Pasadena*

*RALPH JAMISON – Houston*

*JOSHUA STUDEBAKER – Seattle*

*MITCHELL ARMBRUSTER - Waszyngton,*

*D.C. AARON GREEN - Nowy Jork*

*IAN HAMILTON – Chicago*

To była jego prawdziwa marszruta. Sześciu ludzi, którzy mogli pomóc w zrozumieniu tajemnicy Genessee Industries.



## Rozdział 21

Sam Vicarson wszedł do małego terminalu pasażerskiego na lotnisku w Ada County, szesnaście kilometrów od Boise. Wynajęty przez Douglasa Pace'a samolot przywiózł go z Tacoma. Do Tacoma Vicarson dotarł samochodem wynajętym w Seattle.

W Seattle spotkał się z sędzią Joshua Studebakerem.

Nie zapomni tego spotkania do końca życia.

O jego przebiegu mógł się dowiedzieć wyłącznie Andrew Trevayne. Nie Alan Martin i nie Mike Ryan. Była to zbyt osobista sprawa, a jednocześnie zbyt okropna, by trafiła do innych uszu.

Sam wiedział, że kilka godzin temu Mike dotarł do Boise z Houston. Alan wrócił z Pasadeny już dwa dni temu, po czym oddał mały odrzutowiec do jego dyspozycji, by mógł polecieć do Seattle.

Dziś wieczorem mieli spotkać się w pokoju Trevayne'a i poinformować się nawzajem o swoich ustaleniach.

Koniecznie musi złapać Trevayne'a przed umówioną godziną! On będzie wiedział, co robić.

Vicarson był znużony, wyczerpany i przygnębiony. Najchętniej wszedłby do najbliższego baru i zamówił kilka drinków z rzędu. Wiedział jednak, że tego nie zrobi.

Prędko by się upił, a to nikomu by nie pomogło.

Szczególnie Joshui Studebakerowi.

Alan Martin spoglądał przez okno samochodu. Był sam; po telefonie od Sama Vicarsona Andrew bez słowa wyjaśnienia opuścił spotkanie z ludźmi z ITT. Coś się stało.

Tablica przy autostradzie informowała: „Boise, Idaho. Stolica stanu. 73 000 mieszkańców”.

Alan Martin nie potrafił myśleć o Boise ani o spotkaniach, jakie mieli tu odbyć, aby zatrzeć ślady.

Jego myśli wracały ciągle do Pasadeny. Do Pasadeny i młodego energicznego człowieka nazwiskiem Ernest Manolo. Nieprawdopodobnie młodego energicznego człowieka. Andrew nie chciał rozmawiać o nim przed wieczornym zebraniem. Była w tym jakaś logika: zachować informację w nienaruszonym stanie, nie zniekształcać szczegółów kilkakrotnym przypominaniem. Andy miał rację. Wspólnie mogli dojść do jakichś wniosków.

Andrew miał rację także w innej sprawie: Manolo właściwie się nie liczył. Był tylko jedną szprychą w przerażającym, wirującym z ogromną szybkością kole.

Ernest Manolo, główny negocjator z ramienia AFL-CIO na całą południową Kalifornię, dostał we władanie swoje własne, całkiem spore lenno.

Ilu takich jak on było jeszcze w kraju?

Michael Ryan siedział przy stoliku w hotelowej kawiarni. Był na siebie wściekły. Powinien był pójść po rozum do głowy i zachować większą dyskrecję. Należało wynająć pokój i czekać na telefon od Trevayne'a.

Niech to szlag trafi!

**Zupełnie stracił rozum!**

**Pierwszym człowiekiem, którego zobaczył w tej przeklętej kawiarni, był Paul Bonner.**

**Bonner bardzo się zdziwił, rzecz jasna, a kiedy jemu, Ryanowi, nie udało się przedstawić żadnego wiarygodnego wytłumaczenia, zdziwienie Bonnera przeistoczyło się w coś innego.**

**W coś, co było wyraźnie widać w jego oczach.**

**Cholera!**

**Ryan doskonale wiedział, że swoją nieostrożność może zawdzięczać staremu przyjacielowi, Ralphowi Jamisonowi. Głupiemu, zwariowanemu, niesamowitemu Jamisonowi, który pracując dla Genessee Industries, fałszował plany, okradając budżet obronny Stanów Zjednoczonych na sumę stu pięciu milionów dolarów.**

**Jak on mógł zrobić coś takiego?**

**Jamison, obarczony trzema eks-żonami, czworgiem dzieci i kochankami w średnim wieku, które wyglądały tak, jakby dopiero co zeszyły z planu jakiegoś podrzędnego filmu porno, oddał się Genessee ciałem i duszą, a Genessee w zamian roztoczyło nad nim opiekę. Jamison powiedział Ryanowi, że w podobny sposób postępowano we wszystkich przypadkach. „Mama Genessee” troszczyła się o swoje utalentowane dzieci.**

**Konta bankowe w Zurychu.**

**Szaleństwo!**

**Minęły trzy dni od chwili, kiedy Trevayne wraz ze swoimi współpracownikami opuścił San Francisco, ale James Goddard w dalszym ciągu nie mógł przestać o nim myśleć. Coś poszło nie tak, jak należy. Dwa ostatnie spotkania stanowiły jedno wielkie pasmo nieporozumień.**

**Przede wszystkim dlatego, że nie brał w nich udziału ten księgowy a to nie miało żadnego sensu. Alan Martin był dla podkomisji tym, kim dla Genessee Goddard; znał się na pieniądzach. Bez niego wiele szczegółów i wątpliwych kwestii umykało niezauważonych.**

**Mimo to Trevayne zupełnie nie przejmował się jego nieobecnością. Zapytany wprost, roześmiał się i odpowiedział, że Martin musiał zostać w hotelu, ponieważ zaszkodziła mu tutejsza woda.**

**Po drugim spotkaniu Goddard postanowił zbadać sprawę. Mógł to uczynić bez trudu, udając zatroskanie stanem zdrowia kolegi po fachu. Zadzwoił do hotelu.**

**Alan Martin wymeldował się dwa dni temu.**

**Dlaczego Trevayne skłamał? Dlaczego jego drugi doradca, Vicarson, także skłamał? Gdzie podział się Martin?**

**Czyżby ruszył tropem jakichś informacji uzyskanych podczas pierwszej rozmowy? Czy te informacje zostały ujawnione przez Jamesa Goddarda, prezesa oddziału Genessee Industries w San Francisco?**

**Jeśli tak, to jakie to były informacje? Czego dotyczyły?**

**W jaki sposób mógłby się tego dowiedzieć, nie wzbudzając niczyjego niepokoju?**

**Było to bardzo ważne. Mario de Spadante wspomniał coś o ludziach, którzy będą**

musieli zawisnąć, aby na innych nie padł nawet cień podejrzenia. Goddard zdawał sobie sprawę ze swojego znaczenia. Było ogromne. Należał do tych, bez których nie sposób się obejść. To on analizował wszystkie liczby i przygotowywał prognozy, na podstawie których podejmowano decyzje. Co prawda, nawet on nie wiedział, kto je podejmuje, ale bez niego nie mogła zostać podjęta żadna z nich.

Zajmował kluczowe stanowisko.

Jednocześnie wiedział, że pod cienką warstwą szacunku i poważania, jakie mu okazywano, kryje się pogarda. Pogarda dla kogoś, kto może proponować, ale nie decydować.

Po prostu pan księgowy.

Ale pan księgowy nie miał zamiaru znaleźć się wśród tych, którzy będą musieli zawisnąć.

Goddard zatrzymał taksówkę. W mgnieniu oka podjął istotną decyzję: wróci do biura, włoży do teczek pliki najtajniejszych dokumentów i zabierze je do domu.

Liczby. Jego liczby. Liczby Genessee. Żadnych nazwisk.

Potrafił sobie radzić z liczbami.

Każdy człowiek musi się bronić. Czasem właśnie przed nazwiskami.

Andrew Trevayne wysiadł z taksówki i wszedł do hotelu. Obiecał Samowi, że spotka się z nim w jego pokoju. Jednak jeszcze zanim to zrobił, wiedział już, że nadeszła pora, by porozmawiać także z Bonnerem. Bez względu na to, czego dowiedzieli się Sam, Alan i Mike Ryan, musi jeszcze dziś wieczorem wsiąść do wycarowanego przez Douga odrzutowca i polecieć do Waszyngtonu. W zależności zaś od tego, czego dowie się od swoich asystentów o Manolo, Jamisonie i Studebakerze, może się okazać, iż z Waszyngtonu uda się do Nowego Jorku i Chicago.

Mitchell Armbruster. Aaron Green. Ian Hamilton.

Tak czy inaczej, należało skorzystać z usług Paula Bonnera.

Bonner czekał na niego w barze. Rozmowa nie powinna trwać długo.

Trevayne doznał czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Wiedział, że musi zrobić to, co robi: korzystając z pomocy Bonnera, utwierdzi Waszyngton w przekonaniu, że jego decyzja jest całkowicie uzasadniona... a jednocześnie w głębi duszy wiedział, że tak naprawdę przyświecają mu zupełnie inne cele.

Z własnej nieprzymuszonej woli dokonywał manipulacji identycznej z tą, którą miał zdemaskować – wyrachowanego oszustwa. Co prawda tłumaczył sobie, że zasadnicza różnica polega na braku korzyści finansowych, i nawet przez chwilę uznał to usprawiedliwienie za całkowicie wystarczające. Zaraz potem uświadomił sobie jednak, że istnieją także inne, równie atrakcyjne korzyści. Pieniądze przecież nie były mu potrzebne... Czyżby energię, którą ludzie zwykle poświęcają ich zdobywaniu, on skierował po prostu w inną stronę?

Teraz było już za późno, by o tym myśleć. Decyzja została podjęta.

Przywoła z przeszłości – dla zachowania pozorów -jeden z najtrudniej-szych okresów swego życia. Dzięki temu zyska trochę na czasie.

Sześć lat temu, jeszcze przed upowszechnieniem mammografii, Phyllis poszła do

szpitala na badania. W jej piersiach pojawiły się jakieś guzy. Andrew wychodził z siebie, okazując spokój i pewność, wiedząc jednocześnie, że dzieci wyczuwają jego ukryty głęboko strach i wyobrażają sobie wszystko, co najgorsze.

Dziś, po sześciu latach, Paul Bonner miał usłyszeć uaktualnioną wersję tego zdarzenia. Wersję nieprecyzyjną, przesyconą wątpliwościami i niepokojem. Usłyszy także prośbę: czy mógłby zastąpić Trevayne'a podczas dwóch najbliższych spotkań z kooperantami General Motors i Lockheeda? Oba miały się odbyć w Denver w ciągu najbliższych kilku dni, oba też były na tyle ważne, że obecność Bonnera bardzo by się przydała. Sam Vicarson był po prostu, za młody, Alanowi Martinowi zaś brakowało autorytetu. Obaj doradcy poinformują go o wszystkich szczegółach.

Dzięki temu Andrew Trevayne będzie mógł wrócić do domu, do żony.

W piątek po południu Phyllis miała zgłosić się do prywatnej kliniki. O badaniach wiedzieli jeszcze tylko Sam i Alan. Nawet dwaj ochroniarze z Białego Domu myśleli, że chodzi o jakąś zwykłą okresową kontrolą. Trevayne zjawi się z powrotem w Denver najpóźniej w poniedziałek.

Kiedy mężczyźni dopili drinki, Andy nie mógł się zmusić, by spojrzeć Bonnerowi w oczy. Major ogromnie się przejął i obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, by maksymalnie odciążyć Andy'ego.

O mój Boże! – pomyślał Trevayne. – Wśród ludzi kochających etykiety ten człowiek jest moim wrogiem. A mimo to spójrzcie w jego oczy! On się boi... o mnie!

Paul Bonner przeszedł powoli hotelowym korytarzem do swego pokoju, otworzył drzwi, wszedł do środka i zatrzasnął je za sobą z taką siłą, że dwa obrazy – tanie reprodukcje w najgorszym guście – zadrżały na ścianie. Natychmiast skierował się do biurka, na którym zawsze stała butelka bourbona, i nalał sobie dużą porcję.

Zaraz potem nalał następną i także wypił jednym haustem.

Uświadomił sobie, iż wcale nie jest wykluczone, że zostanie w pokoju przez cały dzień, każe sobie przynieść jeszcze jedną butelkę i po cichutku, spokojnie zaleje się w trupa.

Ale wtedy wszystko by zepsuł. Rano byłby zbyt skacowany, żeby spotkać się z Alanem Martinem i Samem Vicarsonem, którzy przed rozmowami w Denver mieli poinformować go o najważniejszych szczegółach.

Niech to jasna cholera!

Bobry były okropnie nieporadne, ich przywódca zaś rozpoczął bardzo osobistą, bardzo brudną grę. Paul nigdy nie przypuszczał, że Andrew Trevayne okaże się zdolny do takiego świństwa. Mężczyźni nurzający się w błocie zepsucia -przemytnicy narkotyków i handlarze ludzkim towarem – wykorzystywali czasem swoje kobiety, ale nie w taki sposób. Nigdy nie wkraczali na obszary bolesnej intymności. Nie miało to nic wspólnego ani z godnością, ani siłą.

Bonner przeszedł ze szklanką do łóżka, usiadł, podniósł słuchawkę i podał telefonistce prywatny waszyngtoński numer generała brygady Lestera Coopera.

Potrzebował niecałej minuty, by przejść do sedna sprawy.

–Zasłania się żoną. Twierdzi, że leci na wschód, żeby być z nią. Phyllis Trevayne ma się rzekomo poddać „dokładnym badaniom w związku ze stwierdzeniem

obecności komórek rakowych”. To kłamstwo.

–Jest pan pewien?

–Prawie na sto procent – odparł Bonner, opróżniwszy szklankę.

–Ale dlaczego? Przecież to ohydne!

–Ponieważ wszystko się zgadza! – Bonner uświadomił sobie, że nie powinien używać takiego tonu, mówiąc do przełożonego, ale nie mógł na to nic poradzić. Jego wściekłość miała zbyt osobiste podłoże. – Alan Martin zniknął na półtora dnia, Sama Vicarsona nie było przez dwa dni. Bez żadnych wyjaśnień, podobno w sprawach służbowych. A dzisiaj na kogo wpadam w kawiarni tu, w Boise? Na Mike'a Ryana. Coś się dzieje, generale. Coś bardzo śmierdzącego.

Odpowiedziała mu cisza. Kiedy Cooper odezwał się ponownie, w jego głosie dał się słyszeć strach.

–Nie możemy sobie pozwolić na pomyłkę, Bonner.

–Na litość boską, generale, nie jestem nowicjuszem! Co prawda Trevayne szybko się uczy, ale w dalszym ciągu jest marnym kłamcą. Tak bardzo się wstydził, że nawet nie chciał spojrzeć mi w oczy.

–Myślę, że powinniśmy wiedzieć, gdzie się podziewała tamta trójka. Każę sprawdzić rezerwacje biletów.

–Wolałbym sam się tym zająć, generale. – Bonner nie chciał dopuścić, by na scenę wkroczyli amatorzy z Pentagonu. – W grę wchodzi tylko kilka linii lotniczych. Bez trudu dowiem się, skąd przylecieli ci spryciarze.

–Proszę zawiadomić mnie natychmiast, jak tylko trafi pan na coś, majorze. To sprawa najwyższej wagi. Tymczasem przydzielę opiekę jego żonie. Tak na wszelki wypadek, gdyby jednak pojawił się tutaj.

–Traci pan czas. To dziewczyna zawsze chętna do współpracy. Założę się, że sama zawiadomi chłopców z Białego Domu, że idzie na badania. Trevayne nie potrafi kłamać, ale jestem pewien, że w takich sytuacjach postępuje z maksymalną precyzją. Wkroczył na nieznany teren, więc będzie się starał zachowywać wzmożoną ostrożność.

## Rozdział 22

Sam Vicarson oparł się o biurko, Trevayne natomiast usiadł w fotelu.

–W porządku, panie mecenasie – powiedział Andrew, spoglądając w górą na młodego mężczyznę. – Po co to potajemne spotkanie? O co chodzi?

–Czterdzieści lat temu Joshua Studebaker popełnił poważny błąd. Teraz każą mu za to płacić. Jest przekonany, że w przypadku ujawnienia tamtej sprawy wszystkie jego zasługi pójdą w zapomnienie. Jak sam stwierdził, każdy sąd w kraju zacznie się zastanawiać nad przesłankami, które skłaniały go do wydawania akurat takich a nie innych wyroków.

Trevayne gwizdnął cicho.

–A cóż on takiego zrobił? Zastrzelił Lincolna?

–Gorzej. Był komunistą. Co prawda nie żadnym wojującym radykałem, ale prawdziwym marksistą z legitymacją w kieszeni, wykonującym polecenia Kremla. Pierwszy czarny sędzia na zachód od Gór Skalistych spędził pięć lat w różnych obdrapanych pokoikach, przygotowując mowy obrończe dla swoich praktykujących kolegów.

–Praktykujących?

–W Missouri pozbawiono go prawa wykonywania zawodu. Trzeba przyznać, że wygrał rozprawę apelacyjną, ale nie zyskał w ten sposób popularności, więc zszedł do podziemia, przeniósł się do Nowego Jorku i aktywnie włączył w działalność partyjną. Ostry przypadek zarażenia czerwoną gorączką. Przez pięć lat naprawdę wierzył, że w ten sposób znajdzie rozwiązanie wszystkich problemów.

–A jaki to ma związek z Genessee Industries i wyrokiem w sprawie Bellstara?

Vicarson przysunął sobie krzesło stojące przy biurku i usiadł na nim okrakiem, splatając dłonie na oparciu.

–Dotarli do niego prawnicy Genessee. Bardzo dyskretnie, ale całkiem jednoznacznie zagrozili, że ujawnią jego przeszłość.

–Więc sprzedał im się razem ze swoją godnością zawodową.

–To nie jest takie proste, panie Trevayne. Właśnie dlatego wołałem najpierw porozmawiać z panem bez świadków... Nie chcę obciążać Studebakera.

–Myślę, że powinienesz to uzasadnić, Sam – wycedził lodowatym tonem Trevayne.

– Poza tym nie do ciebie należy podejmowanie takich decyzji.

Sam Vicarson przedstawił swój punkt widzenia.

Joshua Studebaker miał ponad siedemdziesiąt lat. Ogromny, niezwykle utalentowany Murzyn, syn zbieracza bawełny imieniem Joshua, także syna Joshui. W roku tysiąc dziewięćset siódmym, w ramach zapoczątkowanego przez Theodora Roosevelta programu edukacyjnego, młody Joshua został wybrany jako jeden z tych, którzy mieli otrzymać minimalne wykształcenie.

Okazało się jednak, że jego finansowana przez państwo edukacja trwała aż siedem lat, czyli o sześć więcej, niż przewidywały założenia programu. W tym czasie chłopiec zgromadził zdumiewającą ilość wiedzy, lecz kiedy ukończył szesnaście lat, powiedziano mu, że na tym koniec; i tak powinien być wdzięczny za to, co otrzymał do tej pory. Na pewno mu się nie należało, a w każdym razie nie w tysiąc dziewięćset

czternastym roku w stanie Missouri, w USA.

Mimo to, uzyskawszy dostęp do narzędzi, Joshua Studebaker zajął się resztą. Błagał, żebrał i kradł – krótko mówiąc, robił wszystko, by móc kontynuować naukę. Przenosił się wówczas z miejsca na miejsce, lecz nie tam, gdzie mógł znaleźć pracę, tylko tam, gdzie miał możliwość pogłębiania wykształcenia. Żył w nędzy, mieszkał w wagonowniach lub w budach skleconych ze znalezionych na wysypisku arkuszy blachy falistej. W wieku dwudziestu dwóch lat znalazł wreszcie mały eksperymentalny college o profilu prawniczym, który ukończył w trzy lata później. Mając dwadzieścia siedem lat wprawił w zdumienie środowisko prawnicze w Missouri, wygrywając rozprawę apelacyjną przed stanowym Sądem Najwyższym.

Nie lubiano go w Missouri.

Wkrótce potem, na podstawie sfingowanych zarzutów, został pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Wskazano mu należne miejsce.

Znowu nadeszły lata tułaczki i zarabiania na życie, czym się dało; czasem uczył w wiejskich szkołach, znacznie częściej najmował się do pracy fizycznej. Dyplom, z którego był taki dumny, nie miał żadnego znaczenia. W latach dwudziestych czarnoskórzy prawnicy nie cieszyli się zbytnim wzięciem, zapotrzebowanie zaś na czarnoskórych prawników, pozbawionych prawa wykonywania zawodu, praktycznie równało się zeru.

Studebaker przeniósł się na północ, do Chicago, gdzie zetknął się z wychowankami Eugene'a Debsa, pisującego artykuły i wygłaszającego wykłady dla socjalizującej inteligencji. Ekstremiści z otoczenia Debsa szybko poznali się na nieprzeciętnym talencie Joshui i wysłali go do Nowego Jorku -tętniącego życiem, gorącego serca partii komunistycznej.

Przez następne pięć lat był anonimowym działaczem pracującym na rzecz najaktywniejszych radykalnych krzykaczy. Wyrównywał w ten sposób rachunki z mieszkańcami rajy, z którego go wyrzucono.

A potem prezydentem został Franklin Roosevelt i na marksistów padł blady strach, Roosevelt bowiem rozpoczął naprawę kapitalistycznego systemu, posługując się metodami, o których komuniści myśleli, że mają na nie całkowity monopol.

Studebaker został skierowany na inny front walki ideologicznej. Polecono mu stworzyć elitarną grupę, która miała szkolić zespoły do fizycznej walki z wprowadzanymi przez władze reformami. Akty sabotażu miały objąć biura, obozy robotników pracujących przy robotach publicznych, jadłodajnie dla ubogich. Powinny także zniknąć ważne dokumenty i fundusze. Należało wykorzystać wszystkie możliwości dające szansę na przedłużenie dławiącej naród recesji.

–Zdumiewające, że wybrali właśnie mnie – powiedział Studebaker Vicarsonowi. – Opacznie zrozumieli pobudki, którymi się kierowałem. Nawet jeśli na płaszczyźnie filozoficznej akceptowałem konieczność stosowania przemocy, to jednak nie mogłem zgodzić się na aktywne branie w niej udziału, szczególnie jeśli w jej wyniku największe szkody mieli ponieść ci najbardziej bezbronni.

Kiedy pewnego dnia Joshua Studebaker przeczytał w gazecie o pożarze w robotniczym miasteczku namiotowym, o pożarze, który spowodował liczne ofiary

śmiertelne, udał się prosto do Departamentu Sprawiedliwości.

Był to czas, kiedy chętnie wybaczano błędzącym oraz nagradzano tych, którzy mogli pomóc administracji Roosevelta w zmywaniu pojawiającego się tu i ówdzie czerwonego nalotu. Joshua kwalifikował się do obu kategorii. Bez rozgłosu dano mu państwową posadę i przywrócono wszelkie prawa. Po raz pierwszy w życiu Joshua Studebaker mógł przestać uciekać przed ścigającymi go zmorami prawdziwymi i zmyślonymi. Raj stał się urodzajnym, pozbawionym węży ogrodem.

A wreszcie, by dokończyć zapoczątkowany kilkadziesiąt lat wcześniej eksperyment, Joshua Studebaker został mianowany pierwszym czarnym sędzią na zachód od Gór Skalistych. Co prawda rejon jego działania zamieszkiwali głównie Indianie z plemienia Tacomack i wędrowni traperzy, ale nie umniejszało to w niczym znaczenia samej nominacji.

Jak na ironię losu, awans do Seattle otrzymał w szczytowym okresie szaleństwa rozpętanego przez McCarthy'ego. Zatwierdzając to przeniesienie, ktoś „na górze” starał się chyba ocalić resztki swojego zdrowego rozsądku.

–Ostatnie trzydzieści lat poświęcił na walkę z bezrozumnym i nieludzkim prawem. Ręczę za to głową, a poza tym wystarczy zajrzeć do ksiąg procesowych i kodeksów. Aż roi się tam od wprowadzonych przez niego precedensów, na których mogli opierać się adwokaci broniący praw mieszkańców gett lub członków grup mniejszościowych. Wiem o tym, bo sam to robiłem. Od wywłaszczeń po ubezwłasnowolnienia, od nakazów eksmisji po ściągą nie lichwiarskich procentów – zawsze i wszędzie sędzia Studebaker stanowił nieprzebytą zaporę dla różnych grup nacisku. Jeśli ujawnimy jego przeszłość, wszystko, czego dokonał, może pójść na marne.

–Dlaczego? – zapytał Andrew, nie ukrywając rozdrażnienia. – Z powodu czegoś, co miało miejsce czterdzieści lat temu? Bredzisz od rzeczy, Sam.

–Wcale nie! On nigdy nie przyznał się publicznie do błędu, nie ukorzył się, nie błagał nikogo o wybaczenie... Do tej pory uważano go za centrolewicowca. Jeżeli wyjdzie na jaw, co robił wcześniej, ludzie zaczną go nazywać zupełnie inaczej.

Etykiety. Naród lubujący się w etykietkach – pomyślał Trevayne.

–Nie rozumie pan? – ciągnął Vicarson. – Jemu nie chodzi o siebie, tylko o dzieło, którego dokonał, a bez względu na wszelkie usprawiedliwienia trzeba stwierdzić, że jednak był wywrotowcem. I to w pełnym znaczeniu tego słowa. Można mu zarzucić, że podejmując wszystkie późniejsze decyzje, kierował się niskimi pobudkami, a to oznaczałoby dla niego koniec.

–I dlatego właśnie nie chcesz napisać raportu na jego temat?

–Tak. Musiałby go pan zobaczyć, żeby to zrozumieć. Jest starym człowiekiem – myślę, że wielkim. Nie boi się o siebie. Wątpię, czy zależy mu na minionych latach, jestem natomiast pewien, że ogromnie troszczy się o swoje dokonania.

–Sam, czy ty przypadkiem o czymś nie zapominasz?

–O czym?

–O sprawie Bellstara. Powiedziałeś, że była pełna dziur. Czy mamy pozwolić na to, by prawnicy opłacani przez Genessee robili wszystko, na co tylko przyjdzie im



ochota?

Vicarson uśmiechnął się ze smutkiem.

–Podejrzewam, że niepotrzebnie tracili czas. Studebaker prawdopodobnie obyłyby się bez ich pomocy. Oczywiście nigdy się tego nie dowiemy, ale sprawiał bardzo przekonujące wrażenie.

–To znaczy?

–Cytował Hofstadera: „Ustawa antytrustowa jest wyblakłym cieniem reformatorskich zapędów”, i Galbraitha: „Rozwój nowoczesnych technologii doprowadził do powstania państwa przemysłowego”. Konkurencja jako taka nie odgrywa już roli funkcjonującego automatycznie regulatora. Technologia prowadzi do rozbuchania ekonomii, ta zaś pociąga za sobą koncentrację środków finansowych. Jeśli zaakceptuje się taką rzeczywistość – a prawo powinno zajmować się właśnie rzeczywistością – funkcję regulatora chroniącego konsumentów musi przejąć na siebie rząd i właśnie prawo. Mówiąc prosto z mostu: kraj potrzebuje produktów Bellstara. Firma chyliła się ku upadkowi, a jedynym chętnym do jej przejęcia, dysponującym w do datku odpowiednimi środkami, było właśnie Genessee.

–On tak powiedział?

–Niemal słowo w słowo. Oczywiście w uzasadnieniu wyroku nie było to sformułowane tak jasno, przynajmniej dla mnie. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie może zaliczyć mnie do swoich najbardziej pojętnych uczniów.

–Skoro tak uważał, to czemu tego po prostu nie powiedział? I po co mówił ci o całej reszcie?

Sam Vicarson wstał z krzesła. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności i niepokoju.

–Obawiam się, że go do tego zmusiłem. Użyłem argumentu, że skoro nawet ja nie zrozumiałem pobudek, którymi kierował się, wydając wyrok w sprawie Bellstara – a cieszę się opinią dość bystrego faceta – to powinien publicznie uzasadnić swoją decyzję. Kategorycznie odmówił. Czuję się okropnie, ale powiedziałem mu, że w takim razie moje podejrzenia nabiera ją coraz bardziej realnych kształtów i że prawdopodobnie będę musiał nakazać mu, by stanął się przed sądem jako świadek.

–Na twoim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Vicarson stał przy oknie, wpatrując się w nierówny, miejski horyzont Boise.

–Zaskoczyłem go. Nie wiedział, że mamy takie uprawnienia.

–Bo nie mógł wiedzieć. Jeszcze z nich nie korzystaliśmy.

Vicarson odwrócił się od okna.

–Doznał wstrząsu, panie Trewayne. To był okropny widok. Ale nawet wtedy nie chodziło mu o siebie. Musi mi pan uwierzyć.

Trewayne wstał z fotela, spojrzawszy młodemu prawnikowi w oczy i powiedział cichym, lecz stanowczym głosem:

–Napisz raport, Sam.

–Ale...

–W jednym egzemplarzu. Tylko dla mnie. – Andrew skierował się do drzwi. – Do

**zobaczenia o ósmej. W moim pokoju.**

## Rozdział 23

Stolik do kawy pełnił funkcję stołu konferencyjnego. Przed każdym z mężczyzn leżały grube teczki wypełnione raportami i notatkami. Jako pierwszy głos zabrał Alan Martin, opisując Ernesta Manolo, przewodniczącego Związku Zawodowego Operatorów Obrabiarek Południowej Kalifornii, a jednocześnie wpływowego negocjatora z ramienia AFL-CIO. Według Martina, Ernest Manolo wyglądał jak dwunastoletni pogromca byków.

–Wszędzie jeździ ze swoimi pikadorami. To dwaj potężnie zbudowani faceci, którzy nie odstępują go ani na krok.

–Obstawa? – zapytał Trevayne. – A jeśli tak, to dlaczego?

–Obstawa. Dlaczego? Bo ich potrzebuje. Szybki Ernie – tak go tam nazywają – narobił sobie w swoim macierzystym związku mnóstwo wrogów.

Andrew siedział na kanapie obok Sama Vicarsona.

–Dlaczego, na litość boską? Przecież załatwił im wręcz nieprawdopodobnie korzystne porozumienie.

–Sam ci to wyjaśni – odparł Martin. – Zawarł wszystkie informacje w materiałach, które mi przygotował. – Spojrzał na młodego prawnika. – Świetna robota, Sam.

–Dziękuję, ale to nie było nic trudnego. Ubiegając się o stanowisko, prowadził szeroką kampanię reklamową. W takiej sytuacji łatwo wszystko znaleźć, pod warunkiem, że wiadomo, czego szukać.

–Właśnie dlatego podróżuje w towarzystwie dwóch przyjaciół – podjął na nowo Martin. – Szybki Ernie ma dwadzieścia sześć lat. Pchając się na fotel, przeskoczył nad głowami wielu znacznie starszych i bardziej doświadczonych kolegów. Większość z nich ma spore zastrzeżenia do sposobu, w jaki to zrobił.

–To znaczy? – zapytał Mike Ryan, siedzący naprzeciwko Martina.

–Uważają, że posługiwał się brudnymi pieniędzmi, a sądzą tak dlatego, że miał ich bardzo dużo. Wciągnął za sobą mnóstwo nowych ludzi – młodych, bystrych, z wyższym wykształceniem. Zamiast wyrzaskiwać argumenty na wiecach, przeprowadzają szczegółowe analizy logistyczne. Weterani tego nie lubią. Odnoszą się podejrzliwie do każdego słowa, które ma więcej niż trzy sylaby.

–A jednak załatwił im świetną umowę, a oto właśnie chodzi w tej grze – nie ustępował Andrew.

–Na tym też polega największy problem Szybkiego Erniego. To zarówno jego najlepsza broń, jak i najgorsze przekleństwo. Otóż Genessee jeszcze nigdy nie zawarło tak łatwo umowy z jakimkolwiek związkiem zawodowym. Żadnych wielkich sporów ani negocjacji ciągnących się do białego rana. Po podpisaniu nie było wiatów, tańców na ulicach ani nawet słowa gratulacji od starych wielorybów w rodzaju Meany'ego i jego Rady Ochrony Pracy. Wreszcie najważniejsza sprawa: porozumienie zawarte w południowej Kalifornii nie będzie i nie może zostać wykorzystane jako precedens w żadnych innych negocjacjach. Tak napisano czarno na białym w umowie.

Mike Ryan pochylił się do przodu w fotelu.

–Nie jestem związkowcem, tylko inżynierem. Czy to coś niezwykłego?

–I to jeszcze jak! – odparł Martin. – Każde większe porozumienie między związkami zawodowymi a pracodawcami służy jako podstawa do następnych rozmów. Każde, ale nie to.

–Jak się o tym dowiedziałeś? – zapytał Trewayne.

–Przyparłem Manolo do muru. Powiedziałem mu, że jestem zdziwiony, a nawet zdumiony, że nie doceniono jego wysiłków, a Rada Ochrony Pracy z Waszyngtonu po prostu go zignorowała. Wspomniałem mimochodem, że znam paru starych przyków, którzy w niej zasiadają, więc może wspomnę o tej sprawie... ale Manolo nie życzył sobie mego wstawiennictwa. Prawdę powiedziawszy, niemal wpadł w panikę. Zaczął wyciągać różne tabele i wykresy i tłumaczyć mi, że starzy związkowcy nie mogą pojąć nowoczesnych teorii opisujących zjawiska zachodzące na rynku pracy, a poza tym to, co się da zastosować w południowej Kalifornii, niekoniecznie musi sprawdzić się w zachodnim Arkansas, i tak dalej... Rozumiecie, co to znaczy?

–Jest człowiekiem Genessee. Dzięki temu jednemu porozumieniu po stawili go na świecznik i kupili do końca życia – powiedział Vicarson.

–Robią to w całym kraju, nie wyłączając zachodniego Arkansas – ciągnął Martin. – Genessee Industries uczyniło już wiele w celu objęcia kontrolą całego rynku pracy, z którego korzysta. Dziś po południu przeprowadziłem prowizoryczne porównania, biorąc za wzór umowę zawartą przez Manolo. Stwierdziłem znaczne podobieństwa w porozumieniach podpisanych przez filie Genessee w dwudziestu czterech stanach.

–Boże... -jęknął cicho Mike Ryan.

–Czy wystraszony Manolo pobiegnie poskarżyć się Genessee? – zapytał Andrew, marszcząc brwi. – Narobiłby nam trochę kłopotów.

–Nie sądzę. Naturalnie nie mogę nic gwarantować, ale wydaje mi się, że będzie siedział spokojnie, przynajmniej przez jakiś czas. Powiedziałem mu, że jestem całkowicie usatysfakcjonowany jego wyjaśnieniami. Zdaje się, że to kupił. Wspomniałem również, iż byłbym mu niezmiernie zobowiązany, gdyby zachował nasze spotkanie w tajemnicy. Gdyby dowiedzieli się o tym inni, a szczególnie kierownictwo Genessee, musiałbym spędzić w Pasadenie znacznie więcej czasu... Myślę, że nie puści pary z gęby.

–W takim razie tyle o Manolo. Co z tym Jamisonem z Houston, Mike? Ryan sięgnął po teczkę leżącą przed nim na stoliku, ale zawahał się, spojrzał na Trewayne'a i przez dłuższą chwilę milczał, przyglądając mu się w zamyśleniu.

–Zastanawiam się, w jaki sposób to sformułować – odezwał się wreszcie. – Przyłapałem się na tym, że słuchając Ala, kiwam głową i mamrocę pod nosem: „Tak, ma rację, tak to właśnie wygląda”. Zupełnie jakby opisywał sytuację w Houston, a podejrzewam, że także w Palo Alto, Detroit, Oak Ridge i jeszcze co najmniej dwudziestu innych studiach projektowych i laboratoriach Genessee rozsiansych po całym kraju. Wystarczy zamiast „rynków pracy” wstawić „środowisko naukowców”, trochę bardziej utylić za wodników w błocie, a właściwie nic się nie zmieni.

Michael Ryan również poleciał do Houston samolotem wynajętym przez Douglasa Pace'a. Najpierw udał się do laboratoriów Genessee, a stamtąd do klubu jachtowego nad zatoką Galveston, gdzie zastał Ralpa Jamisona. Klub znajdował się w Megans

**Point, zwanym także Riwierą południowego zachodu, prawdziwym rajem dla bogatych Teksaszczyków.**

**Ryan odegrał scenkę pod tytułem „nieoczekiwane spotkanie po latach”. Przyjaźń dwóch mężczyzn zaczęła się w czasach, kiedy obaj pracowali jeszcze u Lockheeda. Każdy z nich był ekstrawertykiem, każdy uwielbiał dobrą zabawę i dobry alkohol, każdy też był ponadprzeciętnym człowiekiem.**

**Popołudnie zamieniło się w wieczór, a potem, nie wiadomo kiedy, we wczesny ranek. Ryan zorientował się, że Jamison uparcie uchyla się od odpowiedzi na pytania mające jakikolwiek związek z jego pracą dla Genessee. Było to tym bardziej przygnębiające, że nienaturalne. Pogaduszki na fachowe tematy między specjalistami najwyższej klasy – w dodatku mającymi dostęp do ściśle strzeżonych tajemnic – należały przecież do uświęconego tradycją rytuału.**

**–Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł – oznajmił Ryan. – Postanowiłem zaproponować Ralphowi pracę.**

**–Gdzie? – zapytał z uśmiechem Trevayne. – Na jakim stanowisku?**

**–A jakież to ma znaczenie? Obaj byliśmy napici jak baki... Bez fałszywej skromności muszę stwierdzić, że on chyba bardziej ode mnie. Starłem się sprawić wrażenie, że usiłuję go podkupić. Zaproponowałem mu trzy, a może nawet cztery razy więcej od tego, co, jak przypuszczałem, zarabia w Genessee.**

**–Okazałeś nadzwyczajną hojność – zauważył Alan Martin. – Ciekaw jestem, co byś zrobił, gdyby się zgodził?**

**Ryan opuścił głowę i wbił smutne spojrzenie w blat stolika do kawy.**

**–Wtedy byłem już prawie pewien, że tego nie zrobi. – Podniósł wzrok. – Nawet gdyby chciał.**

**Kiedy Ralph Jamison stanął wobec konkretnej propozycji uczynionej przez człowieka, który – wszystko jedno, pijany czy trzeźwy – nie mówiłby takich rzeczy, gdyby nie otrzymał odpowiednich pełnomocnictw, doszedł do wniosku, że musi poprzeć swój nielogiczny opór jakimiś wyjaśnieniami. Początkowo słowa popłynęły bez żadnych oporów: poczucie lojalności, zaangażowanie w prowadzone obecnie prace projektowe, problemy, które musiał rozwiązać, jeszcze raz lojalność sięgająca korzeniami wiele lat wstecz.**

**Ryan zbijał kolejne argumenty z narastającą irytacją, aż wreszcie Jamison, z trudem utrzymujący się na nogach, a jednocześnie wyraźnie poruszony pozornie konkretną propozycją przyjaciela, wybełkotał:**

**–Nic nie rozumiesz, Ryan. Genessee zatroszczyło się o nas. O wszystkich.**

**–Zatroszczyło się? – powtórzył Trevayne. – O wszystkich? To znaczy o kogo? O kim on mówił?**

**–Musiałem zlepić to kawałek po kawałku. Właściwie niczego nie powiedział wprost... może z wyjątkiem jednej rzeczy. Ale i tak wszystko jest jasne. Ich najlepsi ludzie, szczególnie naukowcy i projektanci, dostają forsy z lewej kasy.**

**–Albo pod stołem, jak czasem się o tym mówi – uzupełnił Alan Martin.**

**–Właśnie. I to wcale nie jakieś drobne dodatki, ale znaczne sumy, najczęściej przekazywane na konta w Zurychu i Bernie.**

–Nieewidencjonowane dochody... – mruknął Martin.

–I niemożliwe do wykrycia – dodał Sam Vicarson. – Nikt nie zarzuci tym ludziom oszustwa, ponieważ Szwajcaria nie respektuje przepisów podatkowych innych państw. Z punktu widzenia Szwajcarów nie popełniono żadnego przestępstwa.

–Z tego, czego się dowiedziałem, wynika, że zabawa zaczyna się bardzo wcześnie – ciągnął Ryan. – Jak tylko Genessee wyłowi atrakcyjnego, rokującego nadzieje na przyszłość kandydata, natychmiast uderza w zaloty. Ma się rozumieć, facet jest najpierw dokładnie sprawdzany. Prędzej czy później na pewno uda się znaleźć jakieś czułe miejsce – to właśnie wymknęło się Ralphowi. Kiedy już jest punkt zaczepienia, kandydat zaczyna otrzymywać coraz większe, ukryte premie, a po kilku latach ma już bezpiecznie odłożone sto lub sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

–Jednocześnie staje się całkowicie uzależniony od Genessee Industries, robiąc wszystko, czego się od niego wymaga – dodał Trevayne. – Nie może odmówić, bo pociągnęłoby to za sobą bardzo przykre konsekwencje. Domyślam się, że płatności są realizowane przez... mało ważnych pośredników?

–Owszem.

–Czy możesz w przybliżeniu stwierdzić, ilu takich Jamisonów pracuje dla Genessee Industries?

–Hmm... Załóżmy, że Genessee ma sto ośrodków naukowych i projektowych, takich jak laboratoria w Houston. Może nie wszystkie są takie duże, ale na pewno równie ważne. W każdym z nich musi być od siedmiu do dziesięciu naprawdę ważnych facetów... W sumie od siedmiuset do tysiąca.

–I ci właśnie ludzie kontrolują prace projektowe i produkcję? – zapytał Trevayne, zapisując coś na kartce.

–W ostatecznym rozrachunku, tak. Oni są za wszystko odpowiedzialni.

–Wynika z tego, że za kilka milionów dolarów rocznie Genessee zyskało posłuszeństwo licznej grupy uczonych prowadzących badania i wykonujących projekty wielomiliardowej wartości.

–Rzeczywiście. Jest ich coraz więcej, bo zaczynają bardzo młodo. – Na twarzy Ryana znowu pojawił się wyraz przygnębienia. – Ralph Jamison stanowi tego smutny przykład. Poza tym, ma jeszcze jeden problem...

–Pewnie pije na umór z Irlandczykami – podsunął łagodnie Alan Martin, widząc ból w oczach Ryana.

Ryan spojrzał na Martina i uśmiechnął się lekko.

–Nie, pod tym względem pozostał zupełnym amatorem. Pozwala sobie najwyżej raz w roku, w sylwestra... Ralph jest autentycznym geniuszem. Ma na swoim koncie wiele ważnych osiągnięć w dziedzinie metalurgii. Wątpię, czy bez jego pomysłów udałoby nam się wylądować na Księżycu. Niestety, pracuje bez opamiętania. Kiedyś spędził w laboratorium siedemdziesiąt dwie godziny. Całe życie poświęca badaniom.

–Czy na tym właśnie polega jego problem? – zapytał Andrew.

–Tak. Nie potrafi znaleźć czasu na nic więcej. Wystrzega się jak ognia wszelkich osobistych zobowiązań. Miał trzy żony, które urodziły mu w sumie czworo dzieci, ale z żadną nie stworzył prawdziwej rodziny. Wyludziły od niego niesamowite alimenty.

Jeśli zaś chodzi o dzieci, to ma na ich punkcie autentycznego świra. Boi się o nie, bo zna siebie i kobiety, które je urodziły. Tak mi powiedział. Co roku w lutym leci do Paryża, gdzie jakaś drobna płotka z Genessee daje mu dwadzieścia tysięcy dolarów gotówką. Ładuje wszystko na konto w Zurychu, z przeznaczeniem dla dzieci.

–Oto jeden z tych, dzięki którym zdobyliśmy Księżyc – powiedział cicho Sam Vicarson, patrząc na Trevayne'a. Dla wszystkich zebranych było jasne, że Sam mówił nie tylko o Jamisonie, ale także o kimś jeszcze.

Wszyscy także wiedzieli, że Vicarson był w Seattle, u sędziego Joshui Studebakera.

Andrew nie zareagował na zakamuflowaną prośbę Vicarsona.

–Ale chyba nie proponujesz, żebyśmy wyłączyli go ze sprawy? – zapytał Ryana.

–Skądże znowu! – odparł szybko Michael.– Wcale nie jestem zachwycony tym, że musimy go przyszpilić, ale to, czego się dowiedziałem o Genessee Industries, coraz bardziej mnie przeraża. Naprawdę. Zdaję sobie sprawę, w co przeistaczają się te laboratoria i biura projektowe.

–Zajmujemy się zjawiskami fizycznymi, nie socjologicznymi – zauważył pośpiesznie Vicarson.

–W pewnej chwili jedne zamieniają się w drugie. O ile już się to nie stało.

–Dziękuję, Mike. – Najwyraźniej Trevayne nie życzył sobie żadnej dyskusji na tematy niezwiązane bezpośrednio ze sprawą.

–Wygląda na to, że teraz moja kolej – powiedział Vicarson, pochylając się nad stolikiem i biorąc do ręki teczkę z dokumentami. Wzruszenie ramiona mi towarzyszące jego słowom oznaczało coś więcej niż zwykłą rezygnację.

–Pozwolisz, że cię wyręcę? – zapytał Andrew.

Sam spojrzał na niego ze zdumieniem.

–Słucham?

–Sam przyszedł do mnie przed naszym spotkaniem. Raport na temat Studebakera nie jest jeszcze kompletny. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Genessee posłużyło się szantażem, ale nie jesteśmy pewni, jakie znaczenie miało to w chwili podejmowania decyzji w sprawie Bellstara. Sędzia twierdzi, że żadnego. Uzasadniając wyrok, posługuje się nie tylko argumentami prawnymi, ale także filozoficznymi. Skądinąd wiemy, że Departament Sprawiedliwości nie znalazł powodów, żeby wnikać w tę sprawę.

–Ale jednak był szantażowany, prawda? – zapytał z wyraźnym niepokojem Martin.

–Owszem.

–Co na niego mieli?

–Jeśli pozwolicie, chwilowo wstrzymam się z odpowiedzią.

–To aż tak brudna sprawa?

–Po prostu nie jestem pewien, czy ma jakiegokolwiek znaczenie – odparł Trevayne.

– Jeśli okaże się, że tak, naturalnie zostanie włączona do akt.

Ryan i Martin spojrzeli najpierw na siebie, a potem na Vicarsona.

–Byłbym cholernym głupcem, gdybym po tylu latach zaczął wątpić w twoją umiejętność oceny sytuacji – powiedział Alan Martin do Trevayne'a.

**–W takim razie, co teraz robimy? – zapytał Ryan jakby nigdy nic.**

**–Jeszcze dziś wieczorem odlatuję do Waszyngtonu. Paul Bonner myśli, że lecę do Connecticut. Zaraz wam wszystko wytłumaczę... Najwyższy czas, by zająć się senatorem Armbrusterem.**



## Rozdział 24

Generał brygady Lester Cooper wkroczył na wyłożoną płaskimi kamieniami ścieżkę wiodącą do drzwi podmiejskiego domu. Stara lampa od powozu, zainstalowana na wbitym pośrodku trawnika słupie, oświetlała wiszącą na dwóch cienkich łańcuchach tabliczkę z napisem: „Państwo Knapp, Mapie Lane 37”.

Senator Alan Knapp.

Wewnątrz powinien być jeszcze co najmniej jeden senator, pomyślał Cooper, wchodząc po niskich schodkach. Przełożył aktówkę do lewej ręki i nacisnął guzik dzwonka.

Otworzył mu sam Knapp.

–Na litość boską, Cooper! – syknął, nie kryjąc irytacji. – Dochodzi dziesiąta, a umówiliśmy się na dziewiątą!

–Jeszcze dwadzieścia minut temu nie miałem żadnych wiadomości – odparł sucho generał. Nie lubił Knappa. Na szczęście nie musiał być wobec niego uprzejmy; wystarczyło, żeby go tolerował. – Poza tym, senatorze, nie traktuję dzisiejszego spotkania jako imprezy towarzyskiej.

Alan Knapp z trudem przywołał na twarz coś w rodzaju uśmiechu.

–W porządku, generale. Może pan wstrzymać ogień. Proszę do środka. Przepraszam, ale wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani.

–Nie bez powodu – odparł Cooper, przekraczając próg domu. Gospodarz zaprowadził go do salonu. Pokój urządzone z przepychem: na podłodze leżały puszyste białe dywany, na zabytkowych francuskich meblach stały liczne artystycznie wykonane drobiazgi. Knapp miał za sobą pieniądze; stare pieniądze.

Siedzący na małej sofie senator Norton z Vermontu zupełnie nie pasował do otoczenia. Zwalisty mieszkaniec Nowej Anglii nie wyglądał na człowieka, dla którego konstruowano tak delikatne meble. Drugi mężczyzna -Cooper widział go po raz pierwszy w życiu – czuł się natomiast zupełnie swobodnie. Miał na sobie angielski, dopasowany garnitur w drobne prążki.

Trzecią osobą czekającą w salonie na Knappa i Coopera był Robert Webster z Białego Domu.

–Zna pan już Nortona i Webstera, generale. Pozwoli pan, że przedstawię mu Waltera Madisona... Madison, to generał Cooper.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

–Pan Madison jest prawnikiem Trevayne'a – wyjaśnił gospodarz, wskazując Cooperowi fotel.

–Proszę? – Generał spojrział ze zdumieniem na senatora.

–Wszystko w porządku, Cooper – odezwał się Norton, poprawiając się niezręcznie na wyściełanej sofie. Nie uznał za stosowne dodać nic więcej.

Webster, stojący przy fortepianie ze szklaneczką w dłoni, okazał więcej zrozumienia.

–Pan Madison zna nasze problemy i współpracuje z nami.

Generał odblokował zamki aktówki, otworzył ją i wyjął kilka kartek maszynopisu. Madison elegancko założył nogę na nogę, po czym zapytał:

–Jak miewa się Andrew? Od ładnych paru tygodni nie daje znaku życia. Cooper podniósł głowę znad papierów. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że uznał pytanie Madisona za rozpaczliwie głupie.

–Jest zajęty.

–Czego się pan dowiedział?

Norton nie krył zniecierpliwienia. Wstał z sofy i podszedł do kanapy, starając się jednak trzymać z dala od Madisona. Knapp nie spuszczał wzroku z Coopera. Zajął miejsce w fotelu po prawej stronie generała.

–Major Bonner spędził niemal całe popołudnie i wieczór, usiłując odtworzyć trasy podróży członków podkomisji na podstawie rezerwacji biletów lotniczych. Nie było żadnych rezerwacji. Podejrzewając, że mogli posługiwać się fałszywymi nazwiskami, sprawdził wszystkich pasażerów płci męskiej, jacy przewinęli się przez port lotniczy w Boise w ciągu kilku ostatnich dni. Bez rezultatu. Zwrócił się do właścicieli prywatnych maszyn – również bez efektu. – Cooper umilkł na chwilę. Chciał, żeby jego słuchacze docenili skrupulatność, z jaką funkcjonariusze Departamentu Obrony wykonują powierzone im zadania. – Rozmawiając z pilotami dowiedział się o istnieniu jeszcze jednego lotniska, z pasem startowym długości tysiąca pięciuset metrów, z którego korzystają wyłącznie niewielkie maszyny. Lotnisko jest położone z drugiej strony Boise, piętnaście kilometrów za miastem. Nazywa się Ada County.

–Jeśli pan pozwoli, generale... – przerwał mu Knapp. Wiedział z doświadczenia, że wojskowi szczególnie długo rozwodzą się nad tymi problemami, których nie udało im się rozwiązać. – Jestem pewien, że major Bonner jest niezwykle sumiennym oficerem, ale wolałbym, żeby od razu przeszedł pan do sedna sprawy.

–Za chwilę to zrobię, senatorze. Uczynię to jednak, przekazując wam te informacje, ponieważ mają one bezpośredni związek z poczynaniami członków podkomisji.

–Skoro tak, to proszę mówić dalej.

–Z Ada County startuje wiele prywatnych maszyn. W planie lotu jest zwykle wymieniona nazwa firmy, nazwisko pilota i osoby wynajmującej samolot, ale nie ma nazwisk pasażerów. Bonner przypuszczał, że wszedł w ślepią uliczkę. Trevayne zna mnóstwo ludzi w różnych firmach dysponujących własnymi samolotami... A jednak trafił na ślad. Dwa odrzutowce typu Lear wynajęte przez niejakiego Douglasa Pace'a.

Walter Madison raptownie wyprostował się na kanapie.

–Kim, do diabła, jest ten Douglas Pace? – zapytał Norton.

–Szwagrem Trevayne'a – odparł Madison.

Robert Webster gwizdnął cicho, a generał Cooper zwrócił się do Knappa:

–Trevayne nie tylko posłużył się prywatnymi samolotami, ale nawet wynajął je na cudze nazwisko i znalazł położone na uboczu lotnisko.

Knapp wcale nie był przekonany, czy przedsięwzięte przez Trevayne'a środki ostrożności usprawiedliwiały gadulstwo generała, ale postanowił nie psuć mu przyjemności.

–Znakomita robota. Dokąd i skąd latali?

Cooper zerknął do trzymany w ręku papierów.

–Według Stacji Kontroli Lotów pierwszy samolot wystartował do San Francisco, a stamtąd do San Bernardino. Kontrola Ruchu Powietrznego nie otrzymała żadnej informacji o zmianie celu podróży.

–Że jak? – warknął senator Norton, zdegustowany nazwami, które słyszał po raz pierwszy w życiu i które nic mu nie mówiły. Webster ponownie okazał zrozumienie dla kłopotów bliźniego.

–Plan lotu może ulec zmianie nawet w kilka minut po starcie, ale wtedy pilot informuje o tym Kontrolę Ruchu Powietrznego, nie zaś lotniskową Stację Kontroli Lotów. Stacja otrzymuje wiadomość dopiero po kilku godzinach albo wcale. To jeden ze sposobów na zmylenie pogoni.

Norton zerknął na Webstera z szacunkiem, ale i podejrzliwością. Nie miał najmniejszego pojęcia, o czym tamten mówi.

–Kiedy samolot poleciał do San Bernardino, Trevayne przebywał w San Francisco – ciągnął Cooper. – Tak się jednak składa, że bez Alana Martina.

–Czy to księgowy z Pace-Trevayne w New Haven? – zapytał Knapp.

–Tak jest – odparł Cooper. – A San Bernardino leży dwadzieścia minut drogi od Pasadeny. Są tam zakłady Genessee, z którymi były spore kłopoty.

Knapp spojrział na Nortona.

–Proszę kontynuować, generale.

–Samolot wystartował w czwartek rano, kierując się do Boise, ale stał na lotnisku Ada County zaledwie przez godzinę, by wyruszyć w drogę do Tacoma w stanie Waszyngton. Bonner jest całkowicie pewien, że w tym czasie Alan Martin pojawił się znowu na scenie, zniknął z niej natomiast ten młody prawnik, Sam Vicarson.

–Tacoma! – wykrzyknął gniewnie Norton. – Co jest w Tacomie, do stu diabłów?

Robert Webster pociągnął łyk ze szklaneczki. Stawał się coraz bardziej pijany. Spojrzął z góry na klockowatego mężczyznę.

–Tacoma leży w stanie Waszyngton, senatorze Norton, zaledwie godzinę jazdy samochodem od Seattle. Na obrzeżu tego miasta znajduje się zespół budynków otoczonych płotem trzymetrowej wysokości. Tak się przypadkowo składa, że mają sporo wspólnego z Genessee Industries. Nazwa firmy brzmi Bellstar.

–Jezus, Maria... -jęknął Norton. Tym razem nie podniósł wzroku na prezydenckiego doradcę; wpatrywał się wybałuszonymi oczami w Knappa, który całą uwagę skoncentrował na generale Cooperze.

–A co z drugim samolotem? Macie coś na jego temat?

–Wszystko – odparł wojskowy. – Przyleciał z Houston, a wcześniej z lotniska Dullesa w Waszyngtonie. Nasi informatorzy z Potomac Towers donieśli, że niejaki Michael Ryan, inżynier, specjalista od konstrukcji lotniczych, zniknął nagle z biura. Bonner potwierdził, że Ryan zjawił się w Boise.

–Wynika z tego, że wcześniej był w Houston – stwierdził cichym głosem Alan Knapp. – Możemy założyć, że zjawił się w laboratoriach Genessee. Prowadzą tam dokładny wykaz wszystkich gości. Sprawdźmy, kogo odwiedził. – Podniósł się z fotela i ruszył w kierunku telefonu stojącego na zabytkowym, rzeźbionym w wymyślne zakrętasz biurku. – Myślę, że znam człowieka, którego mogę o to zapytać.

–Proszę się nie fatygować, senatorze – powstrzymał go głos Coopera. – Już tam dzwonił. Ryan nie pokazał się w laboratoriach.

Knapp zatrzymał się i odwrócił do Coopera.

–Jest pan pewien? To znaczy: czy może pan być tego całkowicie pewien?

–My także wiemy, kogo pytać. W każdym razie, ja to wiem.

Przez dłuższą chwilę dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Zawodowy oficer, mający nim być już do końca życia, dawał do zrozumienia zawodowemu politykowi, wybieranemu na stanowisko jedynie na ściśle określony czas, że wojsko zna sposoby otwierania drzwi, które przed cywilami muszą pozostać na zawsze zamknięte. Knapp zrozumiał to bez trudu.

Wiedział, że takie drzwi naprawdę istnieją.

–W porządku, generale. Ryan nie był w laboratorium. W takim razie gdzie był? Po co przyleciał do Houston?

–Tego jeszcze nie wiem, ponieważ zaledwie godzinę temu zdołałem ustalić, że nie postawił stopy na terenie należącym do Genessee.

–A dowie się pan?

–Potrzebuję na to czasu.

–Nie mamy czasu! – wtrącił się Norton. – Ani chwili czasu! To prawdziwy sztorm!

–Przestań pieprzyć, do cholery! – wybuchnął Knapp. Kiedyś służył w marynarce i ciągle nadużywanie przez Nortona morskiej terminologii do prowadzało go do szału.

–Hej, zaczekaj chwilę...

–Już dobrze, dobrze – wycofał się szybko gospodarz. – Wybacz mi, Jim... Czy ma pan jakieś podejrzenia, generale?

–Wydawało mi się, że właśnie na ten temat powinniśmy porozmawiać. Między innymi, ma się rozumieć.

Robert Webster odsunął się od fortepianu.

–Trevayne wysłał do Pasadeny swojego najlepszego specja od finansów. Po co? Do kogo? Inżynier od lotnictwa -jeden z najlepszych w kraju, nawiasem mówiąc – leci do Houston. Ryan może nie był w laboratoriach, ale jestem pewien, że spotkał się z kimś, kto tam pracuje... Wreszcie ten prawnik, który zjawia się u Bellstara.

Śmierdząca sprawa. Zupełnie mi się to nie podoba. – Pociągnął kolejny łyk ze szklaneczki i wpatrzył się przed siebie niewidzącym spojrzeniem. – Trevayne kręci stryczek na czyjaś szyję.

–Myślę... – powiedział Walter Madison, prostując ramiona tkwiące w rękawach eleganckiej marynarki i rozpierając się wygodnie na sofie. – Myślę, że powinniście wszyscy pamiętać o tym, iż tak czy inaczej Andrew nie znajdzie nic więcej niż jakieś drobne przekupstwa i aferki, bo po prostu nie jest w stanie znaleźć nic innego. Byłoby dla nas lepiej, gdyby jak najprędzej trafił na coś, co zaspokoi jego purytańskie umiłowanie porządku.

–Nie wiem, czy zbytnio nie upraszcza pan sprawy, Madison.

Knapp ponownie zajął miejsce w fotelu. Doskonale pamiętał, jak niepewnie zachowywał się prawnik podczas przesłuchania, które odbyło się kilka miesięcy temu. Teraz zdumiewał go jego spokój.

**–Z pewnością nie. Z prawnego punktu widzenia wszystkie przypadki przekroczenia zakładanych kosztów zostały wystarczająco usprawiedliwione, a jemu przecież głównie o to chodzi. Poświęciłem kilka tygodni na analizę wszystkich zarzutów. Zagoniłem do roboty moich najlepszych ludzi. Oczywiście, że było też trochę złodziejstwa i Andrew na pewno to odkryje, ale nic poza tym.**

**–Kraży opinia, że jest pan dobrym fachowcem – powiedział Norton. – Mam nadzieję, że to prawda.**

**–Zapewniam pana, senatorze, że tak jest w istocie. Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, może przekona pana wysokość moich honorariów.**

**–Mimo to w dalszym ciągu cholernie mi zależy, żeby dowiedzieć się, czego szukał Trewayne – stwierdził senator Knapp. – Sprawdź pan to, generale?**

**–W ciągu czterdziestu ośmiu godzin.**

## Rozdział 25

W piątkowy poranek nikt jeszcze nie wiedział, że Trevayne znalazł się w Waszyngtonie. Mały odrzutowiec wylądował na lotnisku Dullesa o siódmej trzydziści, a już dziesięć po ósmej Andrew wszedł do wynajętego domu w Tawning Spring. Wziął prysznic, przebrał się, po czym zrobił sobie godzinę wypoczynku, aby zebrać myśli i odprężyć się po pod róży. Był głęboko przekonany, że potrafi to uczynić; zwykle dobrze funkcjonował w warunkach znacznego napięcia emocjonalnego, gdyż nigdy nie dopuszczał do sytuacji, w której skumulowane działanie zmęczenia fizycznego i psychicznego przekroczyłoby bezpieczne granice. Zdawał sobie doskonale: sprawę, że w ciągu najbliższych dni będzie musiał zachować zdwojoną ostrożność. Bardzo łatwo mógł doprowadzić się do takiego stanu, w którym precyzyjne myślenie stałoby się po prostu niemożliwe.

Wezwał przez telefon taksówkę, która zawiozła go do biurowca Senatu.

Było dwadzieścia pięć po dziesiątej. Najdalej za kilka minut senator Mitchell Armbruster powinien wrócić do swego biura. Partyjne zebranie, w którym uczestniczył, dobiegało już końca. O dziesiątej trzydziści, jak w każdy piątek, miał spotkać się ze swoim sztabem.

Andy zatrzymał się w korytarzu przed drzwiami Armbrustera, oparł się o ścianę i zajął pobieżnym przeglądaniem „Washington Post”. Artykuł wstępny, jak zwykle, krytykował obie izby Kongresu: Izbę Reprezentantów za brak zdecydowania, Senat za przeciągające się, nieprowadzące do niczego dyskusje.

Koniec listopada w Waszyngtonie. Nic nowego pod słońcem.

Armbruster pierwszy zauważył Trevayne'a. Niski, mocno zbudowany senator stanął jak wryty. Andrew dostrzegł kątem oka nagłe zakłócenie jednostajnego ruchu sunących skądś dokądś postaci i odwrócił się w jego stronę.

Armbruster natychmiast przybrał swą zwykłą, swobodną pozę, podszedł do Trevayne'a i z ciepłym enigmatycznym uśmiechem podał mu rękę. Trwająca ułamek sekundy chwila doskonałego zrozumienia minęła, lecz obaj mężczyźni wyciągnęli z niej odpowiednie wnioski.

–Cóż za miła niespodzianka, panie Trevayne. Myślałem, że przebywa pan w moim stanie, zachwycając się urokami Pacyfiku.

–Byłem tam, senatorze. Podobnie jak w Idaho. Okazało się jednak, że wbrew wcześniejszym planom musiałem na chwilę wrócić do stolicy... żeby zobaczyć się z panem.

Uśmiech zniknął z twarzy Armbrustera. Senator spojrzał badawczo na Trevayne'a.

–Przynajmniej nie owija pan niczego w bawełną. Niestety, obawiam się, że dziś nie uda mi się znaleźć dla pana czasu. Może jutro rano? Albo, powiedzmy, umówilibyśmy się na drinka o wpół do szóstej po południu?

–To bardzo pilna sprawa, senatorze. Pragnę zwrócić się do pana z prośbą o radę i pomoc w kwestii danych statystycznych o zatrudnieniu w północnej Kalifornii.

Przez sekundę lub dwie Mitchell Armbruster zapomniał o oddychaniu. Stał jak oniemiały, gapiąc się na Trevayne'a.

–Wolałbym nie rozmawiać o tym w biurze... – wykrztusił wreszcie. – Spotkamy się

za godzinę.

–Gdzie?

–W Rock Creek Park, przy zewnętrznym pawilonie. Zna pan to miejsce?

–Tak. A więc za godzinę. Aha, senatorze: jeszcze jedna uwaga. Zanim skontaktuje się pan z kimkolwiek, radzę najpierw wysłuchać, co mam do powiedzenia. Na razie jeszcze pan nic nie wie. To dobra rada, może mi pan wierzyć.

–Pan naprawdę nie owija niczego w bawełnę, panie Trevayne... Pozwolę sobie kierować się własnym zdaniem, choć muszę stwierdzić, że zawsze uważałem pana za człowieka honoru. Ale pan już to ode mnie słyszał. Podczas przesłuchania.

–Rzeczywiście. Do zobaczenia za godzinę, senatorze.

Dwaj mężczyźni przechadzali się po biegnącej między drzewami ścieżce w Rock Creek Park. Niższy co jakiś czas wyciągał zapalniczki i ponownie zapalał fajkę. Trevayne zorientował się, że fajka jest dla Armbrustera czymś w rodzaju psychicznej protezy. Pamiętał doskonale, że podczas przesłuchania senator bawił się nią właściwie bez przerwy, to ją chowając, to znów wyjmując, by precyzyjnymi, fachowymi ruchami oczyścić cybuch z resztek wypalonego tytoniu. Teraz ścisnął ją w zębach z taką siłą, że wyraźnie widać było napięte mięśnie szczęki.

–A więc doszedł pan do wniosku, że wykorzystuję sprawowany przeze mnie urząd do osobistych korzyści – powiedział spokojnie Armbruster, patrząc prosto przed siebie.

–Tak. Nie potrafię tego określić w żaden inny sposób. Ustalił pan maksymalną wartość zamówień, które mogłyby zrealizować Genessee, upewniając się jednocześnie, że będą to kwoty odpowiednio wysokie, by doprowadzić do zmniejszenia bezrobocia w interesujących pana regionach. To znaczy, ustalili to za pana ekonomiści, a pan tylko załatwił pieniądze. Dzięki temu zyskał pan poparcie zarówno robotników, jak i personelu kierowniczego, i wygrał pan wybory.

–Czy jest w tym coś złego?

–Była to polityczna manipulacja przeprowadzona bardzo wysokim kosztem. Kraj będzie za nią płacił jeszcze przez długie lata. Tak, uważam, że to coś bardzo złego.

–Wy, bogaci bramini, tak lubicie piękne słówka! A co powiedziałyby pan tysiącom rodzin, którym udało mi się pomóc? Na niektórych obszarach bezrobocie sięgało dwunastu, a nawet trzynastu procent! Moim obowiązkiem było coś zrobić w tej sprawie i jestem dumny, że mi się udało. Czy muszę panu przypominać, młody człowieku, że jestem senatorem ze stanu Kalifornia? Jeśli chce pan znać prawdę, Trevayne... – Armbruster umilkł na chwilę, spojrzał na Andy'ego, po czym roześmiał się cicho. – Pańskie oskarżenia są po prostu żalosne.

Trevayne odpowiedział uśmiechem, ale jego uwagi nie uszedł fakt, że w oczach Armbrustera nie było ani odrobiny wesołości – wyłącznie czujność, taka sama jak wtedy, kiedy spotkali się w korytarzu przed biurem senatora.

–Innymi słowy, uważa pan, że jestem żalosny, ponieważ nie chcę uznać, iż pańskie postępowanie świadczy nie tylko o znakomitym zmyśle politycznym, ale także o dogłębnym rozumieniu zasad ekonomii i trosce o bezpieczeństwo kraju?

–Ma pan całkowitą rację, młody człowieku.

–A więc to była po prostu kwestia wyboru priorytetów? Potrzeba wyższego rzędu?

–Jest pan prawie poetą. Tylko że pan nie rymuje.

–I usiłuje mi pan dać do zrozumienia, że podobnie postępuje się każdego dnia?

–Kilkaset razy dziennie. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. W Izbie

Reprezentantów, Senacie, w każdej rządowej agencji. Na litość boską, jak pan myśli, po co my wszyscy jesteśmy w tym mieście?

–Nawet jeśli w grę wchodzi ogromne sumy pieniędzy?

–To bardzo subiektywne określenie.

–Kontrakty wartości setek milionów dolarów są obiektywnym faktem, nie żadnym subiektywnym określeniem.

–Do czego pan właściwie zmierza? Zachowuje się pan jak mały chłopiec.

–Jeszcze jedno pytanie, senatorze. Jaka część tych politycznie i ekonomicznie słusznych kontraktów jest zawierana z Genessee Industries?

Mitchell Armbruster zatrzymał się raptownie. Stali na małym drewnianym mostku spinającym brzegi jednego z wielu strumieni przecinających Rock Creek Park. Armbruster spojrział w dół, na sunącą niespiesznie wodę, po czym wyjął fajkę z ust i popukał nią w poręcz.

–A więc dlatego zdecydował się pan na ten... niespodziewany przyjazd – stwierdził bez śladu emocji w głosie.

–Owszem.

–Tak przypuszczałem. Dlaczego właśnie ja?

–Ponieważ w pańskim przypadku mogłem przeprowadzić logiczne rozumowanie, które doprowadziło mnie do konkretnych wniosków. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby padło na kogoś innego, ale mam za mało czasu.

–Czy czas odgrywa aż tak ważną rolę?

–Owszem, jeśli stało się to, co podejrzewam.

–Jestem tylko drobną płotką. Walczę o przetrwanie na scenie politycznej, więc prezentuję punkt widzenia, który coraz szybciej przechodzi do lamusa.

–Proszę mi go przedstawić.

Armbruster wyjął z kieszeni marynarki kapciuch z tytoniem i zaczął powoli nabijać fajkę. Od czasu do czasu obrzucał Trevayne'a zamyślnym spojrzeniem. Wreszcie zapalił fajkę i oparł łokcie na drewnianej poręczy.

–O czym tu mówić? Wstępując do każdej organizacji trzeba uznać jej zasady działania i obowiązujące przepisy. Jednak potem, kiedy człowiek stara się osiągnąć jakiś cel, zazwyczaj przekonuje się, że to mu się nie uda, jeśli będzie postępować ściśle według przepisów. Jeżeli naprawdę zależy mu na tym, co robi, popada w coraz większą frustrację. Zaczyna wątpić w swoje zdolności i polityczną męskość. Uważa się za eunucha. Jednak po pewnym czasie różni ludzie zaczynają powtarzać mu – początkowo jakby od niechcienia i bez żadnego wyraźnego celu – że jednak może zrealizować swoje pragnienia i ambicje, ale pod jednym warunkiem: że przestanie rozpowiadać na lewo i prawo o przeszkodach, jakie stają na drodze. Musi zrezygnować z pustej retoryki na rzecz większej zdolności przystosowawczej.



Bardzo szybko następuje przyswojenie takiego punktu widzenia. Oni nazywają to „dojrzwaniem”, on zaś Możliwością Samorealizacji. Widzi, ile dobrego może dokonać. Daje tak niewiele, a otrzymuje tak dużo... Do licha, gra jest warta świeczki! Ustawy i poprawki do konstytucji otrzymują jego nazwisko. Widzi dobro, tylko i wyłącznie dobro...

Armbruster wydawał się znużony argumentami, którymi bez wątpienia obracał setki razy w swoim ciągle aktywnym umyśle. Trevayne zrozumiał, że musi wstrząsnąć korpulentnym senatorem, gdyż w przeciwnym razie nie dowie się niczego konkretnego.

–A co z Genessee Industries?

Armbruster gwałtownym ruchem odwrócił głowę i spojrzał na niego.

–To cholerny klucz do całej sprawy; wszyscy to akceptują, traktując jak artezyjską studnię na pustyni. Zawiera w sobie ideę Matki, Boga, Narodu, Liberalizmu, Konserwatyzmu, Republikanizmu, Demokracji, a nawet, Bóg mi świadkiem, Komunizmu! Zaspokaja głód wszystkich zwierząt żyjących w politycznej dżungli... A co najdziwniejsze, wykonuje dobrą robotę.

–Wątpię, czy takie wytłumaczenie w pełni pana zadowala, senatorze.

–Oczywiście, że nie! Ale do końca kadencji zostały mi jeszcze dwa lata. Nie będą ubiegał się o ponowny wybór. Stuknie mi już prawie siedemdziesiątka... Wtedy usiądę sobie wygodnie w fotelu i zacznę się zastanawiać.

–W fotelu dyrektora generalnego Genessee?

–Być może. Czemu nie?

Trevayne oparł się plecami o balustradę i wyjął papierosy. Armbruster podał mu ogień.

–Dziękuję... Pozwoli pan, senatorze, że akurat tę sprawę odłożę na nieco później.

–Proponuję panu coś więcej, Trevayne. Niech pan zrezygnuje z całej sprawy. Niech pan zajmie się tymi, którzy ciągną nieuczciwe zyski. To zadanie dla pana i pańskiej podkomisji. Proszę sobie odpuścić Genessee. Może i jest zbyt duże, ale przynajmniej produkuje. Poza tym, jak do tej pory, nikt nie zdołał wykryć w nim nic nielegalnego.

Tym razem to Trevayne wybuchnął śmiechem, głośnym i drwiącym.

–Rzeczywiście, nikt nie zdołał nic wykryć, bo struktura Genessee jest zbyt skomplikowana, żeby cokolwiek dało się wykryć! Wie pan równie dobrze jak ja o tym, co się dzieje w... Jak pan to nazwał? Aha: „każdej rządowej agencji”. Pańskie argumenty są diabła warte, senatorze. Genessee Industries, ta „studnia artezyjska na pustyni”, jest po prostu pięćdziesiątym pierwszym stanem. Różni się od pozostałych pięćdziesięciu tym, że wszystkie są od niej uzależnione w bardzo niebezpieczny sposób.

–Myślę, że trochę przecenia pan tę organizację.

–A ja myślę, że jej nie doceniam. Genessee nie ma konstytucji, nie ma systemu dwupartyjnego, nie prowadzi ksiąg przychodów i rozchodów... Od pana, senatorze, chcę się dowiedzieć, kto nią włada? Kto rządzi tym samowystarczalnym, bez przerwy rosnącym królestwem? Przy czym nie chodzi mi o strukturę, bo tę już zdążyłem

poznać.

–Nie znam nikogo, kto... rządzi. Z wyjątkiem kierownictwa, ma się rozumieć.

–Jakiego kierownictwa? Rozmawiałem z nimi. Nawet z Goddardem, facetem od pieniędzy. Nie wierzę w to.

–Mam na myśli radę dyrektorów.

–Zbyt proste. Ich rola ogranicza się do zajmowania wyznaczonych miejsc przy stole.

–W takim razie nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie. Nie „nie chcę”, tylko „nie mogę”.

–Sugeruje pan, że to coś w rodzaju rosnącej dziko samosiejki?

–Może pan być bliżej prawdy, niż się panu wydaje.

–Kto broni interesów Genessee w Senacie?

–Mój Boże, mnóstwo ludzi! Ma z nią do czynienia wiele komisji i podkomisji.

Genessee zdominowało przede wszystkim lobby lotnicze.

–Aaron Green?

–Spotykałem się z nim parę razy. Nie twierdzę, że go nie znam.

–Czy to on naprawdę kontroluje interesy?

–Jest właścicielem agencji reklamowej, nie licząc kilkunastu innych firm.

–Interesy, jakie miałem na myśli, obejmują dużo więcej niż tylko reklamę, choć ona też stanowi ich nieodłączną część.

–Nie rozumiem pana.

–Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że Aaron Green przeznacza rocznie od siedmiu do dwunastu milionów dolarów na to, by przekonać waszyngtońskich urzędników o patriotycznym nastawieniu Genessee Industries oraz...

–Zapewne są to wydatki zarejestrowane?

–Większość jest starannie ukrywana. Każdy, kto płaci duże podatki, zna sposoby na to, by nie stały się jeszcze większe.

–Czyste spekulacje.

–Bez wątpienia. Dotyczące ogromnych sum pieniędzy wydawanych każdego roku... Czy to Green trzyma lejce?

–Do cholery, człowieku! Szukasz kozłów ofiarnych! „Władcy”, „królestwa”, „trzymać lejce”, „pięćdziesiąty pierwszy stan”... – Armbruster zastukał mocno fajką w poręcz; kilka drobinek rozżarzonego tytoniu spadło na jego rękę, która szarpnęła się odruchowo, ale senator nie zwrócił najmniejszej uwagi na ból. – Proszę mnie posłuchać: przez większą część mojej politycznej aktywności ścierałem się z różnymi waźniakami. Nigdy nie zmusili

mnie do odwrotu. Niech pan poczyta sobie przemówienia, które wygłaszałem na konwencjach! To ja ustalałem politykę partii! Jeśli pan pamięta, pod czas pięćdziesiątej konwencji rzuciło się na mnie całe prawe skrzydło partii, ale ja nie cofnąłem się nawet o krok, bo wiedziałem, że mam rację!

–Pamiętam. Był pan wtedy bohaterem.

–Miałem rację, i tylko to się liczyło... Ale jednocześnie myliłem się. Nie spodziewał się pan tego usłyszeć, prawda? Zaraz panu powiem, na czym polegał mój błąd. Na

tym, że nie starałem się ich zrozumieć, nie spróbowałem dotrzeć do ukrytych najgłębiej motywacji, nie zadałem sobie trudu, by wykorzystać możliwości rozumu. Po prostu znalazłem kozły ofiarne, uniosłem miecz gniewu i rzuciłem się na zastępy Lucyfera... Konwencję opuściło wtedy wielu znakomitych ludzi. Nigdy już nie wrócili.

–Czyżby dostrzegał pan analogię?

–Naturalnie, młody człowieku. Pan jest święcie przekonany, że natrafił na swojego wroga, na swojego wysłannika szatana. Tym nieprzyjacielem jest sama koncepcja wielkości. Jest pan gotów ściąć mieczem gniewu każdego, kto zgadza się z jakimkolwiek jej aspektem... a to może oznaczać tragiczny błąd.

–Dlaczego?

–Ponieważ Genessee Industries uczyniło także wiele dobra, popierając bardzo postępowe przedsięwzięcia. Czy wie pan, na przykład, że w wielu kalifornijskich gettach powstały dzięki niemu kliniki dla narkomanów, punkty całodzienniej opieki medycznej i szpitale? Że na przykład Mendocino utworzono wzorcowy ośrodek rehabilitacji byłych więźniów? W San Jose wybudowano nawet szpital onkologiczny imienia Armbrustera. Tak, mojego imienia, panie Trevayne, ponieważ to ja przekonałem Genessee, by przekazało bezpłatnie teren i ufundowało większość wyposażenia... Opuść miecz, młody człowieku.

Trevayne odwrócił się, głównie po to, by nie patrzeć na Mitchella Armbrustera – człowieka, który zamienił głosy paru milionów wyborców na kilka spektakularnych przedsięwzięć dających prawo odpisania znacznych sum od podstawy opodatkowania.

–Skoro tak, to nie widzę nic złego w pomysle, żeby poinformować o wszystkim opinię publiczną. Niech nasz kraj wie, że cieszy się podwójnym błogosławieństwem: otrzymuje nie tylko znakomite wyroby Genessee, ale także korzysta z jego dobroczynności.

–Jeśli pan to zrobi, oni natychmiast zmienią metody działania.

–Dlaczego? Dlatego, że im publicznie podziękowano?

–Wie pan równie dobrze jak ja, że wszyscy biznesmeni angażujący się w takie projekty rezerwują sobie prawo do ujawnienia tylko tych informacji, które uznają za stosowne. Zostaliby zasypani prośbami o pomoc.

–Zostaliby zdemaskowani.

–Jak pan woli. Prawdziwi przegrani mieszkają w gettach i rynsztokach. Jest pan gotów wziąć na siebie odpowiedzialność?

–Na litość boską, senatorze! Chodzi mi o to, żeby znaleźć tego, kto jest odpowiedzialny!

–Nie każdy ma takie szczęście, jakie ma pan. Nie wszyscy możemy siedzieć na wysokościach i bezkarnie – a także z pewną pogardą – spoglądać z góry na walkę toczącą się u naszych stóp. Większość z nas przyłącza się do niej i walczy ze wszystkich sił, nie tylko za siebie, ale także za innych.

–Senatorze, nie zamierzam dyskutować z panem na temat filozofii utilitaryzmu. W przeciwieństwie do mnie jest pan zaprawionym w bojach uczestnikiem wielu debat. Kto wie, może w gruncie rzeczy wcale nie ma między nami różnicy zdań? Wspomniał

pan, że pańska kadencja upływa za dwa lata; ja mam nie więcej niż dwa miesiące. Przez ten czas musimy sporządzić pełny raport. Nie wiem, czy moja opinia ma dla pana jakąkolwiek wartość, ale

uważam, że działał pan w dobrej wierze, dając ludziom wiele dobra. Może to pan walczy po stronie aniołów, podczas gdy ja zawarłem pakt z szatanem. Może.

–Wszyscy robimy to, co możemy i jak możemy.

–Możliwe. Proszę nie przeszkadzać mi podczas moich dwóch miesięcy, ja zaś dołożę wszelkich starań, by nie zaszkodzić panu podczas pańskich dwóch lat. To bardzo prosty układ, senatorze.

Mały odrzutowiec wspinał się szybko na docelowy pułap dziesięciu tysięcy metrów. Po upływie godziny miał wylądować na lotnisku Westchester. Trewayne postanowił, że zrobi Phyllis niespodziankę i odwiedzi ją w szpitalu Darien. Potrzebował odprężenia oraz spokoju, jaki dawały mu jej delikatne poczucie humoru i zdrowy rozsądek. Chciał także rozproszyć jej obawy. Wiedział, że żona bardzo się boi, lecz nie chce zawracać mu głowy swymi lękami.

A potem -jutro rano, po południu lub wieczorem – czeka go spotkanie z Aaronem Greenem.

Zostało jeszcze dwóch:

Aaron Green, Nowy Jork.

Ian Hamilton, Chicago.

## Rozdział 26

Major Paul Bonner uświadomił sobie w pewnej chwili, że wydaje rozkazy generałowi Lesterowi Cooperowi. Rozkazy dotyczyły wykorzystania najlepszych ludzi z Biura Dochodzeń i rozesłania ich do Pasadeny, Houston oraz Seattle, aby dotarli do wszystkich pracowników Genessee, mających jakikolwiek związek z zagadnieniami poruszonymi na konferencji w San Francisco. Ponieważ ustalono już, że podczas pobytu w Houston Ryan nie odwiedził laboratoriów Genessee, agenci powinni zainteresować się przede wszystkim personelem wysokiego szczebla NASA. Z pewnością wielu zatrudnionych tam uczonych znało Ryana, może więc uda się trafić na jakiś ślad.

Bonner zaproponował nawet sposób maskowania: agenci mogli rozpowszechniać pogłoski, że członkowie podkomisji zaczęli otrzymywać listy i telefony z pogrózkami.

Takie informacje zawsze pomagały w nawiązywaniu kontaktów. Cywile chętnie udzielali pomocy wojskowym, którzy kogoś chronili. Byli tym bardziej skłonni do współpracy, że nikt nie wypytywał o ich sprawy.

Coś powinno się pojawić.

A kiedy to już się stanie, generał winien skontaktować się z Bonnerem przed podjęciem jakichkolwiek działań. Major znał Trevayne'a znacznie lepiej niż Cooper, znacznie lepiej niż jakikolwiek funkcjonariusz Departamentu Obrony. Mógł wnieść interesujące propozycje.

Generał nie miał nic przeciwko temu, by zrzucić część odpowiedzialności na ramiona młodszego oficera.

Ostatnie żądanie, które Bonner przedstawił swojemu zwierzchnikowi, dotyczyło prawa dysponowania myśliwcem stacjonującym w bazie Sił Powietrznych USA w Billings w stanie Montana. Gdyby zaszła taka konieczność, on, major Bonner, natychmiast ruszy śladem Andrew Trevayne'a.

Mogło to nastąpić tylko w przypadku, jeśli major dowie się, do kogo poleciał przewodniczący podkomisji. Na pewno celem podróży był Waszyngton; wynikało to niezbitnie z planu lotu przekazanego Kontroli Ruchu Powietrznego na lotnisku Ada County.

Ale z kim chciał się tam spotkać?

Istniała szansa, by się tego dowiedzieć, lecz mogło to nastąpić dopiero nazajutrz rano. Bonner umówił się na śniadanie z Alanem i Samem; był bardzo ciekaw, czy zjawi się także Mike Ryan. Po śniadaniu Martin i Vicarson szli jeszcze na jakąś krótką konferencję, po czym wszyscy mieli spotkać się w samolocie odlatującym w południe do Denver.

Podczas tej swobodnej godziny lub może dwóch major Paul Bonner przeprowadzi rozpoznanie.

Paul odprowadził wzrokiem Alana Martina i Sama Vicarsona udających się na ostatnią konferencję podczas pobytu w Boise.

Zaczekał, aż wyjdą z hotelowej restauracji, po czym zerwał się z krzesła i udał się za nimi do foyer. Martin przystanął przy stoisku z gazetami, podczas gdy Vicarson skierował się do recepcji. Bonner starał się trzymać do nich tyłem, udając

zainteresowanie gabłotą z propozycjami nocnych rozrywek. Pół minuty później Vicarson dołączył do Martina, po czym dwaj mężczyźni ruszyli w kierunku wyjścia z hotelu. Bonner stanął przy oknie i obserwował, jak wsiadają do taksówki.

Najpierw sprawdzi pokój Vicarsona. Sam wydawał się bliższy Trevayne'owi, a w każdym razie Andy zlecał mu najbardziej odpowiedzialne zadania. Gdyby recepcjonista nie chciał dać Bonnerowi klucza, major posłuży się prostą wymówką, że Vicarson zapomniał ważnych dokumentów i poprosił go, by mu je przyniósł. Recepcjonista powinien pamiętać, jak razem meldowali się w hotelu. Gdyby mimo to czynił jakieś trudności, Paul pokaże mu dwie lub trzy legitymacje, które powinny załatwić sprawę.

Kiedy jednak poprosił o klucz, otrzymał go bez żadnych pytań.

Znalazłszy się w pokoju Vicarsona, zajrzał najpierw do szuflad. Były puste. Bonner uśmiechnął się szeroko; Sam naprawdę był jeszcze bardzo młody. Wystarczyła mu walizka i szafa na ubrania.

Walizka wypełniona była głównie nieświeżą bielizną. Jest nie tylko młody, ale także nieporządny – pomyślał Bonner.

Zamknął walizkę, zdjął ją z łóżka, po czym skierował się do stojącego w pobliżu biurka i wysunął jedyną szufladę. Paczuszka z firmowymi kopertami była nienaruszona, używano natomiast papieru listowego. Zajrzawszy do kosza, znalazł w nim dwie zmięte kartki. Wyjął je i rozprostował.

Na jednej znajdowały się jakieś liczby oznaczone znakiem dolara. Bonner rozpoznał w nich kwoty związane z kontraktem jednego z kooperantów Lockheeda, o którym rozmawiali przy śniadaniu.

Na drugiej również widniały cyfry, ale nie mające nic wspólnego z pieniędzmi. Godziny, minuty i skrótowe wyjaśnienia: 7.30 – 8.00 Dls.; 10.00 -11.30 S. A. Qu.; Dane – Grn. N. Y.

Major przyglądał się uważnie zmiętej kartce. Zapis „7.30 – 8.00” oznaczał przyłot Trevayne'a – uzyskał tę informację od Kontroli Ruchu Powietrznego. Nie miał natomiast pojęcia, jak odszyfrować „10.00- 11.30 S. A. Qu.” ani „Dane – Grn. N. Y.”. Wyjął długopis, przepisał notatki na świeżą kartkę, złożył ją, schował do kieszeni, a następnie zmiął wygniecioną kartkę i wrzucił ją do kosza.

Otworzywszy szafę, oddzielił spodnie od marynarek i zaczął przeszukiwać kieszenie. Nagroda czekała w wewnętrznej kieszeni drugiej z kolei marynarki. Była to starannie złożona kartka z małego notesu, wciśnięta między kilka kwitów bagażowych. Znajdował się na niej tekst następującej treści: „Armbruster – zw. budż. o 178 mil. dol., bez prośby Pent. Gwarancje potw. jed. z gł. księgi. J. G. – L. R. Dostał 300. Proponuje dod. inf. o Pasad., Bellstar itd. Cena – 4 cyfry”.

Bonner poczuł, jak powoli ogarnia go zimna wściekłość. Czy Sam Vicarson również spotkał „L. R.” w zatłoczonym, wypełnionym zapachem trawki barze w San Francisco, gdzie za ladą stał barman uwielbiający rozmieniać studolarowe banknoty? Czy także usłyszał, że może notować, co zechce, pod warunkiem, że nie każe tego robić swemu rozmówcy? Czy „L. R.” karmił go tymi samymi bzdurami o dziurze w żołądku i gotowości opowiedzenia się po stronie tego, kto akurat jest silniejszy? Sam

był nie tylko młody i nieporządny, ale także naiwny i nieostrożny. Płacił za kłamstwa i domysły, a następnie nie niszczył zapisków. Bonner spalił swój notes. Jakże łatwo można o tym zapomnieć – pod warunkiem, że jest się nieudolnym bobrem.

Major błyskawicznie podjął decyzję o wprowadzeniu w życie swojej groźby. Odszuka „L. R.” i rozwali mu resztę żołądka.

Później.

Teraz musi jak najszybciej skontaktować się z Trevayne'em. Andrew powinien zrozumieć, że wszystkie ściekowe szczury żywią się wyłącznie kłamstwami i półprawdami, a handel nimi uczyniły swoim powołaniem. Znajdują oponentów i kuszą ich ochłapami, mało wartościowymi strzępami, obiecując, że wkrótce dostarczą znacznie ważniejszych informacji.

Znajdują oponentów albo ich po prostu tworzą.

Trevayne nie pielęgnował żony zagrożonej śmiertelną chorobą. To był prosty, łatwy do przejścia wybieg. Poleciał do Waszyngtonu, by spotkać się z senatorem z Kalifornii. Armbruster był dobrym człowiekiem, przyjacielem Genessee i potężnym sojusznikiem, lecz przede wszystkim był senatorem, a każdy senator łatwo mógł wpaść w panikę. Udawali, że tak nie jest, ale tak właśnie było.

Bonner wsadził do kieszeni zapiski Vicarsona i wyszedł z pokoju. W głównym holu oddał klucz w recepcji, po czym skierował się do automatu telefonicznego; nie mógł skorzystać z aparatu w swoim pokoju, gdyż hotelowe centrale notowały numery, pod które dzwonili goście. Połączył się z szefem obsługi technicznej lotniska w Boise.

Myśliwiec, który przyleciał z bazy Sił Powietrznych w Billings, miał zostać natychmiast przygotowany do startu. Plan lotu: prosto do bazy Andrews w Wirginii. Absolutne pierwszeństwo. Misja wykonywana na zlecenie Departamentu Obrony.

Odwiesiwszy słuchawkę, ruszył szybkim krokiem do windy, by czym prędzej spakować się i opuścić hotel. Miał dwa powody, żeby jak najszybciej zobaczyć się z Trevayne'em: zasadniczy i osobisty.

Trevayne zaangażował siebie i swoją przeklętą podkomisję w polowanie na czarownice, które należało natychmiast przerwać. Zasiedli do gry, o której zasadach nie mieli zielonego pojęcia. Nie znali praw dżungli. Żaden bóbr nie znał praw obowiązujących w dżungli.

Drugi powód miał związek z bardzo osobistym kłamstwem.

I to właśnie było najgorsze.

## Rozdział 27

Phyllis Trewayne siedziała w fotelu i słuchała męża przechadzającego się po szpitalnym jednoosobowym pokoju.

–To wygląda na nadzwyczajny monopol cieszący się stanową i federalną ochroną!

–Nie chodzi tylko o ochronę, Phyl, ale także o współpracę. O aktywną współpracę instytucji, które powinny pilnować porządku i praworządności. To już nie monopol, ale jakiś gigantyczny kartel wymykający się wszelkim definicjom.

–Nie rozumiem. Wkraczasz na tereny czystej semantyki.

–Co to za semantyka, której efektem działania jest wybór senatora w jednym z największych stanów USA lub stronnicza decyzja jednego z najbardziej szanowanych sędziów w kraju? Ta decyzja – nawet jeśli zdołamy doprowadzić do jej unieważnienia – będzie kosztowała miliony, jeśli nie miliardy dolarów.

–Czego spodziewasz się dowiedzieć od tamtych dwóch, to znaczy od Greena i Hamiltona?

–Mniej więcej tego samego, tylko że to będzie spojrzenie z innej perspektywy. Mówiąc o finansach Genessee, Armbruster użył terminu „rozdzielacz”. Tę funkcję pełni właśnie Aaron Green, kierując przebiegiem napływających co roku ogromnych sum pieniędzy... Ale znacznie bardziej niepokoi mnie Hamilton. Od wielu lat jest doradcą prezydenta.

Phyllis wyraźnie usłyszała w głosie męża nutę strachu. Andy podszedł do okna, oparł dłonie na parapecie i przycisnął czoło do szyby. Popołudniowe niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Zanosilo się na to, że jeszcze przed zmrokiem zacnie prószyć śnieg.

–Chyba powinieneś być bardzo ostrożny, formułując tak poważne oskarżenia. Andy spojrzał na żonę z czułym uśmiechem.

–Gdybyś tylko wiedziała, jak często sam to sobie powtarzam! To chyba najtrudniejsze ze wszystkiego.

–Wcale się nie dziwię.

Zadzwoił telefon stojący na nocnej szafce. Phyllis wstała z fotela i podniosła słuchawkę. Andrew został przy oknie. O tym, że przyjechał do szpitala, wiedzieli tylko ludzie z obstawy i lekarz. Nikt więcej.

–Oczywiście, Johnny – powiedziała Phyllis, podając mężowi słuchawkę. – To John Sprague.

Trewayne oderwał się od okna. John Sprague, doktor medycyny, był jego najlepszym przyjacielem z dzieciństwa, a obecnie domowym lekarzem rodziny.

–Tak, Johnny?

–Nie mam pojęcia, jak bardzo chcesz się utajnić, ale telefonistka mówi, że jest do ciebie rozmowa. Jeśli cię nie ma, mogę się tym zająć.

–Kto dzwoni?

–Jakiś Vicarson. Na własny koszt.

–Wiem, jest w Denver. Możesz przełączyć tutaj, czy mam gdzieś iść?

–Gdyby moi współnicy dowiedzieli się, że fatygowałem największego dobroczyńcę



naszej kliniki, pozbyliby się mnie w okamgnieniu. Rozłącz się na chwilę. Zadzwoń za parę sekund.

–Miło jest cieszyć się takimi przywilejami.

–Jeszcze milej jest cieszyć się pieniędzmi. Cierpliwości, Krezusie.

Trevayne nie odkładając słuchawki, nacisnął widełki i odwrócił się do Phyllis.

–To Sam Vicarson. Nie mówiłem mu, że tu przyjadę. Miałem zamiar skontaktować się z nim później, kiedy już odbędzie ostatnie rozmowy. Jest teraz w Denver. Wątpię, żeby zdążył się ze wszystkim uwinąć. – Andy mówił szybko, urywanymi zdaniami. Nie ulegało wątpliwości, że jest poważnie zaniepokojony.

Ponownie zadzwonił telefon.

–To ty, Sam?

–Panie Trevayne, pomyślałem, że może pojechał pan do szpitala. Na lotnisku dowiedziałem się, że leciał pan do Westchester.

–Czy coś się stało? Jak poszły rozmowy z kooperantami General Motors i Lockheeda?

–Były krótkie i konkretne. Albo przedstawią nam dokładniejsze kalkulacje kosztów, albo weźmiemy ich w obroty. Ale nie dlatego dzwonię. Chodzi o Bonnera.

–Co z nim?

–Zniknął.

–Słucham?

–Po prostu zniknął. Z samego rana wymeldował się z hotelu i nie spotkał się z nami na lotnisku. Nie przekazał też żadnej wiadomości. Doszliśmy do wniosku, że powinien pan o tym wiedzieć.

Andy ścisnął mocniej słuchawkę, usiłując nadać swym myślom szybszy bieg. Wiedział, że Vicarson oczekuje instrukcji.

–Kiedy widzieliście go po raz ostatni?

–Rano przy śniadaniu. W Boise.

–Jak się zachowywał?

–Normalnie. Może był trochę milczący, ale poza tym w porządku. Wyglądał na zmęczonego albo trochę skacowanego. Miał dołączyć do nas na lotnisku, ale tego nie zrobił.

–Rozmawialiście może o mnie?

–Jasne, jak zwykle. O tym, że martwimy się o pańską żonę, że dzielnie pan to znosi i tak dalej.

–To wszystko?

–Bonner zapytał, jakim samolotem poleciał pan wczoraj wieczorem. Doszedł do wniosku, że chyba musiał pan przesiadać się po drodze i powiedział, żeby następnym razem zwrócił się pan do niego, to załatwi panu wojskową maszynę, żeby...

–Co mu powiedzieliście? – przerwał ostro Trevayne młodemu prawnikowi.

–Że o niczym nie wiemy. Ktoś rzucił żartem, że pewnie kupił pan całą linię lotniczą. Chyba mu to wystarczyło.

Andy przełożył słuchawkę do drugiej ręki i poprosił gestem Phyllis, żeby zapaliła

mu papierosa.

–Słuchaj, Sam. Oto, co masz zrobić. Wyślij telegram do bezpośredniego przełożonego Bonnera. – Trevayne mówił cichym, ale stanowczym głosem. – Albo nie... Zaczekaj chwilę. Przecież nie wiemy, kto to jest. W takim razie do oficera kadrowego w Departamencie Obrony. Napisz, że w związku z nagłym odwołaniem Bonnera chcielibyśmy wiedzieć, z kim mamy się w razie potrzeby kontaktować w Waszyngtonie. Ale zorganizuj to tak, żeby nikt

nie pomyślał, że się tym okropnie przejmujemy, rozumiesz?

–Jasne. Po prostu zauważyliśmy, że go nie ma. Pewnie w ogóle nie zwrócilibyśmy uwagi, gdyby nie to, że miał z nami zjeść obiad, czy coś w tym rodzaju.

–Otóż to. Na pewno oczekują jakiejś reakcji z naszej strony.

–O ile wiedzą, że go tu nie ma...

Mario de Spadante siedział przy kuchennym stole. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami. Jego otyła żona sprzątała po posiłku, a równie otyła córka postawiła przed ojcem butelkę brandy. Młodszy brat Maria, w garniturze od J. Pressa i pod krawatem, siedział vis-a-vis niego, pijąc kawę.

Mario dał znak, żeby żona i córka wyszły z kuchni. Kiedy mężczyźni zostali sami, wlał nieco jasnobrązowego płynu do kieliszka i spojrzał na brata.

–Opowiadaj dalej. Tylko dokładnie.

–Nie ma wiele do opowiadania. Pytania były jakieś dziwne: „Gdzie jest pan de Spadante? Możemy rozmawiać wyłącznie z panem de Spadantem”... Zupełnie jakby ktoś koniecznie chciał się dowiedzieć, gdzie cię może zastać. Zmiękliśmy dopiero wtedy, kiedy powiedzieli, że są z Torrington Metals. Pracuje tam brat Gina, a wypytywał Douglas Pace, wspólnik Trevayne'a.

–Powiedzieliście mu, że jestem w Miami?

–Podaliśmy nawet nazwę hotelu, wiesz tego, w którym mówią, że właśnie przed chwilą zwolniłeś pokój.

–To dobrze. Trevayne wrócił na Wschodnie Wybrzeże?

–Podobno. Jego żonę zabrali do szpitala w Darien. Badają, czy nie ma raka.

–Powinni jego przebadać. Trevayne jest chorym człowiekiem. Nawet nie podejrzewa, jak bardzo.

–Co mam zrobić, Mario?

–Dowiedz się dokładnie, gdzie jest. Wszystko jedno: w Darien czy Greenwich, w motelu czy u kogoś z przyjaciół. W Darien mieszka mnóstwo takich jak on... Jak go znajdziesz, daj mi natychmiast znać, ale wcześniej nie zwracaj mi głowy. Po drodze zatrzymałem się w Vegas. Jestem wykończony, Augie. Ledwo żyję.

Augie de Spadante wstał z krzesła.

–Sam się tym zajmę. Zadzwoń do ciebie. A jeśli zlokalizują go już dziś po południu albo wieczorem?

–Wtedy dasz mi znać. Chyba wyraziłem się wystarczająco jasno?

–Ale przecież jesteś wykończony...

–Szybko się zregeneruję. Zbyt długo się z tym cackaliśmy. Najwyższa pora, żeby zdrowo nim potrząsnąć. Nie mogę się doczekać... Odplacę mu za to, co zrobił

**dziewięć lat temu. Cholerna, elegancka świnia!  
Mario de Spadante splunął na kuchenny stół.**

## Rozdział 28

Kolacja nie była zwykłą szpitalną kolacją, nawet jak na zwyczaje obowiązujące w Darien. John Sprague posłał karetkę, co prawda, nie na sygnale do najlepszej restauracji w okolicy po steki, homara i dwie butelki chateauf du pape. Doktor przypomniał również przyjacielowi z dzieciństwa, że wielkimi krokami zbliża się okres świątecznego wpłacania dotacji na rzecz szpitala, w związku z czym on, jako jeden z ludzi odpowiedzialnych za jego prawidłowe funkcjonowanie, oczekuje niecierpliwie na czek z podpisem pana Trevayne'a.

Phyllis usiłowała zainteresować męża rozmową na jakiś inny temat niż pochłaniające go całkowicie prace podkomisji, lecz okazało się to niemożliwe. Wiadomość o zniknięciu Paula Bonnera jednocześnie zaskoczyła go i rozgniewała.

–Czy nie mógł po prostu dojść do wniosku, że przyda mu się kilka dni wolnych? Przecież sam powiedziałeś, że ostatnio miał niewiele do roboty. Widocznie znudził się i postanowił trochę się rozerwać. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak właśnie było.

–Nie po wstrząsającej opowieści, jaką zaserwowałem mu poprzedniego dnia. Był gotów postawić na nogi całą wojskową służbę medyczną. Udział w tych dwóch konferencjach był, cytuję jego słowa: „najmniej istotną rzeczą, jaką może dla mnie uczynić”.

Phyllis odstawiła kieliszek z winem na ruchomy stolik i podwinęła pod siebie nogi na fotelu. Na jej twarzy malowała się troska.

–Kochanie... Lubię Paula. Och, wiem, że ma skrajne poglądy i że często się sprzecza, ale wiem też, dlaczego go lubię. Otóż nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała go rozgniewanego. Zawsze jest taki uprzejmy, często się śmieje i stara się dobrze bawić. Jeśli się nad tym zastanowić, to był dla nas bardzo miły.

–Całkowicie się z tobą zgadzam. Do czego zmierzasz?

–Jednak gdzieś w głębi jego duszy muszą znajdować się ogromne pokłady gniewu. Bez nich nie zrobiłby tego, co robił, ani nie byłby tym, kim jest.

–Z tym również się zgadzam. Co jeszcze?

–Nie powiedziałeś mi wcześniej, że przedstawiłeś mu taką... wstrząsającą historię. Myślałam, że wie jedynie, iż idę na badania.

–Nie rozwodziłem się nad tym, bo nie wydaje mi się, żebym miał się czym chwalić.

–Chyba słusznie... Wracając do Paula: jeśli twierdzisz, że uwierzył w twoją historyjkę, a teraz nagle zniknął, nie mówiąc nikomu ani słowa, to wydaje mi się, że dowiedział się prawdy i teraz się stara odnaleźć ciebie.

–Dosyć ryzykowna teoria.

–Wcale nie. Myślę, że Paul ci ufa albo może ufał. Często nie zgadzał się z tobą, ale ci wierzył. Jeśli rzeczywiście jest w nim tyle gniewu, jak nam się wydaje, to nie zadowolony się wyjaśnieniami z drugiej ręki. Ani takimi, które mógłby usłyszeć za jakiś czas.

Trevayne rozumiał logikę, jaką kierowała się jego żona. Opierała się na znajomości sił kierujących postępowaniem ludzi takich jak Paul Bonner. Major obserwował uważnie innych i zaliczał ich do ściśle określonych kategorii tylko wtedy, jeśli miał całkowitą pewność, że nie popełni błędu. Był gotów bronić do upadłego swego

zdania i nigdy nie opierał się na zdaniu innych. Jednak przypuszczenia Phyllis wynikały z założenia, że Paul dowiedział się prawdy – prawdy o niej a to było niemożliwe. Tę prawdę znali tylko trzech ludzie: Sam Vicarson, Alan Martin i Mike Ryan. Niemożliwe.

–To niemożliwe – powiedział głośno Andrew. – Nie istnieje żaden sposób, w jaki mógłby się tego dowiedzieć.

–Jest pan marnym kłamcą, panie Trewayne – zauważyła Phyllis z uśmiechem.

–Ale pilnie trenuję. Na pewno mi uwierzył.

Usiedli wygodnie w fotelach, Andrew zaś włączył telewizor, aby wysłuchać wieczornych wiadomości.

–Może dowiemy się, że opuścił Boise i rozpętał gdzieś jakąś małą wojnę – powiedział. – Kiedyś nazwał to taktyką dywersji.

–W jaki sposób skontaktujesz się jutro z Greenem? Skąd wiesz, czy on w ogóle jest w mieście?

–Nie wiem... na razie. Ale dotrę do niego. Za jakąś godzinę pojadę do Barnegat. Vicarson będzie czekał o dziesiątej na telefon ode mnie. Przekaze mi wszystko, co zebrał na temat Greena, i może razem coś wymyślimy... Wiesz co, Phyl? W ciągu minionego tygodnia udało mi się dowiedzieć czegoś bardzo ciekawego o życiu.

–Nie mogę się doczekać, by to usłyszeć.

–Mówię poważnie. – Andy wziął do ręki kieliszek z winem. Na jego twarzy malował się wyraz melancholijnego zdziwienia. – Te wszystkie bzdury z tajnymi i supertajnymi sprawami, śledzeniem ludzi, wywiadami, kontrwywiadami, wyrywaniem sobie tajemnic... To banalnie proste. Jak gra. Jak dziecinna gra. – Wypił nieco wina, odstawił kieliszek i spojrzał na swoją uroczą, mądrą żonę. – Gdyby tylko ludzie, którzy się w to bawią, byli jak dzieci... – dodał ze smutkiem.

Mario de Spadante leżał w łóżku i oglądał wieczorne wiadomości. Już dwa razy wołał do sypialni żonę: raz, by przyniosła mu lodowatą colę, drugi, by przesunęła nieco w lewo telewizor, żeby odblask padający ze złotego krucyfiksu wiszącego nad łóżkiem, nie nakładał się na obraz...

Potem powiedział jej, że ma zamiar wcześniej pójść spać. Wzruszyła tylko ramionami; już od wielu lat mieli osobne sypialnie, a właściwie nawet osobne światy. Prawie ze sobą nie rozmawiali, z wyjątkiem takich okazji jak śluby, pogrzeby i odwiedziny wnucząt. Ale: przynajmniej miała duży dom z dużą kuchnią i dużym ogrodem, a także duży samochód, którym wożono ją po zakupy.

Wróci na dół, do dużej kuchni, zajmie się gotowaniem i oglądaniem programu we własnym telewizorze. Może nawet zatelefonuje z wymyślnego francuskiego aparatu, stojącego na marmurowym blacie, do którejś z przyjaciółek.

W ciągu trzech pierwszych minut programu nie podano żadnej ważnej informacji. Mario wiedział, że pozostałe dwadzieścia pięć minut wypełni dziennikarska sieczka wymiesza i na pół na pół z reklamami. Sięgnął do pilota i wyłączył odbiornik. Był zmęczony, lecz bynajmniej nie z powodów, o jakich powiedział bratu. Owszem, zatrzymał się w Las Vegas, ale ograniczył się do jednego jedyne numerka, po którym natychmiast kazał dziewczynie wynosić się z pokoju. Czekał na wiele

ważnych telefonów. Nie zdążył nawet wejść do kasyna, gdyż jeden z tych telefonów był od Webstera z Białego Domu. Mario miał odlecieć z Vegas w środę o północy.

Do Waszyngtonu.

Nawet opanowany Webster zaczynał wiercić się jak na szpilkach. Mario uświadomił sobie, że wszyscy dokoła gorączkowo układają awaryjne plany.

Gówniana robota.

Był czas na rozmowy i był czas na działanie. Jego ludzie udający elektryków właśnie skończyli zakładać podsłuch w Barnegat.

Trevayne był gotów do ścięcia. Teraz.

Potajemny raport od innej podkomisji, dyskretnie i z szacunkiem przyjęty przez tych, którzy go zamówili, a następnie schowany głęboko i natychmiast zapomniany.

Tak to się właśnie odbędzie.

Zadzwoił telefon, wywołując niezadowolenie Maria. Jednak niezadowolenie zniknęło natychmiast, jak tylko zobaczył, że świeci się lampka jego prywatnej linii; wszyscy wiedzieli, że z tego numeru można korzystać jedynie w wyjątkowo ważnych sprawach.

–Słucham?

–Mario? Tu Augie. – Jego brat. – Jest tutaj.

–Gdzie?

–W szpitalu.

–Jesteś pewien?

–Na sto procent. Na parkingu stoi wynajęty samochód z nalepką lotniska Westchester. Sprawdziliśmy. Wziął go o wpół do czwartej po południu, na swoje nazwisko.

–Skąd dzwonisz?

Augie powiedział mu, skąd dzwoni.

–Joey pilnuje parkingu.

–Zostań tam, gdzie jesteś. Niech Joey jedzie za nim, jeśli się stamtąd ruszy. Tylko nie zgubcie go! Daj Joeyowi ten numer. Przyjadę do ciebie najszybciej, jak będę mógł.

–Posłuchaj, Mario: jest tu jeszcze dwóch facetów. Jeden czeka przed głównym wejściem, drugi wszedł do środka. Wygląda od czasu do czasu i...

–Tak, tak. Wiem, kim są. Znikną stamtąd najdalej za pół godziny. Powiedz Joeyowi, żeby nie pchał im się w oczy.

De Spadante nie odkładając słuchawki, nacisnął widełki, po czym zadzwonił pod prywatny numer Roberta Webstera w Białym Domu. Webster właśnie wychodził z pracy i nie był specjalnie zachwycony telefonem od mafiosa.

–Powiedziałem ci, Mario, że...

–Teraz j a mówię! Chyba że chcesz odebrać na poczcie dwa worki z ciałami.

De Spadante wydał polecenia głosem nieznoszącym sprzeciwu. Nie obchodziło go, w jaki sposób Bobby Webster tego dokona, ale dwaj ludzie z obstawy mieli natychmiast zniknąć z pola widzenia.

Następnie odłożył słuchawkę i wstał z łóżka. Ubrał się szybko, przyczesał

rzędzące włosy, po czym otworzył środkową szufladę biurka i wyjął z niej dwa przedmioty.

Pierwszym był pistolet kalibru 38. Drugim groźnie wyglądający przyrząd składający się z czterech metalowych pierścieni umocowanych do spodniej strony lekko wygiętego kawałka metalu zakończonego sterczącymi kolcami.

Uderzenie zaciśniętą pięścią uzbrojoną w ten kastet mogło złamać szczękę. Cios zadany na odlew musiał rozciąć ciało aż do kości.

Myśliwiec F-40 otrzymał zgodę na lądowanie i usiadł na pasie numer pięć w bazie Sił Powietrznych Andrews. Na końcu pasa maszyna skręciła i zatrzymała się, a major Bonner zszedł szybko po drabince, pomachał pilotowi i wskoczył do czekającego dżipa.

Kazał kierowcy jechać prosto do Wydziału Operacyjnego. Kierowca bez słowa wcisnął pedał gazu w podłogę. Major wyglądał na cholernego twardziela; z takimi lepiej nie wdawać się w pogaduszki.

Bonner wszedł szybkim krokiem do budynku Wydziału i zażądał na dziesięć lub piętnaście minut dostępu do odosobnionego pomieszczenia. Pełniący służbę podpułkownik, który zaledwie kilka minut wcześniej zadzwonił do Departamentu Obrony, by się dowiedzieć, „kto, do jasnej cholery, udzielił jakichś pełnomocnictw temu klaunowi Bonnerowi”, udostępnił mu własny gabinet. Podpułkownik wiedział już, kto udzielił majorowi pełnomocnictw. Generał brygady Lester Cooper.

Paul podziękował uprzejmie podpułkownikowi, a tamten wyszedł z gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi. Major natychmiast sięgnął po telefon i wykręcił prywatny numer Coopera. Spojrzał na zegarek: wskazywał godzinę drugą czterdzieści, co oznaczało, że tutaj, na Wschodnim Wybrzeżu, jest za dwadzieścia szósta. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, zabrał się do ustawiania właściwego czasu, ale nim zdążył to zrobić, usłyszał głos Coopera.

Generał kipiał wściekłością. Bonner nie miał prawa samodzielnie podejmować decyzji, w wyniku których przemieszczał się z jednego krańca kraju na drugi, nie uzyskawszy wcześniej zgody przełożonych!

–Wydaje mi się, majorze, że należą nam się jakieś wyjaśnienia – zakończył lodowatym tonem.

–Obawiam się, że nie ma na to czasu, generale...

–Oczywiście, że jest na to czas! Poparliśmy pańskie żądanie dostarczenia samolotu i zgodziliśmy się na przelot do bazy Andrews. Byłoby lepiej, gdyby pan teraz to wytłumaczył. Nigdy nie przyszło panu do głowy, że ja też jestem przed kimś odpowiedzialny?

–Szczerze mówiąc, nie – skłamał Bonner. – Nie chcę się z panem sprzeczać, generale. Zależy mi wyłącznie na tym, by nam wszystkim pomóc. Myślę, że uda mi się to zrobić, jednak pod warunkiem, że dotrę na czas do Trevayne'a.

–Dlaczego? Co się stało?

–Trevayne uwierzył w informacje dostarczone przez psychopatę.

–Jak to? Kto to jest?

–Jeden z ludzi Goddarda. Ten sam, który rozmawiał z nami.

**–Jezu Chryste!**

**–Co oznacza, że wszystko, czego się dowiedzieliśmy, może nie być warte nawet funta kłaków. To chory człowiek, generale. Nie zależy mu na pieniądzach. Powinienem być zorientować się natychmiast, jak tylko zgodził się na tak niską cenę. Gdyby jego informacje miały naprawdę dużą wartość, mógłby zażądać trzy razy tyle, a my zapłacilibyśmy bez mrugnięcia okiem.**

**–To pan się tym zajmował, majorze, nie my – odparł sucho Cooper. Była to pierwsza uwaga tego rodzaju, jaką Bonner od niego usłyszał.**

**–W porządku, generale. Ale o wszystkim, czego się dowiedziałem, natychmiast informowałem pana, a pan przekazywał to wyżej. Na podstawie tych wiadomości był układany plan działania.**

**Lester Cooper z trudem zapanował nad wzburzeniem. „Młody gniewny” Pentagonu najwyraźniej mu groził. Takie groźby zdarzały się coraz częściej i z jednej strony zaczynały go powoli nużyć, z drugiej zaś coraz bardziej go irytowały.**

**–Nie ma powodu do niesubordynacji, majorze. Po prostu staram się wyznaczyć granice odpowiedzialności. I tak obaj tkwimy w tym po uszy.**

**–W czym, generale?**

**–Doskonale pan wie w czym! W erozji wpływów wojska na sytuację w kraju, w coraz większym lekceważeniu potrzeb armii... Dostajemy pieniądze za to, żeby utrzymywać siły obronne państwa na jak najwyższym poziomie gotowości bojowej, a nie obserwować ich stopniową dezintegrację!**

**–Rozumiem pana, generale.**

**Bonner naprawdę rozumiał swego przełożonego, choć jednocześnie ogarnęły go poważne wątpliwości, czy zdoła on sprostać piętrzącym się przed nim zadaniom. Cooper recytował stare banały z takim przejęciem, jakby to były biblijne objawienia. Wyglądało na to, że przestał się kontrolować, a przecież sytuacja wymagała właśnie maksymalnego opanowania i chłodnej kalkulacji. Bonner w ułamku sekundy podjął decyzję, której nie miał prawa podejmować. Ukryje przed generałem prawdziwe powody przylotu do Waszyngtonu przynajmniej na razie, dopóki nie porozmawia z Trevayne'em.**

**–Ponieważ był pan uprzejmy zgodzić się ze mną, majorze, oczekuję pana w moim gabinecie punktualnie o godzinie dziewiętnastej, czyli za godzinę i piętnaście minut.**

**Bonner prawie nie słuchał dowódcy. Podświadomie przestał się z nim liczyć.**

**–Jeśli to rozkaz, generale, naturalnie zrobię wszystko, żeby go wykonać, ale ośmielę się zauważyć, że każda minuta, którą spędzę, nie poszukując Trevayne'a, może mieć poważne konsekwencje... Jestem jedyną osobą, której na pewno zechce wysłuchać.**

**Odpowiedziało mu przeciągające się milczenie. Bonner wiedział, że zwyciężył.**

**–Co pan mu powie? – usłyszał wreszcie.**

**–Prawdę. W każdym razie taką, jaką ja widzę. Skontaktował się z niewłaściwym człowiekiem. Z nieprzystosowanym do życia w społeczeństwie psychopata. A jeśli, czego nie można wykluczyć, podobnie ma się rzecz z je go innymi informatorami, to trzeba dać mu jasno i wyraźnie do zrozumienia, że otrzymuje fałszywe wiadomości.**



**–Gdzie on teraz jest?**

**Bonnerowi wydawało się, że w głosie generała pojawiła się ulga.**

**–Na razie wiem tylko, że na pewno gdzieś w Waszyngtonie. Myślę, że uda mi się go znaleźć.**

**Paul słyszał głośny oddech Coopera. Generał starał się stworzyć wrażenie, że jego decyzja będzie stanowcza i przemyślana, podczas gdy naprawdę była to jedyna decyzja, jaką mógł podjąć.**

**–W takim razie oczekuję na pański meldunek w tej sprawie. Proszę zadzwonić około dwudziestej trzeciej. Będę w domu.**

**Bonner z najwyższym trudem oparł się pokusie, by zakwestionować także ten rozkaz generała. Nie miał najmniejszego zamiaru dzwonić do Coopera, chyba że poszukiwania zakończą się niepowodzeniem.**

**Zapaliwszy papierosa – nie zdarzało mu się to zbyt często – podniósł słuchawkę i zadzwonił do przyjaciela z G-2. Minutę później znał już zarówno służbowy, jak i domowy numer telefonu senatora Mitchella Armbrustera.**

**Zastał go w domu.**

**–Senatorze, muszę znaleźć Andrew Trevayne'a.**

**–Dlaczego zwraca się pan z tym do mnie?**

**Armbrustera zdradził całkowity brak zainteresowania, jaki usilnie starał się okazać. Bonner nagle zrozumiał znaczenie jednej z notatek Sama Vicarsona: „10.00-11.30 S. A. Qu.”.**

**W tych godzinach senator Mitchell Armbruster miał spotkać się z pracownikami swego biura. Trevayne musiał o tym wiedzieć, jeśli chciał się z nim dzisiaj spotkać.**

**–Nie mam czasu na wyjaśnienia, senatorze. Podejrzewam, że około południa widział się pan z Trevayne'em... – Bonner zawiesił głos, oczekując zaprzeczenia lub potwierdzenia; nie doczekał się, co było równoznaczne z potwierdzeniem. – Jest niezwykle ważne, bym jak najprędzej mógł się z nim skontaktować. Najogólniej rzecz biorąc chodzi o to, że otrzymał całkowicie błędne informacje obciążające wielu niewinnych ludzi zajmujących bardzo**

**eksponowane stanowiska. Między innymi pana, senatorze.**

**–Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, majorze... Bonner, zgadza się?**

**–W grę wchodzi także pilne zamówienia wartości stu siedemdziesięciu ośmiu milionów dolarów, które Departament Obrony skierował do firm w całym kraju.**

**–Nie mam nic do powiedzenia na ten temat...**

**–Może będzie pan musiał coś mieć, jeśli nie znajdzie Trevayne'a i nie powiem mu, że wdał się w konszachty z wrogami państwa! Jaśniej nie mogę tego wyrazić.**

**Cisza.**

**–Senatorze Armbruster!**

**–Kazał taksówkarzowi jechać na lotnisko Dullesa – powiedział Armbruster tym samym bezbarwnym głosem.**

**–Dziękuję panu.**

**Bonner rzucił słuchawkę na widełki, odchylił się do tyłu w fotelu i przyłożył dłoń do czoła. Boże! – pomyślał. – Wszyscy bez przerwy dokądś podróżują!**

Ponownie sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer Stacji Kontroli Lotów portu lotniczego imienia Dullesa.

Mały odrzutowiec typu Lear, wynajęty przez Douglasa Pace'a, wystartował o drugiej siedemnaście po południu. Punkt docelowy: Westchester w stanie Nowy Jork. Planowany czas przybycia: trzecia dwadzieścia cztery.

A więc Trevayne wrócił do domu lub prawie do domu. Przypuszczalnie zechce odwiedzić żonę – nawet na pewno, biorąc pod uwagę okoliczności. Trudno było sobie wyobrazić, by tego nie uczynił. Andy cieszył się rzadko spotykanym szczęściem: miał żonę, którą nie tylko kochał, ale także lubił. Był gotów pokonać wiele kilometrów, by spędzić z nią choć trochę czasu. Większość żonatych mężczyzn, jakich znał Bonner, zrobiłaby to samo, ale w zupełnie innym celu.

Paul wstał zza biurka, podszedł do drzwi, otworzył je i rozejrzał się w poszukiwaniu podpułkownika. Dostrzegł go stojącego przy skomplikowanej tablicy przyrządów, studiującego plik ciasno zapisanych kartek.

–Pułkowniku, potrzebuję pilota. Czy byłby pan uprzejmy dopilnować, żeby mój samolot przygotowano jak najszybciej do startu?

–Chwileczkę, majorze! Baza Andrews nie została wybudowana dla pańskiej osobistej wygody.

–Powtarzam, że potrzebuję pilota. Mój jest na nogach już od dwudziestu czterech godzin.

–To pański problem.

–Pułkowniku, czy chce pan zadzwonić do domu generała Coopera i powtórzyć mu to? Z przyjemnością podam panu jego numer.

Podpułkownik odłożył plik dokumentów i spojrzał badawczo na majora.

–Pracuje pan w kontrwywiadzie, zgadza się?

–Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – odparł Bonner po kilkusekundowym milczeniu.

–Właśnie pan to zrobił.

–Więc jak, chce pan numer generała Coopera?

–W porządku, dostanie pan pilota... Kiedy ma pan zamiar wystartować?

Paul spojrzał na zegarek. Była siódma zero-zero czasu wschodniego.

–Godzinę temu, pułkowniku.

## Rozdział 29

Bonner uzyskał nazwę prywatnego szpitala w Biurze Ochrony Białego Domu, zdobył dokładne dane na temat trasy dojazdu od komórki transportu bazy Andrews, upewnił się, że w Westchester będzie na niego czekał jakiś pojazd, po czym najszczerzej, jak potrafił, podziękował podpułkownikowi za pomoc.

Pojazd okazał się sfatygowaną limuzyną przyprowadzoną z supertajnej bazy w Nyack przez porucznika piechoty. Ponieważ porucznik spodziewał się, że będzie pełnił funkcję kierowcy majora, Bonner dał mu dwadzieścia dolarów wraz z poleceniem, by jak najszybciej odnalazł powrotną drogę do swojej nie umieszczonej na żadnych mapach bazy. Poinformował również porucznika, że nie ma najmniejszego sensu, by zjawił się po samochód wcześniej niż następnego dnia w południe, i dał mu stosowne oświadczenie na piśmie. Porucznik był zachwycony.

Bonner minął szeroko otwartą żelazną bramę i wjechał na kolisty podjazd przed budynkiem szpitala. Zegar na tablicy przyrządów wskazywał dziewiątą trzydzieści pięć. Podjazd był pusty, a dwa podświetlone znaki kierowały wszystkie samochody na parking po drugiej stronie budynku. Bonner nie miał najmniejszego zamiaru zastosować się do nich. Zjechał prawymi kołami na trawnik i zatrzymał wóz. Zaczął padać niezbyt gęsty śnieg; płatki były duże, wilgotne i topiły się wkrótce po zetknięciu z ziemią. Major wysiadł z samochodu, podświadomie oczekując, że lada chwila podejdzie do niego któryś z ochroniarzy przydzielonych przez Biały Dom. Był przygotowany na spotkanie z nimi i na udzielenie wyjaśnień, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nikt się nie pojawił.

Bonner był nieco zdezorientowany. Przecież widział na własne oczy surowe rozkazy, jakie wydano ludziom z ochrony. W przypadku takim jak ten, kiedy budynek miał tylko dwa piętra wysokości i jeden wjazd dla samochodów, jeden człowiek powinien przebywać na zewnątrz, drugi zaś w środku, obaj zaś powinni utrzymywać ze sobą stałą łączność radiową. Chłopcy z Białego Domu byli najlepszymi fachowcami w tej dziedzinie. Zawsze postępowali zgodnie z przepisami, chyba że zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Aby upewnić się, czy przypadkiem nie jest obserwowany bez nawiązywania kontaktu, Bonner przeszedł powoli na drugą stronę samochodu i powiedział niezbyt głośno, lecz wyraźnie:

–Major Paul Bonner z Departamentu Obrony. Proszę o sygnał. Powtarzam: proszę o sygnał.

Nic. Tylko nocna cisza wypełniona ledwo uchwytnym szumem pogrążonego w spokoju budynku.

Paul Bonner sięgnął pod marynarkę i wyjął swój „cywilny” pistolet -ciężką czterdziestkęczwórkę o krótkiej lufie. Jeden pocisk wystrzelony z takiej broni mógł zamienić człowieka w zakrwawioną stertę łachmanów.

Nie zwlekając, pobiegł w kierunku głównego wejścia do szpitala. Nie miał pojęcia, co się dzieje w środku. Jego mundur mógł działać odstraszająco lub prowokująco, ale w obu przypadkach z pewnością przyciągał uwagę. Paul wsunął pistolet do

kieszeni marynarki, odbezpieczył go i trzymając palec na spuście, skierował broń do przodu. W razie potrzeby był gotów strzelić przez materiał.

Nacisnął delikatnie klamkę i pchnął białe drzwi. Swoim niespodziewanym pojawieniem się zaskoczył atrakcyjną pielęgniarkę siedzącą za biurkiem kilka metrów od wejścia. Dziewczyna czytała książkę. W szpitalu panował zupełny spokój.

–Nazywam się Bonner. Dowiedziałem się, że leży u państwa pani Trewayne.

–Owszem... pułkowniku.

–Wystarczy „majorze”.

–Wciąż myślę mi się te dystynkcje – powiedziała pielęgniarka, wstając z krzesła.

–Ja sam mam z tym kłopoty – odparł Bonner. – Szczególnie, jeśli spotykam kogoś z marynarki.

Rozejrzał się w poszukiwaniu ochroniarzy z Białego Domu. Nikogo.

–Rzeczywiście, pani Trewayne jest naszą pacjentką. Spodziewa się pana? To trochę niezwykła pora na odwiedziny, majorze.

–Szczерze mówiąc, szukam pana Trewayne'a. Powiedziano mi, że go tu zastanę.

–Trochę się pan spóźnił. Wszedł mniej więcej godzinę temu.

–Doprawdy?... W takim razie, może udałoby mi się porozmawiać z kierowcą pani Trewayne. Zdaje się, że towarzyszą jej kierowca i sekretarz...

–Oczywiście, majorze – powiedziała dziewczyna z uśmiechem. – Tutaj aż roi się od różnych ważnych osobistości, a większość z nich ma ze sobą kogoś, kogo zadaniem jest chronić je przed natarczywością innych ludzi. Przypuszczam, że ma pan na myśli tych dwóch dżentelmenów, którzy przyjechali z panią Trewayne. Bardzo mili chłopcy.

–Tak, właśnie ich. Gdzie teraz są?

–Ma pan pecha, majorze. Odjechali jeszcze wcześniej niż pan Trewayne.

–Powiedzieli może dokąd? Mam do nich bardzo ważną sprawę.

–Niestety nie. Około wpół do ósmej był telefon do pana Callahana – to ten, który siedział w korytarzu. Powiedział mi tylko, że wraz z kolegą dostali wolny wieczór. Zdaje się, że był z tego powodu bardzo zadowolony.

–Kto dzwonił? A może wie pani chociaż skąd? – Bonner starał się ukryć ogarniający go niepokój, ale chyba niezbyt mu się to udało.

–Wszystkie rozmowy łączy centrala – powiedziała dziewczyna. – Mam spytać telefonistkę, czy coś pamięta?

–Bardzo proszę.

Pielęgniarka podeszła szybko do białych, obitych materiałem wygłuszającym drzwi i otworzyła je. Bonner ujrzał wewnątrz niewielkiej centrali telefonicznej oraz obsługującą ją kobietę w średnim wieku. Przez głowę przemknęła mu myśl, że w prywatnych szpitalach nawet tak niewinne udoskonalenia techniczne starano się ukryć przed oczami interesantów. Wszystko musiało być załatwiane osobiście, ciepło i elegancko.

–To była zamiejscowa rozmowa – oznajmiła pielęgniarka, zamykając drzwi. – Z Waszyngtonu. Proszono pana Callahana towarzyszącego pani Trewayne.

–I zaraz potem obaj wyszli?

Niepokój Bonnera zaczął przeradzać się w strach. Musi jak najszybciej wyjaśnić, co tu się właściwie dzieje!

–Tak – potwierdziła dziewczyna. – Może chce pan skorzystać z telefonu, majorze?

Pielęgniarka była bardzo domyślna.

–Chętnie – odparł z wdzięcznością. – Czy...

–Drugi aparat jest w poczekalni, za tymi drzwiami. – Wskazała szerokie dwuskrzydłowe drzwi po przeciwnej stronie korytarza. – Na stoliku przy oknie. Proszę powiedzieć telefonistce, żeby wpisała rozmowę na rachunek pokoju dwieście dwanaście. Nikt nie będzie podsłuchiwał.

–Jest pani bardzo miła.

–A pan bardzo spięty.

Poczekalnia okazała się właściwie salonem. Na podłodze leżał dywan, a meble były gustowne, nie przypominające w niczym spotykanych zwykle w takich miejscach tandetnych plastikowych krzesełek.

Paul podał telefonistce numer Biura Ochrony Białego Domu. Słuchawkę podniesiono po pierwszym sygnale.

–Tu jeszcze raz major Bonner. Czy poprzednio...

–Tak, majorze. Rozmawiał pan ze mną. Znalazł pan to miejsce?

–Owszem, właśnie stamtąd dzwonię. Co się dzieje?

–Co, gdzie się dzieje?

–Tutaj, w Darien. Kto zwolnił waszych ludzi?

–Zwolnił? O czym pan mówi?

–Okolo wpół do ósmej wasi ludzie zostali zdjęci z posterunku. Dlaczego?

–Nikt nikogo nie zdejmował, majorze Bonner. Co pan wygaduje?

–Nie ma ich tutaj.

–Proszę się dobrze rozejrzeć. Na pewno są. Może nie chcą, żeby pan o tym wiedział, ale...

–Powtarzam panu: oni stąd wyszli! Pracuje u was człowiek nazwiskiem Callahan?

–Proszę zaczekać, wezmę grafik dyżurów... Tak, Callahan i Ellis. Mają służbę do drugiej w nocy.

–Może i mają, ale ich tutaj nie ma, do cholery! Callahan dostał telefon z Waszyngtonu. O siódmej trzydzieści. Zaraz potem obaj wyszli. Powiedzieli pielęgniarce, że mają wolny wieczór.

–To jakieś szaleństwo! Nikt ich nie zwalniał! Na pewno bym coś o tym wiedział, a poza tym uwzględniono by to w grafiku. A przede wszystkim to ja dzwoniłbym do nich!

–Chce pan przez to powiedzieć, że Callahan skłamał? Nie ma go tutaj, może mi pan wierzyć. Ani jego, ani tego drugiego.

–Nie miałyby żadnego powodu, żeby kłamać. Z drugiej strony, nie mógł by opuścić stanowiska bez wyraźnego rozkazu stąd.

–Dlaczego?

–Ze względu na środki zabezpieczenia. Zmieniamy hasła co dwadzieścia cztery godziny. Są ściśle tajne. Ktoś musiałby mu najpierw przekazać hasło, bo...

–Wygląda na to, że ten „ktoś” właśnie to zrobił, bo chłopcy zniknęli.

–To nie ma sensu!

–Całkowicie się zgadzam. Przyślijcie drugi zespół.

–Zaczynają służbę dopiero o...

–Natychmiast!

–O tej porze nikogo nie znajdę!

–Więc niech pan wykorzysta miejscowych. Muszą tu być w ciągu piętnastu minut.

Jeśli o mnie chodzi, to może pan przysłać nawet drużynę harcerską z Darien. I proszę się dowiedzieć, kto odwołał Callahana.

–Spokojnie, majorze. Nie pan tu dowodzi.

–Pan chyba też nie, skoro dzieją się takie rzeczy.

–Zaraz, chwileczkę! Wie pan, kto mógł ich zwolnić?

–Kto?

–Trevayne.

–Był wtedy w pokoju żony.

–Ale mógł im powiedzieć wcześniej. Telefon do Callahana mógł dotyczyć jakiejś sprawy osobistej. Ci chłopcy też mają żony i dzieci. Ludzie zwykle o tym nie myślą – ja muszę.

–Mógłby pan wygłaszać pogawędki w domach starców! – warknął Bonner. – Proszę zrobić, co powiedziałem. Chyba przydałaby się wam jakaś kontrola z Departamentu Obrony.

Odłożył z irytacją słuchawkę, a następnie zastanowił się nad tym, co zasugerował dyżurny z Biura Ochrony Białego Domu. Jeśli Andy rzeczywiście rozmawiał z ochroniarzami, to całkiem możliwe, że nie zwolnił ich do domu, lecz posłał tam, gdzie spodziewał się jakichś kłopotów. Musiały to być bardzo poważne kłopoty, gdyż w przeciwnym razie nie wystawiałby żony na niebezpieczeństwo.

Jeżeli jednak tak nie było i jeżeli obstawa została naprawdę zdjęta, to znaczyło, iż ktoś dokonał tego bez upoważnienia.

Andy wyszedł z poczekalni i ponownie skierował się do pielęgniarki siedzącej przy biurku.

–I jak? – zagadnęła go uprzejmie. – Wszystko w porządku?

–Tak mi się wydaje. Bardzo mi pani pomogła, ale muszę jeszcze trochę pozawracać pani głowę... My zawsze wolimy dmuchać na zimne. Macie tu jakiegoś nocnego dozorcę albo strażnika?

–Tak. Dwóch.

Bonner spokojnie poprosił, by jeden z mężczyzn zajął stanowisko przed drzwiami pokoju Phyllis, drugi zaś w głównym holu – co, jak przypuszczał, i tak wchodziło w zakres jego obowiązków. Wyjaśnił, że zaszła pomyłka przy rozdziale dyżurów, w związku z czym należało podjąć działania zastępcze. Wyłącznie ze względów formalnych, ma się rozumieć. Wkrótce zjawią się fachowcy, którzy zmienią pracowników szpitala.

–Rozumiem, majorze – odparła równie spokojnie dziewczyna. Bonner był pewien, że naprawdę zrozumiała.

–Powiedziała pani, pokój dwieście dwanaście? Pierwsze piętro, jeśli się nie mylę?

Chciałbym zobaczyć się z panią Trevayne. Mogę?

–Naturalnie. Proszę wejść schodami po lewej stronie. Pokój jest na samym końcu korytarza. Mam zadzwonić i uprzedzić pacjentkę?

–Jeśli pani musi, proszę bardzo. Jeśli nie... Wolałbym, żeby pani tego nie robiła.

–Nie muszę.

–Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. Ale już chyba to mówiłem, prawda?...

Patrząc na uroczą twarz o zdecydowanych rysach, Paul zrozumiał, że dziewczyna jest profesjonalistką, podobnie jak on. Wiedział, że ona także zdaje sobie z tego sprawę. Takie spotkania ostatnio zdarzały się coraz rzadziej...

–Lepiej już pójdę.

Wbiegł po schodach, wpadł do korytarza na pierwszym piętrze i pognął do samego końca. Drzwi pokoju dwieście dwanaście były zamknięte, w przeciwieństwie do większości pozostałych. Zapukał głośno, a kiedy usłyszał głos Phyllis, nacisnął klamkę.

Siedziała w fotelu i czytała książkę.

–Mój Boże, Paul!

–Gdzie jest Andy?

–Uspokój się, na litość boską!... – Phyllis bała się o męża. W oczach Paula Bonnera płonął dziki ogień. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. – O wszystkim wiedziałam, ale ty tego nie rozumiesz. Proszę, zamknij drzwi i pozwól sobie wytłumaczyć...

–To ty niczego nie rozumiesz! Nie mam teraz czasu. Dokąd pojechał? – Major natychmiast zorientował się, że Phyllis stara się grać na zwłokę, myśląc, że chroni w ten sposób męża.

Nie chciał mówić jej o nagłym zniknięciu ochrony, ale musiał ją przekonać, że nie ma chwili do stracenia. Zamknął drzwi i zbliżył się do fotela.

–Posłuchaj, Phyllis: chcę pomóc Andy'emu. Jasne, że wściekłem się jak diabli z powodu tej hecy ze szpitalem, ale w tej chwili nie o to chodzi. Muszę go jak najszybciej znaleźć!

–Coś się stało. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. Obawy Phyllis skierowały się w inną stronę. – Czy Andy ma kłopoty?

–Nie wiem na pewno, ale chyba może je mieć.

–Nie leciałbyś za nim z Boise albo z Denver, gdybyś nie był pewien. O co chodzi?

–Błagam cię, Phyl! Powiedz mi tylko, gdzie go mogę znaleźć!

–Pojechał do Barnegat...

–Nie znam tej okolicy. Którędy tam się jedzie?

–Merritt Parkway. Jakiś kilometr po wyjeździe ze szpitala trzeba skręcić w lewo.

–A potem?

–Pierwszy zjazd w Greenwich. Skręcasz w prawo w Shore Road, a po dwunastu kilometrach dojeżdżasz do rozwidlenia. Lewe nazywa się Northwest Shore Road...

–To ta szosa, która potem zamienia się w drogę gruntową?

–Tak, na granicy naszej posiadłości. Paul, co się właściwie stało?

–Ja... Po prostu muszę z nim porozmawiać. Do zobaczenia, Phyl.

Bonner wyszedł z pokoju i szybko zamknął za sobą drzwi. Nie chciał, by Phyllis zobaczyła, jak pędzi co sił w nogach w kierunku schodów.

Przy pierwszym zjeździe w Greenwich obowiązywało ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę. Paul Bonner jechał ponad sześćdziesiąt, ale opony nie traciły kontaktu z mokrą nawierzchnią. Na Shore Road wyprzedzał samochód za samochodem, przyglądając się każdemu uważnie. Strzałka prędkościomierza przekroczyła setkę.

Minął rozwidlenie i mniej więcej po trzech kilometrach wjechał na drogę gruntową. Znalazł się na terenie High Barnegat.

Zwolnił. Śnieg znacznie zgęstniał i snopy światła z reflektorów odbijały się w powietrzu od tańczących płatków, tworząc tysiące ruchliwych plamek. Bonner jechał tą trasą trzy lub cztery razy podczas weekendów spędzanych wspólnie z Trewayne'ami, ale nie pamiętał zbyt dokładnie układu zakrętów.

Nagle wcisnął pedał hamulca. Jakieś sto metrów przed nim ktoś machał zapaloną latarką. Jakiś mężczyzna biegł w jego kierunku. Okno od strony Bonnera było otwarte.

–Mario! To ja, Joey...

Głos był lekko podniesiony ale daleko mu było do krzyku.

Paul czekał bez ruchu, zaciskając dłoń na rękojeści pistoletu. Nagle nieznajomy stanął jak wryty. To nie był samochód, na który czekał! W gęstym śniegu i oślepiającym blasku reflektorów zobaczył to, co chciał zobaczyć, nie to, co było naprawdę: ciemnobrązową limuzynę, w której nie sposób było nie rozpoznać pojazdu stanowiącego własność armii USA.

Mężczyzna sięgnął błyskawicznie pod marynarkę.

–Nie ruszaj się! – ryknął major, wyskakując z samochodu. Schował się za otwartymi drzwiami. – Jeden ruch i jesteś martwy!

W odpowiedzi rozległy się cztery strzały oddane z broni zaopatrzonej w tłumik. Trzy pociski wbiły się w drzwi, czwarty trafił w przednią szybę nad kierownicą, pozostawiając mały otwór otoczony siecią pęknięć przypominającą pajęczynę. Bonner usłyszał ostrożne, oddalające się kroki. Uniósł lekko głowę, ale w tej samej chwili rozległ się piąty strzał i kula świsnęła niedaleko jego głowy.

Korzystając z osłony otwartych drzwi, wycofał się za samochód i padł płasko na ziemię. W prześwicie między podwoziem a ubitą nawierzchnią dostrzegł mężczyznę wycofującego się w kierunku drzew; napastnik co chwila odwracał się i osłaniał ręką oczy, usiłując dostrzec coś w silnym świetle reflektorów. Wreszcie zatrzymał się w cieniu na krawędzi lasu, mniej więcej czterdzieści metrów od Paula. Nie uległo



wątpliwości, iż chętnie wróciłby, żeby sprawdzić, czy ostatni strzał okazał się celny, ale bał się. Jednocześnie z jakiegoś powodu nie mógł uciec z miejsca strzelaniny. Wreszcie odwrócił się i zniknął między drzewami.

Bonner natychmiast domyślił się po co. Uzbrojony mężczyzna zatrzymał jego samochód, pomyliwszy go z kimś innym. Teraz musiał ominąć wojskowy pojazd – bez względu na to, co się stało z jego kierowcą – aby odpowiednio wcześniej spotkać samochód, na który czekał. Oznaczało to, że skieruje się na zachód przez gęsty las porastający obszar High Barnegat i wyjdzie na Shore Road za plecami Paula.

Major Paul Bonner błyskawicznie odzyskał pewność siebie. Przecież pobierał nauki w Siłach Specjalnych, podczas morderczych walk w dżunglach Laosu i Kambodży, kiedy życie jego i ludzi, którymi dowodził, zależało od umiejętności bezszelestnego zlikwidowania zwiadowców nieprzyjaciela. Wiedział, że człowiek, który zniknął w lesie, ustępuje mu pod każdym względem.

Błyskawicznie oszacował odległość dzielącą go od miejsca, w którym widział przeciwnika po raz ostatni: maksimum czterdzieści metrów. Oznaczało to, że ma czas – pod warunkiem, że będzie działał szybko i cicho.

Wypadł z samochodu i wbiegł między drzewa, odgarniając na boki gałęzie – żadna nie miała prawa się złamać ani uderzyć o inne. Poruszał się w półprzysiadzie, przed postawieniem każdego kroku badając najpierw teren wysuniętą stopą. Kiedy tylko napotykała jakiś twardy przedmiot – kamień lub ułamaną gałąź – omijała go niczym superczuła macka, nie zakłócając doskonale skoordynowanych ruchów całego ciała. W ten sposób Bonner zagłębił się na jakieś dziesięć metrów w wilgotny, ciemny las, po czym skręcił w lewo, równoległe do strumieni światła wyrzucanych przez reflektory jego samochodu. Natrafiwszy na szeroki pień drzewa wyprostował się i stanął tak, by dostrzec sylwetkę każdego, kto znalazłby się między drzewem a oświetloną drogą. Dzięki temu zobaczy przeciwnika, podczas gdy tamten nie będzie miał żadnych szans na to, by go dostrzec.

Czekając bez ruchu, przytulony do chropawej kory, myślał o tym, jak często stosował identyczną taktykę. Różnica polegała na tym, że wówczas wykorzystywał blask wschodzącego słońca lub wiszącego nisko księżyca.

Był dobry w swoim fachu. Znał prawa obowiązujące w dżungli.

Co mogły o tym wiedzieć bobry?

Wreszcie mężczyzna pojawił się w jego polu widzenia. Szedł niepewnie, przepychając się między gałęziami, ze wzrokiem skierowanym na drogę i uniesionym pistoletem, gotowym do oddania strzału.

Powinien minąć Bonnera w odległości mniej więcej pięciu metrów.

Paul wybrał odpowiednie miejsce do ataku i czekał na dogodną okazję. Będzie musiał na sekundę lub dwie odwrócić uwagę obcego, tak by tamten zatrzymał się dokładnie tam, gdzie powinien. Schylił się, po omacku znalazł jakiś kamień, podniósł go i zamarł w oczekiwaniu, licząc kroki przeciwnika.

Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, cisnął kamieniem w kierunku samochodu, trafiając w maskę. Odgłos uderzenia sprawił, że mężczyzna przypadł instynktownie do ziemi, po czym oddał jeden za drugim pięć strzałów w kierunku nieruchomego

pojazdu. Bonner dopadł go w chwili, kiedy przebrzmiało piąte pyknięcie.

Chwycił mężczyznę za włosy i prawą rękę, jednocześnie z całej siły uderzając go kolanem w żebra. Rozległ się trzask łamanej kości i bolesny okrzyk. Pistolet upadł na ziemię, a po czaszce unieruchomionego człowieka zaczęły spływać strumyki krwi. Paul wyrwał mu część włosów wraz ze skórą.

Akcja trwała nie dłużej niż dziesięć sekund.

Mężczyzna był sparaliżowany bólem, ale tak jak chciał tego Bonner, nie stracił przytomności. Major wyciągnął go z lasu, wrzucił na przednie siedzenie samochodu, po czym wskoczył za kierownicę i nabierając ostro prędkości ruszył w kierunku domu Trevayne'a. Nieznajomy szlochał, jęczał i błagał o litość.

Bonner pamiętał, że od podjazdu przed głównym budynkiem odchodzi krótkie odgałęzienie prowadzące do obszernego garażu na cztery samochody, stojącego z lewej strony domu. Skręcił tam i wprowadził wóz do otwartego, pustego garażu, nie zważając na jęki leżącego bezwładnie na siedzeniu człowieka. Wyłączywszy silnik, chwycił mężczyznę jedną ręką za kark, po czym rąbnął go zaciśniętą pięścią w podbródek, pozbawiając przytomności.

W pewnym sensie można było to uznać za przejaw humanitaryzmu. Prawie nic nie boli tak bardzo jak połamane żebra.

Zgasił światła, wysiadł z samochodu i pobiegł w kierunku wejścia do domu. W otwartych drzwiach stała służąca.

–A, to pan, majorze Bonner. Zdawało mi się, że słyszałam samochód. Jak się pan miewa?

–Znakomicie, Lillian. Gdzie jest pan Trevayne?

–Na dole, w gabinecie. Odkąd przyjechał, w ogóle nie odchodzi od telefonu. Zadzwoń do niego i powiem mu, że pan jest tutaj.

Paul pamiętał dźwiękoszczelny gabinet Andrew. Nie sposób było usłyszeć tam nadjeżdżającego samochodu. W ogóle nic nie można było tam usłyszeć.

–Lillian, nie chciałbym cię niepokoić, ale musimy wyłączyć wszystkie światła. Natychmiast.

–Proszę?

Lillian była nowoczesną służącą, ale hołdowała starym tradycjom; przyjmowała polecenia wyłącznie od pracodawców, nigdy od ich gości.

–Skąd mogę zadzwonić do pana Trevayne'a? – zapytał Bonner, wchodząc do holu. Nie miał czasu na przekonywanie służącej.

–Tutaj, proszę pana. – Lillian wskazała aparat przy schodach. – Proszę wcisnąć trzeci guzik.

–Paul! – wykrzyknął zdumiony Trevayne. – Co ty tutaj robisz?

–Porozmawiamy o tym później. Możemy nawet się pokłócić, jeśli masz takie życzenie, ale na razie powiedz Lillian, żeby robiła, co jej każę. Musimy zgasić wszystkie światła. To poważna sprawa, Andy.

Trevayne nie wahał się ani chwili.

–Daj mi ją.

Lillian powiedziała tylko cztery słowa:

–Tak jest, proszę pana.

Jeśli się pośpieszy, nie powinno jej to zająć dużo czasu – pomyślał Bonner, zaglądając przelotnie do salonu. Wydawało mu się, że na piętrze także paliło się kilka świec. Nie mógł jej pomóc. Przede wszystkim musiał porozmawiać z Andym.

–Lillian, jak tylko skończysz, zejdź do gabinetu pana Trevayne'a. Nie ma się czego obawiać. Po prostu staram się nie dopuścić do tego, żeby musiał spotkać się z kimś, kogo nie powinien i na pewno nie chce widzieć. Z pewnością to spotkanie byłoby przykre dla obu stron.

Wyjaśnienie okazało się wystarczające. Lillian westchnęła z rezygnacją. Paul osiągnął zamierzony cel: wyeliminował strach, który mógłby zmniejszyć skuteczność działania. Ruszył w kierunku schodów prowadzących na dół, starając się zachowywać możliwie swobodnie, ale jak tylko zniknął służącej z oczu, popędził co sił w nogach, przeskakując po trzy stopnie.

Trevayne stał przy biurku usłanym żółtymi kartkami powyrywanych z notatnika.

–Na litość boską, o co chodzi? Skąd się tu wzięłeś?

–Chcesz powiedzieć, że nie dzwonili do ciebie ani Sam, ani Alan?

–Zadzwoił Sam. Zniknąłeś bez słowa wyjaśnienia. Czy to jakaś nowa taktyka? Próbujesz ataku z zaskoczenia? Jestem pewien, że byłbyś do tego zdolny.

–Zamknij się, do cholery! Miałbym pełne prawo tak postąpić.

–Słusznie. Wybacz mi. Wydawało mi się to konieczne.

–Masz tu jakieś zasłony albo żaluzje?

–Tak, sterowane elektrycznie. Przyciski są po obu stronach okna, zaraz ci pokażę...

–Nie ruszaj się! – warknął Bonner. Dostrzegł już dwa guziki i nacisnął je kolejno. Pionowe żaluzje zasunęły się z cichym szmerem. – Jezu, co za pomysł!

–To przez mojego szwagra. On uwielbia takie zabawki.

–Nieoceniony Douglas Pace, wynajmujący dwa małe odrzutowce i podróżujący jednocześnie między San Francisco, San Bernardino, Houston, Boise, Tacoma i lotniskiem Dullesa.

Bonner odwrócił się do Trevayne'a i spojrzał mu prosto w oczy. W pokoju zapadła cisza.

–Zabrałeś się do roboty z ogromnym zapalem, prawda Paul? – przerwał ją wreszcie Andrew.

–To nie było trudne.

–Wyobrażam sobie. Sam też zajmowałem się kiedyś takimi rzeczami.

–Masz za mało ludzi. Nawet nie wiesz, co za sobą zostawiasz... Ktoś próbuje ci się dobrać do skóry. Przypuszczam, że będzie tu najdalej za kilka minut.

–O czym ty mówisz?

Bonner opowiedział mu w skrócie o ostatnich wydarzeniach. Trevayne przeraził się, dowiedziawszy, że Phyllis została bez opieki, ale Paul uspokoił go nieco, informując o podjętych środkach zaradczych. Zminimalizował wagę incydentu na drodze, mówiąc tylko, że nieprzytomny mężczyzna znajduje się obecnie w garażu Trevayne'a.

**–Znasz kogoś o imieniu Mario?**

**–De Spadante – odparł natychmiast Andrew.**

**–Szeft mafii?**

**–Tak. Mieszka w New Haven. Kilka dni temu był w San Francisco. Jego ludzie robili wszystko, by to ukryć, ale jesteśmy niemal pewni, że to był on.**

**–Właśnie tu jedzie.**

**–W takim razie zaprosimy go na rozmowę.**

**–Zgoda, ale na naszych warunkach. Pamiętaj, że to on odwołał ochronę, co oznacza, że ma powiązania z kimś bardzo ważnym w Waszyngtonie. Jego człowiek próbował mnie zabić.**

**–Nie powiedziałaś mi tego – odparł Andrew takim tonem, jakby nie do końca wierzył w słowa Paula.**

**–Bo szkoda mi czasu na szczegóły. – Bonner wyjął spod marynarki pistolet i wręczył go Andy'emu. – Trzymaj. Jest naładowany. – Podeszedł do biurka, wydobył z kieszeni garść pocisków i położył je na suszce. Było ich jedenaście. – Tu masz zapasową amunicję. Lepiej wsadź go za pasek, bo przestraszysz tę, jak jej tam... Lillian. Są tu jeszcze jakieś drzwi, którymi mogę przedostać się do garażu, nie paradując w tę i z powrotem przed domem?**

**–Tam. – Trevayne wskazał mu ciężkie drewniane drzwi, które kiedyś pełniły rolę klapy na pokładzie statku. – Prowadzą na taras. Trzeba pójść w lewo ścieżką z kamieni, obok tego okna...**

**–Dojdę do bocznego wejścia do garażu, zgadza się?**

**–Tak.**

**Na schodach rozległy się kroki służącej.**

**–Czy łatwo ją przestraszyć? – zapytał Bonner.**

**–Wręcz przeciwnie. Często zostaje tu sama, czasem nawet na tydzień albo dłużej. Proponowaliśmy, że zorganizujemy jej towarzystwo, ale zawsze odmawiała. Jej mąż – już nie żyje – był gliną w Nowym Jorku... Ale co z Phyllis? Miałaś sprawdzić, co się dzieje w szpitalu.**

**–Właśnie chciałem to zrobić.**

**Paul sięgnął po słuchawkę, a w tej samej chwili do gabinetu weszła Lillian. Przed zamknięciem drzwi nacisnęła przycisk i światła w holu. Trevayne odprowadził ją na stronę i coś tłumaczył przyciszonym głosem, podczas gdy Bonner wykręcał numer Biura Ochrony Białego Domu.**

**Musiał cierpliwie wysłuchać zrzędlivych narzekań na kłopoty z nagłym znalezieniem zastępstw i trudności kadrowe tej instytucji, ale przynajmniej upewnił się, że nowi ludzie już ruszyli w drogę do szpitala, a może nawet do niego dotarli. Pomyślał przełomie o pielęgniarce; Phyllis znajdowała się pod dobrą opieką. Bonner odłożył słuchawkę.**

**–Powiedziałem Lillian prawdę – oznajmił Andrew z drugiego końca pokoju. – To znaczy taką prawdę, jaką usłyszałem od ciebie.**

**Paul odwrócił się i spojrzał na służącą. Gabinet był oświetlony jedynie blaskiem lampy stojącej na biurku, w związku z czym nie mógł dostrzec oczu kobiety.**

**Najważniejsze były oczy. Zobaczył jednak, że twarz Lillian ma spokojny, poważny wyraz.**

**–Dobrze. – Ruszył do tylnych drzwi. – Przeprowadzę z garażu naszego przyjaciela. Jeśli coś usłyszę lub zobaczę, wrócę jak najprędzej, z nim albo bez niego.**

**–Mam ci pomóc? – zapytał Trevayne.**

**–Nie wychodź z tego pokoju! Zamknij za mną drzwi na klucz.**

## Rozdział 30

Mężczyzna imieniem Joey zwinął się na przednim siedzeniu samochodu Bonnera, dotykając czołem wyściółki tablicy przyrządów. Krew z rany na głowie częściowo zaschła, tworząc czerwone sople. Bonner wyciągnął go z wozu, chwycił w pasie i zarzucił sobie na ramię, tak jak czynią strażacy wynoszący z pożaru nieprzytomne ofiary.

Wyszedł przez boczne drzwi garażu i ruszył z powrotem w kierunku tarasu. Nagle zatrzymał się; w oddali, na drodze prowadzącej do posiadłości, pojawił się chwiejny, roztańczony poblask światła. Jakiś samochód jechał powoli gruntową drogą, kołyszając się na nierównościach terenu. Znajdował się w okolicach miejsca, gdzie nieprzytomny teraz człowiek usiłował niedawno zabić Paula. Kierowca chyba kogoś szukał – prawdopodobnie właśnie tego osobnika.

Bonner pobiegł najszybciej, jak mógł do tylnego wyjścia z gabinetu i zastukał w dębowe drzwi.

–Pośpiesz się!

Drzwi otworzyły się. Bonner wpadł do środka i z rozmachem cisnął więźnia na kanapę.

–Boże, ależ on wygląda! – mruknął Andy.

–Lepiej, że to on niż ja – odparł major. – A teraz słuchaj: zbliża się jakiś samochód. Ostateczna decyzja należy do ciebie, ale zanim ją podejmiesz, chcę przedstawić swój punkt widzenia.

–To brzmi bardzo po wojskowemu. Czy to znowu Piąta Aleja i Bulwar Zachodzącego Słońca? Szykujesz się do rozstawienia trumien?

–Daj spokój, Andy!

–Czy to było konieczne? – zapytał gniewnie Trevayne, wskazując nieprzytomnego mężczyznę.

–Tak! A może chcesz wezwać policję?

–Naturalnie, że chcę i to zrobię.

Andrew ruszył w stronę biurka, ale Bonner dwoma susami wyprzedził go i oparł się o blat, odgradzając Trevayne'a od telefonu.

–Nie wysłuchasz mnie najpierw?

–To nie są prywatne manewry, majorze. Nie mam pojęcia, co pan i pańscy wspólnicy chcecie uczynić, ale na pewno nie będziecie tego robić tutaj. Nie zastraszysz mnie swoją taktyką, żołnierzyku.

–Boże, ty mnie zupełnie nie rozumiesz!

–Wydaje mi się, że właśnie zaczynam.

–Wysłuchaj mnie, Andy. Uważasz, że należę do czegoś, co działa przeciwko tobie. Może to prawda, ale nie w tym przypadku!

–Masz nieprawdopodobną zdolność szpiegowania ludzi. Doug Pace, dwa odrzutowce...

–Zgoda, zgoda! Ale teraz chodzi o coś zupełnie innego. Ktokolwiek jest w tym samochodzie, potrafił sięgnąć do samego Białego Domu!

–Chyba obaj wiemy w jaki sposób, czyż nie tak? Poprzez Genessee Industries!

–Nie. Nie w tym układzie. Na pewno nie ten Mario-jakiś-tam...

–Co wy właściwie...

–Pozwól mi się tego dowiedzieć. Daj mi szansę. Proszę! Jeśli zawiadomisz policję, wszystko przepadnie.

–Dlaczego?

–Dlatego że interwencja policji oznacza sądy, prawników i całą tę kupę gówna! Daj mi dziesięć, maksimum piętnaście minut.

Trevayne przez chwilę wpatrywał mu się w twarz. Major nie kłamał. Był zbyt wściekły i zdumiony, żeby kłamać.

–Dziesięć minut.

Do Paula znowu wróciły czasy Laosu i Kambodży. Wiedział, że nie powinien cieszyć się z tego powodu, ale usprawiedliwiał się, powtarzając samemu sobie, że jeśli nie skorzysta z nabytych wtedy umiejętności, zostanie popełnione wielkie, niewybaczalne oszustwo. Wybiegł na taras, przystanął na sekundę i instynktownie obrzucił uważnym spojrzeniem kamienną ścieżką wiodącą w dół zbocza do hangaru i przystani. Zawsze trzeba starać się poznać otoczenie i zapamiętać szczegóły. Później może się to przydać.

Podkraść się trawnikiem wzdłuż bocznej ściany budynku i wychylił się ostrożnie zza rogu. Blask reflektorów zniknął, a jedynym słyszalnym odgłosem był ledwo uchwytny szmer płatków śniegu. Ktokolwiek jechał po gruntowej drodze, z pewnością zatrzymał już samochód, wyłączył silnik i teraz zbliżał się na piechotę.

To dobrze. Paul znał teren. Może niezbyt dokładnie, ale na pewno lepiej niż intruzi.

Śnieg nie topił się już tak prędko. Bonner skrył się w cieniu i zdjął szybko marynarkę. Na białym tle jasna koszula powinna mniej rzucać się w oczy niż ciemny mundur. Pozornie była to drobnostka, ale w sytuacjach takich jak ta, kiedy w grę wchodziło podstępne usunięcie ochrony osobistej i próba morderstwa, nie mogło być mowy o żadnych drobnostkach. Następnie Paul przemknął przez trawnik w kierunku kolistego podjazdu i korzystając z osłony drzew, ruszył w stronę drogi.

Dwie minuty później dotarł do jej prostego odcinka i w odległości kilkudziesięciu metrów dojrzał nieruchomą sylwetkę samochodu zaparkowanego na poboczu. Ułamek sekundy później za przednią szybą poruszył się ognek papierosa.

Niemal w tej samej chwili w lesie zapłonęła latarka i rozległy się głosy. Niezbyt donośne, ale wyraźnie czymś podekscytowane. Bonner natychmiast domyślił się, co się stało. Latarka zaświeciła w miejscu, gdzie niedawno obezwładnił mężczyznę z pistoletem. Wilgotny śnieg nie zdążył zasypać świeżych śladów krwi i odcisków stóp.

Po przeciwnej stronie drogi błysnął drugi strumień światła. W sumie co najmniej trzech ludzi. Mężczyzna, siedzący do tej pory w samochodzie, wysiadł i rzucił niedopałek na ziemię. Bonner podkładał się coraz bliżej, gotów w każdej chwili do skoku. Znajdował się już w odległości około trzydziestu metrów i zaczynał rozróżniać poszczególne słowa. Człowiek stojący przy samochodzie wydawał rozkazy.

Poleciał mężczyźnie po prawej stronie drogi, by ruszył w kierunku domu i przeciął druty telefoniczne. „Porucznik” nie zadawał żadnych dodatkowych pytań, co dało

**jakąś informację Paulowi na jego temat. Drugi mężczyzna, zwany Augiem, miał cofnąć się wzdłuż drogi i obserwować, czy nikt się nie zbliża. Gdyby zauważył jakiś samochód, powinien głośno krzyknąć.**

**–Dobra, Mario – odparł Augie. – Nie mam pojęcia, co tu się mogło stać!**

**–Ty w ogóle nie masz o niczym pojęcia, *fratello***

**Mario de Spadante osłaniał skrzydła.**

**To dobrze – pomyślał Bonner. – Wiem, gdzie trzeba uderzyć.**

**Z pierwszym poszło mu nadspodziewanie łatwo. Mężczyzna nawet nie zdążył się zorientować, co się dzieje. Paul ruszył wzdłuż linii telefonicznej, spodziewając się, że podobnie postąpi „porucznik”, i zaczął się w cieniu drzewa. W chwili gdy mafioso wyciągnął z kieszeni nóż, Bonner wyskoczył z ukrycia i wymierzył mu w podstawę karku cios karate. Mężczyzna runął bezwładnie na ziemię, oddając mocz w spodnie. Major błyskawicznie wyjął nóż z jego nieruchomej dłoni.**

**Ponieważ od domu dzieliła go niezbyt duża odległość, pobiegł szybko przez trawnik, przemknął przez taras i zastukał cicho do drzwi. Najwyższy czas, by uspokoić tych, którzy czekają.**

**To ty, Paul? – dobiegł z wnętrza stłumiony głos Trevayne'a.**

**–Tak. – Drzwi otworzyły się. – Wszystko w porządku, ten de Spadante jest sam – skłamał. – Czeką w samochodzie na swojego kumpla. Pogadam z nim.**

**–Przyprowadź go tutaj, Paul. Zależy mi na tym. Muszę usłyszeć, co ma do powiedzenia.**

**–Dobra, ale to zajmie mi trochę więcej czasu. Cofnął wóz, a ja spróbuję podejść go od tyłu, żeby nie narobił kłopotów. Po prostu chciałem, żebyś wiedział, jak się mają sprawy. Nie przejmuj się. Przyjdziemy za jakiś kwadrans.**

**Bonner odwrócił się i zniknął w ciemności, nie czekając na odpowiedź Andrew.**

**Posuwając się lasem, po pięciu minutach minął samochód de Spadante-go. Widział otyłego Włocha stojącego przy masce i zapalającego kolejnego papierosa. Wydawał się kryć coś w skulonej dłoni. Wsadził papierosa do ust, a następnie zrobił coś dziwnego: oparł prawą rękę na masce samochodu i wykonał nią gwałtowny ruch. Rozległ się nieprzyjemny chrobot, jakby drapanie metalu o metal. Bonner nie był w stanie tego zrozumieć.**

**Mężczyzna imieniem Augie siedział za zakrętem na dużym głazie, przysypanym już częściowo śniegiem. W lewej ręce trzymał zgaszoną latarkę, w prawej zaś pistolet. Wpatrywał się prosto przed siebie, kuląc się z zimna. Znajdował się po przeciwnej stronie drogi niż Paul.**

**Bonner zaklął cicho, wycofał się nieco, przemknął niepostrzeżenie na drugą stronę drogi i bezszelestnie podkradł się na odległość trzech metrów od celu. Mężczyzna nie poruszył się, ale Paul uświadomił sobie, że czeka go trudne zadanie.**



Wystarczył jeden ruch palcem, by pistolet wypalił, a nawet jeśli był wyposażony w tłumik, podobnie jak broń człowieka leżącego obecnie na kanapie w gabinecie Trevayne'a, to i tak de Spadante z pewnością rozpozna odgłos strzału. Gdyby tłumika nie było, huk dotarłby także do uszu właściciela posiadłości. Nawet gruba warstwa dźwiękochłonnej wykładziny niewiele mogła pomóc. Trevayne natychmiast wezwałby policję.

Major Bonner nie chciał mieć do czynienia z policją. Jeszcze nie teraz.

Zrozumiał, że będzie musiał popełnić morderstwo.

Zacisnął dłoń na rękojeści noża odebranego gangsterowi, który otrzymał polecenie przecięcia drutów telefonicznych, i ruszył ostrożnie do przodu. Nóż był duży i wyśmienicie naostrzony. Bonner wiedział, że jeśli zada cios w prawą dolną część tułowia, reakcją będzie spazmatyczne szarpnięcie ciała, rozwarcie palców i odchylenie głowy do tyłu. Dopiero po chwili płuca zdołają nabrać tyle powietrza, by ofiara mogła pokusić się o wydanie krzyku. Podczas tej krótkiej chwili będzie musiał zatkać mężczyźnie usta i wytrącić pistolet z ręki.

Szansa zadania śmiertelnego ciosu zależała od trzech czynników: głębokości rany, a tym samym obfitości wewnętrznego krwotoku; intensywności szoku, który czasem powodował zatrzymanie procesu oddychania; wreszcie od tego, czy ostrze uszkodzi jakieś ważne dla życia organy.

Nie miał wyboru: strzelano do niego. Chciano go zabić. Gdyby zginął, ten mafioso na pewno nie płakałby na jego pogrzebie.

Przeprowadził atak w ułamku sekundy. Rozległo się tylko gwałtowne westchnienie, kiedy napadnięty usiłował nabrać powietrza, a potem ciało osunęło się na ziemię jak sterta szmat.

Major Paul Bonner wiedział, że co prawda egzekucja nie była przeprowadzona w idealny sposób, ale za to okazała się skuteczna. Augie nie żył.

Zaciągnął ciało do lasu i ruszył z powrotem w kierunku samochodu de Spadantego. Śnieg padał coraz gęstszy i coraz bardziej mokry. Tutaj, w bezpośrednim sąsiedztwie oceanu, nigdy nie był suchy ani puszysty. Grunt stawał się coraz bardziej miękki i śliski.

Zrównał się z wozem. Mario de Spadante zniknął. Bonner podkraść się ostrożnie na skraj drogi.

Nikogo.

Zaraz potem dostrzegł świeże ślady na śniegu. De Spadante poszedł w stronę domu. Przyjrząwszy się dokładniej, stwierdził, że początkowo poszczególne ślady znajdowały się w odległości kilkunastu centymetrów jeden od drugiego, lecz zaraz potem odległość zwiększała się do ponad pół metra. To były ślady człowieka, który zerwał się do biegu. Z jakiejś przyczyny de Spadante popędził co sił w nogach do domu Trevayne'a.

Bonner starał się odgadnąć, dlaczego. Był całkowicie pewien, że „porucznik” od linii telefonicznej nie odzyska przytomności jeszcze przez co najmniej trzy lub cztery godziny. Umieścił ciało w słabo widocznym miejscu i skrupował nogi gangstera jego własnym paskiem. Zadanie nie należało do najprzyjemniejszych, ponieważ spodnie

nieprzytomnego mężczyzny były przesiąknięte moczem. Zaraz potem Paul starannie wytarł ręce śniegiem, by choć trochę je oczyścić.

Dlaczego de Spadante nagle popędził do domu Trevayne'a?

Nie było czasu na rozmyślania. Przede wszystkim należało zapewnić bezpieczeństwo Trevayne'owi, który będzie poważnie zagrożony, jeśli otyły mafioso pojawi się w jego pobliżu.

Bonner nie mógł sobie pozwolić na powolne skradanie się między drzewami. Ruszył drogą, nie spuszczać oka ze śladów. W miarę zbliżania się do podjazdu stawały się coraz bardziej wyraźne. Kiedy znalazł się w pobliżu domu, instynkt podpowiadał mu, by ukryć się i nie wychodzić na otwarty teren, lecz niepokój o los Trevayne'a zagłuszył głos rozsądku. Prowadziły do linii telefonicznej, a następnie skręcały pod ostrym kątem, zmierzając w stronę frontu budynku.

Najwyraźniej de Spadante szukał człowieka, którego wysłał z zadaniem przecięcia drutów telefonicznych. Domyślił się, że tamten wpadł w zasadzkę, kiedy dostrzegł miejsce, w którym rozegrała się krótka walka. Bonner myślał intensywnie; nawet najfnniejszy błąd mógł przynieść fatalne skutki. Musi zachować daleko idącą ostrożność. Naturalnie de Spadante nie przeoczył głębokiej bruzdy pozostawionej przez ciągnięte po ziemi ciało. Z pewnością postąpił tak, jak uczyniłby każdy człowiek obeznany choć trochę z polowaniem: wycofał się i zastawił własną pułapkę, przemieniając się ze zwierzyny w myśliwego.

Paul podbiegł do schodków przed głównym wejściem, gdzie urywały się ślady. W jaki sposób? Dlaczego?

Niemal natychmiast zorientował się, co uczynił mafioso, i poczuł coś w rodzaju niechętnego szacunku. Tuż przy ścianie budynku, za ozdobnymi krzewami, ziemia była tylko wilgotna, gdyż szeroki okap zasłaniał ją przed padającym śniegiem. Ciemny pas półmetrowej szerokości ciągnął się wzdłuż muru aż do narożnika domu, gdzie docierały druty telefoniczne. Bonner nachylił się i dostrzegł głęboki odcisk męskiego buta.

De Spadante wycofał się tędy, nie pozostawiając śladów na świeżym śniegu. Należało się domyślać, że czeka gdzieś w cieniu na człowieka, który rozprawił się z jego „porucznikiem”. Możliwe, że widział Bonnera zaledwie kilka sekund temu, biegnącego w kierunku wejścia do domu. Ale gdzie był teraz?

Ponownie należało odwołać się do logiki myśliwego – lub zwierzyny. De Spadante z pewnością wykorzystał już istniejące ślady i wrócił do lasu.

Paul nie mógł nie docenić przeciwnika. Każdy z nich był teraz myśliwym i zwierzyną.

Błyskawicznie przebiegł schodami na drugą stronę budynku, pomknął drogą dojazdową do garażu, a następnie skręcił w prawo, w ścieżkę wiodącą do tarasu i kamiennych schodów prowadzących do przystani i hangaru. Jednak zamiast wejść na taras, Bonner przeskoczył ceglany murek, minął kamienne stopnie i hangar, aż wreszcie dotarł do krawędzi lasu graniczącego niemal bezpośrednio z oceanem. Przywarłszy do ziemi, poczołgał się w kierunku miejsca, gdzie zostawił ogłuszonego „porucznika”. Kilka razy zamknął na dość długo oczy, by przyzwycząić je do

ciemności i uczynić bardziej wrażliwymi. Lekarze wątpili w skuteczność tej metody – w przeciwieństwie do funkcjonariuszy Sił Specjalnych.

Zobaczył go mniej więcej po piętnastu metrach.

Mario de Spadante czał się za pnem powalonego drzewa. W lewej ręce miał pistolet, prawą zaś trzymał się gałęzi i wychylony ostrożnie, spoglądał w kierunku budynku. Zajął pozycję dostatecznie blisko drogi, by móc szybko się wycofać na wypadek, gdyby jego drugi człowiek podniósł alarm -człowiek, który leżał teraz martwy w lesie.

Bonner bezszelestnie podniósł się na nogi, wyjął z paska czterdziestkęczwórkę, wyciągnął ją przed siebie i stanął tuż obok grubego drzewa, wiedząc, że w razie potrzeby na pewno zdąży się za nim schować.

–Celuję prosto w twoją głowę. Na pewno nie chybię.

De Spadante skamieniał, po czym wykonał ruch, jakby chciał odwrócić się w stronę, z której dobiegł głos.

–Stój spokojnie! – ryknął Bonner. – Jeden fałszywy ruch, a rozwalę ci łeb na kawałki! Wyprostuj palce... Wyprostuj je! A teraz rzuć pistolet.

Włoch postąpił, jak mu kazano.

–Kim jesteś, do cholery?

–Kimś, o kim zapomniałeś, zajmując się szpitalem, ty sukinsynu.

–Jakim szpitalem? Nic nie wiem o żadnym szpitalu.

–Oczywiście, że nie wiesz. Wybrałeś się tylko na wycieczkę. Nie znasz też żadnego Joeya, który śledził Trevayne'a na twoje polecenie.

De Spadante nie był w stanie ukryć wściekłości.

–Kto cię przysłał? – zapytał Bonnera chrapliwym głosem. – Dla kogo pracujesz?

–Wstawaj. Pomału!

Mafioso z trudem dźwignął swoje ciężkie ciało.

–W porządku. W porządku... Czego ode mnie chcesz? Wiesz, kim jestem?

–Wiem, że wysłałeś człowieka, który miał przeciąć linię telefoniczną.

Wiem też, że postawiłeś drugiego na drodze. Spodziewasz się kogoś?

–Może... Zadałem ci pytanie.

–Zadałeś mi kilka pytań. Idź powoli w kierunku podjazdu. Tylko bardzo uważaj, de Spadante. Zabicie cię nie sprawi mi żadnej przykrości.

Włoch odwrócił się raptownie.

–A więc znasz mnie!

–Nie zatrzymuj się.

–Jeśli mnie dotkniesz, będziesz miał do czynienia z całą armią.

–Doprawdy? W takim razie będę musiał skorzystać z własnej.

De Spadante obejrzał się przez ramię, mrużąc oczy w głębokim mroku.

–Ta koszula i pasek... Tak mi się właśnie wydawało. Jesteś żołnierzem.

–Ale nie twoim. U nas nie ma rodzin, tylko generałowie, pułkownicy i tak dalej. Nie odwracaj się. Idź prosto przed siebie.

Dotarli do krawędzi lasu i wyszli na kolisty podjazd.

–Posłuchaj, żołnierzu: popełniasz poważny błąd. Współpracuję z wami.

**Powinieneś o tym wiedzieć, skoro mnie znasz.**

**–Opowiesz mi o tym później, a na razie idź wzdłuż domu aż do tarasu.**

**–A więc on tu jest... Co się stało z tym fiutem Joeyem?**

**–Najpierw ty mi powiedz, dlaczego zostawiłeś samochód i pobiegłeś jak wariat w kierunku domu, a może ja powiem ci o Joeyu.**

**–Kazałem tamtemu sukinsynowi przeciąć druty i dać mi sygnał latarką. Taka robota nie powinna zająć aż dziesięciu minut.**

**–Sam to sprawdź. Twój przyjaciel Joey jest w środku. Nie czuje się zbyt dobrze.**

**Ominęli dom z prawej strony, idąc po schodzącym stopniowo w dół trawniku. De Spadante zatrzymał się w połowie drogi do tarasu.**

**–Ruszaj!**

**–Zaczekaj chwilę. Porozmawiajmy. Krótka rozmowa żadnemu z nas na pewno nie zaszkodzi. Dwie minuty.**

**–Powiedzmy, że zależy mi na czasie. – Bonner zerknął na zegarek. Właściwie miał jeszcze pięć minut zapasu; może warto spróbować? Może mafioso powie mu coś, czego nie powiedziała by w obecności Trevayne'a?**

**–Kim jesteś? Kapitanem? Nie wyglądasz na jakiegoś sierżanta.**

**–Mam wyższy stopień.**

**–To dobrze. Bardzo dobrze. Wyższy stopień. To tak po wojskowemu. Wiesz, co ci powiem? Podwyższę ci go o szczebelek albo dwa. Co ty na to?**

**–Co zrobisz?**

**–Przypuśćmy, że jesteś kapitanem. Co idzie potem? Major? A potem zdaje się pułkownik, prawda? Dobra, obiecuję ci majora, ale może uda się dać ci od razu pułkownika.**

**–Pieprzysz.**

**–Daj spokój, żołnierzu. Przecież nic do siebie nie mamy. Odłóż tę spluwę.**

**Walczymy po tej samej stronie.**

**–Ja na pewno nie jestem po twojej stronie.**

**–Chcesz dowodu? Zaprowadź mnie do telefonu, to ci go dostarczę. Bonner był zdumiony. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że de Spadante kłamię, ale jego arogancja była bardzo przekonująca.**

**–Do kogo chcesz zadzwonić?**

**–To moja sprawa. Kierunkowy dwieście dwa. Chyba go znasz, żołnierzu?**

**–Waszyngton.**

**–Powiem ci coś więcej. Dwie następne cyfry: osiem, osiem.**

**Boże! Osiemset osiemdziesiąt sześć, od tej liczby zaczynały się wszystkie numery telefonów Departamentu Obrony!**

**–Kłamiesz.**

**–Powtarzam: zaprowadź mnie do telefonu. Zanim zobaczymy się z Trevayne'em. Nigdy tego nie pożałujesz, żołnierzu. Nigdy...**

**De Spadante dostrzegł niepewność malującą się na twarzy Bonnera. Zauważył także, że dotychczasowe niedowierzanie przeistoczyło się w niechętnie zrozumienie. Bardzo niechętnie. Oznaczało to, że mafioso nie ma wyboru.**

Prawa stopa Włocha poślizgnęła się na ośnieżonym stoku. Niewiele, może kilka centymetrów, ale tak, by dało się to zauważyć.

–Do kogo z Departamentu chcesz zadzwonić?

–O, co to, to nie. Jeśli będzie chciał z tobą rozmawiać, sam ci się przedstawi.

Więc jak, pokażesz mi, gdzie jest telefon?

–Może.

De Spadante wiedział, że to kłamstwo. Poślizgnął się ponownie, z trudem odzyskując równowagę.

–Ta pieprzona trawa jest śliska jak lodowisko... Daj spokój, żołnierzu. Nie bądź głupi.

Zachwiał się po raz trzeci.

Niespodziewanie Włoch lewą ręką chwycił Bonnera za nadgarstek, prawą zaś zadał mu cios w przedramię. Z głębokiej ciętej rany natychmiast popłynęła krew, de Spadante zaś powtórzył uderzenie, tym razem celując w okolice szyi. Z drugiego rozcięcia krew trysnęła jeszcze obfitszym strumieniem.

Paul zatoczył się do tyłu, zaskoczony nagłym atakiem, ale nie wypuścił pistoletu z dłoni. Spróbował kopnąć Włocha w podbrzusze, lecz nie dało to żadnego efektu. De Spadante uderzył z drugiej strony, tnąc ciało jakimś ostrym jak brzytwa narzędziem ukrytym w prawej dłoni. Bonner musiał jak najszybciej unieruchomić tę rękę i utrzymać ją z dala od siebie.

Przewrócili się i toczyli po mokrej ziemi, pokrytej cienką warstwą śniegu, niczym dwa zwierzęta splecione w walce na śmierć i życie. De Spadante zaciskał nadspodziewanie silną dłoń na przegubie prawej ręki Bonnera, major zaś odpychał prawą rękę Włocha, w której kryło się śmiercionośne narzędzie. Przez cały czas ponawiał uderzenia kolanem w podbrzusze napastnika. Kiedy wreszcie odniósł wrażenie, że dało to jakiś skutek, zebrał w sobie siły do ostatniego desperackiego ataku. Wątpił, czy w razie niepowodzenia uda mu się go powtórzyć.

W nocnej białej ciszy wystrzał z czterdziestkiczwórki rozległ się z siłą grzmotu. W dwie sekundy później na tarasie pojawił się Trevayne z bronią gotową do strzału.

Zakrwawiony Paul Bonner dźwignął się chwiejnie na nogi. Mario de Spadante leżał skulony w śniegu, z dłońmi przyciśniętymi do potężnego brzucha.

Paul był zupełnie oszołomiony. Obrazy skakały mu przed oczami, dźwięki docierały jakby zza grubej warstwy waty. Ktoś dotykał jego ciała, stanowczo, lecz delikatnie.

A potem usłyszał słowa Trevayne'a – jedno jedyne zdanie, które zrozumiał bez żadnych kłopotów.

–Trzeba mu założyć opaskę uciskową.

Bonnera ogarnęła ciemność. Wydawało mu się, że leci w jakąś przepaść. W ostatniej chwili zdążył jeszcze pomyśleć, co taki człowiek jak Trevayne może wiedzieć o opaskach uciskowych.

## Rozdział 31

Zanim otworzył oczy, poczuł wilgotne dotknięcie na karku, a potem usłyszał spokojny męski głos. Spróbował się poruszyć, lecz powstrzymał go przed tym okropny ból w prawym ramieniu.

Najpierw zobaczył ludzi, a potem pokój. Nie ulegało wątpliwości, że jest to pokój szpitalny.

Nachylał się nad nim lekarz – na pewno lekarz, sądząc po białym uniformie – a u stóp łóżka stali Andy i Phyllis.

– Witamy, majorze – powiedział lekarz. – Miał pan niezły wieczór.

– Jestem w Darien?

– Tak – odparł Trevayne.

– Jak się czujesz, Paul? – zapytała Phyllis z niepokojem.

– Trochę zeszywniałem.

– Zostaną panu blizny na szyi, ale na szczęście twarz jest nietknięta – poinformował go lekarz.

– Czy on nie żyje?

Paul stwierdził, że mówienie przychodzi mu z dużym trudem. Nie sprawiało bólu, ale wymagało znacznego wysiłku.

– Właśnie go operują w Greenwich. Oceniają jego szansę na czterdzieści do sześćdziesięciu.

– Od razu przywieźliśmy cię tutaj. To jest John Sprague, nasz lekarz – powiedział Trevayne, wskazując ruchem głowy ubranego na biało mężczyznę.

– Dziękuję, doktorze.

– Nie zrobiłem nic wielkiego. Po prostu założyłem parę szwów. Na szczęście pański dobroczyńca założył panu tu i ówdzie opaski uciskowe, a Lilian przez prawie czterdzieści pięć minut trzymała panu na karku kompres z lodem.

Bonner uśmiechnął się słabo.

– Powinieneś dać jej podwyżkę, Andy.

– Już ją dostała – odparła Phyllis.

– Jak długo mam być tak zawinięty? Kiedy będę mógł stąd wyjść?

– Za kilka dni, może za tydzień. To zależy tylko od pana. Trzeba bardzo uważać, żeby nie pozrywać szwów. Prawe ramię i szyję po obu stronach ma pan pocięte na plasterki.

– Akurat w tych miejscach można łatwo założyć opatrunki – powiedział Paul, spoglądając na lekarza. – Wystarczy trochę gazy i plaster.

Sprague uśmiechnął się.

– Mnie pan to mówi?

– Występuję w roli konsultanta... Muszę się stąd jak najprędzej wydostać. Nie chciałem pana urazić, ma się rozumieć.

– Zaraz, chwileczkę. – Phyllis obeszła łóżko i stanęła po prawej stronie Paula. – Majorze Bonner, w tej chwili dla mnie najważniejsze jest to, że ocalił pan życie mojego męża. Nie pozwolę, żeby ktoś wystawiał na szwank twoje życie, Paul. Nawet ty sam.

–To bardzo miło z twojej strony, złotko, ale on także ocalał...

–Dajcie spokój z tymi słodkościami – wtrącił się Andrew. – Musisz teraz odpocząć, Paul. Porozmawiamy rano. Postaram się przyjechać jak najwcześniej.

–Nie. – Bonner utkwił w twarzy Trevayne'a przenikliwe spojrzenie. – Nie rano. Teraz. Tylko kilka minut. Bardzo proszę.

–Co ty na to, John? – zapytał Trevayne, nie odwracając wzroku. Sprague z zainteresowaniem śledził zmagania dwóch mężczyzn.

–Jak kilka minut, to kilka. Nie mniej niż dwie, nie więcej niż pięć. Domyślam się, że chcielibyście zostać sami. Odprowadzę Phyllis do jej pokoju. – Spojrzał na żonę Trevayne'a. – Czy twój troskliwy mąż pamiętał o tym, żeby przywieźć ci trochę whisky, czy też musimy zajrzeć do mojego gabinetu?

–Sama ją wzięłam. – Phyllis nachyliła się nad Paulem i pocałowała go w policzek. – Jestem ci wdzięczna bardziej, niż kiedykolwiek zdołam to wyrazić. Jesteś bardzo dzielny człowiekiem... i bardzo dobrym. Przyjmij nasze przeprosiny.

John Sprague otworzył przed nią drzwi. Kiedy wyszła na korytarz, odwrócił się i powiedział do Paula:

–Tak się przypadkiem składa, że ma pan rację, doktorze. Szyja i przed ramię są łatwo dostępne i dają się bez trudu opatrzyć, ale nawet wtedy pacjent nie może utrudniać przebiegu leczenia.

Drzwi zamknęły się za lekarzem i dwaj mężczyźni zostali sami.

–Nie spodziewałem się żadnych kłopotów, Andy – powiedział Bonner.

–Gdybym podejrzewał, że może zdarzyć się coś takiego, powstrzymałbym cię i wezwałbym policję. Zginął człowiek.

–Ja go zabiłem. Przyjechali tam po to, żeby cię zlikwidować.

–Dlaczego więc mnie okłamałeś?

–A uwierzyłbyś mi?

–Nie jestem pewien. Jeszcze jeden powód, żeby wezwać policję. Nie przypuszczałem, że posuną się aż tak daleko. To nie do wiary.

–Mówiąc „oni”, masz na myśli nas, prawda?

–Na pewno nie ciebie. Mogłeś stracić życie. Niewiele brakowało, żeby tak się stało... Chodzi mi o Genessee Industries.

–Mylisz się. Tego właśnie starałem się dowiedzieć. Chciałem, żebyś sam porozmawiał z tym grubym sukinsynem i dowiedział się prawdy. – Bonner mówił z wyraźnym trudem. – Chciałem zmusić go, żeby ci wszystko powiedział. On nie ma nic wspólnego z Genessee. Nie działa z nami.

–Chyba sam w to nie wierzysz, Paul. Nie po tym, co się stało.

–Owszem, wierzę. Te informacje, za które zapłaciłeś w San Francisco... Kupiłeś je od wariata o inicjałach L. R. Wiem o tym, bo ja też mu zapłaciłem. Trzysta dolarów... Zabawne, prawda?

Trevayne nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. – Rzeczywiście. Ciężko pracowałeś, Paul. Wykorzystywałeś wszystkie możliwości, a miałeś ich wiele. Ale nam w gruncie rzeczy nie chodziło o informację, tylko o potwierdzenie pewnych faktów, o których dowiedzieliśmy się wcześniej.

–W związku z Armbrusterem?

–Tak.

–To dobry człowiek. Myśli podobnie jak ty.

–To bardzo dobry człowiek. I żalosny. Najgorsze w tej historii jest to, że aż się w niej roi od takich żalonych facetów.

–W Houston? Pasadenie? Tacomie? A może w Seattle?

–Tak jest. A także tutaj, w Greenwich; na stole operacyjnym. Choć akurat ten jest nie tyle żalosny, co po prostu brudny. Chciał cię zabić, Paul. Stanowi część układanki.

Bonner odwrócił wzrok. Zdarzyło się to po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczęli dyskutować i sprzeczać się na różne, mniej lub bardziej istotne tematy. Andrew dostrzegł na jego twarzy cień wątpliwości.

–Nie możesz być tego pewien – mruknął major.

–Owszem, mogę. Zjawił się w San Francisco akurat wtedy, kiedy i my tam byliśmy. Kilka tygodni wcześniej w Marylandzie poturbował kongresmena z Kalifornii, który po pijanemu bąknął coś o Genessee Industries. Mario de Spadante z całą pewnością bierze w tym wszystkim udział.

Bonner był wyczerpany. Oddychał ciężko przez usta. Wiedział, że wyznaczone kilka minut już minęło, a zresztą i tak nie wytrzymałby dużo więcej. Podjął ostatni desperacki wysiłek, by przekonać Trevayne'a.

–Wycofaj się, Andy. Stworzysz znacznie więcej problemów, niż rozwiążesz. Pozbędziemy się szumowin. Zupełnie niepotrzebnie nadasz pewnym sprawom zbyt wielki rozgłos.

–Słyszałem już to, Paul. Na mnie to nie działa.

–Zasady... Kierujesz się cholernymi zasadami, na które możesz sobie pozwolić dzięki kontu w banku!

–Przypuszczam, że masz rację. Powiedziałem to na samym początku: nie mam nic do stracenia ani zyskania. Od tamtej chwili powtarzam to ciągle każdemu, kto tylko zechce mnie wysłuchać.

–Wyrządzisz mnóstwo szkód.

–Spotkałem wielu ludzi, których jest mi naprawdę żal. Jeśli to właśnie cię martwi, to mogę cię uspokoić, że na pewno spróbuję im pomóc.

–Gównu mnie obchodzą ludzie! Zależy mi wyłącznie na tym kraju... To nie jest odpowiedni czas dla takich jak ty, rozumiesz?

Bonner oddychał bardzo głośno.

–W porządku, Paul – powiedział uspokajającym tonem Andrew. – W porządku. Porozmawiamy jutro.

Major przymknął powieki.

–Czy... czy zechcesz mnie wtedy wysłuchać? Czy pozwolisz, żebyśmy sami wysprzątali nasz dom? Zatrzymasz się? Damy sobie radę, naprawdę! – Otworzył oczy i spojrzał wprost na Trevayne'a.

Andrew pomyślał przelotnie o przypominającym gryzonia Rodericku Brusie, którego marzeniem było ukrzyżowanie Paula Bonnera. Nie ugiął się wtedy przed



groźbami dziennikarza, ale Bonner nigdy się o tym nie dowie.

–Ogromnie cię szanuję, Paul. Gdyby inni byli tacy jak ty, na pewno mocno bym się zastanawiał, ale ponieważ nie są, odpowiedź brzmi: nie.

–Więc idź do diabła... Nie przychodź jutro. Nie chcę cię widzieć.

–W porządku.

Bonner zaczął osuwać się w otchłań snu.

–Będę z tobą walczył, Trewayne...

Zamknął oczy, Andrew zaś wyszedł cicho z pokoju.

## Rozdział 32

Trevayne obudził się wcześnie, przed siódmą. Wraz z ośmiocentymetrową warstwą śniegu na ziemię spłynął niesamowity spokój. Biały całun przykrył kształty stworzone przez naturę, lecz ich nie zdeformował. Ocean rozciągający się za porastającymi zbocze sosnami i krzewami był gładki i cichy, jakby zapadł w zimowy sen. Tylko od czasu do czasu jakaś wyższa fala uderzała niecierpliwie w przybrzeżne skały, przypominając o potędze drzemiącego żywiołu.

Andrew postanowił, że sam zrobi sobie śniadanie. Nie chciał wzywać Lillian. Ostatnio tak wiele przeszła.

Rozłożył na kuchennym stole żółte kartki, które zebrał z biurka. Były pokryte dużym, pośpiesznym pismem. Notatki składały się z urwanych zdań i haseł wymieszanych z pojedynczymi wyrazami i nazwami firm. Były to informacje, które Vicarson zebrał na temat Aarona Greena. Większość uzyskał z ogólnie dostępnego wydania *Who is Who*, część z różnych oficjalnych dokumentów, a resztę w Nowym Jorku od jednego z dyrektorów Agencji Greena, któremu powiedział, że jest pracownikiem telewizji i zbiera materiały do dokumentalnego filmu o Greenie.

Było to takie proste... Zabawy. Ale nie dla dzieci.

Wbrew temu, co sugerował Alan Martin, Green nie pochodził z zamożnych kręgów społeczności Birmingham. Wśród jego przodków nie było żadnych Lehmanów ani Strausów, nie dysponował też przywiezionym z Niemiec majątkiem, który zapewniłby mu wstęp do najlepszych salonów. Aaron Green był uciekinierem ze Stuttgartu. Przybył do Stanów Zjednoczonych w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku w wieku czterdziestu lat.

O jego życiu w Niemczech było wiadomo jedynie, że pracował jako akwizytor dużej firmy drukarskiej Schreibwaren, utrzymującej przedstawicielstwa w Berlinie i Hamburgu. Podobno w latach dwudziestych ożenił się, ale uciekając przed hitlerowcami, był już samotny. W Ameryce osiągnął sukces bez rozgłosu, za to w oszałamiającym tempie. Wraz z kilkoma niezbyt młodymi emigrantami uruchomił w gorszej części Manhattanu niewielką drukarnię i wykorzystując zaawansowaną technikę opracowaną przez Schreibwaren – która już niedługo miała stać się główną tubą propagandową Goebelsa – szybko uzyskał przewagę nad większymi konkurentami, dostosowując się błyskawicznie do zmieniających się z dnia na dzień potrzeb nowojorskiej klienteli. W ciągu dwóch lat obroty firmy wzrosły czterokrotnie, Green zaś uzyskał tymczasowe patenty na większość technicznych nowinek wdrożonych do użytku w Schreibwaren. Resztę można było znaleźć w annałach historii przemysłu wydawniczego.

Z chwilą przystąpienia Ameryki do wojny i wprowadzenia ścisłego racjonowania papieru, na rynku utrzymali się jedynie najlepsi. Firma Greena ulokowała się na samym szczycie, gdyż nowoczesne technologie rodem ze Schreibwaren pozwoliły w drastyczny sposób ograniczyć zużycie surowca, a tym samym wywindować produkcję na poziom nieosiągalny dla konkurencji.

W nagrodę Aaron Green otrzymał duże zamówienia rządowe.

Wojenne zamówienia rządowe.

**–Moi byli ziomkowie opowiedzieli się po stronie nazistowskich żmij, ja zaś wybrałem niewiastą dzierżącą pochodnię. Czyż nie walczę po stronie światła przeciwko siłom ciemności?**

**Mniej więcej w tym samym czasie Aaron Green podjął kilka decyzji, które zapewniły mu spokojną przyszłość. Przede wszystkim wykupił wszystkich współników, a następnie przeniósł drukarnię z Manhattanu na tanią działkę w New Jersey, zatrudnił wielu imigrantów, zyskując oddanych i lojalnych pracowników, i zaludnił wymierające miasteczko przybyszami z Europy.**

**Ziemia w New Jersey była tania, ale w przyszłości mogła jedynie drożeć; robotnicy uważali swego pracodawcę za największego dobroczyńcę -ochrona pracy i związki zawodowe stanowiły jedynie puste, nic nieznaczące hasła; a kiedy minęła początkowa nieufność spowodowana nagłym pojawieniem się w okolicy „tych wszystkich Żydów”, miliony Greena były już bezpieczne, gdyż w miarę zwiększania się zysków kupował coraz to nowe tereny, przygotowując się do powojennego rozwoju.**

**Jeszcze dzisiaj każdy jadący Garden State Parkway mógł podziwiać dowody finansowego geniuszu Greena.**

**Po wojnie Aaron Green odkrył w sobie nowe zainteresowania. Wyczuł ogromne pieniądze związane z raptownie rozwijającym się przemysłem telewizyjnym i postanowił zdobyć je dzięki reklamie. Dzięki kreatywnej sile słowa pisanego, mówionego i zamienionego w obraz.**

**Wyglądało na to, że powojenny świat czekał na człowieka o jego talentach. Aaron Green założył Agencję Greena i zatrudnił w niej najlepszych ludzi, jakich mógł znaleźć. Dzięki swoim milionom przyciągnął znakomitych fachowców z innych agencji; dzięki potencjałowi edytorskiemu zdobywał najbardziej lukratywne zamówienia, oferując warunki, którym nie mógł sprostać nikt z konkurencji; dzięki kontaktom w sferach rządowych unikał kłopotów z instytucjami kontrolującymi przestrzeganie ustawy antytrustowej, a kiedy reklama telewizyjna ruszyła pełną parą, jego całkowita supremacja na rynku gazet, czasopism i druków ulotnych sprawiła, że Agencja Greena błyskawicznie stała się najbardziej cenioną agencją reklamową w kraju.**

**Osobiste życie Aarona Greena osłonięte było tajemnicą. Na pewno ożenił się powtórnie, miał dwóch synów i córkę, mieszkał na Long Island w rezydencji o dwudziestu kilku pokojach, otoczonej ogrodami mogącymi śmiało rywalizować z Tuileries, wspierał hojną ręką wiele dobroczynnych przedsięwzięć, nie troszcząc się o zyski publikował ambitne dzieła literackie oraz wyznawał liberalne poglądy. Przekazując dotacje na cele polityczne, nie kierował się sympatiami partyjnymi, lecz wybierał polityków głoszących potrzebę przeprowadzenia daleko idących reform socjalnych. Nie przeszkodziło mu to trafić przed sąd; został pozwany przez Amerykański Związek Praw Obywatelskich i Federalną Agencję do spraw Zatrudnienia, gdyż stanowczo odmówił przyjmowania do pracy osób pochodzenia niemieckiego. Nieżydowskie niemieckie nazwisko natychmiast dyskwalifikowało kandydata.**

**Aaron Green zapłacił karą i ani trochę nie zmienił postępowania.**

**Trevayne dokończył śniadanie, po czym spróbował ułożyć z tych fragmentów spójny obraz Aarona Greena.**

**Dlaczego Genessee Industries? Dlaczego Green po kryjomu popierał te same militarystyczne ciągoty, przed którymi kiedyś uciekł i którymi w dalszym ciągu gardził? Człowiek znany z tego, że wspomaga ubogich i optuje za liberalnymi reformami nie wydawał się właściwym kandydatem na sprzymierzeńca Pentagonu.**

**W Westchester oddał samochód, ustalił szczegóły popołudniowego przelotu małego odrzutowca na lotnisko La Guardia, po czym wynajął helikopter, który miał go zawieźć do Hampton Bays w centralnej części stanu Long Island.**

**W Hampton Bays przesiadł się do wypożyczonego samochodu i pojechał na południe, do miasteczka Sail Harbor, gdzie mieściła się rezydencja Aarona Greena.**

**Dotarł na miejsce punktualnie o jedenastej. Pozornie zaskoczony Green przyjął go w salonie, lecz wyraz jego oczu świadczył o tym, że stary człowiek został wcześniej ostrzeżony.**

**Przystojna twarz Aarona Greena o semickich rysach była pokryta gęstą siecią zmarszczek. Malowały się na niej smutek i gniew. Głęboki, dźwięczny głos, mimo trzydziestu lat spędzonych w tym kraju, wciąż noszący wyraźne znamiona obcego akcentu, brzmiał niczym przyciszony odgłos bębnow.**

**–Mamy teraz szabas, panie Trevayne. Mogłem się spodziewać, że pan to uszanuje, ograniczając się do rozmowy telefonicznej. W tym domu przestrzegamy starych obyczajów.**

**–Bardzo pana przepraszam. Nie wiedziałem o tym. Mam niewiele czasu, decyzję o przyjeździe tutaj podjąłem w ostatniej chwili. Akurat odwiedziłem przyjaciół, którzy mieszkają w pobliżu. Jeśli pan sobie życzy, mogę wpaść kiedy indziej...**

**–Proszę nie lekceważyć swojego błędu. East Hampton to nie Boise. Wyjdźmy na werandę.**

**Green zaprowadził Trevayne'a do obszernego przeszklonego pomieszczenia otoczonego z trzech stron trawnikami. Było w nim mnóstwo roślin, umeblowanie zaś stanowiły krzesła z giętych, pomalowanych na biało prętów, wyściełane kolorowymi poduszkami. Wrażenie było takie, jakby w środku zimy weszło się nagle do ogrodu rozświetlonego blaskiem letniego słońca.**

**Urocze miejsce.**

**–Ma pan ochotę na kawę? A może na słodkie ciasteczka? – zapytał Green, kiedy Andrew usiadł na jednym z krzesel.**

**–Nie, dziękuję.**

**–Moje zrządzenie nie powinno pozbawić pana szansy skosztowania wyśmienitych ciasteczek. Skłamałbym, wychwalając w taki sam sposób kawę, ale nasza kucharka bez wątplenia jest wyśmienitym piekarzem. – Na wąskich ustach Aarona Greena pojawił się ciepły uśmiech.**

**–Zasłużyłem sobie na zrządzenie, a nie na gościnność.**

**–Doskonale. Mimo to skorzysta z niej pan. Szczerze mówiąc, sam mam ochotę na małą przekąskę. Ostatnio nie pozwalają mi na niewinne zachcianki, ale goście dają**

wygodny pretekst, z którego zawsze chętnie skorzystam. – Podszedł do metalowego stołu o szklanym blacie i nacisnął guzik białego interkomu. – Shirley, kochanie... Nasz gość chętnie napiłby się kawy i skosztowałby twoich znakomitych wypieków, które mu zachwalałem. Przynieś porcję dla dwóch osób, ale nic nie mów pani Green. Dziękuję.

Wrócił do Trevayne'a i usiadł naprzeciwko.

–Jest pan zbyt uprzejmy.

–Skądże znowu. Po prostu zrezygnowałem z bezproduktywnej irytacji na rzecz zdrowego rozsądku, dzięki czemu wydaję się uprzejmy. Ale nie radzę dać się zwieść pozorom... Oczekiwałem, że pan się u mnie pojawi. Nie wiedziałem, kiedy to nastąpi, i z całą pewnością nie spodziewałem się, że będzie to tak szybko.

–Domyślam się, że Departament Obrony jest... zaniepokojony. Przypuszczalnie skontaktowali się już z panem?

–Oczywiście. Zresztą nie tylko oni. Wywołuje pan powszechne zamieszanie, panie Trevayne. Boją się pana ludzie, którzy otrzymują pieniądze za to, żeby niczego się nie bali. Wielu z nich powiedziałem, że u mnie nie dostaliby złamanego centa. Niestety – używam tego słowa z pełną świadomością – nie ja ich zatrudniam.

–Wynika z tego, że nie muszę zdzierać sobie gardła, żeby wypłoszyć zwierzynę z kryjówek?

–To mało skuteczna metoda polowania, stosowana wyłącznie przez ubogich myśliwych, których nie stać na przynętę. Prowadzi ona do następstw dwojakiego rodzaju: albo zwierzyna ucieka czym prędzej, albo jeśli nie ma takiej możliwości, rusza do ataku na myśliwego. Atak jest tym groźniejszy, że przeprowadzony z ukrycia i bez ostrzeżenia. Pana stać na coś więcej, panie Trevayne. Przecież nie jest pan ani ubogi, ani głupi.

–Ale pomysł z podkładaniem przynęty wydaje mi się co najmniej odrażający. Znakomicie! Jest pan również bystry. Coraz bardziej mi się pan podoba.

–A ja zaczynam rozumieć, czemu pańscy wyznawcy są wobec pana tacy lojalni.

–Ach! Znowu dał się pan oszukać. Ci „wyznawcy” – o ile ktoś taki, naprawdę istnieje – zostali po prostu kupieni. Obaj mamy pieniądze, panie Trevayne. Mimo młodego wieku z pewnością zdążył już się pan przekonać, że pieniądze przyciągają ludzi. Same w sobie są całkowicie bezużyteczne, ale dzięki nim można zbudować wiele mostów, a rozsądnie użyte wspomagają rozprzestrzenianie się idei. Idei, panie Trevayne. Idea jest większym

pomnikiem niż świątynia. Oczywiście, że mam wyznawców. Najważniejsze jest to, że przekazują i realizują moje idee.

Na werandę weszła służąca, niosąc srebrną tacę. Green przedstawił Shirley, a Trevayne wstał z krzesła i – z wyraźną aprobatą starego dżentelmena -pomógł postawić tacę na szklanym blacie stołu.

Shirley wyszła szybko, wyraziwszy nadzieję, że gościowi będą smakowały jej ciasteczka.

–Perła! – powiedział Green. – Perła czystej wody. Odkryłem ją w pawilonie izraelskim podczas Wystawy Światowej w Montrealu. Była Amerykanką. Musiałem

zasadzić w Hajfie cały gaj drzewek pomarańczowych, żeby tylko zgodziła się wrócić tam i pracować dla nas... Te ciasteczka! Proszę się częstować.

Ciasteczka istotnie smakowały jak marzenie.

–Są wspaniałe.

–Przecież mówiłem panu. Podczas naszej rozmowy mogą paść różne mało prawdziwe stwierdzenia, ale nie wyobrażam sobie, by któreś z nich dotyczyło wypieków Shirley. Myślę, że warto, byśmy porozkoszowali się nimi przez chwilę.

Jedząc ciastka, wymieniali żartobliwe uwagi na różne tematy. Jeden starał się wybadać drugiego, każdy był pewny siebie, ale bardzo skupiony, jak dwaj wyśmienici tenisiści szykujący się do rozstrzygnięcia meczu w tiebreaku.

Wreszcie Green odstawił filiżankę i westchnął donośnie.

–Skończyły się... Teraz możemy porozmawiać. Co pana niepokoi, panie przewodniczący? Co sprowadza pana do mego domu w tak niezwykłych okolicznościach?

–Genessee Industries. Poprzez swoją agencję wydaje pan rocznie od ośmiu do dwunastu milionów dolarów, a może więcej na to, by przekonać cały naród, że istnienie Genessee jest nieodzowne do jego prawidłowego funkcjonowania. Wiemy, że czyni pan to od co najmniej dziesięciu lat. W sumie daje to od osiemdziesięciu do stu dwudziestu milionów dolarów. I znowu: może nawet więcej.

–Przestraszył się pan tych liczb?

–Tego nie powiedziałem. Ale na pewno się zmartwiłem.

–Dlaczego? Różnica da się łatwo wytłumaczyć. Nawiasem mówiąc, miał pan rację: w grę wchodzi ta wyższa suma.

–Wytłumaczyć – być może. Ale czy usprawiedliwić?

–To zależy wyłącznie od tego, kto będzie poszukiwał usprawiedliwień. Owszem, to także jest możliwe. Ja jestem w stanie ją usprawiedliwić.

–W jaki sposób?

Green rozparł się wygodnie na krześle.

Patriarcha dzielący się z maluczkimi swoją mądrością – pomyślał Trevayne.

–Zacznijmy od tego, że w porównaniu z dzisiejszymi cenami obowiązującymi na rynku, milion dolarów nie ma takiego znaczenia, jak to się wydaje przeciętnemu człowiekowi. Sam General Motors wydaje rocznie na reklamę dwadzieścia dwa miliony dolarów, a poczta siedemnaście.

–Przypadkiem tak się składa, że to dwie największe korporacje na świecie. Proszę spróbować jeszcze raz.

–Ale w porównaniu z całym państwem są nieskończenie małe, a ponieważ właśnie to państwo, czy również jego rząd, jest głównym klientem Genessee Industries, wnioski nasuwają się same.

–Wcale nie. Chyba że klient kupuje to, co sam produkuje... Ale nawet ja w to nie wierzę.

–Na każdą rzecz można spojrzeć co najmniej z dwóch punktów widzenia, panie Trevayne. Na przykład pan, patrząc na drzewo dostrzegłby promienie słońca odbijające się od jego liści, ja zaś uznalibyśmy, że raczej się przez nie przedzierają.

Łatwo można by wtedy dojść do wniosku, że widzieliśmy dwa różne drzewa, czyż nie tak?

–Obawiam się, że nie dostrzegam analogii.

–Może pan ją dostrzec, ale nie chce. Widzi pan tylko odbite światło, nie zaś to, co się pod nim kryje.

–Szarady nudzą mnie, panie Green, a szarady ułożone z myślą o tym, by mnie oszukać, obrażają moje poczucie godności. Wbrew pana słowom dostrzegłem jednak przeblysłk tego, co jest pod spodem, i dlatego właśnie się tutaj zjawiłem, jak pan określił, w „nadzwyczajnych okolicznościach”.

Green skinął głową.

–Rozumiem. – Ponownie przybrał pozę patriarchy, tym razem przyjmującego łaskawie do wiadomości mało istotną opinię kogoś znacznie od siebie podlejszego. – Rozumiem. Jest pan twardym człowiekiem. Bardzo twardym i upartym, żeby nie powiedzieć: nachalnym.

–Niczego nie sprzedaję, więc nie muszę być nachalny. Niespodziewanie Aaron Green uderzył otwartą dłoń w blat stołu. Rozległo się głośne, nieprzyjemne trzaśnięcie.

–Oczywiście, że pan sprzedaje! – ryknął stary Żyd, wpatrując się w Trevayne'a błyszczącymi oczami. – Handluje pan najbardziej ohydny towarem, jaki można sobie wyobrazić: słabością! Spodziewałem się po panu czegoś więcej.

–Nie przyznaję się do winy. Po prostu wyznaję pogląd, że ludzie mają prawo wiedzieć, na co są wydawane pieniądze pochodzące z ich kieszeni – czy są to rzeczywiście niezbędne wydatki, czy też może wymusza je jakieś przemysłowe monstrum kontrolowane przez niewielką grupkę ludzi, którzy samowładczo decydują o tym, na co będą przeznaczone dziesiątki, a nawet setki milionów dolarów.

–Dziecko! Mówi pan jak dziecko, które jeszcze moczy się w pieluchy. Co to znaczy „samowładczo”? Czyżby tylko pan miał monopol na wydawanie opinii o tym, co jest potrzebne, a co nie? A może sugeruje pan, że istnieje jakiś sięgający od oceanu do oceanu, nieskazitelny intelekt, który potrafi podejmować nieomyłne decyzje? Jeśli tak, to powiedz mi, mądry rabbi, gdzie był ów intelekt w tysiąc dziewięćset siedemnastym? A w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym? I później, w pięćdziesiątym i sześćdziesiątym piątym? Powiem panu gdzie: leżał pogrążony w letargu bezsily i niemożności, a było to możliwe dzięki cenie, jaką zapłaciło tysiące młodych mężczyzn, przelewając swoją krew. – Niespodziewanie Green zniżył głos. – Zapłaciły za to również miliony dzieci, ich matki i ojcowie, kiedy nadzy i bezbronni wkraczali w szeroko otwarte ramiona śmierci. Proszę mi nie mówić o żadnym „samowładztwie”, bo tylko robi pan z siebie głupca.

Trevayne zaczekał, aż z jego rozmówcy opadną emocje.

–Panie Green, pozostając z całym szacunkiem, pozwolę sobie zauważyć, że próbuje pan rozwiązywać problemy należące do minionych czasów. Teraz stanęliśmy wobec innych wyzwania i odmiennych potrzeb.

–Głupie gadanie. Paplanina tchórzów.

–Bohaterowie nie mają zbyt wielkich szans w epoce broni nuklearnej.

**Green parsknął pogardliwym śmiechem.**

**–Bzdury! – Złożył dłonie, wysuwając łokcie na boki.**

**Patriarcha zabawiający się słabo rozgarniętym przeciwnikiem – pomyślał Andrew.**

**–Proszę mi powiedzieć, panie przewodniczący, na czym właściwie polega przestępstwo, które popełniłem? Zdaje się, że jeszcze pan tego nie ujawnił.**

**–Wie pan równie dobrze jak ja. Chodzi o niewłaściwe pożytkowanie funduszy...**

**–Niewłaściwe czy nielegalne? – przerwał mu Green, rozkładając szeroko ręce z dłońmi zwróconymi ku górze.**

**Trevayne dał wyraz przepełniającej go odrazie, zwlekając nieco z odpowiedzią.**

**–Na to pytanie odpowie sąd. My tylko zbieramy wszelkie dostępne dowody i czynimy pewne sugestie.**

**–Na czym, pańskim zdaniem, polega... niewłaściwość wykorzystania tych pieniędzy?**

**–Na tym, że używa się ich w celach przekupstwa. Podejrzewam także, że znaczna część służy eliminowaniu konkurencji, która mogłaby przejąć kontrakty, na które ma ochotę Genessee Industries. Dzieje się tak na wielu obszarach. Ja wymienię tylko trzy: związki zawodowe, rynek pracy i Kongres.**

**–Pan podejrzewa? Formuluje pan oskarżenia na podstawie podejrzeń?**

**–Widziałem wystarczająco dużo. Wybrałem te trzy dziedziny na podstawie tego, co widziałem na własne oczy.**

**–A cóż takiego pan widział? Ludzi bogacących się ponad miarę?**

**Bezwartościowych polityków opłacanych przez Genessee Industries? Panie przewodniczący, gdzie podziało się to moralne zepsucie? Kto doznał krzywdy, kto został skorumpowany?**

**Andrew obserwował twarz Aarona Greena, na której pojawił się triumfalny uśmiech. Dopiero teraz pojął, w jak genialny sposób ten stary Żyd posługiwał się przekupstwem – przynajmniej w odniesieniu do największych sum i najważniejszych kontraktów. Wszystkie wypłaty przygotowano w taki sposób, aby można je było wyjaśnić argumentacją prawniczą, logiczną lub przynajmniej emocjonalną. Na przykład Ernest Manolo, młodzieńcy boss związkowy z południowej Kalifornii. Cóż prostszego, niż skontrolować ogólnokrajowe żądania związkowców, przyznając dotacje i prawne zabezpieczenia wybranym, odizolowanym regionom? Albo Ralph Jamison, genialny uczonek. Czy umysł tej miary powinien przestać zajmować się zagadnieniami niezmiernie ważnymi z punktu widzenia całego kraju tylko dlatego, że stanął wobec jakichś drobnych, nic nieznaczących problemów? Albo Mitchell Armbruster, chyba najsmutniejszy przypadek spośród wszystkich. Głęboko zaangażowany, liberalny senator ustawiony wraz z innymi w zaprzęgu. Kto jednak odważyłby się negocjować pożytki wypływające z działalności kliniki onkologicznej jego imienia i ruchomych szpitali działających w kalifornijskich gettach? Kto ośmieliłby się postawić mu zarzut korupcji? Jaki bezwzględny inkwizytor przedstawiłby oskarżenia, które nieuchronnie zakończyłyby tę szlachetną działalność?**

**Inkwizytor.**

**Nie potrzebujemy inkwizytora. Wielki Billy Hill.**



Był też Joshua Studebaker, rozpaczliwie starający się ukryć swoje dawne grzechy, ale on nie mieścił się w obszarze działania Greena. Sprawa Studebakera przedstawiała się nieco inaczej. Jeśli jednak Sam Vicarson mówił prawdę, Studebaker i Green pod wieloma względami byli do siebie bardzo podobni: obaj genialni, o skomplikowanej osobowości, obaj boleśnie zranieni, a jednak twardo stojący na nogach.

–A więc? – zapytał Green, pochylając się do przodu. – Kiedy przyszło do szczegółów, trudno panu mówić o tym rozległym zepsuciu, na jakie pan natrafił? Proszę się skupić, panie przewodniczący. Może choć jeden przykład?

–Jest pan niesamowity, prawda?

Gospodarz nie spodziewał się takiego pytania.

–Co pan przez to rozumie?

–Musi pan mieć wiele tomów, a w każdym opisana jedna historia, ze wszelkimi wyjaśnieniami. Gdybym podał jakiś przykład, pan przedstawiłby mi gotowe argumenty.

Green zrozumiał. Uśmiechnął się i ponownie rozparł wygodnie na krześle.

–Nauczyłem się tego od Szolema Alejchema: nigdy nie kupuję capa bez jąder. Zawrzyjmy umowę, panie przewodniczący. Pan wybierze jeden przykład, a ja zatelefonuję. W ciągu kilku minut pozna pan prawdę.

–Pańską prawdę.

–Drzewo, panie Trevayne. Pamięta pan o drzewie? O którym pan mówi? O moim czy pańskim?

Andrew wyobraził sobie ogromny stalowy sejf z setkami starannie poukładanych segregatorów. Największy na świecie bank danych o korupcji. O czymś, co dla niego było korupcją, a dla Aarona Greena zaledwie motywacją takiego a nie innego postępowania. Tak, to musi wyglądać właśnie w taki sposób.

Przekopanie się przez taką encyklopedię – zakładając, że w ogóle udałoby się do niej dotrzeć – zajęłoby wiele lat, a każdy opisany przypadek stanowiłby komplikację sam w sobie.

–Dlaczego, panie Green? – zapytał cicho. – Dlaczego?

–Czy to, co powiem, zostanie między nami?

–Nie mogę tego obiecać. Z drugiej strony, nie mam zamiaru spędzić reszty życia, kierując pracami tej podkomisji. Gdybym chciał wykorzystać zebrany przez pana materiał, prawdopodobnie już nigdy nie zdołałbym się ruszyć z Waszyngtonu. Nie jestem na to przygotowany i myślę, że pan zdaje sobie z tego sprawę.

–Proszę pójść ze mną.

Aaron Green wstał z krzesła. Dla starego, zmęczonego człowieka był to znaczny wysiłek. Podszedł do oszklonych drzwi prowadzących na trawnik rozciągający się za domem. Przy drzwiach, na ozdobnym drewnianym wieszaku wisiał ciepły szal. Green owinął go sobie dookoła szyi.

–Jestem jak stara kobieta, która nigdzie nie rusza się bez szala. Panu zimne powietrze tylko doda wigoru. Ma pan dobre buty, więc nie zmarzną panu nogi. W Stuttgarcie, kiedy byłem dzieckiem, zawsze miałem dziurawe buty i zimą ciągłą

marzły mi nogi.

Otworzył drzwi i wyszedł pierwszy na pokryty śniegiem trawnik. Minęli pogrążone w zimowym śnie krzewy i marmurowy stolik, przy którym w letnie popołudnia pijało się zapewne herbatę. Green skręcił w prawo, w wąską alejkę ograniczoną z jednej strony szeregiem japońskich klonów, a z drugiej wysokim żywopłotem.

Trevayne natychmiast dostrzegł błysk metalu.

Na końcu alejki, wyniesiona na jakieś trzydzieści centymetrów nad powierzchnię gruntu, znajdowała się wykonana z brązu gwiazda Dawida. Miała około pół metra średnicy, po obu jej stronach płonęły duże znicze. Przypominała miniaturowy ołtarz, którego strzeże wieczny ogień – zaskakująco silny i jasny, a zarazem bardzo smutny.

–Żadnych łez, panie Trevayne. Żadnego załamywania rąk ani ściany płaczu. Minęło już prawie pół wieku... Znajduję w tym pewną pociechę albo po prostu zdążyłem się przyzwyczać, jak powiedzieliby wiedeńscy lekarze. To na pamiątkę mojej żony. Mojej pierwszej żony, panie Trevayne, i mojego pierwszego dziecka. Dziewczynki. Po raz ostatni widzieliśmy się przez płot z zardzewiałego drutu kolczastego, który wżynał się głęboko w moje ciało, kiedy próbowałem rozerwać go gołymi rękami...

Aaron Green umilkł i spojrzał na Trevayne'a. Był zupełnie spokojny. Jeśli wspomnienie sprawiało mu ból, to zdołał go głęboko ukryć. Rozpacz pojawiła się tylko w jego głosie. Nie sposób było pomylić jej z niczym innym.

–Nigdy, nigdy więcej, panie Trevayne...

## Rozdział 33

Paul Bonner poprawił plastikowy kołnierz usztywniający jego kark. Po podróży z Westchester, odbytej w ciasnej kabinie wojskowego odrzutowca, rana zaczęła mu trochę dokuczać. Kolegom z sąsiednich pokoi w Pentagonie powiedział, że skusił się na narciarski wypad do Idaho i teraz gorzko tego żałuje.

Oczywiście generałowi brygady Lesterowi Cooperowi powie co innego.

Prawdę.

I zażąda wyjaśnień.

Wysiadł z windy na czwartym piętrze – dział z Największymi Szychami – po czym skierował się w lewo, do gabinetu w samym końcu korytarza.

Generał obrzucił spojrzeniem plastikowy kołnierz i z najwyższym trudem powstrzymał się przed okazaniem swoich prawdziwych uczuć. Fizyczna przemoc była tym, czego pragnął uniknąć za wszelką cenę. Czego on i pragnęli uniknąć za wszelką cenę. Młody gniewny – przywykły do przemocy, nauczony często z niej korzystać – podjął działania na własną rękę.

Co on nawyrabiał, na litość boską?

W co się wkopał?

–Co się panu stało? – zapytał Cooper lodowatym tonem. – Czy rana jest poważna?

–Czuję się dobrze... A żeby wyjaśnić, co się stało, będę potrzebował pańskiej pomocy.

–Jest pan niesubordynowany, majorze.

–Przepraszam. Trochę dokucza mi rana.

–Jak mogę panu pomóc, skoro nawet nie wiem, gdzie pan był?

–Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób zdołano odwołać ochronę Trevayne'a, by zwabić go w pułapkę.

Cooper zbladł jak ściana i poderwał się z fotela. Był tak zdumiony, że przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

–Co pan powiedział? – wykrztusił wreszcie.

–Proszę o wybaczenie, generale. Musiałem się przekonać, czy poinformowano pana o tym wydarzeniu. Widzę, że nie.

–Proszę mi odpowiedzieć na pytanie!

–Obaj ochroniarze z Białego Domu zostali odwołani. Ktoś, kto znał hasło, kazał im zniknąć z pola widzenia. Trevayne'a cały czas śledzono, przypuszczalnie po to, by w dogodnym momencie dokonać egzekucji.

–Skąd pan o tym wie?

–Byłem tam, generale.

–O mój Boże...

Cooper opadł z powrotem na fotel. Kiedy ponownie spojrzął na Bonnera, wyglądał jak zwykły cywil, nie zaś jak doświadczony dowódca, który zasłużył się na frontach trzech wojen i którego Paul do niedawna darzył największym szacunkiem.

To już nie był ten sam człowiek. Wyglądał na kogoś, kto dotarł do krawędzi całkowitego załamania.

–To prawda, generale.

–Jak do tego doszło? Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie. Bonner powiedział mu.

Wszystko.

Kiedy relacjonował wydarzenia minionej nocy, Cooper wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w wiszący na ścianie obraz. Było to olejne malowidło przedstawiające zmodernizowany osiemnastowieczny dom na tle majaczących w oddali gór. Był to stojący w Rutland, w stanie Vermont, dom generała. Wkrótce tam pojedzie – pomyślał Paul. – Już na stałe.

–Nie ulega wątpliwości, że ocalił mu pan życie – stwierdził Cooper, kiedy major zakończył relację.

–Przyjąłem takie założenie. Fakt, że do mnie strzelano, utwierdził mnie w tym przekonaniu. Mimo to nie mamy pewności, czy naprawdę chcieli go zabić. Jeśli de Spadante przeżyje, może nam to powie... Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, dlaczego on w ogóle się tam znalazł. Co wspólnego może mieć de Spadante z Trevayne'em... lub z nami?

–Skąd mam wiedzieć?

Cooper ponownie skoncentrował uwagę na obrazie.

–To nie jest teleturniej „pytanie za pytanie”, generale. Zbyt dużo wiem. Należy mi się coś więcej.

Lester Cooper oderwał wzrok od malowidła i spojrzał na Bonnera.

–Uważaj, co mówisz, żołnierzu. Nikt nie kazał ci lecieć za tym człowiekiem do Connecticut. Zrobiłeś to na własną rękę.

–Pan wydał rozkaz udostępnienia mi samolotu, a także zezwolił na realizację moich planów.

–Kazałem również zameldować się telefonicznie najpóźniej o godzinie dwudziestej trzeciej. Nie zrobił pan tego, w związku z czym wszystkie kolejne decyzje podejmował pan na własną rękę. Jeśli oficer starszy rangą nie jest na bieżąco informowany o poczynaniach podwładnego...

–Pieprzenie!

Generał brygady Lester Cooper ponownie zerwał się z fotela, lecz tym razem powodem nie było zdumienie, tylko gniew.

–Tu nie koszary, żołnierzu, a ja nie jestem jakimś tam sierżanciną! Żądam natychmiastowego złożenia przeprosin! Powinien pan się cieszyć, że nie oskarżę pana o poważną niesubordynację.

–Cieszę się, że w dalszym ciągu potrafi pan walczyć, generale. Szczerze mówiąc, zacząłem już trochę w to wątpić... Przepraszam za użycie nie cenzuralnego wyrażenia. Ubolewam, że pana uraziłem, generale. Obawiam się jednak, że nie mogę cofnąć postawionego pytania. Jaki związek ma de Spadante z dochodzeniem prowadzonym przez Trevayne'a? Jeśli pan mi tego nie powie, zacznę szukać odpowiedzi na wyższych szczeblach.

–Proszę przestać! – wybuchnął Cooper. Oddychał ciężko, a na jego czole pojawiły się kropelki potu. Nagle jakby uszło z niego powietrze: zgarbił się i wypiął brzuch,

tracąc całe dotychczasowe dostojenie. – Proszę przestać, majorze. Wkracza pan na teren, gdzie nie sięgają pańskie kompetencje. Ani moje.

–Nie mogę przyjąć takiego wyjaśnienia, generale, i niech pan nie oczekuje, że kiedykolwiek je przyjmę. De Spadante jest śmieciem, a mimo to powiedział mi, że wystarczy, by zadzwonił do tego gmachu, a z dnia na dzień dostałbym awans na pułkownika. Jak to możliwe? Do kogo by zadzwonił?

–Naprawdę chce pan to wiedzieć? – zapytał cicho Cooper, siadając ciężko w fotelu.

Bonner nagle poczuł, że robi mu się niedobrze.

–Chyba nie...

–Tak, majorze. Zadzwoniłby do mnie.

–Nie wierzę.

–Raczej nie chce pan uwierzyć... Radzę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. To, że by do mnie zadzwonił, nie oznacza jeszcze, że spełniłbym jego żądania.

–Sam fakt, że mógłby do pana dotrzeć, stanowi wystarczające obciążenie.

–Doprawdy? A czym różni się ten de Spadante od setek podejrzanych typów, z którymi pan się kontaktował, poczynając od delty Mekongu, na San Francisco kończąc? Czy naprawdę jest jeszcze większym śmieciem niż oni?

–To dwie zupełnie odmienne sprawy i pan doskonale o tym wie. Tamte kontakty nawiązywałem na terytorium nieprzyjaciela, w celu zdobycia ważnych informacji.

–Za które pan płacił, dzięki czemu zbliżaliśmy się do osiągnięcia naszych celów. W tym przypadku jest dokładnie tak samo, majorze. Pan de Spadante także jest wykorzystywany w pewnym celu, a jeśli pan jeszcze tego nie zauważył, to my również działamy na terytorium nieprzyjaciela.

–Jaki to cel?

–Nie mogę udzielić panu pełnej odpowiedzi. Nie znam wszystkich faktów, a nawet gdybym znał, to nie jestem pewien, czy byłoby mi wolno pana o nich poinformować. Mogę jednak panu powiedzieć, że Mario de Spadante ma znaczny wpływ w wielu bardzo ważnych dziedzinach gospodarki, między innymi w transporcie.

–Myślałem, że zajmuje się budownictwem?

–I nie mylił się pan. Ale oprócz tego rządzi transportem samochodowym i morskim. Firmy przewozowe robią wszystko, co im każe.

–Pan chyba chce przez to powiedzieć, że go potrzebujemy... – wykrztusił ze zdumieniem Bonner.

–Potrzebujemy wszystkiego, co tylko uda nam się zdobyć, majorze. Chyba nie jest to dla pana żadną nowością? Proszę pójść do Kapitolu i rozejrzeć się dokoła. Każde nasze zamówienie jest przeciskane przez wyżymaczkę. Politycy traktują nas jak chłopców do bicia: nie mogą żyć bez nas, ale prędzej umrą, niż zaczną żyć z

nami. Nasi zwolennicy siedzą w szpitalach dla psychicznie chorych albo występują w filmach i to niemal wyłącznie w tych sprzed trzydziestu lat... Mamy poważne problemy, majorze Bonner.

–W związku z czym rozwiązujemy je przy pomocy przestępców i płatnych zabójców, współpracując z mafią... A może nie wolno nam już używać tego słowa?

–Rozwiązujemy je tak, jak możemy. Zdumiewa mnie pan, Bonner. Nie spodziewałem się tego po panu. Od kiedy to pyta pan ludzi, których kieruje pan do akcji, w jaki sposób zarabiają na życie?

–Nigdy tego nie robiłem. Chyba dlatego, że to ja ich używałem, a nie na odwrót. Poza tym działałem na pierwszej linii. Tutaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Naiwnie przypuszczałem, że jesteście lepsi od nas. Tak, generale: lepsi.

–A teraz przekonał się pan, że tak nie jest, i doznał wstrząsu... Jak pan myśli, od kogo dostawaliście wyposażenie tam, na tej swojej pierwszej linii? Od starych babć w tenisówkach, które wykrzykiwały: „Pomóżcie naszym chłopcom”, i zaraz potem pojawiały się statki pełne wyposażenia i paliwa dla samolotów? Niech pan da spokój, majorze! Broń, której używał pański oddział, mogła być załadowana w San Diego dzięki uprzejmości Maria de Spadante. Śmigłowiec, który zabrał pana z dżungli piętnaście kilometrów od Hajfongu, mógł zostać wyprodukowany tylko dlatego, że przyjaciele Maria de Spadante nie dopuścili do strajku w fabryce wytwarzającej wirniki. Nie powinien pan grzebać w szczegółach, Bonner. To zupełnie nie pasuje do „zabójcy z Sajgonu”.

Konkretne umowy zawierano w portach i w fabrykach i Paul doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Tym razem jednak sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Wczoraj wieczorem de Spadante i jego rewolwerowcy nie pojawili się w jakimś porcie albo w fabryce, tylko w domu Trevayne'a. Czy Cooper nie był w stanie tego zrozumieć?

–Generale... – powiedział powoli i dobitnie. – Osiemnaście godzin temu, w posiadłości przewodniczącego podkomisji, wybranego na to stanowisko przez prezydenta i Senat, natknąłem się na dwóch płatnych morderców i jednego z szefów mafii, który zdarł mi kastetem skórę z ramienia i karku. Według mnie jest to coś zupełnie innego niż fałszowanie dokumentów

i bawienie się w kotka i myszkę z członkami podkomisji, którzy za wszelką cenę starają się przyłapać nas na czymś kompromitującym.

–Dlaczego? Dlatego że doszło do autentycznej walki? Do fizycznego zetknięcia, a nie wymiany ciosów na papierze?

–Być może... Możliwe, że chodzi właśnie o to. Albo o to, iż obawiam się, że już niedługo tacy osobnicy jak de Spadante znajdą się w Kolegium Szefów Sztabów lub zaczną wykładać w akademiach wojskowych. O ile już to się nie stało, ma się rozumieć...

Nie żyje? – Robert Webster. Stał w budce telefonicznej na Michigan Avenue, ściskając teczkę między kolanami.

–To twarda świnią. Uważają, że go z tego wyciągną – odparł lekarz, jego rozmówca z budki w Greenwich w stanie Connecticut.

–To niezbyt dobra nowina.

–Pracowali nad nim przez trzy godziny. Podwiązali mu mnóstwo żył i połatali, jak się dało. Przez kilka dni będzie w stanie krytycznym, ale wszystko wskazuje na to, że jakoś się wygrzebie.

–Wcale nam na tym nie zależy, doktorze. Szczerze mówiąc, jest to dla nas po prostu nie do przyjęcia. Musi zostać popełniony jakiś błąd.

–Zapomnij o tym, Bobby. W szpitalu roi się od uzbrojonych ludzi. Są wszędzie: przy wejściach, w windach, na dachu. Sprowadzili nawet swoje pielęgniarki. Czterej księża czuwają przy nim na zmianę, żeby udzielić mu ostatnich sakramentów, ale jeśli naprawdę są księżmi, to ja jestem Matką Boską.

–Powtarzam: musi się znaleźć jakiś sposób!

–W takim razie szukaj go, ale nie tutaj. Jeśli teraz coś mu się stanie, spalą szpital do fundamentów, łącznie z nami. A to z kolei dla mnie jest nie do przyjęcia.

–Już dobrze, dobrze. Nie będzie żadnych wypadków w szpitalu.

–Możesz być tego pewien. Dlaczego tak wam zależy na tym, żeby go wyeliminować?

–Prosił o wiele przysług, a my je mu świadczyliśmy. Stał się zbyt wielkim ciężarem.

Lekarz umilkł na chwilę.

–Nie tutaj, Bobby.

–W porządku. Pomyślimy nad czymś innym.

–Aha, przy okazji: sprawa została umorzona. Jestem czysty jak łza. Bardzo dziękuję. Nie musieliście załączać aż tak pozytywnej opinii, ale na pewno wywarło to dobre wrażenie.

–Ja myślę. Pewnie przepraszając, całowali cię po rękach.

Lekarz roześmiał się.

–Prawie. Daj mi znać, gdybym mógł ci się jakoś odwdzięczyć.

–Na pewno to zrobię.

Webster odwiesił słuchawkę i przecisnął się przez wąskie drzwi budki. Koniecznie musiał wymyślić, co zrobić z de Spadantem. Sytuacja mogła przybrać niebezpieczny obrót. Mimo wszystko spróbuje wykorzystać lekarza z Greenwich. Czemu nie? Doktor jeszcze nawet w połowie nie spłacił długu. Przez ponad dwa lata wykonywał nielegalne skrobanki w wojskowych szpitalach, prawie wcale się nie kryjąc. Niewiele brakowało, by zaczął reklamować się na tablicach ogłoszeń. Zbił na tym prawdziwą fortunę.

Webster zatrzymał taksówkę. Miał zamiar pojechać do Białego Domu, ale w ostatniej chwili wpadł na inny pomysł.

–Louisiana Avenue 1222.

Pod tym adresem mieściła się siedziba Gallabretto Construction Company, waszyngtońskiej firmy budowlanej należącej do Maria de Spadante.

Pielęgniarka otworzyła cicho drzwi. Ksiądz wyjął rękę z kieszeni i wiszący na jego szyi złoty łańcuch z krzyżem zadzwieczał delikatnie. Kapłan wstał z krzesła.

–Ma zamknięte oczy, ale słyszy każde pieprzone słowo – szepnął do mężczyzny,

który wszedł do pokoju.

–Zostaw nas, Rocco – rozległ się cichy, zachrypnięty głos. – William zawoła cię, kiedy wyjdzie.

–Tak jest, szefie.

Książd poprawił koloratkę, wziął ze stolika niewielką, oprawioną w skórę książeczkę do nabożeństwa, po czym lekko zażenowany wyszedł z pomieszczenia.

Mario de Spadante został sam na sam ze swym gościem.

–Mam tylko kilka minut, Mario. Lekarze nie pozwolą mi zostać dłużej. Chyba powiedzieli ci już, że wyjdiesz z tego?

–Świetnie wyglądasz, William. Wielki prawnik z Zachodniego Wybrzeża, co? Elegancko się nosisz. Jestem z ciebie dumny, kuzynie. Naprawdę.

–Nie trwoń sił, Mario. Musimy omówić kilka ważnych spraw, a ja wolałbym, żebyś był w pełni świadomy.

–Tylko posłuchajcie: „świadomy”. – De Spadante spróbował się uśmiechnąć. Choć kosztowało go to sporo wysiłku, nie osiągnął zamierzonego efektu. – Nie dziwię się, że zdecydowali się przysłać właśnie ciebie.

–Pozwól, że ja będę mówił, Mario... Przede wszystkim pojechałeś do Trevayne'a na ślepo, w nadziei, że go przypadkiem zastaniesz w domu. Nie znałeś jego zastrzeżonego numeru. Załatwiałeś w Greenwich interesy i przypadkowo usłyszałeś, że jego żona leży w szpitalu. Ponieważ znałeś go jeszcze z New Haven, a niedawno spotkałeś go w samolocie, postanowiłeś wyrazić mu swoje współczucie i zapytać, czy mógłbyś w czymś pomóc. To wszystko. Może postąpiłeś nieco zbyt impulsywnie, ale to nie zdziwi nikogo, kto zna twoją... ekspansywną naturę.

De Spadante, z na wpół przymkniętymi oczami, skinął głową.

–Mały Willie Gallabretto... – szepnął z tym samym niedokończonym uśmiechem. – Dobrze mówisz, William. Naprawdę jestem z ciebie bardzo dumny. – Powtórnie skinął głową. – Bardzo dobrze mówisz. Jesteś bystry.

–Dziękuję. – Prawniki zerknął na złotego roleksa. – Teraz najważniejsze, Mario. W pobliżu domu Trevayne'a twój samochód ugrzązł w błocie i śniegu. Mamy potwierdzenie od policji, od facetanazwiskiem Fowler.

Kosztowało to tysiąc dolarów. Pamiętaj, w błocie i śniegu. Nic więcej nie wiesz, bo zaraz po tym zostałeś zaatakowany, rozumiesz?

–Tak, *consigliori*. Rozumiem.

–To dobrze. A teraz muszę już iść. Moi współpracownicy z Los Angeles przesyłają ci najlepsze życzenia. Wkrótce wrócisz do zdrowia, wujku Mario.

–Na pewno. Na pewno... – De Spadante z wysiłkiem uniósł rękę na wysokość kilku centymetrów nad prześcieradłem. Prawniki zatrzymał się. – Skończyłeś już?

–Tak.

–To dobrze. A teraz przestań bredzić i wysłuchaj mnie. Jeszcze dziś wieczorem poinformujesz wszystkich kuzynów, że wydałem wyrok na tego żołnierzyka. Chcę go mieć *tormento lento*.

–Nie, Mario. Nie będzie żadnego wyroku. On jest z wojska, ma powiązania z rządem.



–Sprzeciwiasz mi się? Ty, *caporegima*, ośmielasz się sprzeciwiać *capo di tutti capi*? Wyrok oznacza wyrok. Powiedz to wszystkim.

–Wujku Mario, nie żyjemy w czasach „Ojca chrzestnego” – odparł ze współczuciem William Gallabretto. – Teraz mamy lepsze sposoby.

–Lepsze? Co może być lepsze niż *tormento lento*? Ta świnia, która zabiła mojego brata, zasługuje na powolną śmierć. Obaj o tym wiemy. Nóż w plecy. *Miole*. Wyrok. To moje słowo.

De Spadante odetchnął głęboko i oparł głowę na poduszce.

–Posłuchaj mnie, wujku Mario. Major Bonner zostanie aresztowany i skazany za morderstwo pierwszego stopnia. Nie będzie miał nic na swoją obronę. Zabił z premedytacją, niesprowokowany. Już wcześniej miał poważne kłopoty, ale...

–Wyrok – przerwał mu de Spadante słabnącym głosem.

–Nie. To nie jest potrzebne. Wielu ludzi pragnie zobaczyć Bonnera nie tylko martwego, ale także skompromitowanego. Mamy po swojej stronie znanego dziennikarza, Rodericka Bruce'a. Ten Bonner to psychopata. Dostanie dożywocie... a potem, gdzieś w więzieniu, poczuje nóż w plecach.

–To bez sensu. Gadasz bzdury... Trzymajcie się z dala od sądów. Żadnych prawniczych bredni. Nic nie osiągniecie. Wykonajcie wyrok...

William Gallabretto cofnął się w kierunku drzwi.

–Dobrze, wujku Mario – skłamał. – A teraz już odpoczywaj.

## Rozdział 34

Trevayne siedział na hotelowym łóżku, walcząc o to, by nie zaniknąć oczu i skoncentrować uwagę na kartkach pokrytych schludnym maszynowym pismem. Zdawał sobie sprawę, że przegrywa walkę, w związku z czym sięgnął po słuchawkę i zamówił budzenie na siódmą rano.

Opuścił rezydencję Aarona Greena krótko po pierwszej, czyli znacznie wcześniej, niż się spodziewał. Co prawda Green zaprosił go na lunch, lecz Andy odmówił, tłumacząc się niezręcznie, że musi wrócić w sprawach służbowych do Nowego Jorku. Prawda wyglądała w ten sposób, że nie mógł znieść towarzystwa Greena. Nie mógł mu już nic powiedzieć. Stary Żyd zniszczył w zarodku wszystkie argumenty, które Trevayne mógłby mu przedstawić. Jakie słowa mogły okazać się istotniejsze od tego, co znajdowało się na końcu szpaleru drzew za domem Greena, lub osłabić motywację zrodzoną niemal czterdzieści lat temu za płotem Oświęcimia?

W Aaronie Greenie nie było żadnej anomalii. Miał spójne logicznie poglądy, przynajmniej według własnych standardów: naprawdę wierzył w sens wszystkich liberalnych reform, które przyniosły mu sławę, naprawdę był współczującym i szczodrym człowiekiem przeznaczającym znaczne kwoty na przedsięwzięcia służące poprawie losu poszkodowanych przez życie. Był gotów wydać ostatniego dolara i wykorzystać całą energię umysłu, walcząc o to, by w jego przybranej ojczyźnie zawsze panował klimat sprzyjający takiej właśnie filozofii. Hołdujący jej naród musiał okazać się najsilniejszym na świecie. Jego wnętrze mogło być miękkie i wrażliwe, zewnętrzna skorupa zaś musiała pozostać twarda i nienaruszona.

Green nie potrafił dostrzec faktu, że im bardziej rośli w siłę ludzie mający spełniać funkcje ochronne – skorupa – tym większe było niebezpieczeństwo, że zaczną uzurpować sobie prawa tych, których mieli chronić, czyli miękkiego wnętrza. Była to oczywista, narzucająca się konkluzja, lecz Green pozostawał na nią ślepy. Uważał, że forteca którą zbuduje się dzięki finansom płynącym z cywilnego handlu i przemysłu, choćby wydawała się najsilniejsza, zawsze pozostanie słabsza od swojej sprawczej siły, czyli cywilnej ekonomii. Było to absurdalne założenie, co najmniej równie absurdalne jak wspomnienie bestii w mundurach Wehrmachtu odliczających głośno rytm, w jakim ich nagie ofiary miały maszerować ku śmierci. Jednak to właśnie wspomnienie sprawiło, że Aaron Green stracił zdolność jasnego myślenia.

A Trevayne nie mógł tego w żaden sposób zmienić.

Kiedy mały odrzutowiec wylądował na lotnisku O'Hare w Chicago, Andrew natychmiast zadzwonił do Salt Lake City, do Sama Vicarsona. Vicarson poinformował go, że przypisane na maszynie dossier Iana Hamiltona czeka już na niego w hotelu. Sprawa okazała się bardzo prosta. Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników było bardzo dumne z Iana Hamiltona, jego zawodowa biografia zaś budziła podziw swą obszernością. Dodatkowych informacji dostarczył syn Hamiltona. Pomysł, żeby skorzystać z jego pomocy, stanowił kolejny dowód inteligencji Vicarsona. Syn znakomitego prawnika należał do „nowej” generacji, starającej się zerwać z szacownymi 10-dzinnymi tradycjami. Śpiewał folkowe piosenki z własną grupą, która wyrosła z narkotycznego podziemia i teraz dawała sobie całkiem niezłe radę na

oficjalnej scenie muzycznej. Nie miał żadnych oporów przed rozmową o swoim ojcu. Uważał – lub też doszedł niedawno do wniosku – że staruszek wykonywał swoją robotę, odwołując się raczej do inteligencji niż wyobraźni, a dawał sobie tak dobrze radę głównie dlatego, że był gorącym wyznawcą idei głoszącej, że elita powinna wskazywać właściwą drogę nieoświeconym.

Stwierdzenie to okazało się najpełniejszą analizą osobowości Iana Hamiltona, jaką Trevayne znalazł w całym raporcie.

Hamilton wywodził się z bardzo zamożnej i bardzo starej nowojorskiej rodziny, której korzenie sięgały aż do Septymiusza Sewera, zdobywcy Brytanii, i jego potomków z Ayshire w Szkocji, gdzie Hamiltonowie nosili tytuł dziedziców Cambuskeith. Uczęszczał do odpowiednich szkół – Rectory, Groton, Harvard – i ukończył z czołową lokatą Wydział Prawa Uniwersytetu Harvard. Zaraz po studiach wyjechał na rok do Cambridge w Anglii, wskutek czego w czasie wojny został przydzielony jako oficer marynarki do sztabu Eisenhowera. Ożenił się z dziewczyną wyłowioną z małego morza pełnego arystokratycznych rybek, jego jedyne dziecko zaś urodziło się w szpitalu Marynarki Wojennej w Surrey.

Po wojnie dzięki znakomitym referencjom – oraz nieprzeciętnej inteligencji – piastował po kolei kilka stanowisk godnych pozazdroszczenia, by wreszcie stać się współwłaścicielem jednej z największych nowojorskich firm, specjalizujących się w obsłudze prawnej wielkich korporacji, a szczególnie w wyjaśnianiu ich zawiłych powiązań z instytucjami finansowanymi z kasy publicznej. Za czasów administracji Eisenhowera Hamilton często przebywał w Waszyngtonie, na tyle często, że w końcu otworzył tam filię swojej kancelarii. Później coraz częściej identyfikowano go z waszyngońską sceną polityczną. Choć oficjalnie republikanin, nigdy nie był doktrynerem, dzięki czemu miał znakomite układy z Izbą Reprezentantów i Senatem, zdominowanymi przez demokratów. John Kennedy zaproponował mu posadę ambasadora w Londynie, co było decyzją logiczną i jak najbardziej słuszną politycznie, lecz Hamilton z wdziękiem odmówił. Poświęcił się bez reszty powolnej wspinaczce po prawniczej drabinie Waszyngtonu, aż wreszcie osiągnął nagrodę w postaci nieoficjalnego tytułu „doradcy prezydentów”. Dysponował bogatym doświadczeniem, co sprawiało, że do jego słów przywiązywano znaczną wagę, a jednocześnie był wystarczająco młody – miał pięćdziesiąt kilka lat – by zachować elastyczność poglądów. Warto było zabiegać o jego przyjaźń.

Dwa lata temu Ian Hamilton zrobił nagle coś, czego nikt się nie spodziewał: bez rozgłosu wycofał się z kierowania firmą i oświadczył przyjaciółom, że postanowił wziąć „długi i, mam nadzieję, zasłużony urlop”. W towarzystwie natychmiast zaczęły krążyć dowcipy, że zarobi znacznie więcej pieniędzy, kierując piosenkarską karierą syna, a także spekulacje na temat stanu jego zdrowia. Zarówno jedne, jak i drugie przyjmował z niewzruszonym spokojem.

Opuściwszy Waszyngton, udał się wraz z żoną w trwającą dwadzieścia dwa tygodnie podróż dookoła świata.

Przed sześcioma miesiącami ponownie uczynił coś nieoczekiwanego, również bez fanfar i rozgłosu: podjął współpracę z działającą w Chicago firmą Brandon Smith.

Zerwał wszystkie więzi z Waszyngtonem i Nowym Jorkiem, by zamieszkać w rezydencji w Evanston nad brzegiem jeziora Michigan. Najwyraźniej postanowił nieco zmniejszyć tempo życia, a zamożna społeczność Evanston przyjęła go do swego grona bez najmniejszych oporów.

Genessee Industries zleciło firmie Brandon Smith przeprowadzenie wszystkich prawnych czynności związanych z wypuszczeniem na rynek dodatkowego pakietu akcji. Była to nagroda za to, że Hamilton nie zachował koniecznej dyskrecji, zasiadając w prezydenckiej komisji do spraw importu stali.

Genessee mogło teraz korzystać z usług najbardziej poważanej kancelarii prawniczej na środkowym zachodzie – Brandon, Smith Hamilton. Wcześniej wybudowało twierdze nie do zdobycia na obu wybrzeżach: Green w Nowym Jorku, senator Armbruster w Kalifornii. Było więc całkiem logiczne, że następnym krokiem będzie utworzenie ośrodka wpływów w centrum kraju.

Oczywiście, pod warunkiem, że schemat, jaki zaczął dostrzegać Trevayne, nie był jedynie wytworem jego wyobraźni.

Wraz z pojawieniem się Iana Hamiltona w schemacie tym znalazło się miejsce dla funkcjonariuszy rządowych najwyższego szczebla, łącznie z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Hamilton, doradca kolejnych prezydentów, dysponował w gruncie rzeczy ogromną władzą.

Jutro z samego rana Trevaynie pojedzie do Evanston i niespodziewanie odwiedzi Iana Hamiltona w chrześcijański dzień święty, podobnie jak odwiedził Aarona Greena w żydowski szabas w Sail Harbor.

Robert Webster pocałował żonę na dobranoc i ponownie przeklął telefon, obrzucając go wściekłym spojrzeniem. Kiedy mieszkali w Akron, w stanie Ohio, nikt nigdy nie dzwonił do niego o północy i nie zmuszał go do opuszczenia domu. Rzecz jasna, wtedy nie mogli pozwolić sobie na taki dom, w jakim mieszkali teraz. Poza tym ilu chłopców z Akron dostawało telefony z Białego Domu? Tylko że akurat ten nie był stamtąd.

Webster wyprowadził samochód z garażu i ruszył przed siebie ulicą, szybko nabierając prędkości. Według otrzymanej wiadomości miał zjawić się na rogu Nebraska Avenue i Dwudziestej Pierwszej za dziesięć... nie, teraz już za osiem minut.

W umówionym miejscu dostrzegł białego chevroleta. Kierowca wystawił rękę przez otwarte okno.

Webster nacisnął dwa razy klakson, a biały chevrolet odpowiedział jednym długim trąbnięciem.

Robert Webster pojechał dalej Nebraska Avenue. We wstecznym lusterku zobaczył, że chevrolet ruszył za nim.

Wkrótce oba samochody wjechały na ogromny parking przy starym amfiteatrze Cartera Barona i zatrzymały się jeden za drugim. Robert Webster wysiadł z wozu.

–Do licha! Mam nadzieję, że było po co tłuc się tu po nocy! Myślałem, że wreszcie będę mógł się wyspać.

–Było warto – odparł ukryty w cieniu mężczyzna o ciemnej karnacji. – Pora pozbyć się żołnierza. Wszyscy jesteśmy kryci.

–Kto tak mówi?

–Willie Gallabretto. Sprawa jest prosta. Mam ci przekazać, żebyś wziął się od razu do roboty. Odstaw go. Z hałasem.

–A co z de Spadantem?

–Będzie trupem, jak tylko wróci do New Haven.

Robert Webster jednocześnie uśmiechnął się i westchnął.

–Rzeczywiście, było warto – powiedział, po czym odwrócił się i wsiadł do samochodu.

Na metalowej tabliczce znajdowało się tylko jedno słowo ułożone z odlanych z brązu liter: „Lakeside”.

Trevayne skręcił w odśnieżoną drogę dojazdową prowadzącą w dół łagodnego zbocza do głównego budynku. Był to duży biały dom w stylu georgiańskim, jakby przeniesiony z jakiejś plantacji w Karolinie. Dokoła rosły wysokie drzewa. Za drzewami i budynkiem zaczynało się częściowo skute lodem jezioro Michigan.

Zatrzymawszy samochód przed obszernym trzydrzwiowym garażem, dostrzegł mężczyznę w ciepłym płaszczu i futrzanej czapce przechadzającego się po ścieżce w towarzystwie dużego psa. Odgłos silnika sprawił, że mężczyzna spojrzął w kierunku garażu, a pies – piękny chesapeake – zaczął donośnie ujadać.

Andrew natychmiast rozpoznał Iana Hamiltona. Bardzo wysoki i szczupły, nawet w grubym ubraniu poruszał się z niewymuszoną elegancją. Przypominał trochę Waltera Madisona, innego prawnika ze Wschodniego Wybrzeża świadczącego usługi różnym ważnym osobistościom i znaczącym korporacjom, ale Madison – choć bardzo dobry w swoim fachu – miał pewne słabości. Ten człowiek wydawał się ich zupełnie pozbawiony.

–Czym mogę panu służyć? – zapytał Ian Hamilton, podchodząc do samochodu. Trzymał psa za obrożę.

Trevayne opuścił szybę.

–Pan Hamilton?

–Dobry Boże, Trevayne! Andrew Trevayne? Skąd pan się tu wziął?

Hamilton sprawiał wrażenie człowieka, który na chwilę przestał rozumieć, co się wokół niego dzieje.

Jeszcze jeden, który został zawczasu ostrzeżony – pomyślał Trevayne. Poinformowano go o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości.

–Gościłem u przyjaciół mieszkających kilka kilometrów stąd, więc pomyślałem sobie, że...

Andrew powtórzył lekko zmodyfikowane kłamstwo, którym posługiwał się do tej pory. Także i tym razem zależało mu nie tyle na tym, by mu uwierzono, ile na choćby częściowym zneutralizowaniu nieuniknionego napięcia. Hamilton z wdziękiem, ale bez zbytniego entuzjazmu udał, że przyjmuje je za dobrą monetę, i zaprosił Trevayne'a do domu. W kominku w głównym salonie huczał ogień, a na kanapie i obitym złocistym atłasem fotelu walały się poranne gazety. Na stoliku przed sięgającym do podłogi oknem, przez które widać było jezioro, stał srebrny serwis do

kawy i resztki śniadania dla jednej osoby.

Hamilton odebrał płaszcz od gościa.

–Moja żona wkrótce zejdzie na dół – poinformował go, wskazując mu fotel. – W ciągu dwudziestu lat małżeństwa nabraliśmy pewnych przyzwyczajęń. W każdą niedzielę ona czyta w łóżku i je śniadanie, ja zaś wyprowadzam psy – lub psa, tak jak teraz – na spacer. Dzięki temu oboje zyskujemy godzinę rozkosznej samotności. Wyobrażam sobie, że w pana uszach musi to brzmieć okropnie staroświecko.

Zdjął płaszcz i czapkę i odniósł rzeczy wraz z okryciem Trevayne'a do holu.

–Skądże znowu – odparł Andy. – Uważam to za bardzo rozsądne rozwiązanie.

Gospodarz wrócił i spojrzał na Trevayne'a. Nawet w grubym, powyciąganym swetrze wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z wystawy pracowni krawieckiej.

–Owszem, jest rozsądne... Szczerze mówiąc, to ja wprowadziłem ten zwyczaj. W ten sposób unikam niepożądanych rozmów telefonicznych... i odwiedzin.

–Przyjmuję wymówkę.

–Proszę mi wybaczyć. – Hamilton podszedł do stolika przy oknie. – Nie powinienem był tego powiedzieć. Naprawdę bardzo mi przykro. Ostatnio żyje mi się znacznie spokojniej niż przez kilka minionych dziesięcioleci. Nie mam powodów do narzekań. Napije się pan kawy?

–Nie, dziękuję.

–Dziesięciolecia... – Hamilton zachichotał cicho, nalewając sobie kawy. – Mówię jak starzec, którym wcale nie jestem. W kwietniu skończę pięćdziesiąt osiem lat. Większość mężczyzn w moim wieku osiąga teraz szczyty zawodowej kariery... Na przykład Walter Madison. Pan jest chyba jego klientem?

–Zgadza się.

–Proszę pozdrowić go ode mnie. Zawsze go lubiłem. Zręczny, ale nieskazitelnie uczciwy. Ma pan dobrego prawnika, panie Trevayne.

Hamilton skierował się do sofy i usiadł naprzeciwko swojego gościa, postawiwszy filiżankę na stoliku wykonanym z twardego dębu.

–Wiem o tym. Często o panu wspomina. Uważa pana za wybitnego człowieka.

–W porównaniu z kim? Wybitny to bardzo zwodnicze słowo, ostatnio często nadużywane. Wszystko jest wybitne: książki, osiągnięcia sportowe, fryzjerzy... W ubiegłym roku mój sąsiad powiedział, że przywieziono mu do ogrodu „wybitny koński nawóz”.

–Jestem pewien, że Walter wie, o czym mówi.

–Bez wątpienia. A przy okazji zdecydowanie przesadza... Ale chyba dość już na mój temat. Właściwie jestem częściowo na emeryturze, bardziej nazwisko niż człowiek, natomiast mój syn robi zadziwiająca karierę, nie uważa pan?

–Wręcz oszalamiająca. Miesiąc temu w „Life” ukazał się interesujący artykuł na jego temat.

–W znacznej mierze oparty na zmyślonych faktach, jeśli chce pan znać prawdę. – Hamilton roześmiał się cicho i pociągnął łyk kawy. – W gruncie rzeczy miał go przedstawić w jak najgorszym świetle. Autorką jest paskudne dziewczynisko tkwiące po uszy w różnych ruchach emancypacji kobiet i przekonane o tym, że mój syn

stanowi obiekt seksualnych marzeń wszystkich przedstawicielek płci przeciwnej. Podobno chłopak rozgryzł ją, uwiódł i w ten sposób powstał pochlebny artykuł.

–Ma duży talent.

–Wolę to, co robi teraz, od tego, co robił przedtem. Ma więcej czasu na zastanowienie, nie śpieszy się bez przerwy... Ale z pewnością nie zjawił się pan tutaj po to, by gawędzić o rodzinnych sprawach Hamiltonów.

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Trevayne'a. Dopiero po chwili zrozumiał, czemu miała służyć pozornie luźna pogawędka: Hamilton chciał zyskać na czasie, by uporządkować myśli i przygotować szyki obronne. Teraz rozparł się na sofie z miną pewnego siebie, zahartowanego w wielu bojach dyskutanta.

–Rodzinne sprawy Hamiltonów... – Andrew zawiesił głos, jakby to zdanie miało być tytułem jego wypowiedzi. – W pewnym sensie ma pan rację. Muszę porozmawiać z panem o pańskich sprawach, panie Hamilton. O sprawach związanych z Genessee Industries.

–Skąd wzięło się u pana przekonanie o istnieniu takiej konieczności?

–Na podstawie informacji, które zyskałem jako przewodniczący podkomisji do spraw wydatków obronnych.

–Podkomisji powołanej *ad hoc*, o ile się nie mylę, choć nie wiem zbyt wiele na ten temat...

–Otrzymaliśmy prawo wzywania świadków do składania zeznań pod rygorem odpowiedzialności karnej.

–Natychmiast zakwestionowałbym je, gdyby zechciał pan z niego skorzystać.

–Do tej pory nikt nie uznał za stosowne podejmować takich kroków.

Hamilton pozostawił to stwierdzenie bez odpowiedzi.

–Genessee Industries jest klientem naszej firmy. Ważnym i szanowanym klientem. Nawet przez myśl by mi nie przeszło naruszyć podstawowe zasady współpracy między prawnikiem i klientem. Obawiam się, że nic pan nie osiągnie, panie Trevayne.

–Panie Hamilton, moje zainteresowanie pańskimi związkami z Genessee Industries dotyczy okresu sprzed niemal dwóch lat, kiedy jeszcze nie można było mówić o żadnej współpracy między prawnikiem i klientem. Moja podkomisja stara się odtworzyć pewną... finansową fabułę. W jaki sposób akcja dotarła do punktu, w którym teraz jesteśmy? To taka nieszkodliwa wariacja na tematy z „Dokumentów Pentagonu”.

–Dwa lata temu nie miałem nic wspólnego z Genessee Industries. Nie istniały między nami żadne związki.

–Może nie bezpośrednio, ale krążą pogłoski, iż...

–Ani bezpośrednio, ani pośrednio, panie Trevayne – przerwał mu Hamilton.

–Był pan wtedy członkiem prezydenckiej komisji do spraw importu stali.

–Owszem.

–Na miesiąc lub dwa przed podaniem do publicznej wiadomości zaleceń komisji, Genessee sprowadziło z Japonii bardzo dużo wysokogatunkowej stali. Po pewnym czasie firma Brandon Smith otrzymała zlecenie przy gotowania od strony prawnej operacji wypuszczenia na rynek dodatkowego pakietu akcji. Trzy miesiące później

pan przystąpił jako wspólnik do tej firmy... Wydaje mi się, że schemat jest oczywisty. Ian Hamilton wyprostował się na sofie. Jego oczy miały wściekłe błyski, ale głos miał lodowaty i opanowany.

–To najbardziej bezczelne zniekształcenie faktów, z jakim zetknąłem się podczas trzydziestu pięciu lat mojej zawodowej kariery! Absurdalne oskarżenia oparte na stroniczych interpretacjach dobranych tendencyjnie zdarzeń. Jestem pewien, że pan doskonale o tym wie.

–Niestety nie. Nie wiem o tym ani ja, ani żaden z pozostałych członków podkomisji.

Hamilton siedział jak posąg, ale Trevayne był niemal pewien, że na wzmiankę o „pozostałych członkach podkomisji” przez twarz prawnika przebiegło ledwo dostrzegalne drżenie.

Cios okazał się celny. Jediną rzeczą, jakiej obawiał się Ian Hamilton, był rozgłos i publicznie analizowane podejrzenia.

–Na użytek pana... i pańskich zdecydowanie źle poinformowanych wspólników pozwolę sobie zauważyć, że przed dwoma laty nawet największy idiota zajmujący się importem stali mógł przewidzieć, jaka będzie decyzja komisji. Japońskie, czechosłowackie, ba, także chińskie huty wykonywały nasze zamówienia, ale choćby pracowały na pełnych obrotach, nie

mogłyby im sprostać. Jedną z podstawowych reguł produkcji brzmi: lepiej mieć jednego dużego odbiorcę niż kilku małych. To znacznie obniża koszty, panie Trevayne. Widocznie Genessee Industries dysponowało wystarczającymi środkami, by zostać głównym odbiorcą Tamishito. Nie musieli czekać, aż ja lub ktokolwiek inny powie mu, co ma robić.

–Jestem pewien, że ta argumentacja okazałaby się wystarczająca dla ludzi zajmujących się działalnością na podobną skalę. Mocno wątpię, czy zadowoliliby przeciętnego obywatela płacącego podatki.

–Wykręty, panie Trevayne. O tym też pan doskonale wie. Niewłaściwie dobrany argument. Amerykański obywatel jest najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. O jego dobro troszczą się najtęższe umysły i najwybitniejsze intelekty.

–Zgadza się z panem – odparł zgodnie z prawdą Andrew. – Z jedną drobną poprawką: ja osobiście użyłbym raczej zwrotu „pracują dla niego”. Bądź co bądź, dostają za to pieniądze.

–To bez znaczenia. Sens definicji nie uległby zmianie.

–Mam nadzieję... Tak czy inaczej, przyłączył się pan do Brandona i Smitha w najlepszym momencie.

–Myślę, że już wystarczy! Jeśli uważa pan, że w grę wchodziła ugoda zawarta w celu osiągnięcia obopólnych korzyści, to mam nadzieję, że jest pan przygotowany na to, by poprzeć swoje oskarżenie konkretnymi dowodami. Cieszę się dobrą opinią, panie Trevayne. Na pańskim miejscu nie próbowałbym ataku poniżej pasa.

–Zdaję sobie sprawę z pańskiej reputacji, a także szacunku, jakim jest pan otaczany... Właśnie dlatego postanowiłem pana ostrzec, by miał pan czas na przygotowanie się do obrony.



Hamilton drgnął i pochylił się do przodu.

–Przyjechał pan tu, by mnie ostrzec? – zapytał ze zdumieniem.

–Tak. Zostały wysunięte poważne oskarżenia. Będzie pan musiał udzielić na nie odpowiedzi.

–Komu?

Wzięty prawnik zdawał się nie wierzyć własnym uszom.

–Podkomisji. Na otwartym posiedzeniu.

–Na otwartym... – Twarz Hamiltona zastygła w grymasie zdumienia. – Pan chyba nie mówi poważnie!

–Obawiam się, że tak.

–Nie ma pan prawa do tego, by zaganiać, kogo zechce, przed tę swoją powołaną *ad hoc* podkomisję! Tym bardziej na otwartym posiedzeniu!

–Świadkowie będą zeznawać dobrowolnie, nikt nie będzie ich nigdzie zaganiał.

Przynajmniej wolelibyśmy, żeby tak było.

–Wolelibyście? Pan postradał zmysły; w tym kraju istnieją prawa chroniące podstawowe wolności jednostki. Nie uda się panu bezkarnie mieszać z błotem każdego, kogo uczyni pan obiektem prześladowań!

–Nie ma mowy o żadnych prześladowaniach. Przede wszystkim, podkomisja nie jest sądem, który...

–Doskonale pan wie, co miałem na myśli.

–Czy mam rozumieć, że nie przyjmie pan naszego zaproszenia?

Hamilton zmarszczył brwi i przez dłuższą chwilę mierzył Trevayne'a przenikliwym spojrzeniem. Zwiertzył zasadzkę i nie miał najmniejszego zamiaru dać się w nią wciągnąć.

–Jestem gotów przekazać panu prywatnie wszelkie informacje dotyczące moich zawodowych powiązań z firmą Brandon Smith. Odpowiem na wszystkie pytania i wyjaśnię sytuację na tyle wyczerpująco, że nie będę musiał stawić się przed pańską podkomisją.

–W jaki sposób?

Hamilton nie lubił być naciskany. Doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie mogło pociągnąć za sobą ujawnienie przeciwnikowi tajników obrony. Mimo to musiał odpowiedzieć na zadane pytanie.

–Udostępnię panu dokumenty stwierdzające wyraźnie, że nie czerpię żadnych korzyści z operacji polegającej na wypuszczeniu przez Genessee Industries dodatkowego pakietu akcji. Umowa w tej sprawie została zawarta przed moim przystąpieniem do spółki. Nie mam podstaw, by domagać się udziału w zyskach, i wcale nie zależy mi na tym, by zmienić ten stan rzeczy.

–Ktoś mógłby powiedzieć, że takie dokumenty można łatwo napisać wtedy, kiedy są potrzebne, opatrując je wcześniejszymi datami.

–Ale nie da się tego zrobić z umowami i dokumentacją finansową. Przed przystąpieniem do spółki te sprawy są regulowane z drobiazgową dokładnością.

Trevayne uśmiechnął się szeroko.

–Rozumiem. W takim razie nic prostszego niż okazać te dokumenty i zaprzeczyć

oskarżeniom. Sprawa zakończyłaby się w ciągu dwóch minut.

–Powiedziałem, że okażę je panu, nie mówiłem, że stawię się na prze słuchanie. W ten sposób dodałbym powagi stawianym mi zarzutom. Nikt zajmujący taką pozycję jak ja, nie mógłby pozwolić sobie na coś takiego.

–Pan mi pochlebia, panie Hamilton. Stwarza pan wrażenie, jakbym sam jeden był ławą przysięgłych mogącą wydawać wyroki.

–Zakładam, że to pan ustala zasady działania podkomisji. Chyba że wyolbrzymia pan swoją rolę.

–Jeśli tak, to mimowolnie. Może spróbuję wyrazić to w inny sposób: tego rodzaju dokumenty nie działają na mnie. Obawiam się, iż będę zmuszony nalegać, by osobiście odpowiedział pan na nasze pytania.

Hamilton z najwyższym trudem powstrzymał wybuch gniewu.

–Panie Trevayne, spędziłem w Waszyngtonie prawie dwadzieścia lat życia. Opuściłem to miasto nie z konieczności, lecz z wyboru, gdyż bez trudu mógłbym w dalszym ciągu wykorzystywać swoje umiejętności. Wciąż jeszcze mam tam wielu przyjaciół.

–Czy pan mi grozi?

–Jedynie oświecam. Mam osobiste powody, dla których nie chcę brać udziału w żadnym przedstawieniu z udziałem pańskiej podkomisji. Doskonale rozumiem, że mógł pan nie mieć innych możliwości i musiał wybrać właśnie taką drogę postępowania. Wiem, że nie ma pan reputacji bezwzględniego krwiopijcy, lecz mimo to nie mogę się zgodzić, by moje osobiste sprawy stały się przedmiotem publicznej debaty.

–Nie jestem pewien, czy pana rozumiem...

Hamilton ponownie rozparł się na sofie.

–Gdyby nie przyjął pan moich wyjaśnień i w dalszym ciągu żądał, bym stawił się na przesłuchaniu, użyłbym wszystkich moich wpływów, łącznie z tymi sięgającymi do Departamentu Sprawiedliwości, by ukazać pana takim, jakim naprawdę pan jest: maniakiem-egoistą, zdecydowanym za wszelką cenę wspiąć się na same szczyty, choćby przyszło panu stąpać po trupach. Jeśli się nie mylę, otrzymał pan już jedno ostrzeżenie. Wkrótce potem wiekowy dżentelmen, który go panu udzielił, zginął w tajemniczym wypadku na moście w Fairfax... W tej sprawie pozostało wiele wątpliwości.

Tym razem to Trevayne pochylił się do przodu w fotelu. Nie wierzył własnym uszom. Gniew, a raczej połączone działanie gniewu, niepewności i paniki sprowokowały Iana Hamiltona do ujawnienia powiązań, których on, Trevayne, intensywnie poszukiwał. Było to tak naiwne posunięcie, że niemal zabawne. Spoglądając na Hamiltona, Andrew zrozumiał, iż żaden z ludzi, z którymi do tej pory rozmawiał, nie uwierzył w ani jedno jego słowo. Żaden. Nie wierzyli mu, kiedy powtarzał, że nie ma nic do stracenia. Ani zyskania.

–Panie Hamilton, chyba nadeszła pora, żebyśmy obaj zrezygnowali z pogroźek. Przede wszystkim ze względu na pana... Proszę mi powiedzieć, czy pańskie wpływy sięgają do Mitchella Armbrustera, kupionego przez Genessee senatora z Kalifornii?

**Do Joshui Studebakera, kupionego przez Genessee sędziego z Seattle? Przywódcy związkowego nazwiskiem Manolo i prawdopodobnie wielu takich jak on, zawierających na prawach wyłączności porozumienia zbiorowe w różnych rejonach kraju? Do naukowca nazwiskiem Jamison oraz setek, a może tysięcy jemu podobnych, skłonionych przekupstwem lub szantażem do lojalnego popierania interesów Genessee Industries? Czy sięgają także do Aarona Greena? Właśnie, jak przedstawia się sprawa z Greenem? Udało wam się go przekonać o tym, że dążąc do celu ujętego najkrócej w haśle „nigdy więcej”, należy osiągnąć ten sam stan militarnej supremacji, który zaprowadził jego żonę i dziecko do komory gazowej w Oświęcimiu. Co pan na to, mecenasie? Chce pan zastraszyć mnie tymi ludźmi? Zapewniam pana, że mu to się nie uda, a to dlatego, że już teraz jestem śmiertelnie przerażony.**

**Ian Hamilton wyglądał jak człowiek, który przed chwilą był świadkiem brutalnej egzekucji. Przez dłuższy czas nie mógł wydobyć głosu, a Trevayne nie przerywał milczenia.**

**–Co pan zrobił?... – wykrztusił wreszcie prawnik tak cicho, że Andrew dosłyszał go z najwyższym trudem.**

**Trevayne przypomniał sobie słowa Greena.**

**–Odrobiłem pracę domową, panie Hamilton. Pilnie studiowałem podręczniki, ale i tak wydaje mi się, że dopiero zacząłem. Jest jeszcze pewien człowiek cieszący się znakomitą opinią, senator z Marylandu, a także inny, z Vermontu. Oprócz nich znalazłoby się paru mniej grzecznych chłopców, takich jak Mario de Spadante i jego ferajna, specjalistów od noży i rewolwerów. Oni też całkiem nieźle dają sobie radę... Och, jestem pewien, że czeka mnie jeszcze długa droga. Tak się składa, że właśnie pan mógłby mi najbardziej pomóc, gdyż każdy z nich ma swoją własną sferę wpływów, natomiast pan działa w miejscu, gdzie są podejmowane najważniejsze decyzje, czyż nie tak?**

**–Pan nie wie, o czym mówi! – Głos Hamiltona brzmiał tak, jakby wydobywał się z głębokiej studni.**

**–Owszem, wiem. I właśnie dlatego zostawiłem sobie pana na koniec. Umieściłem pana na końcu listy, ponieważ jesteśmy trochę do siebie podobni. Wszyscy inni mają jakieś pragnienia lub potrzeby, chcą coś osiągnąć, zdobyć, coś naprawić lub za coś się zemścić. My jesteśmy od tego wolni, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nawet jeśli cierpi pan na kompleks Rasputina, to wybrał pan dość niezwykły sposób na to, by się go pozbyć. Jak sam pan powiedział, przeszedł pan na „częściową emeryturę”. Wyjechał pan z Waszyngtonu... Muszę znać odpowiedzi i wyciągnę je z pana albo przegonię pana w tę i z powrotem przed podkomisją, jakby był pan największą ruchomą platformą w Paradzie Kwiatów.**

**–Proszę przestać! – Hamilton zerwał się z sofy i stanął tuż przed Trevayne'em. – Proszę natychmiast przestać! Dokonałby pan ogromnych zniszczeń, panie Trevayne. Nawet nie wyobraża pan sobie, jak opłakane skutki dla kraju mogłaby za sobą pociągnąć pańska interwencja.**

**Prawnikiem odwrócił się i podszedł powoli do okna. Było oczywiste, iż niemal podjął**

już decyzję, by powiedzieć wszystko bez owijania w bawełnę.

–Jak mam to rozumieć? Proszę mi wyjaśnić. Nie jestem głuchy na rozsądne argumenty.

Hamilton spoglądał przez okno.

–Mam nadzieję... Przez wiele lat obserwowałem wspaniałych ludzi walczących z oddaniem o to, by zmusić urzędników do podjęcia niezmiernie istotnych decyzji. Widziałem funkcjonariuszy wielu rządowych agencji niekryjących łez, szalejących z wściekłości, rujnujących swoje życie rodzinne, a wszystko tylko dlatego, że dali się zwabić w polityczny labirynt, w którym ich wola działania została zneutralizowana przez bezwład niekompetencji. Co gorsza, przyglądałem się bezsilnie, kiedy cały kraj stanął na krawędzi katastrofy jedynie dlatego, że rządzący nim ludzie bali się zająć jakiegokolwiek konkretne stanowisko, gdyż wiązałoby się z tym przyjęcie na siebie konkretnej odpowiedzialności. – Odwrócił się od okna i spojrzał na Trevayne'a. – Nasz rząd stracił kontrolę nad sytuacją. Dotyczy każdej dziedziny jego działalności. Przeistoczył się w groteskowego, niezdarnego, jękającego się olbrzyma. Działająca błyskawicznie łączność sprawiła, że wszelkie decyzje są podejmowane jednocześnie w dwustu milionach niemal identycznych gospodarstw domowych, a tak daleko posunięta demokratyzacja doprowadziła w sposób naturalny do drastycznego obniżenia pułapu wymagań. Zgodziliśmy się... mało tego, wręcz wywalczyliśmy dla siebie mierność.

–Nakreślił pan bardzo ponury obraz, panie Hamilton. Nie jestem pewien, czy odpowiada on rzeczywistości, przynajmniej w takim stopniu, jak się panu wydaje.

–Oczywiście, że tak i pan doskonale o tym wie.

–Życzyłbym sobie, aby przestał pań to powtarzać. Właśnie, że nie wiem.

–W takim razie stracił pan chyba umiejętność obserwacji. Przyjrzyjmy się tylko minionym dwóm dziesięcioleciom, pomijając drobne lub odległe od nas geograficznie problemy, takie jak Azja Południowo-Wschodnia, Korea, Bliski Wschód, Zatoka Świń, mur berliński, NATO, z których każdy mógł zostać rozwiązany w znacznie mądrzejszy sposób. Zajmijmy się jedynie naszym własnym krajem. Rządząca się zagadkowymi prawami niestabilna ekonomia. Powtarzające się okresy recesji, inflacja, masowe bezrobocie. Zamieszki grożące wybuchem rewolucji – prawdziwej rewolucji, panie Trevayne. Niepokoje w miastach, tłumione z nadmierną brutalnością przez policję i Gwardię Narodową. Powszechna korupcja. Niekontrolowane strajki. Samowola służb publicznych. Rozpadająca się armia, przeżarta niekompetencją i dowodzona przez nieodpowiednich ludzi. Czy odważy się pan stwierdzić, że tak właśnie powinno wyglądać prawidłowo urządzone społeczeństwo?

–Tak wygląda społeczeństwo poddane bardzo krytycznemu osądowi. Różnimy się punktami widzenia, panie Hamilton. Istotnie, jest wiele rzeczy niewłaściwych, a nawet tragicznych, ale można również znaleźć dużo słusznych i dobrych.

–Nonsens! Zresztą niech pan mi sam powie: założył pan firmę, osiągnął pan znaczny sukces. Czy udałoby się to panu, gdyby wszystkie decyzje podejmowali pańscy urzędnicy?

–My byliśmy specjalistami i do nas należało podejmowanie decyzji.

**–Widzi pan? Wszystkie decyzje na szczeblu krajowym i międzynarodowym podejmują nie specjaliści, ale właśnie urzędnicy!**

**–W tym przypadku oni są specjalistami. Wola wyborców...**

**–Wola wyborców stanowi odpowiedź na modły zwolenników mierności.**

**Przynajmniej w naszych czasach.**

**Trevayne spojrzał uważnie na eleganckiego prawnika.**

**–Bez względu na pańskie motywy, będzie musiał pan przekonać podkomisję, że w żaden sposób nie naruszył pan prawa – powiedział, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej. – Nie jesteśmy inkwizytorami. Wystarczy przedstawić wiarygodne argumenty.**

**–Nie było naruszenia prawa, panie Trevayne – odparł nieco spokojniej Hamilton. – Jesteśmy całkowicie apolityczną grupą ludzi działających wyłącznie z myślą o wspólnym dobru, bez chęci uzyskania jakichkolwiek osobistych korzyści.**

**–Jaką rolę pełni w tym wszystkim Genessee Industries? Muszę to wiedzieć.**

**–Jest tylko narzędziem. Bardzo niedoskonałym narzędziem, to prawda, ale o tym zdążył się już pan sam przekonać.**

**Prawnik mówił dalej, a Trevayne'a dopiero teraz zaczęło ogarniać autentyczne przerażenie. Hamilton nie wdawał się w szczegóły, lecz z jego ogólnikowego opisu wyłaniał się obraz organizacji potencjalnie znacznie potężniejszej od kraju, który obrała za swoją siedzibę.**

**Genessee Industries było czymś znacznie więcej niż „tylko narzędziem”. Było – lub miało się stać – elitarnym superrządem. Dzięki jego gigantycznym zasobom ludzie, którzy dostąpili zaszczytu zasiadania w tym rządzie, mogli interweniować w dziedzinach stanowiących załóżek ogólnonarodowego chaosu. Stanowiło to cel dość jeszcze odległy w czasie, ale na mniejszą skalę Genessee dowiodło już wielokrotnie swojej sprawności, potwierdzając słuszność teorii ludzi, którzy doprowadzili do jego powstania. W wielu rejonach udało się zlikwidować bezrobocie, zakończyć bezsensowne spory między pracodawcami i związkami zawodowymi, uratować przed bankructwem wielkie przedsiębiorstwa. Oprócz problemów ekonomicznych Genessee zajmowało się także sprawami innego rodzaju. Kontrolowane przez niego laboratoria i instytuty naukowe realizowały zakrojone na szeroką skalę programy badawcze mające rozwiązać narastające w coraz szybszym tempie problemy ekologiczne. Zespoły lekarskie Genessee likwidowały ogniska groźnych chorób, same zaś badania medyczne stanowiły jeden z niekwestionowanych priorytetów. Wreszcie było też wojsko -pozostające pod ścisłą kontrolą, uważnie obserwowane, wierny sługa pozbawiony własnej woli – lecz mimo to Genessee udało się unowocześnić wiele rodzajów uzbrojenia, dzięki czemu ocalono tysiące istnień ludzkich. Armia oddała się Genessee całą duszą... i tak miało już pozostać.**

**Kluczem do sukcesów była możliwość błyskawicznego działania i dostępność ogromnych zasobów finansowych, z których można było korzystać, nie zwracając sobie głowy politycznymi zawiłościami. O sposobie wydawania tych pieniędzy decydowała elitarna grupa mądrych i dobrych ludzi oddanych ideom Ameryki.**

**Ameryki dla wszystkich, nie tylko dla wybranych.**

Reszta była jedynie środkiem do osiągnięcia tego celu.

–Ten kraj powstał jako republika, panie Trevayne – powiedział Hamilton, siadając na sofie naprzeciwko Andy'ego. – Demokracja stanowi całkowitą abstrakcję... Jedną z definicji „republiki” jest „państwo rządzone przez grupę ludzi uprawnioną do podejmowania decyzji. W najważniejszych sprawach”. Sformułowanie nie pozostawiające niedomówień, prawda? Ma się rozumieć, nikt nie chce przenieść tej definicji w niezmienionej formie do naszych czasów, ale z pewnością warto odwołać się do myśli, która legła u jej podstaw. W naszej epoce jest to wręcz nieodzowne.

–Rozumiem. – Trevayne musiał zadać następne pytanie, choćby po to, by usłyszeć, jak Hamilton uchyla się od odpowiedzi. – Czy nie obawia się pan ryzyka, że ci „uprawnieni do podejmowania decyzji” mogą sięgnąć po, nazwijmy to, drastyczne środki?

–Absolutnie nie – odparł spokojnie gospodarz. – Nie mają motywu. Nie mają mrocznych ambicji. Na początku naszej rozmowy powiedział pan coś, co wywarło na mnie ogromne wrażenie. Powiedział pan, że zjawił się tutaj, ponieważ ja – podobnie jak pan – nie staram się niczego zyskać ani nie próbuję osiągnąć żadnego osobistego celu. Oczywiście nigdy nie możemy być pewni tego, co się dzieje w duszy drugiego człowieka, ale tym razem nie pomylił się pan. Wszystkie moje potrzeby są zaspokojone, nie pałam żądzą zemsty... Pan i ja, bynajmniej nie żadne polityczne meteory, obaj ze znacznym bagażem doświadczeń, umiejący podejmować decyzje, troszczący się o los tych, którym się nie powiodło. Jesteśmy arystokracją, która powinna rządzić republiką. Już wkrótce nadejdzie czas, kiedy będziemy musieli wziąć na barki ciężar odpowiedzialności albo nasza republika przestanie istnieć.

–Zasady oświeconego absolutyzmu.

–Nie absolutyzmu, lecz arystokracji. W dodatku niepołączonej więzami krwi.

–Czy prezydent wie o tym?

Hamilton zawahał się.

–Nie. Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że rozwiązaliśmy za niego setki problemów. Po prostu znikają jeden za drugim... Jesteśmy cały czas do jego dyspozycji – w najbardziej pozytywnym znaczeniu tego wyrażenia.

Trevayne podniósł się z fotela. Nadszedł czas, by stąd wyjść, by wszystko przemyśleć.

–Doceniam to, że był pan ze mną szczery, panie Hamilton.

–Byłem także bardzo ogólnikowy. Mam nadzieję, że to także pan doceni. Żadnych nazwisk, żadnych szczegółów, tylko uogólnienia poparte hipotetycznymi przykładami.

–Co oznacza, że gdybym chciał kiedyś powołać się na naszą rozmowę...

–Na jaką rozmowę, panie Trevayne?

–Tak, oczywiście.

–Więc jednak dostrzega pan pozytywne strony i ogromne możliwości?

–Są godne uwagi. Ale czy pan sam przed chwilą nie powiedział, że nigdy nie wiadomo, co się dzieje w duszy drugiego człowieka?

Trevayne jechał powoli zaśmieżoną szosą, oddalając się od Evanston. Pozwalał

wyprzedzać się nielicznym samochodom, nie myśląc o tym, dokąd ani jak jedzie.  
Jego umysł był zaprzątnięty niewiarygodnymi informacjami.

Elitarny superrząd.

Stany Zjednoczone Genessee Industries.

## **Część 3**

### **Rozdział 35**

Robert Webster opuścił Biały Dom wschodnim wyjściem i skierował się ku parkingowi dla personelu. Wymówił się od udziału w briefingu przed konferencją prasową, pozostawiając swoje notatki – zawierające głównie przewidywane pytania dziennikarzy -jednemu z pozostałych doradców. Nie miał teraz czasu na proste – rutynowe zajęcia; musiał kontrolować znacznie bardziej skomplikowane wydarzenia, a właściwie aranżować je i koordynować.

Przeciek skierowany bezpośrednio do Rodericka Bruce'a powinien najpierw zaowocować plotkami krążącymi po wszystkich ważnych urządach -Kongresie, Departamencie Sprawiedliwości, Departamencie Obrony – potem zaś eksplodować tytułami na pierwszych stronach gazet. Takimi tytułami, jakie zniszczą reputację każdego przewodniczącego podkomisji, natomiast samą podkomisję obrócą w stertę gruzów.

Webster był z siebie bardzo zadowolony. Rozwiązanie problemu, jaki stwarzał Mario de Spadante, naprowadziło go na pomysł jednoczesnego wyeliminowania Trevayne'a. Pozostało jeszcze tylko rzucić Paula Bonnera na pożarcie Roderickowi Bruce'owi.

Cała reszta została już przygotowana i udokumentowana. Sięgające wiele lat wstecz kontakty de Spadante'go z Trevayne'em. Ich spotkanie późnym wieczorem w Connecticut, kiedy oficjalnie przewodniczący podkomisji przebywał w sprawach służbowych w innej części kraju. Wspólna podróż do Waszyngtonu, a następnie przejażdżka limuzyną Maria do hotelu Hilton. Spotkanie na przyjęciu w Georgetown u cieszącego się niezbyt dobrą opinią francuskiego attache, podejrzanego o współpracę z amerykańskim światem przestępczym.

Wszystko, czego potrzeba.

Andrew Trevayne i Mario de Spadante.

Korupcja.

Kiedy Mario zostanie zamordowany w New Haven, jego śmierć powiąże się z wewnątrzmafijnymi rozgrywkami. Jednocześnie w gazetach i telewizji pojawią się wiadomości o tym, że tydzień wcześniej Trevayne odwiedził go w szpitalu.

Korupcja.

Wszystko będzie dobrze – pomyślał Webster, skręcając w lewo w Pennsylvania Avenue. De Spadante zostanie wyeliminowany, a Trevayne na zawsze zniknie z Waszyngtonu.

Obaj stali się zbyt nieobliczalni. Webster nie miał żadnej gwarancji, że Trevayne nie spróbuje skontaktować się z prezydentem bez jego pośrednictwa. Śledztwo prowadzone przez przewodniczącego podkomisji objęło ogromny teren od Houston do Seattle, lecz Trevayne tylko jeden jedyny raz zwrócił się z prośbą o pomoc w zdobyciu informacji – właśnie na temat Maria de Spadante. To było bardzo niebezpieczne. W ostateczności on również mógł zostać zabity, ale pociągnęłoby to za sobą drobiazgowie śledztwo, a na to nie byli jeszcze przygotowani.

Natomiast de Spadante musiał zostać zlikwidowany. Posunął się zbyt daleko i za



dużo wiedział. Webster udzielił mu ogólnych informacji na temat Genessee Industries wyłącznie po to, by z pomocą mafii uporać się z oczyszczeniem przedpola, lecz Włoch natychmiast dostrzegł ogromne możliwości wiążące się ze współpracą z ludźmi zasiadającymi w najwyższych kręgach władzy i nie chciał usunąć się w cień.

Śmierć nie mogła przyjść do niego z zewnątrz. Mogłoby się to okazać zbyt niebezpieczne. Musiał zginąć z ręki kogoś takiego jak on.

Willie Gallabretto doskonale to rozumiał. Rodzina Gallabretto – zarówno ta połączona więzami krwi, jak i organizacja występująca pod tą nazwą -miała już dosyć brutalnych popisów krewniaka z Connecticut. Gallabretto należeli do zupełnie innej epoki: byli starannie wykształceni, elegancko ubrani, krótko ostrzyżeni i gardzili zarówno metodami przywiezionymi ze Starego Kraju, jak i sposobem życia „nowej”, długowłosej generacji.

Znajdowali się dokładnie w połowie drogi między tymi skrajnościami, dzięki czemu udało im się znakomicie wpasować w schemat amerykańskiej, nierzucającej się zbyt w oczy zacności. Gdyby nie nazwisko, z pewnością udałoby im się osiągnąć znacznie więcej.

Webster skręcił w Dwudziestą Siódmą ulicę i jadąc powoli przy samym krawężniku obserwował numery mijanych domów. Szukał numeru sto dwanaście.

Pod tym adresem mieszkał Roderick Bruce.

Paul Bonner spoglądał to na list, to na kapitana żandarmerii, który mu go przyniósł. Kapitan oparł się nonszalancko o drzwi pokoju Bonnera.

–O co tu chodzi, kapitanie? Czy to jakiś marny dowcip?

–Nie, majorze. Do otrzymania dalszych rozkazów ma pan nie opuszczać kwater oficerskich w koszarach w Arlington. Został pan oskarżony o popełnienie morderstwa pierwszego stopnia.

–Co takiego?

–Oskarżenie wniósł prokurator stanu Connecticut, ale zgodził się, by pozostał pan pod naszą opieką. Bez względu na wyrok rodzina ofiary, niejakiego Augusta de Spadante, ma prawo zażądać od armii pięciu milionów dolarów odszkodowania. Myślę jednak, że się dogadamy. Nikt nie jest wart pięciu milionów baksów.

–Dogadamy się? Morderstwo? Przecież te sukinsyny chciały zabić Trevayne'a! Miałem im na to pozwolić?

–Majorze, czy dysponował pan jakimkolwiek dowodem na to, że August de Spadante zjawił się w Barnegat w nieprzyjaznych zamiarach? Jeśli tak, to proszę nam go ujawnić, gdyż my nie możemy się go doszukać.

–Chyba pan żartuje. Przecież był uzbrojony, gotów w każdej chwili otworzyć ogień!

–To pan tak twierdzi. Było ciemno, a my nie znaleźliśmy żadnej broni.

–Widocznie ktoś ją ukradł.

–Proszę tego dowieść.

–Dwaj funkcjonariusze Secret Service z Białego Domu zostali celowo odwołani ze swoich pozycji w szpitalu w Darien. Kiedy wjeżdżałem na teren posiadłości w Barnegat, ktoś próbował mnie zastrzelić. Obezwładniłem napastnika i odebrałem mu

broń.

Kapitan odepchnął się od drzwi i podszedł do biurka Bonnera.

–Czytaliśmy o tym w pańskim raporcie. Ten człowiek twierdzi, że nie był uzbrojony i że pan napadł na niego bez żadnego powodu.

–I odebrałem mu pistolet! Mogę to udowodnić. Oddałem go Trevayne'owi.

–Oddał pan jakiś nie, zarejestrowany pistolet, na którym nie było żadnych odcisków palców poza pańskimi i Trevayne'a.

–Skoro tak, to skąd go wziąłem, do cholery?

–Dobre pytanie. Napadnięty twierdzi, że nigdy w życiu nie widział go na oczy. Słyszałem, że ma pan bogatą kolekcję broni.

–Pieprzenie!

–Poza tym ze szpitala w Darien nie odwołano żadnych funkcjonariuszy Secret Service, a to z tego prostego powodu, że nikt ich tam nigdy nie wysłał.

–Gówno prawda! Sprawdźcie grafiki.

–Już to zrobiliśmy. Federalna obstawa Trevayne'a została wcześniej skierowana do innych zadań, jej obowiązki zaś przejęły władze lokalne, a dokładnie biuro szeryfa z Fairfield w stanie Connecticut.

–To kłamstwo! – Bonner zerwał się z fotela. – Sam rozmawiałem z dyżurnym Biura Ochrony Białego Domu.

–Może pomyłka, ale na pewno nie kłamstwo. Rozmawialiśmy z Robertem Websterem, jednym z osobistych asystentów prezydenta. Powiedział, że osobiście przekazał ochronę Trevayne'a władzom lokalnym.

–W takim razie gdzie byli ci miejscowi ochroniarze?

–Siedzieli w samochodzie na parkingu.

–Nie widziałem ich!

–A szukał pan?

Bonner zastanowił się przez chwilę. Przypomniał sobie, że na podjeździe był znak kierujący wszystkie pojazdy na parking za budynkiem szpitala.

–Nie... Nawet jeśli to prawda, to byli nie tam, gdzie trzeba!

–Bez wątplenia. Partacka robota. Ale to przecież nie są agenci Secret Service, tylko zwykli gliniarze.

–Usiłuje mi pan wmówić, że wszystko sam sobie wymyśliłem? Nieobecność obstawy, strzały, tego typu z pistoletem... Do cholery, kapitanie, ja nie popełniam takich błędów!

–Oskarżenie jest tego samego zdania. Pan nie popełnia takich błędów. Pan po prostu kłamie.

–Na pańskim miejscu staranniej dobierałbym słowa, kapitanie. Niech pan nie da się zwieść temu opatrunkowi.

–Do licha, majorze! Przecież ja pana bronię! Szczerze mówiąc, wcale nie pomagam mi w tym pańska opinia człowieka skłonnego do stosowania przemocy. Wszyscy wiedzą, że na polu bitwy stara się pan za wszelką cenę zadać jak największe straty nieprzyjacielowi, nawet jeśli nie ma to żadnego taktycznego uzasadnienia. Jeżeli mnie pan pobije, na pewno nie poprawi pan swojej sytuacji.

Bonner odetchnął głęboko.

–Trevayne mnie poprze. Powie, jak było naprawdę. Był przy wszystkim.

–Słyszał jakieś pogroźki pod pańskim adresem? Widział jakieś gesty – nawet z daleka – które można by zinterpretować jako zagrożenie pańskiego życia lub zdrowia?

–Nie – odpowiedział major po krótkim zastanowieniu.

–A służąca?

–Też nie... Opatrzyła mi jedynie ranę na szyi, a Trevayne założył opaskę uciskową na ramię.

–To nam nic nie da. Mario de Spadante twierdzi, że działał w obronie własnej. Groził mu pan bronią, a potem uderzył ręką w głowę.

–Po tym, jak pociął mnie na plasterki swoim kastetem.

–Przyznaje się do jego posiadania. Grozi mu za to grzywna w wysokości pięćdziesięciu dolarów... Czy któryś z tamtych dwóch, ten nieżywy lub ogłuszony, zaatakował pana jako pierwszy? – zapytał kapitan, przyglądając się uważnie Bonnerowi.

–Nie.

–Jest pan tego pewien?

–Tak.

–Dziękuję za szczerość. Kłamstwo szybko wyszłoby na jaw. Załatwili by nas już pierwszym facetem. Jego obrażenia wskazują jednoznacznie na to, że został zaatakowany od tyłu. Byłby pan skończony.

–Ja nie kłamię.

–Już dobrze, dobrze.

–Rozmawiał pan z generałem Cooperem?

Złożył zeznanie na piśmie. Twierdzi, że zezwolił panu na przelot wojskowym samolotem z Boise w Idaho, ale nie miał pojęcia o pańskiej wyprawie do Connecticut. Jednak oficer dyżurny z bazy Andrews utrzymuje, iż powoływał się pan na upoważnienie otrzymane od generała Co-opera. Mamy więc do czynienia z poważną sprzecznością. Cooper poinformował nas także, że nie złożył mu pan przez telefon meldunku o swoich poczynaniach.

–Boże, przecież byłem wtedy poszatowany jak kapusta!

Kapitan cofnął się o krok i odwrócił plecami do Bonnera.

–Majorze, zadam panu teraz pytanie, ale chcę, by pan wiedział, że nie wykorzystam tego, co usłyszę, o ile nie będę miał całkowitej pewności, że może nam to przynieść jakieś korzyści. Nawet wtedy będzie pan mógł mnie powstrzymać, oczywiście jeśli uzna pan to za stosowne. Zgoda?

–Proszę mówić.

Kapitan spojrzał na majora.

–Czy wcześniej zawarł pan jakąś umowę z Trevayne'em i de Spadantem? Dostarczył im pan coś, o czym nie chce pan mówić, a oni z jakiegoś powodu wzięli pana w obroty?

–Idzie pan błędnym tropem, kapitanie.

–W takim razie, co tam robił de Spadante?

–Już panu powiedziałem. Chciał zlikwidować Trevayne'a. Na pewno się nie mylę.

–Jest pan tego pewien? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Trevayne powinien wtedy przebywać w Denver. Nikt nie miał podstaw, by podejrzewać, że jest inaczej... chyba że o tym wiedział. Po co zjawił się w Connecticut, jeśli nie po to, by spotkać się z de Spadantem?

–Odwiedził żonę w szpitalu.

–Teraz pan idzie błędnym tropem, majorze. Przez cały dzień przesłuchiwalismy personel szpitala. Pani Trevayne nie miała robionych żadnych badań. To była tylko zasłona dymna.

–Do czego pan zmierza?

–Uważam, że Trevayne przyjechał do Barnegat, by spotkać się z de Spadantem, a pan popełnił największy błąd w karierze.

Roderick Bruce, łańcuchowy pies Waszyngtonu niegdyś nikomu nieznany Roger Brewster z Erie w Pensylwanii wyjął kartkę z maszyny do pisania i wstał ze swego specjalnie skonstruowanego fotela. W kuchni czekał goniec z redakcji.

Bruce włożył kartkę pod kilka wcześniej zapisanych i zabrał się do czytania całości.

Prawie osiągnął zamierzony cel. Major Paul Bonner nie przetrwa nawet do końca tygodnia.

Sprawiedliwości stanie się zadość.

Aleks – delikatny, drogi Aleks – zostanie pomszczony. Czytał powoli, rozkoszując się każdym ostrym jak brzytwa sformułowaniem. O czymś takim marzył każdy dziennikarz: donosił o straszliwych wydarzeniach, które przewidział. Informował o nich jako pierwszy, popierając słowa niepodważalnymi dowodami.

Słodki, osamotniony Aleks. Wiecznie zdziwiony Aleks, który troszczył się jedynie o bezcenne relikwie minionych wieków. I o niego, oczywiście. O Roda Bruce'a.

Kiedyś.

Zawsze mówił do niego Roger, nigdy Rod ani Roderick. Twierdził, że używając jego prawdziwego imienia, czuje się mu znacznie bliższy. Wielokrotnie powtarzał, że Roger to piękne imię, takie delikatne i zmysłowe...

Bruce dotarł do ostatniej strony artykułu.

...względu na wszelkie spekulacje dotyczące osoby Augusta de Spadantego – a są to wyłącznie spekulacje – trzeba stwierdzić jasno i wyraźnie, że był dobrym mężem i ojcem pięciorga niewinnych dzieci, które dziś rozpaczają nad jego trumną. August de Spadante z honorem służył w siłach zbrojnych, aż do śmierci nosząc blizny po ranie zadanej odłamkiem pocisku podczas wojny w Korei.

Prawdziwa tragedia polega na tym – „tragedia” jest w tym kontekście jedynym właściwym słowem – że zbyt często nasi dzielni żołnierze, ludzie tacy jak August de Spadante, muszą brać udział w krwawych jatkach sprowokowanych (tak jest, sprowokowanych!) przez ambitnych, żądnych awansu, szalonych rzeźników w mundurach, którzy żyją wyłącznie wojną, dążą do niej za wszelką cenę i pchają nas ku niej, aby realizować własne obsesje.

Taki właśnie człowiek, taki rzeźnik, zaczął się w mroku i wbił nóż w plecy (w plecy!) niespodziewającego się niczego Augusta de Spadante.

Ów zabójca, Paul Bonner, nie po raz pierwszy odebrał życie bliźniemu, o czym dobrze wiedzą moi czytelnicy. Jednak do tej pory był ściśle chroniony – być może dlatego, że chronił innych...

Czy my, obywatele, możemy pozwolić, by w armii Stanów Zjednoczonych służyli mordercy, którym wolno na własną rękę podejmować decyzje o tym, kto ma prawo żyć, a kto powinien zostać zlikwidowany?

Bruce uśmiechnął się, spiął stronice, po czym wstał z fotela i wyprostował ciało liczące niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Z szuflady biurka wyjął dużą szarą kopertę, włożył do niej kartki, zakleił ją, a na miejscu zlepiania odcisnął stempel ze swoim nazwiskiem.

Ruszył już w kierunku drzwi do kuchni, kiedy jego wzrok padł na stojącą na regale małą chińską szkatułkę. Skręcił w tamtą stronę, odłożył kopertę i sięgnął po kluczyk wiszący na jego szyi na cienkim łańcuszku, po czym zdjął szkatułkę z półki, otworzył zamek i podniósł wieko.

Listy od Aleksa.

Wszystkie zaadresowane do Rogera Brewstera i opatrzone numerem skrytki w jednym z największych waszyngtońskich urzędów pocztowych.

Musieli być ostrożni. Obaj musieli być ostrożni, ale on znacznie bardziej niż Aleks.

Aleks. Tak młody, że mógłby być jego synem... lub córką. Tyle że nie był ani synem, ani córką, lecz kochankiem. Namiętnym i troskliwym, co sprawiło, że Roger Brewster dawał upust kłębiącym się w nim, potwornie splątany emocjom. Jego pierwszą miłością.

Zaraz po ukończeniu studiów Aleks, dzięki wręcz genialnej znajomości dalekowschodnich języków i kultur, mógł przebierać w propozycjach stypendiów. Wkrótce potem na uniwersytecie w Chicago obronił pracę doktorską i został skierowany do Waszyngtonu, by ocenić orientalne zabytki przekazane w darze Smithsonian Institute.

Odroczenie nie trwało długo. Aleks został powołany do wojska, a Roderick Bruce nie ośmielił się temu przeszkodzić, choć pragnął tego tak bardzo, że omal nie odchodził od zmysłów. Udało mu się jednak załatwić to, że chłopaka szybko przeniesiono na tyły. Wspomniał mimochodem kilku wysoko postawionym osobom, iż nieprzeciętne umiejętności Aleksa mogłyby zostać znakomicie wykorzystane w specjalistycznej komórce Pentagonu noszącej nazwę Biura Spraw Azjatyckich. Zanosilo się na to, że ich wspólne życie będzie bez przeszkód toczyło się naprzód, kiedy zupełnie nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, Aleks dowiedział się, że ma cztery godziny na spakowanie bagaży – nie więcej niż trzydzieści kilogramów – uporządkowanie spraw osobistych i stawienie się w Bazie Sił Powietrznych Andrews.

Miał polecieć na drugi koniec świata, do Sajgonu.

Nikt nie chciał mu powiedzieć, dlaczego. Roderick Bruce, drżąc ze strachu zarówno o kochankę, jak i o siebie, przełamał lęk i spróbował się tego dowiedzieć.

Nawet jemu to się nie udało.

A potem zaczęły przychodzić listy. Aleks został wcielony do oddziału zwiadowców przygotowującego się do rajdu w głąb terytorium opanowanego przez nieprzyjaciela. Powiedziano mu, że potrzebny jest amerykański tłumacz – dowódcy nie ufali miejscowym agentom, obawiając się szpiegów Vietcongu – najlepiej dysponujący wiedzą o zwyczajach religijnych i wierzeniach tubylców. Komputery podały właśnie jego nazwisko; tak przynajmniej twierdził dowódca oddziału, major nazwiskiem Bonner, stuprocentowy maniak. Aleks zdawał sobie sprawę, że Bonner nim gardzi. „W głębi duszy jest, wiesz kim, ale stara się to w sobie stłumić”. Major bez przerwy szykanował Aleksa, nie dając mu ani chwili wytchnienia.

Po pewnym czasie listy przestały dochodzić. Przez wiele tygodni Roderick Bruce jeździł na pocztę w centrum Waszyngtonu, nierzadko nawet dwa lub trzy razy dziennie. Na próżno.

Wreszcie jego najgorsze obawy znalazły potwierdzenie.

Nazwisko było jednym z wielu na publikowanej co tydzień przez Pentagon liście ofiar. Dokładnie jednym z trzydziestu ośmiu. Dyskretne śledztwo, przeprowadzone rzekomo na prośbę rodziców, ujawniło, że Aleks dostał się do niewoli w pomocnej Kambodży, w pobliżu granicy z Tajlandią, w czasie operacji wywiadowczej dowodzonej przez majora Paula Bonnera, jednego z sześciu ludzi, którym udało się ująć z życiem. Ciało Aleksa znaleźli kambodżańscy rolnicy.

Został rozstrzelany.

Kilka miesięcy później nazwisko Paula Bonnera pojawiło się ponownie, przy okazji innego śledztwa, tym razem bardziej oficjalnego. Roderick Bruce natychmiast zrozumiał, że znalazł sposób, by pomścić kochanka. Jego cudownego, wykształconego, delikatnego kochanka, który wprowadził go w świat fizycznej rozkoszy. Kochanka doprowadzonego na pewną śmierć przez aroganckiego majora, oskarżonego teraz przez własnych kolegów o to, że sam dla siebie ustanawiał prawa.

Polowanie zaczęło się w chwili, gdy Roderick Bruce poinformował swoich wydawców, że zamierza opublikować kilka reportaży z Azji Południowo-Wschodniej. Miały dotyczyć tematyki ogólnej, może z położeniem nieco większego nacisku na życie żołnierzy pierwszej linii. Coś takiego, co podczas II wojny światowej robił Ernest Pyle, a co w Wietnamie jeszcze nikomu się zbytnio nie udało.

Wydawcy byli zachwyceni. Roderick Bruce przekazujący najświeższe doniesienia z Danang, Son Toy lub delty Mekongu – zapowiadało się na nie lada gratkę. Takie przedsięwzięcie powinno zaowocować znacznym zwiększeniem nakładów oraz ugruntowaniem i tak już znakomitej reputacji dziennikarza.

Rod Bruce potrzebował niecałego miesiąca, by przesłać pierwszy materiał o pewnym majorze przetrzymywanym w całkowitej izolacji i oczekującym na decyzję o postawieniu przed sądem. Potem ukazały się kolejne artykuły, każdy następny bardziej drapieżny od poprzedniego. Sześć tygodni po opuszczeniu Waszyngtonu Roderick Bruce po raz pierwszy użył określenia „zabójca z Sajgonu”.

Od tej pory używał go bezlitośnie przy każdej okazji.

Jednak wojskowy wymiar sprawiedliwości miał na ten temat odmienne zdanie. Nadeszły tajne rozkazy i major Paul Bonner został po kryjomu zwolniony z aresztu.

**Wrócił do Stanów, by zająć się jakąś tajemniczą działalnością w Pentagonie.**

**Teraz jednak wszystko się zmieni. Trzy lata i cztery miesiące po śmierci Aleksa wojskowi będą musieli wysłuchać tego, co ma do powiedzenia Roderick Bruce. A potem spełnią jego żądania.**

## Rozdział 36

Trevayne'a zirytowało wahanie Waltera Madisona. Zwijając w palcach kabel telefonu, wpatrywał się w leżącą przed nim gazetę, a konkretnie w trzyłamowy artykuł w lewym dolnym rogu pierwszej strony. Tytuł był krótki i dość ogólnikowy: „Oficer mordercą”.

Nie dało się tego powiedzieć o podtytule: „Major Sił Specjalnych, oskarżony trzy lata temu o popełnienie licznych zbrodni, sprawcą brutalnego zabójstwa w Connecticut”.

Madison mamrotał coś pod nosem o potrzebie zachowania spokoju.

–Walter, jego chcą wsadzić do pudła w trybie przyspieszonym! Na razie zostawmy na boku szczegóły. Wkrótce przekonasz się, że mam rację. Chcę od ciebie usłyszeć, że zgodzisz się zostać jego cywilnym obrońcą.

–Stawiasz dość wygórowane żądania, Andy. Najpierw trzeba dopełnić pewnych formalności, a nie mamy żadnej gwarancji, że to nam się uda.

–Jakich formalności?

–Na początek on sam musi wyrazić zgodę, żebyśmy go reprezentowali. Jeśli mam być szczery, to wcale mi na tym specjalnie nie zależy. Moi współpracownicy z pewnością by sobie tego nie życzyli.

–O czym ty mówisz, do cholery? – Andrew denerwował się coraz bardziej. Wyglądało na to, że Madison chce mu odmówić. Z wyrachowania. – Nie zauważyłem, żeby zgłaszali jakiegokolwiek obiekcje, kiedy dostarczałem wam dziesiątków spraw o wiele bardziej wątpliwych niż obrona niewinnego człowieka. Człowieka, który, nawiasem mówiąc, ocalił mi życie, a tym samym umożliwił wam dalsze czerpanie korzyści z kontaktów ze mną. Czy wyrażam się jasno?

–Całkowicie. Uspokój się, Andy. Ty też brałeś w tym udział, a to wcale nie jest powód do radości. Jeśli teraz będziemy z zapalem bronić Bonnera, ludzie natychmiast zaczną cię z nim kojarzyć... a przy okazji także z de Spadantem. Nie sądzę, żeby to było mądre. Płacisz mi za to, żebym udzielał ci rad. Nie zawsze muszą ci się podobać, ale...

–Nic mnie to nie obchodzi – przerwał mu Trevayne. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć, i w pełni to doceniam, ale nie mam zamiaru się tym przejmować. Chcę, żeby miał najlepszych obrońców, jakich można znaleźć.

–Czytałeś te wypociny Bruce'a? Na razie zostawił cię w spokoju, ale to nie potrwa długo. Mimo to chciałbym, żeby w twojej sprawie zachował neutralność, ale jeśli weźmiemy się do obrony Bonnera, na pewno nic z tego nie wyjdzie.

–Na litość boską, Walter! Jakich słów mam użyć, żebyś wreszcie mnie zrozumiał? Te sprawy nic mnie nie obchodzą. Nic a nic. Uwierz mi! Bruce jest wrednym kurdupłem o ostrym języku i potrafi wydobyć sensację nawet spod ziemi. Bonner stanowi dla niego wymarzony cel, bo nikt go nie lubi.

–Zdaje się, że nie bez powodu. Wydaje się mieć skłonności do stosowania własnych, dość brutalnych rozwiązań. Andy, tu nie chodzi o zwykłe sympatie i antypatie, tylko o powszechne potępienie. Ten człowiek jest psychopatą.

–Nieprawda. Wykonując rozkazy, musiał uczestniczyć w tragicznych



wydarzeniach. On ich nie aranżował... Posłuchaj, Walterze: nie chcę angażować jakiegoś wojskowego krzyżowca. Zależy mi na solidnej firmie, która chętnie weźmie tę sprawę, na użytek publiczny stwarzając wrażenie, że wygra ją bez najmniejszych problemów.

–To może oznaczać koniec mojej kariery.

–Powiedziałem: „na użytek publiczny”. Nic mnie nie obchodzi, co na prawdę myślisz. Jestem przekonany, że zmienisz zdanie, kiedy poznasz wszystkie fakty. Madison umilkł na chwilę, a potem głośno westchnął.

–Jakie fakty, Andy? Czy naprawdę istnieją jakieś przekonujące dowody, które mogą zbić tezę oskarżenia o tym, że Bonner zadźgał faceta nie upewniwszy się nawet, kto to jest ani co tam robi? Przeczytałem całą gazetę, nie tylko artykuł Bruce'a. Bonner przyznaje się do wszystkiego. Jedyna okoliczność łagodząca, na którą się powołuje, to ta, że starał się ciebie ochronić. Ale przed czym?.

–Strzelano do niego! W jego samochodzie są dziury po kulach! – Nie znasz najświeższych ustaleń Bruce'a. W samochodzie są cztery otwory po pociskach: jeden w przedniej szybie i trzy w drzwiach. Bonner mógł je zrobić sam, strzelając z rewolweru. Napadnięty mężczyzna stanowczo zaprzecza, jakoby miał jakąkolwiek broń.

–To kłamstwo!

–Nie jestem wielkim zwolennikiem Bruce'a, ale zawahałbym się przed nazwaniem go kłamcą. Podaje zbyt szczegółowe fakty. Wiesz oczywiście, że wyśmiał twierdzenie Bonnera, jakoby ktoś odwołał twoją obstawę?

–To także kłamstwo... Zaczekaj chwilę! Walter, czy te wszystkie informacje o samochodzie, zeznaniach Paula i obstawie były podane do publicznej wiadomości?

–Jak to?

–Czy zostały oficjalnie ujawnione?

–Znając argumenty oskarżenia i reakcje obrony, łatwo domyślić się całej reszty. Dla tak doświadczonego dziennikarza jak Bruce to naprawdę nie wielki problem.

–Ale wojskowy obrońca Paula nie zwołał konferencji prasowej?

–Nie, bo to i tak nie miałyby żadnego sensu.

Andrew zapomniał na chwilę o dyskusji z Walterem Madisonem. Jego myśli skoncentrowały się wyłącznie na Rodericku Brusie, a właściwie na jednej charakterystycznej cesze postępowania małego dziennikarza, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi. Do tej pory Trevayne przypuszczał, iż Bruce stara się osaczyć Bonnera, podążając tropem jakiegoś mitycznego spisku, i stara się przedstawić go jako symbol potencjalnie niebezpiecznego faszysty. Tymczasem Bruce zaatakował z innej strony; wyizolował majora, koncentrując się wyłącznie na incydencie w Connecticut. Owszem, w artykułach pojawiały się wzmianki o Indochinach i morderstwach popełnionych na polu bitwy, ale były to jedynie wzmianki. Ani słowa o konspiracji, o odpowiedzialności Pentagonu, żadnych filozoficznych uogólnień. Tylko major Paul Bonner, „zabójca z Sajgonu”, spuszczone ze smyczy w Connecticut.

Nie było w tym ani odrobiny logiki. Umysł Trevayne'a pracował na maksymalnych

obrotach. Andrew zdawał sobie sprawę, że Madison oczekuje na jakąś reakcję z jego strony. Bruce dysponował amunicją wystarczająco dużego kalibru, by uderzyć w Jastrzębie” Pentagonu, w generałów, którzy wydawali rozkazy takim ludziom jak Paul Bonner. Jednak nie zrobił tego; ba, ani się zająknął.

Interesował go wyłącznie Bonner.

Szczelina była niewielka, lecz jej istnienie nie ulegało żadnej wątpliwości.

–Rozumiem twoje stanowisko Walterze, i nie ucieknę się do brudnych sztuczek.

Nie będę ci groził...

–Mam nadzieję, Andy – przerwał mu Madison. – Mamy za sobą zbyt wiele przepracowanych wspólnie lat, żeby pozwolić wszystko zniszczyć jakiemuś oficerowi, który, jak mi się wydaje, nie darzy cię największym szacunkiem.

–Masz rację. – Trevayne spojrział ze zdziwieniem na aparat. Słowa prawnika zaskoczyły go, ale nie miał teraz czasu, by się w to zagłębiać. – Przemyśl sobie wszystko, porozmawiaj ze współnikami i daj mi znać za kilka godzin. Jeśli odpowiedź będzie negatywna, poproszę cię o jej uzasadnienie. Myślę, że mam do tego prawo.

Jeżeli się zgodzisz, zaakceptuję każde honorarium, jakie uznasz za stosowne,

–Zadzwońię po południu lub wieczorem. Będziesz w biurze?

–Jeśli nie, Sam Vicarson powie ci, gdzie możesz mnie znaleźć. Później pojedę do Tawning Spring. Czekam na twój telefon.

Trevayne podjął decyzję, jeszcze zanim odłożył słuchawkę na widełki. Sam Vicarson otrzyma nowe zadanie.

Do wczesnego popołudnia Sam Vicarson zgromadził wszystkie artykuły Rodericka Bruce'a, w których znajdowała się choćby najmniejsza wzmianka o Paulu Bonnerze, „zabójcy z Sajgonu”.

Dokładna analiza ujawniła tylko, że punktem zaczepienia była niezbyt jasna historia sprzed trzech lat. Jej znaczenie wiązało się z faktem, że władze uznały za stosowne otoczyć ją ścisłą tajemnicą. Trudno było nawet stwierdzić, czy uwłaczające określenie odnosiło się konkretnie do majora, czy także do jego zwierzchników z Sił Specjalnych. Jednak wszystko to stanowiło wyłącznie odskocznnię od powtarzanych uparcie ataków, których celem był tylko jeden człowiek: okrutny potwór nazwiskiem Paul Bonner.

Ataki te były znakomitymi wprawkami w pisaniu charakterystyki negatywnej. Według Rodericka Bruce'a Bonner stanowił jednocześnie siłą sprawczą i produkt brutalnego systemu. Mógł wzbudzić jedynie pogardę i litość, przy czym litość ta miała przypominać uczucie, jakim obdarza się barbarzyńcę roztrzaskującego o kamienie główki dzieci opętanych jakoby przez złe duchy. Można litować się nad prymitywną motywacją, ale dopiero po tym, jak zabiło się barbarzyńcę.

W pewnej chwili – zgodnie z przewidywaniami Trevayne'a – ton artykułów uległ zmianie. Zniknęły wszelkie próby umiejscowienia Bonnera w systemie. Przestał być produktem, został jedynie siłą sprawczą.

Samotny potwór, który zdradził ideały.

Różnica natychmiast rzucała się w oczy.

–O cholera! – mruknął Vicarson. – On chyba chce postawić go przed plutonem

egzekucyjnym,

– Nawet na pewno. Muszą dowiedzieć się dlaczego.

– Myślę, że mamy to jak na widelcu. Mimo eleganckich garniturów i obiadów jadanych w drogich restauracjach, Roderick Bruce jest w głębi duszy świrniętym lewakiem.

– Skoro tak, to czemu domaga się tylko jednej egzekucji? Dowiedz się, gdzie trzymają Bonnera. Muszę z nim porozmawiać.

Paul zdjął niewygodny kołnierz chroniący opatrunek i oparł się o ścianę, siedząc na regulaminowej wojskowej pryczy. Andrew stał. Pierwszych kilka minut spotkania upłynęło w napiętej atmosferze. Pokój był niewielki, w korytarzu przed drzwiami stał uzbrojony strażnik, Trevayne'a zaś zdumiała wiadomość, że majorowi pozwolono opuszczać pomieszczenie jedynie w porze gimnastyki.

– Mimo wszystko chyba to lepsze niż cela – zauważył.

– Niewiele.

Trevayne zaczął bardzo ostrożnie.

– Wiem, że nie możesz lub nie chcesz rozmawiać o tych sprawach, ale chciałbym ci pomóc. Mam nadzieję, że nie muszę cię przekonywać?

– Nie. Wierzę ci, ale wątpię, czy będę potrzebował pomocy.

– Wydajesz się bardzo pewny siebie.

– Cooper wróci za kilka dni. Już kiedyś przeszedłem przez coś takiego, pamiętasz? Najpierw jest mnóstwo wrzasku i zamieszania, a potem wszystko przycicha i po kryjomu przenoszą mnie w jakieś inne miejsce.

– Wierzysz, że tym razem będzie tak samo? Bonner zastanowił się przez chwilę.

– Tak. I to z wielu powodów. Gdybym znajdował się na miejscu Coopera albo jakiejś innej szychy, robiłbym dokładnie to, co oni teraz. Niech para pójdzie w gwizdek... Sporo nad tym myślałem. – Uśmiechnął się lekko. – Wojsko działa czasem w zagadkowy sposób.

– Czytałeś gazety?

– Jasne. Czytałem je też trzy lata temu. Wtedy w wiadomościach o siódmej wieczorem poświęcano mi dziesięć minut, teraz zaledwie parę sekund. Mimo to doceniam twoje zainteresowanie. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę to, że podczas naszej ostatniej rozmowy kazałem ci wynosić się do diabła.

– I chyba nie miałeś zamiaru zafundować mi biletu powrotnego?

– Nie i w dalszym ciągu nie mam. Powodujesz mnóstwo szkód, Andy. Ja jestem najmniej ważną, a w dodatku tymczasową, ofiarą.

– Mam nadzieję, że nie wmówiłeś sobie, że nic ci nie grozi?

– Cywilna gadanina. U nas słowo „grozić” ma inne znaczenie. Co to za sprawy, o których podobno nie chcę lub nie mogę rozmawiać?

– Dlaczego Roderick Bruce uważa cię za wroga numer jeden?

– Sam się często nad tym zastanawiałem. Jakiś psychiatra powiedział mi, że uosabiam wszystko to, co Bruce chciałby osiągnąć, a na co nie ma najmniejszych szans, w związku z czym wyładowuje agresję przy maszynie do pisania... Prostsze wyjaśnienie brzmi następująco: jestem zwolennikiem zwiększenia budżetu

**Departamentu Obrony, a to jest woda na jego młyn.**

**–Nie mogę przyjąć żadnego z nich. Spotkałeś go kiedyś?**

**–Ani razu.**

**–Nigdy nie zatrzymałeś jakichś jego artykułów, które pisał w Indochinach? Ze względów bezpieczeństwa, ma się rozumieć.**

**–Nawet gdybym chciał, to nie miałem takich możliwości. Poza tym jego chyba nie było tam wtedy, kiedy działałem na pierwszej linii.**

**–Słusznie. – Trevayne podszedł do jedyne go krzesła i usiadł na nim. – Wziął cię na celownik dopiero po tym, jak nasza ambasada w Sajgonie zażądała, by postawić cię w stan oskarżenia... Proszę, wyjaśnij mi jedną sprawę. Jeśli tego nie zrobisz, na pewno uda mi się dotrzeć do odpowiednich źródeł, możesz być tego pewien. W swoich artykułach Bruce twierdzi, że zarzucono ci zabójstwo od trzech do pięciu ludzi i że CIA kategorycznie zaprzecza, jakoby udzieliła ci jakichś „specjalnych uprawnień”, czy jak to tam się nazywa. Bruce ma wielu przyjaciół w rządzie. Czy nie może być tak, że wziął się na ciebie, ponieważ wmieszałeś w to Agencję, a w związku z tym któryś z jego kumpli zlecił ze stołka?**

**Przez dłuższą chwilę Bonner przyglądał się w milczeniu Trevayne'owi. Wreszcie dotknął dłonią opatrunku na szyi i powiedział z namysłem:**

**–W porządku... Powiem ci, co się stało... Choćby po to, żebyś odczepił się od CIA. I beze mnie mają dosyć kłopotów. Złapaliśmy pięciu podwójnych agentów. Osobiście wszystkich zabiłem. Trzech z nich otoczyło mój namiot i urządziło taką kanonadę, że została tylko dziura w ziemi. Na szczęście nie było mnie w środku, bo w porę dostałem cynk od chłopców z Agencji. Dwóch przyłapałem na granicy z Tajlandią, jak ukrywali rosyjskie ładownice. Okazało się, że korzystali z naszych kontaktów i przekupywali szefów plemion, tych, których wcześniej z najwyższym trudem udało mi się przeciągnąć na naszą stronę... Jeśli mam być szczery, to z tego bagna wyciągnęła mnie właśnie CIA.**

**Sprawa nie nabrałaby żadnego rozgłosu, gdyby nie paru w gorącej Wodzie kąpanych prawników. Musieliśmy powiedzieć im wprost, żeby poszli sobie do diabła.**

**–Skoro tak, to czemu cię oskarżono?**

**–Nie znasz zwyczajów politycznych panujących w Sajgonie. Nigdy i ni gdzie na świecie nie istniała taka korupcja... Dwóch spośród tych pięciu agentów miało braci we władzach. Tak czy inaczej, możesz sobie odpuścić CIA.**

**Trevayne wyjął z kieszeni cienki notes i przerzucił kilka kartek.**

**–To, że zostałeś postawiony w stan oskarżenia, ujawniono w lutym. Bruce zabrał się do ciebie dwudziestego pierwszego marca. Przyleciał z Danang do delty Mekongu, wpytując po drodze wszystkich, którzy mieli z tobą cokolwiek wspólnego.**

**–Rozmawiał z niewłaściwymi ludźmi. Działałem głównie w Laosie, Tajlandii i północnej Kambodży. Mój oddział nigdy nie liczył więcej niż sześciu do ośmiu miejscowych cywilów.**

**Andrew podniósł wzrok znad notatek.**

**–Myślałem, że Siły Specjalne tworzyły własne oddziały?**

**–Zazwyczaj tak, ale ja nigdy tego nie robiłem. Mogłem dogadać się w paru**

narzeczach tajskich i laotańskich, ale o kambodżańskich nie miałem zielonego pojęcia. W Kambodży prawie zawsze trzeba było rekrutować nowych ludzi. Tylko raz lub dwa musieliśmy sięgnąć po własnych ludzi, żeby znaleźć kogoś, kogo dałoby się szybko wyszkolić.

–W czym?

–W utrzymywaniu się przy życiu. Nie zawsze odnosiliśmy sukcesy. Na przykład pod Chung Kal...

Rozmowa trwała jeszcze piętnaście minut. Pod jej koniec Trevayne wiedział już, że znalazł to, czego szukał...

Vicarson ułożył fragmenty łamigłówek w całość.

Sam Vicarson zadzwonił do drzwi domu wynajętego przez Trevayne'ów w Tawning Spring. Otworzyła mu Phyllis i powitała go mocnym uściskiem ręki.

–Cieszę się, że już wypuścili panią ze szpitala.

–Jeśli to miał być dowcip, to nie dam ci drinka – odparła Phyllis i roześmiała się. – Andy jest na dole. Czeka na ciebie.

–Dziękuję. Naprawdę cieszę się, że już pani wróciła.

–W ogóle nie powinnam była tam iść. Pośpiesz się, Sam. Twój szef nie może się ciebie doczekać.

Trevayne siedział w fotelu ze słuchawką przyciśniętą do ucha i wyrazem zniecierpliwienia na twarzy. Na widok Vicarsona zniecierpliwienie nasiliło się. W mało uprzejmy sposób zakończył szybko rozmowę.

–To był Walter Madison. Żałuję, że obiecałem mu uczciwą grę. Jego wspólnicy nie chcą słyszeć o wzięciu sprawy Bonnera, nawet jeśli oznaczałoby to utratę mnie jako klienta.

–Może pan jeszcze zmienić zdanie.

–Kto wie, czy tego nie zrobię. Przedstawiają idiotyczne argumenty. Popierają tezy oskarżenia, natomiast wersję obrony uważają za jedno wielkie kłamstwo.

–Co w tym idiotycznego?

–To, że nawet nie zadali sobie trudu, by ją poznać! W ogóle nie chcą mieszać się w tę sprawę.

–Hm, to rzeczywiście dziwne... Ale wydaje mi się, że możemy zrobić z tego rozhisteryzowanego kundla znakomitego świadka zeznającego na korzyść majora, a przynajmniej zamknąć mu pysk.

–Mówisz o Rodericku?

–O nikim innym.

Vicarson ustalił wszystkie dane bez większych trudności. Mężczyzna nazywał się Aleksander Coffey. Biuro Spraw Azjatyckich w Pentagonie -a dokładniej, kierujący nim oficer – przypomniał sobie, że istotnie, Roderick Bruce zwrócił mu kiedyś uwagę na Coffeya. Biuro z radością ściągnęło do siebie młodego doktora, gdyż prawdziwi fachowcy w dziedzinie Dalekiego Wschodu należeli do rzadkości. Oficer ze smutkiem wspominał operację pod Chung Kal, ale jego zdaniem odniosła ona również jeden pozytywny skutek: udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że nie należy kierować na pierwszą linię analityków z zaplecza... Bez żadnych oporów udostępnił teczkę

osobową Coffeya.

Z Pentagonu Sam udał się bezpośrednio do Sekcji Dalekiego Wschodu Smithsonian Institute. Kustosz doskonale pamiętał Coffeya. Młody człowiek był wyśmienitym naukowcem, choć bez wątplenia homoseksualistą. Kustosz nawet dziwił się, że Coffey nie ujawnił komisji wojskowej swych skłonności, by uniknąć poboru, ale potem doszedł do wniosku, że ponieważ przyszłość młodego doktora, podobnie jak przyszłość każdego naukowca, zależała w głównej mierze od hojności różnych fundacji – hołdujących najczęściej dość konserwatywnym przekonaniom – uznał on zapewne, iż lepiej będzie, jeśli w dokumentach nie pojawi się oficjalna wzmianka o jego odmienności. Kustosz przypuszczał także, że Coffey liczy na pomoc kogoś, kto załatwi mu skierowanie do mało uciążliwej służby. Jego domysły znalazły potwierdzenie, kiedy dowiedział się, że Coffey odbywa służbę wojskową w Waszyngtonie. Nic nie wiedział o śmierci młodego człowieka pod Chung Kal, Vicarson zaś nie uznał za stosowne go o tym poinformować. Uzyskał adres Coffeya – Dwudziesta Pierwsza ulica, Northwest – a także nazwisko jego współlokatora.

Byłego współlokatora, jak się wkrótce okazało.

Chłopak ów wciąż jeszcze obciążał winą za śmierć przyjaciela „tego bogatego sukinsyna”, do którego przeprowadził się Aleks. Aleks nigdy nie zdradził mu nazwiska swego nowego partnera, ale „często wpadał, żeby tylko uwolnić się choć na chwilę od tego parszywca”. Aleksander Coffey „wpadał” w nowych ubraniach, nowym samochodem, obwieszony nowymi błyskotkami. Przynosił także wiadomości, że jego dobroczyńca świetnie „ustawił go” w wojsku; dzięki niemu nie spędził ani jednego dnia w koszarach, ba, nawet nie musiał wyjeżdżać z Waszyngtonu. Wystarczyło tylko założyć rano mundur, a ten, na całe szczęście, uszyty był z miękkiej flaneli. Według Aleksa stanowiło to dla niego „znakomite rozwiązanie”: żadna naukowa fundacja nie mogła mu zapewnić czegoś takiego. A potem „ten bogaty sukinsyn” zdradził Aleksa.

Vicarson usłyszał wszystko, co chciał usłyszeć. Wsiadł do samochodu i pojechał do Arlington, do Paula Bonnera.

Bonner pamiętał Coffeya. Szanował go, a nawet lubił, gdyż młody człowiek dysponował ogromną wiedzą na temat plemion żyjących w pomocnej Kambodży i często pomagał w nawiązywaniu pierwszych kontaktów, posługując się czczonymi przez tubylców symbolami religijnymi.

Najbardziej jednak utkwiała mu w pamięci inna cecha Coffeya: chłopak był niesamowicie miękki, zupełnie nieprzystosowany do surowych warunków pola walki. Przypuszczalnie ciota, Bonner traktował go z całą surowością, starając się wykrzesać w nim choćby iskrę zaradności. Sześciotygodniowe szkolenie nie mogło dać mu wiele, ale powinno przynajmniej pomóc ująć z życiem.

Niestety, tak się nie stało i Coffey dostał się do niewoli. Major żałował, że nie był wobec niego jeszcze twardszy, ale jako profesjonalista nie mógł zbyt długo nad tym biadać, tylko co najwyżej wyciągnąć odpowiednie wnioski. Jeżeli jeszcze raz dostanie pod swoją komendę takiego człowieka, będzie dla niego bezlitosny. Może w ten sposób ocali mu życie.

–Tak to właśnie wygląda, panie Trevayne. Kochanek, który nie powrócił.

Andrew skrzywił się.

–Daj spokój, Sam. To przykra sprawa.

–Jasne. Ale w zupełności wystarczy, żeby strącić Bruce'a ze świecznika. Tak się składa, że lubię Paula Bonnera, a za tego fiutoliza nie dałbym nawet dziesięciu centów. Używam tego określenia, opierając się na moich prawniczych doświadczeniach.

–Jestem tego pewien. A teraz zmniejsz trochę ogień pod kotłem i zastanówmy się nad wszystkimi możliwościami.

–Może pan wolałby nie wchodzić w to szambo, ale ja nie mam żadnych oporów. Rozumiem, że dla kogoś takiego jak pan atrakcja nie jest zbyt wielka, lecz ja jestem młodym prawniczym geniuszem, który nie ma nic do stracenia. Może z wyjątkiem wpływowych pracodawców, ale ci, mam nadzieję, nie zapomną o moich skromnych zasługach... Proszę pozwolić mi kopnąć go w jaja. To będzie prawdziwa rozkosz.

–Jesteś niemożliwy, Sam.

–Pańska żona powiedziała mi kiedyś, że przypominam jej pana. To największy komplement, jaki w życiu usłyszałem... Nie powinien pan tego robić. Ja się tym zajmę.

–Kiedy moja żona zobaczy młodego energicznego mężczyznę, natychmiast staje się nieuleczalną romantyczką. Nie zajmiesz się tym, Sam. Nikt się tym nie zajmie – na razie.

–Dlaczego?

–Dlatego że Roderick Bruce na pewno nie działa sam. Ktoś musi mu dostarczać wszystkich informacji. Ma współników, prawdopodobnie wśród tych samych ludzi, których Paul Bonner uważa za swoich gorących zwolenników.

–A to heca! – powiedział Vicarson, podnosząc szklankę. W tej samej chwili do pokoju weszła Phyllis Trevayne.

–Jeśli ją stłuczysz, Sam, nie zostaniesz zaproszony na kolację przy świecach, kiedy Andy wyjedzie z domu.

–Co nastąpi już jutro – wtrącił Trevayne. – Webster dał mi do zrozumienia, że prezydent oczekuje, iż powinienem w imieniu Bonnera wysłuchać tego, co ma do powiedzenia de Spadante. A to oznacza, że z samego rana muszę być w Greenwich.

–Wróci pan po południu. Nici z kolacji, pani Trevayne.

–Wcale nie – odparł Andrew. – Przyjdźcie z Alanem o wpół do szóstej. Przygotuj świece, Phyl. Mogą nam się przydać.

## Rozdział 37

Mario de Spadante był trochę zirytowany nieustępliwością pielęgniarki, która uparła się, by podnieść rolety, wpuszczając do pokoju promienie przedpołudniowego słońca. Ponieważ do tej pory wywiązywała się bez zastrzeżeń ze swoich obowiązków, a w dodatku należała do personelu szpitala – Mario zawsze starał się zachowywać uprzejmie wobec tych, którzy nie pracowali dla niego – więc ostatecznie zgodził się, by postawiła na swoim. Andrew Trevayne przyjechał dwie minuty temu. Postawił samochód na parkingu i właśnie wchodził bocznym wejściem do szpitala. Najdalej za dwie minuty powinien pojawić się w drzwiach. Mario przygotował się do spotkania; siedział w łóżku oparty wysoko na poduszkach, dla gościa natomiast przeznaczono najniższe krzesło, jakie dało się znaleźć. Stojący pod przeciwległą ścianą młody, elegancko ubrany strażnik uśmiechnął się, kiedy de Spadante polecił mu jeszcze bardziej podnieść oparcie.

Strażnik był jednym z kalifornijskich współpracowników Williama Gallabretto. Domyślił się, że de Spadante każe mu wkrótce opuścić pomieszczenie, co oznaczało, że ma bardzo niewiele czasu na wykonanie zadania.

W tkwiącym w klapie jego marynarki znaczku w kształcie amerykańskiej flagi otoczonej liśćmi wawrzynu był ukryty miniaturowy aparat fotograficzny. Cienki wężyk zwalniający migawkę prowadził do lewej zewnętrznej kieszeni.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Andrew Trevayne. Strażnik pełniący służbę w korytarzu upewnił się, że jego kolega jest wewnątrz, i zamknął drzwi za nowo przybyłym.

–Proszę siadać, panie Trevayne – powiedział de Spadante, wyciągając rękę. Andrew nie miał innego wyjścia, jak tylko ją uścisnąć.

Młody człowiek stał pod ścianą z dłonią w lewej kieszeni marynarki. Jego kciuk raz za razem naciskał metalową końcówkę wężyka.

Trevayne cofnął rękę najszybciej, jak mógł i usiadł na wskazanym krześle.

–Nie mam zamiaru udawać, panie de Spadante, że ta wizyta sprawia mi przyjemność. Wątpię, czy mamy sobie cokolwiek do powiedzenia.

Bardzo dobrze – pomyślał ochroniarz. – Przesuń się jeszcze trochę w lewo i zrób bardziej poważną minę. Na zdjęciu wyjdiesz tak, jakbyś się bał.

–Mamy mnóstwo wspólnych tematów, *amico*. Nie żywię do pana urazy. Do tego żołnierza, owszem. Jest winien śmierci mojego młodszego brata. Pan nie.

–„Ten żołnierz” został zaatakowany i pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Przykro mi z powodu pańskiego brata, ale był uzbrojony i wtargnął na mój teren. Jeśli szuka pan odpowiedzialnych za to, że tak się stało, powinien pan zacząć od siebie.

–Jak to? Więc wystarczy, żebym przypadkiem wszedł na pole sąsiada, a natychmiast zostanę zabity? Takich czasów doczekaliśmy?

–Ta analogia nie ma żadnego sensu. Trudno porównać przypadkowe wejście na pole z wtargnięciem nocą na oznakowany teren grupy ludzi uzbrojonych w pistolety, noże i kastety.

Doskonale, Trevayne – pomyślał mężczyzna stojący przy ścianie. – Ten gest



ęki... *Capo regime* tłumaczący coś *capo di tutti capi*.

–Wyrosłem w środowisku, w którym zawsze sam musiałem troszczyć się o swoje bezpieczeństwo. Moja szkoła mieściła się na ulicy, a uczyli w niej wielcy Murzyni, którzy uwielbiali rozbijać głowy takim jak ja. Wiem, że to niedobry zwyczaj, ale od tamtej pory zawsze mam przy sobie kastet, natomiast nie noszę żadnej broni palnej. Nigdy!

–Bo jej pan nie potrzebuje – odparł Trevayne, wskazując na stojącego przy ścianie młodego mężczyznę z ręką ukrytą złowieszczco w kieszeni marynarki. – Ten typek wygląda tak, jakby zjawiał się tu prosto z jakiegoś komiksu.

Ty też zabawnie wyglądasz, Trevayne – pomyślał chłopak.

–Ej, ty! Wynoś się stąd! To przyjaciel mojego kuzyna. Cóż mogę na to poradzić? Są młodzi, darzą mnie ogromnym szacunkiem... Zostaw nas samych.

–Oczywiście, panie de Spadante. Jak pan sobie życzy. – Strażnik wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej małe pudełeczko. – Może cukierka, panie Trevayne?

–Nie, dziękuję.

–Zmykaj! Boże, oni wszyscy obżerają się słodyczami!

Kiedy drzwi zamknęły się bezszelestnie, de Spadante poprawił się w pościeli.

–Teraz możemy spokojnie pogadać.

–Tylko po to tu przyleciałem. Nie mam najmniejszej ochoty przedłużać naszego spotkania. Wysłucham, co ma mi pan do powiedzenia, a potem powiem panu, co myślę na ten temat.

–Nie powinien pan być taki arogancki. Mnóstwo ludzi twierdzi, że jest pan arogancki, ale ja powtarzam im wszystkim, że to nieprawda, że mój dobry *amico* Trevayne wcale taki nie jest. Po prostu nie lubi tracić niepotrzebnie czasu, nic więcej.

–Nie potrzebuję pańskiej obrony...

–Ale potrzebuje pan czegoś innego – przerwał mu de Spadante. – Potrzebuje pan pomocy. I to jak!

–Zjawilem się tu wyłącznie w jednym celu: by powiedzieć panu, żeby odczepił się pan od Paula Bonnera. Nawet jeśli trzyma pan w garści swoich zbirów i może zmusić ich, by zeznawali tak, jak jest panu wygodnie, to nie uda się panu wyłgać, jeżeli weźmiemy się za pana osobiście... Masz rację, de Spadante, nie lubię tracić czasu ani słów. Pewnego wieczoru na polu golfowym w Chevy Chase widziano cię, jak maltretowałeś i szantażowałeś kongresmena. Widział cię człowiek, który poinformował o tym mnie i majora Bonnera. Był to akt fizycznej przemocy, a to wystarczyło Bonnerowi, by zrozumiał, że od tej pory musi mieć się na baczności. Potem zauważono cię pięćset sześćdziesiąt kilometrów stamtąd, w San Francisco, jak śledzisz moje ruchy. Mamy w tej sprawie zeznanie złożone pod przysięgą. Major Bonnier uzyskał kolejny dowód potwierdzający jego obawy dotyczące mojej osoby. Oprócz tych niepodważalnych faktów dysponujemy także wieloma uzasadnionymi podejrzeniami. W jaki sposób komuś takiemu jak ty może ująć płazem fizyczna napaść na członka Kongresu Stanów Zjednoczonych? Pobiliś go tylko dlatego, że odważył się wymienić głośno nazwę pewnej firmy zajmującej się między innymi

produkcją sprzętu lotniczego. Dlaczego poleciałeś za mną do Kalifornii? Czy starałeś się osaczyć mojego współpracownika w barze Nad Zatoką? A może jego także chciałeś zaatakować? Dlaczego? Jakie związki łączą cię z Genessee Industries? Sąd z pewnością zainteresuje się tymi pytaniami, de Spadante. Choćby dlatego, że ja go do tego zmuszę, udowadniając, że w sobotę wieczorem zaatakowałeś znieczeka Paula Bonnera... Teraz wiem już znacznie więcej niż wtedy w samolocie. Koniec z tobą, ponieważ wszystko, co robisz, jest takie oczywiste. Jesteś odrażający.

Mario de Spadante utkwiał w Trevayne nienawistne spojrzenie. Jednak kiedy się odezwał, jego głos był zupełnie spokojny. Tylko chryпка stała się jakby nieco wyraźniejsza.

–To twoje ulubione słowo, prawda? „Odrażający”... Wszyscy jesteśmy dla ciebie odrażający.

–Nie staraj się przeprowadzać uogólniającego wywodu. Nie nadajesz się do tego. De Spadante wzruszył ramionami.

–Nawet twoje obelgi niewiele mnie obchodzą, *amico*. A wiesz dlaczego? Ponieważ masz kłopoty, a każdy człowiek, który ma kłopoty, staje się nieuprzejmy. Mimo to jestem gotów ci pomóc.

–Możliwe, ale wątpię, czy zechcę z tego...

–Najpierw jednak zajmijmy się tym żołnierzem – ciągnął Włoch, nie zwracając uwagi na słowa Trevayne'a, – Nie będzie żadnego sądu. On już właściwie jest martwy, możesz mi wierzyć. Nawet jeśli oddycha, to i tak jest martwy. Lepiej o nim zapomnij. A teraz dobre nowiny... Jak już powiedziałem, masz kłopoty, ale twój przyjaciel Mario dopilnuje, żeby nikt nie próbował cię w związku z tym wykorzystać.

–O czym ty mówisz?

–Wiele pracujesz, Trevayne. Spędzasz dużo czasu poza domem...

Andrew wyprostował się na krześle.

–Ty przekłety sukinsynu! Jeżeli spróbujesz w jakikolwiek sposób zagrozić mojej rodzinie, dopilnuję, żebyś do końca życia nie wyszedł zza krat! Nawet o tym nie myśl, bydlaku. W tej sprawie prezydent udzielił mi wszelkich gwarancji, jakich zażądałem. Wystarczy jeden telefon, a znikniesz tak szybko i dokładnie, że nawet...

–*Basta!* Nie masz prawa! Zamknij się! – ryknął de Spadante najgłośniejszym głosem, chwytając się oburącz za brzuch. Zaraz potem jego głos wrócił do poprzedniego natężenia. – Ze mną nie rozmawia się w taki sposób.

Szanuję dom każdego człowieka, jego dzieci i braci. To ten żołnierz jest bydlakiem, nie ja. Nie Mario de Spadante.

–Sam podjąłeś ten temat. Po prostu chcę, żebyś dokładnie wiedział, na czym stoisz. Ta sprawa nie wchodzi w grę, a ręczy za to człowiek urzędujący w Białym Domu. Kto jak kto, ale on na pewno znajduje się poza twoim zasięgiem, śmieciu.

Mario z trudem przełknął ślinę. Tym razem wściekłość pojawiła się także w jego głosie.

–Myślisz, że poręczyłby też za Augiego de Spadante? Na pewno nie. Augie był „odrażający”.

Trevayne spojrział na zegarek.

–Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów. Zależy mi na czasie.

–Jasne, że mam. Ale jedyną gwarancją, jaką dostaniesz, jestem ja. Jak powiedziałem, spędzasz dużo czasu poza domem, uganiając się za okruchami informacji. Wygląda na to, że brakuje ci czasu, by w odpowiedni sposób pokierować życiem najbliższych. Coraz częściej zdarzają ci się kłopoty. Masz nieznośnego chłopaka, który za dużo pije, a potem nie pamięta, co robił. Niby nic groźnego, gdyby nie to, że jeździ po pijanemu samochodem i potraça przechodniów. Znam starego człowieka z Cos Cob, który doznał poważnych obrażeń.

–To kłamstwo.

–Mamy zdjęcia przedstawiające podejrzenie wyglądającego szczeniaka i jego samochód. Obaj znajdowali się w oplakanyim stanie. Zapłaciliśmy temu staruszkowi, żeby trzymał gębę na kłódkę i nie próbował sprawiać kłopotów dzieciakowi, który przecież nie zrobił tego umyślnie. Dysponujemy odcinkami czeków, a także, ma się rozumieć, zeznaniem na piśmie. Ale to w gruncie rzeczy błahostka. Dzieci milionerów mają inną skalę wartości i ludzie to rozumieją... Nieco więcej kłopotów dostarczyła nam twoja córka. Tak, to naprawdę nieprzyjemna sprawa. Niewiele brakowało, by wymknęła nam się z ręki. Jednak twój przyjaciel Mario nie pożalował środków, by ją wybronić... a razem z nią ciebie.

Na twarzy Trevayne'a nie było gniewu, tylko odraza połączona z odrobiną rozbawienia.

–Heroina... Więc to twoja sprawka.

–Moja? Chyba mnie nie zrozumiałeś. Młoda dziewczyna, może z nudów, a może z jakiegoś innego powodu, kupuje paczkę najlepszej tureckiej...

–Ty naprawdę przypuszczasz, że udałoby ci się to udowodnić?

–...heroiny wartości ponad dwustu tysięcy dolarów. Kto wie, może ma własną sieć dystrybutorów? W szkołach dla zamożnych pańienek można opchnąć mnóstwo towaru. Chyba wiesz o tym, prawda? Kilka miesięcy temu przyłapali córkę znanego dyplomaty. Dziennikarze natychmiast wzięli go na celownik, a to dlatego, że nie miał takiego przyjaciela jak twój Mario.

–Zadałem ci pytanie. Naprawdę myślisz, że uda ci się cokolwiek udowodnić?

–A ty myślisz, że nie? – wysyczał wściekle de Spadante. – Nie bądź idiotą, panie nieprzyjemny! Uważasz, że znasz każdego, z kim pokazuje się twoja córeczka? Uważasz, że nie mogę podać porucznikowi Fowlerowi policji w Greenwich dokładnej listy miejsc, dat i nazwisk? Komu będzie się chciało to sprawdzić? W dzisiejszych czasach siedemnaście lat to wcale nie jest tak mało, *amico*. Może czasem wpadł ci w oko jakiś artykuł o dzieciakach z zamożnych murzyńskich rodzin, wysadzających w powietrze budynki i prowokujących zamieszki? Oczywiście nie twierdzę, że twoja córka należy do nich, ale ludziom mogłoby przyjść do głowy coś w tym rodzaju... Przecież mają do czynienia na co dzień z takimi rzeczami. Poza tym dwieście tysięcy dolarów... Cierpliwość Trevayne'a dobiegła końca.

–Marnujesz mój czas, de Spadante – powiedział, wstając z miejsca. – Jesteś okrutniejszy i głupszy, niż myślałem. Mówisz mi o tym, że stworzyłeś sytuacje, które możesz wykorzystać w celu szantażowania mnie. Z pewnością starannie je

obmyśliłeś, ale popełniłeś poważny błąd, a właściwie dwa błędy. Nie jesteś na bieżąco z wydarzeniami i nie znasz ludzi, którymi starasz się manipulować. Wydaje ci się, że wszystko wiesz i zawsze masz rację. Rzeczywiście, siedemnaście i dziewiętnaście lat to w obecnych czasach wcale nie mało.

Zastanów się nad tym. Stanowisz część czegoś, czego moje dzieci nie mogą dłużej tolerować. A teraz, bez względu na to, czy mi pozwolisz, czy nie...

–A czterdzieści dwa?

–Słucham?

–Czterdzieści dwa lata to też całkiem sporo. Masz ładną żonę. Atrakcyjną, czterdziestodwuletnią żonę, która dysponuje mnóstwem pieniędzy, lecz kto wie, czy nie ma jakichś ukrytych marzeń, których nie udało jej się zrealizować, ani w wielkim domu na wsi, ani w bajkowym zamku nad brzegiem morza... żonę borykającą się nie tak dawno z poważnym problemem alkoholowym...

–Uważaj, de Spadante. Wkraczasz na niebezpieczny teren.

–To ty uważaj! Czasem takie damy przyjeżdżają do miasta i kręcą się po zbyt kosztownych restauracjach, najlepiej o francuskich albo hiszpańskich nazwach. Inne uczestniczą w różnych artystycznych przyjęciach, gdzie przy chodzą też bogate pedały. Zawsze można tam spotkać dziarskich chłopców, którzy są gotowi uprzyjemnić wieczór każdemu, bez względu na płeć, kto im odpowiednio zapłaci. Kiedy już się dogadają, jadą do któregoś z eleganckich hoteli, takich jak Plaza...

–Ostrzegam cię!

–Ale jeszcze przedtem taka dama dzwoni pod pewien numer. Wszystko jest załatwione dyskretnie i elegancko, bez zamieszania, z gwarancją najwyższej satysfakcji... A co wyrabiają w pokoju! Powiadam ci, *amico*, nie uwierzyłbyś mi!

Trevayne odwrócił się raptownie i ruszył do drzwi. W połowie drogi zatrzymał go donośny głos Maria.

–Dysponuję złożonym pod przysięgą oświadczeniem hotelowego detektywa o nienagannym przebiegu służby. Pracuje tam wiele lat i zna większość stałych bywalców. Bez trudu rozpoznał twoją żonę. Opowiedział też ze szczegółami o tym, co zobaczył później. Paskudna sprawa, *amico*. W dodatku prawdziwa.

–Jesteś zerem, de Spadante. – Nic innego nie chciało przyjść mu do głowy.

–Wolę to niż „odrażającego”. Jest mocniejsze i zawiera więcej treści. Chyba wiesz, o czym mówię?

–Skończyłeś już?

–Prawie. Chcę tylko, byś wiedział, że twoje osobiste kłopoty będą utrzymywane w najgłębszej tajemnicy. Są u mnie całkowicie bezpieczne. Nie dowie się o nich ani prasa, ani radio i telewizja. Wiesz dlaczego?

–Chyba mogę się domyślać.

–Chyba tak... Ponieważ teraz wrócisz do Waszyngtonu i szybko spakujesz tę swoją podkomisję. Napiszesz zgrabny raport, w którym dasz paru ludziom po łapach, a paru innych zwalisz ze stołków – powiemy ci kogo. Dotarło to do ciebie?

–A jeśli odmówię?

–Boże, *amico*! Czyżbyś chciał wystawić swoich bliskich na takie upokorzenia?

Ten nieszczęsny staruszek z Cos Cob... Zdjęcia twojego syna na pewno wyglądałyby okropnie w gazetach. Albo ta heroina... Problem polega na tym, że policja naprawdę ją znalazła. Nie będą mogli udać, że nic się nie stało. Wreszcie twoja urocza małżonka w hotelu Plaza... Detektyw –

nawiasem mówiąc, wcześniej był ogólnie szanowanym funkcjonariuszem policji – opisał wszystko, co widział. Z pewnością wolałbyś nie czytać jego oświadczenia nawet wtedy, gdyby zaraz potem miało zostać zniszczone. Prasa zaczęłaby grzebać w waszej przeszłości i jestem pewien, że alkoholowe problemy pani Trevayne bardzo szybko wyszłyby na światło dzienne. Dotarliśmy do lekarza, który starał jej się wtedy pomóc. Wiesz, co sobie pomyślą

ludzie. Nikt nie ufa byłemu alkoholikowi, bo zawsze istnieje możliwość, że wcale nie jest taki „były”, za jakiego chce uchodzić. Powiadam ci, ludzie są okropni.

–Dowiodłbym, że to wszystko kłamstwa i oszczerstwa.

–Proszę bardzo: zaprzeczaj najgłośniejszemu, jak tylko potrafisz... Nie zapominaj jednak, że jest w tym trochę prawdy. Kiedyś przeczytałem w jakiejś książce, że jeśli poważne oskarżenia oprze się na choćby nie wiadomo jak drobnych i mało istotnych faktach, to i tak trafią one na pierwsze strony gazet. Sprostowania drukuje się znacznie później, na pięćdziesiątej stronie, między reklamami sklepów z kiełbasą... Wybór należy do pana, panie Trevayne. Radzę jednak, żeby dobrze się pan zastanowił.

Andrew przez chwilę wpatrywał się w tłustą twarz Włocha wykrzywioną cynicznym uśmiechem. Okolone fałdami tłuszczu oczy błyszczały triumfalnie.

–Odnoszę wrażenie, że długo czekałeś na tę chwilę.

–Całe życie, ty wścibska, elegancka świni. A teraz wynoś się stąd i zrób, co ci powiedziałem. Jesteś taki sam jak cała reszta.

## Rozdział 38

Kiedy Robert Webster odebrał telefon w swoim gabinecie w Białym Domu, natychmiast zorientował się, że chodzi o poważną sprawę. Rozmówca poinformował go, że ma dla niego wiadomość od Aarona Greena i że otrzymał polecenie przekazania jej osobiście. Rzecz jest na tyle pilna, że Webster musi spotkać się z nim w ciągu godziny, najlepiej około trzeciej po południu.

Na miejsce spotkania wybrano restaurację Villa d'Este w Georgetown: pierwsze piętro, sala koktajlowa. Villa d'Este była nieprawdopodobnym zlepkiem stylu wiktoriańskiego z włoskim renesansem, miała pięć pięter i w dzień zajmowała się głównie obsługą turystów. Nikt liczący się w Waszyngtonie nie zjawiał się tu przed późnym wieczorem, kiedy zwykli ludzie mogli zarezerwować stół jedynie za wstawiennictwem znajomego kongresmena.

Webster przyszedł jako pierwszy, co stanowiło zły omen. Bobby Webster dokładał wszelkich starań, by nigdy nie być tym, który czeka. Słuchając długotrwałych przeprosin za spóźnienie, łatwo można było stracić przewagę, jaką dawało jedynie natychmiastowe przejęcie inicjatywy.

Tak właśnie stało się tym razem, kiedy wysłannik Aarona Greena pojawił się kwadrans po umówionej godzinie. Mówił szybko krótkimi, rwanymi zdaniami, bardzo grzecznie, ale z łatwością do wychwycenia nutą protekcyjności. Musiał przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Przyjechał do Waszyngtonu na jeden dzień, a Aaron Green zlecił mu całe mnóstwo ważnych spraw.

Teraz jednak udało mu się wykroić trochę czasu, by zająć się problemami stanowiącymi przedmiot ich wspólnego zainteresowania.

Webster obserwował mężczyznę, słuchając jego uprzejmego, lecz zarazem bardzo pewnego siebie głosu, i nagle zrozumiał, dlaczego ogarnia go coraz większy niepokój. Ten człowiek był manipulatorem, takim samym jak on. Również był stosunkowo młody i brnął z uporem naprzód przez zawity labirynt wielkoprzemysłowej ekonomii, podobnie jak on przedzierał się przez labirynt wielkiej polityki. Obaj potrafili się starannie wysławiać, obaj wierzyli w swoje siły, obaj wreszcie byli dość silni, potrafiąc jednocześnie okazać konieczne posłuszeństwo tym, którym się to należało.

Istniała między nimi tylko jedna poważna różnica, tak oczywista, że nie trzeba było jej wyjaśniać: człowiek Greena występował z pozycji siły, na co Webster nie mógł sobie pozwolić.

Coś się stało. Coś, co bezpośrednio osłabiło wartość Roberta Webstera, niwelując jego dotychczasową przewagę. Na jakimś poufnym spotkaniu zostały podjęte decyzje, które wpłyną w istotny sposób na kształt jego egzystencji.

Wysłannik Aarona Greena był pierwszym ostrzeżeniem. Webster dostrzegał w nim zapowiedź poważnych, bardzo niekorzystnych zmian w swoim życiu. Zdawał sobie sprawę, że popadł w niełaskę. Nie dopilnował tego, co należało, i teraz będzie musiał zapłacić. Mógł liczyć na to, że zdąży się szybko wycofać, ratując, ile się da.

–Pan Green jest bardzo zaniepokojony, Bobby. Nie ulega żadnej wątpliwości, że pewne kroki podjęto bez jego wiedzy i zgody. Naturalnie pan Green nie wymaga, by

konsultowano z nim każdą decyzję, ale Trewayne to kwestia o szczególnej doniosłości.

–Po prostu postanowiliśmy go zdyskredytować, ujawniając jego rzekome powiązania z de Spadantem, i to wszystko. Ośmieszyć jego podkomisję. To nic wielkiego.

–Może i nie, ale pan Green uważa, że Trewayne może zareagować inaczej, niż tego oczekujecie. Może nadać sprawie rozgłos.

–W takim razie pan Green nie zna pełnego obrazu sytuacji. Reakcja Trewayne'a nie ma znaczenia, ponieważ nikt nie przedstawi mu żadnych konkretnych zarzutów. Wszystko pozostanie w sferze plotek i pomówień. Nikt z nas nie będzie w to bezpośrednio zamieszany. Według naszego rozeznania kompromitacja będzie tak wielka, że praktycznie uniemożliwi mu jakiekolwiek działanie.

–Chodzi o sugestię współpracy z de Spadantem?

–O więcej niż zwykłą sugestię. Mamy znakomite zdjęcia. Nikt nie będzie miał najmniejszej wątpliwości, że zostały wykonane w szpitalu w Greenwich, a im dłużej im się przyglądać, tym bardziej stają się kompromitujące. Za dwa dni Roderick Bruce opublikuje pierwsze z nich.

–Po przewiezieniu Maria de Spadante do New Haven? – zapytał ostro wysłannik Greena, wpatrując się w Webstera niemal obraźliwym spojrzeniem.

–Tak.

–Zdaje się, że de Spadante znajdzie się wtedy w centrum zainteresowania mass mediów. Pan Green oczekuje, że ten człowiek zostanie ostatecznie wyeliminowany z rozgrywki.

–Decyzja została podjęta przez jego współników, Przywiązują ogromną wagę do jej realizacji. Nie mamy z nimi nic wspólnego, mimo że zyskujemy przynajmniej tyle samo, co oni.

–Pan Green nie jest o tym przekonany.

–To operacja świata przestępczego. Nie moglibyśmy jej powstrzymać, nawet gdybyśmy chcieli. Dzięki dowodom w postaci tych fotografii, popartym zeznaniami lekarzy z Greenwich, Trewayne wpadnie w bagno po same uszy. Będzie skończony.

–Pan Green uważa, że zbyt upraszcza pan sytuację.

–Nie wydaje mi się – odparł Webster tonem łagodnej perswazji. – Nie padnie na nas nawet cień podejrzenia. Nie rozumie pan tego?

Nowa taktyka jednak nie miała najmniejszego sensu. Rozmowa była rytualnym tańcem. Webster mógł oczekiwać od młodego mężczyzny jedynie tego, że przekáže Greenowi wszystko, co usłyszał. Potem pozostało tylko liczyć na to, że stary Żyd dostrzeże zalety pomysłu i zmieni zdanie.

–Jestem tylko zwykłym asystentem, Bobby. Posłańcem.

–Ale rozumiesz, o co mi chodzi. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

–Nie jestem pewien. Trewayne sprawia wrażenie bardzo twardego faceta. Wątpię, czy położy uszy po sobie i pokornie zejdzie ze sceny.

–Widziałeś kiedyś koniec kariery waszyngtońskiego notabla? Zapewniam cię, to niesamowity widok. Może sobie wrzeszczeć, co mu się żywnie podoba, bo i tak nikt

nie chce go słuchać. Nikt nie poda ręki trędowatemu... Nawet prezydent

–Właśnie: co z prezydentem?

–Z nim będzie najmniejszy problem. Zwołam posiedzenie sztabu doradców i wspólnie przedstawimy prezydentowi zalecenie, aby jak najszybciej odciął się od Trevayne'a. Na pewno nas posłucha. Ma zbyt wiele innych, po ważniejszych problemów. Przygotujemy kilka możliwych scenariuszy. Będzie mógł to rozegrać z wdziękiem albo trzasnąć drzwiami. Z pewnością wybierze pierwsze rozwiązanie. Za półtora roku czekają go wybory. Na pewno będzie o tym pamiętał. Sam zrozumie, że nie ma innej możliwości.

Emisariusz Greena spojrział ze współczuciem na Webstera.

–Bobby, przysłano mnie tu po to, żebym kazał ci wszystko odwołać. Tak właśnie powiedział pan Green: „Każ mu wszystko odwołać”. Nic go nie obchodzi de Spadante, a poza tym sam przyznałeś, że już nie kontrolujesz tej sprawy. Nie wolno ci ruszyć Trevayne'a. To ostateczna decyzja.

–To błędna decyzja! Przemyślałem wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Poświęciłem wiele tygodni, żeby mieć pewność, że nie będzie żadnej awarii. I nie będzie, daję głowę!

–Wykluczone. Pojawiły się nowe okoliczności. Pan Green ma zamiar spotkać się z kilkoma osobami, żeby wszystko wyjaśnić. Jestem pewien, że zostaniesz powiadomiony o wnioskach, do jakich doszli.

Webster nie miał żadnych wątpliwości, co oznaczało ostatnie zdanie. Nikt go o niczym nie poinformuje, chyba że będą mieli do niego jakiś interes. Nie istniał też żaden sposób, w jaki mógłby zapewnić sobie udział w nowo powstającym kręgu wtajemniczenia. Został odstawiony na boczny tor.

Mimo to rozpaczliwie próbował wykorzystać każdą, nawet najmniejszą szansę.

–Jeśli nastąpią jakieś poważne zmiany, byłoby chyba lepiej, żebym o nich wiedział. Nie chcę powtarzać frazesów, ale doradca prezydenta to dość eksponowane stanowisko...

Mężczyzna zerknął na zegarek.

–Tak, tak... Oczywiście.

–Będę musiał odpowiadać na wiele pytań zadawanych przez bardzo wpływowych ludzi. Byłoby dobrze, gdybym znał jakieś odpowiedzi.

–Przekażę twoje uwagi panu Greenowi.

–To naprawdę bardzo ważne.

Webster z najwyższym trudem zmusił się do zachowania spokoju. Nie mógł sprawiać wrażenia kogoś czepiającego się ostatniej deski ratunku.

–Przypomnę mu o tym.

Naprawdę mnie odsuwają, i to w cholernie nonszalancki sposób – pomyślał Webster. – Postanowili uniezależnić się od Białego Domu. Chyba nadeszła pora na odrobinę szczeroci.

–Proszę zrobić coś więcej, niż tylko przypomnieć mu. Proszę dać mu wyraźnie do zrozumienia, że jest nas tutaj kilka osób, które wiedzą na temat Genessee Industries więcej niż ktokolwiek inny. Traktujemy tę wiedzę jako polisę na życie.



Współpracownik Greena podniósł raptownie głowę i spojrzał Websterowi prosto w oczy.

–To chyba nie jest najwłaściwsze określenie, Bobby. Chyba że opłacasz podwójną stawkę, ale to bardzo droga impreza.

Zapadło milczenie. Człowiek Greena dał jasno do zrozumienia Robertowi Websterowi z Białego Domu, że w każdej chwili może zostać potraktowany jak niepotrzebny pionek i usunięty z szachownicy. Webster zrozumiał, że posunął się za daleko. Należało się wycofać.

–Ustalmy pewne sprawy, bo chyba nie wszystko jest do końca jasne. Nie chodzi o mnie, bo ja w każdej chwili mogę wrócić do Akron i wybrać najlepszą z propozycji, jakimi jestem zasypywany. Moja żona byłaby za chwycona, a ja też wcale bym nie narzekał. Są jednak inni, którzy nie mają takiej możliwości wyboru. Nikt z nich nie będzie mógł się pochwalić, że pracował w Białym Domu. Mogą stwarzać kłopoty.

–Jestem pewien, że wszystko się dobrze ułoży. Dla was wszystkich. Jesteście doświadczonymi ludźmi.

–Cóż, może niektórzy, ale...

–Wiemy o tym – przerwał mu szorstko wysłannik Aarona Greena. – Niestety, muszę już iść. Mam jeszcze mnóstwo roboty.

–Oczywiście. Zapłacę za drinki.

–Bardzo dziękuję. – Mężczyzna podniósł się z krzesła. – Wydobędziesz te zdjęcia od Rodericka Bruce'a? Wyciszysz całą historię?

–Zrobię to, choć on na pewno nie będzie tym zachwycony.

–To dobrze. Odezwiemy się do ciebie... Aha, a propos Akron: może przyjrzałbyś się trochę dokładniej tym propozycjom?

## Rozdział 39

Służba włączyła lampy na przeszklonej, zastawionej doniczkowymi roślinami werandzie w domu Aarona Greena. Na zewnątrz dwa reflektory oświetlały żółtawym blaskiem zaśniewony trawnik, krzewy i szpaler białych drzew mających niczym widma. Na szklanym blacie okrągłego stołu czekał już srebrny serwis do kawy, dokoła zaś stały wyściełane krzesła z giętych metalowych prętów. Kilka metrów dalej, na innym stole, znacznie wyższym i prostokątnym, ustawiono trunki i lśniące, kryształowe szklanki.

Służący opuścili pomieszczenie. Pani Green już wcześniej udała się na piętro. Światło paliło się tylko na werandzie, w głównym holu i przy wejściu.

Aaron Green zwołał w swoim domu spotkanie. Oprócz niego miało w nim wziąć udział jeszcze trzech mężczyzn, z których jednak tylko jeden był wcześniej gościem na obiedzie: Ian Hamilton.

Dwaj pozostali powinni zjawić się wspólnie. Walter Madison miał zabrać z lotniska im. Kennedy'ego senatora Alana Knappa, który przyleciał z Waszyngtonu, i wraz z nim przyjechać do Sail Harbor około dziesiątej wieczorem.

Przyjechali punktualnie o dziesiątej.

Sześć minut później czterej mężczyźni weszli na przeszkloną werandę.

–Ja zajmę się kawą, panowie. Alkohole stoją na tamtym stoliku. Te stare dłonie nie dają już sobie rady z nalewaniem cennego trunku do szklanek. Mam też kłopoty z rozróżnianiem nalepek, w związku z czym wolę nie podejmować się tego zadania. Powinienem się chyba cieszyć, że jeszcze potrafię znaleźć drogę do krzesła.

–Jedyne, co ci naprawdę dolega, to potworne lenistwo – odparł Ian Hamilton, podchodząc do stolika z butelkami. – Ja naleję.

Walter Madison wziął swoją brandy i usiadł po lewej stronie Greena. Hamilton postawił szklankę Knappa na okrągłym stole po prawej stronie gospodarza; senator natychmiast zajął miejsce. Następnie Hamilton napełnił swoją szklankę, przesunął krzesło tak, by znajdowało się dokładnie naprzeciwko Aarona Greena, po czym także usiadł, choć nie tak skwapliwie jak pozostali.

–Można by pomyśleć, że zasiadamy do partyjki brydża – zauważył Madison.

–Albo do ostrego pokera – dodał senator Knapp.

–Wydaje mi się, że nasza gra będzie raczej przypominała bakarata – powiedział Hamilton i podniósł szklankę. – Twoje zdrowie, Aaron... Wasze zdrowie, panowie.

–Słusznie, przyjacielu – odparł Green cichym głosem. – Są takie chwile, kiedy trzeba być nienagannie zdrowym zarówno na ciele, jak i umyśle. Szczególnie na umyśle...

Pierwszy odstawił szklankę Knapp. Zżerała go niecierpliwość. Co prawda, zdawał sobie sprawę, że chyba najbardziej pożądaną cechą przy tym stole jest właśnie cierpliwość, ale on, jako powszechnie szanowany senator i z pewnością nie najmniej ważna osoba w tym gronie, nie musiał udawać kogoś, kim nie był. Nigdy nie słyszał ze szczególnego taktu, lecz nie przywiązywał do tego żadnej wagi.

–Panie Hamilton, panie Green... Jestem gotów pierwszy położyć kartę na stole. Nie lekceważę cię, Walterze, ale przypuszczam, że twoja pozycja jest bardzo

podobna do mojej. Otóż wszystko, co wiemy, ogranicza się do tego, że „musimy zostawić w spokoju Andrew Trevayne'a”. Nie będę ukrywał, że rozmawiałem o tym z Walterem w samochodzie i przyznam, że nic z tego nie rozumiem. Uważam, że Bobby Webster wykonał kawał świetnej roboty.

Ian Hamilton spojrzął na Greena, po czym ledwo dostrzegalnie skinął głową, pozwalając staremu Żydowi odpowiedzieć na pytanie.

–Pan Webster rzeczywiście wykonał kawał świetnej roboty, senatorze – odparł Green. – Zachował się jak generał, który opracował znakomitą taktykę dla swoich oddziałów, nie troszcząc się zupełnie o sytuację na innych odcinkach frontu, gdzie nieprzyjaciel uzyskał znaczną przewagę i przystąpił do decydującego natarcia.

–Chce pan przez to powiedzieć, że unieszkodliwienie Trevayne'a nic nam nie da? – zapytał Walter Madison. – Że walczy z nami ktoś jeszcze?

–Trevayne znajduje się w niezwykłym położeniu, Walterze – zabrał głos Ian Hamilton. – Doskonale wie, co i dlaczego robiliśmy. Może brakuje mu dowodów w konkretnych sprawach, ale z nawiązką to sobie zrekompensował, demaskując nasze dalekosiężne cele.

–Nie rozumiem – przyznał spokojnie Knapp.

–Ja to wyjaśnię – wtrącił się Green, uśmiechając się do Hamiltona. – My dwaj nie jesteśmy prawnikami, Knapp. Gdybyśmy byli – gdybym ja był – powiedziałbym, że Trevayne dysponuje jedynie drobnymi fragmentami dowodów, ale za to całymi tomami obciążających poszlak. Czy dobrze to ująłem, mecenasie Hamilton?

–Jak najlepszy uczeń, Aaronie... Trevayne zrobił coś, czego nikt się po nim nie spodziewał: przestał trzymać się ściśle litery prawa. Przypuszczam, że uczynił to już na samym początku poszukiwań. Podczas gdy my zajmowaliśmy się skrzętnie tuszowaniem różnych uchybień i wynajdowaniem setek prawnych kruczków, on zainteresował się czymś innym: jednostkami. Ludźmi na kluczowych stanowiskach, których słusznie podejrzewał o to, że kierują działalnością organizacji. Nie zapominajcie, że jest wyśmienitym administratorem. Muszą to przyznać nawet ci, którzy go nienawidzą. Wiedział, że działanie tak ogromnego organizmu, jakim jest Genessee Industries, musi się opierać na jakimś schemacie i solidnej konstrukcji. To dziwne, ale jego metodę działania odkryli jako pierwsi ludzie Maria de Spadante.

Celowo podsuwali mu nieudolnie sfalszowane informacje mniejszej wagi, sądząc, że wywołają tym jego zainteresowanie, a kiedy to nie nastąpiło, zupełnie zgłupieli. De Spadante posunął się aż do otwartych gróźb, niszcząc delikatną sieć, którą nam udało się z takim trudem upleść... Myślę, że nie musimy zajmować się nim dłużej.

Knapp pochylił się do przodu.

–Proszę mi wybaczyć, panie Hamilton, ale to, co pan powiedział, sprowadza nas znowu do rozwiązania zaproponowanego przez Bobby'ego Webstera. Sugeruje pan, że Trevayne zebrał informacje, które grożą unicestwieniem wszystkiego, co do tej pory osiągnęliśmy. Czy można sobie wymarzyć lepszą chwilę, by go skompromitować? Kompromitując Trevayne'a, skompromitujemy jednocześnie wszystkie dowody, jakie mógłby przedstawić – jeśli nawet nie do końca, to na pewno w wystarczającym stopniu, by przestały stanowić poważne zagrożenie.

–Dlaczego go po prostu nie zabić, co?! – wybuchnął Aaron Green. Jego gniewne pytanie, zadane donośnym, dudniącym głosem, wyraźnie zaskoczyło Madisona i Knappa. Na twarzy Hamiltona nie drgnął ani jeden mięsień. – To wam nie daje spokoju, prawda? Boicie się powiedzieć to głośno, ale w głębi duszy od dawna się nad tym zastanawiacie. Widziałem śmierć z bliska więcej razy niż ktokolwiek z was i dlatego takie rozwiązanie nie jest dla mnie niczym wstrząsającym, ale zaraz powiem wam, dlaczego jest niedopuszczalne, tak samo jak niedopuszczalne są pomysły tego handlarzyny Webstera... Otóż ludzie tacy jak Trevayne są znacznie bardziej niebezpieczni po śmierci lub na przymusowej emeryturze niż wtedy, kiedy prowadzą aktywne życie.

–Dlaczego? – zapytał Walter Madison.

–Dlatego że występują po stronie prawa – odparł Green. – Stają się obiektami kultu, męczennikami, symbolami walki w słusznej sprawie. Są wielbieni przez stada wiecznie niezadowolonych szcurków, które wściekle podgryzają fundamenty naszej budowli. Nie mamy czasu, by urządzać poszukiwania ich gniazd.

Aaron Green był tak zdenerwowany, że trzęsły mu się ręce.

–Uspokój się – powiedział doskonale opanowanym, stanowczym głosem Ian Hamilton – W ten sposób niczego nie osiągniesz... Musicie wiedzieć, że Aaron ma rację. Nie możemy sobie pozwolić na podejmowanie takich działań. Są bardzo absorbujące, a jednocześnie nie dają żadnych konkretnych efektów. Ludzie tacy jak Trevayne dokumentują wszystkie swoje

poczynania. Zamiast tego, powinniśmy zmierzyć się z najważniejszym problemem, a nie udawać, że go nie ma albo że się uda pominąć go milczeniem. Musimy dokładnie poznać i zaakceptować naszą własną motywację... Mówiąc to zwracam się przede wszystkim do senatora i Aarona. Ty, Walterze, pojawiłeś się znacznie później. Wkład, jaki wniosłeś, choć trudny do przecenienia, dotyczy jedynie ostatniego okresu.

–Wiem o tym – odparł spokojnie Madison.

–Wielu ludzi bez chwili wahania nazwałoby nas manipulatorami i szarymi eminencjami, i mieliby całkowitą rację, bo przecież manipulujemy i decydujemy o tym, kto jaką będzie miał władzę. Choć nasze decyzje zaspokajają często ambicje jednostek, podejmując je nie kierujemy się ambicjami. Naturalnie nie mamy wątpliwości co do własnej wartości, lecz uważamy się jedynie za narzędzia służące do osiągnięcia wytyczonego celu. Wyjaśniłem to Trevayne'owi – w bardzo ogólny sposób, ma się rozumieć – i jestem pewien, że już wkrótce uda nam się go przekonać o czystości naszych intencji.

Knapp słuchał ze wzrokiem utkwionym w szklanym blacie stołu. Teraz podniósł raptownie głowę i wybałuszył oczy na Hamiltona. – Co pan zrobił? – wykrztusił z niedowierzaniem.

–Tak, senatorze, dobrze pan usłyszał. Jest pan zaskoczony?

–Uważam, że postradał pan zmysły!

–Dlaczego? – zapytał ostro Aaron Green. – Czyżby zrobił pan niedawno coś, czego teraz pan się wstydzi, senatorze? Czy bardziej troszczy się pan o siebie niż o

**nasze ideały? Jest pan jednym z nas, czy może kimś zupełnie innym?**

**Green pochylił się do przodu i wziął w drżącą dłoń filiżankę z kawą.**

**–To nie jest kwestia wstydu, panie Green, lecz różnic wynikających z osobistych uwarunkowań. Pan działa jako niezależna jednostka, ja zaś jako pochodzący z wyboru przedstawiciel pewnej grupy. Mogę brać na siebie współodpowiedzialność jedynie za te decyzje, których rezultaty są dla mnie oczywiste. Na razie daleko nam do tego.**

**–Chyba bliżej, niż się panu wydaje – zauważył półgłosem Hamilton.**

**–Nawet jeśli tak, to nie jestem w stanie tego dostrzec – odparł senator.**

**–Widocznie nie rozejrzał się pan wystarczająco uważnie. – Hamilton podniósł do ust szklankę z brandy i pociągnął niewielki łyk. – Nie można w żaden sposób zaprzeczyć, że wszystko, co czyniliśmy do tej pory, miało na celu poprawienie kondycji państwa, w którym żyjemy. Dążyliśmy przede wszystkim do zbudowania solidnych finansowych podstaw, dzięki którym moglibyśmy w pozytywny sposób wpływać na przemiany w tym kraju. Staraliśmy się zwiększać zatrudnienie, walczyć z nędzą, likwidować ogniska chorób i narkomanii, intensyfikować produkcję. W efekcie tych działań wiele dziedzin życia społecznego odniosło wyraźne korzyści. Siła militarna państwa uległa wzmocnieniu, wzrósł produkt narodowy, a opieka socjalna, oświata i medycyna zyskały nowe możliwości rozwoju. Udowodniliśmy, że możemy przyczynić się do utrwalenia spokoju społecznego... Czy zgodzi pan się ze mną, senatorze? Czy nie takie właśnie były cele naszego działania?**

**Knapp nie ukrywał poruszenia. Fakty przedstawione przez Hamiltona pozwoliły mu poczuć się dowartościowanym w sposób, o którym do tej pory mógł jedynie marzyć.**

**–Zdaje się, że przebywałem zbyt blisko maszynerii Waszyngtonu. Stąd mogliście ogarnąć całość sytuacji.**

**–Ma pan zupełną słuszność. Mimo to chciałbym, żeby odpowiedział mi pan na pytanie. Czy na podstawie znanych panu faktów zdecydowałby się pan zarzucić mi fałsz?**

**–Chyba nie...**

**–Na pewno nie.**

**–Zgoda: na pewno.**

**–I w dalszym ciągu nie dostrzega pan oczywistych wniosków? Nie rozumie pan, czego dokonaliśmy?**

**–Przedstawił pan nasze osiągnięcia. W pełni je akceptuję.**

**–To nie są zwykłe osiągnięcia, senatorze. Przedstawiam panu przywódcze funkcje, które powinien spełniać każdy szanujący się rząd, a które ten rząd może spełniać wyłącznie dzięki naszej pomocy... Właśnie dlatego, po bardzo głębokich rozważaniach oraz błyskawicznej, lecz niezmiernie dokładnej analizie sytuacji, postanowiliśmy zaproponować Andrew Trevayne'owi objęcie urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych.**

**Przez kilka minut nikt nie odezwał się ani słowem, Ian Hamilton i Aaron Green siedzieli bez ruchu, czekając, aż dwaj pozostali uczestnicy zebrania przyswoją sobie**

**zaskakującą wiadomość. Milczenie przerwał senator Knapp.**

**–To najbardziej niedorzeczne stwierdzenie, jakie kiedykolwiek słyszałem – wykrztusił z niedowierzaniem. – Pan chyba żartuje.**

**Hamilton spojrział na Madisona, który siedział ze wzrokiem utkwionym w szklance.**

**–A ty, Walterze? Co o tym myślisz?**

**–Nie wiem... – odparł z namysłem prawnik. – Usiłuję to przetrwać. Przez wiele lat ściśle współpracowałem z Andrew. Uważam go za nieprzeciętnie utalentowanego człowieka, lecz żeby... Po prostu nie wiem.**

**–Ale myślisz - odezwał się Aaron Green, patrząc jednak nie na Madisona, lecz na Knappa. – Wykorzystujesz swoje szare komórki, podczas gdy nasz senator potrafi się zdobyć jedynie na „niedorzeczność”.**

**–Z oczywistych powodów! – parsknął Alan Knapp. – Trevayne nie ma politycznego doświadczenia. Nawet nie należy do żadnej partii!**

**–Eisenhower także nie miał politycznego doświadczenia – zauważył Green. – Obie partie próbowały zwabić go w swoje szeregi.**

**–Nie zajmował się działalnością polityczną.**

**–Podobnie jak Harry Truman – zripostował Żyd.**

**–Pańskie argumenty nie mają żadnego sensu. Eisenhower cieszył się ogromną popularnością, a Truman przez dłuższy czas obracał się w kręgach wielkiej polityki.**

**–W obecnych czasach zyskanie popularności nie stanowi żadnego problemu, senatorze – powiedział z niewzruszonym spokojem Ian Hamilton. –**

**Do konwencji partyjnych jest jeszcze trzynaście miesięcy, a do wyborów osiemnaście. To wystarczy, aby sprzedać Andrew Trevayne'a jak najlepszy towar. Dysponuje wszelkimi kwalifikacjami, żeby osiągnąć znakomite rezultaty. Klucz do sukcesu nie tkwi w politycznym doświadczeniu lub przy należności partyjnej – ich brak może mu bardziej pomóc, niż zaszkodzić – ani w takich abstrakcyjnych kategoriach jak popularność. Liczą się wyłączone głosy wyborców zarówno przed, jak i po konwencji wyborczej jakiegokolwiek partii, w której zdecydujemy się uczestniczyć. A Genessee Industries dostarczy mu tych głosów.**

**Knapp kilka razy otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz potem zamykał je, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić swoje zdumienie. Wreszcie oparł ręce na krawędzi stołu i zacisnął mocno palce, starając się narzucić sobie spokój.**

**–Ale dlaczego? Dlaczego, na litość boską, mielibyśmy to zrobić?**

**–Teraz zaczyna pan myśleć, senatorze – stwierdził z uznaniem Aaron Green i poklepał Knappa po wierzchu dłoni. Senator pośpiesznie cofnął rękę.**

**–Ujmując rzecz najprościej, jak można, wydaje nam się, że Trevayne byłby bardzo dobrym prezydentem. Może nawet znakomitym. Przede wszystkim dlatego, że miałby czas, by zastanowić się nad różnymi problemami związanymi ze sprawowaniem tego urzędu, przemyśleć zagadnienia polityki zagranicznej, rozważyć ewentualne posunięcia na arenie międzynarodowej...**

**Czy przyszło panu może do głowy, dlaczego dajemy się ciągle wyprzedzać naszym przeciwnikom? Odpowiedź jest bardzo prosta: dlatego że zbyt wiele**

oczekujemy od człowieka urzędującego w Owalnym Gabinetcie. Jest tylko jeden, a musi zajmować się tysiącem różnych spraw. Nie ma czasu na myślenie. Zdaje się, że istotę problemu znakomicie ujął w ubiegłym stuleciu Pierre Larousse. Mamy doskonały system rządu, który ma tylko jedną poważną wadę: co cztery lata musimy wybierać Boga na naszego przywódcę. Walter Madison obserwował uważnie Hamiltona. Jako doświadczony prawnik łatwo wychwycił nielogiczność jego wyводу. Nie byłby sobą, gdyby nie zwrócił na to głośno uwagi.

–lan, czy naprawdę myślisz, że Trevayne zgodzi się na to, by większość wewnętrznych problemów Stanów Zjednoczonych była rozstrzygana poza uprawnionymi do tego ośrodkami władzy?

–Oczywiście, że nie – odparł z uśmiechem Hamilton. – Przede wszystkim dlatego, iż te problemy przestaną być problemami. Ujmując rzecz w inny sposób: nie dopuścimy do tego, żeby te największe w ogóle powstały. Ewentualne wewnętrzne frustracje to zupełnie inna sprawa. Każdy prezydent powinien na nie reagować, gdyż nie zajmuje mu to zbyt wiele czasu, a stwarzają okazję pozwalającą zaakcentować jego przywódczą rolę.

–Pan doskonale wie, że w gruncie rzeczy wcale nie odpowiedział na moje pytanie – oświadczył Knapp. Wstał z krzesła i podszedł do stolika z butelkami. – Powiedzieć, że jakiś człowiek będzie dobrym prezydentem to jedno, a wybrać konkretnego kandydata to drugie. Podejmując decyzję, nie można nikogo idealizować. W dalszym ciągu nie mogę zrozumieć, dlaczego wybraliście akurat człowieka, który wykazał tak wielką determinację w walce o to, by pozostać całkowicie niezależnym. Tak, panie Green, wciąż uważam to za nedorzeczność!

Green odwrócił się na krzesło i spojrzał na Knappa.

–Powód jest prosty, pod warunkiem, że odrzucimy wszystkie gładkie słówka. Po prostu nie mamy wyboru. Chyba za znacznie większą nedorzeczność uznałby pan sugestię, że pewnego dnia zostanie pan oskarżony o zwykłe złodziejstwo i pozbawiony urzędu.

–Cieszę się nienaganną opinią.

–Niestety nie można tego powiedzieć o ludziach, z którymi pan współ pracuje. Może mi pan uwierzyć na słowo.

Green odwrócił się z powrotem do stołu i wyciągnął drżącą rękę po filiżankę z zimną kawą.

–Taka gadanina nie ma żadnego sensu! – warknął Hamilton, po raz pierwszy okazując zniecierpliwienie. – Nie wybralibyśmy Trevayne'a, gdybyśmy mieli co do niego jakiegokolwiek wątpliwości, i ty dobrze o tym wiesz, Aaronie. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że jest człowiekiem znakomicie dającym sobie radę z zarządzaniem, a taki właśnie powinien być dobry prezydent.

Knapp wrócił do stołu, a Green spojrzał na Hamiltona i powiedział cicho, lecz z naciskiem:

–Wiesz, na czym mi najbardziej zależy. Nic więcej mnie nie obchodzi i nigdy nie będzie obchodziło. Żaden nędzny handlarzyna nie może mieć na to wpływu. Siła. Oto co jest najważniejsze.

Walter Madison obserwował starego człowieka, myśląc, że chyba go rozumie. Docierały do niego plotki, jakoby Aaron Green po cichu finansował obozy treningowe Ligi Samoobrony Żydów. Teraz miał pewność, że to nie były tylko plotki. Mimo to coś nie dawało mu spokoju. Zwrócił się do Hamiltona, nie dopuszczając do głosu Knappa, który właśnie otworzył usta.

–Wygląda na to, że jeszcze nikt nie rozmawiał na ten temat z Andrew. Skąd ta pewność, że zgodzi się na waszą propozycję? Ja osobiście mam co do tego poważne wątpliwości.

–Żaden utalentowany, a jednocześnie choć odrobinę próżny człowiek nie zrezygnuje z szansy objęcia najwyższego urzędu w państwie. Trewayne ma obie te cechy i bardzo dobrze. Każdy autentyczny talent pociąga za sobą odrobinę próżności. – Hamilton odpowiadał Madisonowi, ale spoglądał na Knappa. – Jego pierwsza reakcja będzie identyczna z tą, jaką zaprezentował nam senator. Nedorzeczność. Jesteśmy na to przygotowani. Jednak najdalej w ciągu kilku dni wykażemy, udowodnimy mu ponad wszelką wątpliwość, że jest to całkiem realny pomysł, który naprawdę mógłby zrealizować. Przedstawimy mu opinie związkowców, poważnych biznesmenów i uczonych. Będą do niego dzwonić poważni uczestnicy życia politycznego z całego kraju, dając mu do zrozumienia, że są bardzo zainteresowani możliwością jego ewentualnego kandydowania. Stopniowo z tych rozmów i spotkań zacznie wyłaniać się zarys strategii wyborczej. Szczegółowym jej opracowaniem zajmie się agencja Aarona.

–Już się tego podjęła – poprawił go Green. – Moi trzej najbardziej zaufani ludzie pracują od jakiegoś czasu za zamkniętymi drzwiami. Są najlepsi w swoim fachu, a każdy z nich wie, że w razie powstania jakiegokolwiek przecieku nie znajdzie dla siebie w tym kraju żadnej pracy, chyba że przy kopaniu rowów.

Knapp zdumiał się jeszcze bardziej,

–Naprawdę zaczęliście już nad tym pracować?

–Na tym polega nasze zadanie: wybiegać myślą jak najdalej w przyszłość – odparł Ian Hamilton.

–Ale przecież nie macie żadnej gwarancji, że związki zawodowe, biznesmeni i przywódcy polityczni zgodzą się na waszą propozycję!

–Oczywiście, że mamy. Ci, z którymi się skontaktowaliśmy, już się zgodzili. Naturalnie wszystko odbywa się z zachowaniem ścisłej dyskrecji. Nie pisną ani słowa, dopóki im na to nie pozwolimy. Stanowią podstawę, na której będziemy mogli się oprzeć. Niektórzy zareagowali z autentycznym entuzjazmem.

–To... to...

–Już wiemy: niedorzeczność – dokończył za senatora Aaron Green. – Sądzi pan, że Genessee Industries jest kierowane przez urzędników z Waszyngtonu albo przez jakichś innych debili? Mówimy o dwustu lub trzystu ludziach, wśród których znajdują się burmistrzowie wielkich miast i gubernatorzy. Na naszej liście płac mamy ich jeszcze kilka razy tyle.

–A co z Izbą Reprezentantów i Senatem? Tam...

–Izba znajduje się pod naszą całkowitą kontrolą – przerwał mu Hamilton. – Co zaś



do Senatu... Właśnie dlatego znalazł się pan tutaj.

–Ja? – Knapp ponownie zacisnął palce na krawędzi stołu.

–Tak, senatorze – odparł chłodno Hamilton. – Jest pan aktywnym członkiem swojej partii i cieszy się opinią bardzo podejrzliwego człowieka. W jakiejś gazecie nazwano pana nawet „największym sceptykiem Senatu”. Otrzyma pan bardzo odpowiedzialną rolę.

–W przeciwnym razie... puff! – uzupełnił Green, rozkładając ręce. Senator Knapp uznał, że lepiej nie prosić o bliższe wyjaśnienia. Walter Madison nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jednak kiedy się odezwał, uśmiech szybko zniknął z jego twarzy.

–Założmy chwilowo, że to wszystko jest możliwe, a nawet prawdopodobne. Co zamierzacie zrobić z obecnym prezydentem? Wszystko wskazuje na to, że będzie próbował ubiegać się o drugą kadencję.

–Możemy nie brać go pod uwagę. Rodzina gorąco namawia go, by zrezygnował z powtórnego kandydowania. Proszę też nie zapominać, że Genessee Industries usunęło z jego drogi wiele przeszkód i kłopotów. Jeśli tylko zechcemy, wszystkie mogą się znowu pojawić. Wreszcie, gdyby doszło do ostateczności, dysponujemy wynikami badań lekarskich, które zniszczyłyby go na miesiąc przed wyborami.

–Czy to prawdziwe wyniki?

Hamilton uciekł spojrzeniem w bok.

–Częściowo. Obawiam się jednak, że to nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, że je mamy.

–Drugie pytanie: jeśli Andrew zostanie wybrany, w jaki sposób chcecie go kontrolować? Jak powstrzymacie go przed wyrzuceniem was wszystkich na śmietnik?

–Każdy, kto zasiądzie w fotelu prezydenta, uczy się niemal natychmiast jednej rzeczy: że musi być pragmatykiem – odparł Hamilton. – Będzie potrzebował każdej pomocnej dłoni. Nie tylko nas nie wyrzuci, ale będzie zabiegał o nasze wsparcie, prosząc, byśmy zechcieli wrócić do czynnego życia politycznego.

–Wrócić...?

Zdezorientowanie Knappa było aż nadto widoczne, ale w spojrzeniu Waltera Madisonsa pojawił się błysk zrozumienia.

–Tak, senatorze. Wrócić. Walter już wie, o co chodzi. Niech pan spróbuje wyczuć delikatność sytuacji. Trevayne nigdy nie zgodzi się na propozycję, jeśli będzie miał choć cień podejrzenia, że pochodzi ona od Genessee Industries. Damy mu jasno do zrozumienia, jakie jest nasze stanowisko. Będziemy się Wahać, ale ostatecznie zgodzimy się udzielić mu poparcia. Bądź co bądź, stanowi produkt rynku, tak samo jak my. Kiedy już zostanie wybrany, wtedy udamy, że pragniemy ostatecznie wycofać się ze sceny, by spokojnie rozkoszować się wygodami, na które zapracowaliśmy przez całe życie. Przekonamy go, że tak jest naprawdę. Owszem, w razie potrzeby może skorzystać z naszej pomocy, ale raczej wolelibyśmy, żeby zostawiono nas w spokoju... Chyba nie muszę dodawać, że nie będzie to miało żadnego związku z rzeczywistością.

- A kiedy się o tym przekona, będzie już za późno – podsumował Walter Madison.**
- Nie pozostanie mu nic innego, jak pójść na kompromis.**
  - Otóż to – potwierdził Ian Hamilton.**
  - Moi zaufani ludzie wymyślili bardzo chwytliwy slogan: „Andrew Trevayne, znak najwyższej jakości”.**
  - Obawiam się, że skądś go ukradli, Aaronie – zauważył Hamilton.**

## Rozdział 40

Kiedy Trevayne przeczytał informację w gazecie, ogarnęła go ogromna ulga. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie odczuwał taką radość – tak, to było najbardziej odpowiednie słowo – z powodu śmierci jakiegoś człowieka. Z powodu gwałtowne śmierci człowieka. Tak jednak się stało, dodatkowo zaś miał wrażenie, jakby z jego barków nagle zniknął wielki, ograniczający swobodę ruchów ciężar.

### **JEDEN Z SZEFÓW PRZESTĘPCZEGO PODZIEMIA ZAMORDOWANY W ZASADZCE NIEDALEKO SWEGO DOMU W NEW HAVEN**

Potem następował dokładny opis, jak to Mario de Spadante, przenoszony z karetki do swego domu przy Hamden Terrace, został zrzucony z noszy na ziemię i podziurawiony jak sito przez sześciu zamaskowanych napastników. Ani ludzie niosący nosze, ani inne osoby obecne na miejscu zbrodni – prawdopodobnie osobista ochrona gangstera – nie odnieśli żadnych' obrażeń. W związku z tym policja przypuszczała, że na de Spadante został wykonany wyrok wydany przez innych szefów mafii, niezadowolonych z szybko rosnących wpływów mafiosa poza stanem Connecticut. Powszechnie znany był fakt, iż de Spadante – którego, młodszego brat zginął niedawno z rąk oficera armii Stanów Zjednoczonych, niejakiego Paula Bonnera – bez zgody pozostałych bossów zaangażował się w wiele przedsięwzięć budowlanych finansowanych przez rząd USA. Wśród przywódców podziemnego świata panowała jednomyślność co do tego, że zdecydowanie przekroczył swoje uprawnienia, a współdziałając z Waszyngtonem, naraża na poważne niebezpieczeństwo wiele nielegalnych zamierzeń.

Mimoходом wspomniano także o tym, że ta dokonana w biały dzień zbrodnia uwiarygodniła zeznania majora Paula Bonnera, twierdzącego uparcie, iż został zaatakowany przez Augusta de Spadante, młodszego brata zamordowanego gangstera. Urzędujący w Arlington wojskowy obrońca Bonnera stwierdził ponadto, że strzelanina w New Haven dowodzi ponad wszelką wątpliwość, iż jego klient został przypadkowo wciągnięty w wir walki między gangami i że znakomicie wywiązał się ze swoich obowiązków, starając się ze wszystkich sił ocalić życie Andrew Trevayne'a. Trevayne, czego nie omieszkało zaznaczyć w artykule, był przewodniczącym senackiej podkomisji badającej rzetelność kontraktów zawieranych przez Departament Obrony, obaj zaś bracia de Spadante należeli do poważnych kontrahentów tegoż Departamentu.

Cztery fotografie ukazywały Maria de Spadante w różnych punktach kariery. Dwie zostały wykonane przez policję w odstępie piętnastu lat, jedna, z lat pięćdziesiątych, przedstawiała gangstera na parkiecie nocnego klubu, na ostatniej zaś, na tle wielkiego dźwigu, widnieli Mario de Spadante i jego brat August, obaj z minami zwyciężskich cesarów.

Czysto i bezboleśnie – pomyślał Trevayne. Wyeliminowanie jednego człowieka

pozwoili usunąć tak wiele zła. Od momentu wyjścia ze szpitalnego pokoju zajmowanego przez Maria de Spadante Andrew nie mógł zasnąć – a nawet jeśli spał, to nie potrafił sobie przypomnieć. Bez przerwy zadawał sobie pytanie, czy to wszystko jest tego warte. Z każdą chwilą był bliższy osiągnięcia konkluzji, że nie.

Musiał przyznać sam przed sobą, że Włoch zdołał go osaczyć. Udało mu się to, gdyż zmusił jego, Andrew Trevayne'a, do rozważenia za i przeciw, do wzięcia pod uwagę ogromnej ceny, jaką musieliby zapłacić jego najbliżsi.

Nie, ta sprawa nie była aż tyle warta. Nie zapłaci takiej ceny za działalność podkomisji, której wcale nie chciał przewodniczyć, za prezydenta, wobec którego nie miał żadnych zobowiązań, ani za Kongres, pozwalający wodzić się za nos takim ludziom jak de Spadante. Dlaczego miały to zrobić?

Niech zapłaci ktoś inny.

A teraz problem zniknął, bo zniknął de Spadante. Może spokojnie skoncentrować się na przygotowywaniu raportu o działalności podkomisji. Poświęcił się temu zadaniu z ogromną energią zaraz po powrocie z Chicago, po spotkaniu z Ianem Hamiltonem.

Trzy dni temu wydawało mu się, że to najważniejsza rzecz na świecie. Oskarżenie Paula Bonnera o morderstwo wytrąciło go nieco z równowagi, lecz mimo to każdą wolną chwilę poświęcał raportowi. Odnosił wrażenie, iż nie ma nic istotniejszego od uciekającego bezlitośnie czasu, że raport musi zostać sporządzony, a wynikające z niego wnioski przedstawione ludziom stojącym na szczycie drabiny władzy najszybciej, jak tylko jest w ludzkiej mocy.

Teraz jednak, spoglądając na stosy notatek piętrzące się obok rozłożonej gazety, stwierdził ze zdziwieniem, iż wcale nie śpieszy mu się, by wrócić do pracy odłożonej na bok przed trzema dniami. Przeprowadził się w obie strony przez swój Styks. Podobnie jak Charon przewiózł dusze zmarłych przez wzburzoną wodę, a teraz potrzebował odpoczynku i spokoju. Musiał choć na chwilę zapomnieć o istnieniu gorszego świata.

Świata, do którego należało Genessee Industries.

Czy aby na pewno? A może istnienie tej organizacji stanowiło jedynie rezultat ogromnych, lecz niewłaściwie ukierunkowanych wysiłków ludzi ogarniętych obsesją poszukiwania rozsądnych rozwiązań w nierozsądnych czasach?

Było dopiero piętnaście po pierwszej w nocy, lecz mimo to Trevayne postanowił, że na dziś koniec z pracą. Może jeden beztroski dzień – dzień naprawdę wolny od zmartwień – spędzony w towarzystwie Phyllis jest właśnie tym, czego potrzebuje?

Choćby po to, by znowu naładować akumulator.

Roderick Bruce cisnął gazetę w drugi koniec pokoju i zaklął głośno. Ten cholerny kutas oszukał go! Zaprosił go do tańca, a kiedy muzyka umilkła, kopnął w jaja i uciekł z powrotem do Białego Domu!...

...w biały dzień zbrodnia dodała wagi zeznaniom majora Paula Bonnera, który... zaatakowany przez Augusta de Spadante, brata zastrzelonego gangstera... w wir walki między gangami... znakomicie wywiązał się z...

Bruce gwałtownym ruchem krótkich ramion zmiotł z tacy śniadanie, skopał z

siebie kołdrę, pod którą kiedyś sypiał z Alekssem, i jednym susem zeskoczył na cytrynowy dywan. Zza drzwi dobiegł odgłos szybkich kroków służącej.

–Nie włącz tutaj, ty czarna cipo! – wrzasnął co sił w płucach.

Ściągając przez głowę jedwabną nocną koszulą – prezent od Aleksa -rozdarł ją na plecach. Zupełnie nagi ruszył w kierunku biurka. Kiedy jego bosa stopa trafiła na leżący do góry dnem talerz, zatrzymał się, schylił i rzucił nim w nocny stolik.

Usiadłszy przy biurku, wyprostował się najbardziej, jak potrafił, przywierając plecami do oparcia fotela. Trwał tak przez dłuższą chwilę, maksymalnie napinając wszystkie mięśnie. Stosował często to ćwiczenie, by opanować gniew i odzyskać pełną samokontrolę.

Zademonstrował je kiedyś Aleksowi, przy jednej z nielicznych okazji, kiedy pokłócili się o coś, o jakąś zupełnie nieistotną błahostką... aha, o współlokatora Aleksa. O wstrętnego współlokatora z mieszkania przy Dwudziestej Pierwszej ulicy. O wstrętnego, obrzydliwego współlokatora, który chciał, żeby Aleks odwiózł go do Baltimore, gdyż rzekomo miał zbyt duży bagaż, by jechać pociągiem.

Mocno się wtedy posprzeczali, lecz Aleks wreszcie zrozumiał, że tamten ohydny typek najzwyczajniej w świecie próbuje go wykorzystać, więc zadzwonił do niego i powiedział kategorycznie „nie”. Jednak po tej rozmowie długo nie mógł dojść do siebie, w związku z czym Rod – to znaczy Roger – pokazał mu ćwiczenie wykonywane przy stojącym w sypialni biurku. Aleksa ogarnęła niezwykła wesołość. Zanosząc się śmiechem, powiedział Rogerowi, że ćwiczenie to bardzo przypomina starożytną hinduską karę, jaką kapłani nakładali na chłopców, których przyłapali na masturbacji.

Bruce przycisnął nagie plecy jeszcze mocniej do oparcia. Czuł, jak guziki umieszczone we wgłębieniach tapicerki wrzynają mu się boleśnie w ciało. Stary sposób po raz kolejny odniósł skutek: Roderick znowu mógł jasno myśleć.

Bobby Webster przekazał mu dwa zdjęcia przedstawiające Trevayne'a i Maria de Spadante w szpitalnym pokoju w Greenwich. Na pierwszej fotografii Trevayne najwyraźniej wyjaśniał coś leżącemu w łóżku Włochowi, na drugiej zaś słuchał z niechętną miną czegoś, co mówił gangster. Doradca prezydenta kazał mu wstrzymać się z publikacją przez siedemdziesiąt dwie godziny, czyli trzy dni.

Następnego dnia po południu ogarnięty paniką Webster zaczął wydzwaniać po całym mieście, szukając w popłochu Rodericka Bruce'a. Zażądał natychmiastowego zwrotu zdjęć i nie czekając na odpowiedź, zaczął grozić wszelkimi możliwymi konsekwencjami, jakie mogą spotkać dziennikarza, gdyby odmówił wykonania polecenia. Konsekwencje nastąpią nawet wtedy, gdyby ukazała się choćby najbardziej ogólnikowa wzmianka o wizycie Tre-vayne'a u rannego gangstera.

Roderick Bruce rozluźnił mięśnie i oderwał grzbiet od oparcia fotela. Doskonale pamiętał odpowiedź udzieloną przez Webstera na pytanie, czy Trevayne, de Spadante lub któraś z przedstawiających ich fotografii może mieć jakiś wpływ na sprawę Paula Bonnera.

–Żadnego, Te sprawy nie mają ze sobą żadnego związku. Wszystko pozostaje pod ścisłą kontrolą.

**Okazało się jednak, że nie wszystko. Nieudało się nawet zatkać gęby obrońcy Bonnera. Wojskowemu obrońcy!**

**Bobby Webster nie kłamał. Po prostu nie mógł na to nic poradzić. Był bezsilny. Miotał straszliwe groźby, ale nie miał możliwości wprowadzenia ich w życie,**

**Jeżeli Roger Bruce z Erie w stanie Pensylwania nauczył się czegoś w kosmopolitycznym świątku Waszyngtonu, to na pewno tego, że zawsze należy bezwzględnie wykorzystywać przewagę nad każdym słabszym człowiekiem, a już na pewno nad takim, który dopiero co utracił wcale pokaźną siłę.**

**Szczególnie, jeśli człowiek ten był ogarnięty paniką.**

**Za takim przypadkiem z reguły kryła się jakaś pasjonująca historia. Bruce wiedział, jak się do niej dostać. Wystarczyło zrobić odbitki zdjęć.**

**Generał brygady Lester Cooper obserwował mężczyznę z aktówką zbliżającego się ścieżką do Samochodu. Śnieg w stanie Vermont był głęboki, a ścieżka niezbyt dokładnie uprzątnięta, ale do podjazdu nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. Pług śnieżny znakomicie wykonał swoją robotę, zgarniając sterty białego puchu daleko na boki aż do samej drogi. Poza tym samochód miał mocny silnik i był wyposażony w szerokie zimowe opony. Człowiek z teczką na pewno da sobie radę.**

**Tacy ludzie zawsze dawali sobie radę. Ludzie pracujący w drapaczach chmur dla innych ludzi, takich jak Aaron Green. Żyli w skrytych w chmurach biurach, gdzie podłogi okrywały miękkie wykładziny, a w sufitach płonęły lampy dające łagodne światło. Rozmawiali półgłosem przez telefon, wymieniając skomplikowane liczby, często z kilkoma cyframi po przecinku.**

**Zajmowali się subtelnościami, którymi generał brygady Lester Cooper gardził z głębi serca.**

**Przyglądał się, jak duży wóz wykręca na niewielkim parkingu i rusza w kierunku drogi. Kierowca pomachał ręką, ale na jego twarzy nie pojawił się uśmiech ani choćby cień przyjaznego uczucia. Żadnej wdzięczności za gościnne przyjęcie, choć przecież zjawiał się bez uprzedzenia.**

**Subtelności.**

**Wiadomości, jakie niespodziewany gość przywiózł do wiejskiego domu, należały do tych subtelności, o których Lester Cooper wiedział, że nigdy nie zdoła ich zrozumieć. Z drugiej strony, nikt nie wymagał od niego zrozumienia, tylko dokładnego wypełniania poleceń. Dla ogólnego dobra, ze specjalnym uwzględnieniem Pentagonu. Zapewniono go, że Departament Obrony zyska więcej niż jakiegokolwiek ministerstwo.**

**Andrew Trevayne prezydentem Stanów Zjednoczonych.**

**Niewiarygodne.**

**Niedorzeczne,**

**Jeśli jednak człowiek przysłany przez Aarona Greena twierdzi, że należy brać pod uwagę taką możliwość, to Trevayne może już zacząć przygotowywać inauguracyjne przemówienie.**

**Lester Cooper odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku domu. Gdy dotarł do ciężkich holenderskich drzwi, zmienił zdanie i skręcił w lewo. Puszysty śnieg leżał**

grubą warstwą na twardym podłożu; generał zapadał się do połowy łydek, lecz choć nie miał wysokich butów ani gumowców, nie zwracał najmniejszej uwagi na wilgotne zimno. Nie zwracał na nie uwagi także zimą czterdziestego czwartego, kiedy wyskakiwał z czołgu prosto w lodowate bagno. Patron, George Patron wrzeszczał wtedy na niego: „Cooper, ty durny skurwysynu! W tej chwili zakładaj przepisowe buciory! Ładujemy się w sam środek pieprzonej szwabskiej zimy, a ty zachowujesz się tak, jakby to była wiosna w Georgii! I przestań uśmiechać się jak kretyn!”

Odwrzaskiwał wtedy George'owi, co należało, naturalnie ani na chwilę nie przestając się uśmiechać. Buty z cholewami przeszkadzały mu w prowadzeniu czołgu. Letnie półbuty były w sam raz.

Patron.

On także nic by z tego nie zrozumiał.

Cooper dotarł do skraju trawnika pokrytego dziewiczym śniegiem. Niebo zasnuło się niskimi chmurami, które częściowo przesłoniły odległe góry. Ale góry na pewno tam były, nie zniknęły zniemacka. Już wkrótce będzie mógł oglądać je codziennie, aż do końca życia.

Zaraz po tym jak opracuje logistyczne szczegóły strategii Aarona Greena, a ściśle rzecz biorąc jej wojskową część. Nie powinno mu to przysporzyć żadnych trudności, gdyż siły zbrojne doskonale zdawały sobie sprawę z tego, jak wiele zawdzięczają Genessee Industries. Dowodzący nimi ludzie wiedzieli również, że w przyszłości mogą zyskać jeszcze więcej, pod warunkiem jednak, że Genessee stanie się – zgodnie z ich życzeniami – cywilnym rzecznikiem interesów armii. Jeśli kandydatem Genessee Industries miał być właśnie Andrew Trewayne, to nie liczyło się nic innego.

Wiadomość zostanie przekazana do wszystkich ośrodków szkoleniowych, do wszystkich baz lotniczych i morskich, do wszystkich garnizonów na całym świecie. Na razie bez konkretów, jedynie zapowiedź tego, że wkrótce zostanie ujawnione nazwisko człowieka, którego Genessee Industries i Pentagon chcą widzieć na fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Należy przystąpić do przygotowywania szczegółowych planów postępowania, włączając w to także kursy indoktrynacji dla oficerów oraz cywilnych pracowników wyższego szczebla. Wszystko w ramach „spraw bieżących”, ma się rozumieć. Opracować oddzielne warianty dla żołnierzy służby czynnej i rezerwy, gdyż do każdej z tych grup należy podejść w odmienny sposób.

To się da zrobić. Żaden z ludzi związanych z armią nie życzył sobie powrotu do czasów, kiedy Genessee Industries nie popierało tak mocno interesów sił zbrojnych.

A kiedy wreszcie nadejdzie rozkaz, by ujawnić nazwisko, kserokopiarki, drukarnie i urzędnicy powielające, we Wszystkich odległych zakątkach świata, gdzie stacjonują amerykańscy żołnierze, zaczną działać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Od Fortu Dix w New Jersey po Bangkok w Tajlandii, od Newport News po Gibraltar.

Wojsko mogło zapewnić ponad cztery miliony głosów.

Lester Cooper był ciekaw, czy do tego dojdzie. Czy kandydatem naprawdę będzie Andrew Trewayne?

**A jeśli tak, to dlaczego?**

**Chętnie zadzwoniłby do Roberta Webstera, by dowiedzieć się, co on wie na ten temat, ale musiał wybić to sobie z głowy. Wysłannik Aarona Greena nie pozostawił co do tego najmniejszej wątpliwości.**

**Webster poszedł w odstawkę.**

**Rzecz jasna, na razie należało utrzymywać to w ścisłej tajemnicy, ale z Websterem nie wolno było nawet rozmawiać. O niczym. Cooper nie mógł ani sam nawiązywać kontaktu, ani odpowiadać na ewentualne próby nawiązania kontaktu przez doradcę prezydenta.**

**Ciekawe, co tamten nawyrabiał.**

**Nieważne. W gruncie rzeczy wcale go to nie interesuje. Chce tylko jak najszybciej wykonać swoją część zadania, by wrócić na farmę i przeżyć w spokoju resztę dni.**

**Koniec z subtelnościami.**

**Po prostu go to nie obchodzi. Oczywiście pomoże Greenowi; był mu to winien. Nie tylko jemu, ale całemu Genessee Industries, a także swoim wspomnieniom i ambicjom.**

**Był to winien nawet Paulowi Bonnerowi, temu nieszczęsnemu sukinsynowi. Bonner został złożony w ofierze. Stanowił niezbędną ofiarę.**

**Mógł liczyć już tylko na łaskę prezydenta.**

**Prezydenta Andrew Trevayne'a.**

**Czyż nie było w tym swoistej ironii?**

**Przekłete subtelności...**



## Rozdział 41

–Pan Trevayne? – Tak.

–Mówi Bob Webster. Jak się pan miewa?

–Nieźle. A pan?

–Nie za bardzo. Obawiam się, że wmanewrowałem pana w paskudną sytuację... W prawdziwe bagno, jeśli mam być zupełnie szczery.

–O co chodzi?

–Zanim panu powiem, muszę wyjaśnić jedną sprawę. To musi być całkowicie jasne... Tylko ja jestem odpowiedzialny, nikt inny. Rozumie pan?

–Tak... To znaczy, wydaje mi się, że rozumiem.

–Znakomicie. To bardzo ważne.

–Teraz już na pewno rozumiem. Co konkretnie ma pan na myśli?

–Pańską wizytę w Greenwich u Maria de Spadante. Widziano tam pana.

–Doprawdy? I na tym polega problem?

–Od tego się zaczyna.

–Dlaczego przywiązuje pan do tego tak dużą wagę? Rzeczywiście, nie ogłaszaliśmy wszem i wobec mojego przyjazdu, ale też nie staraliśmy się go zbyt ukryć.

–Jednak nie poinformował pan o nim prasy.

–Bo nie uważałem, żeby było to potrzebne. Dostali tylko krótkie oświadczenie, w którym znajdowało się stwierdzenie, że przemocą nie uda się rozwiązać żadnych problemów. Przygotował je Sam Vicarson, a ja zaakceptowałem. Nie wydaje mi się, żebym miał coś do ukrycia.

–Być może nie wyraziłem się dość jasno. Otóż pozory wskazują na to, że było to poufne spotkanie dwóch wspólników. Zrobiono wam zdjęcia.

–Kiedy? Jakie zdjęcia? Nie przypominam sobie, żeby był przy tym jakiś fotograf. Naturalnie po parkingu kręciło się mnóstwo ludzi, ale...

–Nie na parkingu. W pokoju.

–W pokoju? O czym pan... Och, dobry Boże! I co z nimi?

–Zwalają z nóg. Widziałem dwie odbitki. Pan i de Spadante wyglądacie tak, jakbyście byli pogrążeni w poważnej dyskusji.

–Bo byliśmy. Gdzie je pan widział?

–U Roda Bruce'a. Dostał te dwie.

–Od kogo?

–Tego nie wiemy. Nie chce puścić pary z gęby. Ma zamiar opublikować je już jutro. Grozi, że dowiedzie pańskich związków z de Spadantem, a w ten sposób zaszkodzi także Bonnerowi.

–Cóż... Czego pan ode mnie oczekuje? Wygląda na to, że ma pan jakiś plan.

–Naszym zdaniem może pan wytrącić mu broń z ręki tylko w jeden sposób: zabrać głos jako pierwszy. Powinien wydać pan oświadczenie, że de Spadante pragnął zobaczyć się z panem. Spełnił pan prośbę rannego gangstera na dwa dni przed jego śmiercią. Ujawnia pan tę wiadomość ze względu na majora Paula Bonnera... Proszę wymyślić, co pan chce. Sprawdziliśmy ten pokój: nie było

podłuchu.

–Nie jestem pewien, czy dobrze pana rozumiem, O co właściwie chodzi Bruce'owi? Jaki związek ma z tym Paul?

–Przecież już powiedziałem... Przepraszam, od rana wszystko wali mi się na głowę. Bruce uważa, że znalazł jeszcze jeden haczyk na Paula Bonnera. Skoro spotkał się pan z de Spadaniem, to jest raczej mało prawdopodobne, że tydzień wcześniej chciał pana zabić, tak jak twierdzi Bonner.

–Rozumiem... W porządku, wydam takie oświadczenie. I zajmę się Bruce'em. Trevayne nacisnął widełki, przytrzymał je przez kilka sekund, zwolnił, po czym nakręcił numer.

–Poproszę z Samem Vicarsonem. Mówi Trevayne... Sam, nadeszła pora, żeby dobrać się Bruce'owi do skóry. Nie, nie ty. Ja... Dowiedz się, gdzie teraz jest, i natychmiast daj mi znać. Siedzę w domu... Nie, nie zmienię zdania. Zadzwoń do mnie najszybciej, jak będziesz mógł. Chcę zobaczyć się z nim jeszcze dziś po południu.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na żonę. Siedziała w peniuarze przed toaletką, nakładając makijaż i obserwowała go kątem oka w lustrze.

–Słyszałam to i owo. Coś mi się wydaje, że musimy przełożyć nasze plany na później?

–Wcale nie. Będę potrzebował nie więcej niż piętnaście minut. Zaczekasz w samochodzie.

Phyllis wstała z taboretu, podeszła do łóżka i roześmiała się, wskazując na zmiętą pościel.

–Już to kiedyś słyszałam. Jest pan zwierzęciem, panie Trevayne. Wpada pan jak burza do domu, pozbawia pan czci nieskalaną dziewicę w bliżej nieokreślonym wieku, mając ją pięknymi słówkami i obietnicami, po czym, zaspokoiwszy żądze i zdrzemnąwszy się nieco, natychmiast chwyta pan za telefon...

Andrew złapał ją wpół, posadził sobie na kolanach i melodramatycznym gestem sięgnął do jej piersi. Zaczął je pieścić, całując jednocześnie żonę w szyję i ucho. Śmiali się oboje, ale potem śmiech ucichł, kiedy Trevayne delikatnie przeturlał ją na łóżko.

–Och, Andy, nie możemy...

–Oczywiście, że możemy. Sam nie zadzwoni wcześniej niż za godzinę.

Wstał i rozpiął spodnie, podczas gdy Phyllis ułożyła się na boku i odsunęła kołdrę, czekając na niego.

–Jesteś niepoprawny... a ja to uwielbiam. Z kim chcesz się spotkać?

–Ze wstrętnym małym człowieczkiem nazwiskiem Roderick Bruce – odparł, zdejmując koszulę i slipy.

–Z tym dziennikarzem?

–Tak. Na pewno nie spodobałoby mu się to, co teraz robimy.

Bobby Webster oparł się obiema rękami na biurku, zacisnął powieki, zwiesił głowę i starał się powstrzymać łzy. Zamknął drzwi na klucz, by nikt go nie zaskoczył. Właściwie nie rozumiał, dlaczego jeszcze nie płacze. Podświadomość dostarczyła mu odpowiedzi, której nie chciał zaakceptować: po prostu nie potrafił już płakać.

***Reductio ad manipulatem.***

**Czy istniało takie określenie? Powinno. Tyle lat podstępów, tyle lat niezliczonych, niemożliwych do zapamiętania setek, tysięcy spisków i kontrspisków.**

**Czy się uda?**

**Tylko to miało teraz znaczenie.**

**Czynnik ludzki stanowił tylko jedną z niewiadomych, x lub y, które należało brać pod uwagę, ale można też było całkowicie pominąć. W żadnym przypadku nie był niczym więcej.**

**Nawet on sam.**

**Bobby Webster poczuł pieczenie w oczach. Jednak rozplacze się. W zupełnie niekontrolowany sposób.**

**Najwyższa pora wracać do domu.**

**Trevayne przeszedł przez wyłożony puszystym dywanem korytarz i stanął u podnóża niskich schodów, obok których widniała tabliczka z napisem wykonanym ozdobną starą czcionką: „Roderick Bruce”.**

**Pokonał pięć stopni, podszedł do drzwi i nacisnął przycisk. Zza czarnych, błyszczących drzwi o mosiężnych okuciach dobiegł donośny dźwięk gongu, a w chwilę potem stłumione, ale wyraźnie podekscytowane głosy. Jeden z nich z pewnością należał do Rodericka Bruce'a.**

**Drzwi otworzyły się. Potężnie zbudowana, czarnoskóra służąca w nakrochmalonym białym stroju wypełniała sobą mały przedpokój, nie pozwalając zajrzeć w głąb mieszkania.**

**–Słucham? – zapytała z akcentem o wyraźnych karaibskich naleciałościach.**

**–Chciałbym zobaczyć się z panem Bruce'em.**

**–Czy jest pan umówiony?**

**–Nie, ale pan Bruce z pewnością zechce mnie przyjąć.**

**–Przykro mi, ale to niemożliwe. Proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu. Z pewnością skontaktuje się z panem.**

**–Nazywam się Andrew Trevayne. Nie wyjdę stąd, dopóki nie porozmawiam z panem Bruce'em.**

**Kobieta wykonała ruch, jakby chciała zamknąć drzwi. Trevayne otwierał już usta, by powtórzyć żądanie donośniejszym głosem, kiedy nagle do przedpokoju, niczym mała fretka wypłoszona z nory, wbiegł Roderick Bruce. Widocznie podsłuchiwał, stojąc u wejścia do któregoś z pokoiów.**

**–W porządku, Julio. – Kobieta obrzuciła Trevayne'a niechętnym spojrzeniem, po czym odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. – Pochodzi z Haiti. Jej sześciu braci walczy w partyzantce, co powinno wyjaśniać, dlaczego jest taka groźna. Czego chcesz, Trevayne?**

**–Porozmawiać.**

**–Jak się tu dostałeś? Portier nie zawiadomił mnie, że ktoś chce się ze mną widzieć.**

**–Myśli, że przyszedłem do kogoś innego. Nie zaprzataj sobie tym głowy.**

**Wszystko zostało zaaranżowane przez moje biuro. Tamten człowiek nie ma o niczym**

pojęcia.

–Jeśli dobrze pamiętam, to podczas naszej ostatniej rozmowy w twoim gabinecie posunąłeś się do otwartych gróźb pod moim adresem. Teraz nie wyglądasz już tak bojowo. Czyżbyś chciał zawrzeć układ? Jeśli tak, to obawiam się, że nie jestem zainteresowany.

–Nie wyglądam bojowo, bo jestem po prostu smutny. Ale masz rację, Bruce: chcę zawrzeć układ. Taki, do jakich przywykłeś.

–Nie możesz mi zaproponować nic, co by mnie zainteresowało. Dlaczego miałbym cię wysłuchać?

Trevayne przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu niewielkiemu mężczyźnie o małych, głęboko osadzonych oczach i wąskich ustach wykrzywionych triumfalnym uśmiechem.

–Aleksander Coffey – powiedział cicho, czując, że jeszcze trochę, a zrobi mu się niedobrze.

Roderick Bruce stał jak sparaliżowany. Opadła mu szczęka, usta rozchyliły się, a z twarzy zniknęły wszelkie ślady arogancji.

## Część 4

### Rozdział 42

Wydawało się to nedorzeczością. Było nedorzeczością. A najbardziej nedorzeczne okazało się to, że nie wymagano od niego nic więcej, tylko jego zgody. Ta kwestia nie ulegała najmniejszej wątpliwości: nikt nie żądał, żeby zmienił choć jedno słowo w swoim raporcie. Wręcz przeciwnie: oczekiwano, że ukończy go, przedstawi prezydentowi, Kongresowi i komisji obrony, po czym otrzyma serdeczne podziękowania od wdzięcznego rządu. Żadnych zmian, żadnych kompromisów.

Rozdział zamknięty.

A następny miał właśnie zostać otwarty.

Nikt zdawał się nie przejmować tym, że raport był szczery i bezkompromisowy. Trewayne nie starał się tego ukryć. Dano mu nawet do zrozumienia, że im ostrzejsze umieści w nim sformułowania, tym bardziej zwiększy swoje szansę.

Szansę wyborcze.

Miał zostać kandydatem na urząd prezydenta USA.

Nedorzeczość.

Tamci jednak upierali się, że nie ma w tym nic nedorzeczności. Miała to być logiczna decyzja niezwykłego człowieka, który poświęcił pięć miesięcy życia na dogłębne zbadanie najważniejszych problemów kraju. A kraj ten właśnie dojrzał do tego, by oddać przywództwo w ręce człowieka niezwiązanego z żadną grupą polityczną. Naród pragnął kogoś trzymającego się z dala od politycznych przepychanek. Pragnął uzdrowiciela, który jednocześnie okazałby się zdolny stawić czoło ogromnemu wyzwaniu; który potrafiłby w gąszczu kłamstw i oszustw znaleźć drogę do autentycznych faktów i prawdy.

Takim człowiekiem miał być właśnie on.

W pierwszej chwili pomyślał, że Mitchell Armbruster po prostu oszalał albo też próbuje mu się za wszelką cenę przypochlebić, ukrywając swoje prawdziwe intencje pod powodzią nieznaczących słów. Jednak Armbruster trwał uparcie przy swoim zdaniu. Ba, przyznał nawet, że w pierwszej chwili jemu samemu pomysł ten wydał się co najmniej groteskowy, lecz im dłużej się nad nim zastanawiał, tym bardziej się do niego przekonywał – nie tylko on, lecz także wielu innych ludzi o zbliżonych poglądach. Prezydent, którego raczej popierał, należał do innej partii; z kolei partia, do której należał Armbruster, zdołała wyłonić ze swego grona zaledwie kilku pretendentów, ale żadnego poważnego kandydata. Pretendentami byli albo starzy, zmęczeni ludzie, podobni do niego, którzy mieli kiedyś szansę zajść bardzo wysoko, lecz jej nie wykorzystali, albo bardzo młodzi, zbyt beztroscy i porywcy, by zdobyć zaufanie przeciętnego wyborcy. Przeciętny wyborca wcale nie chciał „przeć naprzód” i „wstrzeliwać się w dziesiątkę”.

Andrew mógłby zlikwidować podziały i wypełnić pustkę. Nie było w tym nic nedorzeczności. To jedyne realne rozwiązanie mieszczące się w granicach tego, co zwano polityką. Takie argumenty przedstawił narodowy komitet i po prostu należało uznać ich słuszność.

A co z raportem? Wyniki prac podkomisji nie mogły dać jej przewodniczącemu

powszechnego poparcia, a żadne zmiany nie wchodziły w grę. Trewayne nie pozostawił co do tego wątpliwości.

I bardzo dobrze, odparł ku jego zdumieniu Armbruster. Raport senackiej podkomisji był tylko raportem, z którym powinni zapoznać się członkowie Izby Reprezentantów, Senatu i oczywiście prezydent. Proponowane wnioski zostaną rozważone przez właściwe urzędy, a obciążające dowody przekazane bezpośrednio Departamentowi Sprawiedliwości. Wszyscy, którzy na to zasługują, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

A Genessee Industries?

Raport określał tę korporację jako państwo w państwie, dysponujące bardzo rozległymi wpływami politycznymi i ekonomicznymi, których nie mogła tolerować żadna nowoczesna demokracja. Co stanie się z tą oceną? Co stanie się z ludźmi uznanymi za współwinnych dopuszczenia do takiego rozwoju sytuacji? Co stanie się z ludźmi takimi jak Ian Hamilton, którzy sprawowali kontrolę, i takimi jak Mitchell Armbruster, którzy odnosili wielkie korzyści?

Senator uśmiechnął się smutno i powtórzył, że nikt nie zdoła uchylić się przed odpowiedzialnością. On osobiście jednak nie uważa, by dopuścić się jakichś nielegalnych czynów. Ponieważ w tym kraju rządzi, przynajmniej na razie, prawo, jest gotów poddać się jego bezstronnemu osądowi.

Jeśli zaś chodzi o Genessee Industries, to ani Senat, ani Izba Reprezentantów, ani prezydent nie zgodzą się na nic łagodniejszego niż całkowita reforma. Jej przeprowadzenie było absolutnie konieczne. Funkcjonowanie Genessee w ogromnej mierze zależało od zamówień rządowych, co dawało państwu możliwość sprawowania ścisłej kontroli nad korporacją.

Andrew powinien dobrze przemyśleć tę propozycję. Nic nie mówić ani nic nie robić, bo sprawa może okazać się nieaktualna. Takie nagle manewry często wynikały z chwilowej taktyki, nie mając nic wspólnego z dalekosiężną strategią. Jednak Mitchell Armbruster uważał osobiście, że w tym konkretnym przypadku chodzi o coś poważnego.

Odbędą się jeszcze inne spotkania i rozmowy.

Tak też się stało.

Miejscem pierwszego spotkania była Villa d'Este w Georgetown, a ściśle rzecz biorąc, prywatny gabinet na piątym piętrze. Zebrało się tam siedmiu mężczyzn, członków tej samej partii – z wyjątkiem senatora Alana Knappa. Przewodnictwo objął senator Alton Weeks z Marylandu, ubrany w ten sam sweter, w jakim Trewayne zapamiętał go z przesłuchania.

–Panowie, nasze spotkanie ma wyłącznie charakter informacyjny. Nie wiem jak wam, ale mnie na pewno przydałoby się nieco wyjaśnień... Senator Knapp, który znalazł się wśród nas, idąc za głosem swego nie uznającego podziałów sumienia, pragnie wygłosić oświadczenie, a następnie zostawić nas samych. Oczywiście nie muszę nadmieniać, że uzyskane od niego informacje należy traktować jako ściśle poufne.

Knapp oparł dłonie na pokrytej zielonym suknem powierzchni stołu i pochylił się

nieco do przodu.

–Dziękuję, senatorze... Panowie, mój dobry przyjaciel i kolega z drugiego końca sali, Mitchell Armbruster – Knapp uśmiechnął się zdawkowo do siedzącego obok niego Armbrustera – zaprosił mnie na to spotkanie w odpowiedzi na pewne pytanie, jakie mu zadałem. Jak z pewnością wszyscy zauważyliście, w kuluarach aż huczy od plotek na temat jakiegoś oświadczenia niezwyklej wagi, którego podobno należy się lada chwila spodziewać. Kiedy dowiedziałem się nieco szczegółów na ten temat, uznałem, że powinniście wiedzieć o małym dramacie rozgrywającym się w naszej części sali. Otóż, panowie, wydarzenia potoczyły się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku, co może wyrzucić poważny wpływ na waszą dyskusję tego wieczoru. Mówię wam o tym nie tylko dlatego, że pragnę wznieść się ponad partyjne podziały, lecz przede wszystkim dlatego, że podobnie jak wy troszczę się o pomyślność naszego kraju, szczególnie w tych trudnych czasach... Otóż jest wysoce prawdopodobne, że urzędujący obecnie prezydent nie będzie ubiegał się o powtórny wybór.

W gabinecie zapadła martwa cisza, następnie zaś spojrzenia mężczyzn siedzących przy stole skierowały się na jednego człowieka: Andrew Trewayne'a.

Wkrótce potem Knapp opuścił gabinet, zebrani zaś przystąpili do przesłuchiwania Trewayne'a.

Zajęło im to niemal pięć godzin.

Drugie spotkanie trwało krócej – zaledwie półtorej godziny – ale było znacznie bardziej niezwykle. Wziął w nim udział zbliżający się do wieku emerytalnego senator ze stanu Connecticut o niezbyt błyskotliwej przeszłości, ale za to sporych apetytach. Oznajmił, że podjął decyzję o wycofaniu się z czynnego życia politycznego. Kierował się wyłącznie względami finansowymi. Zaproponowano mu posadę prezesa dużej firmy ubezpieczeniowej -odmawiając, postąpiłby nieuczciwie wobec swojej rodziny.

Gubernator Connecticut był gotów mianować Trewayne'a na opuszczone stanowisko, pod warunkiem jednak, że Andrew niezwłocznie wstąpi do jego partii. „Niezwłocznie” oznaczało w tym przypadku nie później niż za miesiąc. Przed piętnastym stycznia.

Zdobywając miejsce w Senacie, Trewayne znajdzie się w centrum ogólnonarodowego zainteresowania, zyskując w ten sposób polityczną odskocznnię do dalszej działalności.

Oczywiście zdarzało się to już wcześniej, tyle że ludziom mniejszego kalibru. Nadzwyczajny człowiek mógł zbić w ten sposób nadzwyczajny kapitał. Dysponował przygotowanym audytorium, miał możliwość jasnego i precyzyjnego określenia swojego stanowiska, mógł łatwo trafić do ludzkich serc i umysłów.

Po raz pierwszy Andrew stanął twarzą w twarz z zupełnie realną ewentualnością. To było możliwe.

A co z jego przekonaniami? Czy naprawdę wierzy w to, co tak chętnie głosił, to znaczy w zasadę zysku i strat oraz konieczność dokonywania niezależnej oceny sytuacji? Czy naprawdę wierzy, że wystarczy wyzwolić ducha demokracji spod wpływów takich tworów jak Genessee Industries, i czy starczy mu sił, by pokierować

**tą wyzwoloną demokracją? Czy uda mu się narzucić siłę swoich przekonań silnemu i bezwzględnemu przeciwnikowi?**

**Podczas spotkania w Villa d'Este przypomniano jego dokonania z okresu pracy w Departamencie Stanu, w tym także konferencję w Czechosłowacji, kiedy doprowadził do porozumienia pozornie zwaśnionych już na zawsze stron.**

**Jednak Andy wiedział, że to nie była prawdziwa próba.**

**Prawdziwą próbą miało okazać się dopiero starcie z Genessee Industries.**

**Czy mógł sam, własnymi rękami, rzucić Genessee na kolana? Pragnął poddać się tej próbie. Potrzebował jej.**



## Rozdział 43

Kiedy generał Lester Cooper wszedł do małego pokoju w Arlington, Paul Bonner wyprężył się na baczność. Cooper uniósł ręką, ale nie był to salut, lecz tylko znużony gest oznaczający: spocznij, wolno usiąść.

–Nie zostanę długo, majorze. Zaraz mam zebranie w sprawie braków w budżecie. Wciąż te kłopoty z pieniędzmi, co majorze?

–Odkąd tylko pamiętam, panie generale.

–Tak... Tak. Proszę siadać. Ja postoję, bo siedziałem cały dzień. I przez większość minionego weekendu. Byłem na naszej farmie w Rutland. Zimą jest tam czasem jeszcze ładniej niż w lecie. Powinien pan nas kiedyś tam odwiedzić.

–Z przyjemnością.

–Tak... My też bylibyśmy bardzo zadowoleni.

Paul usiadł na krześle przy prostym metalowym biurku, pozostawiając generałowi jedyny fotel. Jednak Cooper rzeczywiście nie miał zamiaru usiąść. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, podekscytowanego, a jednocześnie niezbyt pewnego siebie.

–Domyślam się, że nie przynosi mi pan dobrych nowin, generale?

–Przykro mi, majorze. – Cooper zacisnął usta i spojrzał na Paula ze zmarszczonymi brwiami. – Jest pan dobrym żołnierzem i zrobimy dla pana wszystko, co tylko możliwe. Przypuszczamy, że zostanie pan oczyszczony z zarzutu o dokonanie morderstwa...

Bonner uśmiechnął się.

–To nawet nie najgorsza wiadomość.

–Dziennikarze, a szczególnie ten kutas Bruce, przestali domagać się pańskiej głowy.

–Cieszę się. Co się stało?

–Nie wiemy i nie bardzo mamy ochotę pytać. Niestety, to i tak nie będzie miało większego znaczenia.

–W jakiej sprawie?

Cooper podszedł do małego okienka wychodzącego na dziedziniec koszar.

–Rozprawa, podczas której zostanie pan uniewinniony, odbędzie się przed sądem cywilnym, choć z udziałem naszych obrońców. Nie zmienia to jednak faktu, że podlega pan także orzecznictwu sądu wojskowego. Podjęto decyzję, że zostanie pan przed nim postawiony tak szybko, jak tylko będzie możliwe.

–Co takiego? – Bonner podniósł się powoli z krzesła. Mięśnie karku miał tak napięte, że opatrunek wrzynał mu się głęboko w szyję. – Na jakiej podstawie? Nie mogę być dwa razy sądzony w tej samej sprawie! Przecież sam pan powiedział, że zostanę uniewinniony!

–Jeśli chodzi o morderstwo, ale nie o poważne zaniedbanie obowiązków służbowych i niepodporządkowanie się poleceniom przełożonych – odparł Cooper, wciąż patrząc przez okno. – Nie miał pan prawa znaleźć się tam, gdzie się pan znalazł, majorze. Mógł pan narazić na niebezpieczeństwo zarówno Trevayne'a, jak i jego służącą, a w dodatku naraził pan na szwank dobre imię armii Stanów Zjednoczonych.

**–To jakieś cholerne bzdury!**

**Cooper odwrócił się raptownie i spojrzał na Bonnera.**

**–To cholerna prawda, żołnierzu! Prosta i oczywista. Modłę się, żeby tylko udało nam się udowodnić, że naprawdę do pana strzelano. Dzięki temu można by całą resztę uznać za działanie w obronie własnej.**

**–Jest przecież nasz służbowy samochód.**

**–Właśnie: nasz służbowy samochód. Nie Trevayne'a albo kogoś innego. Do licha, Bonner, czy pan naprawdę tego nie rozumie? Poruszył pan kamyk, który pociągnął za sobą całą przekłętą lawinę. Armia nie może pozwolić sobie na coś takiego.**

**Paul wpatrywał się bez mrugnięcia okiem w twarz generała.**

**–Nie spodziewałem się, że to właśnie pan zechce babrać się w tych gównianych szczegółach, generale.**

**–Wcale nie jestem tym zachwycony. Oczywiście z pańskiego punktu widzenia sprawa może przedstawiać się nieco inaczej... Pozwolę sobie jednak zauważyć, że nikt nie kazał mi przyjść dzisiaj do pana.**

**Bonner wiedział, że generał mówi prawdę. Dla wszystkich, naturalnie z wyjątkiem niego, byłoby znacznie lepiej, gdyby Cooper pozostawił go jego własnemu losowi.**

**–Dlaczego więc pan to zrobił?**

**–Ponieważ przeszedł pan już wystarczająco wiele. Zasługuje pan na coś lepszego niż to, co pana spotyka. Chcę, żeby pan wiedział, że ja o tym wiem. Bez względu na ostateczny rezultat zatroszczę się o to, żeby... żeby mógł pan w każdej chwili odwiedzić pewnego emerytowanego oficera mieszkającego na farmie w Rutland.**

**A więc Cooper naprawdę odchodzi – pomyślał Paul. Dowódca już nie dowodził, tylko zawierał ostatnie umowy.**

**–Co oznacza, że uchroni mnie pan przed więzieniem?**

**–Obiecuję to panu. Otrzymałem gwarancje, że nie spadnie panu włos z głowy.**

**–Ale będę musiał pożegnać się z mundurem?**

**–Tak. Bardzo mi przykro, ale znaleźliśmy się w bardzo delikatnej sytuacji. Musimy ściśle trzymać się przepisów. Żadnych odstępstw. Nie możemy sobie pozwolić na to, by ktokolwiek poddawał w wątpliwość nasze intencje, a już na pewno nie ma mowy o tuszowaniu poważnych wykroczeń.**

**–Znowu te bzdury, generale. Proszę mi wybaczyć, ale nigdy nie był pan w tym zbyt dobry.**

**–Nie szkodzi, majorze. Na pewno się starałem, szczególnie przez ostatnie siedem albo osiem lat, ale szło mi coraz gorzej. Czasem lubię pomyśleć, że to jedna z niewielu dobrych cech nas, ludzi starej daty.**

**–A teraz daje mi pan jednoznacznie do zrozumienia, że armia chce mnie jak najszybciej upchnąć gdzieś w kącie. Usunąć z pola widzenia.**

**Cooper opadł ciężko na fotel i wyciągnął przed siebie nogi, przybierając pozę oficera odpoczywającego w namiocie na polu bitwy.**

**–W najciemniejszym kącie, majorze. Tak, żeby nikt pana nie znalazł. Chętnie wysłałiby pana gdzieś za granicę, co osobiście również bym panu radził. Najlepiej, żeby wyjechał pan zaraz po rozprawie przed sądem wojskowym.**

–Boże! Wszystko zostało już zaprogramowane, prawda?

–Istnieje jeszcze jedna możliwość, Bonner. Wczoraj, kiedy stałem na trawniku przed swoim domem na wsi, wydała mi się bardzo zabawna.

–Jaka to możliwość?

–Kto wie, czy nie otrzyma pan odpuszczenia grzechów od samego prezydenta. Akt najwyższej łaski, tak to się chyba teraz nazywa. I co, czy to nie zabawne?

–W jaki sposób?

Generał brygady Lester Cooper dźwignął się z fotela i ponownie podszedł do okna wychodzącego na dziedziniec koszar.

–Andrew Trewayne – powiedział cicho.

Robert Webster nie pożegnał się z nikim z tej prostej przyczyny, że nikt, z wyjątkiem prezydenta i szefa personelu Białego Domu, nie wiedział o jego odejściu. Im szybciej, tym lepiej.

W biuletynie prasowym znajdzie się wiadomość, że Robert Webster z Akron w Ohio, od trzech lat osobisty asystent prezydenta, z powodów zdrowotnych zrezygnował z pełnionej funkcji. Biały Dom z żalem przyjął jego dymisję i życzy mu wszystkiego najlepszego.

Rozmowa z prezydentem trwała dokładnie osiem minut. Wychodząc z Pokoju Lincolna, czuł na plecach ciężkie spojrzenie pierwszego człowieka w państwie.

Pierwszy człowiek w państwie nie uwierzył w ani jedno jego słowo. A czemu miałyby uwierzyć? Nawet prawda wydawała się marnym zmyśleniem.

Przeciskające się z trudem przez gardło Webstera słowa mówiły o autentycznym wyczerpaniu, ale nie ulegało wątpliwości, iż za nimi kryje się coś więcej, coś bardzo pustego i fałszywego.

–Może to tylko chwilowy kryzys, Bobby – zasugerował prezydent. – Czemu nie weźmiesz urlopu? Za kilka tygodni na pewno poczujesz się znacznie lepiej. Zdaję sobie sprawę, że napięcie staje się trudne do wytrzymania.

–Bardzo panu dziękuję, panie prezydencie, ale nie skorzystam z pańskiej propozycji – odparł. – Podjąłem już decyzję. Chciałbym, aby była ostateczna, oczywiście za pańską zgodą. Mojażona nie czuje się tu szczęśliwa... ani ja, jeśli mam być szczery. Postanowiliśmy powiększyć rodzinę, ale nie tu, w Waszyngtonie... Chyba zbyt daleko odleciałem od gniazda, panie prezydencie.

–Rozumiem... Tak więc pragniesz wrócić na prowincję, wychowywać dzieci i znowu móc spokojnie wychodzić wieczorem na ulicę, czy tak?

–Wiem, że to brzmi bardzo staroświecko, ale to prawda.

–Wcale nie staroświecko, Bobby. Tak właśnie wygląda Wielkie Amerykańskie Marzenie. Dzięki swoim umiejętnościom umożliwiłeś jego urzeczywistnienie milionom ludzi. Nie widzę żadnego powodu, dla którego i ty nie mógłbyś go zrealizować.

–To bardzo szlachetne z pana strony...

–Wcale nie. Zasłużyłeś sobie na to. Na pewno masz już około czterdziestki...

–Czterdzieści jeden, panie prezydencie.

–Czterdzieści jeden lat i wciąż bez dzieci...

–Nie było czasu.

–Tak, oczywiście. Nie było czasu. Pracowałeś z wielkim oddaniem, Bobby. Ty i twoja uroczą żonę.

Wtedy właśnie Webster zorientował się, że prezydent pokpiwa sobie z niego. Nigdy nie lubił jego żony.

–Rzeczywiście, wiele mi pomogła. – Czuł, że jest jej to winien, choć była samolubną suką.

–Powodzenia, Bobby. Nie życzę ci szczęścia, bo go chyba nie potrzebujesz. Zawsze potrafiłeś dać sobie radę.

–Pracując tutaj, miałem znacznie ułatwione zadanie. Otwierały się przede mną drzwi, które przed innymi pozostawały zamknięte. Pragnę panu za to serdecznie podziękować, panie prezydencie.

–Miło mi... A skoro już o tym mowa, to zdaje się, że przy głównym wejściu mamy obrotowe drzwi, prawda?

–Proszę?

–Nie, nic. To nic ważnego. Do widzenia, Bobby.

Robert Webster załadował osobiste rzeczy do samochodu stojącego na zachodnim parkingu i usiadł za kierownicą. Trochę niepokoiła go zagadkowa uwaga prezydenta, ale jednocześnie odczuwał ogromną ulgą na myśl o tym, że nie musi się nad nią zastanawiać. Nic go to nie obchodziło. Już nigdy nie stanie przed koniecznością analizowania tajemniczych wypowiedzi, którymi prezydent sypał jak z rękawa szczególnie wtedy, kiedy na horyzoncie pojawiał się jakiś poważny problem. To było coś więcej niż ulga: poczucie całkowitej swobody. Nareszcie uwolnił się od tego wszystkiego.

Boże, co za wspaniałe doznanie!

Zahamował przy bramie i machnął ręką strażnikowi. Ostatni raz. Jutro rano strażnicy zostaną poinformowani, że Robert Webster nie jest już pracownikiem Białego Domu, a jego plastikowa karta identyfikacyjna z wyraźną fotografią i opisem cech charakterystycznych, służąca jednocześnie jako przepustka, traci ważność. Nawet oni z pewnością będą zadawać pytania. Webster był zawsze uprzejmy i nigdy nie okazywał wyższości ludziom zatrudnionym na mniej ważnych stanowiskach. Zabezpieczał się w ten sposób na wypadek sytuacji, kiedy będzie potrzebował pomocy wykraczającej nieco poza ramy regulaminu, na przykład przy podbijaniu karty – korzystał z tego rodzaju usług dość często, tłumacząc zwykle, że chodzi o szybkiego drinka lub o uniknięcie spotkania z jakimś wyjątkowo nudnym sukinsynem. Strażnicy chętnie szli mu na rękę, choć nigdy nie rozumieli, dlaczego taka szychta jak Robert Webster w ogóle zaprzęta sobie głowę zapisem czasu pracy. Nie przywiązywali jednak do tego znaczenia. Cóż, oni mieli niezapowiedziane kontrole, on spotkania z nudnymi sukinsynami. Poza tym zdobywał dla nich autografy różnych ważnych osób.

Ile było takich niezarejestrowanych wyjść? Jak często zyskiwał w ten sposób bezcenne minuty na przekazanie wiadomości, których nie powinien znać, a tym bardziej dzielić się nimi z kimś spoza wąskiego kręgu wtajemniczonych?

Łącznik.

**Na etacie Genessee Industries.**

**A teraz już po wszystkim. Łącznik zakończył działalność.**

**Pędził przed siebie Pennsylvania Avenue, nie zwracając uwagi na sunącego za nim szarego pontiaca.**

**Kierowca pontiaca zwrócił się do swego towarzysza.**

**–Jedzie za szybko. Może zarobić mandat.**

**–Tylko go nie zgub.**

**–Dlaczego? Przecież to i tak nie ma znaczenia.**

**–Dlatego, że tak powiedział Gallabretto! Musimy mieć go cały czas na oku, wiedzieć, z kim się spotyka.**

**–Kretyńska robota, z nikim się nie spotka, dopóki nie dojedzie do Akron w Ohio. Łatwo go tam znajdziemy.**

**–Jeśli Willie Gallabretto kazał nam go śledzić, to będziemy go śledzić. Poprzednio pracowałem dla wuja Williego. Chyba wiesz, co się z nim stało?**

**Ambasador William Hill potrząsała przed oprawioną w drewniane ramy karykaturą wiszącą na ścianie jego gabinetu. Przedstawiała ona chudego jak patyk ambasadora w charakterze lalkarza dzierżącego w dłoniach nici, do których były przywiązane małe, lecz łatwe do rozpoznania marionetki kilku poprzednich prezydentów i sekretarzy stanu. Lalkarz uśmiechał się zadowolony, że marionetki posłusznie tańczą zgodnie z jego wolą w takt muzyki, której powiększony zapis nutowy unosił się nad jego głową.**

**–Czy wie pan, panie prezydencie, że dopiero w rok po opublikowaniu tej karykatury dowiedziałem się, że to nuty *Słodkiej różyczki*?**

**Prezydent roześmiał się uprzejmie. Siedział na swoim zwykłym miejscu, które zajmował podczas odwiedzin u ambasadora, to znaczy w przepastnym skórzanym fotelu.**

**–A więc pański przyjaciel rysownik potraktował nas bardzo surowo, dodając lekceważenie do zniewagi. O ile dobrze pamiętam, ostatnie słowa tej piosenki brzmią następująco: *...bo w końcu i tak nic z nich nie zostanie*.**

**–To było wiele lat temu, kiedy jeszcze nawet nie zasiadał pan w Senacie. Poza tym pana na pewno nie odważyłby się sportretować. – Hill odwrócił się od obrazka, podszedł do fotela i usiadł naprzeciwko prezydenta. – Natomiast, o ile ja dobrze pamiętam, tu właśnie siedział Trevayne, kiedy gościł u mnie ostatnim razem. Może w ten sposób przechwycę telepatycznie jego myśli.**

**–Jest pan pewien, że nie tutaj? Mnie wtedy nie było.**

**–Na pewno nie. Jak każdy, kto wcześniej miał okazję przebywać z na mi dwoma w tym gabinecie, unikał pańskiego miejsca. Przypuszczalnie nie chciał sprawiać wrażenia zbyt pewnego siebie.**

**–Wygląda na to, że wyleczył się już z chorobliwej skromności... Prezydent przerwał w pół zdania, gdyż zadzwonił telefon stojący na stole pełniącym także funkcję biurka.**

**–Doskonale, panie Smythe. Przekażę mu. Dziękuję.**

**Hill odłożył słuchawkę.**

–Jack Smythe? – zapytał prezydent.

–Tak. Robert Webster wraz z żoną odlecieli do Cleveland. Prosił, żebym pana o tym poinformował.

–To dobrze.

–Czy mogę wiedzieć, co to znaczy?

–Naturalnie. Ktoś śledził Bobby'ego od chwili, kiedy dwa dni temu wyjechał za bramę Białego Domu. Niepokoilem się o niego... i byłem też trochę zaintrygowany, ma się rozumieć.

–Wygląda na to, że nie pan jeden.

–Prawdopodobnie z tego samego powodu. Wywiad zidentyfikował jednego ze śledzących go ludzi jako zawodowca w tym fachu – „cień”, tak to się chyba nazywa w komiksach. Wątpię, żeby mógł zameldować swoim pracodawcom coś więcej niż nasi ludzie. Webster z nikim się nie spotykał ani nie rozmawiał, jeśli nie liczyć pracowników firmy zajmującej się przeprowadzkami.

–Nie dzwonił do nikogo?

–Na lotnisko, żeby zarezerwować bilety, i do brata w Cleveland. Ma zawieźć ich do Akron... Aha, i jeszcze do chińskiej restauracji – niezbyt dobrej, nawiasem mówiąc.

–W dodatku prawdopodobnie pełnej Chińczyków. – Hill roześmiał się cicho. – Wie coś o sprawie Trevayne'a?

–Nie mam pojęcia. Na pewno przed czymś ucieka. Możliwe, że powie dział mi prawdę. Może rzeczywiście wypuścił się za daleko z gniazda i ugiął się pod ciężarem obowiązków?

–Nie wierzę. - Hill wyprostował się w fotelu i pochylił swoje chude ciało nad stołem. – A co z Trevayne'em? Chce pan, żebym zaprosił go na pogawędkę?

–Och, Billy! Ty i to twoje upodobanie do zabawy marionetkami... Wpadłem, żeby sobie z tobą spokojnie porozmawiać przy dobrym drinku, a ty bez przerwy mówisz o interesach!

–Uważam, że to bardzo ważne interesy, panie prezydencie. Może nawet najważniejsze. Mam do niego zadzwonić?

–Nie. Jeszcze nie. Chcę się przekonać, jak daleko się posunie, do jakiego stopnia dał się opanować gorączce.

## Rozdział 44

–Kiedy ci to zaproponowali? – zapytała Phyllis Trewayne, wpychając pogrzebaczem gruby kawałek drewna do kominka w domu w High Barnegat.

–Nieco ponad trzy tygodnie temu – odparł Andy. Ze swego miejsca na kanapie bez trudu dostrzegł grymas bólu, który przemknął przez twarz żony. – Powinienem być powiedzieć ci wcześniej, ale nie chciałem cię niepokoić.

Armbruster nie wykluczył możliwości, że jest to tylko... akt politycznej desperacji.

–Potraktowałeś ich serio?

–Oczywiście, że nie. Przynajmniej na początku. Właściwie wyrzuciłem Armbrustera z biura, a przy okazji oskarżyłem go o mnóstwo brzydkich rzeczy. Twierdził, że reprezentuje poglądy narodowego komitetu i że sam nie był przekonany do tego pomysłu, ale ostatnio zaczął się z nim coraz bardziej oswajać.

Phyllis odwiesiła pogrzebacz i spojrzała na męża.

–Uważam, że to szaleństwo. Ktoś próbuje w ten sposób coś osiągnąć, a ja dziwię się, że posunąłeś się aż tak daleko.

–Wyłącznie dlatego, że jak na razie nikt nie zaproponował, żeby wprowadzić jakiegokolwiek zmiany do raportu. To właśnie najbardziej mnie intryguje. Cały czas czekam, żeby ktoś choćby zająknął się na ten temat, żebym mógł wylać mu na głowę kubek zimnej wody i umyć od wszystkiego ręce, ale jak dotąd nikt się nie wychylił.

–A ty poruszałeś ten temat?

–Wiele razy. Powiedziałem wprost senatorowi Weeksowi, że może znaleźć się w kłopotliwej sytuacji, ale on tylko wycelował we mnie ten swój patrycjuszowski nos i odparł, że... – Andy wykrzywił usta, imitując sposób mówienia senatora -... jest gotów udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania postawione przez podkomisję, lecz jest to zupełnie inna sprawa, nie

związana z zasadniczym tematem naszej rozmowy.

–Odważny człowiek... Ja jednak ciągle nie rozumiem, dlaczego właśnie ty? I dlaczego teraz?

–Może nie jest to dla mnie powód do chwały, ale wygląda na to, że chwilowo nie ma nikogo innego. Tak w każdym razie wynika z badań opinii publicznej. „Żadnych poważnych kontrkandydatów na horyzoncie politycznym” – tak mi powiedzieli. Cięższe kategorie wagowe niemal w całości przechodzą na emeryturę, a młodszy nie zdążyli jeszcze osiągnąć odpowiedniej masy albo mają wiecznie za ciasno w spodniach, albo są Żydami, Murzynami

mi, Latynosami lub kimś innym, kogo nie jest w stanie zaakceptować nasze kochające demokrację społeczeństwo. Pieprzenie, jak by powiedział Paul Bonner.

Phyllis podeszła powoli do kanapy, zatrzymując się po drodze, by wyjąć papierosa z pudełka leżącego na stoliku do kawy. Andy podał jej ogień.

–Ale mimo wszystko rozsądne – zauważyła, siadając obok męża.

–Słucham?

–Oni mają rację. Doszłam do tych samych wniosków.

–Nie wiedziałem, że jesteś autorytetem w tej dziedzinie.

–Proszę nie robić sobie złudzeń, panie... Jak cię nazwał tamten okropny

**człowiek?... Aha: panie nieprzyjemny. Od wielu lat nie opuściłam żadnych wyborów.**

**Trevayne roześmiał się.**

**–Prorokini z High Barnegat. Może zaczniesz ogłaszać się w prasie?**

**–Chwilowo jeszcze nie. Po prostu mam sprawdzony system: bierzesz nazwisko kandydata i stawiasz przed nim słowo „prezydent”. Od razu wszystko staje się jasne, bo albo pasuje, albo nie. Kłopot miałam tylko raz, w sześćdziesiątym ósmym. Nie pasowało do nikogo.**

**–Ale wtedy udało się osiągnąć consensus.**

**–Naturalnie, sprawa staje się znacznie trudniejsza, jeśli pojawia się jakiś beneficjent; wtedy pozostaje tylko rzucanie monety. Skoro już jesteśmy przy tym temacie... Człowiek, który obecnie zajmuje to stanowisko, wydaje się zupełnie w porządku. Odniosłam nawet wrażenie, że go lubisz.**

**–Nie będzie ubiegał się o ponowny wybór.**

**Spokój, który Phyllis narzuciła sobie z dużym trudem, prysł jak bańka mydlana. Spojrzała ostro na męża.**

**–Nie powiedziałeś mi tego.**

**–Jest jeszcze wiele rzeczy, o których ci nie.**

**–Od tej powinienesz być zacząć.**

**Trevayne zrozumiał. Gra przestała być tylko grą.**

**–Przepraszam. Staralem się uszeregować wydarzenia według ich chronologii.**

**–Spróbuj uszeregować na podstawie ich znaczenia.**

**–W porządku.**

**–Nie jesteś politykiem, tylko biznesmenem.**

**–Obawiam się, że ani jednym, ani drugim. Interesy, jakie prowadzę, mają drugorzędne znaczenie. Przez ostatnich pięć lat pracowałem niemal wyłącznie dla Departamentu Stanu i jednej z największych fundacji na świecie. Gdybyś chciała przykleić mi jakąś etykietkę, to chyba najlepsza byłaby z napisem „funkcjonariusz publiczny”.**

**–Nieprawda! Dorabiasz teorię do faktów.**

**–Hej, Phyl... Przecież nie kłócimy się, tylko rozmawiamy.**

**–Rozmawiamy? Nie, Andy. Ty rozmawiałeś przez ostatnie trzy tygodnie. Tyle że nie ze mną, ale z obcymi ludźmi.**

**–Już ci powiedziałem. Sprawa była za mało sprecyzowana, żeby budzić bardziej konkretne nadzieje... lub obawy.**

**–A teraz coś się zmieniło?**

**–Nie jestem pewien. Po prostu wydaje mi się, że nadszedł czas, by o tym pomówić... Niestety, odnoszę wrażenie, że straciłem twój głos.**

**–Z całą pewnością.**

**–Niezła heca. Chyba pierwszy taki przypadek w historii.**

**–Andy, bądź poważny. Ty nie jesteś... nie jesteś... – Phyllis zawahała się, nie bardzo wiedząc, jak powinna sformułować myśli. Była pewna jedynie swoich uczuć.**

**–Nie jesteś odpowiednim materiałem na prezydenta – łagodnie dokończył za nią Trevayne.**



–Nie powiedziałam tego. Nawet tego nie pomyślałam. Nie jesteś... politycznym zwierzęciem.

–Podobno to właśnie powinno mi się liczyć na korzyść, choć nie bardzo wiem, co właściwie znaczy.

–To, że nie jesteś ekstrawertykiem. Nie jesteś człowiekiem, który przepycha się przez tłum, ściskając setki rąk, który wygłasza dziesięć przemówień dziennie, zwraca się do gubernatorów i kongresmenów po imieniu, choć nigdy wcześniej nie widział tych ludzi na oczy. Ty w takich sytuacjach zawsze czujesz się nieswojo, a dla kandydatów to chleb powszedni!

–Zastanawiałem się już nad tym. Masz rację, nie lubię takich... sytuacji. Ale może jednak są potrzebne, może uczestnicząc w nich, udowadniasz, że stać cię na coś więcej niż tylko na podpisywanie dokumentów i podejmowanie ważnych decyzji.

Może zyskujesz w ten sposób siły witalne – tak w każdym razie twierdził Truman.

–Mój Boże... – szepnęła Phyllis, nawet nie starając się ukryć przerażenia. – Ty naprawdę mówisz poważnie!

–Cały czas usiłuję dać ci to do zrozumienia... W poniedziałek będę wiedział znacznie więcej. Umówiłem się na spotkanie z Greenem i Hamiltonem. Możliwe, że sprawa weźmie w łeb i nie będzie żadnego problemu.

–Potrzebujesz ich poparcia? Zależy ci na nim? – W głosie kobiety było wyraźnie słyhać odrazę.

–Oni nie poparliby mnie nawet wtedy, gdyby drugim kandydatem był Mao Tse-tung... Nie, Phyl. Chcę się przekonać, jak dużo sam mogę osiągnąć.

–Niech i tak będzie, Wróćmy jednak do głównego tematu, to znaczy spróbujmy wyjaśnić, dlaczego Andy Trevayne nagle doszedł do wniosku, że powinien objąć tak wysoki urząd.

–Nie możesz powiedzieć tego głośno, Phyl? Nazywa się to prezydenturą.

–Nie, nie mogę. To słowo przeraża mnie.

–Z czego wynika, że nie chcesz, bym posunął się dalej.

–Nic nie rozumiesz. Dlaczego miałbyś to zrobić? Przecież nie ma w tobie tak wielkiej próżności. Owszem, jesteś bogaty, a bogactwo często lubi pochlebstwa, ale ty zbyt mocno stoisz obiema nogami na ziemi. Doprawdy, wprost nie mogę w to uwierzyć!

–Ja też nie mogłem, kiedy po raz pierwszy zorientowałem się, że zaczynam uważnie słuchać. – Trevayne roześmiał się, chyba przede wszystkim po to, by dodać sobie animuszu, i położył nogi na stoliku do kawy. – Początkowo słuchałem Armbrustera i chodziłem na spotkania, gdyż przypuszczałem, że prędzej czy później wypłynie na powierzchnię główny temat, czyli mój raport. Byłem z tego powodu wściekły jak cholera. Potem jednak zrozumiałem, że im wcale o to nie chodzi. Zachowywali się jak profesjonaliści, nie jak przerażeni złodzieje przyłapani na gorącym uczynku. Są prawdziwymi łowcami talentów, co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Kiedy nasza firma rosła w błyskawicznym tempie, poświęcałem mnóstwo czasu na wyszukiwanie i kupowanie najlepszych umysłów dostępnych na rynku. Pamiętam o tym do dzisiaj. Nawet teraz, kiedy spotykam kogoś rokującego

znaczną nadzieję, podświadomie notuję sobie w myśli jego dane, żeby przekazać je twojemu bratu. Ci ludzie robią to samo, co ja robiłem... i w dalszym ciągu robię. Tyle że na znacznie większą skalę, a z tym wiążą się także większe komplikacje. Jeśli w ciągu pierwszych kilku miesięcy powinie mi się noga, wyszarpną spode mnie chodnik tak szybko, że będę miał na stopach poparzenia pierwszego stopnia. Mimo to pomału dochodzę do wniosku, że chyba warto spróbować.

–Nie wyjaśniłeś, dlaczego.

Trevayne zdjął nogi ze stolika, wstał z kanapy, wbił ręce w kieszenie spodni i zaczął w zamyśleniu przechadzać się po dywanie, stawiając stopy jedynie na określonych elementach wzoru jak chłopiec, który idąc po chodniku, stara się nie stanąć na łączeniu płyt.

–Ty naprawdę chcesz wszystko wiedzieć, prawda?

–A nie powinnam? Przecież cię kocham. Kocham życie, jakie prowadzimy, i dzieci, które razem wychowaliśmy. Wydaje mi się, że to wszystko może ulec zniszczeniu, więc jestem śmiertelnie przerażona.

Andy spojrzał łagodnie na żonę. Jego zasnute lekką mgłą oczy świadczyły jednak o tym, że patrząc na nią, myśli jednocześnie o czymś innym.

–Ja chyba też... Ale dlaczego? W porządku, najpierw „dlaczego”. Dlatego że może się okazać, iż potrafię tego dokonać. Nie jestem geniuszem; wiem o tym i nie próbuję się oszukiwać. Przynajmniej nie czuję się jak geniusz, a nawet nie mam pojęcia, jakie to powinno być uczucie. Jednak nie wydaje mi się, żeby sprawowanie tego urzędu wymagało genialnego umysłu. Myślę, że trzeba umieć szybko przyswajać fakty, błyskawicznie podejmować decyzje i znosić ogromne napięcie... a także, może nawet przede wszystkim, słuchać. Odróżniać autentyczne prośby o pomoc od hipokryzji. Przypuszczam, że dałbym sobie radę ze wszystkim z wyjątkiem tego napięcia. Nie znam siebie od tej strony, a przynajmniej nie w takim

stopniu, w jakim jest to konieczne. Ale jeśli udowodnię samemu sobie, że potrafię przeskoczyć tę przeszkodę, a także wszystkie inne, chyba zapragnę przystąpić do walki. Przede wszystkim dlatego, że kraj, który pozwala istnieć takiemu tworowi jak Genessee Industries, potrzebuje pomocy od każdego, kto może jej udzielić. Kiedy Frank Baldwin po raz pierwszy skontaktował się ze mną w sprawie podkomisji, powiedział coś, co wówczas przyjąłem jako żart: że żaden człowiek nie zdoła uniknąć swego przeznaczenia. To bardzo pretensjonalne stwierdzenie i chyba nie do końca prawdziwe, ale jeśli w wyniku splotu różnych okoliczności scena polityczna niemal zupełnie opustoszała, a jeden w miarę porządny człowiek odchodząc z niej, uczyniłby ją całkowicie pustą, to nie wydaje mi się, żebym miał wielki wybór. Nie wydaje mi się, żebyśmy my mieli wielki wybór, Phyl.

Phyllis Trevayne nie spuszczała z męża uważnego, może nawet chłodnego spojrzenia.

–Ale dlaczego wybrałaś... Nie, to przecież nie tak. Dlaczego pozwoliłaś, żeby wybrała cię akurat ta partia, a nie druga? Jeśli prezydent rzeczywiście nie będzie ubiegał się o powtórny kadencję.

–Ze względów praktycznych – przerwał jej Andrew. – Szczerze mówiąc, nie wydaje

mi się, żeby kolor sztandaru, pod jakim startuje się w wyborach, miał jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Obie partie są podzielone. Liczy się wyłącznie człowiek, nie jakieś zawłości republikańskiej albo demokratycznej filozofii. One są już zupełnie nieważne... Prezydent wstrzyma się do ostatniej chwili z ogłoszeniem swojej decyzji. Skierował do Kongresu zbyt wiele ustaw, żeby postąpić inaczej. Potrzebuję tego czasu choćby po to, by przekonać się, ktoś mnie potrzebuje.

Phyllis wpatrywała się w męża z niezmiennym wyrazem twarzy.

–Jesteś gotów wystawić siebie – a przy okazji nas – na takie cierpienia, wiedząc, że wszystko może pójść na marne?

Trevayne dotarł w swej wędrówce do bocznej ceglanej ściany okazałego kominka. Oparł się o nią plecami i spojrzał żonie prosto w oczy.

–Chciałbym mieć na to twoją zgodę... Po raz pierwszy w moim życiu wszystko, w co dotychczas wierzyłem, stanęło w obliczu poważnego zagrożenia, nie mającego jednak nic wspólnego z paradami, sztandarami i konkretnym nieprzyjacielem. Żadnych pozytywnych bohaterów i czarnych charakterów. To tylko powolne, ale niepohamowane ograniczanie swobody wyboru. Jak mawia Bonner: „zaprogramowane”. Choć nie wydaje mi się, żeby naprawdę wiedział, co to znaczy i jakie pociąga za sobą konsekwencje... Tak właśnie się dzieje, Phyl. Ludzie ukryci za szyldem Genessee Industries pragną rządzić krajem, ponieważ są przekonani, że znają się na tym lepiej od przeciętnego wyborcy, a w dodatku dysponują wystarczającą siłą, by kształtować system zgodnie ze swoimi przekonaniem. W różnych biurach, centralach i siedzibach zarządów znajdują się jeszcze setki takich jak oni. Prędzej czy później zetkną się ze sobą i zamiast stać się oficjalną częścią systemu, wchłoną go w całości... Nie mogę się na to zgodzić. Na razie jeszcze nie bardzo wiem, na co mogę, ale na pewno nie na coś takiego. Zaledwie kilka kroków dzieli nas od państwa policyjnego. Chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli.

Trevayne odepchnął się od ściany i zbliżył do kanapy. Uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem do żony, po czym usiadł obok niej.

–To była prawdziwa tyrada – zauważyła łagodnie.

–Wybacz mi. Nie miałem zamiaru przemawiać.

Dotknęła jego dłoni.

–Przed chwilą wydarzyła się okropna rzecz.

–Jaka?

–Postawiłam to słowo przed twoim nazwiskiem... i całość wcale nie wydała się tak bardzo nierealna.

–Na twoim miejscu zająłbym się już urządzaniem Wschodniego Pokoju. Kto wie, czy po moim pierwszym wystąpieniu w Senacie nie będziemy musieli żyć już tylko z procentów.

Phyllis cofnęła z zaskoczeniem rękę.

–Dobry Boże, widzę, że nie marnowałeś czasu! Może wreszcie opowiesz mi o wszystkim na wypadek, gdybym musiała zamówić inne kartki z życzeniami świątecznymi? O co chodzi z tym Senatem?

## Rozdział 45

James Goddard wycofał wóz ze stromego podjazdu, wrzucił bieg i mocno wcisnął pedał gazu. Był krystalicznie czysty niedzielny poranek; zimny wiatr spływał ze wzgórz Palo Alto, niosąc ze sobą falę chłodu. Taki dzień znakomicie nadawał się do podejmowania decyzji. Goddard już to zrobił.

Za godzinę lub dwie wprowadzi ją w życie.

Właściwie decyzja została podjęta za niego. Tamci zamierzali posłać go na hak, ale James Goddard przysiągł sobie, że nie będzie wisiał, bez względu na wszelkie gwarancje i obietnice, jakie z pewnością zostaną mu przedstawione. Nie pozwoli na to. Nie pozwoli, by rozwiążali swoje problemy, kierując ostrze oskarżenia w jego stronę. Nie przyjmie na siebie odpowiedzialności w zamian za pewną sumę pieniędzy przekazaną na jego numeryczne konto w szwajcarskim banku. To byłoby zbyt proste.

Niewiele brakowało, a sam popełniłby ten błąd. Zaangażowanie w historię – historię Genessee – uczyniło go ślepym na fakt, że cały czas żongluje liczbami, które sam stworzył i którymi sam manipulował. Istniał lepszy sposób. Znacznie lepszy.

Liczyby wymyślone przez kogoś innego. Finansowe prognozy, z którymi nie miał żadnego związku.

Dziś był piętnasty grudnia. Za czterdzieści sześć dni będzie trzydziesty pierwszy stycznia, czyli koniec roku finansowego. Wszystkie fabryki, oddziały, filie i montownie Genessee Industries powinny do tego czasu nadesłać swoje roczne sprawozdania – kompletne, uzupełnione, w ostatecznej formie.

Były to zwykłe wykazy przychodów i rozchodów uzupełnione wykazami nabytych środków trwałych oraz danymi dotyczącymi ruchów płac. Tysiące, dziesiątki tysięcy liczb trafiały do komputerów, które wychwytywały ewentualne nieścisłości i wskazywały miejsca wymagające poprawek.

Rezultaty porównywano z ubiegłoroczną prognozą budżetu.

W ekonomicznej stratosferze rządu przejmowała zwykła arytmetyka.

Taśma-matka.

Główny plan.

Co roku perforowana taśma-matka wracała do San Francisco, do najlepiej strzeżonego, tajnego sejfu Genessee. Przylatywała mniej więcej w połowie grudnia prywatnym samolotem z Chicago, zawsze w towarzystwie prezydenta któregoś z oddziałów korporacji, zawsze pod ochroną uzbrojonych strażników.

Każda większa firma musiała rozliczać rzeczywiste obroty w kontekście zaplanowanego na dany rok budżetu, ale rozliczenia Genessee Industries różniły się bardzo od rozliczeń sporządzanych przez inne korporacje.

Podczas gdy tamte podawały do publicznej wiadomości swoje wyniki, finansowe, taśma-matka Genessee zawierała informacje o tysiącach tajnych operacji. Co roku dochodziły nowe, zdumiewające szczegóły, o których wiedziało nie więcej niż dziesięć osób. Najczęściej dotyczyły zbrojeniowych planów Pentagonu, o których nie miał pojęcia ani Kongres, ani prezydent. Plany te jednak istniały naprawdę, dzięki czemu Genessee zyskiwało możliwość sprawowania kontroli nad politykami

uczestniczącymi w ich opracowywaniu i realizacji.

Ponieważ taśma-matka zawierała dane z pięciu lat, każdy rok zwiększał liczbę informacji o jedną piątą, uzupełniając stare i dodając nowe. Nic nigdy nie kasowano. Ruch trwał wyłącznie w jedną stronę.

Zadanie Goddarda, jako finansowej opoki Genessee Industries, polegało na kierowaniu przepływem tego ogromnego, tajnego i jawnego, nowego i starego materiału, w zależności od zmieniającej się sytuacji na rynku. Miał wysyłać fundusze tam, gdzie to było konieczne, i rozdzielać kontrakty, opierając się przy tym na założeniu, że za średnią wydajność każdej fabryki należy uznać sto dwadzieścia procent jej maksymalnej zdolności produkcyjnej. Dzięki temu można było znacznie obniżyć bezrobocie w danym rejonie, nie powodując jednocześnie nadmiernego wzrostu wpływów związków zawodowych. Siedemdziesiąt procent zysków zostawało na miejscu; dzieci przecież muszą mieć się czym bawić.

James Goddard doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie komputery, lecz jego osobiste zdolności sprawiały, iż nieprawdopodobnie wielka masa informacji ulegała przeistoczeniu w konkretne liczby. Analizował, oddzielał i upraszczał; jego oczy przeskakiwały z tabeli na tabelę, z wykresu na wykres, on zaś, niczym stary doświadczony kocur, robił szybko notatki, przerzucając miliony dolarów, jakby to były gałęzie, których wytrzymałość musiał zawsze sprawdzić przed następnym krokiem. Był przygotowany na nagły upadek, lecz jednocześnie spięty do skoku, gdyby znienacka pojawiła się szansa zwielokrotnienia zysku.

Był jedyny w swoim rodzaju. Jak nikt inny potrafił sobie radzić z liczbami. Były jego przyjaciółmi – nigdy go nie zdradziły, on zaś mógł z nimi robić wszystko, na co przyszła mu ochota.

***MEMORANDUM: Pan James Goddard, prez., Oddział San Francisco. Zaistniał problem, którym powinien Pan chyba natychmiast się zająć.***

**L. R. Louis Riggs. Weteran z Wietnamu, zatrudniony przez Genessee w ubiegłym roku. Błyskotliwy młody człowiek, potrafiący szybko podejmować decyzje. Był spokojny, ale nie pozbawiony emocji, a także lojalny. Goddard zdążył się już o tym przekonać.**

**Riggs został ranny podczas wojny. Był bohaterem, a także porządnym młodym Amerykaninem, nie żadnym cynicznym draniem ani naćpanym hipisem, jak większość młodzieży w obecnych czasach.**

**Louis Riggs ostrzegł go, że dzieje się coś, o czym Goddard powinien wiedzieć. Jeden ze współpracowników Trevayne'a zaproponował Riggsowi łapówkę w zamian za potwierdzenie informacji niezwykle groźnych dla Genessee, a szczególnie dla prezydenta oddziału San Francisco. Rzec jasna, Riggs odmówił. Kilka dni później jakiś człowiek, który przedstawił się jako oficer przydzielony do Departamentu Obrony, zagroził mu – zagroził – ujawnieniem tajnych materiałów mogących wyrzucić bardzo niekorzystny wpływ na reputację Goddarda. Riggs ponownie odmówił, a jeśli pan Goddard sobie przypominał, to Louis Riggs przekazał mu wcześniej inne memorandum, prosząc o spotkanie. Niestety, pan Goddard nie pamiętał. Na biurku znajdował codziennie stosy różnych papierów. Kiedy jednak Louis Riggs przeczytał w gazecie, że ten sam oficer był zamieszany w sprawę morderstwa dokonanego w Connecticut, na terenie posiadłości należącej do Andrew Trevayne'a, zrozumiał, że musi natychmiast zobaczyć się ze swoim zwierzchnikiem.**

**Goddard nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ma do czynienia z jakimś spiskiem. Spiskiem przeciwko niemu, prawdopodobnie zawiązanym między Trevayne'em. i Pentagonem. Z jakiego innego powodu Departament Obrony wysyłałby swojego oficera z tą samą sprawą, z którą wcześniej zgłosił się asystent Tre-vayne'a? I dlaczego ten sam oficer zabił Augusta de Spadante?**

**Wreszcie, dlaczego zginął Mario de Spadante?**

**Przypuszczalnie dlatego, że chciał uciec spod haka.**

**Mnóstwo ludzi będzie musiało zawisnąć, ale jest sporo takich, których trzeba będzie ocalić za wszelką cenę.**

**Powiedział to właśnie de Spadante. Widocznie jednak okazało się, że on sam nie był aż tak ważny, jak mu się wydawało. Być może Pentagon uznał go za zbyt wielkie obciążenie – sam Bóg świadkiem, że nie był to przyjemny facet.**

**Wszystko jedno. James Goddard, „pan księgowy”, podjął decyzję. Koniec z rozmyślaniami, nadeszła pora działania. Musiał tylko zdobyć najbardziej obciążającą ze wszystkich informacji.**

**Znajdowała się na prawie jedenastu tysiącach kart o wymiarach mniej więcej dziewięć na siedemnaście centymetrów. Kart o dziwnych, kwadratowych perforacjach. Kart, których nie wolno było zginać, łamać ani związać. Jedenaście tysięcy takich kart powinno zmieścić się w czterech aktówkach. Miał je w bagażniku.**

**Sam komputer stanowił osobny problem. Był duży i wymagał do obsługi dwóch ludzi. Ze względów bezpieczeństwa mogły go uruchomić tylko dwie osoby, stojąc**

przy odległych od siebie stanowiskach i jednocześnie wstukując dwa różne kody. Kody zmieniały się codziennie, przechowywano je zaś w dwóch gabinetach – prezydenta oddziału i głównego księgowego.

Zdobycie drugiego kodu, który miał obowiązywać przez dwadzieścia cztery godziny, poczynając od niedzieli rano, nie nastąpiło Goddardowi żadnych kłopotów. Wszedł po prostu do gabinetu głównego księgowego i powiedział z niewinną miną, iż obawia się, że przez pomyłkę dano im dwa identyczne szyfry. Główny księgowy pośpiesznie wyjął z sejfu swoją kopię; od razu okazało się, że Goddard nie miał racji. Cyfry były różne. Jednak nawet krótka chwila wystarczyła, by Goddard dokładnie je zapamiętał.

Bądź co bądź, cyfry były jego najlepszymi przyjaciółmi.

Pozostawała do rozwiązania sprawa komputera. Potrzebował jeszcze jednego człowieka, który zechce spędzić prawie sześć godzin w pokoju mieszczącym się w podziemiach budynku. Kogoś, komu mógł zaufać, kto zdawał sobie sprawę, że jego działania idą na użytek nie tylko Genessee Industries, ale może nawet niosą dobro całemu krajowi.

Zdziwił się trochę, kiedy jego wybraniec zgłosił żądania finansowe, ale potem doszedł do wniosku, że przecież można było uznać to za awans – za awans, który akurat temu człowiekowi należał się już od dawna. W związku z tym Goddard, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, zatrudnił osobistego asystenta, dając mu jednocześnie podwyżkę w kwocie dziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

Zresztą, to nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, co miał teraz zrobić. Liczyła się tylko podjęta dziś decyzja.

Zatrzymał samochód przed bramą. Strażnik poznał już wcześniej samochód, a teraz, rozpoznawszy także kierowcę, przyłożył dwa palce do daszka czapki.

–Dzień dobry, panie Goddard. Co, tam na górze pracujecie nawet w niedzielę?

Goddardowi nie spodobała się uwaga strażnika. Nie lubił zbędnych poufałości, ale nie miał czasu na udzielanie reprymend.

–Mam sporo do roboty. Aha, poprosiłem pana Riggsa, żeby wpadł mi trochę pomóc. Nie musicie go sprawdzać. Powiedzcie mu, że czekam w swoim gabinecie.

–Pan Riggs?...

–Powinniście go znać. Odniósł rany, walcząc za nasz kraj. Walcząc za was.

–Tak jest, proszę pana. Pan Riggs. – Strażnik zapisał pośpiesznie nazwisko.

–Jeździ małym sportowym wozem – dodał Goddard. – Przepuście go natychmiast, jak się zjawi. Na drzwiach ma swoje inicjały: L. R.

## Rozdział 46

Sam Vicarson zapadł się głęboko w miękką sofę, by stwierdzić z lekkim zażenowaniem, że ma kolana prawie na poziomie uszu. Andrew Trevayne siedział przy małym stoliku, popijając kawę z filiżanki z napisem „Waldorf Towers, Nowy Jork” i przeglądał bardzo gruby, oprawiony w czerwoną skórę notes.

–Jezus, Maria! – stęknął Vicarson.

–Co się stało?

–Nic dziwnego, że organizują tu tyle spotkań. Jak już raz się usiądzie, to nie można wstać, więc nie pozostaje nic innego, jak gadać.

Trevayne uśmiechnął się i zajął ponownie lekturą. Sam wyprostował nogi, ale natychmiast przekonał się, że jest mu jeszcze mniej wygodnie, wstał więc z wysiłkiem i ruszył w wędrówkę po pokoju, przyglądając się reprodukcjom wiszącym na pokrytych welurem ścianach. Potem zainteresował się widokiem z okien, trzydzieści pięć pięter nad Park Avenue i Pięćdziesiątą ulicą. Trevayne zanotował coś na kartce, zamknął notes i spojrzął na zegarek.

–Są już spóźnieni o pięć minut – powiedział. – Nie wiem, Czy w polityce należy odczytać to jako dobry znak.

–Wcale bym się nie zmartwił, gdyby w ogóle nie przyszli – odparł Sam. – To nie moja kategoria. Boże, Ian Hamilton! Przecież on napisał książki, z których się Uczyłem!

–Chyba nie ustawiłbym się w kolejce, żeby je kupić.

–Nie musi pan tego robić, bo w przeciwieństwie do niego nie handluje pań swoim prawniczym doświadczeniem. Ten człowiek obraca się w najwyższych sferach i już dawno stracił kontakt z siermiężną rzeczywistością. Po prostu go nie potrzebuje.

–Bardzo trafna charakterystyka. Czytałeś mój raport.

–Wcale nie musiałem. Jak to powiedział jego chłopak? Że staruszek robi to, co robi, bo uważa, że nikt inny nie zrobiłby tego nawet w połowie tak dobrze.

Z przedpokoju hotelowego apartamentu dobiegł dźwięk gongu. Vicarson odruchowo przyglądził wiecznie zmierzwiłone włosy i zapiął marynarkę.

–Ja otworzę. Może wezmą mnie za lokaja. Nie miałbym nic przeciwko temu.

W opinii Trevayne'a pierwsze dziesięć minut przypominało osiemnastowiecznego kontredansa: uprzejme, grzeczne ruchy wykonywane z ogromną pewnością siebie, zdawkowe, choć zarazem bardzo wymowne. Sam Vicarson radził sobie bardzo dobrze. Młody prawnik z wdziękiem ripostował przesycone zniecierpliwieniem uwagi Aarona Greena, którego najwyraźniej bardzo irytowała obecność Vicarsona.

Hamilton natomiast zdawał się prawie wcale go nie zauważać. Ian Hamilton traktował wszystko w kategoriach walki gigantów; podwładni byli nieważni, gdyż mieli z góry przydzielone miejsca w dalszych rzędach.

–Powinien pan wiedzieć, Trevayne, że przeżyliśmy gorzkie rozczarowanie, kiedy pańscy przyjaciele z komitetu narodowego poinformowali nas o swojej decyzji – powiedział Hamilton.

–Myślę, że właściwszym określeniem byłby „głęboki wstrząs” – dodał Green swoim mocnym, dźwięcznym głosem.



–Owszem, chętnie porozmawiam o reakcji panów – odparł spokojnie Trevayne. – Na samym początku muszę jednak wyjaśnić pewną sprawę: otóż to nie są moi przyjaciele. Szczerze mówiąc, uważałem ich za waszych przyjaciół...

Hamilton uśmiechnął się, po czym skrzyżował ramiona, założył nogę na nogę i niczym uosobienie elegancji zapadł się w miękkie poduszki sofy. Aaron Green wybrał fotel o twardym oparciu stojący obok Trevayne'a, Sam Vicarson usiadł zaś nieco poza trójkątem, po prawej stronie Andy'ego, ale tak, by nie zasłaniać mu Hamiltona. Nawet to ustawienie wydało się Trevayne'owi zaaranżowane, lecz już w następnej chwili zrozumiał, że nawet jeśli takie było, to za sprawą Sama, który dyskretnie wskazał każdemu miejsce. Chłopak radzi sobie nie tylko dobrze; ale wręcz znakomicie – pomyślał Andrew.

–Jeśli sądzi pan, że przyczyniliśmy się do podjęcia tej decyzji, to będzie chyba lepiej, jeśli od razu wyprowadzę pana z błędu – powiedział Hamilton, wciąż z tym samym dobrotliwym uśmiechem na ustach.

–W jaki sposób?

–Bardzo prosto. Otóż popieramy aktualnego prezydenta. Dowodzą tego wpłaty, jakie otrzymuje od nas na swój fundusz wyborczy.

–Nasuwa się wniosek, że nie mam co liczyć na panów poparcie?

–Szczerze mówiąc, raczej nie.

Andy podniósł się raptownie z fotela.

–W takim razie, panowie, wygląda na to, że popełniłem błąd i niepotrzebnie zajmuję wam czas – oświadczył, rewanżując się Hamiltonowi takim samym niezobowiązującym uśmiechem. – Bardzo proszę o wybaczenie..

Zaskoczył wszystkich, nie wyłączając Sama Vicarsona. Pierwszy otrząsnął się Ian Hamilton.

–Panie Trevayne, darujmy sobie te podchody, których, o ile mnie pamięć nie myli, tak bardzo pan nie lubi... ze względu na okoliczności doszliśmy do wniosku, że musimy się z panem spotkać. Proszę usiąść.

Andrew usiadł.

–Jakie to okoliczności?

–Prezydent nie zamierza ubiegać się o drugą kadencję – poinformował go Aaron Green.

–Może jeszcze zmienić zdanie – zauważył Trevayne.

–Nie może – odparł Hamilton. – Nie przeżyłby tego. Oczywiście mówię to panu w ścisłej tajemnicy.

–Nie wiedziałem... – wykrztusił ze zdumieniem Andrew. – Sądziłem, że to decyzja spowodowana względami osobistymi.

–Potrafi pan sobie wyobrazić bardziej osobiste względy? – zapytał Green.

–Wie pan przecież, co miałem na myśli... To okropne.

–I właśnie dlatego doszło do naszego spotkania – zakończył temat Green. – Wyłącznie ze względu na okoliczności.

Trevayne jednak nie mógł przestać myśleć o chorym człowieku zasiadającym w Białym Domu.

–Jak już wspomniałem, byliśmy mocno rozczarowani – zabrał głos Hamilton. – Bynajmniej nie dlatego, żebyśmy uważali pana za nieodpowiedniego kandydata. Wcale tak nie jest. Mimo wszystko jednak większym zaufaniem darzymy partię obecnego prezydenta.

–Skoro tak, to czemu w ogóle zaprzątacie sobie mną głowę? Przecież po tamtej stronie można znaleźć wielu znakomitych ludzi.

–Owszem, ale wszyscy oni są ludźmi prezydenta.

–Nie rozumiem.

–Prezydent... – Hamilton zawiesił na chwilę głos, jakby zastanawiał się nad prawidłowym doborem słów. – Prezydent, jak każdy zresztą człowiek zmuszony do przerwania w połowie dzieła, za które będzie go sądzić historia, jest żywo zainteresowany kontynuacją rozpoczętych przez siebie programów. Wpoi to swemu następcy, którego wybierze spośród osób najpełniej podporządkowujących się jego życzeniom. Może nim być na przy

kład wiceprezydent lub gubernator Nowego Jorku. Ani sumienie, ani przekonania nie pozwalają nam opowiedzieć się za żadnym z nich. Taki kandydat nie mógłby wygrać wyborów i szczerze mówiąc, nie powinien.

–Wciąż pamiętamy nauczkę, jaką dostaliśmy w sześćdziesiątym ósmym – powiedział Green, pochylając się do przodu z dłońmi stykającymi się czubkami palców. – Hubert nie przegrał z Nixonem dlatego, że był człowiekiem mniejszego formatu ani dlatego, że zabrakło mu pieniędzy. Przegrał z powodu czterech słów, które powiedział przed kamerami zaraz po otrzymaniu nominacji: „Dziękuję panu, panie prezydencie”. Nigdy nie udało mu się od nich uwolnić.

Zapadła cisza. Trewayne wyjął papierosa, zapalił go i dopiero wtedy przerwał milczenie.

–Doszliście więc do wniosku, że prezydent udzielając poparcia swojej partii, przesądzi o jej klęsce?

–Dokładnie tak – potwierdził Hamilton. – Na tym właśnie polega nasz problem. Wystarczy, żeby przeciwnicy przedstawili atrakcyjnego kandydata, szczególnie mocno podkreślając siłę jego charakteru – lub niezależność, jeśli pan woli – szeptana opinia publiczna dokończy dzieła. Wyborcy potrafią bezbłędnie demaskować marionetki.

–Przyznajecie więc, że mam realne szansę?

–Z niechęcią – odparł Green. – Poza tym nie ma pan konkurencji. Kto jeszcze może się liczyć? W Senacie siedzą sami starcy, tacy jak ja, albo krzykliwi smarkacze, którym zdarza się jeszcze narobić w spodnie. Jedynie Knapp dysponuje pewnymi możliwościami, ale jest tak nieznośny, że szybko wszystkich by do siebie zraził. W Izbie Reprezentantów trudno znaleźć kogoś dysponującego choćby namiastką osobowości. W szranki mogłoby ewentualnie stanąć kilku gubernatorów, gdyby nie to, że obciążają ich nierozwiązane problemy wielkich miast... Tak jest, panie Andrew Trewayne, panie podsekretarzu stanu, panie milionerze, panie prezydencie fundacji, panie przewodniczący podkomisji. Ma pan wiele zalet. Może nie są wystarczające, żeby każdego od razu powalić na kolana, ale w porównaniu z cechami innych

kandydatów naprawdę robią wrażenie. Chłopcy z komitetu narodowego wiedzieli, co robią, proponując właśnie pana. Oni nie lubią tych, którzy przegrywają.

–Podobnie jak my – dokończył Ian Hamilton. – Tak więc, bez względu na osobiste sympatie, musimy uznać, że stał się pan naszą polityczną rzeczywistością.

Trevayne ponownie wstał z miejsca, niszcząc skonstruowany przez Vicarsona trójkąt. Podeszedł do stolika, wziął do ręki gruby notes w czerwonej skórzanej oprawie, po czym stanął dwa kroki za swoim fotelem.

–Nie jestem pewien, czy mogę zaufać dokonanej przez panów ocenie, ale myślę, że mogę wykorzystać ją jako podstawę do tego, co mam zamiar teraz powiedzieć... Oto raport mojej podkomisji. Za pięć dni zostanie przed stawiony prezydentowi, komisji do spraw obrony oraz innym, kompetentnym komisjom Kongresu. Zajmuje sześćset pięćdziesiąt stronic, a dokumenty uzupełniające zostały zebrane w czterech tomach. Spośród tych sześciuset pięćdziesięciu stronic ponad trzysta poświęconych jest działalności Genessee Industries – plus dwa tomy dokumentów. Doskonale rozumiem powody panów „gorzkiego rozczarowania”. Nie lubię was, nie pochwalam tego, co robiliście, i mam zamiar doprowadzić do tego, żebyście zrezygnowali z waszej działalności. Proste, prawda? *Capisce?* -jak mógłby zapytać wasz tragicznie zmarły kolega.

–On nie miał z nami nic wspólnego! – wybuchnął Aaron Green.

–Ale pozwalaliście mu działać w waszym imieniu, co wychodzi dokładnie na to samo.

–Do czego pan zmierza? – zapytał Hamilton. – Wydaje mi się, że czuję jakiś kompromis.

–Dobrze się panu wydaje. Ale to nie jest taki kompromis, do jakiego się przyzwyczailiście. Nie odniesiecie dzięki niemu żadnych korzyści... No, może takie, że zamiast w więziennej celi, będziecie mogli spędzić resztę życia na wolności, tyle że poza granicami tego kraju.

Spokój Hamiltona ustąpił miejsca wzbierającemu powoli gniewowi.

–Że co, proszę?

–Jest pan żaloszny, panie przewodniczący – dodał Green.

–Wcale nie, choć słowo „żaloszny” zostało użyte jak najbardziej słusznie, lecz skierowano je pod niewłaściwym adresem.

Trevayne wrócił do pokrytego sukniem stolika i beztriosko rzucił nań notes.

–Zacznijmy wreszcie rozmawiać poważnie, Trevayne – odezwał się ostrym tonem Hamilton. – Nie negujemy, że pański raport stanowi dla nas poważne zagrożenie. Równocześnie jednak nie ulega wątpliwości, że mnóstwo w nim domysłów i wniosków nie popartych solidnie udokumentowanymi faktami. Czy naprawdę sądził pan, że nie będziemy na to przygotowani?

–Skądże znowu.

–W takim razie zdaje sobie pan chyba sprawę, że jedyne, co może nam grozić, to ciągnące się miesiącami, a kto wie czy nie latami, procesy?

–Oczywiście.

–Dlaczego więc mielibyśmy się pana obawiać? Czy jest pan przygotowany na

**kontratak? Chce pan spędzić resztę życia, broniąc się przed naszymi i oskarżeniami?**

**–Naturalnie, że nie.**

**–W takim razie znaleźliśmy się w impasie. Równie dobrze możemy spróbować pomóc sobie nawzajem. Bądź co bądź, przyświeca nam ten sam cel, to znaczy pomyślność Stanów Zjednoczonych.**

**–Ale odmiennie go definiujemy.**

**–To niemożliwe – stwierdził stanowczo Green.**

**–Właśnie na tym polega główna różnica między nami. Nie uznajecie innych prawd poza własnymi.**

**Hamilton elegancko wzruszył ramionami i podniósł obie ręce w pokojowym geście.**

**–Jesteśmy gotowi podjąć dyskusję na temat definicji...**

**–Ale ja nie – przerwał mu Andrew. – Mam dosyć waszych definicji, waszej elitarniej logiki i nieomylnych wniosków, które rzekomo dają wam prawo do narzucania wszystkim własnych celów. Otóż nie macie takiego prawa, co najwyżej je ukradliście. Ja pierwszy krzyknę „złodzieje!” i będę krzyczał aż do utraty tchu.**

**–Kto pana wysłucha? – zapytał Aaron Green. – Kto wysłucha człowieka kierowanego zemstą sięgającą dwadzieścia lat wstecz?**

**–O czym pan mówi?**

**Green wycelował w Trevayne'a drżący palec.**

**–Dwadzieścia lat temu Genessee Industries odrzuciło pańską ofertę współpracy! Przez dwadzieścia lat planował pan zemstę! Mamy na to dowody.**

**–Brzydzą się wami! – parsknął Trevayne. – Budzicie we mnie taką samą odrazę jak człowiek, o którym twierdzicie, że nie miał z wami nic wspólnego. Ale to nie jest prawda. Oszukujecie samych siebie. Wszyscy jesteście tacy sami. „Mamy dowody!” Dobry Boże, czyżbyście wierzyli w to, co dostajecie za swoje pieniądze od pracujących dla was informatorów?**

**–To nie jest uczciwy zarzut, Trevayne – odezwał się Hamilton, spoglądając z dezaprobatą na Greena. – Aaron łatwo się denerwuje.**

**–Nie ma w tym nic nieuczciwego – odparł spokojnie Andrew. Położył ręce na oparciu fotela i zacisnął mocno palce. – Jesteście starymi ludźmi, tracącymi powoli kontakt z rzeczywistością, grającymi w jakąś szaleńczą odmianę Monopolu. Kupujecie, sprzedajecie – najczęściej posługując się podstawionymi ludźmi – obiecujecie, przekupujecie i szantażujecie. Zbieracie poufne dane o tysiącach osób, a potem pochłaniacie je niczym żarłoczne gnomy, bez przerwy powtarzając, że wasze idee przewyższają wszystko, co zostało zbudowane do tej pory, wszystkie pomniki, świątynie i katedry. Boże, cóż za nadętość! A inni? Inni się nie liczą. Jedyne ci, którzy mogą głosować, powinni mieć coś do powiedzenia... Wasze poglądy są nie tylko przestarzałe, ale zupełnie szalone!**

**Hamilton zerwał się na nogi.**

**–Zaprzeczam! – wykrzyknął z autentycznym przerażeniem. – Kategorycznie zaprzeczam! Nigdy nic takiego nie powiedziałem!**

**–Może pan sobie zaprzeczać, ile dusza zapagnie. Myślę jednak, że powinien pan**

dowiedzieć się o pewnej sprawie. W sobotę byłem w Hartfordzie. Podpisałem pewne dokumenty. Towarzyszył mi inny prawnik niż zwykle – możecie nazwać to przeczuciem, jeśli macie ochotę. Obecny tutaj pan Vicarson zapewnił mnie, że wszystko jest w porządku. Piętnastego stycznia gubernator stanu Connecticut wyda oficjalny komunikat, ale mogę panom powiedzieć już teraz, że macie przed sobą senatora Stanów Zjednoczonych.

–Co takiego? – wykrztusił Aaron Green. Wyglądał tak, jakby przed chwilą ktoś uderzył go mocno w twarz.

–Nie przesłyszał się pan, panie Green. Mam zamiar wykorzystać przywilej nietykalności, jaki wiąże się ze sprawowaniem tej funkcji, oraz wszystkie inne przywileje, by zaatakować was z całą siłą, na jaką mnie stać. Będę was demaskował przy każdej nadarzającej się okazji, na każdym zebraniu, podczas każdego wystąpienia. Nie ustane w wysiłkach. Jeśli zajdzie taka potrzeba, odczytam publicznie cały raport, wszystkie sześćset pięćdziesiąt stronic. Nie pominię żadnego słowa. To was wykończy. Genessee Industries nie przeżyje tego.

Aaron Green oddychał ciężko, mierząc Trevayne'a nienawistnym spojrzeniem.

–Zawsze to samo – wysyczał. – Od Auschwitz aż do dzisiaj. Zawsze znajdują się świny takie jak pan, sprawiające kłopoty tam, gdzie i tak jest ich pod dostatkiem.

–I proponujące rozwiązania odmienne od waszych. Wasze rozwiązania prowadzą prosto ku obozom koncentracyjnym, ku masowym egzekucjom! Nie widzi pan tego?

–Widzę tylko siłę! Siła jest najlepszym środkiem odstraszającym.

–Na litość boską, Green, uczyn ją siłą zbiorową! Odpowiedzialną, otwartą, a nie manipulowaną przez wąskie grono wtajemniczonych. To nie może się udać.

–Znowu zachowuje się pan jak uczeń! Co to znaczy „zbiorowa”? Co to znaczy „otwarta”? To tylko puste słowa wiodące prosto do chaosu. Wystarczy przyjrzeć się historii.

–Przyjrzałem się jej, nawet bardzo dokładnie. Istotnie, jest niedoskonała i frustrująca, ale do stu diabłów, na pewno stanowi lepsze rozwiązanie od tego, które proponujecie. Nawet jeśli rzeczywiście wkraczymy w czasy, w których nasz dotychczasowy system okaże się niewystarczający, to lepiej, żebyśmy uświadomili to sobie jasno i wyraźnie, że należy go zmienić – otwarcie, na zasadzie współodpowiedzialności, nie zaś za sprawą jakiegoś edyktu... a już szczególnie nie waszego edyktu!

–Znakomicie, panie Trevayne – powiedział Ian Hamilton i niespodziewanie odwrócił się do wszystkich plecami, przypatrując się jednemu z wiszących na ścianach obrazów. – Dobrze pan się przygotował. Czy można wiedzieć, co w takim razie pan nam proponuje?

–Wycofać się. Zniknąć. Wszystko jedno gdzie: Szwajcaria, Europa Południowa, szkockie wyżyny, angielskie niziny... Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu opuście ten kraj. I nigdy do niego nie wracajcie.

–Mamy pewne zobowiązania finansowe – zaprotestował łagodnie Hamilton.

–Przekażcie je pełnomocnikom, ale zerwijcie wszelkie związki z Genessee Industries.

–Niemożliwe! Całkowicie niedorzeczne! – wykrzyknął Aaron Green, spoglądając na Hamiltona.

–Spokojnie, stary przyjacielu... Nawet jeśli postąpimy zgodnie z pańską sugestią, to jakie możemy mieć gwarancje?

Trevayne wskazał leżący na stoliku notes.

–Oto wyczerpujący raport...

–Już o tym wiemy – przerwał mu Hamilton.

–Przygotowaliśmy jego drugą wersję, w której znacznie ograniczyliśmy materiał obciążający Genessee Industries...

–Proszę bardzo! – prychnął pogardliwie Aaron Green. – A więc nasz uczeń nie okazał się aż tak kryształowo czysty, jak mu się wydawało. Jeszcze niedawno zarzekał się, że nie zmieni ani słowa!

Andrew odpowiedział dopiero po pewnej chwili.

–Jeszcze nie wiem, czy to zrobię. Jeśli tak, to będziecie mogli to zawdzięczać pewnemu majorowi nazwiskiem Bonner, a także swojemu rozsądkowi, ma się rozumieć. Major Bonner powiedział kiedyś coś, co na dobre utkwilo mi w pamięci. Prawdopodobnie miało to związek z jego innymi opiniami, ale ja zapamiętałem tylko ten fragment. Otóż powiedział mi, że działał bardzo destrukcyjnie, gdyż burzę wszystko dookoła, nie proponując nic w zamian. Nie staram się odróżnić mniejszego zła od większego, tylko niszczę wszystko po kolei... w porządku, spróbujmy więc coś ocalić.

–Chcemy usłyszeć jakieś szczegóły.

–Bardzo proszę. Jeśli wyjedziecie i nie pokażecie się tu więcej, przedstawię łagodniejszą wersję raportu, po czym rozpocznie się proces oczyszczania Genessee Industries – bez oskarżeń o konspiracyjną działalność, mimo że tak właśnie przedstawia się prawda, bez żądań waszych głów, mimo że należałoby ich zażądać. Jestem pewien, że uda się wytropić wszystkie niezależne finansowo ksiąstewka, nie sięgając aż do korzeni, bo te wraz z waszym wyjazdem przestaną istnieć. Zostaniecie raz na zawsze wyeliminowani.

–To bardzo surowe warunki.

–Przyszedł pan tutaj, żeby zawrzeć umowę. Oto ona. Jest pan politycznym realistą, ja zaś pańską polityczną rzeczywistością – zdaje się, że sam pan to powiedział. Radzę przyjąć moją propozycję. Nie otrzyma pan lepszej.

–Nie sprostasz nam, chłopcze – wycedził Aaron Green, lecz wyraz twarzy starego człowieka przeczył jego słowom.

–Sam na pewno nie. Jestem tylko narzędziem. Ale za moim pośrednictwem dwieście milionów ludzi dowie się, kim naprawdę jesteście. W przeciwieństwie do was, jestem święcie przekonany, że będą potrafili podjąć odpowiednie decyzje.

Kontredans dobiegł końca. Muzyka umilkła. Starcy opuścili rozprawę, usiłując zachować maksimum godności.

–Uda się? – zapytał Sam Vicarson.

–Nie wiem – odparł Trevayne. – Ci dwaj nie mogli pozwolić sobie na ryzyko.

–Myśli pan, że naprawdę wyjadą?

**-Zobaczmy.**

## Rozdział 47

Bardzo mi przykro, ale mam wrażenie, że w swoim liście wystarczająco jasno przedstawiłem stanowisko armii w tej kwestii. Z pewnością major Bonner będzie panu wdzięczny za zorganizowanie mu obrony, jednak z tego, co wiem, wynika, że rozprawa przed sądem cywilnym nie odbędzie się.

–Mimo to, generale Cooper, nie wycofuje pan swoich oskarżeń. W dalszym ciągu chce pan usunąć go z wojska.

–Nie mamy wyboru, panie Trevayne. Bonner wychylił się o jeden raz za dużo. On sam doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Nie istnieje żadne wytłumaczenie usprawiedliwiające niepodporządkowanie się rozkazom. Gdyby wszyscy zaczęli postępować w ten sposób, armia przestałaby istnieć.

–Jednak chciałbym mieć pewność, że otrzyma szansę obrony. Najlepiej, gdyby wzięli w tym udział moi prawnicy.

–Wyrzuca pan pieniądze w błoto. Bonner nie jest oskarżony o morderstwo, napad z bronią w ręku ani trwale uszkodzenie ciała, tylko o okłamanie oficera Sił Powietrznych w celu nielegalnego uzyskania kontroli nad służbowym sprzętem stanowiącym własność rządu Stanów Zjednoczonych, w tym przypadkowym odrzutowym myśliwcem. Dodatkowo odmówił poinformowania przełożonych o swoich zamiarach. Nie możemy tolerować takiego zachowania, tym bardziej że majorowi Bonnerowi zdarzyło się to nie po raz pierwszy i prawdopodobnie nie ostatni. Nie ma dla niego żadnego usprawiedliwienia.

–Zobaczymy, generale. Dziękuję panu.

Andrew odłożył słuchawkę i wstał z fotela. Podeszedł do drzwi gabinetu, które zamknął przed rozmową z Cooperem, otworzył je i zwrócił się do sekretarki:

–Zauważyłem, że zaświeciła się lampka na drugiej linii. Coś, czym powinienem się zająć, Marge?

–Dzwonili z rządowej drukarni, panie Trevayne. Nie wiedziałam, co im powiedzieć. Pytali, kiedy prześle pan do składu raport podkomisji. Dostają teraz mnóstwo materiałów z Kongresu, ale nie chcieliby sprawić panu zawodu. Już miałam im wyjaśnić, że wysłaliśmy go dzisiaj rano, ale potem pomyślałam, że może tam u nich obowiązują jakieś zwyczaje, o których nie wiemy...

Trevayne roześmiał się.

–Nie chcą sprawić mi zawodu, a to dobre! Nawet tam mają swoje wtyczki... Zadzwoń do nich i powiedz, że nie wiedzieliśmy o ich dobrych chęciach, więc oszczędziliśmy trochę pieniędzy podatników i sami to wydrukowaliśmy. Wszystkie pięć egzemplarzy. Ale najpierw wezwij taksówkę. Jadę do Arlington, do Bonnera.

W drodze z Potomac Towers do koszar w Arlington Andy usiłował zrozumieć generała brygady Lestera Coopera i jego legion praworządnych świętoszków. List od Coopera – odpowiedź na pismo z pytaniem o los Bonnera -został napisany w wojskowym żargonie.

Paragraf ten i ten, ustęp taki a taki: niepodporządkowanie się bezpośrednim poleceniom przełożonych, podjęcie nieuzasadnionych działań na własną rękę, uchylanie się od kontaktów ze zwierzchnikami.



„Pieprzenie”, jak mawiał Paul Bonner – okazało się, że o jeden raz za dużo.

Zagrożenie sądem wojskowym nie stanowiło reakcji na zachowanie Bonnera, lecz było reakcją na niego samego. Gdyby skoncentrowano się na jego postępowaniu, z pewnością przedstawiono by mu znacznie poważniejsze zarzuty. Armia jednak zdecydowała się potraktować go łagodniej. „Niepodporządkowanie się... uchylanie się... podjęcie działań...” Nie groziło mu za to rozstrzelanie, ale też nie skończy się na pogroźeniu palcem. Pozostanie tylko jedno wyjście: odejść ze służby. W wojsku nie było już dla niego miejsca.

Nie mógł wygrać tej walki, ponieważ żadnej walki nie będzie. Tylko stwierdzenie winy.

Ale dlaczego, na litość boską? Jeśli istniał jakiś człowiek urodzony po to, by służyć w wojsku, to był nim właśnie Paul Bonner, a jeśli istniała jakaś armia, która potrzebowała takich żołnierzy, to była nią właśnie zdemoralizowana armia Stanów Zjednoczonych. Zamiast prześladować Bonnera, Cooper i jemu podobni powinni zorganizować polowanie z naganką, żeby tylko znaleźć coś, co mogłoby mu pomóc.

Polowanie z naganką... Co powiedział na ten temat Aaron Green? Chyba coś w tym sensie, że to bardzo zła metoda, gdyż w każdej chwili zwierzyna może bez uprzedzenia zaatakować myśliwego.

Czy tego właśnie bali się wojskowi?

Czy obawiali się, że broniąc Paula Bonnera, a tym samym uznając za słuszne jego postępowanie, ujawnią swoje słabe miejsca? Czyżby Lester Cooper i jego sędziowie w mundurach bali się niespodziewanego ataku?

Z czyjej strony? Zaintrygowanej opinii publicznej? Całkiem możliwe. Paul Bonner był przecież nie lada atrakcją.

A może bali się samej atrakcji, czyli Paula Bonnera? Dyskredytując go, mogli w wygodny i bezpieczny sposób odciąć się od niego, usuwając go w głęboki cień.

Czarna owca.

Banita.

Taksówka zatrzymała się przed bramą koszar. Trevayne zapłacił kierowcy, wysiadł i ruszył w kierunku wejścia, nad którym umieszczono złotego orła oraz inskrypcję: „Stąd wychodzą najtwardsi dranie w całej armii”. Nieco poniżej, po prawej stronie, znajdowała się data oddania koszar do użytku: kwiecień tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty.

Historia. Inna epoka. Dawne czasy. Dni, kiedy takie napisy wydawały się całkiem naturalne i oczywiste.

Czasy aroganckich kawalerów.

Te czasy już minęły, a napisy wydawały się trochę zabawne.

To nie w porządku – pomyślał Trevayne. Nie należy tak tego oceniać.

Strażnik pilnujący pokoju Bonnera poznał Trevayne'a i otworzył przed nim drzwi. Major siedział przy małym metalowym biurku i pisał coś na kartce papieru. Odwrócił się i spojrzał na Andy'ego, ale nie wstał ani nie podał mu ręki.

–Zaraz się tobą zajmę, tylko dokończę zdanie. Wydaje mi się, że uznali mnie za jakiegoś kretyna. Ci dwaj prawnicy, których wynająłeś, kazali mi spisać wszystko, co

pamiętam. Podobno jak zobaczy się coś na papierze, to łatwiej można sobie przypomnieć szczegóły.

–Coś w tym jest. Pisz spokojnie, nie musisz się śpieszyć.

Trevayne usiadł na krześle i czekał cierpliwie. Wreszcie Bonner odłożył długopis, przeciągnął się na krześle i odwrócił w kierunku swego gościa.

Jednak spojrzenie, jakim obrzucił Trevayne'a, nie należało do najbardziej uprzejmych.

–Zwrócę ci pieniądze za tych adwokatów.

–Nie ma potrzeby. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

–Kiedy ja nie chcę, żebyś to robił. Powiedziałem im już, żeby wystawili rachunek bezpośrednio na mnie, ale to podobno niemożliwe. W takim razie zapłacę tobie...

Jeśli mam być szczery, to jestem bardzo zadowolony z mojego wojskowego adwokata, ale ty zapewne masz swoje powody.

–To po prostu dodatkowe zabezpieczenie.

–Dla kogo? – zapytał Bonner, patrząc Trevayne'owi prosto w oczy.

–Dla ciebie, Paul.

–Oczywiście. Nie powinienem był pytać... Czego chcesz?

–Może lepiej wyjdę stąd i wejdę jeszcze raz – zaproponował szorstko Andrew. – Co się z tobą dzieje, do cholery? Przecież walczymy po tej samej stronie.

–Czyżby, panie prezydencie?

Te trzy słowa podziały na Trevayne'a jak policzek. Przez dłuższą chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się w milczeniu wzrokiem.

–Chyba powinienesz mi to wyjaśnić – odezwał się wreszcie Andrew. Major Paul Bonner uczynił to.

Trevayne wysłuchał ze zdumieniem relacji z krótkiej, lecz bardzo niezwykłej rozmowy z wybierającym się na emeryturę generałem Cooperem.

–Możemy więc sobie darować te wszystkie wymyślne historie. Nie musisz silić się na żadne skomplikowane wyjaśnienia.

Trevayne podniósł się z krzesła i bez słowa podszedł do niewielkiego okna. Na dziedzińcu pułkownik o twarzy pokrytej gęstą siecią zmarszczek obsztorcowywał właśnie mały oddział złożony z samych podporuczników. Młodzi mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, niektórzy nawet chuchali w dłonie, próbując odegnać grudniowy chłód. Pułkownik, w szeroko rozpiętej bluzie, nie zwracał najmniejszej uwagi na zimno.

–A prawda, majorze? Czy prawda również cię nie zainteresuje?

–Nie jestem idiotą, polityku. Sam się jej domyśliłem.

Trevayne odwrócił się od okna.

–W takim razie, jak brzmi twoja wersja?

–Cooper powiedział, że armia nie może mnie dłużej tolerować. Prawda wygląda w ten sposób, że to ty nie możesz mnie tolerować! Jestem młyńskim kamieniem uwiązany do twojej prezydenckiej szyi.

–Idiotyzm!

–Daj spokój! W sądzie doprowadzasz do uniewinnienia i jesteś czysty. Nikt nie

może powiedzieć, że prześladowałeś żołnierza, do którego strzelano w twojej posiadłości. Ale rozprawa jest ściśle kontrolowana: żadnych wycieczek na boki, tylko suche fakty, proszę państwa. Nawet mój wojskowy adwokat nie pozostawił mi co do tego najmniejszej wątpliwości. Wyłącznie jedna noc w Connecticut. Ani słowa o San Francisco, Houston, Seattle, a tym bardziej o Genessee Industries!... Potem zostaje, wywalony z wojska, życie dalej toczy się swoim rytmem i nikt nie musi się niczego wstydzić. Wpiana mnie tylko to, że żaden z was nie stanie przede mną i nie powie mi prosto w twarz, że tak właśnie ma być!

–Nie mogę ci tego powiedzieć, bo to nieprawda.

–Akurat! Oczywiście, że prawda, zapakowana elegancko jak bombonierka.

Człowieku, kiedy się sprzedajesz, żądaj przynajmniej najwyższej ceny! Moim zdaniem jesteś tego wart.

–Bardzo się mylisz, Paul.

–Pieprzenie! Może chcesz mi powiedzieć, że nie wszedłeś do gry? Słyszałem, że już nawet załatwiłeś sobie fotel w Senacie. Cholernie wygodnie, co nie?

–Przysięgam ci, że nie wiem, skąd Cooper zdobył tę informację!

–A co, może nie jest prawdziwa?

Trevayne odwrócił się od Bonnera i ponownie spojrzął przez okno na oddział podporuczników.

–Jest... w pewnym sensie.

–A to piękne! „W pewnym sensie”... Co teraz zrobisz? Wciągniesz flagę na maszt i sprawdzisz, z której strony wiatr wieje? Posłuchaj, Andy. Powiem ci to samo, co powiedziałem Cooperowi. Ta nagła zmiana miejsc nie podoba mi się co najmniej tak samo jak mnóstwo spraw, o których do wiedziałem się podczas kilku ostatnich miesięcy. Mam zastrzeżenia do sposobu działania; okropnie śmierdzi... z drugiej strony, byłbym ostatnim hipokrytą, gdybym teraz nagle zaczął wszystkim dokoła prawić morały. Niemal przez całe życie wierzyłem, że wszystkie wojskowe cele samym swoim istnieniem uzasadniają wszelkie metody, jakie stosuje się, by je osiągnąć. Niech o dylematy moralne troszczą się cywile wybierani przez innych cywilów na różne urzędy. Ja nigdy nie zaprzątałem sobie tym głowy... To wszystko była tylko gra, prawda? Przykro mi, ale nie wezmę w niej udziału. Powodzenia.

Podporucznicy zgromadzeni na dziedzińcu otrzymali rozkaz „rozejść się”.

Pułkownik w rozpiętej bluzie zapalał papierosa. Wykład dobiegł końca.

Nagle Trevayne'a ogarnęło wielkie znużenie. Nic nie było takie, jakim jeszcze niedawno się wydawało. Odwrócił się do Bonnera, który przez cały czas siedział w niedbalej pozie na krześle.

–Co masz na myśli, mówiąc o grze, Paul?

–Z każdą chwilą stajesz się coraz bardziej zabawny. Chyba chcesz doprowadzić do tego, żebym pozbawił się szansy na pozytywną interwencję w mojej sprawie.

–Przestań błaznować. Powiedz, co masz do powiedzenia, majorze!

–Bardzo proszę, panie prezydencie! Mają cię i nie potrzebują już nikogo innego.

Złowili niezależnego, nieskalanego Pana Uczciwego. Lepszy byłby chyba tylko święty Jan Chrzciciel, a i tego wcale nie jestem pewien. Wszystkie troski Pentagonu

zniknęły, jakby ich nigdy nie było.

**–A nie przyszło ci do głowy, że dopiero się pojawią?**

**Bonner wyprostował się na krześle i roześmiał się ponuro.**

**–Jesteś najśmieszniejszym czarnuchem na całej plantacji. Nie musisz opowiadać mi tych dowcipów. Nie będę ci przeszkadzał. To nie mój teren.**

**–Zadałem ci pytanie. Oczekuję odpowiedzi. Sugerujesz, że zostałem kupiony, a ja temu kategorycznie zaprzeczam. Dlaczego tak sądzisz?**

**–Ponieważ znam tych chłopców z „samej góry”. Zgodzili się zapewnić ci inwesturę, a nie zrobiliby tego, gdyby nie otrzymali stuprocentowych gwarancji.**

## Rozdział 48

Trevayne wysiadł z taksówki ponad kilometr od Potomac Towers. Potrzebował czasu na spacer, na zastanowienie się i przemyślenie pewnych rzeczy. Na próbę doszukania się logiki w czymś zupełnie jej pozbawionym.

Z zamyślenia wyrwały go donośne dźwięki klaksonów. Zirytowani kierowcy trąbili na brązową limuzynę, która przystanęła niezdecydowanie przy krawężniku, blokując ruch. Irytująca kakofonia znakomicie współbrzmiała ze stanem jego umysłu.

Czyżby naprawdę okazał się aż tak naiwny, że nawet nie zauważył, kiedy został bezwzględnie wykorzystany? Czy konfrontacja z Ianem Hamiltonem i Aaronem Greenem miała służyć jedynie stworzeniu pozorów?

Nie, to niemożliwe.

Hamilton i Green naprawdę się bali. Hamilton i Green zarządzili Genessee Industries, a Genessee rządziło Pentagonem.

*A równa się B, a B równa się C.*

*Z czego wynika, że A równa się C.*

Jeżeli jako prezydent będzie mógł kontrolować Iana Hamiltona i Aarona Greena, zmuszając ich do podporządkowania się jego woli, to nasuwał się logiczny wniosek, że będzie mógł także kontrolować Pentagon. W tym przypadku narzędziem kontroli stanie się rozmontowywanie Genessee Industries, ociosywanie giganta do bardziej ludzkich rozmiarów.

Dał jasno do zrozumienia, że jest to jego głównym celem.

A jednak, jeśli można było wierzyć Bonnerowi – a czemu nie? przecież sam by tego nie wymyślił – Lester Cooper i jego koledzy byli gotowi poprzeć kandydaturę Trevayne'a, używając wszystkich wpływów Pentagonu, a ponieważ ich osobiste opinie stanowiły wynik procesów myślowych zachodzących w zbiorowym intelekcie Genessee Industries, wynikało z tego, że u źródeł poparcia stali Ian Hamilton i Aaron Green.

*A równa się B.*

Ale dlaczego? Dlaczego generał brygady Lester Cooper wraz z całym korpusem oficerskim potulnie zgodzili się na coś, co mogło zaowocować całkowitą utratą ich ogromnych wpływów? Dlaczego ktoś nakazał im takie postępowanie?

*A równa się C.*

Nawet jeśli Hamilton i Green musieli zniknąć ze sceny – nie mieli innego wyboru – to nic nie nakazywało im polecić Pentagonowi, by udzielał wszechstronnego poparcia temu samemu człowiekowi, który doprowadził do ich upadku.

A jednak wszystko wskazywało na to, że tak właśnie uczynili.

Chyba że rozkaz został wydany przed konfrontacją w Waldorf Towers, zanim groźby Trevayne'a zakończyły kontredansa.

Jeśli tak, to Andrew wcale nie był tym, za kogo się uważał. Nie stanowił silnej alternatywy, nie był człowiekiem, do którego z pełną świadomością zwróciły się osoby o ugruntowanej pozycji politycznej, nie został wybrany przez doświadczonych profesjonalistów, którzy popatrzyli w wypełnione dymem kryształowe kule i zdecydowali się akurat na niego. Był kandydatem Genessee Industries, osobiście

zaakceptowanym przez Iana Hamiltona i Aarona Greena. Ich opowiadanie o „gorzkim rozczarowaniu” nie miały nic wspólnego z prawdą.

Boże, cóż za ironia!

Należało jeszcze wyciągnąć z tego wnioski, co było chyba najbardziej przerażającym zadaniem.

Nie miało najmniejszego znaczenia, kto zasiądzie w Owalnym Gabinetcie. Ważne było tylko to, żeby człowiek *ten* nie wywołał fal, które mogłyby zalać i przewrócić stary, dobry statek Genessee.

Trevayne spełniał te warunki.

Ba, sam je zaproponował.

Przed czterema godzinami przekazał zainteresowanym osobom i urzędowi nadzwyczajny raport, tym bardziej nadzwyczajny, że przemilczający najistotniejsze, najbardziej obciążające kwestie.

Boże, co ja narobiłem?!

Przed sobą, w odległości może pół kilometra, dostrzegł bliźniacze sylwetki wzniesionych z metalu i cegły Potomac Towers. Przyśpieszył kroku, rozglądając się w poszukiwaniu taksówki, ale żadna nie nadjeżdżała. Chciał jak najprędzej znaleźć się w swoim biurze. Chciał odkryć prawdę... musiał ją odkryć.

Mógł to zrobić tylko w jeden sposób.

Z pomocą generała brygady Lestera Coopera.

Kiedy Andrew wyszedł z windy, ujrzał Sama Vicarsona przechadzającego się nerwowo przed wejściem do lokalu zajmowanego przez podkomisję.

–Boże, jak to dobrze, że już pan jest! Dzwoniłem do Arlington i zostawiłem wiadomości wszędzie, gdzie mógłby się pan pojawić.

–Co się stało?

–Może wejdźmy do środka, żeby mógł pan usiąść.

–Boże! Phyllis...

–Nie, proszę pana. Przykro mi... To znaczy, przepraszam, jeśli pana wystraszyłem.

–Chyba rzeczywiście lepiej wejdźmy do środka.

Vicarson zamknął za nimi drzwi gabinetu Trevayne'a i zaczął, aż Andrew zdejmie płaszcz i położy go na kanapie. Potem zaczął mówić bardzo powoli, z namysłem dobierając słowa:

–Jakieś czterdzieści pięć minut temu zadzwonił szef personelu Białego Domu. Prasa jeszcze o niczym nie wie, ale dziś rano wydarzyło się coś, co skłoniło prezydenta do podjęcia decyzji, o której uznał za stosowne pana poinformować... Wstrzymał rozpowszechnianie pańskiego raportu.

–Co takiego?

–Kazał natychmiast odesłać do Białego Domu wszystkie egzemplarze – z komisji do spraw obrony, od prokuratora generalnego, z gabinetów przewodniczących dwóch komisji Senatu i Izby Reprezentantów. Rozmawiał już z tymi ludźmi i wszyscy przyjęli jego wyjaśnienia.

–A co się właściwie stało?

–Robert Webster... Pamięta pan, doradca pre...

–Tak, pamiętam.

–Został zabity, dziś rano. To znaczy, zamordowany. W hotelu w Akron...

Sprzątaczką przekazała policji rysopis dwóch mężczyzn, których zobaczyła, gdy wybiegali z jego pokoju, a ktoś miał na szczęście tyle rozumu w głowie, żeby zawiadomić Biały Dom. Webster był przecież „swoim chłopakiem”, który zawsze starał się jak najlepiej, i w ogóle... Biały Dom zabrał się ostro do pracy. Kazali prasie i telewizji wstrzymać na kilka godzin informację o morderstwie...

–Dlaczego?

–Ze względu na rysopisy sprawców. Przypominają dwóch ludzi, których śledziła Secret Service. To znaczy, Secret Service śledziła Webstera, a przy okazji odkryła, że interesują się nim jacyś dwaj faceci.

–Nic z tego nie rozumiem, Sam.

–Obaj pracowali dla Maria de Spadante... Jak już powiedziałem, Biały Dom wziął się ostro do roboty. Czy wie pan, że tam nagrywają wszystkie rozmowy telefoniczne, przesłuchują i trzymają w archiwum przez pół roku?

–Wcale mnie to nie dziwi.

–Myślę, że zdziwiłoby Webstera. Podobno mało kto się tego domyśla, Ale nam musieli powiedzieć.

–Do czego zmierzasz? Dlaczego wstrzymano mój raport?

–Bobby Webster współpracował z Mario de Spadante. Był jego płatnym informatorem. To on wycofał obstawę ze szpitala w Darien. Z jednej z rozmów wynika, że prosił pan go o dostarczenie materiałów na temat de Spadantego.

–Zgadza się. Byliśmy wtedy w San Francisco. Nie dostałem ani słowa.

–Mimo to prezydent uważa, że Webster zginął, ponieważ ludzie Mario de Spadante podejrzewali go o współpracę z panem. Zapewne sądzili, że stchórzył i dostarczył panu informacji, które doprowadziły do śmierci ich szefa...

Przypuszczalnie dopadli Bobby'ego w pokoju, próbowali zmusić, żeby powiedział im, co zawiera raport, a kiedy tego nie zrobił, bo albo nie chciał, albo nie mógł, zastrzelili go.

–Jeżeli w raporcie jest coś o de Spadantem, jego przyjaciele wezmą się teraz za mnie?

–Tak. Prezydent obawiał się, że jeśli nastąpi jakiś przeciek, pan stanie się ich następnym celem. Nie chcieli pana niepokoić, ale chłopcy z Secret Service znaleźli pana w Arlington. W każdym razie, powinni byli pana znaleźć.

Trevayne przypomniał sobie brązowy samochód, który jechał za taksówką, a potem wstrzymał na chwilę ruch. Zmarszczył brwi i spojrzał na Sama z powątpiewaniem.

–Jak długo mam znajdować się pod tą troskliwą opieką?

–Dopóki nie złapią tych, którzy zabili Webstera.

Andrew usiadł za biurkiem i wyjął papierosa. Miał uczucie, że zjeżdża na rowerze z bardzo stromej góry, z najwyższym trudem walcząc o to, by nie stracić panowania nad kierownicą.

**Czy to możliwe? Czy to możliwe, że promień słońca, który oświetlił mroczne zakamarki jego umysłu, pozwolił mu dostrzec zarys prawdy?**

**–„Pieprzenie”, cytując naszego przyjaciela Paula Bonnera – powiedział cicho.**

**–Dlaczego pan tak uważa? Niepokój prezydenta wydaje mi się zupełnie uzasadniony.**

**–Obyś miał rację. Modlę się, żebyś miał rację, bo jeżeli jej nie masz, Sam, to znaczy, że pewien umierający człowiek usiłuje za wszelką cenę ocalić swoje miejsce w historii.**

**Vicarson natychmiast go zrozumiał. Wyraz twarzy młodego człowieka świadczył o tym, iż była to najpoważniejsza wiadomość, jaką otrzymał w życiu.**

**–Myśli pan, że prezydent jest... w Genessee Industries?**

**–Połącz mnie z generałem Cooperem.**



## Rozdział 49

Generał brygady Lester Cooper siedział przed biurkiem Andrew Trevayne'a. Był skrajnie wyczerpany i wyglądał na człowieka, który nie może już stawić czoła nieprzyjaznemu światu.

–Jestem dumny ze wszystkiego, co zrobiłem, panie przewodniczący, i poczytuję sobie za zaszczyt, że obdarzono mnie tak wielkim zaufaniem.

–Ten tytuł jest zupełnie niepotrzebny, generale. Proszę mówić do mnie Andy, Andrew albo panie Trevayne, jeśli pan koniecznie chce. Darzę pana wielkim szacunkiem; ja z kolei poczytywałbym sobie za zaszczyt, gdyby zechciał pan być mniej oficjalny.

–To miło z pańskiej strony. Mimo wszystko nie spełnię pańskiej prośby. Oskarżył mnie pan otwarcie o zaniedbanie obowiązków, spiskowanie i zła manie przysięgi...

–Skądże znowu, generale! Na pewno nie użyłem takich słów. Nigdy bym ich nie użył... Uważam, że działał pan w skrajnie trudnej sytuacji. Miał pan do czynienia z wrogo nastawionym elektoratem, który wyliczał panu każdego dolara, a jednocześnie musiał pan zaspokoić potrzeby armii. Stał pan wobec konieczności wypośrodkowania tych dwóch tendencji na obszarze, który doskonale znam: zaopatrzenie. Zapytałem pana tylko o to, czy poszedł pan na te same kompromisy, które i ja musiałbym zawrzeć. Nie ma mowy o żadnym zaniedbaniu obowiązków ani spisku; generale. Przysięgę złamałby pan tylko wtedy, gdyby nie zdecydował się pan na niezbędne rozwiązania.

Taktyka zaczęła odnosić skutek, choć Trevayne'a nie opuszczały niedobre przeczucia. Podsuwał generałowi sposób prowadzenia obrony. Cooper spojrział na niego z udręką.

–Rzeczywiście... Nie miałem żadnego wyboru. Kto jak kto, ale pan powinien o tym wiedzieć...

–Dlaczego właśnie ja?

–No, jeśli pan jest tym, za kogo się podaje...

–To znaczy kim?

–Na pewno pan rozumie... Nie byłoby pana tutaj, gdyby pan nie rozumiał.

Wszyscy o tym wiemy... Chciałem przez to powiedzieć, że ma pan nasze całkowite, entuzjastyczne poparcie. Właściwie niczym nie ograniczone, ale to przecież dla pana żadna nowina.

–Poparcie w jakiej sprawie?

–Proszę, panie Trevayne... Sprawdza mnie pan? Czy to naprawdę konieczne?

–Kto wie. Może nie okazał się pan wystarczająco dobry.

–To nieprawda! Nie powinien pan tak mówić! Zrobiłem wszystko...

–Dla kogo? Dla mnie?

–Zrobiłem wszystko, co mi kazano. Uruchomiłem całą logistykę.

–Gdzie?

–Wszędzie! W każdym porcie, w każdej bazie lotniczej, na całym świecie!

Brakowało tylko nazwiska. Czekali już tylko na nazwisko.

–A czyje to nazwisko?

–Pańskie, na litość boską! Czego pan jeszcze ode mnie chce?

–Kto wydawał panu rozkazy?

–Co pan przez to...

–Kto powiedział panu, że to będzie właśnie moje nazwisko?

Trevayne rąbnął otwartą dłońią w blat biurka. Rozległ się suchy odgłos przypominający klaśnięcie bicza.

–Ja... ja...

–Zapytałem kto.

–Człowiek... człowiek od...

–Od kogo?

–Od Greena.

–Kto to jest Green?

–Przecież pan wie!... Genessee. Genessee Industries. – Generał Lester Cooper ciężko dysząc, opadł na fotel. Ale Trevayne jeszcze nie skończył. Pochylił się i wbił w Coopera przenikliwe spojrzenie.

–Kiedy? Kiedy to było, generale?

–Boże... Mój Boże, kim pan jest?

–Kiedy?

–Tydzień, może dziesięć dni temu... Kim pan jest?

–Pańskim najlepszym przyjacielem! Człowiekiem, który da panu to, na czym panu najbardziej zależy! Uwierzy mi pan?

–Sam nie wiem, w co mam wierzyć... Nie mam już sił...

–Tylko bez takich zagrywek, generale. Pytałem pana o schemat. Jaki on był?

–Jezu!

–Jak wyglądał cały schemat, generale? Co zawierał?

–Proszę przestać! Niech pan przestanie!

–Najpierw musi mi pan odpowiedzieć.

–Skąd mam wiedzieć? Niech pan ich zapyta!

–Kogo?

–Nie wiem!

–Greena?

–Tak, jego!

–Hamiltona?

–Tak, tak. Oczywiście!

–Co mogą mi zagwarantować?

–Wszystko! Przecież pan o tym wie!

–Więc mi przypomnij, cholerny latryniarzu!

–Nie może pan tak do mnie mówić! Nie ma pan prawa!

–Gadaj!!!

–Wszystko, czego pan będzie potrzebował. Związki zawodowe... kadra kierownicza... analizy psychologiczne ważnych osób w całym kraju... mamy je w wojskowych komputerach. Będziemy działać wspólnie...

–O mój Boże... Czy prezydent wie o tym?

–Jeśli się dowiedział, to na pewno nie od nas.

–I w ciągu ostatnich pięciu dni nikt nie odwołał tych rozkazów?

–Oczywiście, że nie!

–Jest pan pewien, generale? – zapytał Trevayne, niespodziewanie zniżając głos i siadając głębiej w fotelu.

–Tak!

Andrew zakrył twarz dłońmi i przez chwilę oddychał głęboko. Czuł się tak, jakby wreszcie zjechał na sam dół z tego długiego, stromego zbocza tylko po to, by wpaść głową w głęboką, wzburzoną wodę.

Dlaczego na dole zawsze musi być morze?

–Dziękuję panu, generale Cooper – powiedział cicho. – Myślę, że już skończyliśmy.

–Proszę?

–Dobrze pan słyszał Bardzo pana szanuję. Wątpię, czy byłoby tak samo, gdyby nie Paul Bonner... Słyszał pan o majorze Bonnerze, generale? Wydaje mi się, że rozmawialiśmy na jego temat... A teraz udzielę panu dobrej rady. Niech pan się jak najszybciej stąd wynosi.

Generał brygady Lester Cooper spojrział przekrwionymi oczami na mężczyznę zakrywającego twarz dłońmi.

–Nie rozumiem...

–Doszły do mnie słuchy, że w niedługim czasie wybiera się pan na emeryturę. Pozostając z całym należnym szacunkiem, proponuję, żeby jutro z samego rana złożył pan rezygnację.

Cooper otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Trevayne odsunął dłonie od twarzy i spojrział wprost w zmęczone oczy generała. Oficer czynił ogromne wysiłki, by nad sobą zapanować, ale w końcu musiał z nich zrezygnować.

–Pan nie... To znaczy... Czy jestem wolny?

–Tak. Jeden Bóg wie, jak bardzo pan na to zasługuje.

–Mam nadzieję. Dziękuję panu, panie przewodniczący.

Sam Vicarson obserwował generała wychodzącego z gabinetu Trevayne'a. Dochodziło wpół do siódmej. Andrew zaplanował spotkanie z Cooperem na kilka minut po piątej; w biurze byli wtedy tylko oni trzej. Vicarson miał stanowić zaporę dla ewentualnego spóźnionego interesanta lub kogoś z personelu, kto chciałby zamienić kilka słów z szefem.

Generał spojrział na Sama niewidzącym spojrzeniem, po czym zatrzymał się i przez dłuższą chwilę stał bez najmniejszego ruchu, z pustym wzrokiem wbitym w młodego prawnika. A potem zrobił dziwną, a nawet niepokojącą rzecz: powoli podniósł prawą rękę do daszka czapki i trzymał ją tam dopóty salutując, dopóki Vicarson nie skinął w milczeniu głową. Dopiero wtedy generał opuścił rękę, odwrócił się i wyszedł z biura.

Sam natychmiast pobiegł do gabinetu Trevayne'a. Przewodniczący podkomisji sprawiał wrażenie przynajmniej równie wyczerpanego jak pobrzękująca medalami

legenda armii USA, która przed chwilą opuściła jego biuro.

Siedział z zamkniętymi oczami w odchylanym fotelu, podpierając głowę ręką wspartą o podłokietnik.

–To musiała być miła rozmowa – zauważył spokojnie Sam. – Przez chwilę myślałem, że będę musiał wezwać pogotowie. Powinien pan zobaczyć Coopera. Wyglądał tak, jakby przed chwilą zderzył się z czołgiem.

–Nie ma się z czego cieszyć – odparł Trevayne, nie otwierając oczu. – Jeszcze nic nie osiągnęliśmy... Myślę, że mamy wiele do zawdzięczenia Cooperowi i ludziom takim jak on. Wymagamy od nich niemożliwych rzeczy, a nie uczymy, jak mają sobie radzić z politycznymi mesjaszami, których wpychamy im w objęcia. Kiedy starają się sprostać zadaniu, odsuwamy ich jako niekompetentnych. – Otworzył oczy i spojrzał na Sama. – Nie wydaje ci się, że to nie jest w porządku?

–Obawiam się, że nie, proszę pana – odparł Vicarson. Zadał sobie nieco trudu, aby nie zabrzmiało to zbyt ostro. – Ludzie tacy jak Cooper – to znaczy ci z nich, którzy dochodzą tak wysoko – mają mnóstwo okazji, żeby skarżyć się na swój los. Nie muszą od razu uciekać pod opiekę Genessee Industries.

–Oj Sam, Sam... – westchnął Trevayne. – Nie przyznałbyś mi racji nawet wtedy, gdyby to była ostatnia rzecz, jaką miałbyś dla mnie zrobić. Przypuszczam, że powinienem uznać to za zaletę.

–Oczywiście, że przyznałbym panu rację. Kto wie, czy pewnego dnia nie będę szukał posady.

–Wątpię. – Trevayne dźwignął się z fotela, obszedł biurko i oparł się o jego krawędź. – Zdajesz sobie sprawę, co oni zrobili? Ustawili wszystko w taki sposób, że jeśli wygram, to wyłącznie jako ich kandydat. Cooper dostarczył mi ostatnich dowodów.

–I co z tego? Przecież nie prosił ich pan o to.

–Ale niewiele brakowało, żebym to zaakceptował. Zupełnie świadomie stałbym się częścią skorumpowanego systemu, przeciwko któremu podobno występowałem... Walcząc z diabłem, walczylibym z samym sobą.

–Słucham?

–Nie, nic... Tylko taka refleksja związana z Armbrusterem. Czy teraz rozumiesz? Żona Cezara. Kompleks Kalpurni. Gdyby mnie wybrano albo nawet gdybym przystąpił do kampanii, nie mógłbym zaatakować Genessee Industries, ponieważ byłbym tak samo winny jak oni. Jeśli zaatakuję ich przed wyborami, zagwarantuję sobie przegraną; jeśli spróbuję to zrobić po wyborach, stracę zaufanie wyborców. Mają mnie w garści: dysponują łagodniejszą wersją raportu. Zastosowali wyśmienitą taktykę, ale dzięki Paulowi Bonnerowi i pewnemu zdezorientowanemu, przemęczonemu generałowi przejrzałem ich, zanim zrobiło się za późno.

–Dlaczego chcieli to przeprowadzić? Dlaczego wybrali właśnie pana?

–Z bardzo prostego powodu, Sam. Kierowali się motywacją, która zdobyła w dwudziestym wieku największą popularność. Po prostu nie mieli wyboru. Nie było alternatywy. Miałem zamiar zniszczyć Genessee Industries, a co najważniejsze, mogłem to zrobić.

Vicarson wbił wzrok w podłogę.

–Mój Boże... – szepnął. – Nic nie rozumiałem... Co ma pan zamiar teraz zrobić? Trewayne odepchnął się od biurka.

–To, czym powinienem zajmować się przez cały czas. Rozwalę Genessee na kawałki. Wyrwę z korzeniami, tak że nie zostanie najmniejszego śladu.

–W ten sposób pozbawi się pan szans w wyborach.

–Wiem o tym.

–Bardzo mi przykro z tego powodu.

Andy ruszył już w kierunku fotela, ale nagle zatrzymał się i spojrzał w stronę Sama, lecz nie wprost na niego, Spoglądał w okno, na gęstniejący mrok, który już niedługo miał zamienić się w noc nad Waszyngtonem.

–Czy to nie godne uwagi? Mnie także jest przykro. Nawet bardzo. Jak łatwo przyzwyczajamy się do pewnych pomysłów... I jak łatwo dajemy się wprowadzić w błąd.

Podszedł do fotela, usiadł, oddarł kartkę z leżącego na biurku bloczka i wziął do ręki ołówek.

W tej chwili zadzwonił telefon.

–Ja odbiorę – powiedział Sam, podnosząc się z kanapy. – Biuro pana Trewayne'a, słucham... Tak? Tak, rozumiem. Proszę zaczekać. – Zasłonił dłonią mikrofon i spojrzał na Andy'ego. – To James Goddard. Jest w Waszyngtonie.

## Rozdział 50

James Goddard, prezes oddziału Genessee Industries w San Francisco, siedział po drugiej stronie pokoju, podczas gdy Trevayne i Vicarson studiowali obszerną dokumentację oraz komputerowe karty rozłożone na długim stole konferencyjnym. Pokój, a właściwie salka, należał do apartamentu w hotelu Shoreham.

Kiedy przed czterema godzinami Trevayne i jego asystent weszli do pomieszczenia, Goddard był bardzo oszczędny w słowach. W jego opinii długie dyskusje nie miały najmniejszego sensu; ważne były tylko liczby zawarte w dokumentach i informacje o działalności Genessee wydobyte z komputera.

To one powinny mówić.

Obserwował dwóch mężczyzn, jak ostrożnie zbliżają się do starannie zaaranżowanej ekspozycji. Początkowo byli podejrzliwi i nieufni, ale potem waga przedstawionych im dowodów wstrząsnęła nimi do głębi. Kiedy niedowierzenie przemieniło się w niechętną akceptację, Trevayne zarzucił go gradem pytań; na te, na które chciał udzielić odpowiedzi, odpowiadał najbardziej lakonicznie, jak potrafił.

Niech mówią liczby.

Następnie przewodniczący podkomisji wysłał Vicarsona do swojego biura po wielofunkcyjny kalkulator, który mógł wykonywać wszelkie działania na sześciocyfrowych liczbach i przechowywać wyniki dowolnie długo w pamięci. Bez niego, jak stwierdził Trevayne, osiągnięcie jakichkolwiek konkluzji zajęłoby co najmniej tydzień. Za pomocą maszyny liczącej – i przy odrobinie szczęścia – może uda się skończyć do rana.

James Goddard poradziłby sobie w dwie, najwyżej trzy godziny.

Minęły już cztery, a oni jeszcze nie skończyli.. Amatorzy.

Niekiedy – w miarę upływu czasu coraz częściej – Trevayne odwracał się do niego i rzucał jakieś pytanie, oczekując natychmiastowej odpowiedzi. Goddard śmiał się w duchu, udając, że się głęboko namyśla, a potem mówiąc, że niestety, nic nie może na ten temat powiedzieć. Trevayne powoli zbliżał się do końca: żądał już konkretnych nazwisk głównych planistów całej operacji. Goddard mógłby je bez trudu podać; byli to Hamilton oraz legion współpracujących z nim „wiceprezesów” z Chicago, ludzi pozostających w głębokim ukryciu, dokonujących gigantycznych manipulacji na ogólnokrajową skalę.

Jemu nigdy na to nie pozwolono. Nigdy nie dano mu szansy udowodnienia, że on także dysponuje odpowiednimi kwalifikacjami do wyznaczania strategicznych celów oraz tworzenia finansowych prognoz na kolejne pięcioletnie okresy. Jakże często musiał dokonywać na własną rękę poważnych zmian w tych zadaniach, za których realizację był osobiście odpowiedzialny, gdyż otrzymane „z góry” polecenia zawierały błędy, mogące doprowadzić do kryzysów produkcyjnych o niewyobrażalnych skutkach! Jakże często dostarczał szefom z Chicago niepodważalnych dowodów na to, iż jest nie tylko figurantem mającym firmować na zewnątrz decyzje finansowe Genessee, ale także jedynym człowiekiem, który jest w stanie ogarnąć całość interesów prowadzonych przez korporację.

Odpowiedzi z Chicago – nigdy na piśmie, zawsze udzielane telefonicznie przez

anonimowego rozmówcę – były niezmiennie takie same: podziękowanie, uznanie ogromnego wkładu oraz zapewnienie, iż jego działalność w charakterze prezesa tak ważnego oddziału jak San Francisco stanowi wzór dla wielu innych. Krótko mówiąc, dawano mu do zrozumienia, że osiągnął już wszystko, na co mógł liczyć.

Wniosek nasuwał się sam: nie był niezastąpiony. Traktowano go jak figuranta, który przy lada zagrożeniu mógł być przeznaczony na odstrzał. Co mógł zrobić, gdyby podjęto taką decyzję?

Nic. Absolutnie nic. Wszystkie jego zasługi nie byłyby wtedy warte nawet funta kłaków.

Istniał jednak jeden jedyny sposób, by uniknąć takiej sytuacji.

Należało dokonać błyskawicznego przeskoku na sam szczyt jedynej organizacji przewyższającej rozmiarami Genessee Industries.

Rządu Stanów Zjednoczonych.

Takie operacje przeprowadzano niemal każdego dnia, posługując się wieloma różnymi nazwami: „konsultant”, „doradca”, „ekspert”...

Co prawda oznaczało to konieczność pożegnania z domem w Palo Alto i pięknymi wzgórzami, tak kojącymi w swoim majestacie. Oznaczało to także rozstanie z żoną, która nigdy nie zgodzi się na taką zmianę... a to już stanowiło poważny plus.

Jednak największym zyskiem miało być odzyskane poczucie własnej wartości. Od tej pory jego zasługi będą nie tylko ogromne i odpowiednio doceniane – ale także nieodzowne. Historia Genessee Industries Uczyła sobie już niemal dwadzieścia lat. Rozwikłanie gordyjskiego węzła finansowych powiązań musiało zająć co najmniej dziesięć następnych.

A on, James Goddard, był żywą legendą ekonomii, która mogła tego dokonać. Ta praca musiała zostać zrobiona, gdyż, jakkolwiek na to patrzeć, dzieje Genessee Industries stanowiły nieodłączną część historii dwudziestowiecznej Ameryki. James Goddard spisze tę historię. Jeszcze przez tysiąc lat uczeni będą czytać jego słowa, analizować liczby, odnosić się z czcią do jego wiedzy.

Sam rząd, łącznie z ludźmi podejmującymi najważniejsze decyzje, uzna go za niezastąpionego.

Nikt nie byłby w stanie dokonać tego, co on.

Zależało mu wyłącznie na tym, by ktoś go docenił. Czy Ian Hamilton i anonimowe głosy z Chicago nie mogły tego zrozumieć? Nie chodziło mu ani o pieniądze, ani o władzę, tylko o szacunek. Szacunek, który zapewniłby mu usunięcie z kręgu osób przeznaczonych na odstrzał.

Minęło już prawie pięć godzin. Trevayne i jego wysławiający się soczyście asystent opróżnili dwa dzbanki kawy. Pałący niemal bez przerwy przewodniczący podkomisji przestał zadawać pytania; asystent podsuwał mu kolejne dokumenty i wystukiwał na kalkulatorze kolejne liczby; żaden z nich jeszcze tego nie wiedział, ale coraz bardziej zbliżali się do rozwiązania.

Wkrótce zadadzą mu jedno, ostateczne pytanie.

A potem zawrą umowę.

Wszystko zostanie w niej precyzyjnie sformułowane. Nie będzie miejsca na żadne

domysły. W gruncie rzeczy sprawa była bardzo prosta: Goddard jedynie zmieniał sojusze. Przechodził na drugą stronę.

Andrew Trewayne wstał zza stołu, oddał taśmę z kalkulatora, przyjrzał się jej, a następnie podał asystentowi i zaczął trzeć zmęczone oczy.

–Skończone?

–Czy skończone? – odpowiedział Trewayne pytaniem. – Pan chyba żartuje.

Przykro mi, ale wszystko dopiero się zaczęło.

–Tak, oczywiście. Ma pan całkowitą rację... Dopiero się zaczęło. Czeka nas wiele lat pracy, trzeba będzie napisać wiele tomów. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę... Musimy teraz porozmawiać.

–Porozmawiać? My? Nie, panie Goddard. To może nie jest skończone, ale ja na pewno skończyłem z panem. Może pan porozmawiać z innymi... o ile zdoła ich pan do tego nakłonić.

–Co pan chce przez to powiedzieć?

–Nawet nie będę się starał udawać, że rozumiem pańskie motywy. Albo jest pan najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem... albo zżera pana tak wielkie poczucie winy, że stracił pan zdolność logicznego myślenia. Tak czy inaczej, spróbuję panu pomóc. Zasłużył pan na to... Jednak, szczerze mówiąc, wątpię, czy ktokolwiek będzie chciał pana dotknąć, a już na pewno nie ludzie, na których najbardziej panu zależy. Oni nie wiedzą, czy pański trąd nie jest zaraźliwy ani czy przypadkiem już nie są nim zarażeni. Gdyby tak było, to wystarczyłoby, żeby pojawił się pan w ich pobliżu, a wtedy choroba natychmiast wypełzłaby z ukrycia.



## Rozdział 51

Kiedy Andrew Trewayne wszedł do Owального Gabinetu, prezydent Stanów Zjednoczonych podniósł się z fotela. Trewayne'a zaskoczyła obecność Williama Hilla; ambasador stał po drugiej stronie pokoju przy wysokich francuskich oknach i przeglądał jakieś dokumenty we wpadającym przez szyby ostrym blasku przedpołudniowego słońca. Prezydent, zauważywszy reakcję Andrew, natychmiast pośpieszył z wyjaśnieniami.

–Dzień dobry, panie Trewayne. Ambasador zjawił się tutaj na moją osobistą prośbę. Usilną prośbę, jeśli chce pan znać prawdę. Andrew podszedł do biurka i uściśnął podaną dłoń.

–Dzień dobry, panie prezydencie. – Następnie odwrócił się i skierował w stronę Hilla, który wyszedł mu kilka kroków naprzeciw. Spotkali się w połowie drogi między biurkiem a francuskimi oknami.

–Panie ambasadorze...

–Panie przewodniczący...

Trewayne bez trudu wyczuł lodowaty chłód w głosie Hilla, graniczący niemal z obelgą. Ambasador najwyraźniej był czymś rozwścieczony. I bardzo dobrze – pomyślał Andrew. Nie spodziewał się tego, ale nie miał nic przeciwko temu. Sam znajdował się w podobnym nastroju. Odwrócił się i skierował uwagę na prezydenta, który wskazał mu jeden z czterech foteli ustawionych półkolem przed biurkiem.

–Dziękuję panu. – Zajął miejsce.

–Jak to się mówi? – zapytał prezydent z niezbyt przekonującym uśmiechem. – „I znowu spotykamy się we trzech...” Czy tak?

–Wydaje mi się, że słowa te brzmiały. „Kiedy znowu spotkamy się we trzech?” – powiedział powoli Hill, ciągle stojąc. – Tamci trzej ludzie przepowiedzieli upadek rządu. Nie mieli żadnej pewności, czy uda im się dotrzeć do następnego spotkania.

Prezydent utkwiał w ambasadorze spojrzenie, w którym współczucie walczyło o lepsze z irytacją.

–Wydaje mi się, Bill, że to bardzo ryzykowna interpretacja. Wątpię, czy zyskałbyś dla niej poparcie środowisk akademickich.

–Na całe szczęście, panie prezydencie, opinia tych środowisk niewiele mnie obchodzi.

–A powinna, panie ambasadorze – odparł sucho prezydent, po czym zwrócił się do Trewayne'a: – Domyślam się, panie Trewayne, że poprosił pan o spotkanie w związku z moją niedawną decyzją. Nie wie pan, co myśleć o wstrzymaniu rozpowszechniania pańskiego raportu i oczekuje pan w tej sprawie wyjaśnień. Ma pan do tego całkowite prawo tym bardziej, że

jak się okazało, wydając tę decyzję, opierałem się na fałszywych przesłankach.

Andrew był bardzo zaskoczony. Nie kwestionował decyzji prezydenta, gdyż działała ona na jego korzyść.

–Nie wiedziałem o tym, panie prezydencie. Uważam, że postąpił pan jak najbardziej słusznie.

–Doprawdy? A mnie wydawało się, że bez trudu dostrzeże pan rzeczywiste tło

wydarzeń... Otóż śmierć Roberta Webstera nastąpiła w wyniku prywatnej wojny i nie miała nic wspólnego z pańską osobą. Nie zna pan tych ludzi i nie mógłby pan ich zidentyfikować, w przeciwieństwie do Webstera, który z tego właśnie powodu musiał zostać uciszony. Pan jest ostatnim człowiekiem na ziemi, którego chcieliby dotknąć.

Trevayne poczerwieniał, częściowo z gniewu, znacznie bardziej z oburzenia. Naturalnie, że był „ostatnim człowiekiem na ziemi, którego chcieliby dotknąć”. Jego śmierć wywołałaby prawdziwą burzę, śledztwo przeistoczyłoby się zaś w ogólnonarodowe polowanie na zabójców. W przypadku Webstera o niczym takim nie mogło nawet być mowy, gdyż Bobby Webster stanowił kłopotliwy ciężar dla wszystkich, nie wyłączając człowieka siedzącego teraz za biurkiem w Ovalnym Gabinetcie.

–Rozumiem. Dziękuję za lekcję praktycznego myślenia.

–Na tym właśnie polega moja praca.

–Skoro tak, to jednak chciałbym usłyszeć pańskie wyjaśnienia, panie prezydencie.

–Usłyszy je pan, panie przewodniczący – wycedził Hill, po czym usiadł w fotelu najbardziej oddalonym od miejsca zajmowanego przez Trevayne'a.

–Oczywiście, bez wątplenia – ciągnął prezydent ze sztucznym ożywieniem, starając się zatuszować nieuprzejme zachowanie ambasadora. – Musi je pan usłyszeć. Jednak, jeżeli pan pozwoli, chciałbym najpierw skorzystać z pewnego przywileju. Załóżmy, że nie ma on związku z moim stanowiskiem, lecz powiedzmy, z wiekiem...Otóż jestem niezmiernie ciekaw, dlaczego tak bardzo chciał się pan ze mną zobaczyć? Podobno zagroził pan sekretarkom, że nie ruszy się pan z holu, dopóki pana nie umówią. Zmieniono mi od dawna ustalony i dość napięty rozkład dnia... Przecież raport jest ukończony, a formalności związane z zakończeniem działalności przez pańską komisję nie mają zbyt wielkiej wagi.

–Nie byłem pewien, kiedy zdecyduje się pan ujawnić treść raportu.

–I to tak bardzo pana martwi?

–Tak, panie prezydencie.

–Dlaczego? – wtrącił się obcesowo William Hill. – Uważa pan, że prezydent ma zamiar go ukryć?

–Nie. Po prostu raport nie jest kompletny.

Zapadła cisza. Prezydent i ambasador wymienili szybkie spojrzenia.

–Czytałem go do późnej nocy, panie Trevayne – powiedział wreszcie prezydent, odchylając się do tyłu w fotelu. – Odniosłem wrażenie, że niczego mu nie brakuje.

–Tak nie jest.

–A czego mu brakuje? – zapytał Hill. – Lub może powinienem powiedzieć: co zostało usunięte?

–Oba pytania byłyby właściwe, panie ambasadorze. Otóż zamieściłem w raporcie jedynie własne, powściągliwe opinie, pomijając szczegółowe – i bardzo obciążające – informacje na temat Genessee Industries.

Prezydent wyprostował się raptownie i spojrzał wprost na Trevayne'a.

–Dlaczego pan to zrobił?

–Ponieważ wydawało mi się, że zdołam zapanować nad sytuacją w bardziej

cywilizowany sposób. Niestety, omyliłem się. Prawda musi zostać ujawniona. Cała prawda.

Prezydent oparł się na podłokietniku i przeniósł spojrzenie w stronę okna, wystukując palcami szybki, nierówny rytm.

–Czasem powściągliwe, przemyślane opinie okazują się najśluszniesze...  
Szczególnie jeśli pochodzą od tak rozsądnego człowieka jak pan.

–W tym przypadku całkowicie się pomyliłem. Dałem się zwieść argumentom, które okazały się zupełnie bezwartościowe.

–Czy byłby pan uprzejmy wyrażać się nieco jaśniej? – poprosił Hill.

–Naturalnie. Przekonano mnie... nie, raczej sam siebie przekonałem, że mogę rozwiązać problem, zmuszając do rezygnacji tych, którzy go stworzyli. Usuwając ich, doprowadziłbym do zmiany motywów działania, a to z kolei pozwoliłoby na przeprowadzenie restrukturyzacji setek zakładów przemysłowych funkcjonujących do tej pory w ramach korporacji. Po pewnych administracyjnych zmianach mogłyby znowu zacząć działać na normalnym, wolnym rynku.

–Rozumiem... – mruknął prezydent. – Najpierw zniszczyć skorumpowane jednostki, potem samą korupcję, a wreszcie wprowadzić porządek do chaosu. Czy o to właśnie chodziło?

–Tak, panie prezydencie.

–Jednak po dokładniejszej analizie okazało się, że nie da się zniszczyć skorumpowanych jednostek – rzucił od niechcienia Hill, unikając wzroku Trevayne'a.

–Do takiego właśnie wniosku doszedłem.

–Chyba zdaję pan sobie sprawę, że to rozwiązanie jest o niebo lepsze od chaosu, jaki musiałby nastąpić po rozbiciu struktury Genessee Industries? Genessee jest jednym z głównych dostawców Departamentu Obrony. Utrata zaufania do tej instytucji przyniosłaby niepowetowane straty w skali całego narodu – zauważył prezydent, ponownie pochylając się do przodu w fotelu.

–Tak początkowo myślałem.

–Wydaje mi się, że całkiem słusznie.

–Teraz jednak zmieniłem zdanie, panie prezydencie. Jak słusznie zauważył ambasador Hill, nie da się zniszczyć skorumpowanych jednostek.

A czy można je wykorzystać? – Ton głosu prezydenta nie świadczył o tym, żeby miało to być pytanie.

–Na dłuższą metę, na pewno nie. Im dłużej trwa oblężenie, tym doskonalsza staje się ich obrona. Tworzą bazę, którą udostępnią swoim pupilom, i posługują się własnym systemem wartości. To jakby elitarna tajna rada realizująca własne plany i chroniona dzięki niewyobrażalnym możliwościom ekonomicznym. Jedynym rozwiązaniem jest natychmiastowa, całkowita demaskacja.

–A czy przypadkiem pan także nie posługuje się własnym systemem wartości, panie przewodniczący?

Trevayne'a irytowało ciągle używanie przez Hilla jego oficjalnego tytułu.

–Mówię panom prawdę.

–Czyją prawdę? – nie ustępował ambasador.

–Po prostu prawdę, panie Hill.

–Która jednak nią nie była, kiedy kończył pan pisać raport. Prawda się zmieniła, bo zmianie uległ system ocen.

–Zgadza się. Ze względu na fakty, które wcześniej nie były znane.

–Jakie fakty? – zapytał William Hill cichym, pozornie spokojnym głosem. – A może tylko jeden fakt? Taki mianowicie, że zgodził się pan zataić pewne ustalenia podkomisji w zamian za propozycję, którą po namyśle uznał pan za opartą na nierealnych podstawach? Za prezydenturę Stanów Zjednoczonych?

Andrew poczuł, że żołądek skurczył mu się do rozmiarów pięści. Spojrzał na prezydenta.

–Pan wiedział.

–Naprawdę myślał pan, że się nie dowiem?

–Może to dziwne, ale specjalnie się nad tym nie zastanawiałem. Zachowałem się jak idiota.

–Dlaczego? Przecież mnie pan nie zdradził. Poprosiłem pana o wykonanie pewnej roboty. Nie żądałem ani politycznej wierności, ani ślepego posłuszeństwa.

–Ale żądał pan lojalności, panie prezydencie – powiedział z przekonaniem w głosie Hill.

–Według czyjej definicji, panie ambasadorze? – odparował gospodarz. – Czy mam przypomnieć pańskie uwagi na temat prawd i systemów wartości?... Nie, panie Trevayne. Nie silę się na wyrozumiałość ani na troskliwość. Po prostu jestem przekonany, że miał pan dobre intencje – w takim sensie, w jakim je pan pojmował. Dzięki temu czeka mnie teraz łatwiejsze

zadanie. Wstrzymałem rozpowszechnianie pańskiego raportu wyłącznie po to, by nie doprowadził pan tego kraju do katastrofy. Niszcząc Genessee Industries, zupełnie niepotrzebnie zniszczyłby pan znaczną część jego ekonomii. Setki tysięcy ludzi straciłoby miejsca pracy, tysiące utraciłoby nienaganną reputację. Chyba może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy dowiedziałem się, co pan zamierza.

Andrew Trevayne nie odwrócił spojrzenia.

–Przyznam, że jest to dość zaskakujące stwierdzenie.

–Nie bardziej niż pański raport. A także okoliczność, że nie poinformował pan nikogo o terminie jego dostarczenia. Nie skorzystał pan z usług rządowej drukarni, nie zasięgnął pan opinii prawników z Departamentu Sprawiedliwości...

–Nie wiedziałem o tych zwyczajach. Gdybym wiedział, z pewnością zastosowałbym się do nich.

–Mógł się pan o nich dowiedzieć na dziesięć różnych sposobów – wtrącił się Hill.

– Gdyby nie to, że był pan zaprzątnięty innymi, znacznie ważniejszymi sprawami...

–Panie ambasadorze, odkąd tu wszedłem, bez przerwy usiłuje pan przycisnąć mnie do ściany. Zupełnie mi się to nie podoba. Z całym należnym szacunkiem proszę, by zechciał pan tego zaprzestać.

–A ja bez żadnego szacunku informuję pana, że będę to robił dopóty, dopóki prezydent nie zażyczy sobie inaczej.

–W takim razie życzę sobie tego, Bill... Proszę pamiętać, panie Trevayne, że pan

Hill współpracował ściśle nie tylko ze mną, ale także z wieloma moimi poprzednikami, w związku z czym ocenia pańskie działania znaczniej surowiej ode mnie. – Prezydent uśmiechnął się lekko. – Ambasador nie jest i nigdy nie będzie politykiem. Mówiąc wprost, jest przekonany o tym, że postanowił pan odebrać mi szansę sprawowania urzędu przez drugą kadencję. Życzę panu szczęścia, tym bardziej że nie wydaje mi się, żeby mógł pan cokolwiek osiągnąć.

Trevayne odetchnął głęboko.

–Gdybym mógł choć przez chwilę przypuszczać, że będzie pan się ubiegał o powtórny wybór, nie stałoby się nic z tego, co się stało. Bardzo mi przykro, panie prezydencie. Nawet nie potrafię wyrazić jak bardzo.

Uśmiech zniknął z twarzy prezydenta. Hill otworzył już usta, by coś powiedzieć, ale gospodarz powstrzymał go nagłym ruchem ręki.

–Czy mógłby pan wyjaśnić, co ma pan na myśli?

–Powiedziano mi, że nie stanie pan do wyborów i że pańska decyzja jest nieodwołalna.

–A pan oczywiście uwierzył.

–Stanowiło to podstawę wszelkich rozmów na ten temat.

–Czy powiedziano panu także, jakie są powody mojej decyzji?

–Tak... Bardzo mi przykro.

Prezydent wpatrywał się badawczo w twarz Trevayne'a. Andrew czuł się okropnie. Nie chciał patrzeć w oczy temu dobremu, porządnemu człowiekowi, ale wiedział, że nie wolno mu odwrócić wzroku.

–Z powodu stanu zdrowia? – zapytał po prostu prezydent.

–Tak.

–Rak?

–Wydawało mi się, że to najlogiczniejszy wniosek... Naprawdę ogromnie mi przykro.

–Niepotrzebnie. To kłamstwo.

–Oczywiście, panie prezydencie.

–Powiedziałem, że to kłamstwo.

–Jak pan sobie życzy.

–Pan mnie nie rozumie, Trevayne. To naprawdę kłamstwo. Najprostsze, najbardziej okrutne kłamstwo, jakim można posłużyć się w polityce.

Andrew wpatrywał się z rozchylonymi ustami w silnego, poważnego mężczyznę siedzącego za biurkiem. Nieruchome, pewne spojrzenie prezydenta potwierdzało prawdę zawartą w jego słowach,

–W takim razie jestem cholernym głupcem.

–Wolę to niż okresowe naświetlania lampą kobaltową... Mam zamiar podjąć trud kampanii wyborczej, uzyskać nominację mojej partii i powtórnie zasiąść w tym fotelu. Czy to jasne?

–Tak.

–Panie Trevayne... – odezwał się przyciszonym głosem William Hill. – Proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie jest pan jedynym cholernym głupcem w tym gabinecie.

– Na twarzy starego człowieka pojawił się wymuszony uśmiech. – Gdyby urządzić konkurs, nie wiem, który z nas zająłby pierwsze miejsce. Obaj jesteśmy żałośni.

–Kto konkretnie przeczytał panu mój przedwczesny nekrolog?

–Czytano mi go dwa razy. Po raz pierwszy w Villa d'Este w Georgetown.

Przyszedłem na to spotkanie ze sceptycznym nastawieniem, spodziewając się, że ktoś będzie chciał skłonić mnie do zmiany treści raportu. Okazało się, że nikt nawet nie zająknął się na ten temat. Wręcz przeciwnie. Kiedy stamtąd wyszedłem, byłem już w trzech czwartych kandydatem.

–Nie odpowiedział mi pan na...

–Przepraszam. Senator Alan Knapp. Oznajmił mi – zdaje się, iż użył przy tym sformułowań: „ku ogólnemu pożytkowi” i „dla dobra kraju” – że opuści pan urząd, rezygnując z ubiegania się o drugą kadencję.

Prezydent spojrzał na Hilla.

–Zajmiesz się tym, Bill?

–Nasz przedsiębiorczy senator odejdzie na emeryturę jeszcze przed końcem miesiąca. Może pan to uważać za prezent gwiazdkowy, panie prezydencie.

–Proszę mówić dalej.

–Drugie spotkanie odbyło się w Nowym Jorku, w Waldorf Towers. Wzięli w nim udział Aaron Green oraz Ian Hamilton. Wydawało mi się, że doszło do rozgrywki w otwarte karty i że ja wyszedłem z niej zwycięsko. Stąd właśnie wziął się raport w takiej postaci, w jakiej go pan otrzymał. Hamilton powiedział, że nie dotrwa pan do końca drugiej kadencji i dlatego rezygnuje pan, szykując na swego następcę wiceprezydenta lub gubernatora Nowego Jorku. Żadnego z nich nie mogli zaakceptować.

–Scylla i Charybda uderzają ponownie, co Bill?

–Tym razem posunęły się za daleko?

–Jak zwykle. Nie ruszaj ich.

–Rozumiem...

Trevayne przysłuchiwał się wymianie zdań między dwoma starszymi mężczyznami.

–Panie prezydencie, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego pan tak mówi? Przecież ci ludzie powinni...

–Za chwilę do tego dojdziemy, panie Trevayne – przerwał mu prezydent. – Jeszcze tylko jedno pytanie. Kiedy przekonał się pan, że stał się pan obiektem manipulacji? Genialnej manipulacji – teraz, kiedy widzę cały obraz, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

–Dzięki Paulowi Bonnerowi.

–Komu?

–Majorowi Paulowi Bonnerowi...

–Z Pentagonu. – Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie. Pytanie padło dopiero teraz: – Temu, który zabił człowieka na terenie pańskiej posiadłości w Connecticut?

–Tak. Ocalił mi wtedy życie. Zostanie oczyszczony z zarzutu popełnienia morderstwa, ale nie minie go sąd wojskowy. Wyrzucą go z armii.

–A pan uważa, że to nie jest sprawiedliwe?

–Tak, panie prezydencie. Pod wieloma względami nie zgadzam się z majorem, ale...

–Zajmę się tym – przerwał mu ponownie szef państwa, notując coś pośpiesznie. – Co powiedział panu ten Bonner?

Andrew umilkł na chwilę, by zebrać myśli. Chciał przedstawić sprawę jasno i zwięźle. Był to winien Paulowi.

–Pewien ogarnięty depresją generał brygady nazwiskiem Cooper wygadał się przed nim, że jestem kandydatem Pentagonu i że major znalazł się w zabawnym położeniu, gdyż koniec końców... – Przerwał, zawstydzony tym, co musi powiedzieć. – Gdyż może się okazać, że wyrok sądu wojskowego zostanie uchylony po interwencji prezydenta... czyli mojej.

–Dobry Boże... -westchnął ledwo słyszalnie Hill.

–I co?

–To było zupełnie pozbawione sensu. Uważałem, że spotkanie z Greenem i Hamiltonem zakończyło się moim sukcesem, że zmusiłem ich do kapitulacji. Byłem pewien dwóch rzeczy. Po pierwsze, że nie jestem ich kandydatem, i po drugie, że przyjęli moje warunki. Znaleźli się w odwrocie... Informacje zdobyte przez Bonnera świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

–W związku z tym spotkał się pan z Cooperem – podsunął prezydent.

–Tak jest. Dowiedziałem się nie tylko tego, że naprawdę jestem kandydatem Pentagonu, a tym samym Genessee Industries, ale że byłem nim od samego początku. Wszystkie środki, jakimi dysponuje wojsko – dane wywiadu, tajne powiązania ze światem biznesu, nawet możliwości indoktrynacji – miały zostać użyte w celu zapewnienia mi zwycięstwa. Elektoratem miało zająć się Genessee Industries. Oni nie skapitulowali, nie znaleźli się w odwrocie. Przez cały czas wodzili mnie za nos. Gdybym uzyskał nominację – albo, Boże broń – wygrał wybory, znalazłbym się w pułapce. Gdybym chciał się od nich uniezależnić i zniszczyć ich, ujawniając wszystkie machinacje, zniszczyłbym sam siebie.

–Tym samym burząc swój wizerunek wiarygodnego kandydata lub, co gorsza, podważając międzynarodowe zaufanie do kierowanego przez pana rządu – uzupełnił prezydent.

–Podjęli wielkie ryzyko – zauważył William Hill. – To do nich niepodobne.

–A mieli jakiś wybór, Bill? Przecież nie mogli go ani kupić, ani zastraszyć. Gdyby twój młody przyjaciel sam do nich nie przyszedł, zjawiliby się po niego, proponując dokładnie to samo: stwarzający pozory demokracji, uporządkowany reżim zamiast w pełni demokratycznego chaosu. Możliwe, że i ja, i ty też dalibyśmy się na to nabrać.

–Mówi pan tak, jakby wszystko pan o nich wiedział...

–Na pewno wiem bardzo dużo, ale nie wszystko. Jestem przekonany, że wiele aspektów ich działalności zdążył pan poznać znacznie lepiej od nas. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan poinformować nas o swoich ustaleniach. Ma się rozumieć, cały materiał będzie traktowany jako ściśle tajny.

–Tajny? Panie prezydencie, tych informacji nie wolno utajniać! Muszą zostać

podane do wiadomości publicznej.

–Dwadzieścia cztery godziny temu miał pan na ten temat odmienne zdanie.

–Bo wtedy były inne okoliczności.

–Czytałem pański raport. Jest w pełni satysfakcjonujący.

–Właśnie, że nie. Tej nocy spędziłem pięć godzin w towarzystwie człowieka nazwiskiem Goddard...

–Prezes oddziału Genessee w San Francisco – wyjaśnił William Hill w odpowiedzi na pytające spojrzenie prezydenta.

–Przyjechał z San Francisco z czterema walizkami komputerowych danych na temat Genessee, obejmujących kilka ostatnich lat. O większości tych spraw nikt nie miał do tej pory najmniejszego pojęcia!

–Nie wątpię, że o tym także nam pan opowie. Raport pozostanie w swojej obecnej postaci.

–Nie! To niemożliwe. Nie zgadzam się!

–Oczywiście, że pan się zgodzi! – odparł prezydent, podnosząc głos. Mówił teraz równie głośno jak Trevayne. – Zgodzi się pan, ponieważ to jest moja decyzja!

–Nie może mnie pan zmusić, żebym się jej podporządkował. Nie ma pan nade mną żadnej władzy.

–Na pańskim miejscu nie byłbym tego taki pewien. Przekazał pan oficjalnie raport do dyspozycji prezydenta. Tak się składa, że dysponujemy wszystkimi pięcioma podpisanymi przez pana egzemplarzami, przy czym cztery znajdują się w jeszcze nie rozpieczętowanych kopertach. Praktycznie mamy więc do czynienia z jednym egzemplarzem. Wszelkie sugestie, że został sfalszowany lub że usunięto z niego niektóre fragmenty, wywołałyby ogromne zamieszanie i zaowocowałyby burzą pytań. Z kolei gdybyśmy pozwolili panu go wycofać, ostrze podejrzeń skierowałoby się w naszą stronę. Nasi przeciwnicy twierdziliby, że zażądaliśmy wprowadzenia poprawek. Nie mogę do tego dopuścić. Sprawując swój urząd, mam codziennie do czynienia z nadzwyczaj delikatnymi zagadnieniami wewnętrznymi i międzynarodowymi. Nie pozwolę na podważanie naszej wiarygodności tylko po to, żeby pan mógł zaspokoić swoje ambicje. Tutaj, w Białym Domu, musimy pozostać poza wszelkimi podejrzeniami.

–Oni powiedzieliby dokładnie to samo... – wykrztusił ze zdumieniem Andrew.

–Nie odczuwam żadnych oporów przed stosowaniem czyjejś strategii, naturalnie pod warunkiem, że ma ona ręce i nogi.

–A jeśli ogłoszę publicznie, że raport nie jest kompletny?

–Nic by pan nie osiągnął, naturalnie nie licząc cierpień i wstydu, jakie ściągnąłby pan na siebie i swoją rodzinę – odparł spokojnie William Hill. – Stracił pan wiarygodność wczoraj rano, kiedy przesłał pan raport prezydentowi. Teraz chce pan ją odzyskać? Takie pragnienie może pana ogarnąć po raz trzeci, kiedy jakaś grupa polityków zechce uczynić pana gubernatorem, i będzie powracać wraz z każdym awansem na wyższe stanowisko. Potrafi pan wyznaczyć sobie granicę, której pan nie przekroczy? Ile jeszcze wersji raportu byłby pan w stanie przygotować?

–Nie interesuje mnie opinia ludzi. Powtarzałem to od samego początku. Nie mam



nic do zyskania ani do stracenia.

–Z wyjątkiem możliwości działania jako pożyteczna, cenna jednostka – zripostował prezydent. – Pan nie może bez tego żyć, panie Trevayne. Nikt obdarzony pańskimi zdolnościami nie mógłby bez tego żyć. Tymczasem zostałyby pan pozbawiony tej szansy, znalazłby się poza społecznością równych sobie. Nikt nigdy by panu nie zaufał. Wątpię, czy wytrzymałby pan taką egzystencją. Każdy z nas czegoś potrzebuje; nikt nie jest całkowicie samowystarczalny.

Andrew doskonale rozumiał głęboki sens słów prezydenta.

–Więc dopuści pan do tego? – zapytał, patrząc prosto w oczy mężczyźnie siedzącemu za biurkiem. – Pozwoli pan, żeby wszystko zostało tak jak było?

–Naturalnie.

–Dlaczego?

–Ponieważ zawsze muszę mieć na uwadze większe dobro. Mówiąc najprościej, jak można, potrzebuję Genessee Industries.

–Nie!... To niemożliwe. Pan nie mówi poważnie. Nie wie pan, co to naprawdę jest!

–Wiem natomiast, że służą konkretnym celom i że można ich kontrolować. Nie muszę wiedzieć nic więcej.

–To się nie uda.

–Nie może pan tego zaręczyć. – Prezydent niespodziewanie uderzył pięścią w podłokietnik i wstał z fotela. – Nikt nie może niczego zagwarantować! Ryzykuję za każdym razem, kiedy wchodzę do tego gabinetu, i za każdym razem, gdy z niego wychodzę... Proszę mnie posłuchać, Trevayne. Głęboko wierzę w to, iż ten kraj jest w stanie dobrze służyć uczciwym potrzebom swoich mieszkańców, a także całej ludzkości, ale znam życie wystarczająco

dobrze, by wiedzieć, że czasem w tej służbie trzeba uciekać się do niezbyt uczciwych manipulacji... Czy to pana dziwi? Nie powinno. Z pewnością zdaje sobie pan sprawę, że nie cała broń zostanie przekuta na lemiesz, że Kainowie nadal będą mordować Abli, że szarańcza będzie niszczyła zbiory, a biedni i uciskani z coraz większym znużeniem i bezradnością będą czekać na dostatki, które mają im przypaść w udziale na tamtym świecie. Oni chcą

czegoś tutaj i teraz! Czy się panu to podoba, czy nie, Genessee Industries próbuje im to zapewnić. Jestem całkowicie przekonany, że jego istnienie nie stanowi poważnego zagrożenia. Genessee Industries było i nadal pozostanie pod kontrolą. Będzie przez nas wykorzystywane, panie Trevayne. Wykorzystywane.

–Wiecznie poszukujemy rozwiązań – odezwał się William Hill, obserwując ze współczuciem zdumionego i wstrząśniętego Trevayne'a. – Pamięta pan, jak mu to mówiłem? Prawdziwym rozwiązaniem jest samo jego poszukiwanie. Mając do czynienia z takimi twórcami jak Genessee Industries, należy po prostu poszukiwać dla nich zastosowania. Prezydent ma rację.

–Nieprawda – odparł cicho Andrew, spoglądając na mężczyznę stojącego za biurkiem. – Nie ma racji. To nie jest rozwiązanie, tylko kapitulacja.

Prezydent usiadł.

–Raczej przemyślana strategia, dostosowana do wymagań naszego systemu.

**–W takim razie system także jest do niczego.**

**–Być może – odparł obojętnie gospodarz, kładąc przed sobą plik jakichś dokumentów. – Nie miałem czasu zastanawiać się nad takimi subtelnościami.**

**–Nie sądzi pan, że powinien go znaleźć?**

**–Nie – stwierdził prezydent, podnosząc wzrok znad papierów. – Przede wszystkim muszę kierować tym krajem.**

**–O mój Boże...**

**–Proszę zachować dla kogoś innego wyrazy moralnego oburzenia. Czas, panie Trewayne. Muszę liczyć się z czasem. Pański raport pozostanie w nie zmienionej wersji.**

**Andrew podniósł się z fotela, a wtedy prezydent, jakby przypomniawszy sobie, że powinien to zrobić, wyciągnął do niego rękę,**

**Trewayne przez chwilę spoglądał to na nią, to w nieruchome oczy człowieka sprawującego najwyższy urząd w państwie.**

**Nie uściśnął jej...**

## Rozdział 52

Paul Bonner rozglądał się po sali sądowej w poszukiwaniu Trevayne'a. Nie mógł go nigdzie dostrzec w gęstym, kłębiącym się tłumie. Salę wypełniał gwar podniesionych głosów, wykrzykiwanych co sił w płucach pytań, a wszystkiemu akompaniowały dyskretne pyknięcia lamp błyskowych. Andrew pojawił się na porannej rozprawie i Paul spodziewał się, że zaczeka, by przekonać się, czy sąd podtrzyma wyrok, który zapadł w pierwszej instancji.

Podtrzymał.

Po obradach trwających godzinę i pięć minut.

Uniewinnienie.

Bonner wcale się nie niepokoił. W trakcie rozprawy nabierał coraz wyraźniejszego przekonania, że jego wojskowy adwokat dałby sobie doskonale radę nawet bez pomocy eleganckich, bezwzględnych prawników sprowadzonych przez Trevayne'a z Nowego Jorku. Jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że byli fachowcami najwyższej klasy. Każdy z nich emanował spokojną pewnością siebie, a kiedy musieli wymienić nazwisko de Spadante, w ich głosach słyhać było z trudem tłumioną odrazę. Spisali się tak dobrze, że kilku członków ławy przysięgłych pokiwało głowami, gdy obrońcy przeprowadzili długi wywód, przeciwstawiając dzielnego żołnierza, przez wiele lat przelewającego krew w dzikiej dżungli w obronie narodowych instytucji, szczerom z podziemnego świata, starającym się ze wszystkich sił doprowadzić do upadku tychże instytucji.

Trevayne'a nigdzie nie było.

Paul Bonner przepychał się przez tłum w kierunku drzwi. Choć potrącano go i zasypywano pytaniami, starał się zachować uśmiech na twarzy, powtarzając w kółko, że złoży oświadczenie w późniejszym terminie oraz mamrocząc banały o swojej niewzruszonej wierze w rzetelność wymiaru sprawiedliwości.

Te puste, pozbawione znaczenia frazesy pozostawały w sprzeczności z okropną wiedzą, którą nosił w duszy. Najdalej za miesiąc stanie przed innym sądem, którego członkowie będą w mundurach. Tej bitwy nie uda mu się wygrać. Rezultat był przesądzony.

Znalazłszy się na schodach, rozejrzał się w poszukiwaniu obstawy i brązowej limuzyny, która miała zabrać go z powrotem do koszar w Arlington. Nigdzie nie mógł dostrzec ani żandarmów, ani samochodu. Niespodziewanie podszedł do niego jakiś starszy sierżant w nienagannie odprasowanym mundurze i wypucowanych do połysku butach.

–Proszę ze mną, majorze.

Stojący za rogiem samochód – ogromna, błękitna limuzyna – miał umocowane do błotników dwie flagi, poruszające się niepewnie w słabych podmuchach grudniowego wiatru. Obie były krwistoczerwone, na obu błyszcząły po cztery złote gwiazdy.

Sierżant otworzył przed Bonnerem tylne prawe drzwi, podczas gdy reporterzy kłębili się dokoła, robiąc zdjęcia i wykrzykując jeden przez drugiego pytania. Paul nie musiał się zastanawiać, kim jest generał czekający na niego w limuzynie, gdyż dziennikarze przekazywali sobie wiadomość podekscytowanymi głosami.

**Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów USA.**

**Kiedy Bonner wszedł do samochodu, generał nie odezwał się ani słowem.**

**Wpatrywał się nieruchomym spojrzeniem w szybę oddzielającą kierowcę od Bardzo Ważnych Pasażerów.**

**Sierżant utorował sobie drogę między podekscytowanymi reporterami i usiadł za kierownicą. Limuzyna ruszyła powoli, rozganiając dziennikarzy donośnym trąbieniem.**

**–Otrzymałem rozkaz, by urządzić to małe przedstawienie, majorze. Mam nadzieję, że się panu spodobało – powiedział sucho generał, nie patrząc na Bonnera.**

**–Odnoszę wrażenie, że nie jest pan tym zachwycony, panie generale. Starszy rangą oficer spojrzał szybko na Paula, po czym odwrócił wzrok, sięgnął do elastycznej kieszeni na drzwiach samochodu i wydobyl z niej dużą kopertę.**

**–Otrzymałem także rozkaz, żeby to panu przekazać. Wypełniani go z taką samą odrazą, z jaką wypełniłem pierwszy.**

**Podał kopertę Bonnerowi, który był tak zaskoczony, że wymamrotał tylko ledwo słyszalne „dziękuję”. Nadruk w lewym górnym rogu poinformował go, że przesyłka pochodzi nie z Kolegium Szefów Sztabów, lecz z Departamentu Obrony.**

**Otworzywszy kopertę, wydobyl z niej pojedynczą kartkę. Była to kopia listu z Białego Domu, zaadresowanego do podsekretarza do spraw wojskowych i podpisanego przez prezydenta USA.**

**List napisano suchym, konkretnym językiem, nie pozostawiającym miejsca na jakiegokolwiek interpretację. Można się było tylko domyślać, jak wielki gniew, a może nawet wrogość, odczuwał jego autor.**

**Prezydent nakazywał podsekretarzowi do spraw wojskowych wycofanie wszelkich oskarżeń przeciwko majorowi Bonnerowi. Wspomniany major Bonner miał otrzymać natychmiastowy awans na stopień pułkownika i zostać skierowany w ciągu miesiąca do Akademii Wojennej w celu odbycia pełnego szkolenia strategicznego. Po ukończeniu Akademii – czyli po upływie sześciu miesięcy – pułkownik Bonner miał otrzymać przydział w charakterze oficera łącznikowego przy Kolegium Szefów Sztabów.**

**Paul Bonner złożył starannie list, schował go do koperty, zamknął oczy i oddał się milczącym rozważaniom na temat ironii tego wszystkiego.**

**Z powrotem do roboty.**

**Co mogą wiedzieć bobry?**

**Jednocześnie z tajemniczych przyczyn coś nie dawało mu spokoju. Może nagły awans? Nie o jeden stopień, lecz od razu o dwa. Współbrzmiało to niepokojąco z obietnicą pewnego męża z Connecticut – obietnicą, która zaowocowała krwią, a potem śmiercią.**

**Postanowił jednak, że nie będzie zawracał sobie tym głowy. Był przecież profesjonalistą.**

**Nadszedł czas dla takich jak on.**

**Ian Hamilton poklepał swojego chesapeake'a po mokrej sierści. Wielki pies co chwila wybiegał naprzód, podnosił z pokrytej śniegiem ścieżki jakąś gałąź albo**

kamień i przynosił panu, oczekując w zamian pochwały.

Cóż za wspaniały niedzielny poranek – pomyślał Hamilton. Jeszcze dziesięć dni temu nie był pewien, czy będzie mógł kiedykolwiek wychodzić na niedzielne spacer, a przynajmniej na takie wiodące brzegiem jeziora Michigan.

Teraz wszystko się zmieniło. Strach zniknął, powróciło zaś normalne, towarzyszące mu do tej pory niemal bez przerwy uczucie dumy. Spokojnej dumy z wielkich osiągnięć. Cóż za ironia! Jedyne człowiek, którego się obawiał, jedyny człowiek, który mógł ich wszystkich zniszczyć, sam usunął się z szachownicy.

Lub został usunięty.

Tak czy inaczej, dowodziło to niezbitcie, że proponowany przez niego sposób postępowania okazał się najwłaściwszy. Aaron Green przeżył coś bardzo przypominającego załamanie nerwowe, Armbruster wygadywał w panice jakieś brednie o wcześniejszym przejściu na emeryturę, Cooper zaś -nieszczęsny, pozbawiony wyobraźni Cooper – musiał ukryć się w górach w Vermoncie, by tam walczyć z ogarniającą go histerią.

Ale on, Ian Hamilton, którego korzenie sięgały do początków tego ogromnego państwa, którego przodkowie byli dziedzicami Cambusquith, pozostał twardy i nieugięty.

Tak naprawdę to przez cały czas czuł się zupełnie bezpieczny. Na pewno znacznie bardziej niż pozostali. Przede wszystkim dlatego, że wiedział, iż wystarczy poczekać, aż Andrew Trewayne ogłosi nową, skróconą wersję raportu. Kiedy to już się stanie, kto odważy się wydać decyzję pozwalającą mu ujawnić oryginalną, pełną wersję? Lina zajmie się ogniem z obu końców, Trewayne zaś znajdzie się w pułapce własnej skłonności do kompromisu i marzeń rządu o zachowaniu nienaruszonego porządku rzeczy.

William Hill przyznał to niemal otwarcie.

Wielki Billy. Hamilton był bardzo ciekaw, czy Hill dowie się kiedykolwiek, jak wielkie zasługi – oczywiście nieświadomie – położył dla rozwoju Genessee Industries. Gdyby tak się stało, ambasador bez wątpienia targnąłby się na swoje życie. Jednak była to prawda: William Hill ponosił znaczną część odpowiedzialności. Przez wiele lat spędzonych w Waszyngtonie Hamilton uważnie go obserwował. Obaj zaliczali się do grona przyjaciół i doradców kolejnych prezydentów – Hill znacznie dłużej, ma się rozumieć. Widział, jak często kolejni lokatorzy Białego Domu lekceważyli rady ambasadora. Eisenhower nie posłuchał go w sprawie kryzysu wywołanego zestrzeleniem U-2, w wyniku czego doszło do odwołania spotkania na szczycie dwóch supermocarstw. McNamara zdołał przekonać Kennedy'ego, że Hill mylił się w sprawie Berlina, w wyniku czego doszło do postawienia muru. Szaleńcy z Pentagonu namówili zdezorientowanego Nixona do interwencji w Kambodży, wbrew kategorycznym protestom Williama Hilla.

Ian Hamilton uświadomił sobie, że obserwuje człowieka, na którego miejscu mógłby się już wkrótce znaleźć. Jakby siebie samego, tyle że starszego o kilka lat. Było to dla niego nie do przyjęcia.

Alternatywę stanowiły siła i wpływ Genessee Industries.

**Na tym właśnie się skoncentrował. Dla dobra wszystkich.**

**Chesapeake próbował oderwać suchą gałąź od leżącego na ziemi konaru, ale gałąź trzymała się mocno. Hamilton schylił się i ułamał ją.**

**Wymagało to sporego wysiłku, ale nawet nie przyśpieszył oddechu.**

**Wielki Billy.**

**Wielki Billy poleciał do Chicago jako wysłannik prezydenta Stanów Zjednoczonych. Prywatne spotkanie odbyło się w jednym z apartamentów Palmer House.**

**Należało omówić wiele zagadnień będących przedmiotem obopólnego zainteresowania. Obopólne zainteresowanie, A teraz prezydent chciał spotkać się z nim osobiście, porozmawiać z nim w Waszyngtonie.**

**Porozumienie zostanie osiągnięte.**

**Chesapeake znalazł kolejny kij. Ten jednak różnił się od pozostałych: z miejsca, gdzie kora została zdarta z białego drewna, sterczały ostre drzazgi. Pies zaskomlał boleśnie, a Ian Hamilton zobaczył, jak z pyska zwierzęcia kapią na śnieg krople szkarłatnej krwi.**

**Sam Vicarson usiadł na zaklejonym kartonowym pudle i rozejrzał się dokoła. Pokój był pusty, jeśli nie liczyć kanapy, która stała tu, kiedy podkomisja objęła biuro w posiadanie. Ludzie z firmy zajmującej się przeprowadzkami już prawie uporali się z zadaniem. Krzesła, biurka i szafki zniknęły bez śladu, by wywędrować tam, gdzie było miejsce dla krzesel, biurek i szafek, których już nikt nie potrzebował.**

**Kłopot sprawiały już tylko pudła. Trewayne kazał mu dopilnować ich przenoszenia i ładowania na ciężarówkę, która zawiezie wszystko do domu w Connecticut.**

**Dlaczego tak mu na nich zależało?**

**Dlaczego komukolwiek miało na nich zależeć?**

**Chyba jedynie szantażystom.**

**Ale przecież pudła nie zawierały najważniejszych dokumentów dotyczących Genessee Industries.**

**Tamte dokumenty zostały już dawno usunięte z piwnicy domu w Tawning Spring, zapakowane do drewnianych skrzyń, zamknięte na cztery spusty i odwiezione pod eskortą do podziemi Białego Domu. Tak przynajmniej sądził Vicarson.**

**Kłęska.**

**Ponieśli całkowitą klęskę.**

**Co prawda, Trewayne twierdził, że to nieprawda i że decyzje te zostały podjęte dla... Jak brzmiały te ohydne słowa? Aha: „Dla większego dobra”. Chyba jednak zapomniał, że jeszcze niedawno sam określił takie wymówki mianem „najpoważniejszego schorzenia dwudziestego wieku”.**

**Kłęska,**

**Miesiąć temu Sam nie uwierzyłby, że coś takiego jest możliwe. W ogóle nie brał pod uwagę takiej możliwości.**

**Do licha! Młody człowiek powinien sam dbać o swoje interesy.**

**Miał wybór. Boże, i to jaki! Dzięki Trewayne'owi otrzymał propozycje od kilku najważniejszych firm prawniczych z Nowego Jorku, łącznie z kancelarią Waltera**

Madisona. Aaron Green zaś udając, że podczas spotkania w Waldorf Towers Sam wywarł na nim niezwykle korzystne wrażenie, poinformował go, że już od najbliższego tygodnia może rozpocząć pracę jako szef wydziału prawnego jego agencji.

Jednak najlepsza ze wszystkich ofert nadeszła stąd, z Waszyngtonu. Złożył ją niejaki Smythe, pełniący obowiązki szefa personelu Białego Domu.

Znakomity początek.

Cóż mogło wyglądać lepiej w życiorysie niż posada w Białym Domu?

James Goddard siedział na wąskim, twardym łóżku w obskurnym wynajętym pokoju. Zza ściany dobiegały zawodzące dźwięki piszczałek i niepokojące brzęczenie jakiegoś dalekowschodniego instrumentu – sitaru, jak się domyślał. Muzycy z pewnością znajdowali się pod wpływem narkotyków.

Goddard nie był pijakiem, lecz zalał się w trupa. We wstrętnym barze otwieranym z samego rana z myślą o brudnych, cuchnących ludziach, którzy musieli wypić szklankę lub dwie przed pójściem do pracy – o ile mieli jakąś pracę, rzecz jasna.

Siedział w kącie wraz ze swoimi czterema bezcennymi teczkami i zamawiał jednego drinka za drugim.

Był pod każdym względem lepszy od wszystkich klientów znajdujących się w barze. Każdy widział to na pierwszy rzut oka. A ponieważ był tak bardzo lepszy, niechlujny barman starał się obsługiwać go ze specjalną atencją, czego zresztą Goddard po nim oczekiwał. Po pewnym czasie przysiadło się do niego kilku nieświeżych pijaczków, którzy także traktowali go z ogromnym szacunkiem. Postawił im kilka kolejek. Właściwie nie miał wyboru; barman powiedział, że nie może wydać reszty ze studolarowego banknotu, więc jedynym logicznym wyjściem było złożenie zamówienia za całą kwotę.

Napomknął niechlujnemu barmanowi, że ma ochotę na kobietę. Nie, nie na kobietę, lecz raczej na dziewczynę. Młodą dziewczynę o dużych piersiach i smukłych nogach. Nie na kobietę o obwisłych cyckach i tłustych udach, która mówiła przez nos i na wszystko narzekała. Bardzo zależało mu na tym, żeby ta dziewczyna o dużych piersiach i szczupłych nogach miała przyjemny głos – zakładając, że przyszłaby jej ochota się odezwać.

Niechlujny barman w niechlujnym fartuchu znalazł mu kilka młodych dziewcząt. Przyprowadził je Goddardowi do stolika, żeby mógł dokonać wyboru. Goddard zdecydował się na tę, która rozpięła bluzkę i pokazała mu duże, sterczące piersi. Rozpięła bluzkę, wyjęła piersi ze stanika i uśmiechnęła się do niego.

A kiedy się odezwała, okazało się, że ma delikatny, melodyjny głos.

Potrzebowała prędko pieniędzy. Nie pytał dlaczego. Powiedziała, że jeśli da jej pieniądze, ona zapewni mu przeżycia, jakich nie miał jeszcze nigdy w życiu.

Jeśli da jej pieniądze, zawiezie go do pięknego starego domu w spokojnej dzielnicy Waszyngtonu, gdzie będzie mógł zostać tak długo, jak tylko zapragnie, i gdzie nikt go nie znajdzie. Będą tam także inne dziewczęta, wszystkie z dużymi piersiami... i mnóstwem innych wspaniałych rzeczy.

Usiadła obok niego, sięgnęła pod stolik i wzięła do ręki jego członek.

**Żona nigdy tego nie robiła. Dziewczyna miała miły głos. Wreszcie nie słyszał towarzyszącego mu nieprzerwanie od dwudziestu pięciu lat nosowego, zrzędlivego narzekania.**

**Zgodził się i pokazał jej pieniądze. Nie dał jej, tylko pokazał.**

**W końcu nie na darmo był głównym gwarantem finansowej potęgi Genessee Industries.**

**Jednak zanim wyszedł z baru w towarzystwie młodej dziewczyny z dużymi sterczącymi piersiami, dokonał jeszcze jednego zakupu.**

**Niechlujny barman zawahał się w pierwszej chwili, lecz jego wahanie zniknęło, kiedy James Goddard wyjął z kieszeni jeszcze jeden studolarowy banknot.**

**Stary dom, zbudowany w stylu wiktoriańskim, okazał się dokładnie taki, jak opowiadała dziewczyna. Goddard samodzielnie wniósł teczki do pokoju. Nikt obcy nie mógł ich dotknąć.**

**Dziewczyna dotrzymała słowa. Przyszła do jego pokoju, a kiedy skończył i eksplodował tak, jak nigdy w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat, wyszła po cichu, pozwalając mu odpocząć.**

**Teraz już skończył odpoczywać. Siedział na łóżku – łóżku, z którym wiązały się tak wspaniałe wspomnienia – i wpatrywał się w cztery teczki piętrzące się na brudnym stole. Wstał – miał na sobie jedynie podkolanówki – i podszedł do stołu. Dokładnie pamiętał, w której teczce znajdował się przedmiot zakupiony od niechlujnego barmana.**

**W drugiej od góry.**

**Zdjął pierwszą teczkę, postawił na podłodze, po czym otworzył drugą.**

**Na wyściółce z komputerowych kart leżał rewolwer.**



## Rozdział 53

Zaczęło się. Przeklęty kraj, Armageddon planety, wyspa opętanych żądzą władzy, gdzie pragnienia karmiły się pragnieniami dopóty, dopóki największe dobro przeistoczyło się w największe zło. Właśnie dlatego, że kraj należał do ludzi opętanych żądzą władzy.

Szałeństwo ujawniło się w jednym przerażającym czynie.

Andrew Trevayne siedział przy stole przed wysokim oknem i drżąc na całym ciele, spoglądał na ocean. Jaskrawe promienie porannego słońca odbijały się od powierzchni wody, lecz zamiast radości z kolejnego dnia niosły zapowiedź straszliwych wydarzeń, jakby za ich zasłoną szalała potworna, wściekła burza z piorunami i błyskawicami.

Piekło bez końca.

Trevayne z trudem skierował spojrzenie z powrotem na gazetę. Ogromne nagłówki ciągnęły się przez całą szerokość pierwszej strony „New York Timesa”, wykrzykując czarnymi czcionkami niewiarygodną wiadomość:

### **PREZYDENT ZAMORDOWANY! ZABÓJSTWO PRZED BIAŁYM DOMEM SPRAWCĄ ZNANY BIZNESMEN**

*Zgon stwierdzono o 17.31.*

Zabójca odebrał sobie życie. James Goddard, prezes oddziału San Francisco Genessee Industries, sprawcą zbrodni.

Wiceprezydent zaprzysiężony o 19.00. Pierwsza decyzja – natychmiastowe zwołanie posiedzenia gabinetu. Kongres wznawia obrady.

Zbrodniczy czyn popełniono w przerażająco prosty sposób. Prezydent Stanów Zjednoczonych pokazywał dziennikarzom świąteczną dekorację trawnika Białego Domu. Znajdował się w tak dobrym humorze, że wdał się w pogawędkę z ostatnią grupą turystów opuszczających już teren siedziby głowy państwa. Był wśród nich James Goddard. Przewodnicy zeznali, że w ciągu minionych dni kilka razy zwiedzał Biały Dom.

Wesołych świąt, panie prezydencie.

Wnętrze gazety wypełniał życiorys Goddarda, spekulacje na temat przyczyn i okoliczności zabójstwa oraz pośpiesznie przeprowadzone, chaotyczne wywiady, które w normalnych okolicznościach nigdy nie zostałyby opublikowane.

A w prawym dolnym rogu pierwszej strony zamieszczono informację tak niewiarygodną w swej ohydzie, że Trevayne przez dłuższy czas wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

## REAKCJA GENESSEE INDUSTRIES

San Francisco, 18 grudnia. – Przez całą noc do miasta przylatywały z całego kraju prywatne odrzutowce, niosąc na pokładach najważniejszych ludzi Genessee. Niemal do samego świtu trwały poufne spotkania, podczas których usiłowano rozwikłać tajemnicę tragicznych wydarzeń w Waszyngtonie. Jedynym konkretnym rezultatem tych konferencji jest pojawienie się Louisa Riggsa w charakterze rzecznika oddziału San Francisco Genessee Industries, gdzie, wedle wszelkich przypuszczeń, mieści się centrum zarządzania korporacją. Riggs, weteran wojny w Wietnamie, jest młodym ekonomistą, który pełnił do tej pory funkcję głównego doradcy i współpracownika Goddarda. Osoby związane blisko z Genessee twierdzą, iż Riggs był już od wielu tygodni poważnie zaniepokojony niezwykłym zachowaniem przełożonego, zawiadamiając o swoich obawach ich wspólnych zwierzchników. Ujawniono także, że Riggs w najbliższym czasie poleci do Waszyngtonu, by spotkać się z nowo zaprzysiężonym prezydentem.

Zaczęło się.

Andrew Trewayne wiedział, że nie może dopuścić, by to trwało w dalszym ciągu. Nie będzie niemyym świadkiem kataklizmu. Uczyni wszystko, by kraj poznał prawdę.

Ale kraj, podobnie jak cały świat, ogarnęła panika. Nie opanuje jej, dodając swój ból do ogólnej hysterii.

Tyle wiedział na pewno.

Wiedział także, że nie może zareagować tak, jak zareagowały jego żona i dzieci.

Jego córka i syn.

Zagubieni, przerażeni strażnicy jutra.

Dziewczyna pierwsza dowiedziała się o zbrodni. Wraz z bratem przyjechali na ferie do domu, ale akurat tego dnia wyszli osobno: Pam pojechała po przedświąteczne zakupy, Steve zaś spotkał się z rówieśnikami, by wymienić doświadczenia po pierwszym semestrze. Andy i Phyllis siedzieli w gabinecie, planując wspólny styczniowy wyjazd.

Phyllis obstawała przy Karaibach; Andrew mógłby spędzać wiele godzin na ukochanym morzu, żeglując wokół wysp, pozwalając ciepłemu wiatrowi łagodzić ból i gniew. Wynajęliby dom na St. Martin, a pieniądze, o których ostatnio było tak głośno, pozwoliłyby im wykurować się z ran.

Drzwi gabinetu były otwarte. W domu panowała cisza, jeśli nie liczyć dobiegającego gdzieś z góry szumu odkurzacza Lillian.

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe i rozległy się histeryczne łkania, przerywane płaczącymi prośbami o pomoc.

Pam wzywała ojca i matkę. Wzywała kogokolwiek.

Wypadli z gabinetu, popędzili na górę po schodach i ujrzeli córkę stojącą w holu z twarzą mokrą od łez.

–Pam! Co się stało, na litość boską?

–Boże!... O Boże!... Nie wiecie?

–O czym?

–Włączcie radio. Zróbcie coś. Zabili go!

–Kogo?

–Prezydenta! Prezydent nie żyje!

–Jezus, Maria... – szepnęła ledwo słyszalnie Phyllis, spoglądając na męża.

Andrew instynktownie wyciągnął ręce i objął ją mocno. Niewypowiedziane pytania i obawy były zbyt wyraźne, zbyt oczywiste, żeby mogły zostać wyrażone jakimikolwiek słowami.

–Dlaczego? Dlaczego? – zawodziła Pamela.

Andrew wypuścił żonę z objęć, łagodnie, lecz stanowczo, nakazał jej zająć się córką, sam zaś skierował się szybkim krokiem do telefonu.

Od nikogo jednak nie udało mu się wydobyć ani słowa więcej poza okropnymi faktami. Niemal wszystkie numery telefoniczne w Waszyngtonie były zajęte; właściciele tych, które nie były, nie mieli dla niego czasu. Rząd Stanów Zjednoczonych musiał za wszelką cenę utrzymać ciągłość funkcjonowania.

Radio i telewizja przerwały normalny program, podając na bieżąco wiadomości, które jednak składały się prawie wyłącznie z powtórzeń tego, co powiedziano wcześniej. Niektórzy komentatorzy uderzyli w płaczliwy ton, inni miotali gromy pod adresem swojego liczego, milczącego audytorium. „Zupełnie przypadkowo” znalazło się w studiach lub przy telefonach mnóstwo trzecio- i drugorzędnych dziennikarzy oraz polityków, wykorzystujących sytuację w celu zyskania popularności. Prezentowali swoje bezwartościowe przemyślenia przed publicznością, która w chwili zamętu gotowa była wysłuchać każdego, kto miałby jej cokolwiek do powiedzenia.

Andrew z najwyższym trudem zdołał znaleźć jedną stację, której prezenterzy starali się zachować resztki zdrowego rozsądku, i nastawił na nią wszystkie odbiorniki w domu. Zajrzał do pokoju Pam, spodziewając się, że zastanie tam żonę. Nie było jej. Pam szeptała z Lillian; pokojówka łkała cichutko, dziewczyna zaś starała się pocieszyć służącą, dzięki temu w szybkim tempie odzyskiwała panowanie nad sobą.

Andrew zamknął drzwi, po czym skierował się do pokoju swojego i Phyllis. Jego żona siedziała przy oknie, przez które sączył się do wnętrza zmierzch, rozjaśniony resztkami dziennego światła odbitego od powierzchni wody.

Zbliżała się noc.

Podszedł do niej i klęknął przy fotelu. Spojrzała na niego, a on wtedy zrozumiał, że domyśliła się, co zamierza zrobić, jeszcze zanim on sam podjął decyzję.

I była tym przerażona.

Steven stał przy kominku z rękami ubrudzonymi popiołem. Pogrzebacz leżał na ceglany obramowaniu. Nikt go wcześniej nie nauczył, jak rozpala się ogień; wydawał się tym bardzo rozzłoszczony. Dołożył nieco świeżych polan do częściowo już zwęglonych i próbował podpalić je zapalniczką, nie zwracając uwagi ani na parzące liźnięcia płomienia, ani na brud paleniska.

Był sam. Od czasu do czasu spoglądał na włączony telewizor, by sprawdzić, czy nie podano jakichś nowych informacji.

Na ekranie wiceprezydent Stanów Zjednoczonych zdjął dłonie z Biblii. W tej chwili

stał się najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Stał się prezydentem.

Stary człowiek.

Oni wszyscy byli starzy. Bez względu na wiek i daty urodzenia. Starzy, zmęczeni, fałszywi ludzie.

–Ogień to wspaniały wynalazek – powiedział cicho Andrew, wchodząc do salonu.

–Rzeczywiście – odparł chłopak, spoglądając na rozprzestrzeniające się szybko płomienie, po czym raptownie odwrócił się od kominka i ruszył do holu.

–Dokąd idziesz?

–Na zewnątrz. Masz coś przeciwko temu?

–Oczywiście, że nie. Nadszedł czas, kiedy nie należy robić nic konkretnego.

Najwyżej myśleć.

–Daruj sobie te wykłady, tato.

–Zrobię to, jeśli przestaniesz zachowywać się jak dziecko. To nie ja pociągnąłem za spust, nawet symbolicznie.

Steven zatrzymał się i spojrzał na ojca.

–Wiem o tym. Może byłoby lepiej, gdybyś to zrobił.

–To bardzo podła uwaga.

–...choćby symbolicznie. Wtedy przynajmniej nie stałbyś z założonymi rękami!

–Bredzisz od rzeczy. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

–Od rzeczy? A co jest „do rzeczy”, jeśli wolno zapytać? Przecież tam byłeś! Byłeś tam od wielu miesięcy. Co zrobiłeś, tato? Coś do rzeczy? Trafiłeś w cel?... Niech to szlag trafi! Ktoś zrobił paskudną, wstrętną, okropną rzecz, za którą zapłacimy my wszyscy!

–Czyżbyś pochwalał to, co się stało?! – ryknął Trevayne, z najwyższym trudem panując nad sobą. Niewiele brakowało, a po raz pierwszy w życiu uderzyłby syna.

–Oczywiście, że nie! A ty?

Andrew zacisnął kurczowo pięści. Mięśnie miał napięte jak postronki. Chciał, żeby chłopak jak najprędzej sobie poszedł.

–Najgorsze jest to, że wszystko stało się w tym waszym najświętszym miejscu.

–To był szalenciec, zupełny wariat. Działał sam. Jesteś niesprawiedliwy.

–Nikt tak nie uważał aż do wczoraj. Nikt nie miał go na oku, nikt nie kompletował danych na jego temat, nikt nie wciągnął go na żadną listę. Wszyscy natomiast dawali mu miliony dolarów, żeby mógł budować swoją przeklętą maszynę.

–Opowiadasz bzdury. Próbujesz przykleić etykietkę z napisem „spisek” do czegoś, co jest tylko kłębkiem odrażającego szaleństwa. Rusz głową, Steve. Stać cię na coś więcej.

Chłopak umilkł na chwilę. Było to milczenie wypełnione bólem i zdumieniem.

–Może już tylko etykiетки mają w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Przegrałeś, tato. Przykro mi.

–Dlaczego tak sądzisz?

–Dlatego że cały czas wydaje mi się, że ty albo ktoś inny mogliście do tego nie dopuścić.

–Mylisz się.

**–Jeśli masz rację, to znaczy, że już nic nam nie pozostało. – Steven Trewayne spojrzął na swoje wybrudzone popiołem dłonie i wytarł je w spodnie. – Muszę umyć ręce... Przykro mi, tato. Naprawdę mi przykro. I bardzo się boję.**

**Chłopiec odwrócił się i wybiegł do holu. Trewayne usłyszał jego szybkie kroki na schodach. W chwilę potem skrzypnęły drzwi prowadzące na taras.**

**„...już nic nam nie pozostało”.**

**Nie.**

**On nie mógł zareagować w taki sposób, nie mógł ulec słabości, tak jak zrobili to inni – nawet jego rodzina.**

**Nie teraz.**

**Teraz musiał zaznaczyć swoją obecność tam, gdzie należało, zanim będzie za późno.**

**Musiał nimi wszystkimi potrząsnąć, dać im jednoznacznie do zrozumienia, że powinni się z nim liczyć. Nie wolno im ani przez chwilę zapomnieć, że dzierży w ręku broń, którą może ich zniszczyć.**

**Użyj jej, ponieważ ci ludzie nie zasługiwali na to, by rządzić krajem. Naród domagał się czegoś więcej.**

**„...już nic nam nie pozostało”.**

**To nieprawda. On tego dowiedzie.**

**Nawet gdyby oznaczało to konieczność wykorzystania Genessee Industries. Wykorzystania we właściwy sposób.**

**Tak jak należy.**

**Wykorzystać, a potem zniszczyć raz na zawsze.**

**Wziął do ręki słuchawkę. Będzie dzwonił tak długo, aż uda mu się połączyć z senatorem Mitchellem Armbrusterem.**

## Część 5

### Rozdział 54

Gładka asfaltowa nawierzchnia drogi urywała się raptownie, ustępując miejsca ubitej ziemi. W tej części niewielkiego półwyspu kończył się teren miasta, zaczynał zaś prywatny. Od półtora roku znajdował się on także pod opieką rządu federalnego – odizolowany, pilnowany i strzeżony. High Barnegat. Biały Dom w stanie Connecticut.

Pięć limuzyn przemknęło bez zatrzymywania przez roгатki w Greenwich. Strażnicy zaszalutowali mknącym samochodom, a policjant stojący w jednej z budek otrzymał sygnał od kolegi i podniósł słuchawkę telefonu. Można już było wznowić normalny ruch. Prezydencka kolumna skręciła w zjazd prowadzący do Shore Road, zamkniętą przez miejscową policję na całym odcinku aż do półwyspu. Funkcjonariusz poinformował roгатki w Westchester, że autostrada jest już wolna, po czym skinął ręką koledze po drugiej stronie szyby, który wsiadł do radiowozu i odjechał.

Funkcjonariusze służby ochrony Białego Domu rozproszyli się po terenie posiadłości w dwuosobowych zespołach. Agent Callahan sprawdził wraz z partnerem plażę, a teraz obaj mężczyźni wspinali się po kamiennych schodach wiodących na taras, przeczesując wzrokiem rosnący na zboczu las.

Callahan chronił już czterech prezydentów. Liczył sobie czterdzieści sześć lat, z czego dwadzieścia przepracował w Secret Service. Wciąż zaliczał się do najlepszych w tym fachu i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nikt nie mógł go winić za wpadkę w Darien przed trzema laty, kiedy to na przekazany telefonicznie z Białego Domu rozkaz opuścił posterunek w szpitalu. To była afera na najwyższym szczeblu; Callahan nigdy nie dowiedział się, jak do tego doszło, w jaki sposób niepowołani ludzie uzyskali dostęp do hasła. Szczerze mówiąc, wcale o to nie pytał, szczególnie po tym, jak przywrócono go do służby. Z kolei w dniu zamachu w ogóle nie było go w Białym Domu. Wszyscy, którzy pełnili wtedy służbę, zostali zwolnieni. Dziwna sprawa: w tym czasie znowu pilnował Trevayne'a i tydzień wcześniej napisał w raporcie, że jego „podopieczny” spotkał się z Jamesem Goddardem. Nikt nie zwrócił wówczas na to uwagi, a on nie miał zamiaru czynić nic na własną rękę. Naprawdę dziwna sprawa.

Ludzie – prawie wyłącznie znajomi należący do wąskiego kręgu, jakim otaczali się z żoną- często pytali go, co sądzi o człowieku piastującym aktualnie najwyższy urząd w państwie. Callahan zawsze udzielał tej samej odpowiedzi: pochlebnej, graniczącej z ostrożnym entuzjazmem, całkowicie apolitycznej. Było to najlepsze rozwiązanie.

Absolutnie najlepsze. Nigdy nic nie wiadomo.

Jednak, prawdę mówiąc, nie lubił zbytnio żadnego z nich. Wypracował sobie własną skalę oceny prezydentów, biorąc pod uwagę zarówno ich postępowanie jako osób publicznych, jak i prywatnych. Zdawał sobie sprawę, że muszą występować pewne różnice, ale na litość boską, niektórzy posuwali się stanowczo zbyt daleko!

Wszystko, co robili, było sztuczne, więc proporcje ulegały całkowitemu zachwianiu. Bezmyślne uśmiechy do tłumu, po których następowały wybuchy zupełnie prywatnej wściekłości, a wszystko to w ramach rozpaczliwych prób stania

się czymś, co było zupełnie pozbawione ludzkich cech: obrazem na użytek publiczny.

Tacy ludzie nie budzili zaufania. Co gorsza, niektórzy zdawali sobie z tego sprawę, ale wcale się nie przejmowali.

Chyba właśnie dlatego Andrew Trevayne otrzymał najwyższe oceny. Wiedział, że należy zachować proporcje i starał się to osiągnąć. Co oczywiście nie znaczyło, że nie zdarzały mu się wybuchy złości wywołane jakimś zupełnie nieistotnym drobiazgiem, ale ogólnie rzecz biorąc, Trevayne prywatny nie różnił się tak bardzo od oficjalnego, jak to było w przypadku kilku poprzednich prezydentów. Wydawał się... jakby bardziej pewny siebie. Jakby towarzyszyło mu przekonanie o słuszności swego postępowania, w związku z czym nie musiał bez przerwy przekonywać o tym wszystkim, którzy go otaczali.

Callahan szanował go za to, choć raczej nie można było powiedzieć, żeby go lubił. Ktoś, kto przepracował w Białym Domu trochę czasu, nie mógł polubić człowieka, który tak gwałtownie dobijał się do drzwi Owalnego Gabinetu. Trevayne rozpoczął kampanię kilka tygodni po zamachu, tuż po zajęciu miejsca w opuszczonym fotelu senatora z Connecticut. Jeździł z jednego końca kraju na drugi, urządzał niezliczone konferencje prasowe, niemal bez przerwy występował w telewizji. Tego człowieka dręczyły: wielki głód, pragnienia i ambicja, wymieszane z nieprzeciętną inteligencją. Miał na wszystko odpowiedź, ponieważ stał mocno obiema nogami na gruncie współczesnej rzeczywistości. Jego zwolennicy ukuli nawet hasło, które powtarzali przy każdej nadarzającej się okazji: „Znak najwyższej jakości”. Wierny sługa Białego Domu nie mógł polubić człowieka, któremu tak bardzo zależało, żeby się tam sprowadzić.

Energiczne działania Trevayne'a oszołomiły personel Białego Domu. Ludzie wciąż jeszcze nie zdolali dojść do siebie po nagłej, niespodziewanej zmianie. Nikt nie był przygotowany na następną, nikt nie wiedział, jak powstrzymać nieugiętego, prącego twardo do celu, charyzmatycznego senatora z Connecticut.

W pewnym momencie agent Callahan doszedł do wniosku, że tak naprawdę to nikomu na tym nie zależało.

Kawalkada pojazdów wjechała na szeroki podjazd przed domem. Drzwi pierwszego i trzeciego samochodu otworzyły się, zanim limuzyny zmniejszyły prędkość. Mężczyźni w nienagannie skrojonych garniturach stanęli na progach, przytrzymując się bez wysiłku wewnętrznych uchwytów, gotowi lada chwila zeskoczyć na ziemię.

Sam Vicarson oparł się o poręcz frontowych schodów. Chciał, żeby Trevayne zobaczył go zaraz po wyjściu z samochodu. Prezydent oczekiwał tego. Przyzwyczaił się, że Sam zawsze znajduje się wśród tych, którzy witają go jako pierwszy w każdym miejscu, do którego przybywał. Wyznał mu, że doznaje znacznej ulgi, wiedząc, iż spotka przynajmniej jednego człowieka, który dostarczy mu naprawdę potrzebnych informacji, nie zaś tylko tych, które życzyłby sobie otrzymać.

Vicarson doskonale go rozumiał. Był to jeden z najbardziej żalonych aspektów pracy w Białym Domu. Wszyscy bali się rozgniewać Szefa. Jeżeli mogli tego uniknąć

za cenę przemilczenia pewnych faktów lub przedstawienia ich w fałszywym świetle, zwykle to robili. Siłą sprawczą ich postępowania nie zawsze był strach, lecz chęć zdjęcia z barków prezydenta choć części ogromnego ciężaru, jaki tam spoczywał.

Zwykle jednak kierowali się strachem.

Nawet Sam wpadł w tę pułapkę, a właściwie w obie pułapki: współczucia i strachu. Zdarzyło mu się raz sformułować jeden z raportów na temat handlu międzynarodowego w taki sposób, by główne tezy zgadzały się z poglądami Trevayne'a, podczas gdy prawda wyglądała dokładnie na odwrót.

–Jeśli jeszcze raz to zrobisz, możesz sobie szukać nowej pracy.

Vicarson często zastanawiał się, czy tak samo zareagowałby poprzednik Trevayne'a.

Do licha, on naprawdę jest bardzo dobrym prezydentem! pomyślał Sam, obserwując Trevayne'a pomagającego żonie wysiąść z samochodu i jednocześnie rozmawiającego z otaczającymi go funkcjonariuszami ochrony. Ludzie ufali mu. Wszyscy ludzie, gdziekolwiek się zjawiał. Gdyby porównywać go z postaciami z niedalekiej przeszłości, należałoby powtórzyć słowa pewnego nowojorskiego dziennikarza: „Spokój Eisenhowera, wdzięk i energia Kennedy'ego, zaangażowanie Johnsona”.

Sam bardzo współczuł partii opozycyjnej i w ogóle wszystkim innym partiom. Podczas osiemnastu miesięcy sprawowania urzędu Trevayne'owi udało się nadać prezydenturze nowy wymiar, otoczyć się mitem. Po raz pierwszy od wielu lat naród był dumny ze swego przywódcy. Poprzednik Trevayne'a miał szansę osiągnąć ten sam poziom, lecz nie udało mu się to ze względu na zaciekle ataki z lewa i prawa. Trevayne, czy to dzięki upartemu dążeniu do spokoju, czy też sile swojej osobowości – i umiejętności słuchania – wytrącił ekstremistom broń z ręki. Vicarson uważał, że przyczyniły się do tego wszystkie cechy osobowości prezydenta.

Trevayne okazał się właściwym człowiekiem, który pojawił się we właściwym czasie. Komuś innemu mogłoby się nie udać utrzymanie spokoju, zadanie równie trudne jak uciszenie szalejącej burzy. Nie oznaczało to bynajmniej braku podniet. Administracja Trevayne'a wprowadziła wiele szokujących zmian, tylko że ich nowatorstwo dotyczyło raczej koncepcji niż wykonania. Nie nadawano im większego rozgłosu, posługując się chętnie określeniem „wynikająca z zewnętrznych uwarunkowań zmiana priorytetów”. Innowacje dotyczyły niemal wszystkich dziedzin: budownictwa, opieki zdrowotnej, oświaty, zatrudnienia. Zmianom ulegały dalekosiężne ogólnonarodowe cele.

Sam Vicarson był niezmiernie dumny z prezydenta Andrew Trevayne'a.

Wydawało mu się, że identyczną dumę odczuwa całe społeczeństwo.

Zdziwił się na widok starego człowieka wysiadającego z prezydenckiej limuzyny. Był to Franklyn Baldwin, długoletni przyjaciel Trevayne'a z Nowego Jorku. Paskudnie wygląda – pomyślał Vicarson. Nie należało się temu dziwić, gdyż Baldwin właśnie pochował Williama Hilla, swego przyjaciela z lat dziecińczych. Wielki Billy Hill odszedł; Baldwin z pewnością zdawał sobie sprawę, że jego czas także dobiega końca.

Fakt, że prezydent wziął udział w pogrzebie Hilla oraz wygłosił nad otwartą mogiłą



krótką przemowę, świadczył o jego poczuciu lojalności, o dobroci serca świadczyło natomiast to, że zabrał ze sobą do High Barnegat Franka Baldwin.

„Znak najwyższej jakości” – tak brzmiało bardzo celne hasło wykorzystywane podczas kampanii wyborczej.

Phyllis przyglądała się mężowi podtrzymującemu Franka Baldwin na niskich schodkach prowadzących do wejścia. Sam Vicarson pośpieszył z pomocą, lecz Andrew ledwo dostrzegalnie pokręcił głową, wystarczająco wyraźnie jednak, by młody prawnik natychmiast zrozumiał. Prezydent pragnął sam zająć się panem Baldwinem.

Kiedy jej mąż postępował w ten sposób, nadając znaczenie wyświechtanym gestom, Phyllis odczuwała cichą dumę. „Książę okazuje troskę, a dwór także samo, pokrzepion przykładem władcy” napisał Froissart o dworze Chatillon w swojej Pierwszej Kronice... Książę, młody król – choć już nie taki młody -pomyślała Phyllis. Andrew zorganizował Biały Dom w sposób, który z pewnością zadowolilby średniowiecznego kronikarza. Oczywiście wiedziała, że mąż roześmiałby się, gdyby mu to powiedziała, i poradziłby jej nie idealizować zwykłej grzeczności ani nie doszukiwać się symboli tam, gdzie ich nie było. To także stanowiło nieodłączny składnik aury, którą się otaczał; wysoka godność jedynie podkreślała jego dobroć i skromność. Nawet kiedy żartował, nie unikał bezlitosnej autoironii.

Zawsze kochała męża, gdyż był człowiekiem, którego nie można było nie kochać. Teraz stwierdziła, że otacza go czymś w rodzaju czci; nie bardzo wiedziała, czy tak właśnie powinno być, ale nic nie mogła na to poradzić. Piastując najwyższe stanowisko w państwie, łatwo można było uznać wyrazy czci i uwielbienia za coś oczywistego, Andy jednak nie przywdział szat dostojnego cierpiętника i nie przypominał każdym gestem i słowem o doskwierającej mu samotności ani o mękach związanych z koniecznością podejmowania decyzji. W jego słowach nie sposób było doszukać się dramatycznych, lecz płytkich usprawiedliwień i tłumaczeń.

Choć starał się wyjaśniać pewne sprawy.

–Naród, który sięgnął do obcych planet, potrafi także zatroszczyć się o swój kraj. Ludzie, którzy tak wiele zawdzięczają swojej ziemi, potrafią zwrócić należną jej część. Obywatele, którzy z mniejszym lub większym entuzjazmem popierali projekty zakładające wydawanie poza granicami dziesiątków milionów dolarów, z pewnością zgodzą się na poniesienie takich samych kosztów, by rozpocząć dzieło naprawy ojczyzny.

Przez minione osiemnaście miesięcy czynił wszystko, by wprowadzić w życie te proste i jasne założenia.

Phyllis weszła za mężem i Frankiem Baldwinem do domu, gdzie wojskowy adiutant wziął od nich okrycia. Jakaś życzliwa dusza – zapewne Sam – rozpałiła ogień w kominku, dzięki czemu w salonie zrobiło się przyjemnie ciepło. Phyllis bardzo niepokoiła się o Baldwin; ceremonia pogrzebowa trwała bardzo długo, a od kamiennej posadzki kościoła ciągnęło chłodem.

–Usiądź tutaj, Frank – powiedział Trevayne, przesuwając fotel bliżej kominka. – Odpocznij sobie. Zaraz zrobię ci drinka. Nam też. Na pewno wszystkim przyda się

coś mocniejszego.

–Dziękuję, panie prezydencie – odparł Baldwin, zajmując wskazane miejsce. Phyllis podeszła do obszernej kanapy i dopiero teraz zauważyła, że Sam Vicarson ustawił przy kominku nie jeden, lecz dwa fotele. Sam był bardzo dobry W takich sprawach.

–Dla ciebie szkocka, zgadza się, Frank? Z lodem?

–Zawsze pamiętasz, co kto pije. Zdaje się, że właśnie dzięki temu zostałeś prezydentem. – Baldwin uśmiechnął się i mrugnął do Phyllis.

–Wcale nie musiałem aż tak się wysilać. Sam, mógłbyś mnie wyręczyć? Dla pana Baldwina szkocka z lodem, dla mnie i Phyl to co zwykle.

–Oczywiście, panie prezydencie – odparł Vicarson, po czym wyszedł do holu.

Trevayne usiadł w fotelu naprzeciwko Baldwina, Phyllis zaś zajęła miejsce tuż przy nim, na skraju kanapy. Andrew wziął ją za rękę i ścisnął lekko, ale cofnął dłoń, kiedy na twarzy starego człowieka pojawił się lekki uśmiech.

–Nie przeszkadzaj sobie. Miło wiedzieć, że jest na tym świecie człowiek, który może być prezydentem i trzymać swoją żonę za rękę, mimo że w pobliżu nie ma żadnej kamery.

–To jeszcze nic takiego, Frank. Czasem nawet zdarza mi się ją całować.

Baldwin roześmiał się głośno.

–Tego raczej nie rób, jeśli wolno mi prosić. Wciąż zapominam, jacy jesteście młodzi... To bardzo miłe z pańskiej strony, że zechciał mnie pan tu zaprosić, panie prezydencie. Jestem ogromnie zobowiązany.

–Bzdura. Zależało mi na twoim towarzystwie. Bałem się, że ci się narzucam.

–Jesteś ogromnie łaskaw. W gazetach często czytam, że pod względem kultury osobistej nikt nie może się z tobą równać. Zawsze o tym wiedziałem.

–Dziękuję.

–Jakże niezwykle wszystko się ułożyło, nieprawdaż? Pamiętasz, moja droga? – zwrócił się Baldwin do Phyllis. – Ja pamiętam, ponieważ nigdy wcześniej tu nie byłem. Kiedy do kogoś dzwonię, zawsze wyobrażam sobie miejsce, w którym ten ktoś przebywa. Szczególnie jeśli nie mam żadnych danych na ten temat. W tym przypadku wyobraziłem sobie okno wychodzące na ocean. Pamiętam dokładnie, jak powiedziałaś, że Andrew... że prezydent wypłynął w morze. Na katamaranie.

–Ja też to pamiętam – odparła Phyllis z łagodnym uśmiechem. – Byłam wtedy na tarasie.

–I ja – odezwał się Trevayne. – Kiedy wróciłem, od razu zapytała mnie, dlaczego nie odpowiadam na twoje telefony. Uczciwie wyjaśniłem jej, że staram się ciebie unikać.

–Tak, powtórzyłeś to potem w banku, podczas lunchu... Wybacz, że tak brutalnie wtargnąłem w twoje życie.

Zmęczone spojrzenie starego człowieka świadczyło o tym, że naprawdę prosi o przebaczenie.

–Aureliusz, Frank.

–Kto?

–Marek Aureliusz. Zacytowałeś go. „Nikt nie zdoła uniknąć...”

–Ach, tak. „...swego przeznaczenia”. Nazwałeś go funduszem inwestycyjnym.

–Czym? – zapytała zdziwiona Phyllis.

–To był taki żart, Phyl. Nieudany, jak już wkrótce miałem się przekonać.

Sam Vicarson wrócił ze srebrną tacą, na której stały trzy szklanki. Najpierw podsunął tacę Phyllis, a kiedy ta skinęła głową, pochwycił spojrzenie Trevayne'a; choć zazwyczaj po Pierwszej Damie należało obsłużyć prezydenta, tym razem w drugiej kolejności zajmie się Baldwinem.

–Dziękuję, młody człowieku.

–Jesteś wspaniałym gospodarzem, Sam – pochwaliła go Phyllis.

–To dzięki tym wszystkim oficjalnym przyjęciom – roześmiał się Trevayne, zdejmując z tacy swoją szklaneczkę. – Przyłączysz się do nas, Sam?

–Bardzo dziękuję, ale muszę jeszcze zająć się łącznością.

–Ma w kuchni dziewczynę! – powiedziała Phyllis scenicznym szeptem.

–Z francuskiej ambasady – dodał Andrew.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, a Baldwin spojrzał na nich z rozbawieniem. Sam uklonił mu się.

–Miło mi było znowu pana zobaczyć, panie Baldwin.

Wyszedł, kiedy stary człowiek skinął mu głową.

–Teraz rozumiem, co mają na myśli – mruknął bankier. – Albo przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem.

–O czym pan mówi? – zainteresowała się Phyllis.

–O atmosferze panującej obecnie w Białym Domu. O dobrych stosunkach międzyludzkich, nawet wtedy, kiedy nie wszystko układa się, jak należy. Mędracy tego kraju bardzo sobie pana za to cenią, panie prezydencie.

–Masz na myśli Sama? Został moją prawą ręką już trzy lata temu... a czasem bywa także lewą. Pracował ze mną w podkomisji.

Phyllis nie wytrzymała. Nie mogła bez końca spokojnie słuchać, jak Andrew bagatelizuje wszystkie należne mu komplementy.

–Zgadzam się z panem i z mędrkami tego kraju, panie Baldwin. Andrew uczynił znaczny krok w kierunku zdeformalizowania układów panujących w centralnych ośrodkach władzy... o ile jeszcze w ogóle używa się tego określenia.

Trevayne zachichotał cicho.

–Moja nieoceniona żona... Jakiego określenia, kochanie?

–„Deformalizacja”. Ostatnio rzadko je słyszę, a szkoda.

–Sądziłem, że masz na myśli „centralne ośrodki władzy”. Nie wiem czemu, ale za każdym razem, kiedy czytam o tym w książkach, myślę o toalecie.

–To historyczne bluźnierstwo! Czyż nie tak, panie Baldwin? - Nie jestem pewien, moja droga...

–Tylko proszę nie opowiadać mędrcom, że urządzam plac zabaw na dziedzińcu Białego Domu.

Cichy śmiech starca sprawił Phyllis wielką przyjemność. Frank Baldwin wyraźnie poweselał. Chyba przestał na chwilę myśleć o przykrych wydarzeniach dnia, o swoim

smutku.

Jednak zaraz potem uświadomiła sobie, że wesołe interludium nie potrwa długo. Nie uda im się rozjaśnić wspomnień starego człowieka.

–Billy Hill i ja naprawdę uważaliśmy, że stworzona przez nas podkomisja jest mądrym, pożytecznym darem dla kraju. Nawet nie marzyliśmy o tym, że prawdziwym darem okaże się następny prezydent Stanów Zjednoczonych. Kiedy wreszcie zdaliśmy sobie z tego sprawę, ogarnął nas lęk.

–Oddałbym wszystko na świecie, żeby sprawy nie ułożyły się w ten sposób.

–Nie wątpię. Ktoś, kto w takich warunkach chce objąć ten urząd, musi dysponować niesamowitą motywacją. Trzeba być szaleńcem, żeby zgodzić się na... – Baldwin umilkł, zorientowawszy się, że zapędził się trochę za daleko.

–Mów dalej, Frank. Nic nie szkodzi.

–Proszę o wybaczenie, panie prezydencie. Nie mam prawa wygłaszać takich opinii.

–Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Myślę, że byłem zaskoczony co najmniej tak samo jak ty i ambasador, a na pewno bardziej wystraszony.

–W takim razie czy wolno mi zapytać – dlaczego?

Phyllis przyglądała się uważnie mężowi. Mimo że pytanie to pojawiało się setki razy w różnych oficjalnych okolicznościach, a przynajmniej drugie tyle w prywatnych, odpowiedzi nigdy ją w pełni nie usatysfakcjonowały. Szczerze mówiąc, nie była pewna, czy w ogóle istnieje jakaś jednoznaczna odpowiedź, czy też w grę wchodziły jedynie najlepsze chęci nieprzeciętnego, uczciwego człowieka, który postanowił zmierzyć się ze zjawiskami budzącymi jego niechęć i przerażenie. Gdyby takiemu człowiekowi udało się zdobyć władzę, utrzymać ją i działać, wykorzystując choćby tylko pięćdziesiąt procent swoich możliwości, to i tak byłoby to lepsze od tego, przeciwko czemu zdecydował się wystąpić. Jeśli poza tą prostą prawdą istniały jeszcze jakieś odpowiedzi, to jej mąż nie był w stanie ich zwerbalizować.

W każdym razie nie w satysfakcjonujący ją sposób.

–Jeśli mam być zupełnie szczery, to zarówno przed konwencją, jak i po niej korzystałem z nieograniczonych zasobów finansowych. Było tego więcej, niż zdołałaby zebrać jakakolwiek partia. Wiem, że nie mam się czym chwalić, ale taka jest prawda.

–Odpowiedział pan na pytanie „jak”, panie prezydencie. Pozostaje jeszcze „dlaczego”.

Phyllis przeniosła wzrok na starego bankiera. Baldwin chyba naprawdę chciał się dowiedzieć prawdy, gdyż wpatrywał się w Trevayne'a błagalnym spojrzeniem.

Franklyn Baldwin miał całkowitą rację: „jak” miało w tej chwili stosunkowo niewielkie znaczenie, choć było to całkowite szaleństwo. Limuzyny zajeżdżające przed dom o każdej porze dnia i nocy, dodatkowe linie telefoniczne, niekończące się spotkania w Barnegat, Bostonie, Waszyngtonie, San Francisco i Houston... Andrew rzucił się głową naprzód w sam środek huraganu, zapominając o jedzeniu, spaniu i odpoczynku.

Zapominając o niej i dzieciach.

Na twarzy jej męża pojawił się nieśmiały uśmiech, który zawsze wzbudzał w niej coś w rodzaju podejrzliwości.

–Przecież wszystko czytałeś, Frank. Ja naprawdę wierzę w to, co zawarłem w swoich przemówieniach. Czułem, że mogę stopić w jeden chór wiele sprzecznych głosów... To niedobra metafora. Nie wydaje mi się, żeby można było stopić głosy. Chyba lepsze będzie słowo „połączyć”. Postanowiłem usunąć dysonanse, a wprowadzić harmonię. Dzięki temu opadłby poziom hałasu, my zaś moglibyśmy zająć się korzeniami zła. Moglibyśmy wziąć się do roboty.

–Muszę przyjąć to wyjaśnienie, panie prezydencie. Udało się panu. Stał się pan popularnym człowiekiem, chyba najbardziej popularnym ze wszystkich, którzy w ostatnich latach zasiadali w Białym Domu.

–Cieszę się, ale jeszcze bardziej jestem zadowolony z tego, że to wszystko działa.

–Dlaczego pan i ambasador Hill byliście przestraszeni?

Phyllis zadała pytanie bez zastanowienia. Andy zerknął na nią z ukosa, a ona natychmiast domyśliła się, że wolałby, by nie poruszała tego tematu.

–Nie jestem pewien, moja droga. Wygląda na to, że im bardziej się starzeję, tym mniej jestem pewien czegokolwiek. Nie dalej jak tydzień temu doszedłem do tego wniosku wspólnie z Billem. Musisz pamiętać, że zawsze działaliśmy tak, jakby nieznane nam były żadne wątpliwości... Czego się przestraszyliśmy? Myślę, że zaproponowaliśmy człowieka na stanowisko przewodniczącego komisji, by przekonać się, że odkryliśmy znakomitego kandydata na prezydenta. To spory przeskok.

–Ale całkiem możliwy do zrobienia – zauważyła Phyl, nieco zaniepokojona tonem głosu Baldwina.

–Owszem. – Bankier spojrzał na Andy'ego. – Tak naprawdę przeraziła nas twoja niesamowita determinacja. Kiedy cofniesz się nieco pamięcią, chyba zrozumiesz, co mam na myśli.

–Nie ja zadałem to pytanie, Frank.

–Tak, oczywiście. To był ciężki dzień... Nie będziemy już prowadzić z Billem naszych długich dyskusji. Żaden z nas nigdy nie przekonał drugiego... Wiesz, Andrew, Bili często mi powtarzał, że myślisz podobnie jak ja.

Szklanka Baldwina była już prawie pusta. Mimo to podniósł ją do ust i utkwiał w niej wzrok; najwyraźniej żałował, że zwrócił się do prezydenta po imieniu.

–To dla mnie wielki komplement, Frank.

–Tylko historia będzie mogła ocenić, czy prawdziwy.

–Mimo to czuję się zaszczycony.

–I rozumiesz?

–Co?

–Nasze obawy. Według raportów Billa, machina śledcza skonstruowana przez Boba Kennedy'ego była zabawką w porównaniu z twoją. To jego własne słowa, nawiasem mówiąc.

–Nie szkodzi. – Andrew uśmiechnął się lekko. – Byliście urażeni?

–Raczej przerażeni.

–Musiałem wypełnić polityczną pustkę.

–Nie będąc politykiem...

–Widziałem dosyć polityków. Zdawałem sobie sprawę, że pustka musi zostać wypełniona i to szybko. Gdybym ja tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś inny.

Rozejrzawszy się dokoła, stwierdziłem, że jestem najlepiej przygotowany. Jeśli pojawiłby się ktoś lepszy, ustąpiłbym mu miejsca.

–Czy ktoś otrzymał szansę, panie prezydencie?

–Nikogo takiego nie było.

–Wydaje mi się – wtrąciła usprawiedliwiającym tonem Phyllis – że mój mąż byłby bardzo szczęśliwy, mogąc się wycofać. Jak sam pan powiedział, nie jest przecież politykiem.

–Mylisz się, moja droga. On stworzył nową politykę, przywracając jej całą dawną chwałę. Co najdziwniejsze, to działa, bezawaryjnie i pełną parą! Dokonał reformatorskiego dzieła znacznie większego kalibru, niż mógłby o tym marzyć jakikolwiek rewolucjonista, wszystko jedno, z lewa, prawa czy ze środka. Wiedział od początku, że mu się uda, natomiast Billy i ja nie potrafiliśmy zrozumieć, skąd bierze swoją pewność.

W salonie zapadła cisza. Phyllis po raz kolejny zdała sobie sprawę, że tylko jej mąż może udzielić zadowalającej odpowiedzi na te pytania, ale kiedy spojrzała na niego, przekonała się, że Andrew nic nie powie. Nie miał zamiaru ujawnić swoich myśli przed nikim, nawet przed tym starym człowiekiem, któremu tak wiele zawdzięczał. Być może nawet przed nią.

–Panie prezydencie... – Sam Vicarson wszedł szybkim krokiem do pokoju. Pozornie obojętny wyraz jego twarzy świadczył o tym, że ma do przekazania naprawdę ważną wiadomość.

–Tak, Sam?

–Otrzymaliśmy potwierdzenie z Chicago. Przypuszczałem, że będzie pan tym zainteresowany.

–Połączyliście się z wydawcami? – zapytał ostro Trewayne.

–Szukamy ich.

–Więc szukajcie w dalszym ciągu.

–Jak tylko któregoś złapiemy, natychmiast przełączymy rozmowę.

–Wybacz mi, Frank. Nie wpołem Samowi prawniczej zasady, że im dłużej coś trwa, tym lepiej. – Trewayne podniósł się z fotela i ruszył ku drzwiom.

–Jeszcze jednego drinka, panie Baldwin?

–Chętnie, jeśli pani Trewayne...

–Poproszę, Sam – powiedziała Phyllis, podając mu szklankę. Kusilo ją, żeby zamiast „tego, co zwykle” zażyczyć sobie nieco whisky, lecz po wstrzymała się. Do wieczora zostało trochę czasu, a ona jeszcze teraz, po tylu latach, pamiętała, że pod żadnym pozorem nie wolno jej pić po południu niczego mocniejszego. Obserwowała męża, kiedy rozmawiał z Vicarsonem; nie uszło jej uwagi trwające kilka sekund napięcie wszystkich mięśni i przymrużenie oczu. Ludzie nie wiedzieli, że właśnie w takich chwilach, pozornie błahych i nieistotnych, jej mąż tracił najwięcej energii.

Wtedy, kiedy ogarniał go niemożliwy do przewyciężenia strach.

Podobnie jak w całej swojej dotychczasowej działalności, Andrew brał na barki ciężary, którym nie podołałby żaden zwyczajny człowiek. Jego obecne zajęcie dostarczało mu ich bez żadnych ograniczeń. Phyllis była chwilami przekonana, że go to powoli zabija.

–Opłakuję starego przyjaciela, którego czas dobiegł końca – powiedział łagodnie Baldwin, nie spuszczając z Phyllis uważnego spojrzenia – a mimo to wyraz twojej twarzy sprawia, że czuję się nieco zawstydzony.

–Przepraszam pana. – Phyllis spoglądała w zamyśleniu przed siebie, teraz jednak skierowała wzrok na bankiera. – Nie bardzo wiem, co ma pan na myśli...

–Straciłem dobrego przyjaciela. Umarł naturalną śmiercią, po bardzo długim życiu. Ty z kolei, moje dziecko, w pewnym sensie straciłaś męża na rzecz pewnej idei. A do końca życia zostało wam jeszcze tak wiele czasu... Myślę, że twoje poświęcenie jest znacznie większe od mojego.

–Chyba zgadzam się z panem.

Phyllis spróbowała się uśmiechnąć, by nieco zmniejszyć wagę swych słów, ale nie udało jej się.

–Pamiętaj, że on jest wielkim człowiekiem.

–Chciałabym w to uwierzyć.

–Dokonał rzeczy, której nie udało się dokonać nikomu innemu, a o której wielu z nas myślało, że jest poza zasięgiem czyichkolwiek możliwości. Po składał rozsypane bezładnie fragmenty i pokazał nam nas samych takimi, jakimi możemy być, a nie takimi, jakimi jesteśmy. Pozostała nam do przejścia bardzo długa droga, lecz on dostarczył nam motywacji: pragnienia, byśmy stali się lepszymi, niż jesteśmy, oraz żądzy poznania prawdy.

–Pięknie pan to powiedział, panie Baldwin.

Andrew spojrzął na Sama Vicarsona, który właśnie zamknął za sobą drzwi gabinetu. Byli sami.

–Jak daleko się posunęli?

–Wygląda na to, że do samego końca, panie prezydencie. Według informacji, jakimi dysponujemy, dokumenty zostały podpisane kilka godzin temu.

–Co na to Departament Sprawiedliwości?

–Bez zmian. Wciąż badają sprawę, ale nie ma co sobie robić wielkich nadziei.

Wszystko zostało tak zorganizowane, że nie sposób jednoznacznie dowieść, iż zakupu – czy raczej wchłonięcia – dokonało Genessee Industries.

–My tego dowiedliśmy, Sam. I wiemy, że mamy rację.

–To pan tego dowiódł, panie prezydencie.

Trevayne podszedł do okna i spojrzął na taras oraz rozciągający się poniżej ocean.

–Jedyne, co udało nam się przed nimi zachować.

–Czy mogę coś powiedzieć, sir?

–Dwa lata temu na pewno nie prosiłbyś o pozwolenie. O co chodzi?

–Czy nie jest pan odrobinę przeczulony? Do tej pory Genessee zachowywało się

zupełnie rozsądnie. Kontrolował ich pan, a oni pana popierali.

–Oni nikogo nie popierają, Sam – odparł cicho Trevayne, ciągle wpatrując się w wodę. – Po prostu zawarliśmy pakt o nieagresji. Podpisałem układ o nieagresji z najpoważniejszym schorzeniem dwudziestego wieku, duchem świętym, przed którym nie ma ucieczki.

–To skutkowało, panie prezydencie.

–Bardzo słusznie użyłeś czasu przeszłego. – Andrew odwrócił się i spojrzał na prawnika. – Układ został zerwany, Sam. Już nie obowiązuje. Zlekceważyli jego podstawowe założenia.

–Co pan teraz robi?

–Nie jestem pewien. Na pewno nie pozwolę, by Genessee przejęło kontrolę nad znaczną częścią amerykańskiej prasy. Nie mogę tego tolerować. – Trevayne zbliżył się do biurka. – Zaczynają od gazet, a potem wezmą się za czasopisma, radio i telewizję. Za wielkie sieci informacyjne. Nie dopuszczę do tego.

–Departament Sprawiedliwości nie wie, jak ich powstrzymać, panie prezydencie.

–Znajdziemy jakiś sposób. Musimy go znaleźć.

Zabrzącał cicho telefon. Vicarson podszedł szybko do biurka i podniósł słuchawkę.

–Gabinet prezydenta Trevayne'a. – Przez kilka sekund słuchał w milczeniu. – Powiedzcie mu, żeby nigdzie nie wyjeżdżał. Prezydent ma w tej chwili spotkanie, ale skontaktuje się z nim, jak tylko będzie mógł. To sprawa najwyższej wagi. – Odłożył słuchawkę. – Niech się trochę podenerwuje – powiedział do prezydenta.

Trevayne skinął w milczeniu głową, a Vicarson natychmiast skierował się do wyjścia. Nauczył się wyczuwać chwile, kiedy szef państwa chciał zostać sam. Teraz nadeszła właśnie jedna z takich chwil.

–Będę w centrali łączności.

–Wolałbym, żebyś poszedł na górę i dotrzymał towarzystwa Phyl i Baldwinowi. Oboje przeżywają teraz trudne momenty.

–Tak jest, sir.

Przez dwie lub trzy sekundy młody doradca przyglądał się prezydentowi, po czym raptownie odwrócił się i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Andrew wziął do ręki ołówek i napisał dużymi, literami: „Jedyne rozwiązanie stanowi bezustanne poszukiwanie rozwiązania”.

Wielki Billy Hill.

A potem jeszcze jedno słowo: „Pieprzenie”.

Paul Bonner.

Wreszcie samotny znak: „?”

Podniósł słuchawkę i powiedział zdecydowanym tonem:

–Proszę z Chicago.

–Pan prezydent? – zapytał Ian Hamilton z odległości dwóch tysięcy kilometrów.

–Chcę, żebyście wycofali się z tej transakcji.

–Pozwolę sobie zauważyć, iż nie dysponuje pan żadnymi dowodami na to, że mamy z tym cokolwiek wspólnego. Te małe wścibskie ludziki z Departamentu



**Sprawiedliwości niczego nie ustaliły.**

**–Wy o tym wiecie i ja o tym wiem. Wycofajcie się.**

**–Obawiam się, że ciężar sprawowania urzędu daje się panu coraz bardziej we znaki, panie prezydencie...**

**–Nie interesują mnie pańskie obawy. Chcę tylko, żeby mnie pan dobrze zrozumiał.**

**Chwila ciszy.**

**–Czy to ma jakieś znaczenie?**

**–Nie naciskaj mnie, Hamilton.**

**–Pan także nie powinien tego robić.**

**Trevayne spojrzał przez okno na falującą w niezmiennym rytmie powierzchnię oceanu.**

**–Nadejdzie dzień, kiedy okażecie się zbędni. Powinniście zdawać sobie z tego sprawę. Wszyscy.**

**–Całkiem możliwe, panie prezydencie. Jednak szczerze mówiąc, wątpię, by nastąpiło to za naszego życia.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2010-11-06**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*